

Zamorskie Królestwa

Bunch Chris & Cole Allan



calibre 0.9.43

A.Cole i C. Bunch

Zamorskie królestwa

1

Odległe Królestwa

Dla

Jasona Cole'a

i

Elizabeth Rice Bunch

Mapka:

1. Vacaan „The Far Kingdoms” - Vacaan - Odległe Królestwa
2. Irayas - Irayas
3. The Black Mountain - Czarna Góra
4. Gomalalee - Gomalalee
5. (not to scale) - nie według skali
6. Wahumwa - Wahumwa
7. Fist of the Gods - Pięść Bogów
8. pass - przełęcz
9. The Rift - Dolina
10. Wasteland - Ziemia Jałowa
11. The Crater - Krater
12. Desert - Pustynia
12. Grasslands - Stepy
13. River's Headwaters - Źródła rzeki
14. Unknown - Tereny nieznanne

15. Unknown Seas - Nieznane morza
16. rumored islands, - wyspy, archipelagi, rafy i tym podobne archipelagos, reefs, etc. znane z opowiadań.
17. Abandoned Barracks - Opuszczone Warownie
18. Cannibal Village - Wioska Kanibala
19. Kostroma - Kostroma
20. The Kingdom of Valaroi - Królestwo Valaroi
21. Redond - Redond
22. The Pepper Coast - Wybrzeże Pieprzowe
23. The Narrow Seas - Wąskie Morze
24. Likantu - Likant
25. Orissa - Orissa

Pierwsza

Podróż

2

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kurtyzana

Król Ognia.

Król Wody.

Królowa Muzy.

Ja, Almaryk Emilie Antero, zapisuję moje myśli piórem gęsim w drugim dniu świecy Miesiąca Żniw,
w

dziesiątym roku Czasu Jaszczurki. Przysięgam na głowy mych potomków, iż wszystko, co tu piszę
jest,

prawdą. Błagam was, Moi Panowie i Moja Pani, abyście spojrzeli przychylnym okiem na ów
dziennik.

Ogniu, oświeć drogę i poprowadź korytarzami mglistej pamięci. Wodo, wypieść owoce mych myśli.
Muzo,

spójrz w łaskawości swej na me liche umiejętności i użyż słów wartych opowieści, którą snuć będę.

Opowieści o mych podróżach do Odległych Królestw.

I o tym, co tam znalazłem.

CZYTAJĄC PONOWNIE te wersy, słyszałem śmiech Janosza, śmiech podobny do dźwięcznego
odgłosu

bębna, mogący ogrzać zimną noc, lub zamienić w kamień słowa głupca. Słyszałem wyraźnie, jakby
dzwonił

mi nad uchem, a nie przybywał jako iluzja sprzed czterdziestu lat. Ten śmiech drwił ze mnie i wcale
nie

dlatego, że opisałem tę historię. Ów człek odnosił się przychylnie do historii i wszelkich mądrych
ksiąg.

Uważał je za bardziej święte niż święty gaj cedrowy; sądził, że mówią więcej niż zwierciadło
Proroka. Tak,

odnosiłby się do niej przychylnie, nawet mimo tego, że moje zapiski odmalowują go czasem w
niezbyt

dobrym świetle. Czyż jednak nie przysięgałem mówić tylko prawdy? Janosz był najbardziej
zagorzałym

czcicielem prawdy. Nawet wtedy gdy kłamał... Szczególnie wtedy, gdy kłamał.

Drwina, jestem tego pewien, wymierzona była w tradycyjne, otwierające zaklęcie, które zawarłem w swoim

dzienniku wzywając ogień, wodę oraz Muzę, aby wspierały mnie w moich zmaganiach.

- To głupi zwyczaj - powiedziałyby pewnie. - A co więcej, strata energii. To tak, jakbyś wyleczył gniazdo

kurzajek na skórze, a potem zabrakłoby ci siły na tak istotne sprawy „jak demon gnieźdzący się w twojej

czaszce. Nić z supłem jest równie dobra na kurzajki jak po trzykroć błogosławiona skóra ropuchy, a o wiele

mniej kosztowna.

Następnie klepnąłby mnie w plecy i napełnił kielichy winem aż po same brzegi: - Po prostu rozpocznij swą

opowieść, Almaryku. Słowa przyjdą same.

A zatem dobrze... Zaczęło się od pewnej kobiety.

Melina była najwspanialszą kurtyzaną w całej Orissie. Nawet po tylu latach na wspomnienie jej boskiego

ciała rozpierają mnie chucie. Miała duże, ciemne oczy, w których każdy mężczyzna mógł zatracić duszę, i

długie, pachnące perfumami kruczoczarne włosy, spływające falą na szczęściarza, któremu pozwoliła utonąć

w swych cudownych objęciach. Miała kształty złotoskórej bogini o wiśniowych ustach, piersiach

zakończonych wspaniałymi, karmazynowymi sutkami i o jedwabnych udach, będących zapowiedzią

najbardziej upojnego schronienia, jakie tylko podróżnik mógłby sobie wyobrazić. Byłem naówczas

młodzianem liczącym dwadzieścia wiosen i pożałowałem jej ślepo, wręcz niepohamowanie, czując w żyłach

wzburzoną, gorącą krew charakterystyczną dla tego wieku. Nie opowiadałbym teraz owej historii, gdyby

Melina zaspokoiła wówczas me nieposkromione żądze. Ona jednak zniewoliła mnie tylko,

paraliżując swym

urokiem, karmiąc li tylko zawodowymi obietnicami.

W dniu, w którym zaplątałem się w jej sieć, załatwiałem akurat interesy związane z profesją mojego ojca.

Statek wiozący towary z zachodu zawinął do portu i rozpoczęto już rozładunek. Do moich obowiązków

należało między innymi nadzorowanie rachunków. Nie oznaczało to oczywiście ingerowania w pracę naszych wspaniałych niewolników- urzędników. Ojciec stwierdził, że potrzeba tam po prostu „obecności

władzy”, co oznaczało, że miałem dopilnować, aby łapówki wręczone kapitanowi portu, poborcy podatkowemu oraz poborcom dziesięciny - dla magów utrzymywały się na rozsądnym poziomie. Dzierżyłem

sakiewkę pełną złotych i srebrnych monet i wciskałem je w chciwe dłonie, pamiętając o ostrzeżeniu, iż

gdybym zbyt przetrząsnął ów trzosik, profity z morskiej wyprawy okazałyby się nadzwyczaj marne. Rejs

był długi i obfitował w niebezpieczne niespodzianki; nasz statek padł ofiarą sztormu i o mały włos nie

zatonął w pobliżu ujścia rzeki, która przecina miasto na połowę. Wówczas nie mogłem się nadziwić, że

ojciec powierzył mi to wcale niełatwe zadanie. On jednak wiedział, że należy mnie zachęcić, dostrzegając

we mnie zalety, których ja sam nie potrafiłem zobaczyć.

3

Kapitan portu odznaczał się kompletnym brakiem doświadczenia i nadzwyczajną dbałością próbował zrekompensować owo niedociągnięcie. Kiedy tak chodziliśmy od skrzyni do pakunków, od pakunków do

beczek, podliczając wartość towarów, spostrzegłem, że niewątpliwie zaczął sobie już wyobrażać łapówkę

równą rocznej pensji; w młodzieńczych oczach zagościły szpetne błyski chytrych. Jego apetyt rósł, a mój

umysł szukał desperacko rozwiązania. Rozejrzałem się po magazynie i oko moje spoczęło na poszarpanej

beli materiału. Jęknąłem, rozerwałem ją, pozwalając kosztownemu suknu spłynąć na brudną podłogę.

Natychmiast zawołałem kapitana statku ignorując, zdziwienie malujące się na obliczu portowego oficera.

Niechybnie pomyślał, że zwariowałem. Jego zaskoczenie przerodziło się jednak w osłupienie, gdy pokazałem przybyłemu żeglarzowi stan materiału, przeklinając jego mizerną jakość.

- Albo jesteś głupcem, który dał się nabrać jakiemuś tęgiemu oszustowi - rugałem go - albo jesteś tym oszustem we własnej osobie. - Kląłem, narzekając, że jakość materiału srodze odbiega od normy i nawet

kompletny laik na pierwszy rzut oka stwierdziłby, że sukno w ciągu tygodnia zacznie się rozkładać w

wilgotnym klimacie Orissy; skoro zaś bez problemu znalazłem ten defekt, co z resztą towarów? - Do diabła,

kapitanie, patrz na mnie, gdy do ciebie mówię!

Stary morski wyga w lot pojął o co chodzi. Zaczął jęczeć jak bardzo mu przykro i zaklinał się, że nie miał o

niczym zielonego pojęcia. Odesłałem go strasząc gniewem ojca, a sam zwróciłem się do stojącego obok

oficera. Kiedy go przeprosiłem, uśmiechnął się niewyraźnie, po czym zupełnie spoważniał, gdy na

przypieczętowanie owych przeprosin wcisnąłem mu w dłoń jako łapówkę tylko jedną monetę, biorąc pod

uwagę wyraźnie zmniejszoną wartość ładunku. Nie protestował, lecz mocno ścisnął pieniądz i umknął,

zanim zdążyłem na tyle oprzytomnieć, by stwierdzić, że i tak dałem mu pewnie za dużo.

Miejski poborca podatkowy winien był memu ojcu wiele przysług, więc z radością przyjął rzadko spotykane

świecidełko z zachodu, którym miał zrobić przyjemność znacznie młodszej od siebie żonie.

Uważając się za świeżo wykreowanego mistrza handlu, oczekiwałem poborców dziesięciny z Rady Magów.

Jedyna próba, jakiej się obawiałem. W owych czasach utrzymywały się silne animozje między magami a

członkami mojej rodziny. Właśnie buńczucznie zadzierałem nosa myśląc o rychłym odwecie, kiedy ogłoszono przybycie czarnoksiężnika. Szybko przerwał te cieniutką, jedwabną nić pychy. Prevotant znany

był jako jeden z najgrubszych i najbardziej chciwych magów w Orissie. Miał kiepską reputację jako czarnoksiężnik, a także jako człowiek o przedziwnym talencie do opóźniania kupieckich sakiewek aż do

ostatniej monety. Ujrzawszy mnie zachichotał z radości, zadowolony, iż między nim a fortuną stanął ktoś tak

młody i głupi. Chichot odbił się echem i przeszedł w przenikliwy pisk dobywający się z gardła faworyta

przyczepionego do jego barku.

W tamtych czasach niektórzy, zwykle starsi magowie trzymali faworyty, które towarzyszyły im podczas

rzucania zaklęć. Owe pół zwierzęta, pół demony mogły dowolnie zmieniać swe rozmiary, od dwukrotnie

większych od człowieka do mniejszych niż to pokryte łuską stworzenie okręcone dokoła szyi Prevotanta.

Pisk potworka przybrał na sile, zapewne na skutek podekscytowania. Większość faworytów zachowywała

się histerycznie i czasami trudno je było utrzymać w ryzach, lecz zauważyłem, że ta kreatura była tak przerażona jak regularnie maltretowany pies. Zamiast uspokoić go ciepłym słowem i pogłaskać po grzbiecie,

Prevotant zaklął i wymierzył faworytowi mocny cios szpikulcem. Stworzenie zapiszczało z bólu i złości,

lecz po chwili dało za wygraną. Widziałem, że myśli intensywnie, jako że jego skóra zmieniła barwę z

czarnej na pulsująco czerwona. Zaczęło szarpać krwawiącą ranę małymi, ostrymi zębami.

- Może jest głodny - odezwałem się, sądząc, że w ten sposób zaskarbię sobie życzliwość Prevotanta.

-

Mógłbym posłać po jakiś smakowity kąsek.

Faworyt zaszcebiotał słysząc moje słowa, lecz czarodziej pokręcił przecząco głową, aż zatrzęsły mu się

policzki.

- Nie przejmuj się nim. Przejdźmy od razu do interesów. - Nadał się, na ile tylko pozwolił mu szeroki pas, i

utkwiał we mnie srogi wzrok. - Doniesiono mi o przemyśle ukrytym w twoim ładunku.

Straciłem zdrowy rozsądek jeszcze przed jego atakiem. Było to stare, portowe zagranie, szczególnie

popularne w kręgach poborców dziesięciny dla magów. Mój ojciec skwitowałby je śmiechem.

Wiedziałem o

tym. Ojciec opisywał mi te rozmaite gierki, dbając o uzupełnienie mej edukacji. Lecz wiedzieć a robić - ech,

to już wielka różnica. Moja twarz, ta odwieczna zdrajczyni rudowłosych, przybrała kolor równie ognisty jak

moje kędziory.

- Ależ... ależ... To niemożliwe - wyjąkałem. - Kazaliśmy przedsięwziąć środki ostrożności. Wszelkie środki

ostrożności!

4

Prevotant skrzywił się i wyjął zza fałd poplamionych szat jakieś pomięte kartki papieru. Przez chwilę studiował uważnie zapisane gęsim piórem słowa skrętnie zakrywając je dłonią przed moim wzrokiem.

Pokręcił pośepnie głową, po czym schował zapiski. Faworyt ruszył w kierunku kieszeni i zarobił kolejne

uderzenie

- Paskudna bestia - syknął mag i ponownie zwrócił się do mnie: - Bardzo poważne oskarżenia.
Wyjątkowo

poważne. - Pożądliwie łypnął na towary mojego ojca. - Nie pozostaje mi nic innego, jak... jak...

Otworzyłem usta pełen niepokoju. Niecierpliwie potrząsnął głową i utkwiał we mnie ciężkie spojrzenie: -

Jak...

Wreszcie doznałem olśnienia.

- Och! Och... Naturalnie! - Złapałem się za pas i potrząsnąłem mocno sakiewką. Oczy rozszerzyły mi się na

ów znajomy brzęk, a twarz pojaśniała wyraźnie, gdy obliczył, o ile pomnoży swój majątek. Skrzek faworyta

wciąż wskazywał na grę głębokich emocji. Czarodziej nieświadomie, chyba z przyzwyczajenia uszczypnął

stworzenie. Jeśli zaś chodzi o mnie, zrozumiałem swój błąd w tej samej chwili, w której go popełniłem.

Teraz Prevotant wie dokładnie, czym dysponuję, i będzie chciał wyciągnąć jak najwięcej. Po jednej stronie

legło nieszczęście, po drugiej zaś zagościło upokorzenie, a ja pośród nich desperacko próbowałem pomóc

sobie swoim sprytem. Rozpoczęliśmy targowanie.

- No cóż - powiedział w końcu - są pewne rzeczy, których powinienem dopełnić. Niektórzy powiedzieliby,

że jest to moim bezwzględny obowiązkim. Będę jednak potrzebował wsparcia. Dziesięciu pomocników...

a może i więcej.

Ponownie potrząsnąłem sakiewką, wściekły, że nie mam innego wyboru, i brnąłem dalej.

- Ale ... - zacząłem włączając się do gry. - Ale ...

- Zresztą nie ma konieczności, bym postępował ściśle według zasad - odpowiedział po namyśle. -

Nauczyłem się polegać w tych sprawach na mojej łagodnej naturze. - Zmierzył sakiewkę wzrokiem,

lecz ja

nie wykonałem najmniejszego gestu.

- Mógłbym to ostatecznie zrobić sam - powiedział pragnąc, aby moja dłoń wreszcie uwolniła trzymane

złoto. - To jednak będzie wymagało... - Ponownie zerknął na ładunek. - Moi przełożeni nie pozwoliliby mi

pobrać od ciebie dziesięciny mniejszej niż... trzy miedziaki za każdą dziesiątą wagi.

Westchnąłem.

- A zatem muszę natychmiast podążyć do domu mego ojca z wieścią o jego ruinie. - Trąciłem sakiewkę. -

Dziesięcina, której żądasz, zabierze wszystko co posiadam i nawet jeszcze więcej.

Prevotant spojrział z bólem. Policzki mu obwisły, lecz dostrzegłem, że oczy jego faworyta błysnęły

zadziornie i stworzenie wysunęło język wietrząc fluidy strachu. Trzymałem nerwy na wodzy nie zdradzając

prawdziwych uczuć. Mag złamał się pierwszy.

- No dobrze - wykrztusił przez ściśnięte gardło. - Odprawię tu proste oczyszczenie, lecz ze względów

bezpieczeństwa musi ono objąć cały magazyn. Dziesięcina za taki obrządek wynosi jeden miedziak za sto

miar wagi.

Podniósł rękę. - Jednak... jestem tu tylko z moim faworytem. Zakłęcie wymaga mnóstwo pracy i

przygotowań...

Wyjąłem sakiewkę zza pasa. Faworyt zaczął pohukiwać niczym sowa, owładnięty chciwością, podczas gdy

jego pan drapieżnym ruchem schował woreczek z monetami za pazuchę.

- Załatwię to bardzo szybko - rzucił bez namysłu. - Błyskawicznie.

Posłałem po niewolnika, żeby przyniósł jego rzeczy z lektyki i chwilę później czarnoksiężnik ustawił swój

trójnog, z którego zwieszała się mosiężna misa pełna gorących węgli. On zaś wrzucał do naczynia różne

śmiecie, kawałki pleśni i jakieś proszki. Obrzydliwa woń wypełniła powietrze, lecz nie pojawił się charakterystyczny dym. Faworyt zeskoczył na podłogę i podrygiwał dookoła, wrzeszcząc na znak protestu.

Jestem pewien, że umknąłby gdyby nie długi, cienki łańcuch, który Prevotant mocno ścisnął w garści.

Mag umieścił trójnog w wąskim przejściu między skrzyniami pełnymi drewnianych zabawek. Twierdził, że

miejsce to jest najskuteczniejsze do odpowiedniego ukierunkowania zaklęcia. Ruszył wolno wzdłuż wąskiego korytarza wlokąc za sobą faworyta; stworzenie opierało się zaciekle, zawodząc niczym dziecko i

dławiąc się na łańcuchu. - Przestań - wycedził Prevotant. - Tylko wszystko pogorszysz.

Ukląkł na jednym kolanie i narysował okrąg na podłodze, a następnie kwadrat obejmujący koło. Skrócił

łańcuch przyciągając faworyta do siebie. Małe ząbki kęsały na oślep wpijając się w palce, lecz w końcu

5

udało mu się złapać potworka za szyję i wrzucić w obręb koła. Stworzenie przez kilka chwil wydawało się

zamroczone upadkiem. Prevotant skinął głową.

- Teraz dobrze. A jeśli dalej będziesz przysparzał mi kłopotów, każę cię obdrzeć ze skóry i uszyć z ciebie

buty. - Mag podniósł się sapiąc ciężko i podszedł do trójnogu. Skinął, bym do niego dołączył, a ja spełniłem

prośbę.

- Konieczna jest obecność właściciela - wyjaśnił. - W przeciwnym razie zaklęcie oczyszczające nie będzie

trwałe.

Ze swoich bagaży wydobył kolejny worek. - Chcę, żeby zaklęcie było dobre i silne - powiedział. -

Lubię,

kiedy klienci są zadowoleni.

Po magazynie gdzieś kręcili się ludzie - urzędnicy, tragarze oraz potencjalni klienci, którzy przyszli,

aby rozejrzeć się w towarze.

- Czy mam ich wyprosić? - zapytałem.

- Nie ma potrzeby. Ryzyko jest minimalne. - Wrzucił do misy garść czegoś co wyglądało na brązowe wióry,

które w zetknięciu z węglami wydały wilgotny syk. Przyjrzałem się uważniej, ale i tym razem nie dostrzegłem najmniejszego śladu dymu.

Zaczął szybko i nagle:

- O, demony, które zamieszkujecie krainę ciemności. Strzeżcie się! Strzeżcie! - Wytrząsnął więcej

brązowych strużyn na żar, a w odpowiedzi rozległ się kolejny syk. Zobaczyłem, że węgle przestają się

żarzyć, jakby coś wysysało z nich gorąco.

- Ogień w Chłód. Chłód w Ogień. Wzywam płomienie, aby was odszukały. Strzeżcie się demony!

Strzeżcie!

Opróżnił worek wsypując zawartość do misy. Ujrzałem błysk. Kupka węgla załamała się na samym środku

tworząc szarą, martwą masę. Stworek w kredowym więzieniu wydał z siebie upiorny skowyt. Okrąg ożył

tysiącem roztańczonych płomieni. Faworyt zaskrzeczał z bólu szamocząc się i podskakując dokoła

przeszywany mackami upiornego ognia. Dotyk żywiołu nie pozostawiał najmniejszego śladu na skórze

stworzenia, lecz bezsprzecznie gorąco dawało mu się we znaki. Pełne rozpacz i desperacji wycie wydawało

się nadzwyczaj prawdziwe. Nagle faworyt skurczył się do rozmiarów małego kamyka, mimo iż jego wrzaski

były równie głośne jak przedtem. Odskokczyłem zatrwożony, gdy kamyk urósł niespodziewanie do rozmiarów psa i rozrastał się wciąż, aż przekroczył obszar otaczającego go okręgu. Małe ząbki zamieniły się

w potężne, połyskujące kły, kłapiące w agonii bólu. Żaden rozmiar nie mógł mu jednak pomóc w ucieczce;

plómienie podskoczyły jeszcze wyżej. - Przepadnij! - krzyknął Prevotant.

Faworyt znieruchomiał jak rażony piorunem; milczący, z rozwartym, upiornym pyskiem widocznym poprzez ścianę płomieni. Zaległa cisza. Wkrótce jednak usłyszałem cykanie, potem następne, jakby otworzył

się dach wpuszczając roje owadów; całe ich chmary spadały martwe z krokwi i ścian: niektóre skrzydlate,

inne pełzające. Po chwili poczułem na ciele gęsty, suchy deszcz. Usłyszałem odgłosy zamieszania, które

przerodziły się w dziki pęd i skrobanie, stopniowo przybierające na sile. Nagle magazyn zalały tysiące

szczurów i jaszczurek, a podłoga zmieniła się w istne morze futer i łusek. Kobiety i mężczyźni rozproszeni

tu i tam zaczęli krzyżeć z przerażenia i obrzydzenia.

- Nie ma się czego obawiać - rozległ się spokojny głos maga. - Być może zaklęcie jest zbyt silne, ale przynajmniej pozbędziesz się szkodników. - Zanim zdążyłem otworzyć usta, podniósł obie ręce do góry i

krzyknął - Koniec! - Ogień zniknął momentalnie - równie szybko, jak się pojawił. Nagle zobaczyłem, że

węgłe w misie zawieszanej na trójnogu żarzą się ponownie.

Mag szarpnął za łańcuch wyciągając faworyta poza granice wyznaczone kredą. Stworzenie powróciło już do

swych normalnych wymiarów, lecz nadal kipiało wściekłością za sposób, w jaki zostało potraktowane.

- No, dobra robota - odezwał się do mnie Prevotant ciągnąc bezlitośnie za łańcuch. - Teraz muszę tylko... -

Obydwaj podskoczyliśmy widząc, jak faworyt warknął groźnie i wystrzelił w górę urastając do rozmiarów

człowieka. Szarpnął za łańcuch a Prevotant wrzasnął, gdy koniec uwięzi wysliznął mu się z dłoni tnąc miękkie ciało.

- Hej - zawołał - co to ma znaczyć? Przestań natychmiast! - Podreptał do przodu z uniesioną pięścią.

Faworyt ponownie warknął i zaczął wściekle kłapać zębami. Skulił się, gdy Prevotant podszedł do niego,

lecz nie zmienił rozmiarów, a jego skóra połyskiwała barwami złości. Mag z wściekłością kopnął stwora.

Bestia z piskiem przeskoczyła swego pana, który obrócił się błyskawicznie, klnąc i krzycząc, żeby faworyt

natychmiast wrócił, lecz ten skulił uszy i popędził przez magazyn niczym spuszczonej ze smyczy ogar.

6

Niewiasta odziana w kosztowne szaty wrzasnęła z przerażenia i dołączyła pośpiesznie do orszaku swoich

niewolników. Jej krzyk przyciągnął tylko uwagę bestii, która skręciła nagle i przemknęła tuż obok niej,

roztrącając tłum ludzi. Krwawa rana naznaczyła ramię nadobnej niewiasty.

Wściekłość Prevotanta ustąpiła miejsca panice.

- Wracaj do tatusia! - błagał teraz wysokim sopranem. - Tatuś ma dla ciebie smakowite niespodzianki...

Proszę cię wróć. - Faworyt nie zważając na słowa swego pana szarpał zaciekle zębami opakowania towarów,

rozrywał pazurami skrzynie. Moi ludzie próbowali go zwabić w kąt, lecz uciekli widząc, jak szarżująca

bestia rozrasta się coraz bardziej. Znowu rzucił się na ładunek. Chaos najwyraźniej wyostrzył mi zmysły; nie

tylko dostrzegłem, że szkody są minimalne, lecz również zrozumiałem, że właśnie otwiera się przede mną

szansa ucieczki od maga.

- Aha! - krzyknął Prevotant, gdy Faworyt odwrócił się i popędził ku nam. - Teraz posłuchasz głosu rozsądku! - Stworzenie skurczyło się jednak i przemknęło między nami. Wyczułem nadarżającą się okazję i

błyskawicznie popchnąłem trójnog. Dymiące węgle rozsypały się pośród skrzyń pełnych drewnianych zabawek. Teraz mag wpadł w histerię. Skoczył i brzegiem szat próbował dławić w zarodku małe płomyki.

- Pomóż mi! - zawołał. - W przeciwnym razie stracisz to wszystko. - Oczyma wyobraźni widział już cały

magazyn, a następnie całe nabrzeże, trawione bezlitosnym ogniem. Podeszedłem spokojnym krokiem, delikatnie odsunąłem go na bok i ugasiłem ogień deptając płomienie.

Zostawiłem go zastygłego w bezruchu, paplającego "słowa przeprosin, a sam poszedłem po nadzorcę magazynu. Wzięliśmy sieć, kilka długich kijów i zawołaliśmy paru krzepkich niewolników. Dość szybko

udało nam się usidlić faworyta, który okazywał już wyraźne oznaki zmęczenia i strachu, po czym przyprowadziliśmy go do jego pana. Prevotant patrzył na mnie cielecymi oczami. Zlekceważyłem to spojrzenie i powiodłem lodowatym wzrokiem po „zgliszczach”.

- Proszę, pozwól mi to wszystko naprawić - odezwał się nieśmiało.

Wyciągnąłem rękę.

- Możesz zacząć od złota mego ojca - zaproponowałem.

Sprawiał wrażenie osłupiałego.

- Tak dużo? - wyszeptał, ale od razu zwrócił mi sakiewkę.

- I to tylko na początek - kontynuowałem - bo kiedy podliczę dzisiejsze straty ... - Pokręciłem głową.

-

Wątpię, czy starczy ci środków na spłatę. Poradzę memu ojcu, żeby udał się po rekompensatę do rady. -

Pragnąłem jedynie wlać w jego serce strach bogów. Tak naprawdę to wcale nie miałem zamiaru wziąć od

niego więcej pieniędzy. Byłem przekonany, że wysokość długu, jaki wyczarowałiby księgowi mego ojca,

wprowadziłaby Prevotanta w pokorę na wiele lat. Zamierzałem właśnie zacząć moją litanię „ale”, „z drugiej

strony” i tym podobnych powiedzonek, kiedy nagle podniósł palec do ust na znak ciszy. Rozejrzał się wokoło, aby sprawdzić, czy ktoś nas nie obserwuje.

- Może mam tu coś, co może potrafi uspokoić młodego panicza - odezwał się tajemniczo. Zagłębił dłoń w

przepastnych fałdach swych szat, rzuciwszy mi chytre spojrzenie. - Przekonasz się sam, że to coś naprawdę

wyjątkowego.

Wręczył mi białą kartę o mocno czerwonych brzegach. Pośrodku widniała pieczęć cechu nierządnic: wyzywająco obnażona postać Butali, bogini miłości z przesadnie wielkimi piersiami i narządami płciowymi.

Poniżej złoty napis głosił: „*Melina będzie dziś tańczyć dla swych szczególnych przyjaciół i dobroczyńców*”.

Wiedziałem, kim była; podobnie zresztą jak każdy mężczyzna w Orissie. Melina, jedna z dwunastu najpiękniejszych kobiet, jakie znajdowały się na samym szczycie handlu przyjemnościami. Wszystkie używały wytwornych słów i zgłębiały subtelności cywilizacji. Wielcy mężczyźni, bogaci mężczyźni, a

wreszcie przystojni mężczyźni i bohaterowie zabiegali o ich względy zarówno z uwagi na przyjemność jaką

czerpali z przebywania w ich towarzystwie, jak i dla rozkoszy cielesnych. Na tym polu ta gorąca, namiętna

bogini swego zawodu nie miała sobie równych. Każdy mężczyzna zrobiłby wiele, by zatonać w namiętnych

objęciach Meliny. Szczególnie bardzo młody mężczyzna, który nie miał do zaoferowania prawie nic ponad

swą młodość.

Otworzyłem usta. - Skąd ty to masz? - Niemożliwe, żeby człowiek typu Prevotanta otrzymał zaproszenie od

tak egzaltowanego towarzystwa.

Mag skwitował zawartą w moim pytaniu odrazę kolejnym chytrym spojrzeniem.

- Czy to naprawdę takie ważne?

7

Ponownie zerknąłem na kartę. Butala nie była już sama. Teraz przewodniczyła zbiorowej orgii.

Przyglądając się zobaczyłem, jak nagie postacie zaczynają się poruszać kopulując na więcej sposobów, niż

byłem w stanie sobie wyobrazić.

- Zamierzałem to sprzedać - szepnął mag wprost do mego ucha. - Cena bez wątpienia byłaby wysoka.

Ponownie spojrzałem na jej imię czując przebiegający przez ciało gorący prąd i widząc, jak litery rosną

wypełniając niemal całkowicie pole widzenia.

- Melina - wyszeptał głośniej Prevotant. - Dla ciebie?

Wziąłem kartę próbując nie dać poznać po sobie najmniejszego wrażenia.

- Och, sądzę, że mogłoby mnie to zainteresować. - Wsunąłem kartę do kieszeni kaftana.

- A zatem dobiliśmy targu? - zapytał Prevotant.

Zawahałem się, lecz natychmiast poczułem jak karta pali mnie na piersiach. Czułem, że ta kobieta już

rzuciła na mnie czar. Musiałem ją zobaczyć. Skinąłem głową. Prevotant potraktował skinienie jako

urzędową pieczęć, uściśnął mi dłoń i mamrocząc coś pod nosem wyszedł czym prędzej z magazynu z

gaworzącym stworkiem na ramieniu. Długo jeszcze nie mogłem zapomnieć tego chytrych spojrzenia i

czułem, że postąpiłem głupio przyjmując kartę. Zamiast wziąć odzyskane złoto i udać się prosto do domu,

by uczcić osobiste zwycięstwo nad magiem, poszedłem do tawerny, gdzie do późnej nocy piłem i grałem z

przyjaciółmi. Winiak zmieszany z wigorem młodości rozwiał początkowe wahania. Dlaczego

miałbym

pozwolić, aby taka szumowina, jak Prevotant wywierała na mnie taki wpływ? Poza tym, czyż nie był on

magiem? A czyż magowie nie byli zmorą rodziny Antero? Gdybym tam poszedł, mógłbym dać mu prztyczka w nos w imię mojej rodziny. Dlaczego miałbym tego nie zrobić?

Wymknąłem się mojej kompanii prosto w pogrążone w ciemnościach nocy miasto, aby poszukać lektyki,

którą niewolnicy ponieśli wąskimi uliczkami. Kiedy wreszcie zatrzymali się, księżyc stał na niebie w najwyższym punkcie. Mocno podniszczony budynek, do którego sprowadziło mnie zaproszenie, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Prawdę mówiąc cała ulica stanowiła część dzielnicy pełnej kamieniczek,

sklepów i tawern dla najniższej z klas wolnych. Jaszczurki i świny walczyły tu o zdobycz grzebiąc w stertach śmieci. Wszedłem do kamienicy czując zwątpienie. Panujące wewnątrz ciemności i smród niemal

zatykały dech w piersiach. Wyjąłem z kieszeni ogniste paciorki i wyszeptałem zaklęcie; zaśniły słabo. W

wątlym świetle wewnątrz wydało mi się jeszcze bardziej odpychające. Widziałem ciemne kształty przycupnięte pod zimnymi ścianami, a jakieś mniejsze stworzenia umykały mi spod nóg. Brnąłem jednak

dalej wspinając się po skrzypiących, rozklekotanych schodach, przechodząc uważnie ponad połamanymi

stopniami i chrapiącymi cielskami.

Opary wina ulatniały się z mej głowy dość szybko w tych niezwykłych okolicznościach. Dotknąłem miecza

wsuniętego w skórzaną pochwę, wtargnąłem bowiem w świat złodziei i czarownic. Ponownie zastanowiłem

się nad trafnością decyzji. Wtedy do mych uszu dobiegły słabe dźwięki muzyki oraz śmiech. Na najwyższym

piętrze ujrzałem olbrzymie odrzwia, przez które dobywała się cudowna woń kwiatów rozpraszająca

wyziewy kamienicy, kojarzące się z biedą i zbyt wieloma nieudanymi zaklęciami. Pociągnąłem za łańcuch i

rozdzwoniły się dzwonki. Odgłos kroków i po chwili drzwi otwały się skrzypiąc w zawiasach. Snop światła

zalał korytarz, więc podniosłem rękę zasłaniając oczy.

- W czym mogę pomóc, szlachetny panie? - rozległ się głęboki głos. Mój strój stanowił nieomylną oznakę

klasy i bogactwa.

- Mam... zaproszenie - odparłem przecierając powieki, aby lepiej widzieć. - Gdzieś tutaj... zaraz... -

Nerwowo przeszukiwałem kaftan w poszukiwaniu karty.

Gdy oczy przyzwyczyły się do światła, serce skoczyło mi do gardła. Na twarzy mego rozmówcy ujrzałem

ogromnego pająka z opasłym, bulwiastym odwłokiem i strzępiastymi kończynami. Jego wielkie, czerwone

oczy wpatrywały się we mnie uporczywie. Pająk przemówił:

- Witaj, szlachetny panie.

Skrzętnie ukryłem ogarniającą mnie panikę, a w chwilę później doznałem ulgi. Pająk okazał się dopracowanym w najdrobniejszym szczególe tatuażem, totemem, a przede mną stał wysoki, kościsty mężczyzna o długiej, wąskiej twarzy i bladej skórze, która najwyraźniej rzadko widywała światło dzienne.

Miał na sobie kosztowne, ozdobne, brokatowe szaty przepasane czerwoną szarfą.

- Późno już - rzekł mężczyzna - ale macie, panie, wyjątkowe szczęście. Melina jeszcze nie zaczęła tańczyć.

- Wskazał ruchem ręki. - Tędy, proszę.

8

Wszedłem do szerokiego, dobrze oświetlonego holu wyłożonego grubymi, barwnymi dywanami z zachodnich krajów. Muzyka i śmiech wydawały się tu jeszcze głośniejsze. Mężczyzna spojrział przez ramię.

- Nazywam się Leego, młody panie. Jeśli mógłbym ci w czymkolwiek pomóc dzisiaj wieczorem, szepnij

tylko moje imię któremuś z niewolników.

Odzyskałem głos. - To bardzo miło z twojej strony, Leego. Niech Butala po wsze czasy obdarza cię swym

uśmiechem.

Leego skinął głową, po czym otworzył na oścież duże, podwójne drzwi.

- Powitajmy naszego nowego gościa - obwieścił głośno. Odezwały się głośne, kobiece piski zadowolenia.

Otoczyło mnie kilkanaście najpiękniejszych istot, jakie do tej pory widziałem w swoim życiu. Były nagie.

Warto wyjaśnić, że nie należałem do tych całkiem niedoświadczonych młodzieńców. Podszczypywałem i

poklepywałem po krągłych pośladkach wiele młodych służek. Nieraz na ojcowskich farmach buszowałem w

sianie z moimi kuzynkami. W ostatnich latach figlowałem z tyloma dziewczkami z tawern i panienkami za pół

miedziaka, że mój ojciec zaczął się poważnie niepokoić, iż zdążam do samozagłady. Nigdy jednak,

przenigdy, nie stanąłem twarzą w twarz z taką ilością godnych pożądania ciał. Każda następna wydawała mi

się ładniejsza od poprzedniej; jedna była wysoka i króciutko ostrzyżona, a jej długie nogi i ręce

wystarczyłyby, aby opleść w pasie nawet najtęższego mężczyznę. Inna miała piękne, płowe włosy i była na

tylko niska, że z powodzeniem mogła przyjąć każdą pozycję, jaką tylko można sobie wyobrazić. Niektóre

kusiły obfitymi kształtami, inne nadzwyczajną smukłością. Wszystkie chichotały i przysuwały się do mnie,

otulając ściśle swymi powabami i pociągając w głąb pomieszczenia.

Ktoś zapytał jak mam na imię. - Almaryk - krzyknąłem. - Z rodziny Antero. - Usłyszałem, jak

przekazywano sobie moje imię, a w chwilę później zdałem sobie sprawę, że leżę rozciągnięty pośród
zwałów puchatych, perfumowanych poduszek, trzymając w dłoni kielich wypełniony po brzegi jakimś
mocnym trunkiem. Naga kobieta u mego boku kusiła mnie przysmakami ze srebrnej tacy. W obawie,
iż lada
moment ta cudowna iluzja pierzchnie, zmuszając mnie do opuszczenia tego raju, rozejrzałem się
dokoła,
próbując zachować dystans, jakbym nie traktował tego doświadczenia poważnie.

Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Dostrzegłem około dwudziestu starszych mężczyzn:
bogaty, na wysokich stanowiskach, śmiejących się i pochłoniętych rozmową. Podobnie jak ja,
polegiwali

na grubych, zdobionych brokatem poduszkach, w erotycznej asyście obnażonych służek Meliny.
Obszerna

komnata o półkolistym sklepieniu była dyskretnie oświetlona. Zza jedwabistych zasłon,
zakrywających

łukowate wejście po jednej stronie, dochodziły dźwięki delikatnej muzyki. Tuż obok stał masywny,
złoty

posąg Butali. Jej postać, szczuplejsza niż przedstawiało tradycyjne wyobrażenie, zachęcała raczej do
czułości. Podłogę pokrywały puszyste dywany przywiezione z zachodnich krajów. Nigdy wcześniej
nie

widziałem podobnych arcydzieł sztuki tkackiej; postacie na nich wiły się i spletały ze sobą w
najróżniejszych erotycznych pozach. Ściany zdobiły malowidła przedstawiające dzikie orgie
odbywające się

we wszelkich możliwych miejscach, od leśnych polan po gościnne komnaty bogów i bogiń. W
miedzianym

kotle dymiły kadzidełka. Zamożniejsze kurtyzany wykorzystywały gęsty, czerwony dym do rozpalania
męskiej wyobraźni. Dla mnie, owa sztuczka byłaby jedynie stratą czasu. Moja wyobraźnia zdążyła już
rozgrzać się do czerwoności. Moja opiekunka wzięła z tacy kawałek brzoskwini oblanej miodem.
Posłusznie

otworzyłem usta.

Wtedy zobaczyłem Melinę... i znieruchomiałem w tej samej chwili. Opisywałem już jej niezwykle piękno, wdzięk, inteligencję i umiejętności. Słowa te jednak należałoby uznać za zbyt ubogie, nie potrafiące właściwie nakreślić obrazu owej zmysłowej istoty, którą wówczas ujrzałem po raz pierwszy. Spoczywała na wyłożonym dywanami podwyższeniu, na niskiej, połączanej sofie w przeciwległym krańcu pomieszczenia. W przeciwieństwie do swych niewolnic miała na sobie kompletny strój: przezroczyste pantalone koloru ognioodpornych kamieni oraz bluzeczkę w tym samym odcieniu z idealnie skrojonym, równie przezroczystym kubraczkiem. Guziki, wykonane z rzadkich, drogocennych kamieni, świeciły ognistym blaskiem. Powab bosych, niewielkich stóp o pomalowanych na czerwono paznokciach podkreślały złote bransolety otaczające kostki. Szczupłe dłonie o długich, delikatnych palcach ozdobionych mieniącymi się pierścieniami były zakończone karminowymi paznokciami. Na delikatnych nadgarstkach podzwaniały kosztowne bransolety. Długie, kruczoczarne włosy spływały kaskadą aż do talii. Bawiła się ich kosmykami słuchając opasłego mężczyzny, siedzącego na podłodze tuż przy sofie. Był w średnim wieku i po stroju rozpoznałem w nim bogatego kupca. Również kilku innych mężczyzn dostąpiło zaszczytu zajęcia miejsca w pobliżu Meliny.

9

Nienawidziłem każdego samca oddychającego powietrzem tej komnaty. Widziałem wyraźnie, jak skrzętnie udają zainteresowanie rozmową. W ich śmiechu również wyczuwałem fałsz. W rzeczywistości myśli wszystkich krążyły wokół Meliny, oplatając ją niczym oślizgłymi mackami na przemian z chciwymi, pełnymi pożądania spojrzeniami. Nagie ciała ładnych niewolnic nie miały dla nich najmniejszego

znaczenia.

Ja czułem zresztą to samo. Moje oczy podświadomie podążały ku pełnym blasku, delikatnym kształtom

ukrytym pod na wpół przezroczystym materiałem, ku piersiom zwieńczonym powabnymi, różowymi sutkami i ku rudym kosmykom lśniącym między jedwabistymi udami. Nagość jej słupek potęgowała tylko

nieposkromioną żądzą, aby ujrzeć więcej i więcej.

Wtem serce podskoczyło mi do gardła. Zapomniałem o nienawiści. Melina leniwie podniosła oczy i nasze

spojrzenia spotkały się. Czułem jakby mnie ktoś grzmotnął z całej siły obuchem w głowę. Nigdy w życiu nie

widziałem takiej głębi. W jej znudzonych oczach dostrzegłem po chwili, albo też namiętnie pragnąłem

dostrzec, błysk zainteresowania. Pełne, pąsowe usta rozchyliły się nieznacznie, ukazując lśniący koniuszek

różowego języka. Zlustrowała mnie od góry do dołu. Nadszedł Leego, żeby napełnić jej puchar i

dostrzegłem, że szepnęła mu coś do ucha wskazując palcem na mnie.

Myślałem, że serce wyrwie mi się z piersi. Bogowie, cóż za przychylny gest fortuny! Po chwili jednak

opadły mnie wątpliwości. A może nagle w jakiś sposób zbrzydłem? Czy też przypadkiem jakaś wiedźma,

chowająca się na tej ohydnej klatce schodowej, nie uraczyła mnie swym parszywym zaklęciem? Lub może

nietoperz narobił mi na włosy? Instynktownie dotknąłem ręką głowy i wtedy zdałem sobie sprawę co ją we

mnie zainteresowało. Z pewnością moje włosy. W tamtych dniach, na długo przed jesienią życia, włosy

promieniowały mi jasnością niczym pochodnia czarownika. Należałem do tej nielicznej grupki mężczyzn i

kobiet w Orissie, których natura obdarzyła płomiennymi kędziorami. Aż do tej chwili były one

głównie

powodem do śmiechu dla moich przyjaciół, podobnie zresztą jak bladość mej cery, która zdradzała najmniejszy cień emocji. Poczułem głębokie upokorzenie będąc pewnym, że włosy moje, po raz kolejny, uczyniły ze mnie obiekt żartów.

Aby ukryć zażenowanie, odwróciłem się do niewolnicy i przyjąłem plasterek brzoskwini. W ustach tak mi

zaschło, że przeżuwanie przychodziło mi z trudem, nie mówiąc już o przełknięciu. Muzyka ucichła nagle, a

wraz z nią rozbawione głosy mężczyzn. Usłyszałem słodki dźwięk strun, a gdy się odwróciłem, Melina

siedziała już wyprostowana. Na jej delikatnych kolanach opierała się lutnia. Cudowne palce dotykały

leciutko strun wyczarowując z drewnianego instrumentu najwspanialszą z melodii, która bladła jednak w

porównaniu z głosem Meliny, wypełniającym pomieszczenie upojną pieśnią.

Wysłuchałem się w tęskne słowa opowieści o młodej kurtyzanie sprzedanej przez biedną rodzinę.

Dziewczyna zakochała się w przystojnym kapitanie, który musiał iść na wojnę. Obiecał, że po powrocie

poprosi ją o rękę. Doszło do straszliwej bitwy i ów zacy młodzienc poległ. Młoda kurtyzana piękniała z

dnia na dzień, a wieść o jej niezwykłych talentach rozprzestrzeniała się z siłą huraganu. Wielu mężczyzn

przychodziło do niej z bogatymi prezentami i jeszcze bogatszymi obietnicami. Oddawała im się, jak

nakazywał obowiązek, i przyjmowała podarunki, lecz nie znalazł się wśród nich ani jeden, którego

potrafiłaby pokochać. Tylko ów przystojny kapitan dotknął pewnego tajemnego miejsca; miejsca, którego

żaden inny mężczyzna nie będzie mógł już zgłębić.

Kiedy delikatne palce szarpnęły struny w ostatnim akordzie, prawie nie słyszałem głośnego aplauzu dokoła.

Łzy spływały mi po policzkach. Odczuwałem cierpienie Meliny, jej wieczną udrękę, jako że natychmiast uczyniłem z niej bohaterkę owej opowieści. Płonałem potrzebą ukojenia jej goryczy i zajęcia miejsca przystojnego kapitana, lecz uczucia moje podzielał każdy z mężczyzn znajdujących się w tym pokoju. Melina, jak już mówiłem, posiadała niezwykle umiejętności.

Każdemu z osobna posłała czarujący uśmiech podziękowania. Pochyliła się lekko w przód, jakby chciała

przemówić, i w komnacie zaległa cisza. Ona jednak uniosła pełną wdzięku rękę i boskim palcem wskazała

na Butalę. Zza zasłony obok posągu wyłoniła się stara kobieta odziana w bogato zdobioną, czerwoną suknię

z przepasaną w talii złotą szarfą ze strojnymi frędzlami. Była jedną z czarodziejek cechu nierządnic.

- Witam panowie - odezwała się głosem osobliwie młodym. - Wszyscy chwalmy Butalę.

- Wszyscy chwalmy Butalę - odpowiedzieliśmy tradycyjnym wezwaniem. - Niechaj nasze lędźwie, krzyże,

biodra będą silne, a łona naszych kobiet płodne i głębokie.

Zerknąłem przez ramię i ku swemu wielkiemu zdumieniu zobaczyłem, że Melina zniknęła. Słowa czarodziejki pozwoliły mi oprzytomnieć:

10

- Z przyjemnością mogę panom powiedzieć, że właśnie rzuciłam kości i wynika z tego, że bogowie nam

sprzyjają: dzisiejszy wieczór będzie wyjątkowy. Butalę radują zasługi i pobożność tego zgromadzenia. Dała

mi znak, że pozwoli Melinie na święty taniec, którego świadkami było do tej pory tak niewielu szczęśliwców.

- Wszyscy chwalmy Butalę - zaskandowaliśmy chórem. Głosy pozostałych mężczyzn były równie niskie i

donośne jak mój. Czarodziejka klasnęła w dłonie. Posąg Butali poruszył się wdzięcznie

rozpościerając

szeroko ramiona i odchylając głowę do tyłu. Barwny płyn wytrysnął z jej marmurowej piersi. Dwie niewolnice zbliżyły się kołysząc lśniącymi biodrami i podstawily dużą złotą misę. Po kilku chwilach czara

wypełniła się po brzegi a bliźniacze strumienie urwały się tak nagle, jak trysnęły. Kobiety chodziły między

nami oferując zawartość misy. Kiedy przyszła kolej na mnie, posłusznie schyliłem głowę i poczułem mocną,

przyjemną, piżmową woń. Napiłem się. Słodki płyn popłynął gładko wzniecając ogień w żołądku. Ciepło

rozprzestrzeniało się po całym ciele i wkrótce poczułem, jak pobudza moją krew i wyostrza zmysły.

Na kolejne klaśnięcie czarodziejki z miedzianego kociołka z kadzidłami uniosła się gęsta chmura czerwonego dymu. Poczulem zapach róż i fiołków, a moje ciało zadrżało w oczekiwaniu rychłej

przyjemności. Jedwabna zasłona rozsunała się. W ciemnej alkowie ujrzeliśmy jedynie instrumenty strunowe

oraz fujarki porzucone na podłodze przez niewidzialnych muzyków.

Stara niewiasta znów klasnęła w dłonie.

- O, piękna Butalo - zaintonowała - użycz nam muzyki równie słodkiej jak twoje łono. - Zgiętym palcem

wskazała na instrumenty i rozkazała: - Grajcie!

Siedzieliśmy w niemym zdumieniu kiedy instrumenty uniosły się z podłogi; fujarki, harfy i cymbały

kołysały się wdzięcznie zaś dwa małe, połączone bębny tańczyły po obu stronach. Niewidzialne palce

szarpały wprawnie struny. Niewielkie, wyściełane młoteczki zmuszały cymbały do wydawania z siebie

urokliwych dźwięków. Fujarki przygrywały do wtóru. Bębny miarowym ra- ta- ta- tam nadawały miłosny

rytm.

Melina wyłoniła się z mroku niczym duch gór. Po obu jej stronach zapłonęły pochodnie ożywione przez

niewidzialne ręce. Jej nagie, cudowne ciało lśniło jak czyste złoto. Widok zaskakującej doskonałości jej

gładkich kształtów trwał tak krótko, że nie mogliśmy być pewni, czy to nie wpływ świętego napoju i naszej

wyobraźni. Nagle Melinę od czubków palców aż po samą głowę pokrył obraz wijących się postaci. Stała

nieruchomo przez jedno, dwa, trzy uderzenia serca, a my widzieliśmy kopulujących mężczyzn i kobiety,

różne postacie w miłosnych grach, kobiety trzymające w objęciach inne kobiety, przystojnych chłopców

robiących ze sobą to samo, a także niesłychanie pomieszane kombinacje obu płci. Melina wykonała powolny

piruet, a jej ciało ożyło kolejnymi scenami erotycznymi.

Muzyka zmieniła się i Melina zaczęła tańczyć. Najpierw wykonywała wolne, kołyszące ruchy obracając

biodrami, splatając wdzięcznie ręce i poruszając smukłymi nogami. Stopniowo wzmogła też tempo muzyka

oraz postacie nieustannie figlujące na jej ciele. Gdy tak, wirowała potrząsając piersiami i biodrami, przyszło

mi do głowy, że jeszcze moment, a oszaleję z pożądania. Czułem, jak wokół narasta podniecenie a powietrze

gęstnieje od wzbierających chuci. Kiedy byliśmy już u krańca wytrzymałości, Melina przerwała taniec,

przyjmując pozę, która zachwyciłaby rzeźbiarza. Zniknęły obrazy i ujrzeliśmy ją w całej glorii. Karmiłem

swoje oczy jak wygłodniały człowiek, widokiem jej ust, piersi oraz gładkiego, wygolonego sromu

pomalowanego henną. Potem alkowa pociemniała. Spoglądaliśmy po sobie z zaschniętymi ustami, oczami

bolącymi w oczodołach... z jądrami jak kamienie.

- No, i jak, panowie - zabrzmiał cudowny głos - czy zadowoliliam was?

Odwrociliśmy głowy. Rozparta wygodnie na kanapie, Melina znów miała na sobie pantalone i kubraczek,

jak poprzednio. Jedyne delikatna, lśniaca warstewka potu wskazywała, że odtańczyła przed nami ten niesamowity taniec.

- Wszyscy chwalmy Butalę! - zakrzyknęliśmy chórem, a ja miałem wrażenie, że od aplauzu popękają mi w

uszech bębenki. Mężczyźni wstali z miejsc, aby wychwalać jej sztukę. Brzęk monet i stukanie

kamieni o posadzkę narastały w miarę, jak rzucano do jej stóp niezliczone dary. Leego krążył między rozpalonymi samcami uśmiechając się i poklepując ich po plecach, zmuszając do jeszcze większej hojności.

Nie mogłem się powstrzymać. Zerwałem się na równe nogi a moje dłonie samoistnie powędrowały w

poszukiwaniu jedyne podarunku, jaki mogłem dać - pełnej sakiewki złota należącej do mego ojca.

Przecisnąłem się przez tłum odpychając łokciami moich rywali, jako że siłę miałem dwukrotnie większą niż

przeciętny mężczyzna. Podniosła wzrok, gdy stanąłem przed nią. Dostrzegłem błysk zadowolenia.

11

Zmysłowe usta ułożyły się w upojny uśmiech. Rzuciłem sakiewkę na pozostałe dary. Dźwięk, jaki wydała

upadając, świadczył o jej znacznym ciężarze.

- Och... to ten mój przystojny młodzieniec o ognistych włosach - odezwała się ciepłym, przyjaznym głosem,

a zmysłowy zapach jej perfum owiał mnie wprawiając w kompletne odrętwienie. Mogłem jedynie przytaknąć.

- Almaryk Antero, czyż nie? - Nie było piękniejszej muzyki ponad dźwięk mego imienia w jej ustach.

Ukloniłem się.

- Do usług, pani - odparłem.

Roześmiała się słysząc sztywne, oficjalne pozdrowienie. Spłonilem się. Melina błysnęła białymi, idealnymi zębami.

- Och, proszę, mów do mnie Melina. Wszyscy moi przyjaciele tak mnie nazywają. To znaczy, bardzo bliscy

przyjaciele. - Jej palce dotknęły mojej ręki. Zadrzałem. - A widzę równie dobrze, jak dostrzegłby to każdy

wróżbita, młody Almaryku, że pisane nam jest zostać... bliskim przyjaciółmi.

Nie pamiętam już dokładnie, co wyjąkałem, ale zachichotała jakbym opowiedział najprzedniejszy dowcip.

- Powiedz mi - odezwała się - czy to prawdziwe twoje włosy? Czy też może jakiś niesamowity kosmetyk,

jakiego używają teraz młodzieńcy w Orissie?

- Są najzupełniej prawdziwe, zapewniam cię, pa... hm... Melino. Na mój honor.

- Może nie powinnam wierzyć ci na słowo - kokietowała mnie. - Mimo wszystko istnieją o wiele ciekawsze

sposoby, aby tego dowieść, młody Almaryku. - Błysk w jej oczach powiedział mi wyraźnie, że nie miała na

myśli moich włosów na klatce piersiowej. - Mogłabym się również dowiedzieć, czy to, co doświadczone

niewiasty mówią o rudowłosych i ich żarliwości - to prawda.

Jeśli wcześniej byłem niemową, to teraz wyrwano mi język. Tak bardzo pragnąłem ubłagać bogów, aby

pozwolili mi tego dowieść. Teraz! Zaraz! Pokażę jej prawdziwy żar mych uczuć. Nie taką oszukańczą miłość oferowaną przez te... te bestie. Zanim zdążyłem oprzytomnieć, Leego przecisnął się przez tłum.

Towarzyszył mu mężczyzna w średnim wieku, najwyraźniej znamienitego rodu. Rozpoznałem w nim jednego z najbogatszych rywali mego ojca.

- Jeśli pozwolisz, droga Melino - wtrącił Leego - przedstawię ci bardzo szczególnego człowieka, który

szczyli się, że jest twoim wielbicielem.

Mężczyzna postąpił krok w przód posyłając Melinie rozkochane spojrzenie. Zanim usłyszałem jej odpowiedź, zacząłem się wycofywać. Wiedziałem, że ten mężczyzna został wybrany, aby radować się tej

nocy wdziękami Meliny. Jego dar sprawi, że wyjdę na żebraka, jak i pozostali mężczyźni w tym pomieszczeniu. Pomyślałem, że jeśli nie umknę stąd natychmiast, to go zabiję na miejscu.

Powstrzymał mnie głos Meliny:

- Jedną chwilkę, Almaryku.

Odwróciłem się, obawiając się podnieść oczy; wiedziałem, że zdradzą moje uczucia. Nie mogłem jednak

nic na to poradzić. Musiałem jeszcze raz na nią spojrzeć. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem kolor jej oczu.

Dorównywały zielenią słynnym kamieniom z gorących lasów północy.

- O co chodzi, Melino? - zapytałem.

- Przyjdiesz jeszcze, prawda? Proszę, obiecaj mi, że przyjdiesz.

Odpowiedź moja była gorąca, niekontrolowana:

- Złożyłbym swoje życie w darze dla ciebie, piękna Melino - powiedziałem - byleby tylko móc ujrzeć cię

znowu.

Nie odpowiedziała. Gdyby uczyniła chociaż jakiś gest, jestem tego pewien, poderznąłbym sobie gardło.

Pocałowała jeden ze swych palców i dotknęła nim mej ręki.

- Będę czekać, Almaryku - szepnęła. - Mój piękny rudowłosy.

Nie pamiętam drogi powrotnej do domu. Czułem się, jakby urosły mi skrzydła.

OD TAMTEJ NOCY wykorzystywałem każdą nadarzającą się sposobność, by ujrzeć Melinę. To znaczy,

ilekroć wyłudziłem dość monet na zakup odpowiedniego prezentu. Leego wyraźnie dał mi do zrozumienia,

że nie byłbym mile widziany z pustymi rękami. Jego właśnie winiłem za ową chciwość, jego, nie moją

boską Melinę. Byłem pewny, że ona pragnęła mnie samego, a nie czegoś tak czysto materialnego jak złoto.

Cóż on mógł wiedzieć o wyższych uczuciach, które rozpalały nasze serca? Był pośrednikiem,

12

zainteresowanym jedynie zyskami, do których wedle prawa cechu nierządnic miał absolutne prawo. Ja

jednak nie miałem najmniejszych wątpliwości, że jest najbardziej chciwym przedstawicielem swej profesji.

Ze wszystkich sił, lecz jakże nieskutecznie, próbowałem uodpornić się na dzikie zmiany nastroju Meliny. W

jednej chwili wydawało mi się, że liczę się tylko ja, a już chwilę później walczyłem o prymat z pyłem pod

jej stopami. Tonąłem w powodzi upokorzeń, kosztownych prezentów, którymi wzgardzała, chłodnych spojrzeń i ostentacyjnego okazywania uczuć innym mężczyznom. Na równi z pozostałymi składałem u jej

stóp podarunki. Znosiłem jej pogardę. Tolerowałem żarty z mojej osoby i coraz bardziej wzgardliwą postawę Leego.

Wydałem wszystkie pieniądze. Potem sprzedawałem to, co posiadałem. Okłamywałem ojca i zebrałem u

niego niczym ostatni włóczęga. Kiedy mi odmawiał, pożyczałem od przyjaciół i wkrótce zaczęli unikać

mego towarzystwa. Gdy tylko jednak popadałem w desperację, Melina stawała się ciepła, rzucała mi długie,

uwodzicielskie spojrzenia, głaskała mnie i poklepywała, na nowo rozniecając ogień pożądania. Wychwalała

mnie głośno przed innymi mężczyznami albo narzekała, że czuje się znużona i obolała po pracy -

wolałem

nie dociekać, skąd brały się u niej te bóle - i błagała mnie o kojący masaż. Wielokroć służyłem jej za niewolnika, przydając jej członkom miękkości i sprężystości. Jęczała pod moimi dłońmi, zdawałoby się,

ogarnięta namiętnością. Odwracając się delikatnie, pozwalała moim palcom gładzić wrażliwe miejsca swego

ciała. A potem odsyłała mnie z obietnicami płonącymi w oczach. Powracałem więc zawsze, bogato przyodziany, gotowy, karmiąc się nadzieją, że już tym razem na pewno padnie w moje objęcia i poprosi,

abym ją zabrał daleko, na podobieństwo owego męznego kapitana z pieśni. Nie doczekałem się. Albowiem

tak, jak z każdym świtaniem Król Słońce poruszał swój rydwan, tak każde następne powitanie było równie

chłodne jak serce handlarza niewolników.

Mijały miesiące pełne upokorzeń. Zapamiętały w gorączkowym pościgu zbladłem i wychudłem. W czasie

snu nękały mnie nocne koszmary powodując, że budziłem się równie wyczerpany jak przed spoczynkiem. W

tych to dniach zacząłem miewać dziwny sen. Koszmar ów nękał mnie z narastającą częstotliwością. Nawet

teraz, gdy go wspominam, aby uwiecznić go w tym dzienniku, sen ożywa na nowo doprowadzając mnie do

roztrzęsienia dorównującego straszliwym doświadczeniom z tamtych dni.

Ale przysiągłem, że przekażę jego treść, toteż przelewam ją teraz na te karty, niepomny na ból i rany, jakie

może odnowić...

Kajdany nie pętały mych rąk i nóg, lecz kiedy przywołał mnie ruchem ręki, wstałem, jakbym był w nie

zakuty. Trzymał mnie na łańcuchu. Przeszedłem niezdarnie w poprzek łodzi, a następnie wspiąłem się na

pokryty szlamem pomost wykuty w żywym kamieniu. Wlokłem się noga za nogą. Mój skołatany umysł

krzyczał: „Walcz! Nie możesz wejść po tych schodach. Nie wolno ci.”

Gęsta woda obmywająca kadłub łodzi wydawała się ciemną, lepką substancją. Z oddali dochodził szum

wielkiej rzeki przepływającej czarnym kanionem, przez który przeprowadził nas przewoźnik. Słyszałem

ujadanie. Dochodziło z góry, z ruin przeklętego miasta na płaskowyżu i nie dobywało się z gardzieli szakali

czy wilków. Dużo wyżej, daleko poza wyżłobioną przez rzekę jaskinią, w zniszczonym amfiteatrze, pośród

kamieni rozbitych młotami bogów, w cierpliwych kręgach czekały przedziwne stworzenia. Otulone bezksiężycową nocą istoty nie przypominały niczego, co zamieszkiwało w owych czasach ziemię. W moim

umyśle zrodziło się podejrzenie, że niegdyś mogły być ludźmi. Ludźmi, którzy dobili targu z siłami ciemności.

Przewoźnik schwycił jedną z pochodni, jakie wystawały po obu stronach półokrągłego wejścia, i ponownie

skinął na mnie ręką. W blasku płomienia wyraźnie widziałem jego ramię, naprężające się pod skórą mięśnie.

Ramię powykręcane jak pień drzewa oliwnego, które z trudem wywalczyło sobie dostęp do słońca przeciskając się pomiędzy ciężkimi głazami. W tym świecie słońce nie świeciło. Wiedziałem, że deformacja

członków to skutek koła tortur i rozgrzanego do białości pręta. Odwrócił się zadowolony, że za nim podążam

i ruszył w górę po zniszczonych, kamiennych stopniach. Stopniach, wydeptanych przez wielu potykających

się, przewracających, zawodzących z bólu. Nikt jednak nigdy po nich nie schodził. Nikt, oprócz Panów, tego

człowieka i jego towarzyszy.

Wiedziałem o tym. Ale nie miałem pojęcia skąd.

Miał na sobie jedynie czarne, polatane spodnie. Na jego plecach widziałem wyraźnie ślady pejcza, stare,

zagojone i całkiem świeże. Wiedziałem, że chlubi się bliznami. Rany na moich plecach jątrzyły się, czułem

przypalanie, wstyd, walkę i dumę kiedy się nie poddawałem.

Ja również przeszedłem tortury.

13

Gdzieś na górze ktoś nas oczekiwał. Wielki bęben zawarczał głucho zagłuszając skowyt dochodzący z ruin

na płaskowyżu.

Schody się skończyły.

Weszliśmy do obszernej sali, gdzie kamienne łuki sklepienia wystrzeliwały w ciemność. Gościnną komnata

króla. Byliśmy w niej sami. Tylko on i ja. Ponownie skinął ręką. Usłyszałem dźwięk czyneli, choć może tylko

w mojej wyobraźni. Spojrzałem mu w twarz. Maska porozdzierana tysiącem grzechów, tysiącem rozkosznych

boleści. Jego nos nosił ślady niejednego złamania. Ktoś odciął mu usta i uszy. Tępy uśmiech wykrzywił

groteskową twarz, ukazując czarne, spróchniałe zęby. Jedno oko połyskiwało czernią, w miejscu drugiego

ział pusty oczodół. Coś jednak poruszało się w obrębie tego makabrycznego otworu: maleńki, czerwony,

pełgający płomyczek. Ogień, który widział więcej niż oko zerkające na mnie ponuro.

- Tak, Almaryku, moja ofiara, mój wrogu, mój przyjacielu, moja nagroda i ambicjo - odezwał się. -

Jesteśmy już prawie u celu. Tego chciałeś. Oto twój los. To, czego twój brat nie potrafił objąć. Chodź...

chodź... Tak wiele minęło czasu. On czeka.

Roześmiał się, a w ciemności jak echo odpowiadał mu przeraźliwy wizz, przechodzący powoli w ryk kogoś,

kto znajduje przyjemność jedynie w zadawaniu bólu. Wzmagał się i niósł wraz z szaleńczym ujadaniem zmor

w przeklętym mieście poniżej.

Uśmiechnąłem się i ruszyłem naprzód z rozpostartymi ramionami na powitanie ciemnego towarzysza.

Zbudziłem się drżąc i dysząc ciężko, bardziej wyczerpany niż przed zaśnięciem. Z początku obawiałem się,

że ten sen może być zwiastunem klątwy, odpłatą za moją obsesję na punkcie Meliny. Jednak żeby się z tym

zgodzić, musiałbym najpierw przeprowadzić konfrontację z samym sobą i ujrzeć daremność moich uczynków. A więc za każdym razem, gdy koszmar powracał, przepędzałem go z umysłu i ponownie oddawałem się zdobywaniu pieniędzy lub prezentów dla Meliny.

W końcu nadszedł dzień zapłaty. Opuszczony przez przyjaciół, wzgardzony przez wrogów, z groźbą wydziedziczenia zawisłą nad głową niczym katowski topór, usiadłem w swoim pokoju oceniając mało

wartościowe przedmioty, których nie zdążyłem jeszcze sprzedać. Tego wieczoru miałem spotkać się z

Meliną. Jedna z jej niewolnic przyniosła mi zaproszenie z jednym zdaniem skreślonym ukochaną dłonią:

Przybądź wcześniej, mój kochany, byśmy mogli skraść dla siebie kilka drogocennych chwil i spędzić je

razem. Nadzieja zapłonęła w mych piersiach i jądrach, lecz wnet zdałem sobie sprawę, że nie mam już nic

do spieniężenia czy zamiany na podarunek. W jednej chwili zapragnąłem popędzić ku rzece i rzucić się w

objęcia demona wody.

Poważnie zastanawiałem się nad zabraniem złota ze skarbca mego ojca. W chwilę później osłupiałem

uświadamiając sobie, że podobna myśl przyszła mi w ogóle do głowy. Okradać własnego ojca? Jakiż demon

cię opętał, Almaryku? Jak mogłeś pozwolić, by sprawy przybrały taki obrót? Trzeba położyć temu kres.

Musisz wreszcie z tym skończyć. A jeśli okradnę człowieka, któremu zawdzięczam życie, odwdzięczając

mu się w ten sposób za jego szczodroblivość i wyrozumiałość, a ona po raz kolejny mnie odrzuci? Nie!

Tego mógłbym nie wytrzymać.

Ale ja muszę ją mieć, pomyślałem, sprawić, by stała się moja. ...Ale jak? Nikczemny plan zrodził się w

głowie szybko. Obrzydzeniem napawała mnie sama myśl o nim, więc odrzuciłem ją i padłem na łóżko

ukrywając, twarz przed światłem dnia wpełzającym przez otwarty balkon.

Na zewnątrz zacwierał ptak i mógłbym przysiąc, że wołał: Melina... Melina... Melina. Ów nikczemny

pomysł ponownie zakradł się do mego umysłu. Gdyby mi się tylko udało pożyczyć dość pieniędzy.

Wiedziałem o podejrzanych miejscach w Orissie, gdzie, jak powiadano, można było nabyć różne eliksiry i

zaklęcia, gdzie nie zadawano żadnych pytań i nie wymagano zgody maga. Kupiłbym zaklęcie miłości.

Na szczęście zdawałem sobie sprawę, że taki postępek byłby nie tylko zły, ale i nielegalny. Wiedziałem

doskonale, że podawanie kurtyzanie napoju miłości było surowo wzbronione. Cały system cechu nierządnic

mógłby obrócić się w gruzy szydząc ze świętości Butali. Kary ustanowione przez Radę Magów zaczynały się

od wyrzucenia z kraju, a kończyły na rzeczach, o których boję się nawet myśleć. Pomyśl o cieniu, jaki i tak

rzuciłeś już na twą rodzinę za rozgniewanie magów. Pomyśl o okropnym rozczarowaniu, jakiego doznałby

twój ojciec, mówiłem sobie.

Próbowałem. Naprawdę się starałem. Ale mogłem myśleć jedynie o ustach Meliny, o jej piersiach i udach,

które tak długo nie stawały się udziałem mej rozkoszy. Ów pożar myśli został jeszcze spotęgowany

ślubowaniem, jakie złożyłem sobie po naszym pierwszym spotkaniu. Od tamtej pory nie kochałem się z

żadną inną kobietą.

14

Pożądanie zwyciężyło. Ryzykując życiem i honorem rodziny, wybiegłem z domu, aby urzeczywistnić swój

plan.

ROZDZIAŁ DRUGI

Janosz Szary Płaszcz

Na długo przed zapadnięciem zmierzchu przechadzałem się gorączkowo tam i z powrotem przed drzwiami

Meliny. W kieszeni spoczywał flakonik z eliksirem miłości, jaki udało mi się zdobyć na czarnym rynku.

Nieustannie myślałem o zagwarantowanej skuteczności owego magicznego napoju. Czekałem na zapadnięcie zmroku... i na odwagę. Nad kamienicą pojawił się cienki rogal księżycy, kiedy ujrzałem, jak

Leego wychodzi z budynku pogwizdując wesołą melodię. Wiedziałem, że teraz na kilka godzin zaszyje się

w swej ulubionej tawernie. Pokonawszy migiem schody pociągnąłem za łańcuch dzwonka i chwilę później

służąca poprowadziła mnie do komnaty sypialnej Meliny.

- Oto twój rudowłosy niewolnik, piękna Melino - zaintonowałem melodyjnie czując, że serce chce mi wyskoczyć z piersi.

- Och, mój drogi, kochany Almaryku - odezwała się wyraźnie rozpromieniona. Przyszło mi do głowy,

że

może postąpiłem głupio, starając się w ogóle o ten eliksir. - Tak się nudziłam - wyznała przeciągając się na

obszernym łożu, którego rozmiary zaplanowano chyba na cały legion wojska. - Zbiera mi się na wymioty na

myśl o starych, brzuchatych mężczyznach z kościstymi, chudymi nogami.

Przypadłem do jej boku. Miała na sobie tylko niedbale narzucony krótki szlafroczek z szorstkiego materiału. Dopiero co wyszła z kąpieli i wyglądała jak niewinna wieśniaczka. Gdy uniosła głowę, aby oprzeć

ją na moim ramieniu, szlafroczek rozsunął się. Na mgnienie oka ujrzałem jędrną pierś o różowej brodawce,

a kiedy leniwie naciągnęła okrycie, oczom moim ukazała się upojna delikatność ukryta między udami, raj,

którego pragnąłem tak bardzo, że byłem w stanie ryzykować własnym życiem.

- A zatem pozwól, bym uwolnił cię od tego wszystkiego, kochana Melino - powiedziałem nadając słowom

ton udanej rubaszości.

- Uczyniłbyś mnie swą żoną? - zapytała. W jej głosie wyczułem nutę szyderstwa.

Spoważniałem.

- Zrobiłbym wszystko, by tak się stało - odparłem zapalczywie.

- Nie sądzę, byś zaakceptował kurtyzanę jako matkę swoich dzieci - roześmiała się.

- Zatem mnie nie znasz, Melino - odpowiedziałem. - Kocham cię bardziej, niż jakikolwiek mężczyzna ma

prawo kochać. Obawiam się zazdrości bogów, gdy zdadzą sobie sprawę, jak wielkie są me uczucia względem ciebie.

Melina westchnęła.

- Jesteś bardzo słodki i bardzo uprzejmy - rzekła. - Lecz pewnego dnia oprzytomniejesz i znajdziesz sobie

jakąs kobietę przynależną do twojej klasy.

- Nigdy - zaperzyłem się całą mocą młodzieńczego wigoru.

- Poza tym - kontynuowała Melina - jesteś zbyt młody, aby sobie na mnie pozwolić. A teraz nie zaprzeczaj,

bo przecież wiesz, że to, co mówię, jest prawdą. - Poklepała mnie po ręce. - Proszę, nie psuj tych kilku

godzin, które mamy dla siebie. Tak bardzo bolą mnie plecy i potrzebuję twych silnych, młodych dłoni, aby

ukoić znużenie. - Melina mrugnęła do mnie uwodzicielsko. - A potem... jeśli starczy czasu... Kto wie?

Możliwie, że właśnie tej nocy przekonam się, czy rzeczywiście jesteś rudowłosa.

Serce podeszło mi do gardła. Pomimo tego drażnienia, a właściwie dzięki niemu po raz pierwszy

zrozumiałem, że ta noc nigdy nie nadejdzie. Teraz wiem, że ją istotnie zaintrygowałem, a może nawet żywo

zaciekawilem. Ciekawość to potężny afrodyzjak i Melina szczerze zastanawiała się nad egzotycznym

kolorem moich włosów. Wiem również, że ekscytował ją sam fakt posiadania tak młodego mężczyzny,

dobrowolnego niewolnika, gotowego spełnić najmniejszy jej kaprys, seksualny czy też jakikolwiek inny.

15

Lecz sytuacja ta nigdy nie miała się zmienić. Odwrotnie. Wycisnęłaby ze mnie wszystko, co posiadam,

łącznie z honorem, a potem odrzuciła jak niepotrzebną zabawkę.

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Mam dla ciebie mały podarunek - powiedziałem.

Melina zapiszczała.

- Och, wspaniale! Mam nadzieję, że jest naprawdę niezwykły! Proszę, proszę. Chciałabym go ujrzeć.

Wyjąłem z kieszeni buteleczkę. Na jej twarzy odmalowało się ogromne rozczarowanie.

- Co to jest?

- Och, nic takiego. To tylko odrobina starego koniaku z piwnicy mojego ojca. Pomyślałem, że najpierw

moglibyśmy go spróbować... a potem pokażę ci mój podarunek. To niezwykła rzadkość... obiecuję.

Melina, wyraźnie podekscytowana zachowywała się jak mała dziewczynka. Usiadła wyprostowana na

łożku, tak niedbale krzyżując nogi, że niemal straciłem nad sobą panowanie. Przyniosłem dwa kielichy i

napelniłem je. Melina wzięła jeden i uniosła do nosa. Nozdrza jej poruszyły się wdzięcznie.

- Mmmmm. Wspaniałe - przyznała. Opróżniła zawartość jednym łykiem. Następnie oparła się na

poduszkach rozłożywszy szeroko swe cudowne nogi, niby przypadkiem. - A teraz - zażądała - pokaż mi

prezent.

- Chcesz jeszcze trochę? - zapytałem.

- Nie. Już wystarczy. Nie ma nic bardziej obrzydliwego, niż kurtyzana uzależniona od mocnych trunków.

- Jak się czujesz? - zapytałem zaniepokojony.

- Dobrze. Dlaczego pytasz? - Jej głos stał się ostry i poirytowany.

- Och ... tak sobie. - Co, w imię bogów, poszło nie tak? - myślałem gorączkowo. Czyżby ta wiedźma oszukała mnie? Wtedy przypomniałem sobie, że należało wypowiedzieć pewną formułę, lecz w tym całym

podekscytowaniu jej słowa uleciały mi z pamięci.

- No? Gdzie jest ten prezent, który mi obiecałeś? - nalegała Melina.

Powróciła mi pamięć.

- Moje serce jest twym sercem - zaintonowałem naśladując głęboki głos maga. - Mój obraz wypełnia twe

oczy. W najciemniejszą noc jam jest tą świecą, która rozświetli twe łono.

Melina spochmurniała.

- Cóż to za paplanina? Jakiś marny, głupi wierszyk z tawerny?

Zanim zdążyłem wymyślić jakąś odpowiedź, Melina wydała z siebie głębokie westchnienie. Jej piękne,

zielone oczy wpatrywały się teraz we mnie. Rozszerzone źrenice sprawiały wrażenie, jakby coś nimi zawładnęło. Przesunęła językiem po ustach.

- Butalo, chwalmy twe imię - jęknęła. - Almaryku, jesteś taki przystojny i tak młody, że łamiesz moje serce.

Jestem pewna, że potrafisz zadowolić kobietę niczym najwspanialszy ogier.

- Och... no cóż... - starałem się by moja odpowiedź zabrzmiała niezwykle elokwentnie.

- O, na bogów... weź mnie teraz! Weź! - zażądała. Odrzuciła szlafrok i padła mi w objęcia szarpiąc ubranie

długimi paznokciami. - Uczynię wszystko, żeby cię zadowolić - jęczała. - Weź mnie. Tak jak chcesz. Mój

najsłodszy kochanku, mój przystojny, rudowłosy Almaryku!

Namiętność zawładnęła mną bez reszty, tak jakbym i ja wypił napój miłosny. Zdarłem z siebie szaty i rzuciłem beładnie na podłogę. Jakiś wątyły głos w duszy próbował mnie zawstydzić, lecz kogut nie ma

honoru, więc odpędziłem owego doradcę niczym brzęczącego nad uchem komara. Melina położyła się na

plecach a rumieńce pożądania wystąpiły na jej twarz, gdy prężąc smukłą szyję, lubieżnie rozwarła nogi i

wygolone łono, jaskinię przyjemności, zaklinając, abym ją zgłębił.

- Och, szybko... szybko, proszę - jęczała głucho poruszając biodrami w całkowitym zapamiętaniu.

Rzuciłem się na nią niczym zwycięski wojownik, chwytając za delikatne, białe pośladki, a następnie zanurzając się w gorącej, jedwabistej głębi, o której od tak dawna marzyłem. Wyobrażając sobie, że jestem

owym ogierem wycofałem się, aby wejść w nią ponownie z jeszcze większą siłą. Wtem za sobą usłyszałem

ryk wściekłości.

- Złaż z niej, ty jaszczurczy synu!

Jakieś ręce zacisnęły mi się na gardle i w chwilę później zostałem brutalnie wypędzony sprzed bram raju i

rzucony pod ścianę. Mimo że nadal władały mną nieposkromione żądze, zaprawa gimnastyczna bardzo mi

się przydała. Zdążyłem bowiem obrócić się uderzając o podłogę i skoczyłem na równe nogi. Stałem tak

16

dyszac ciężko w bezwstydnym nagości a czerwień moich włosów łonowych odpowiedziała Melinie na

nurtujące ją od dawna pytanie, choć nie odbyło się to w takich okolicznościach, o jakich marzyłem.

- Nie rób mu nic złego, Leego - błagała Melina. Stręczyciel stał nieruchomo z rozwartymi ustami, widocznymi wyraźnie mimo pajęczej maski. W ręku trzymał sztylet.

- Tak bardzo go kocham - ciągnęła Melina. - Nie pozwól mu odejść. Muszę być z nim, na zawsze.

W odpowiedzi Leego wrzasnął z całych sił. Natychmiast usłyszałem odgłos wielu kroków zmierzających do

komnaty sypialnej. Podeszedł do mnie, lecz nie obawiałem się go. Byłem wystarczająco silny, by zmusić go

do połknięcia tego sztyletu. Znajdowałem się jednak w fatalnym położeniu - wróg, który wkroczył na terytorium nieprzyjaciela i nękał kobietę, do której nie miał najmniejszego prawa. Nie miałem innego

wyjścia. Błyskawicznym ruchem schwyciłem ubranie i miecz leżący w pochwie na podłodze i podbiegłem

do okna.

Dałem nura głową w dół, słysząc za sobą grzmiący głos Leego:

- Zapłacisz mi za to, Almaryku Antero! Zapłacisz!

Szybując w powietrzu poczułem nagły strach. Znajdowałem się przynajmniej sześćdziesiąt stóp nad twardą,

nierówną ziemią. W samą porę zdążyłem złapać się za wystającą rurę kanalizacyjną. Siła pędu

sprawiała, że

zatoczyłem duży łuk ciałem i grzotnąłem o ścianę kamienicy. Jakiś niepojęty instynkt nakazał mi nie wypuszczać z rąk ubrania. Za wszelką cenę próbowałem trzymać się rury tylko jedną ręką. Opanowałem się,

przerzuciłem sobie szaty i miecz przez gołe ramię, złapałem oburącz mocno za rurę i ześliznąłem się na

ziemię. Pamiętałem jeszcze, aby w ostatniej chwili odskoczyć, dzięki czemu wylądowałem kilka cali od

miejsca, gdzie rura znajdowała ujście w głębokim dole. Z wnętrza kamienicy dochodził odgłos szybkich

kroków ludzi zbiegających po schodach. Nagle z mroku wyłonił się duży jaszczur. Kopnąłem go, a on

zasyczał gniewnie. Najprawdopodobniej pomylił moją nagą postać z dziwnym okazem dwunogiego

wieprzka. Dałem nura w ciemność nocy. Niebawem nawoływania i odgłosy pościgu ucichły zupełnie.

WSZEDŁEM BOSO do tawerny wsuwając miecz za pas. Myśli kłębiły mi się pod czaszką, miałem poczucie

winy i czułem się zdezorientowany. Musiałem się szybko pozbierać, zanim powrócę do domu jako szelma i

łajdak, jakim się okazałem. Prawie nie zwróciłem uwagi na kilka podejrzanych typów, których oczy

zaświeciły się na mój widok. Zauważyłem żołnierzy odzianych w nienaganne mundury, kołyszących się na

krzesłach. Nieduży mężczyzna o szczurzej twarzy spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Wina, dobry człowieku! - krzyknąłem. - Tylko bez wody. Albo nie, niech będzie coś mocniejszego.

- Pokaż pierwej monetę, młodzieńcze - odburknął karczmarz. - Nie dam się oszukać przez jakiegoś nieopierzonego paniczyka.

Niecierpliwie sięgnąłem do kieszeni, po czym zdałem sobie sprawę, że nie mam sakiewki. Barman pokiwał

wymownie głową i sięgnął ręką po pałkę znajdującą się pod ladą. Oderwałem guzik od mej kurtki. Był

wykonany z polerowanej kości pochodzącej z jakiegoś odległego portu, a jego wartość z powodzeniem

pozwoiłaby mi stać się współwłaścicielem tej tawerny.

- Weź to - powiedziałem.

Wyczułem w pobliżu czyjąś obecność. Obróciwszy się ujrzałem jednego z żołnierzy, setnika, jak zdążyłem

się zorientować. Starszy mężczyzna o pocziwej twarzy sprawiał wrażenie zatroskanego.

- Nie zechciałbyś dołączyć do naszej kompanii i wypić z nami, panie? - zapytał. - W takim miejscu dobrze

jest mieć towarzystwo. - Wskazał na siedzących po kątach tawerny obwiesiów.

- Wdzięczny ci jestem - odpowiedziałem - ale potrzebuję odrobiny samotności. Mam... pewne kłopoty, z

którymi muszę się uporać.

Spojrzał na moje zniszczone ubranie, domyślając się natury owych kłopotów.

- Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało - westchnął.

- Jestem z tego dumny, setniku - zapewniłem i skinąłem na karczmarza. - Stawiam kolejkę tym zacnym ludziom - powiedziałem głośno. - Weź z tego co ci dałem. - Poczulem pod gołymi stopami szorstkie deski. -

A jak już mówimy o zapłacie - ciągnąłem - to chętnie kupiłbym jakieś buty.

Szynkarz wyraźnie zmarnotniał. Miał nadzieję, że zatrzyma dla siebie lwią część wartości guzika.

- Załatw mu jakieś buty - mruknął setnik. - A jak się dowiem, że robiłeś jakieś trudności temu

młodzieńcowi, to pogadam z tobą inaczej. - Karczmarz zaklął pod nosem, lecz poszedł po buty.

- Jesteś pewny, miły panie - odezwał się setnik - że nie zechcesz zaszczyścić nas swym towarzystwem?

17

- Jeszcze raz dziękuję - odparłem - ale nie. Koniak i siła moich myśli to lekarstwa, jakich potrzebuję bardziej niż czego innego.

Setnik dołączył do swych kompanów. Schwyciłem kielich i wypiłem do dna. Skinąłem na karczmarza, by

napełnił go ponownie, i obwiązałem sobie nogi kawałkami skóry, jakie przyniósł mi Szczurza Twarz.

Następnie wróciłem do swojego trunku wpatrując się w głębię kielicha i kontemplując grzechy

dwudziestolatka. Odnalazłem ich całe krocie, z kupnem miłosnego eliksiru włącznie. Oszukałem Melinę,

zmuszając ją do upragnionego przeze mnie zachowywania. Oczami wyobraźni zobaczyłem jej nagie ciało

wijące się w spazmach namiętności i pożądania. Obraz nie stanowił już dla mnie podniety lecz napawał

wstydem i hańbą. Nadszedł ten szczególny moment, który choć raz pojawia się w życiu każdego rozumnego

człowieka. Spojrzałem na rzecz z zupełnie innej perspektywy. Pozwalałem się oszukiwać. Stoczyłem się

niemal do rynsztoka będąc takim samym przedmiotem oszustwa jak ci, których handlarze naciągnęli na

rynkach. Umyślnie nie używam tu słowa ofiara, ponieważ - podobnie jak w przypadku ofiar bazarowych

szwindli - to moja pożądliwość zawiodła mnie do tego miejsca. To ja sam, Almaryk Emilie Antero, byłem

mimowolnym sprawcą owych niegodziwości akceptując Melinę i Leego z bezkrytycznym entuzjazmem.

Nikt nie rzucił na mnie czaru. To ja napiłem Melinę nikczemnym eliksirem. To ja bezgranicznie jej

pożądałem i gotów byłem zapłacić każdą cenę - szacunek przyjaciół czy miłość rodziny. Zrobiłem z siebie

skończonego głupca.

Wicher zaklekotał luźnymi deskami tawerny i poczułem się jakbym był w domu, przed ołtarzem dawno

nieżyjącego brata. Co więcej, poczułem, że jego duch nawiedził teraz to plugawe miejsce. Halab, złote

dziecko, klejnot rodziny. Smutny los, jaki spotkał go z rąk magów nieprzerwanie rzuca cię na nazwisko

Antero. Co prawda jedyne moje wspomnienia sprowadzają się do uczuć trzylatka olśnionego sławą dorosłego brata- bohatera. Zdawało mi się, że widzę jego bladą twarz w drzwiach tawerny. Halab uśmiechał

się. Podniósł kciuk zachęcając mnie do ruszenia się z miejsca. Obraz znikł, lecz poczułem, że odzyskałem

część poczucia własnej wartości, chociaż niewielką. Nasionko, które należało zacząć pielęgnować. Postanowiłem odkupić swoje grzechy. Zmienię postępowanie rozpoczynając od wyruszenia w długo odkładaną pierwszą kupiecką ekspedycję. „Znalezienie swego pasatu” - jak nazywała to tradycja. Mój ojciec

z rosnącym niepokojem ponaglał mnie, bym w końcu zaczął wypełniać synowskie obowiązki, lecz ja nieodmiennie sprzeciwiałem się temu wspaniałemu człowiekowi.

Drzwi otwarły się z hukiem i do tawerny weszło trzech potężnie zbudowanych mężczyzn. Spoglądali hardo

i zawadiacko, co wprawiło w podenerwowanie pozostałych łajdaków okupujących karczemne stoły. Jeden

spojrzał na mnie, po czym szepnął coś swym kompanom. Zamówili trunki i usiedli w kącie. Powróciłem do

moich rozmyślań.

Byłem najmłodszym synem z pierwszego i jedyne małżeństwa mego ojca. Moi bracia i siostry liczyli

sobie trzydzieści, czterdzieści wiosen, więc nie dziwił fakt, że miałem do samowoli i uporu; zepsuty do

szpiku kości, kwestionujący wszystko dla zasady - tak przynajmniej twierdzili moi zagorzali krytycy. Mój

niewolnik, Eanes, powiadał, że upór i temperament dorównywał u mnie kolorem czerwonej czuprynie.

Byłem błyskotliwym, lecz leniwym uczniem. Na nic zdał się fakt, iż mój nauczyciel, który najdłużej znosił

wszelkie moje figle, okazał się pedagogiem korzystającym z niezasłużonej reputacji. Nie tylko był nudny,

lecz często popełniał karygodne błędy. Aby walczyć z ogarniającym mnie znudzeniem, wyzywałem go na

intelektualne pojedynki, ilekroć tylko nadarzała się okazja. Podczas nauki anatomii na przykład próbował mi

wbić do głowy, że ciało mężczyzny jest strukturą nieporównywalnie bardziej złożoną niż ciało kobiety.

Bez pardonowo wyszydziłem te brednie. Moja siostra, Rali, dorównywała pod względem tężyzny fizycznej

większości mężczyzn w Orissie.

- Ale to zupełnie co innego, młody panie - ripostował.

- Dlaczego co innego? - pytałem. - Rali jest kobietą. Wielu twierdzi, że piękną kobietą. Jest również wielką

wojowniczką, która skróciłaby cię o głowę jednym cięciem miecza. - Dla lepszego zobrazowania mych słów

ciąłem powietrze wyimaginowanym ostrzem.

- Jeden wyjątek nie podważa reguły, młody panie - upierał się nauczyciel stopniowo tracąc cierpliwość.

- Moja siostra nie stanowi wyjątku - nie ustępowałem. - Jest tylko jedną z całego regimentu kobiet, bohaterek Orissy. Jak to wytłumaczysz?

Nauczyciel zachnął się i grzotnął pięścią w opasły podręcznik anatomii.

- Fakty pozostają faktami - krzyknął. - Powszechnie wiadomo, że ciało kobiety ustępuje ciału mężczyzny.

Spójrzmy na uzębienie kobiet.

18

- Co jest nie tak z ich zębami?

- Kobiety mają mniej zębów niż mężczyźni. - Otworzył księgę, aby pokazać mi stronę z odpowiednim

opisem. - Widzisz ... mężczyźni mają trzydzieści dwa zęby; kobiety nigdy nie więcej niż dwadzieścia osiem.

Dostrzegłem przechodzącą właśnie młodą służkę.

- Zaraz się przekonamy - odezwałem się obejmując jej wiotką kibić. Miłymi słówkami i obietnicą kilku

monet skłoniłem ją do wejścia do pokoju, a następnie przekonałem, by otworzyła usta. Doliczyłem się nie

mniej i nie więcej niż trzydzieści dwa zęby. Dokładnie tak samo jak u mężczyzy. Wzburzony nauczyciel

wybiegł z pokoju nie chcąc się przyznać do pomyłki. Resztę dnia spędziłem z przyjaciółmi w gimnazjum,

miejscu, do którego wymykałem się często, w miarę jak doskonaliłem się w irytowaniu mego nauczyciela i

jego następców.

Gdy tak siedziałem spoglądając posepnie na kielich, zdałem sobie sprawę, że ojciec zapewnił mi odpowiednie wykształcenie. Mógł przecież karać mnie po skargach nauczycieli. On jednak niezmiennie

zachęcał mnie do kwestionowania konwencjonalnych mądrości, do poszukiwania prawdy na podstawie

osobistych obserwacji. Był to dar, dar pozwalania mi na własne myśli i opinie. Łzy wstydu napłynęły mi do

oczu. Opanowałem się i pociągnąłem z kielicha. Nadszedł czas, pomyślałem, aby odłożyć na bok dziecinne

zachowanie i dać ojcu powód do dumy. Potrzebował mnie, by podołać ciężarom kupieckiej profesji. Po

każdej podróży wracał śmiertelnie wyczerpany, jako że dopilnowanie wszystkich spraw wymagało siły

tytana. Z biegiem lat coraz dłużej dochodził do siebie. Moi starsi bracia nie kwapili się z pomocą. Byli to

sztywne, oficjalne osobniki, którzy bardziej sprawdzali się w zarządzaniu farmami czy w prowadzeniu ksiąg

rachunkowych. Nie mieli zbyt wielu przymiotów potrzebnych dobremu kupcowi. Nieufnie odnosili się do

najmniejszego nawet ryzyka i nie znosili nietuzinkowych ludzi i niewyjaśnionych sytuacji.

Stanowili moje dokładne przeciwieństwo, jako że mnie zawsze pociągały tajemnice doków w Orissie, gdzie

słyszało się tyle dziwnych języków i widziało takie bogactwo strojów ludzi tłoczących się przy rozładunku

statków. Do tych kilku dziedzin wiedzy, którymi żywo się interesowałem, należała geografia. Stare mapy i

opowieści o śmiałych odkryciach napawały mnie dreszczem emocji, aż osiągnąłem taki wiek, że przyznanie

się do podobnych odczuć byłoby uważane za dziecinadę. Zaakceptowałem nawet wizję ówczesnego świata

przedstawioną przez mego nauczyciela, chociaż była rażąco konwencjonalna, a ja zdążyłem już wyrobić w

sobie zdrową nieufność do wszystkiego, co pachniało konwencjonalizmem. Ziemia ma kształt wielkiego

czarnego jaja, mawiał. Słońce, dające nam światło i ogień, zostało wprowadzone w ruch przez bogów, którzy

zrobili to dla naszego pożytku. Tylko znane lądy i morze, które je rozdziela, dostały daru owego światła.

Wszystko poza nimi jest ogromną ciemnością rządzoną przez zazdrosnych magów, którzy uknuli spisek

mający na celu przejęcie władzy nad ludźmi i wygaszenie słońca, co pogrążyłoby nas w zimnym mroku i

pozostawiło na łasce i niełasce obcych bogów. Nauczyciel twierdził, że niegdyś światło docierało wszędzie,

a nasi przodkowie posiadali niezmierną wiedzę o magii, lecz w miarę upływu czasu zgnuśniali i nabrali

dekadenckiego podejścia do życia, tracąc szacunek tradycji, rodziny, miasta i magów. Aż w końcu, gdy

nadszedł dzień, w którym zagrozili im władcy ciemności, byli zupełnie nie przygotowani na odparcie ataku.

Jednak nasi bogowie ulitowali się i postanowili oszczędzić fragment świata od całkowitego zalewu przez

barbarzyństwo. Po wielu latach odzyskaliśmy część naszej ogromnej wiedzy. Wiatr ponownie wypełnił

żagle naszych statków, odpychając ciemności każdym, pomyślnym Odkryciem. Nauczyciel twierdził jednak,

że nasza przyszłość ma swój kres. I że prawie dotarliśmy do tej granicy.

Szczególnie zainteresowała mnie jedna opowieść, a raczej baśń. Była to legenda o Odległych Królestwach -

miejscu, w którym żyli potomkowie naszych Praojców, miejscu, gdzie pośród mrocznej dziczy rządzonej

przez wrogich czarnoksiężników nadal świeciło słońce. Mówiono, że dobroć i mądrość książąt i magów

Odległych Królestw przechodzi wszelkie wyobrażenie. Było to miejsce, gdzie wino i pieśń zawsze miały

słodki smak, sakiewka pękała w szwach od złota, a serca mieszkańców były spokojnie i harmonijnie. Gdyby

tylko udało nam się do nich dołączyć, mówiła dalej opowieść, nasi wrogowie zostaliby raz na zawsze

zmieceni z powierzchni ziemi, a świat ponownie zajaśniałby wiecznym blaskiem. Ta fascynująca opowieść

wywarła na mnie ogromne wrażenie. Odłożyłem ją jednak na bok wraz z zabawkami z dzieciństwa, kiedy

osiągnąłem wiek, aby zawiesić u boku miecz i przekonać samego siebie, że jestem dorosłym mężczyzną.

Roześmiałem się gorzko, zastanawiając się nad tym ostatnim stwierdzeniem, i ponownie poprzysiąłem

sobie zmienić postępowanie. Na przypieczętowanie układu opróżniłem kielich przedniego trunku.

Odwróciłem się chcąc zamówić następny i zauważyłem z lekkim niepokojem, że atmosfera w

tawernie

uległa radykalnej zmianie. Zniknęli żołnierze i przesiadujący tam od długiego czasu obwiesie. Pozostało

19

jedynie tych kilku osiłków, którzy weszli do karczmy później. Otwarcie gapili się na mnie, naradzając się

między sobą i szturchając się wymownie łokciami. Ze zdziwieniem odkryłem, że karczmarz również gdzieś

się ulotnił. Zacząłem odnosić coraz silniejsze wrażenie, że coś się wydarzy, szczególnie jeśli pozostanę, na

miejscu, kusząc los. Wstałem nonszalancko i skierowałem się ku drzwiom, udając że zupełnie nie zwracam

na nich uwagi. Gdyby ruszyli za mną, pomyślałem, przynajmniej na zewnątrz będzie więcej miejsca do

walki.

To nie czcze przechwałki; w owych dniach naprawdę byłem wytrawnym szermierzem i chociaż nie zaliczałem się do grona mistrzów w Orissie, moje umiejętności sprawiłyby poważne kłopoty nawet tym

najlepszym. Walczyłem już dwukrotnie, zadając jako pierwszy krwawe cięcia. Potrafiłem również szybko

przebierać nogami po tych wszystkich latach ćwiczeń, kiedy umykałem nauczycielom na arenę. Gdyby

zaszła taka konieczność, byłem gotów wziąć nogi za pas i pomknąć niczym demon wiatru pokazując moim

oprawcom jedynie migające w pośpiechu podeszwy.

Wychodząc usłyszałem zgrzyt odsuwanych stołków. Zanim zdążyłem przyśpieszyć kroku, z ciemności nocy

wynurzyły się dwie potężne postacie. Sięgnąłem pośpiesznie po miecz i wtedy dostrzegłem czarnego pajaka

na twarzy jednego z nich. Leego! Za mną, trzech oprychów z tawerny zamknęło pułapkę. Pomyślałem o

ostrzu miecza i zapragnąłem nauczyć ich szacunku dla innych. Niestety, ozdobna pochwa zaczęła się o

jeden z guzików i moja jedyna broń upadła z brzękiem na ziemię. Stałem z głupawym uśmiechem zastygłym

na twarzy, z wyciągniętą ręką zaciśniętą w pięść. Poczułem na gardle uścisk czyjejś ręki i kopnąłem do tyłu,

po czym usłyszałem wrzask bólu. W tej samej chwili silne ręce chwyciły mnie w żelazny uścisk a Leego

podszedł błyskawicznie i wymierzył mi cios w brzuch. Wyćwiczone mięśnie brzucha sprężyste przyjęły

uderzenie. Leego zasapał ciężko, a ja zorientowałem się, że jego zabolalo bardziej.

Jego cierpienie nie sprawiło mi satysfakcji, ponieważ w chwilę później przyłożył mi nóż do gardła.

- Nie wygłupiaj się, Leego - wycharczałem. - Jeśli mnie dzisiaj zabijesz, staniesz się pierwszym kandydatem

na przyszłoroczne Całowanie Kamieni. - Miałem na myśli wiosenny rytuał, podczas którego magowie miażdżyli ofiarę między olbrzymimi głazami. W tym dorocznym obdarowywaniu bogów przestępcy mają

zdecydowane pierwszeństwo.

Leego roześmiał się ziejąc cuchnącym oddechem.

- W tym miejscu znikąd nie doczekasz się pomocy, młody panie - wysapał. - Żadnych świadków, nikogo kto

powie co postanowiłem zrobić z twoim bezwartościowym życiem. - Przycisnął ostrze mocniej. Poczułem

bolesne ukłucie, a następnie strużkę krwi znaczącą moją szyję purpurą. - Z drugiej strony - ciągnął - twoja

reputacja jest dla mnie wystarczającą ochroną. Wszyscy wiedzą, że często nawiedzasz mroczną dzielnicę

miasta. Znają twe dzikie zwyczaje, ekstrawagancką rozrzutność i niehonorowe długi. Jeśli poderżnę ci

gardło, ludzie będą podejrzewać rozbójników. Albo okpionych wierzycieli. Nie, mój przyjacielu, w

tym

miejscu twoje pochodzenie, przynależność do wyższej klasy, nie ma najmniejszego znaczenia. Tutaj niewielu się zainteresuje, kiedy twoje flaki obejrzą poranne słońce.

Roześmiał się znowu i rąbnął mnie w twarz. Raz, drugi, potem jeszcze raz. Twarde, piekące uderzenia nie

wyrządziły mi specjalnej krzywdy, lecz wiedziałem, że kumuluje w sobie szaleństwo, któremu da upust już

wkrótce. Tuż za nim, u wylotu ciemnej alejki, dostrzegłem potężną postać rzucającą ponury cień na ścianę

budynku. Jeden z osiłków Leego, pomyślałem, zrobił sobie przerwę na opróżnienie pęcherza zanim dołączy

do ogólnej zabawy. - Jeszcze cię nie uśmierciłem, młody panie - kontynuował Leego - ponieważ jestem

rozdarty między zemstą a chęcią zysku. To, co uczyniłeś Melinie, kosztowało mnie sporo pękatek sakiewek. Muszę odesłać ją daleko. I wydać fortunę, aby wyleczyć ją ze skutków tego eliksiru.

- Sram na twoje pieniądze, Leego - odciąłem się. - W ciągu ostatnich miesięcy wyciągnąłeś ode mnie dużo

więcej niż się należało. I nic za to nie dostałem.

Leego ponownie wymierzył mi policzek.

- To się przytrafia chłoptasiom, którzy przychodzą pograć w męskie gry - zadrwił. - Ciągłe myślisz, że w tej

sprawie masz możliwość wyboru? Otóż nie. Wybór należy do mnie. Jeśli zdecyduję się na zysk, dostarczysz

mi tyle pieniędzy, ile potrzebuję. Co powiedziałyby Rada Magów, gdybym doniósł im o tej sprawie? Pojenie

kurtyzany napojem miłosnym to poważna zbrodnia. Wyobrażam sobie radość magów, gdyby członek rodu

Antero dostał się w ich łapy.

- Nie mam pieniędzy, Leego - powiedziałem znużonym głosem. - Ty i Melina zabraliście mi

wszystko.

- Twój ojciec dostarczy wszystkiego, czego mi trzeba, młody panie - roześmiał się Leego. - Z pewnością nie

chciałby, by jego kochane maleństwo znalazło się w rękach magów.

20

- A zatem musisz mnie zabić - odpowiedziałem. - Bo nie poproszę mego ojca nawet o jedną monetę. A jeśli

będzie chciał mi dać, odmówię.

- Och, nie sądzę, by tak się stało - odpowiedział Leego. - Znam ludzi. Szczególnie tych bogatych. Mimo

wszystko... nie zależy mi na profitach w tej akurat sprawie. A wiesz dlaczego? Dlatego, że gardzę tobą i

tobie podobnymi, Almaryku Antero. Tobą i twoim spaczonym charakterem. Sądzisz, że jesteś lepszy od

innych, tylko dlatego, że urodziłeś się w ładnym łóżu. - Ostrze jego noża nadcięło materiał kurtki, i koszuli

ukazując miękkie ciało klatki piersiowej. - Twoje cierpienie sprawi mi dużo więcej przyjemności -

powiedział przesuwając ostrzem po moim ciele. Poczulem, jak skóra pęka i strugi ciepłej krwi naznaczają

moje piersi - Miła, powolna śmierć. Potem odetnę ci głowę z tymi rudymi włosami, twojego koguta i jaja...

Nikt nie rozpozna, że to ty.

Temperament znów wziął we mnie górę. Splunąłem mu w twarz. Cofnął się. Z pająka zwieszał się teraz

długi glut plwociny. Wrzasnął i skoczył w przód, mierzając nożem w moją pierś. Zanim jednak zdążył

wymierzyć cios, ciemna postać z alei pomknęła ku nam, powalając Leego potężnym uderzeniem.

- Już was tu nie ma, szakale - zagrzemiał mężczyzna. Zobaczyłem błysk klingi długiego miecza.

Jeden z oprawców zwolnił uścisk i zgięty w pół opadłem na kolana. Drugi przeskoczył mi nad głową, a

trzeci dał susa w bok sięgając po swój miecz. Zadał straszliwe cięcie, lecz mój wybawca z łatwością

odparował cios, wybebeszając łajdaka szybkim jak myśl sztychem. Na kolanach szukałem mego miecza,

znajdując go akurat w momencie, gdy jeden ze zbirów rzucił się na mnie. Wykonałem unik i zadałem cios

celując w gardło. Zerwałem się na nogi stając u boku mego wybawcy, podczas gdy nasi wrogowie przygotowali się do kolejnego ataku. Żaden krzyk nie zakłócił nocy wypełnionej jedynie szczękami stali i

ciężkimi oddechami. Leego skoczył na równe nogi, zagrzewając swoich ludzi do walki. Sytuacja stawała się

coraz bardziej dramatyczna, gdy w pewnym momencie w ręku mego wybawcy pojawił się długi sztylet.

Jeden z oprychów próbował zająć go od tyłu, lecz ciąłem go przez plecy i usłyszałem świst powietrza

wydobywającego się z obnażonych płuc. Nagle napastnicy rzucili się do panicznej ucieczki, przewracając po

drodze Leego. Odniosłem wrażenie, że uciekają przed demonem zemsty. Ruszyłem za nimi, lecz mój nowy

przyjaciel podstawił mi nogę i upadłem na twarz prosto w błotnistą kałużę.

Zanim zdołałem się podnieść, przyszpilił Leego do ziemi, stawiając mu na gardle nogę w ciężkim bucie.

Wyjąłem z kieszeni ogniste paciorki, podniosłem je wysoko i wyszeptalem zaklęcie, które pobudziło je do

życia.

- Zbliź się, młodzieńcze - odezwał się mój wybawiciel. - Potrzeba mi trochę więcej światła.

Ujrzałem go w całej okazałości. Był żołnierzem, jak zauważyłem, oficerem. Twarz tego wysokiego, mocno

zbudowanego, przystojnego mężczyzny szpeciła szeroka bliznana na podbródku. Jego zęby lśniły równie

jasno jak miecz.

- Proszę, mój panie - błagał Leego. - To tylko małe nieporozumienie. Jestem pewien, że potrafię wszystko

naprawić - zacharczał, kiedy mój przyjaciel mocniej nadepnął mu na tchawicę.

- Jak on się nazywa? - spytał żołnierz.

- Leego - odpowiedziałem. - To stręczyciel.

Mężczyzna pochylił się nad moim prześladowcą.

- Przyjrzyj się dokładnie mojej twarzy, Leego - powiedział. - Chcę, byś ją dobrze zapamiętał. - Leego

wybełkotał coś niezrozumiale i skinął głową. - Nazywam się Janosz Szary Płaszcz, ty synu dziwki -

kontynuował. - Kapitan Szary Płaszcz, dla ścisłości. Podśluchałem twoją rozmowę z tym szlachetnym młodzieńcem, więc jestem świadkiem twych niecznych grózb.

- Nie miałem zamiaru zrobić mu krzywdy - zaskrzeczał Leego. - To tylko interesy, szanowny kapitanie.

- No cóż, nie każdy interes wymaga szantażu - odparł Janosz - zatem pozwól, że cię ostrzegę: jeśli

oskarżysz tego młodzieńca, stanę u jego boku i przysięgnę, że każde twoje słowo jest wierutnym

kłamstwem. Jeśli zaś zamierzasz go raczej zamordować, pozwól, że również wyrażę się jasno. Cokolwiek

mu się stanie, znajdę cię, Leego, i będziesz mnie błagał o szybką śmierć.

- Nie zrobię mu krzywdy, dobry panie - zapiszczał Leego. - Obiecuję na wszystkie świętości.

- Nie bluźnij bogom - ostrzegł kapitan. Cofnął się, jakby chciał umożliwić Leego powstanie. Wsunął miecz

do pochwy. Kiedy Leego oparł się na łokciach, ponownie przygwoździł go butem z wysoką cholewą, a

potem chwycił go za ucho silnymi palcami. Rajfur zawył z bólu. - Aby się upewnić, że dobiliśmy targu -

powiedział kapitan - wezmę sobie coś, co należy do ciebie.

Ciął nożem, a Leego wrzasnął z przerażenia i bólu. Ujrzałem, że kapitan Szary Płaszcz trzyma w dłoni ucho

Leego. Krew skapywała powoli na pajęczą twarz. Kapitan potrząsnął ręką, rozsiewając dokoła deszcz kropel

krwi.

- Jeśli tego młodzieńca spotkają w przyszłości jakieś kłopoty z twojego powodu - odezwał się - dam ten

kawałek ciebie pewnej starej wiedźmie, która specjalizuje się w szczególnie ohydnych zaklęciach.

Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak, mój panie - wyjąkał Leego.

- A zatem precz z naszych oczu - zakończył kapitan.

Leego zerwał się z ziemi i pomknął, nie oglądając się za siebie ani razu. Kiedy zniknął nam z oczu, kapitan

spojrzał na trzymany w dłoni krwawy ochłap. Roześmiał się, cisnął go daleko i z osobliwym wyrazem

twarży wytarł palce o obcisłe spodnie. - Jakbym miał pieniądze na wiedźmy - skomentował krótko.

- Kapitanie - odezwałem się. - Do końca życia pozostanę twoim dłużnikiem.

- Miło mi to słyszeć - odparł - bo nagle poczułem, jak potwornie zaschło mi w gardle. - Poklepał mnie po

ramieniu i poprowadził z powrotem do tawerny. - Zrobisz mi wielki zaszczyt, jeśli zechcesz zwracać się do

mnie jak przyjaciel. A moi przyjaciele, tych niewielu nieszczęśników, mówią na mnie Janosz.

- Niech zatem będzie Janosz - powiedziałem żarliwie. - A ty nazywaj mnie Almaryk. Co więcej, jeśli

pozostały mi jeszcze jakieś guziki, żeby potargować się z karczmarzem, kupię całą beczkę wina i

pobłogosławimy naszą przyjaźń. - Strząsnąwszy z siebie napięcie ostatnich chwil wszedłem do karczmy

dziarskim krokiem, by mężczyzna o szurzej twarzy stojący za szynkiem mógł się dzięki nam wzbogacić.

Wkrótce opróżniliśmy pierwsze kielichy. Przypominałem sobie, jak to wysłałem na tamten świat

przynajmniej jednego z oprychów, raniąc też drugiego, który najprawdopodobniej nie przeżyje dzisiejszej

nocy. Nie odczuwałem jednak ani winy, ani wstydu z tego powodu. Kiedy się tak zastanowiłem nad niedawną burdą, szczerze wyznałem, że moje życie nie jest warte ratowania.

- Ta sprzeczka - powiedziałem - wynika z mojego niehonorowego zachowania. Nie zasłużyłem na twoją

pomoc.

- Nie oskarżaj siebie zbyt pochopnie, przyjacielu - odpowiedział Janosz. - Znam ludzi pokroju Leego i

śmiem wątpić, byś kiedykolwiek potrafił zachować się bardziej niegodnie niż on.

- Byłem głupi - przyznałem czując, że te wypowiedziane na głos słowa mają przedziwną moc oczyszczającą.

Janosz przytaknął.

- Też tak uważam. Tak się zwykle dzieje kiedy mężczyzna używa do myślenia koguta zamiast mózgu - roześmiał się. - Jedna rzecz z podsłuchanej rozmowy nadal mnie intryguje. Coś na temat napoju miłosnego.

Zaaplikowałeś go jego cennej dziwce? - W oczach zabłyśły mu iskierki, jak wtedy sądziłem, rozbawionej

ciekawości. Później dowiedziałem się, że jego zainteresowanie nie było bynajmniej przypadkowe.

Splonilem się.

- Obawiam się, że usłyszałeś prawdę. Popeliłem okropny grzech i bardzo tego żałuję.

- Och, nie bądź pruderyjny. Czego tu żałować? Założę się, że ta kurewka i Leego wyssali cię doszczętnie z

pieniędzy.

Opowiedziałem mu wszystko, zaczynając od pierwszego spotkania z Meliną, kończąc na ucieczce z jej

sypialni. Janosz był nadzwyczajnym spowiednikiem. Okazał współczucie, nie bawiąc się przy tym w

nadmierny sentymentalizm. Przerywał mi tylko po to, by zapytać o jeden czy drugi szczegół, co tylko poprawiało mi humor. Czułem się, jakbym rozmawiał z dużo starszym bratem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że ma najwyżej o jakieś pięć lat więcej ode mnie. Kiedy skończyłem, rozlał resztę wina, po czym odwrócił butelkę do góry dnem sygnalizując, że ta będzie ostatnia.

- Wedle mojej opinii, Almaryku - odezwał się w końcu - ta opowieść rozpoczęła się smutno, a skończyła

radośnie. Otrzymałeś lekcję, jaką wielu z nas dostaje w znacznie późniejszym wieku, jeśli w ogóle ma taką

szansę. Zapomnij o tej kobiecie. Zapomnij o upokorzeniach. Zapewniam cię, że będzie z tego materiał na

świetną opowieść, którą po latach podzielisz się ze swoimi synami. Przynajmniej dzisiejszej nocy dzielnie

się spisałeś. A teraz koniec z tym wszystkim.

Podziękowałem mu, ciągle nie przekonany, czy tak łatwo uda mi się zmazać swoje grzechy.

Janosz wznosił toast:

- Za nowego Almaryka Antero. Niechaj jego przyszłe przygody będą choć w połowie tak przyjemne.

-

Stuknęliśmy się kielichami i spełniliśmy toast do ostatniej kropli. Kiedy postawiliśmy naczynia z powrotem

22

na stole, dostrzegłem, że Janosz przypatruje mi się w zadumie. - Myślę, że tej nocy moja fortuna również

uległa zmianie, Almaryku - wyznał szczerze. - Czyż nie spotkałem rudowłosego? A czyż nie jest to jeden z

najszczęśliwszych znaków, jakie dostrzegają prorocy w swych kryształach?

- Mam nadzieję, że tak jest - odparłem. - Obawiam się jednak, że dla ich właściciela nie są aż tak szczęśliwym znakiem.

Janosz roześmiał się głośno swoim dudniącym głosem, o którym już wcześniej wspominałem.

- To zagadka warta największego z magów - powiedział. - Dużo ciekawsza od tej o demonach na główce

szpilki. Jeśli Omen zwiastuje pomyślne zakończenie, czy oznacza to również dobre wieści dla nas?

Mimo że od tej rozmowy upłynęło już tyle lat i pamiętam wszystkie zdarzenia, które miały miejsce od naszego pierwszego spotkania, nadal nie znam odpowiedzi na tę zagadkę. Wątpię, czy poznam ją do czasu,

gdy Mroczny Poszukiwacz przybędzie, aby zabrać mą duszę.

Ożywiłem się. Wreszcie znalazłem przyjaciela z bystrym umysłem. Potem jednak pokręciłem głową na

znak kapitulacji. - Nawet gdyby nie było tak późno - powiedziałem - nie sądzę, żeby udało mi się rozwikłać

twoją zagadkę. Odpowiedź na nią jest tak samo niemożliwa jak ... - gorączkowo szukałem porównania i

nagle doznałem olśnienia. - Jak znalezienie Odległych Królestw. - Roześmiałem się, lecz mój śmiech odbił

się samotnym echem od gołych ścian tawerny. Janosz wpatrywał się we mnie z błyskiem podniecenia w

oczach.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Dlaczego to powiedziałeś? - odwzajemnił się pytaniem.

Byłem zdezorientowany.

- To znaczy... chodzi ci o Odległe Królestwa?

- Tak - odpowiedział nagle.

- Ja... prawdę mówiąc sam nie wiem. Po prostu myślałem o tym tuż przed pojawieniem się ludzi Leego.

Janosz przyjrzał mi się baczniej i nagle poczułem się bardzo głupio.

Głupota, która tkwi w mym umyśle, zawsze zasłaniała mi właściwą drogę.

- Wybacz mi tę paplaninę.

- Gdybyś mnie znał - rzekł Janosz - orientowałbyś się doskonale, że jeśli chodzi o bezsensowną gadaninę,

nie ma człowieka, który przebije w niej Janosza Szarego Płaszcz. - Roześmiałem się, a on pociągnął mnie

ku drzwiom. - Im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej dla nas - odezwał się. - W przeciwnym razie wino i

czcza gadanina zamienią nas w bezużyteczne wraki.

Wyszliśmy zanurzając się w mrok. Gdzieś w oddali dostrzegłem płomień pochodni i jeszcze raz pomyślałem o Odległych Królestwach, lecz po chwili światło znikło i pozostała jedynie ciemna noc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Odkrycie

Komentarz [PK1]:

Nazajutrz obudziłem się z ciężką głową. Czułem się, jakby mój mózg utknął w jakiejś pułapce i nie mógł

się stamtąd wydostać; podobnie się czuje zdychająca mucha w resztkach wina z zeszłego wieczoru. Nagle

doszedł do mnie ostry, czysty zapach wiosennego wiatru wpadającego przez okno komnaty; przesłaniająca

mi umysł i oczy mgła od razu się rozproszyła. Z pewnym zdumieniem uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od wielu nocy nie męczył mnie koszmar o jednookim mężczyźnie. Poszedłem do przedśionka,

umyłem się, po czym ukląknąłem i wyszeptałem słowa rytualnej modlitwy do boga ogniska domowego.

Zwierciadło, bez względu na to jak blisko przystawiałem je do twarzy, przekonywało uparcie, że dziś nie

będę się musiał golić, więc zacząłem ubierać się w przygotowany dla mnie strój.

Nagle oniemiałem.

- Eanes! - Sługa bezszelestnie wśliznął się do komnaty z uprzejmym wyrazem twarzy. Gdy spojrzałem
Gdy

spojrzałem uważniej, dostrzegłem na jego obliczu ślady niepokoju. Dopiero później zrozumiałem, że to

23

charakterystyczne spojrzenie było maską, którą niewolnicy przybierali, by przetrwać. Wskazałem na ubranie,

które przygotował: prosta, gładka koszula, bryczesy w stonowanym kolorze, kiepskiej jakości kubrak oraz

czapka, która z powodzeniem nadawałaby się dla człowieka w podeszłym wieku. - Czy sądzisz, że to właśnie będzie mi potrzebne?

Jego twarz rozjaśnił słaby uśmiech, który znikł równie szybko jak się pojawił.

- Nic nie sądzę, panie. Lecz skoro wychodząc ubiegłego wieczoru powiedziałeś, że moja obecność nie

będzie konieczna, a wróciłeś tuż przed świtem w eskorcie dwóch żołnierzy, a potem znalazłem ślady wina i

ziemi na twoim ubraniu, jakby Miesiąc Wiatrów zawitał przedwcześnie do twych komnat, oraz ...

- Dość!

- Jak sobie życzysz, panie.

- Miałem różne nieoczekiwane spotkania, to wszystko.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ją w taki sposób nazywano.

Postanowiłem zignorować jego słowa. Nauczyciele zawsze mnie karcili, że zbyt się spoufalam z niewolnikami i przedstawicielami klas niższych, podobnie zresztą jak obwiniali mnie za okazywanie niedostatecznego szacunku starszym i przełożonym. Lecz to przecież niemożliwe, żeby logicznie myślący

młodzieniec odgrywał wielkiego władcę wobec niskiego, łysiejącego niewolnika, którego pierwsza posługa

polegała na przeniesieniu tegoż młodzieńca z ramion ojca do rąk oczekującego maga podczas rytuału nadania imienia.

- Sądziłem - kontynuował Eanes - że życzyłybyś sobie, aby twe ubranie na dzisiejszy dzień było...

powiedzmy w kolorze nie obrażającym uczuć ojca, który słyszał hałas, kiedy wtoczyłeś się, panie, do wewnątrz. - Eanes chyba zdziwił się, że nie zbladłem, lecz dziś potrzebowałem ojca: ciążył nade mną

ogromny dług do spłacenia, a dzięki Melinie i własnej głupocie nie miałem na to środków. Podszedłem do

szafy i skompletowałem nowy strój: zielone bryczesy, płaska czapka w tym samym kolorze przetykana złotą

nicą, ozdobiona kwiecistym wzorem tunika z pasem, buty do kostki, jako że pogoda zdawała się zupełnie

nieprzewidywalna, oraz krótka peleryna. Pamiętając o przykrym doświadczeniu zeszłej nocy

wybrałem

prosty, pozbawiony ozdób miecz i wyjąłem go z pendentu opatrzonego pieczęcią rodzinną.
Popatrzyłem na

odbicie w lustrze. Właśnie tak powinienem wyglądać: młody, stateczny dziedzic, lecz nie zanadto ponury;

młody mężczyzna pełen odpowiedniego dla swego wieku animuszu, nie zadający się z bogatymi kurtyzanami ani stręczycielami.

- Rozumiem - stwierdził Eanes. - Znowu opróżniła twoją sakiewkę, panie, i zamierzasz wyruszyć na poszukiwanie. Zakładam więc, że moja obecność nie będzie wymagana.

- Może nie zwracałem zbyt wiele uwagi na słowa nauczycieli, lecz przypominam sobie jednego z nich - nie

pamiętam tylko, czy był to ten jegomość, który jakimś sposobem wpadł do wody w porcie, czy ten, którego

szaty nie wiadomo z jakiej przyczyny nagle stanęły w ogniu. Ów prawy człek opowiedział mi historię pewnego uczonego, który chełpił się wielce trafnością swoich przewidywań. Pewnego dnia, kiedy tak

przechwalał się przed studentami przechadzając się nad krawędzią skarpy, nagle skończył mu się pod stopami stały grunt i gadała zakończył dumny żywot, ku wielkiej uciechu i uldze z nękanymi studentów.

Wyobraź sobie, że będzie mi bardzo miło, jeśli dotrzymasz mi towarzystwa. Wkrótce wyruszamy.

- Tak, szanowny Almaryku, niedostatecznie wychwalany przeze mnie właścicielu. Będę gotów. Chociaż

muszę dodać, że nie mylisz się twierdząc, że niewiele uwagi poświęcałeś nauce. Pomyśl o opowieści, której

morał tak dokładnie przekręciłeś. W istocie po tragicznej śmierci tego mądrego nieszczęśnika kilku studentów, ogarniętych desperacją, że nie będą już mogli korzystać z przewodnictwa swego nauczyciela,

popęłniło samobójstwo. Znosi się dzisiaj na burzę i silną ulewę, a mnie biorą dreszcze, niewątpliwie

spowodowane całonocnym oczekiwaniem na mego biednego pana, który odurzony szlachetnymi trunkami

podążał ku swemu domostwu ciemnymi alejkami, narażony na ataki nikczemnych bandytów, powinieneś,

panie, wyciągnąć morał także z tej smutnej opowieści i pomyśleć, że nie będę przy tobie zawsze.

Jak zwykle, potyczka słowna zakończyła się wygraną Eanesa.

W WEWNĘTRZNYCH OGRODACH naszego domu lśniły fontanny, a oswojone ptaki mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, przeskakując wdzięcznie między konarami pączkujących drzew. Ojciec siedział

przy długim stole nad talerzem pełnym owoców i szklanicą wina. Obok kurczył się totumfacki, Tegry, oraz

roila się od sług, niewolników, zwojów pergaminu i medykamentów. Usiadłem na przeciwległym końcu

stołu i zamarłem w oczekiwaniu. Ojciec zauważył mnie, lecz przez kilka długich minut nie odzywał się ani

24

słowem. Przycisnął sygnet do dokumentu i skinął na następnego interesanta, który czekał z szacunkiem kilka

metrów dalej.

- Jadłeś już? - zapytał nie patrząc w moją stronę.

- Nie.

- Nic dziwnego, że nie masz apetytu.

- Nie, panie. To znaczy... tak, mam.

- Hmm. Z zamieszania jakie narobiłeś po powrocie do domu, sądziłbym raczej, że jedyne, co potrafisz dziś

strawić, to wino i mleko. - Nie pozwolił mi odpowiedzieć. - Zakładam, że czegoś chcesz. Chyba nawet mogę

przewidzieć, co to takiego, mimo mych nikłych zdolności prorokowania. - Spuściłem wzrok, po czym

skinąłem głową.

- To będzie już trzeci raz... - zaczął Tegry.

- Myślę, że jestem świadom próśb mego syna, a co więcej, pamiętam nawet ich liczbę. Nie mam zamiaru

tracić czasu na wysłuchiwanie kolejnych błagań o złoto, które następnie zostanie zmarnotrawione na jakąś...

- Ojciec powstrzymał się. Pomimo targających nim silnych uczuć, które wówczas odbierałem jako złość,

lecz teraz sądzę, że były raczej rozczarowaniem, nie zdecydowałby się zawstydzić mnie przed niewolnikiem.

- Almaryku, myślę, że powinieneś się zastanowić, zanim sformułujesz swoją prośbę.

Podniosłem oczy i spojrzałem na niego.

- Te pieniądze... nie są dla niej. Chcę spłacić dług.

Tegry przyjrzał mi się uważniej.

- Lichwiarz, paniczu Antero?

Czułem, uszy pieką mnie niemiłosiernie.

- Dług honorowy, Tegry. Może ktoś przetłumaczy ci znaczenie tego słowa na język, który potrafisz zrozumieć. - Twarz Tegry'ego stężała, a ojciec rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Dług honorowy - powiedział wolno ojciec. - No dobrze. Nie pozwolę, żebyś się zhańbił. Tegry! Dopilnuj,

żeby wszystko zostało należycie załatwione.

- Dziękuję, ojczy.

- Nie wstawaj. Jeszcze nie jadłeś. Posłuchaj dobrej rady - każdy posiłek, który dzisiaj zaniedbasz, twoje

ciało wypomni ci wielokrotnie w przyszłości. - Ojciec podniósł rękę i natychmiast podszedł do mnie sługa. -

A teraz, Tegry - kontynuował, jakbym nagle stał się niewidzialny - wracamy do interesów. Zastanawiałem

się nad kością słoniową z Laosii i doszedłem do wniosku, że albo rodzina J'hanów to skończeni głupcy, albo

oni mają takie zdanie o nas. Tak czy owak, chcę posłać kuriera, najpóźniej w południe, z takimi oto instrukcjami...

TEGRY WREĆCZYŁ mi sakiewkę z tak spokojnym i obojętnym wyrazem twarzy, jakby w ogrodzie nie

padło żadne niemiłe słowo. Mówiono mi wielokrotnie, iż takie zachowanie świadczy o kompetencji, lecz

mimo wszystko nie potrafiłem zrozumieć tego człowieka, w którego żyłach płynął atrament zamiast krwi,

złoto i srebro zastępowało mu kości, a świadectwo zysków, rozum. Zadygotałem w chłodzie ciemnego

korytarza. Zatrzymałem się przed ołtarzem i wziąłem szczyptę piasku, aby złożyć ją przed portretem mego

brata, Halaba, jak to wszyscy robiliśmy wychodząc z domu. Przyjrzałem się uważniej obrazowi: wiernie

odzwierciedlał podobieństwo do mego brata; twórca obrazu przysięgał, że dopełnił wszelkich rytuałów.

Sypnąłem piaskiem zastanawiając się, czy to wystarczy. Śledztwo zamknięto, gdyż nie znaleziono zwłok,

nawet okruchu kości. Czy ów piasek dostarczał Halabowi duchowego spokoju? A może mój brat wciąż

bląkał się po świecie i nigdy nie miał zaznać ukojenia? Ponownie przeszedł mnie dreszcz. Miałem nadzieję,

że moja śmierć, a nie kwapiłem się do spotkania z nią, nie będzie naturalna. Miałem też nadzieję, że ktoś

uroni łzę nad mym grobowcem. Miałem nadzieję, że zostanę pomszczony.

Eanes czekał przy wewnętrznej bramie. Od razu odczytał z mojej twarzy: Halab... jego śmierć... co powinno

się było zdarzyć... i co się nigdy nie zdarzy... Te myśli i uczucia ciążyły nam wszystkim. Z radością

powitałem ciepło wiosennego słońca.

- ZAMIERZASZ zaciągnąć się do wojska, Almaryku - odezwał się Eanes szczerze zaniepokojony. -
Wiem,

że dla młodych mężczyzn, nękanych sercowymi problemami, to już tradycyjne wyjście, lecz muszę ci
odradzić ten pomysł. Po pierwsze, moje zdrowie nie pozwala na wzięcie udziału nawet w tak
łagodnych

rozgrywkach wojennych jakiej nasza armia ostatnio toczyła. Twoja zbroja nie zawsze lśniłaby
czystością, a

25

twój żołądek nie jest przyzwyczajony do zimnych racji żywnościowych. Po drugie, dwaj spotkali
przeze

mnie mężczyźni, którzy wstąpili do wojska z powodu kobiety, przysięgali, że zapomnieli nawet imię
tej

nikczemnej istoty, jak tylko doszli do siebie po pierwszych ćwiczeniach. Po trzecie, zapewniali, że
postąpili

jak skończeni głupcy, jako że wszyscy ich towarzysze znaleźli się w wojsku, by umknąć przed

wierzycielami, lub przed zemstą, albo wreszcie, żeby jeść częściej niż raz dziennie. Po czwar...

- Po czwarte - przerwałem mu - nie ty zaciągasz się do wojska. Sprzedam cię na pocisk do katapuły.

Zamknij ze wreszcie jadaczkę. Jesteśmy tu w interesach. - Dwaj strażnicy przy bramie strzegący
wejścia do

warownego obozu obejrżeli sobie mój strój i po dłuższej chwili dotarło do nich, że będą rozmawiać
z

notablem. Zasalutowali uderzając grubszym końcem pik o bruk.

- Poszukuję kapitana Janosza Szarego Płaszczka, z gwardii sędziowskiej - odezwałem się.

Jeden ze strażników zmarszczył brwi myśląc intensywnie.

- Aaa, ten Likantyjczyk - przypomniał sobie. - Ani chybi, stacjonuje w Drugiej Kohorcie, szlachetny
panie. -

Podniósł wzrok i spojrzał na słońce. - Musi są na placu. Ostro musztruje swoich wojaków.

Wartownik poinstruował mnie, w którą stronę iść. Kiedy przemierzaliśmy labirynt baraków, zastanawiałem

się nad tym, co powiedział strażnik. Likantyczyk? W służbie Orissy? W elitarnym oddziale strzegącym

bezpieczeństwa sędziów? Przypomniałem sobie, chociaż zeszłej nocy nie zwróciłem na to specjalnej uwagi,

że dostrzegłem ślad osobliwego akcentu w jego mowie; nie przypominał jednak zaśpiewu typowego dla

Likantyczyków.

Na dużym placu ujrzałem tumany kurzu i istną gmatwaninę ramion. Wkopane w ziemię grube pniaki służyły za tarcze strzelnicze lub imitowały przeciwnika. Za moim rodzinnym domem stały dwa takie pnie,

na których uczyli mnie wynajęci przez ojca szermierze. Rozległa się głośna komenda „Stać” i kurz opadł

wkrótce, ukazując około pięćdziesięciu ustawionych w dwuszeregu żołnierzy, ściskających w rękach nieduże tarcze. Mieli na sobie ciężkie skórzane kaftany o wysokich kołnierzach, skórzane nagołenniki i

hełmy. Na czas wojny skórzany strój wzmacniano w strategicznych miejscach żelaznymi lub stalowymi

okuciami, a jeśli zapowiadała się ciężka bitwa, wojownicy przywdziewali kolczugi. Jeden żołnierz z każdej

pary dzierżył krótką włócznię, drugi ciężki miecz. Podczas ćwiczenia ostrze włóczni zakrywano sztywną

osłoną, a miecze tkwiły w pochwach. Nieco z boku stał Janosz Szary Płaszcz. W przeciwieństwie do pozostałych, hełm zakrywał mu niemal całą twarz, a oryginalny skórzany kaftan z lewej strony zaopatrzonej

był w długi rękaw, który ochraniały zachodzące jedna na drugą stalowe płytki. Dziwaczego rynsztunku

dopełniał osobliwy napierśnik i naramiennik. W prawej ręce Janosz dzierżył długi, wąski miecz; podobnie

jak pozostali żołnierze, trzymał tarczę w lewej dłoni. Rozpoznałem też mężczyznę wykrzykującego rozkazy

- był to starszawy setnik, który zeszłej nocy zapraszał, bym dosiadł się do jego stolika.

Janosz dostrzegł mnie i skinął głową, lecz nie wyszedł nam na powitanie. Zamiast tego stanął na środku

placu.

- Wyszło całkiem niezłe - odezwał się, lecz w jego głosie nie było słychać zachwytu. - Na paradę wystarczy,

setniku Maeen?

- Tak, panie!

- Wystąp, z szeregu i zaatakuj mnie włócznią.

Ociężały mężczyzna zabrał się do wykonywania rozkazu. Zaledwie jednak zadał pchnięcie, Janosz polecił

mu przerwać.

- Plac parad to tylko plac parad - powiedział mimochodem. - Wojna to co innego. Pokażę wam wiele innych

sztuczek, lepszych niż te, których nauczyliście się jako niedowarzeni rekruci. Każda metoda jest dobra, o ile

daje możliwość wyjścia cało z konfrontacji z wrogiem, a wszystkie są złe, jeśli pchnięcie włóczni wyzwala

wasze dusze i oddaje w ręce wiatrowi. Oto co możecie robić. - Mówiąc to kroczył wolno, jak człowiek

brodzący po wodzie. - Przyjęcie uderzenia włóczni na tarczę, tarcza na bok, półpiruet i cios. Uderzenie

mieczem w drzewce włóczni... a nuż uda wam się ją złamać? Następna rada: gdy nieprzyjaciel traci

równowagę - dziękuję, sierżancie - wówczas należy uskoczyć w bok, a następnie celować w odsłonięte

miejsca na ciele przeciwnika. Kiedy jednak będziecie to robić, nie zapominajcie, że nieprzyjaciel zwykle ma

kogoś z boku i jeśli całą uwagę skoncentrujecie na swoim celu, możecie przypłacić to życiem. Niezłą sztuczką, której z pewnością nikt nie uczył szlachetnie urodzonych młodzieńców, jest garść piasku, która, rzucona w odpowiedniej chwili, oślepi przeciwnika, zanim ten zdąży zaatakować. Jeśli będziecie dość szybcy, może udać się wam okaleczyć go przecinając mu ścięgna pod kolanami za pomocą szerokiego noża, chociaż przyznaję, że to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Mniej ryzykowne, jeśli możecie ufać swojej

26

sile, jest odparowanie ciosu włócznią lub mieczem i uderzenie tarczą. Widziałem żołnierzy oślepionych

guzami tarczy. Widziałem, jak chwilę później giną od prostego cięcia. Musicie nauczyć się jednej rzeczy:

nigdy nie patrzeć na tarczę, nigdy nie patrzeć na miecz, lecz bacznie obserwować oczy przeciwnika. One

zawsze zdradzą kolejny ruch.

Janosz cofnął się o krok.

- A teraz, setniku Maeen, wykonajcie ten sam manewr, lecz tym razem bez liczenia do trzech. Nie wymagam też odparcia ciosu czy ataku. Setniku! - Jego rozkaz sprowokował nowe komendy i plac ponownie pokrył się całunem kurzu. Postanowiłem nie wspominać żadnej z dwóch walk na miecze, jakie

odbyłem, będąc pewny, że kapitan Szary Płaszcz określiłby je jako bitwę młodych kogutów na farmie.

Podcinanie ścięgien... rzucanie piaskiem... oślepianie... nic z tych rzeczy. Mimo że w swoim czasie traktowałem owe potyczki niezwykle poważnie, podobnie jak moi przeciwnicy, te dwie honorowe walki,

które prowadziliśmy do pierwszej kropli krwi, nie były w istocie prawdziwymi walkami.

Janosz obserwował swoich wojowników bez słowa komentarza, z beznamiętną twarzą. W końcu

podszedł

do nas.

- Witam, przyjacielu - powiedział. - Widzisz, staram się zamienić te manekiny w wyszkolonych wojowników. Jak tam twoja głowa?

- To pierwsza rzecz, o którą wszyscy mnie pytają - odparłem. - Nie pamiętam, bym kiedy był aż tak pijany.

- Nigdy tego nie pamiętamy - stwierdził Janosz. - W czym mogę ci pomóc?

Wziąłem sakiewkę od Eanesa i wręczyłem mu ją.

- Proszę, przyjmij tę skromną rekompensatę za moje całe kości ...i ocaloną... reputację.

Janosz zważył mieszek w rękę, a następnie oddał go z powrotem.

- Dziękuję, lecz nie oczekuje się nagrody za odstraszenie hieny od śpiącej ofiary.

- Ja... naprawdę bardzo bym chciał, żebyś to przyjął - nalegałem. - Mówię poważnie, ciężar tego długu leży

mi na sercu.

Janosz pokiwał zadumie głową i znowu sięgnął po sakiewkę; następnie odwrócił się w kierunku ćwiczących

i zakomenderował: - Stać! W porównaniu z jego tubalnym głosem, poprzedni okrzyk setnika wydał się

piskiem myszy. - Ten szlachetny młodzieniec - zwrócił się bez wstępów do setnika - z nieznanego przyczyny

postanowił uhonorować cię tym oto podarunkiem. - Janosz rzucił sakiewkę Maeenowi. - Starczy na mięsiwo

dla całej kohorty - oświadczył głośno. - I po bukłaku wina na dwóch.

Odpowiedziały mu okrzyki radości, lecz zamarły natychmiast w absolutnej ciszy, kiedy twarz Janosza

przybrała lodowaty wygląd. - Żadnemu z was - powiedział dobitnie - nie dałem pozwolenia na gadanie.

Wedle wszelkich reguł powinienem ze wstydem zwrócić te pieniądze młodemu patrycjuszowi. Jednak nie

uczynię tego. Najwyraźniej macie jeszcze wyjątkowo duże zapasy siły. To świetnie. Setniku, niechaj

wbiegną na wierzchołek góry Aephens. Ty zostań na dole. Niech biegają w górę i w dół aż zbrzydnie ci ich

widok. - Widniejąca w dali góra Aephens, porośnięta kolczastymi krzakami, zryta głębokimi wąwozami i

najeżona nierównymi głazami, była wysoka na milę. - Z uwagi na wieczorną ucztę, niewielki post w południe wyjdzie im tylko na dobre. To wszystko. - W chwilę później kohorta odmaszerowała przy wtórze

magicznych komend Maeena.

- Nigdy nie można pozwolić - odezwał się Janosz podchodząc do nas - aby żołnierze myśleli, że próbujesz

się wkupić w ich łaski. - Urwał i uśmiechnął się ze skruchą. - Wybaczcie. Od samego rana bawię się w

belfra i mam kłopoty ze zrzuceniem togi.

Wsunął miecz do pochwy. Z zainteresowaniem dostrzegłem, że ostrze było dłuższe i węższe niż w konwencjonalnej broni. Co więcej, zaostrzone były obie krawędzie falistego ostrza; najwyraźniej wykonano

je z najlepszej stali, choć pochwa zdumiewała prostotą. Nawet świeżo upieczony kapitan orissańskiej armii

mógł sobie bez wątpienia pozwolić na więcej złotych lub srebrnych ozdób. Janosz nosił miecz przewieszony

przez plecy tak, że rękojeść wystawała pod pewnym kątem nad prawym barkiem. Bardzo nietypowy sposób

noszenia broni, lecz spotkałem niegdyś barbarzyńcę z krainy leżącej na wschód od Likantu, który nosił

ogromny miecz w podobny sposób. Kiedy go zapytałem o powód tak osobliwego umiejscowienia broni,

wyjaśnił, że ułatwia to dobytecie miecza, który w dodatku nie płącze się między nogami, co bywało

szczególnie kłopotliwe po spożyciu większej ilości mocnego trunku. Podobnie jak ów barbarzyńca, Janosz

nosił za pasem sztylet: praktyczna broń o ostrzu, które zdawało się nie przekraczać długości przedramienia,

w przeciwieństwie do potężnych, zwężających się ku końcowi kordelasów, jakie widywało się u ulicznych

siepaczy. Tak jak w przypadku miecza, rękojeść i osłona sztyletu pozbawione były jakichkolwiek ozdób.

27

Pomyślałem sobie, że jeśli szczęśliwie zrealizuję swoje plany, osobiście dopilnuję, aby Szary Płaszcz

otrzymał zbroję, której nie powstydziliby się przyjaciel rodziny Antero. Takie pomysły dowodziły niestety, że

moja wiedza o ryszunku wojownika była dużo mniejsza niż sądziłem.

- Pozwolisz, że spłuczę kurz z twarzy i przebiorę się w wyjściowy strój - odezwał się Janosz. - Znam pewną

przytulną winiarnię, gdzie ceny są akurat na kieszeń żołnierza. Gdybyś zechciał się do mnie przyłączyć...

Oczywiście zechciałem.

KARCZMA NIE BYŁA mi zupełnie obca: ulubione miejsce handlarzy, zlokalizowane blisko głównego

rynku i nabrzeża; podejrzliwy kupiec mógł stąd obserwować załadunek lub rozładunek towarów, a

jednocześnie negocjować kolejny kontrakt. Rzuciłem Eanesowi drobną monetę, a on dołączył do innych

niewolników w pobliskim parku, oczekujących na swych panów. Zasiedliśmy przy stoliku, a karczmarz

przyniósł wino, wodę i talerz pełen marynowanych macek ośmiornicy, oliwek i serów. Rozwodniliśmy

wino; nie chciałem, by Szary Płaszcz utwierdził się w przekonaniu, że jestem straconym dla tego świata

opojem.

- Dzisiejszego ranka wspomniałem zupełnie przypadkowo - zaczął swobodnie Janosz - że spotkałem

cię

zeszłej nocy, oczywiście nie opisując co ciekawszych szczegółów. Jeden z setników powiedział, że planujesz podróż. Jak on to nazwał - odkrycie? Gadał, jakby to był jakiś zwyczaj, który powinienem znać,

lecz tak nie jest.

Zachowałem spokojną twarz, lecz w duchu obiecałem ofiarę bogu ogniska domowego i wszystkim bogom

rzządzającym przypadkowymi spotkaniami. Odniosłem wrażenie, jakbym - grając w kiepskiej sztuce ze źle

wyuczonymi rolami - właśnie otrzymał istotną wskazówkę. Wyjaśniłem: Odkrycie nie było żadnym prawem

ani rytuałem Orissy, lecz zwyczajem, dokładnie tak jak powiedział Janosz. Kiedy syn kupca osiągał pełnoletność, należało do zwyczaju, aby poprowadził ekspedycję handlową. Ekspedycja składała się z

samego młodzieńca, jego znajomych lub przyjaciół, których chciał ze sobą zabrać, oczywiście maga oraz

niewielkiej wojskowej eskorty. Wyruszał na poszukiwanie nowych lądów, nowych zdobyczy oraz nowych

klientów, dokładnie tak jak czynili to wcześniej jego ojciec i dziadek. Ten zwyczaj miał zagwarantować

miastu Orissie utrzymanie statusu królowej światowego handlu na kolejną generację, aż do chwili gdy

młodzieniec sam wychowa syna i wyśle go, aby odnalazł własny Wiatr Handlu.

Janosz słuchał uważnie jakbym tylko ja liczył się na tym świecie. Chyba zauważył moje wahanie; niezwykle

trudno jest wyjaśniać coś, co zawsze uważało się za i rzecz zupełnie oczywistą, lecz starałem się mówić

przejrzystie i spójnie, ponieważ istniał drugi powód, dla którego odszukałem kapitana. Chciałem go sprawdzić, przekonać się, czy naprawdę pragnę, by to on został dowódcą mej straży. Nie znałem zbyt wielu

żołnierzy, a ci, których spotkałem, bardziej nadawali się do opróżniania beczek z winem niżli do odpierania

nagłego ataku. Wedle tradycji, orissańską armię wykorzystywano jako stację rekrutacyjną dla Odkryć oraz

dla ekspedycji kupieckich. Poprawiano w ten sposób stan miejskiej kasy, a oficer i jego ludzie otrzymywali

nieźle wypchane sakiewki, których ciężar zależał od powodzenia ekspedycji.

Gdy skończyłem swój skrupulatny wykład, Janosz pomyślał przez chwilę, po czym zapytał:

- Od jak dawna tak się dzieje? - Nie wiedziałem dokładnie, lecz ojciec opowiadał mi kiedyś o Odkryciach

swego pradziadka, więc domyślałem się, iż zwyczaj ten kultywowano od zawsze.

- Niesamowite - stwierdził. - Co roku jeden lub kilku ludzi wybiera się na poszukiwanie nowych światów, a

jednak na mapach, jakie widziałem w Orissie, wciąż widnieją wielkie obszary lądów i mórz oznaczone jako

tereny nieznanne. Czy te Odkrycia objęte są tajemnicą, znaną jedynie wam, kupcom?

Wszyscy kupcy w znacznej mierze zawdzięczają swoje sukcesy tajemnicom handlowym, zatem każde nowe

odkrycie trzymano w sekrecie, o ile istniała szansa, że przyniesie zyski. Odpowiedziałem mu jednak, że to

niezupełnie tak: trasa podróży nie wiedzie w rzeczywistości przez zupełnie nieznanne krainy, lecz na zachód,

do miast i rejonów znanych Orissanom. Czasami jakiś młody śmiałek odważy się wyruszyć na południe albo

jeszcze dalej, do królestwa Lodowych Barbarzyńców. Tak uczynił mój ojciec w trakcie swego Odkrycia,

lecz jego uważano za szaleńca, tak przynajmniej mawiają kupcy jego generacji, szczególnie gdy mocne

trunki pobudzają wspomnienia. Dla wielu młodych mężczyzn ta podróż stanowiła przede wszystkim odkrywanie nowych, wspaniałych gatunków win i ochoczych pańienek z innych miast. Była również

próbą;

mężczyznę, który powrócił z Odkrycia i udowodnił, że ma umiejętności negocjacyjne w kontaktach z klientami swego ojca, lub że znalazł nowe rynki zbytu, stawiając czoło niebezpieczeństwu podróży, oczekiwało huczne powitanie. Gdyby jednak taka wyprawa nie wiązała się z żadnym ryzykiem, a jedynie z

28

podziwianiem wspaniałych widoków, kobietami, jedzeniem i piciem, nie odszukałbym Janosza. Ja, prawowity syn orissańskiego kupca, słynący z daru wymowy, stawiałem na romantyzm, nie na niebezpieczeństwo.

- Teraz rozumiem. - Janosz obrócił kielich w zręcznych palcach. - A zatem dokąd zaprowadzą cię wiatry

twego Odkrycia?

Utkwiłem w nim pytające spojrzenie. Albo nie wytłumaczyłem mu dostatecznie jasno, albo Odkrycie było

czymś kompletnie nieznanym w kraju, z którego pochodził.

- No cóż, oczywiście na zachód.

Nastąpiła chwila ciszy. Janosz spojrział na mnie, po czym uśmiechnął się i znowu wyszło słońce.

- Powiadasz „oczywiście”... - Opróżnił swój kielich. - Może powinniśmy znaleźć coś pożywniejszego niż te

ochłapy, zanim wypijemy więcej. Aby przybysz z dalekiego kraju, taki jak ja, nie musiał zamartwiać się o

awans, najlepiej jak wypije nieco więcej niż trzeba. Ja stawiam.

Poklepał mnie po plecach, rzucił monety na stół i wyszliśmy. Nie odezwał się ani słowem... z jego twarzy

też nie dawało się wyczytać, lecz nie wiedzieć czemu czułem, że zawałem sprawę.

PAMIĘTAM, że Orissa prezentowała się wspaniale owego słonecznego, wiosennego dnia, gdy wałęsaliśmy

się krętymi uliczkami. Eanes wyjątkowo nie próbował popisywać się życiową mądrością i kroczył

dostojnie

kilka kroków za nami. Miasto wyglądało wówczas zupełnie inaczej niż teraz: tuż obok wielkiej kuźni przycupnęły wiejskie zabudowania, a za okazałą rezydencją, taką jak mego ojca, spotykało się biedną chałupkę wolnego chłopca. W owych czasach zaludnienie było zdecydowanie mniejsze, więc ludzie zachłystywali się wolną przestrzenią. Podczas spisu ludności, dokonanego w obrębie wielkiego miasta,

przedmieść i przyległej dzielnicy zarejestrowano nie więcej niż trzy dziesiątki tysięcy wolnych i mniej

więcej tyle samo niewolników. Żaden głupiec nie wychylał się wtedy, jak to miało miejsce ostatnio z

Wielkim Planem, który miał przeobrazić Orissę w idealnie uporządkowany koszmar, na wzór Likantu.

Faliste wzgórza sięgające do Cytadeli Sędziów tworzyły uroczą, różnobarwną mozaikę; każde domostwo

czy sklep mieniło się ulubionymi barwami ich właścicieli. Niezliczone odcienie czerwieni, błękitu, złota, a

nawet fioleto czyniły z Orissy swoistą paletę malarza. Pewien przybysz z zachodu stwierdził kiedyś, że

Orissa wygląda jak papuga, uchybiając swej godności chaosem barw. Mój ojciec zmroził go spojrzeniem

mądrych oczu, nie ukrywając wzgardy, i spytał, czy sądzi, że wszyscy zachwycaliby się tak Królową Miast,

gdyby, jak w Likancie, jedynym kolorem na szarych ulicach była naturalna barwa kamienia lub drzewa.

Takie metody stosowali potężni, włochaci półludzie, aby ukryć swe żałosne chatki w dżungli. Podobnie

postępowali barbarzyńcy z rejonów wiecznej zmarzliny, którym się wydawało, że ich wielkie monolity z

surowego kamienia świadczą raczej o prostocie i naturalności niż braku wyobraźni i odwagi, by ukazywać

przepych oczom zazdrosnych bogów.

W końcu dotarliśmy do Ulicy Bogów, gdzie napotkaliśmy osobliwy orszak. Poznałem Mistrza Magów

imieniem Jeneander. Zachowywał się, jakby cały świat należał tylko do niego. Czuł się niezwykle pewnie w

otoczeniu uzbrojonych w pałki nagich niewolników o ogolonych ciałach; tuż za nim podążali pokorni czeladnicy, adepci i sekretarze. Aby uniknąć składania mu ukłonu, odwróciłem wzrok udając, że nagle

zachwyciła mnie podniszczona niewielka świątynka ku czci bóstwa sadów. Kątem oka dostrzegłem, jak

Janosz pochyla z szacunkiem głowę, po czym odwraca się w moją stronę. Do mych uszu dotarł ledwie

słyszalny chichot.

- Nawet tutaj, w Orissie - mruknął - istnieje przesąd, że kiedy mag przetnie ci drogę, czeka cię jakieś nieszczęście. W niektórych krainach, jakie miałem szczęście odwiedzić, po takim spotkaniu człowiek wraca

do domu i natychmiast idzie spać, albo stawia czoła najgorszemu z możliwych przeznaczeń.

Skinałem głową i bąknąłem coś niewyraźnie. Wiedziałem, że nawet w najbardziej racjonalnie myślących

ludziach tkwi ziarenko przesądu, lecz nie podałem mu prawdziwego wytłumaczenia. W moim przypadku

wcale nie chodziło o przesąd, lecz o lodowatą nienawiść: magowie byli winni śmierci mego brata.

ROZDZIAŁ CZWARTY

29

Taniec Odległych Królestw

Łaziliśmy bez celu po ogrodzie pełnym rzeźb w pobliżu mojego domu, kiedy znów zdecydowałem się podjąć nurtujący mnie temat. Wcześniej rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, badając się wzajemnie. W

końcu poczułem się na tyle dobrze w towarzystwie mego nowego kompana, że postanowiłem ustalić coś, co

od jakiegoś czasu bardzo mnie martwiło.

- Kiedy powiedziałem, że wyruszę na zachód na Odkrycie, dostrzegłem w twoich oczach błysk dezaprobaty

- wykrztusiłem wreszcie.

Janosz zatrzymał się, mruknął w zadumie i pogładził się po brodzie. Postanowiłem złożyć dar na ołtarzu

jakiegoś bożka rządzącego zarostem; taki odruch mógł znakomicie maskować u bystrego człowieka zastanawianie się nad odpowiedzią.

- Przyjmij me przeprosiny - odezwał się. - Sądziłem, że tego nie zauważyłeś. Jak widać, bogowie obdarzyli

cię talentem jasnowidztwa.

- Nie ma w tym ani odrobiny magii - odparłem. - Zaczęły mnie męczyć opinie, że jestem bogatym głupcem.

Powinieneś zobaczyć tych satelitów, którzy krążą człowiekowi dokoła głowy, kiedy ma zamożnego ojca.

Wszyscy szczebioczą, jaki jesteś mądry, jaki przystojny, jak to zawsze umiesz wybrać właściwą grę, a w

ogóle to powinieneś stać na czele drużyny. Zapewniają nawet, że kochasz się najlepiej ze wszystkich pod

słońcem. A potem krótkie pytanie: Almaryku, mój drogi przyjacielu, czy mógłbyś na kilka dni pożyczyć

część swej sakiewki?

Janosz przytaknął.

- Najlepszy sposób na życie, jeżeli to tylko możliwe, to żyć uczciwie. Powinniśmy tylko znaleźć nowy świat

z zacykami mieszkańcami. Wyznaję, że nie pochwalałem twego Odkrycia. A to dlatego, że oceniałem twoje

czyny podług siebie, stawiając się w twojej sytuacji.

- A co byś wtedy zrobił? Gdybyś zmienił się nagle w Almaryka Antero?

- Po pierwsze, obdarowałbym niejakiego Janosza Szarego Płaszczą bogactwem, aby sobie pofolgował za

wszystkie czasy i dał upust najdzikszym marzeniom. By nigdy już nie musiał skakać na dwóch łapkach przed opasłymi, starymi głupcami. Co więcej, prowadziłbym poszukiwania swego Wiatru Handlu na wschodzie. Gdybym przeżył, moje Odkrycie nie tylko uczyniłoby mnie bogaczem, nie tylko dało wiedzę i

władzę większą niż najbardziej wiekowych magów, ale także zapewniłoby sławę memu imieniu od tego dnia

po wszystkie czasy.

- Aha - wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. - Ty byś szukał Odległych Królestw.

- Nie inaczej.

Roześmiałem się, jako że wspomniałem ową nazwę raczej w formie żartu. Po chwili jednak dostrzegłem, że

na jego twarzy maluje się ponura powaga.

- Wierzysz, że to miejsce istnieje?

- Ja nie wierzę. Ja wiem.

- Och. - Poczulem zamęt w umyśle, dokładnie tak, jakby szanowany nauczyciel obwieścił właśnie, że poza

naszym światem istnieją jeszcze inne, nieznanne.

W dzieciństwie z zaciekawieniem słuchałem opowieści o potężde i niezmiernych obszarach Odległych

Królestw, leżących na dalekim wschodzie, daleko poza zasięgiem człowieka. Większość z opowieści jednoznacznie umiejscawiała owe krainy po drugiej stronie Wąskiego Morza, poza pograżonym w mrokach

barbarzyństwa Wybrzeżem Pieprzowym, na terytorium nie oznaczonym na żadnej mapie. Gdyby jakimś

śmiałkowi udało się przetrwać podróż - a wszyscy zgodnie twierdziliśmy, że nie było takiego człowieka,

jako że nie istnieli już bohaterowie zamieszkujący niegdyś ten świat - odkryłyby baśniowe lądy, bogactwo i

magię. Zawsze uważałem, że Odległe Królestwa nadawały się wspaniale na przykłady dla filozofów, marzenia chłopów lub pieśni bardów. Dawniej, słysząc słowa Janosza, uśmiechnąłbym się grzecznie, pogawędził chwilkę, przeprosił i wyszedł, zdecydowany znaleźć innego oficera, który towarzyszyłby mi w

Odkryciu. Teraz jednak, pragnąc wytrwać na obranej przez siebie drodze uczciwości, brnąłem dalej.

- Zawsze byłem pewien, podobnie jak mój ojciec, a szczerze mówiąc, jak wszyscy wykształceni mężczyźni,

jakich w życiu spotkałem, że Odległe Królestwa to sen. Podobnie jak niektórzy prostaczkowie wierzą, że na

długo przed naszymi czasami na świecie panował Złoty Wiek. Wszyscy mężczyźni byli bohaterami, wszystkie kobiety dziewicami, dziwkami, matkami, wszystko było bezpłatne i tak dalej.

30

- A co przekonałoby cię, że ów sen jest najprawdziwszą rzeczywistością? - odezwał się nagle Janosz.

Pytanie sprawiło, że omal nie podskoczyłem, przypomniał mi się nagle inny sen: koszmar o jednookim

mężczyźnie w rzecznej pieczarze, potworne nocne przeżycia, które nękały mnie od czasu poznania Meliny.

Wydało mi się przez chwilę, że jasny, ciepły, wiosenny dzień zamienił się nagle w chłodny i ponury.

Zbierając w sobie wszystkie siły umysłu odepchnąłem wspomnienie koszmaru i zastanowiłem się nad pytaniem Janosza.

- Tak naprawdę, to nie wiem. I nie próbuję udawać uczonego, który walczy problem: czy to człowiek śni,

że jest motylem, czy też motyl śni, iż jest człowiekiem. Ból? Krwawiłem w moich snach. Mam niejasne

przecucie, że nigdy się nie kończą. Od czasu do czasu śniłem o życiu.

- Podam trzy argumenty, lecz nie takie, jakie wbijają nam do głów nauczyciele logiki - odparł Janosz.

-

Zacznę od najbardziej przekonującego. Oto i on. - Zdjął z szyi cienki łańcuszek i podał mi go. Zobaczyłem

niewielki wisiorek: mała statuetka tańczącej dziewczyny z ramionami wyciągniętymi nad głowę; być może

w jednej dłoni trzymała kiedyś chustę lub welon. Figurka była przełamana na wysokości bioder. Wykonano

ją pierwotnie ze srebra lub innego szlachetnego metalu, lecz teraz, zaśniedziała, straciła początkowy blask.

Nie sposób było jednak nie docenić fachowej ręki mistrza: twarz dziewczyny promieniała szczęściem i

przyszło mi do głowy, że przy uważnych oględzinach rozróżniłbym najdrobniejszy szczegół jej twarzy i

ramion.

- Doprawdy ładne - przyznałem w końcu - lecz widziałem podobnie znakomite rękodzieła w pracowniach

naszych mistrzów obróbki metalu.

- Dotknij jej. - Wykonałem polecenie i statuetka ożyła. Zdawało się, że łańcuszek zniknął, a połowa kobiety

tańczy wdzięcznie na niewidzialnej podstawie. Zamiast zaśniedziałego srebra, ujrzałem delikatną skórę

koloru kości słoniowej, miejscami zarumienioną; włosy stały się czarne, a delikatne szaty przybrały fioletową barwę. Odsunąłem palec i znów trzymałem brudną, zniszczoną figurkę.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem ani o tym nie słyszałem - przyznałem.

- Podobnie jak większość ludzi - odparł Janosz. - Rozmawiałem z kapłanami i magami, lecz żaden z nich

nie znał odpowiedniego zaklęcia pobudzającego do życia wisiorki. Szczerze mówiąc, jeden dureń

powiedział mi, że to cacko stanowi pogwałcenie wszelkich praw magii, a zatem musi być **czarną** magią.

Kazał mi oddać mu tę statuetkę, aby mógł ją „oczyścić.” Zabrałem mu ją sprzed nosa i poinformowałem, co

może się stać, gdyby wspomniał komuś o istnieniu tego zadziwiającego wisiorka.

- Skąd go masz?

- Ojciec podarował mi w prezencie na pierwsze urodziny. Wówczas był w całości. Kiedy skończyłem sześć

lat, powiedział mi, skąd pochodzi to cacko. Matka wspomniała kiedyś, że kosztował go trzy bojowe ogiery,

których rodowód sięgał samego Boga Konia.

- Twój ojciec powiedział, że ten wisiorek pochodzi z Odległych Królestw? - domyśliłem się.

- Tak.

Milczałem przypominając sobie ludowe opowieści o tajemniczych, dalekich lądach na wschodzie. O

rządach wielkich czarodziejów, zwalczających magią nawet najsilniejsze zaklęcia. O ulicach i posągach z

prawdziwego złota. Przed oczami miałem dowód pracy jakiegoś czarownika; coś, co najbardziej

doświadczony mag w Orissie uznałby za życiowe osiągnięcie, godne stać się podarunkiem weselnym dla

króla.

- Jak się złamała, jeśli wolno spytać?

Na twarzy Janosza nie drgnął ani jeden mięsień.

- Dziś nie jest dobry dzień na takie opowieści - odpowiedział lakonicznie.

Zmieniłem temat.

- Twój pierwszy argument wydaje się całkiem przekonujący - stwierdziłem oddając plaketkę Janoszowi. -

Ale prawem przekory, jako człowiek uparty, muszę zaznaczyć, że nikt nie zna wszystkich magów w naszym

kraju, na przykład takich, którym dziwactwo nakazuje zamieszkiwać samotnie w lasach lub niedostępnych

górach. Nie trzeba ich szukać w nie odkrytych jeszcze miastach.

- To prawda, lecz nie jest to zbyt przekonująca odpowiedź. Maje pozostałe argumenty nie są materialne,

ale proszę, wysłuchaj ich cierpliwie. Z pewnością słyszałeś, że nazywają mnie Likantyjczykiem. Nie jestem

nim jednak, choć wiele lat służyłem w ich wojsku. W rzeczywistości pochodzę z dalekiej krainy leżącej, po

przeciwnej stronie Wąskiego Morza niż Likant, z Valaroi. To ziemia wysokich gór i niewielkich dolin. Moje

miasto nazywało się Kostroma.

31

- Nigdy o niej nie słyszałem - wyznałem szczerze.

- Nic dziwnego. - Chciał ciągnąć myśl, lecz po chwili zmienił zdanie. - W niewielkiej odległości od

twierdzy mojej rodziny biegł szlak handlowy. Mój ojciec pobierał myto dostarczając w zamian eskortę, aby

kupcy nie musieli obawiać się grasujących na gościńcach banitów. Dwa, trzy razy do roku w miejscu, gdzie

składali daninę, rozkładali swoje towary tworząc wielki bazar. Dla nas owe targi były równie ważne i

ekscytujące jak Dzień Zasiewów. Mój ojciec zapraszał czasem jednego z kupców do domu. Karmił i gościł

człowieka do granic przyzwoitości, a chcę, byś wiedział, iż nie czynił tak z czystej uprzejmości. Jedyne w

ten sposób mieszkaniec zapomnianej krainy mógł dowiedzieć się co nieco o innych rejonach tego świata.

Pośród kupieckich opowieści utkwily mi w pamięci te o Odległych Królestwach.

- Muszę ci przerwać - wtrąciłem. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że ufasz słowu kupca? Każdy kupiec

będzie się zaklinał na wszystkich bogów, że sukno było specjalnie tkane dla sławnej kapłanki, jeśli tylko

wyczuje możliwość podbicia ceny, choćby o miedziaka czy dwa.

- Pomimo tego - ciągnął Janosz - niesłychanie ciekawie słuchało się owych opowieści, a żaden z kupców

nigdy nie powiedział, że sam bawił w Odległych Królestwach. Żaden nie twierdził, że widział ich słupy

graniczne. Za to wszyscy, którzy podróżowali na wschód, widzieli ich towary. Luksusowe przedmioty

przechodziły z rąk do rąk, a cena ich rosła niesłychanie szybko. Czasami z namaszczaniem pokazywali nam

takie cudeńka, których wartość przekraczała skromne zyski, jakie przynosiły stada mojego ojca: lutnię, która

czyniła z prostego stajennego wytrawnego trubadura; suknię lub welon, który zmieniał najbardziej pospolitą

dziewkę w oszałamiającą uwodzicielkę. Pamiętam wiele innych rzeczy, podobnych do tej małej tańczącej

panny, rzeczy, które zachwycaly i urzekały swą tajemniczością.

Milczałem. Istniała możliwość, że Janosz sam uważał ten drugi argument za zwykłą plotkę, lecz syn księcia

kupców wiedział coś na ten temat. My również słyszeliśmy o tym, a nierzadko widywaliśmy przedmioty,

które przyprawiały nas o osłupienie, choć z pewnością żaden z nich nie wydawał się aż tak egzotyczny jak

maleńka tancerka. Twierdzono, że pochodzą z Odległych Królestw, lecz ta nazwa wzbudzała najczęściej

uśmiechy politowania. Było powszechnie wiadomo, że w niedostępnych samotniach ukrywają się różni

potężni czarownicy, badając tam magię i zjawiska przyrody, więc łatwo można było im przypisać tworzenie

owych niesamowitości. Dlaczego jednak, zaświtało mi nagle w głowie, wierzyć w jakiegoś ukrywającego się

na moczarach czarodzieja, maga zaszytego w nieprzeniknionej kniei czy na szczycie góry, a

wyśmiewać

teorie o nieznanym źródle skąd mogą pochodzić owe dziwne przedmioty?

Zadałem to pytanie Janoszowi.

- Odpowiedź zaiste wydaje się prosta - rzekł. - Od kiedy to ktokolwiek przyzna z własnej nieprzymuszonej

woli, że istnieje miejsce, które znacznie przewyższa pod względem rozwoju i dobrobytu to, skąd on sam

pochodzi?

Skinąłem głową.

- Tak. Mój ojciec przypominał mi wystarczająco często o tym, że kiedy stąd wyjadę, nie powinienem głośno

rozślawiać zalet Orissy. Chełpienie się, nawet jeśli oparte na solidnych podstawach, powoduje silną niechęć

ze strony prostych ludzi. Twoje argumenty są lepsze niż myślałem, kapitanie. Jaki jest ostatni?

- Zanim powiem, powinniśmy chyba poszukać innej winiarni, bo ta historia nadaje się do opowiadania przy

kielichu wypełnionym szlachetnym trunkiem.

- Opowieści o duchach? Nie robią na mnie wrażenia - powiedziałem dobitnie.

- Duchy? Czy ja wiem? Możesz to nazywać jak chcesz, ale przygoda ta zdarzyła się mnie, a nie komu innemu.

Znaleźliśmy odpowiednią winiarnię z przyjemną, ciągle uśmiechniętą kelnerką.

- W dawnych czasach - zaczął Janosz - nasz kapłan we śnie widział, że nadszedł moment, aby złożyć w

ofierze zwierzę. Miano je wybrać ze stad należących do mojej rodziny. Zwykle wnętrzności zwierzątko

nie ukazywały, lecz czasami wróżbita dostrzegał w nich okropną przyszłość. Nawoływał wówczas do

zachowania szczególnej ostrożności, a wszyscy mężczyźni, kobiety, dziewczęta i chłopcy

zamieszkujący

naszą dolinę pozostawali w domach od zmroku do świtu. Przez cztery noce strażnicy na wieżach obserwacyjnych strzegli stad. Nasi ludzie gromadzili się przy paleniskach zaciągając szczelnie zasłony na

okna. Czasami... bardzo rzadko... słyszeliśmy grzmot, taki sam grzmot, jaki towarzyszy oddziałowi konnicy

wyjeżdżającemu na krótki rekonesans. Niektórzy przysięgali, że słyszeli skrzypienie upręży, a nawet stukot

kopyt końskich o kamienie, kiedy podjazd przejeżdżał przez jeden z niewielu brukowanych placów. Gdy

nastał świt, nie mogliśmy jednak znaleźć śladu kopyt końskich. Absolutnie nic.

32

- Co się tam działo w nocy? - spytałem. - A może istotnie słyszeliście odgłosy grzmotów? Bogowie wiedzą,

jak często w dzieciństwie, leżąc w łóżku przekonywałem sam siebie, że słyszę przeróżne odmiany demonów

krażących pod naszym domem lub na dachu nad balkonem. Czekały tam, gotowe do skoku. Ale myślę sobie,

że w tych czasach na pewno bym wysliznął się niepostrzeżenie, aby obejrzeć duchy konnych.

- Dokładnie to samo uczyniłem. - Janosz uśmiechnął się lekko aprobatą dla mojej odwagi. - Zsunąłem się z

komnaty sypialnej po linie, którą ukradłem ze stróżówki, kiedy prorok wykrzyknął ostatnie ostrzeżenie.

- Oczywiście, konnica tym razem się nie zmaterializowała - domyśliłem się.

- Nie chodzi o to. Chłonąc uważnie opowieści, naszkicowałem niewielką mapkę terenu otaczającego warownię. Zazaczyłem na niej miejsca, w których jakoby najczęściej pojawiał się upiorny oddział. Jednym

z nich był wąski parów, około ośmiu rzutów włócznią - w taki sposób dokonywaliśmy pomiarów w Kostromo - co mniej więcej odpowiadało jednej trzeciej mili. Parów leżał za budynkami

gospodarskimi

mego ojca. Skryłem się na drzewie oliwnym na brzegu parowu. Księżyc wisiał wysoko na niebie. Czekałem,

nie wiem nawet jak długo. Miałem wówczas osiem czy dziewięć lat, więc najprawdopodobniej zasnąłem,

mimo ogromnego podekscytowania. Zbudził mnie hałas. Dokładnie tak, jak mówili pasterze, usłyszałem

stukot kopyt końskich.

- Lecz nic nie zobaczyłeś.

- Nie widziałem, co się działo w parowie - przyznał Janosz, zatapiając smutne spojrzenie w kielichu, jakby

mógł z niego cokolwiek wyczytać. - Coś jednak ujrzałem: dwie postacie zmierzające na szczyt wzgórza.

Dwóch jeźdźców. Mieli na sobie zbroje, w każdym razie dostrzegłem błysk pancerzy i włóczni, a na głowach wysokie hełmy. Światło księżyca odbite od blachy pozwoliło mi dostrzec, że rumaki również okuto

w pancerze.. Gdybym prowadził podjazd na nieprzyjazne terytorium, zająłbym dokładnie taką samą pozycję

- nad parowem, tak by uniknąć ewentualnej zasadzki i uchronić główne siły. Dudnienie kopyt wzmogło się i

po chwili ucichło. Dwóch zwiadowców pogalopowało w dół, aby dołączyć do reszty. Po chwili i te odgłosy

ucichły. Zmierzali na wschód, gdzie, jak podaje legenda, leżą Odległe Królestwa. Pomknąłem do zamku,

jakby gnało za mną tuzin demonów.

- A kiedy wróciłeś nazajutrz?

- Nie znalazłem najmniejszego śladu. Żadnych odcisków kopyt na miękkiej ziemi na szczycie wzgórza,

żadnych śladów na dnie parowu. Nic. Jakby oddział- widmo, przebywający daleko poza granicami swego

terytorium.

- Sen - powiedziałem rozczarowany, że w opowieści Janosza nie pojawiła się krwawa czaszka, zaginiony

wieśniak czy stado, które spadło z urwiska uciekając w popłochu.

- Bez wątpienia - zgodził się Janosz. Zerknął na słońce widoczne na zewnątrz. - Teraz zaś śnię, że dzisiejszej nocy czeka mnie pieska warta, a nie zostało mi już zbyt wiele czasu, by pobiec do cekhauszu i

wskoczyć w odpowiedni strój. - Spędziłem bardzo przyjemny dzień w twoim towarzystwie, przyjacielu -

dodał wyjmując, wbrew moim sprzeciwom, srebrniki z sakiewki za paskiem. - I przekonałeś mnie, że nie

może istnieć nic takiego jak Odległe Królestwa. Może spotkamy się jeszcze? Mogę pomóc ci zaplanować

twoje odkrycie, jako że odbyłem kilka niewielkich wypraw na zachód. - Machnął ręką na pożegnanie i oddalił

się pośpiesznie.

Zamówiłem kolejny dzban wina, trochę dlatego, by sprawdzić, którego z nas kokietowała szynkareczka, a

trochę, by porozmyślać nad opowieścią Janosza. Stwierdził co prawda, że zmusiłem go do logicznego

myślenia, lecz sam błądziłem myślami gdzieś daleko na wschodzie, pośród owych melancholijnych ciemności i złota, które nieodłącznie kojarzyły się z legendarnymi Odległymi Królestwami.

W CIĄGU następnych kilku tygodni kilkakrotnie widziałem się z Janoszem. Uwolniony od hipnotycznego

uroku Meliny, czyniłem przygotowania do Odkrycia rozmawiając ze starszymi kupcami, wysłuchując opowieści podróżników i żeglarzy, których napotkałem w porcie. Przypomniały mi się chłopięce lata, kiedy

godzinami potrafiłem przysłuchiwać się opowieściom wilków morskich. Z tą różnicą, że tym razem wiedziałem, czego szukam. Ojciec zdawał się przyjmować moją nagłą gorliwość z pewną dozą

aprobaty.

Wydawało mi się, że coraz rzadziej jestem przedmiotem jego ironicznej krytyki. Gromadziłem skwapliwie

wszystkie opowieści dotyczące Odległych Królestw, próbując wyciągnąć z nich sensowne wnioski, ale

zupełnie mi się to nie udawało. Każdej historii o zaklęciach rozkazującym koniom wzbijać się w powietrze

towarzyszyło kilka innych twierdzących niezbicie, że moc tamtejszych magów pozwalała unosić się

przeróżnym przedmiotom, a nawet ludziom, więc nie musieli do tego celu używać zwierząt pociągowych.

33

Niektórymi z tych opowieści dzieliłem się z Janoszem. Wysłuchiwał mnie zachowując wszelkie zasady

uprzejmości, lecz odnosił się do nich sceptycznie. Zdawało się, że sprawa nie pochłania go tak mocno jak

mnie. W rzeczywistości, zachowywał się dokładnie tak jak ja, kiedy oferuję skąpemu krawcowi brokat po

cenie przewyższającej jego możliwości. „Zgadzam się, mistrzu że owa zacna tkanina, bez względu na to jak

rzadka i piękna, jest dość kosztowna, choć straciłem dwa tygodnie na wynegocjowanie odpowiedniej ceny”.

Albo: „Ten materiał wymaga oczywiście wyjątkowej delikatności i przeznaczony jest dla

najwybredniejszych klientów”. - I tak dalej, i tak dalej, aż nieszczęśnik zacząłby się poważnie zastanawiać

nad odebraniem sobie życia, gdyby transakcja nie doszła do skutku.

PEWNEGO WIECZORU Janosz zaprosił mnie na ucztę do warowni. Dostałem zaszczytu: Straż

Przyboczna Sędziów była uważana za elitę Orissy i takie zaproszenie należało traktować jako szczególne

wyróżnienie. Poza tym chciałem zamienić parę słów z Janoszem. Nie wiedziałem, od czego zacząć i jak

najlepiej przedstawić nurtujący mnie problem. Janosz odprowadził mnie do domu mego ojca, gdzie umyłem

się i przebrałem w czarne, welwetowe bryczesy i taką samą kamizelę, czerwoną jedwabną koszulę z szerokim, obrętionym koronką kołnierzem, skórzane, wysokie do kolan buty oraz długą pelerynę z kapturem. Powiedziałem Eanesowi, że nie musi mi towarzyszyć, jako że tam, gdzie się wybieram, będzie

więcej sług niż potrzeba.

Idąc tonącymi w półmroku ulicami w kierunku wewnętrznej warowni zebrałem się nagle na odwagę i zapytałem Janosza, dlaczego - skoro tak bardzo chciał poznawać nowe lądy - służy w Straży Przybocznej

Sędziów. Niewątpliwie był to zaszczyt, lecz obowiązki związane z pełnieniem tej funkcji ograniczały się

głównie do ochrony sędziów, magów i co okazalszych budynków publicznych miasta Orissy, a to niewiele

miało wspólnego z przygodą. Janosz zgodził się ze mną:, traktował służbę jako wątpliwy zaszczyt, lecz nie

miał wyboru. Kiedy stanął u wrót warowni chcąc się zaciągnąć do armii i wymienił nazwisko swojej matki,

został skazany na dobre.

- Początkowo poprosiłem o przydział do Zwiadowców Granicznych, lecz nigdy nie zdecydowaliby się na

podobny dyshonor w stosunku do rodziny Ketherów. Chociaż nie czułem się mocno związany ze swym

sławnym rodem, nie mogli posłać jednego z jego członków do służby w oddziale, gdzie zapach krwi i obnażony miecz były rzeczą powszednią. Mianowano mnie dowódcą Sędziowskiej Straży Przybocznej.

Funkcja kompletnie wyjaławiająca intelektualnie. Czy wiedziałeś, że dysputy o wojnie, polityce, religii czy

nawet kobietach w warowni nie są w dobrym tonie? Konie, psy i polowania - i tak na okrągło. Jeśli usłyszę

jeszcze jedną opowieść o czyjejs sforze, która wykazuje iście prorocze umiejętności w tropieniu zwierzyny,

chyba im opowiem, jak to kiedyś podczas służby w Likantui obsadzałem wojskiem wieżę strażniczą i przez

miesiąc żywiliśmy się psim mięsem. Nie jest wcale takie złe, na przykład z tłuszczem z bekonu czy pieczone

ze słodkimi ziemniakami - stwierdził w zadumie. - No cóż, nie znam żołnierza, który by nie biadolił nad

swoim losem przy lada okazji. Żołnierze mają do tego prawo.

Sala, w której jadała Straż Przyboczna, robiła spore wrażenie: talerze i nakrycia lśniły żywym srebrem, a na

pokrytych pięknym suknem stołach migotały kryształowe puchary. Na środku stołów stały trofea, a z wysokich krokwi zwieszały się zdobyczne proporce. Janosz zniknął na chwilę i niebawem powrócił w

wytwornym stroju, na który składały się krótkie, miękkie, skórzane buty, peleryna przewieszona przez ramię

oraz brokatowa tunika. Na wierzch założył ocieplany kubrak bez rękawów, łudząco przypominający zbroję.

Zamiast swego miecza, który zwykł nosić na plecach, miał na sobie pas z konwencjonalnym, krótkim mieczem i sztyletem w ozdobnych pochwach. W dłoni trzymał błyszczący hełm z otwartą przyłbicą, zaopatrzony na czubku w wielki, falujący pióropusz. Inni obecni tu wojownicy nosili podobne stroje.

Wśród tłumu krążyli niewolnicy z tacami pełnymi kielichów. Jeden z nich zatrzymał się przed Janoszem,

który zawahał się chwilę, po czym pokręcił głową.

- Poproszę o wodę.

Do mych uszu doleciał ordynarny śmiech. Zastanowiłem się... Janosz nie należał do ascetów. Wtedy przypomniałem sobie, co powiedział mi ojciec, kiedy znajdowałem się na samym dnie młodzieńczej rozpaczki ślubując, że skończę z tym wszystkim i zaciągnę się do wojska. Zachichotał wówczas i zapytał, do

którego dołączę oddziału. Może do Sędziowskiej Straży Przybocznej? Zaślepiony wytwornością i splendorem strażników, bąknąłem, że to całkiem możliwe. Wówczas uzmysłowił mi koszty związane z zaciągnięciem się do tego elitarnego oddziału: żołd młodszego oficera z ledwością starczał na pokrycie kosztów jedzenia, wina oraz okazjonalnych uczt. Straż Przyboczna pozostawała domeną młodzieńców

34

pochodzących z bardzo zamożnych rodzin. Według ostrożnych szacunków kilkanaście odmian rynsztunku, pół tuzina rumaków, służba i tym podobne szczegóły pochłaniały około dziesięciu tysięcy srebrników rocznie. Przypomniałem sobie, że Janosz co najmniej dwukrotnie tego dnia wspominał coś o ubóstwie.

Doskonale rozumiałem jego sytuację: kiedyś wstąpiłem do chłopięcej drużyny szermierskiej, w której skład wchodził synowie kupców, magów i sędziów. Nikt nie myślał o pieniądzach, lecz pośród nas znalazł się chłopiec, rok młodszy ode mnie, którego ojciec poczynił jakieś wyjątkowo niefortunne inwestycje. Dzieciak

miał jedną tunikę i jeden mieczyk, w dodatku używany. Chłopak wydawał się nieustannie zażenowany, chociaż nie przypominam sobie, by którykolwiek z chłopców powiedział mu coś nieprzyjemnego. Z tego co sobie przypominam, radził sobie całkiem dobrze. Próbowałem przypomnieć sobie, co się z nim stało.

Pamięć zawodziła... pewnego dnia po prostu nie pojawił się na zajęciach.

Janosza nie stać było na wino. Nie ma sprawy. Przywołałem niewolnika i załatwiłem wszystko tak, aby nie naruszyć tak zwanych dobrych obyczajów. Za chwilę przełożony główny niewolników ogłosił wszem i wobec, że dzisiejszego wieczoru wino funduje Almaryk Antero w odpowiedzi na zaproszenie od tak

zacnych wojowników. Napełniono puchary i wzniesiono toast na moją cześć. Kątem oka dostrzegłem spojrzenie Janosza.

Opróżniwszy puchary zabraliśmy się do jedzenia. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że w naszej armii

jada się tak wyśmienicie. Pomyślałem o dziesiętnikach i tarczownikach. Przypomniało mi się, że już kiedyś

kupiłem żywność dla tej kohorty i mięswo dla zwyczajnych żołnierzy, co sugerowało, że jadali oni tak jak

pozostali mieszkańcy. Popełniłem błąd - ojciec powiedział mi, że kupiec albo je to, co jego urzędnicy, albo

jada w swoim domu. Nikomu nie przypada do gustu ostentacja ze strony jakiegoś bogacza czy wysoko

urodzonego wojownika, chyba że podziela ją z innymi.

Po skończonym posiłku kilku oficerów wstało od stołu, podziękowało i wyszło. Teraz wieczór należał do

tych niższych rangą. Wytoczono beczki z winem. Zapowiadało się ostre picie i ciężkie głowy nazajutrz.

Próbowałem zachować umiar mając na uwadze dobre imię mojej rodziny, a zresztą czułbym się głupio,

gdybym przypadkiem rozpląszczył sobie nos o tacę ze słodyczami. Pozostali, jak zauważyłem, nie zachowywali żadnych środków ostrożności. Gwar w sali wzrastał z każdą chwilą, opowiadano sobie coraz

sprośniejsze dowcipy kwitowane coraz głośniejszymi wybuchami śmiechu. Nagle, w chwilowej ciszy,

usłyszałem, jak ktoś mówi;

- Oczywiście, mieszkańcy nie są zupełnie bezwartościowi. Powiadam wam, ich kobiety bywają wyjątkowe.

A i w sercach ich wojowników odnaleźć można nieco odwagi, choć podejrzewam, że równie szybko zmykają z pola bitwy jak nań biegną.

Zaległa cisza. Wszyscy spojrzeli na Janosza. Na tle kruczych, kręconych kędziorów brody jego twarz przypominała białą maskę śmierci. Strój zwalistego wojownika, który zabrał głos, wskazywał na rangę

kapitana. Ktoś próbował przerwać ciszę siląc się na żart, lecz umilkł po trzech słowach.

Janosz kiwnął na niewolnika. Wziął z jego rąk srebrną tacę i wyciągnął swój sztylet. Położywszy broń na

tacy rękojeścią zwróconą do siebie, skinął na młodego żołnierza.

- Dostarczysz to kapitanowi Herronowi. Przekaż mu, że ów sztylet ma brata, który należy do kapitana

Janosza Kethera zwanego Szarym Płaszczem, z Kostromy i z Orissy. Oczekuję go na placu.

Wiedziałem, że walka nie skończy się na pierwszej krwi, tak jak bywało podczas moich pojedynków.

Dzisiejszego wieczoru zginie przynajmniej jeden człowiek. Młody oficer z pobladłą twarzą podszedł do

kapitana, wysunął przed siebie tacę ze sztyletem i powtórzył słowa Janosza. Herron nie poruszył się.

Spurpurowiał jak sztubak i patrząc w ziemię bąknął: - To był jeno żart.

- Poinformuj zacnego kapitana, że nie dostrzegłem w jego wypowiedzi nic żartobliwego. Zaiste, może nasze

spotkanie będzie dla mnie pouczające, chyba że kapitan zechce go prosić o wybaczenie - powiedział Janosz,

sterując w stronę bezkrwawego rozwiązania honorowej sprawy.

Zaległa ciężka cisza, a powietrze zagaściło się od emocji. W końcu Herron odezwał się ściszym głosem:

- Wybaczcie, panie, że obraziłem cię przypadkową uwagą.

Janosz zaczerpnął głęboki oddech.

- Przyjmuję przeprosiny - odezwał się. - Uważam sprawę za niebyłą. Wycofuję też swoje zaproszenie,

Herronie. - Zauważyłem, podobnie jak wszyscy obecni, że Janosz świadomie pominął stopień wojskowy

Herrona i nie zwrócił się do niego jak do towarzysza broni, co sugerowałoby prawdziwe

przebaczenie.

Tchórzostwo Herrona wbije się w pamięć świadków tego wydarzenia na wiele lat. Tak przynajmniej

35

uważałem wtedy, kiedy moja krew była równie ognista jak włosy. Teraz wiem, jakie powody mogą zmusić

mężczyznę do walki.

Janosz sięgnął po kolejny puchar wina i zwrócił uwagę na moje spojrzenie.

- Może - odezwał się niskim głosem - opuścimy te gościnne progi? Atmosfera zbyt zgęstniała. - Nie

czekając na odpowiedź, wstał i skierował się do wyjścia. Podążyłem za nim. Na zewnątrz zarzucił pelerynę

na ramiona i spojrzał w dół na oświetlone okna żołnierskich baraków.

- Sam widzisz jak to jest - powiedział częściowo do mnie, częściowo do siebie. - Jeżeli nadal pozostanę w

tej klatce, chodząc tam i z powrotem, warcząc i oceniając wytrzymałość prętów, prędzej czy później skończy

się to czyjąś śmiercią. Może takiego prostaka jak Herron, może moją. Miasto i pustka placu musztry nie

mogą mnie już dłużej zatrzymać. Chodź! - Ruszył w dół zboczem, a ja bez wahania poszedłem za nim.

- Dokąd idziesz?

- Kto wie - odparł Janosz. - Potrzebuję towarzystwa mężczyzn, nie zniewieściałych pajaców. Mężczyzn... i

kobiet. Może pójdziemy na wybrzeże.

Wzruszyłem ramionami. Dlaczego nie? Mnie również znudziła atmosfera uczy, równie nieciekawa jak na

biesiadach, na które mój ojciec spraszał członków swego cechu.

Ścieżką doszliśmy do jednej z bram miasta. Jak zwykle, z wyjątkiem czasu zagrożenia, wzmocnione żelazem drewniane wierzeje stały otworem; napotkaliśmy jedynie gęstwinę żelaznych prętów

bliźniaczych

wrót prowadzących do zewnętrznego portu. Dostrzeżliśmy przez nie strzelające w górę języki płomieni,

rzucające żółtawą poświatę na płótno namiotów. Doleciały nas krzyki, śmiech, piskliwe dźwięki fletów i

dudnienie bębnow.

- Straż! - zawołał Janosz na jednego z żołdaków - Kto tam obozuje?

- Plemię Ifora, kapitanie. Nie mogą wejść do miasta nocą, ponieważ...

- Jestem świadom powodów, żołnierzu. Otwórz bramy. Dzisiaj ich towarzystwo ze wszech miar mi odpowiada.

Wiedziałem równie dobrze jak Janosz dlaczego koczowników nie wpuszczano do miasta. Stanowili jedno z

wielu niebezpieczeństw, z jakimi musi się liczyć kupiec, a mój ojciec wielokrotnie przypominał mi o ich

barbarzyńsk obyczajach. Iforowie byli nomadami, plemieniem koczowniczym pochodzącym z

południowych, pustynnych obszarów. Uchodzili za chytrych złodziei, prześlizgujących się niczym pustynne

węże obok strażników karawan, które nieopatrznie zapędzały się na ich terytorium. Zabierali co tylko chcieli

i znikali jak duchy. Jeśli byli dostatecznie liczni, lub też przewodnicy karawan odznaczeni się wyjątkową

głupotą, wyrzynali wszystkich mężczyzn, a kobiety brali w jasyr. Słynęli z męstwa, braku litości dla wrogów

oraz rzadko spotykanych uzdolnień w dziedzinie tortur. Nieczęsto zapuszczali się w północne, cywilizowane

rejony, a jeśli już, to tylko po to, aby handlować misternie tkanymi dywanami, miękką wełną z kóz i

egzotyczną srebrną biżuterią. Miasta zamykały przed nimi bramy. Członkowie plemienia Ifora uważali za

swój święty obowiązek odciążanie ze wszelkich możliwych dóbr materialnych ludzi takich jak my,

których

uznawali za chorobliwie słabych. Używali do tego wszelkich możliwych sposobów - kradzieży lub miecza,

nie zważając przy tym na konsekwencje.

Przyszło mi do głowy, by napomknąć Janoszowi o podobieństwie ryzykowania własną szyją w pojedynku

do poszukiwania okazji poderżnięcia gardła wśród tych dzikusów, lecz moja młodość i nieśmiałość nakazywały milczenie. Z drugiej strony pociągały mnie te opowieści o stosach czaszek i płaczących kobietach porywanych w głąb okrytych tajemnicą pustynnych obszarów. Chciałem przekonać się na własne

oczy, jakimi potworami są ludzie z plemienia Ifora. Poluzowałem miecz w pochwie żałując, że nie wziąłem

ze sobą sztyletu i nie przywdziałem pod oficjalny strój kolczugi. Miałem również ochotę przypomnieć

Janoszowi, który parł śmiało do przodu, że ma przy sobie tylko krótki miecz, używany przez jego oddział,

zamiast swej ulubionej „brzytwy o dwóch ostrzach.”

Kiedy zbliżyliśmy się do obozowiska, z cienia wyłonił się potężny mężczyzna.

- Orissanie... nie - odezwał się. - Nie przychodzić. Niemile widzieć. Zranić się. Zabić was. - Janosz

przemówił do niego płynnym potokiem słów. Olbrzym burknął coś pod nosem i odpowiedział mu w tym

samym języku. Odkryłem kolejną zaletę Janosza: Iforowie nie byli mu obcy. Powinienem był się tego

domyśleć, chociaż tej nocy czułem się tak, że śmiało wszedłbym do jaskini pełnej wrogów. Wymiana zdań

trwała dłuższą chwilę, po czym koczownik wybuchnął śmiechem, przypominającym ryk niedźwiedzia.

Janosz odwrócił się wskazując na mnie i znów coś mówiąc. Koczownik chrząknął, a kapitan przemówił

ostro. Niedźwiedź roześmiał się ponownie.

- Wyjmij miecz - rzekł do mnie Janosz. - Przyciśnij go do czoła i oddaj mu go. - Zawahałem się, ale wykonałem polecenie. Mężczyzna przyjął broń, odwrócił się i ryknął coś ku obozującym. W chwilę później

podszedł do nas wysoki, odziany w bogate szaty mężczyzna. Czarna skóra zalśniła w migających płomieniach ogniska. Po obu jego stronach kroczyli jasnolicy, - tak samo jak olbrzym, który nas zatrzymał, -

strażnicy uzbrojeni w miecze.

- Ten tutaj - szepnął Janosz - to ich *Ham'u* wódz. Iforowie wierzą, że im ciemniejsza skóra, tym człowiek

ma większe błogosławieństwo bogów. Większość z nich jest jasnej karnacji, więc czarnoskórego automatycznie uznaje się za przywódcę. Taki mężczyzna lub kobieta zgodnie z przeznaczeniem rządzi plemieniem, o ile, oczywiście się do tego nadają. Zwyczaj ten pochodzi sprzed wielu wieków, kiedy Ifora

byli barbarzyńcami. Ich niewolnicy zbuntowali się i przejęli władzę, pokazując im jak ujarzmić pustynię.

Taki był początek ich wielkości.

Zamrugłem oczami zapominając na chwilę o niebezpieczeństwie. Ojciec nigdy mi o tym nie wspominał;

nie słyszałem tego również w żadnej z opowieści kupców, opisujących spotkania z tym plemieniem.

Czarnoskóry powitał Janosza, a ten z szacunkiem pochylił przed nim głowę. Pośpiesznie zrobiłem to samo.

Kapitan, wyjął miecz, dotknął nim czoła i wręczył go *Ham'u*. Wódz powtórzył gest Janosza i oddał mu

miecz z powrotem. Janosz ponownie przemówił wskazując na mnie. *Ham'u* wziął mój miecz od strażnika i

powtórzył cały rytuał. Ukłoniliśmy się jeszcze raz i wódz pokazał nam, byśmy dołączyli do obozujących.

- Teraz jesteśmy gośćmi honorowymi Iforów. Od tej chwili, aż do zmierzchu trzeciego dnia, będą

traktowali

nas jak krewnych. Przez ten czad będą nas gościć, ochronią przed nieprzyjaciółmi, a gdyby któremuś z nas

przytrafiło się nieszczęście, pomszczą nas krwawo.

- A co by się stało gdybyśmy zostali tu dłużej?

- Ech - Janosz machnął niedbale ręką - długo by o tym mówić.

Poprowadzono nas do wielkiego ogniska. Na ziemi leżały dywaniki i sterty poduszek służących jako siedziska i oparcia. W wokół stały namioty o sklepieniach w kształcie beczki, wykonane z farbowanych na

czerwono skór jakiegoś zwierzęcia. Dookoła ogniska spoczywało kilkudziesięciu mężczyzn i kobiet.

Przedstawiono mnie jakiemuś człowiekowi, który uklonił mi się, jakbym był królem wszechświata, i czym

prędzej znalazł dla mnie miejsce. Machnął ręką i z cienia wyłoniła się zgrabna służka, kilka lat młodsza ode

mnie. Zamienili ze sobą kilka słów; zachichotała i dygnęła wdzięcznie. Następnie zniknęła w jednym z

namiotów i wyszła po chwili niosąc płaską misę. Wziąłem ją i spojrzałem pytająco na Janosza, oczekując

wyjaśnienia, lecz on rozciągnął się na poduszkach gruchając czule z dwiema dzierlatkami.

Wreszcie polecił:

- Wypij.

- Co to jest?

- Po prostu wypij. Później ci wyjaśnię. Wypij wszystko, w przeciwnym razie obrazisz gospodarzy. -

Posłuchałem i nagle poczułem, że za chwilę eksploduję. Świat zamigotał i zawirował w szalonym tańcu.

Żołądek wywrócił mi się w geście protestu. Jakimś cudem jednak napój pozostał wewnątrz rozsyłając po

trzewiach przyjemne ciepło, które niebawem przerodziło się w ogień, pulsujący coraz intensywniej.

Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak usiądę. I to jak najszybciej. Dziewczyna wzięła ode mnie misę, a ja

opadłem bezwładnie na poduszki.

- To *deph* - odezwał się Janosz. - Sfermentowane mleko klaczy ze sfermentowaną krwią bydła. To wszystko łączy się z kwiatami pewnego krzewu, używa mumi przez ich *Ham'u*, aby zapewnić sobie bystrość

wzroku. Można by pomyśleć, że poznali tajniki destylacji, biorąc pod uwagę wpływ, jaki wywiera na ludzi

ten napój. W rzeczywistości *Ham'u* odmawia nad mieszanką zaklęcie, po którym płyn staje się tym, czym

jest teraz Jak dotąd nie udało mi się przekonać żadnego z nich, aby nauczył mnie tej rymowanki -

powiedział. - Gdybym poznał te słowa, nie potrzebowałbym wojska, miecza ani człowieka do pokrycia

kosztów wyprawy.

Jedna z towarzyszących Janoszowi kobiet podała mu identyczną misę. Opróżnił ją, po czym rzucił za siebie.

- Jedną z większych zalet Iforów są córki tego plemienia. Mimo że pogardzają słabeuszami z wodnych ziem,

jak nazywają wszystkich z wyjątkiem swoich współplemieńców, uważają, że każda młoda kobieta powinna

od czasu do czasu zabawić się w kurtyzanę. Powracają obładowane srebrem, które wymieniają na kozy i

konie, a następnie wychodzą za mąż, wielce poważane. Zamożność małżeństwa wiąże się ściśle z

sukcesami, jakie odniosły w poprzedniej profesji. Takie jest przeznaczenie młodej kobiety, chyba że

auspicje odczytywane każdej po zakończeniu pierwszego roku życia wskażą, że ma zostać wodzem lub doradcą, co

37

jest najwyższym błogosławieństwem - albo też kobietą całego obozu, czyli kimś najniższym w hierarchii.

Aha, kobieta, która siedzi obok ciebie, jest córką człowieka, którego *Ham'u* uznał za godnego roli twego

gospodarza. Mówią na nią Tepon.

Może to wpływ *depshu*, a może po prostu zaczynałem się aklimatyzować, lecz zamiast zmarszczyć brwi z

oburzeniem na to, co większość Orissan uznałaby za nieobyczajowość, odwróciłem się i uśmiechnąłem do

dziewczyny. Wyraźnie zachęcona, przysunęła się jeszcze bliżej pozwalając, aby rąbek zwiewnych szat

rozchylił się ukazując wspaniałe, jędrne ciało. Poczulem woń róży i piżma.

Tepon uśmiechnęła się lekko podmalowanymi ustami, jej oddech pachniał słodko. Wypiłem jeszcze, głęboki łyk *depshu*. Dziewczyna przemówiła do mnie delikatnym, melodyjnym głosem. Pokręciłem przecząco głową. Nie rozumiałem.

- Mówi, że masz piękny kolor włosów. Jak wschód słońca na pustyni - przetłumaczył Janosz.

Bąknąłem coś niewyraźnie i nagle doznałem olśnienia.

- Janoszu, mój przyjacielu. Zakładam, że Iforowie są ludźmi?

- W rzeczy samej.

- A zatem na pewno nie goszczą nas za darmo. Chyba że zahipnotyzujemy ich moimi włosami i twoją elokwencją.

- Pewnie, że nie darmo - zaczął Janosz, lecz w tej chwili jeden z koczowników wstał z ziemi i zaczął potrząsać bogato zdobioną kołatką. Usłyszeliśmy dźwięki fletu, do którego dołączył jeszcze jeden.

Zadźwięczały cymbałki. Wielki bęben dudnił rytmicznie. - Oho - odezwał się Janosz. - Tego znam. A jego

cena jest niewygórowana.

Wstał i zaczął rozbierać jedną z dziewcząt, która nagle zainteresowała się, co też Janosz ukrywa pod tuniką.

Wziął swój krótki miecz, podrzucił go do góry i złapał za rękojeść.

- Nie - zdecydował. - Potrzebny mi prawdziwy miecz, nie jakaś ozdoba. - Wsunął kord do pochwy i rzucił

nim o ziemię. Podniósł wysoko głowę i krzyknął coś w języku Iforów. W chwilę później poszybował ku

niemu z ciemności wspaniały, rzeźbiony oręż. Janosz złapał go, podrzucił i znowu złapał; ostrze obróciło się

kilkakrotnie w powietrzu, odbijając światło ogniska i oślepiając mnie na moment. *Ham'u* podniósł się i

zaczął rytmicznie skandować tekst, który Janosz ilustrował tańcem. Może sprawiły to zioła znajdujące się w

napoju, a może moja wyobraźnia działała wyjątkowo silnie, lecz rozumiałem jasno opowieść, jaką Janosz

przekazywał podczas tańca, z początku powolnego, później coraz bardziej dynamicznego. Miał na sobie

tylko biały chiton. Snuł historię wielkiego wojownika, który, pokonany przez zło i magię, musiał uciekać ze

swego namiotu w głąb pustyni, gdzie trudno znaleźć nawet kości dzikiego osła. Długi czas błąkał się

samotnie. Potwory ze, słonego bagniska nastawały na jego życie - tu ostrze Janosza błysnęło kilkakrotnie

akompaniując recytacji - lecz pokonał je w ciężkiej walce. Gdy tak szedł zgubiony, samotny, potykając się,

bliski śmierci, bóg wiatru pustynnego ulitował się nad nim.

Janoszowi towarzyszyły w tańcu te same dziewczyny, które poprzednio siedziały u jego boku. Poruszały się

wdzięcznie, dotykając go co chwila. Opowieść płynęła dalej: duch wiatru nakarmił go, dodał mu siłę i zabrał

przez piaski do namiotów nieprzyjaciela. Janosz tańczył teraz sam siekąc błyskawicznie mieczem, jakby

walczył z niewidzialnym wrogiem. W końcu wojownik odniósł zwycięstwo, a jego przeciwnik legł martwy

Całe bogactwo należało teraz do niego, lecz wojownik wybrał inną ścieżkę. Postanowił powrócić na

pustynię. W objęcia pustynnego wiatru.

Janosz przerwał, gdy deklamacja dobiegła końca. Ciszę przerywało jedynie trzaskanie polan w ognisku.

Nagle powietrze wypełniło się melodyjnym dzwonieniem cymbałów; raz, dwa, trzy. Silny podmuch przemknął przez obozowisko. Janosz skłonił się. Przed Iforami? Przed wiatrem? Przed opowieścią? Nie

miałem pojęcia. Dwie kobiety podeszły do niego, ujęły za ręce i poprowadziły do jednego z namiotów.

Znów krawędź misy dotknęła mych ust. Upiłem łyk. Położyłem się przy Tepon. Jej delikatne palce, penetrowały zakamarki mego ciała. Z jakiejś przyczyny poczułem, że właśnie nadszedł odpowiedni moment.

- Janosz! - krzyknąłem stłumionym głosem.

- Słyszę cię.

- Czy będziesz mi towarzyszyć? Do Odległych Królestw?

Jakby znikąd nadleciał gromki śmiech.

- Oczywiście! Oczywiście! Myślałem, że już nigdy o to nie poprosisz!

Potem nie było już nic, oprócz Tepon i namiotu, który nagle rozkwitł nad nami. Byliśmy sami, jej ciało i

ogień z ogniska.

38

Zbudziłem się w biały dzień. Miałem na sobie jedynie pelerynę owiniętą wokół talii. Z odległości nie

większej niż stopa przyglądał mi się uparcie jakiś ciekawski kozioł. Leżałem na skalistej ziemi w silnym

świecie słońca. Tepon spoczywała obok opierając głowę na moim brzuchu. W głowie dudniły mi bębny z

ubiegłej nocy.

Odległe Królestwa. Moje przeznaczenie.

Magowie

Moja siostra Rali wróciła z placu ćwiczeń, zdjęła z siebie pancerz i cisnęła go na podłogę.

- Jeżeli mnie kochasz, drogi bracie - jęknęła - przynieś mi coś do picia, zanim upadnę. -
Pośpieszyłem do

kominka, na którym nastawiłem wcześniej do zaparzenia silny, dobrze przyprawiony wywar. Za pomocą

szczypiec podniosłem blaszany dzban i napełniłem puchar parującym, aromatycznym płynem. Był to ulubiony napój mej siostry. Wyszczrzyła zęby w radosnym uśmiechu, kiedy wręczyłem jej kielich.

- Cóż za oddany brat - westchnęła. - I wcale nie samolubny. Gotów spełnić najmniejszy kaprys swojej

siostry, nie oczekując w zamian nagrody. - Pociągnęła tęgi łyk.

- Nie dokuczaj mi, Rali - poprosiłem. - Mało co spałem od czasu naszej ostatniej rozmowy w zeszłym

tygodniu.

- Och, proszę, nie uskarżaj mi się na problemy ze snem. - Roześmiała się perliście. - Coś mi się widzi, że

przemyciłeś kolejną porcję eliksiru miłości dla jakiejś laleczki i wymęczyła cię okrutnie w pościeli.

Przemierzyła pokój, poruszając zgrabnie się na pięknych, długich nogach, zrzuciła sandały i usadowiła się na

kanapie. - Chodź i pomasuj mi stopy - zaproponowała tonem nie znoszącym sprzeciwu - a wszystko ci

powiem.

Pośpieszyłem, aby spełnić jej prośbę, ciekaw, po czyjej stronie zamierzała opowiedzieć się moja siostra.

Gdyby się sprzeciwiła, nie było szans, by ojciec przystał na plan Janosza poszukiwania Odległych Królestw.

Gdyby wyraziła aprobatę i zgodziła się pertraktować z ojcem, istniała nikła szansa, że pobłogosławi nasz

plan i co więcej, sfinansuje moją pierwszą ekspedycję.

Rali westchnęła, kiedy zacząłem masować jej zmęczone stopy, i znowu napiła się parującego napoju.

- To nudne życie mnie wykończy oznajmiła ponuro. - Każdy dzień jest podobny do drugiego. Wstaję rano,

żeby musztrować i ćwiczyć moje dziewczęta, potem obowiązki administracyjne aż do zmierzchu, a wreszcie

kolacja z Otarą przy przednim winie. Pod koniec dnia jestem tak zmęczona tą monotonią, że sama się sobie

dziwię, jeśli mam jeszcze dość siły, aby dać Otarze jakiś powód do narzekania.

Od wielu lat Otara była jej kochanką. Nieduża, przemiła dziewczyna o delikatnej urodzie, wprost szalała za

moją siostrą i z radością poświęciłaby swoje życie, aby uchronić ją od wszelkiego zła. Tak naprawdę, Rali

nie potrzebowała niczyjej pomocy; wysoka, silna, o sprężystych mięśniach i wąskich biodrach, wyglądała

imponująco. Przyszła na świat dziesięć lat przed moimi narodzinami i właśnie wchodziła w swój najlepszy

wiek. W ataku, szybka niczym wilk, dwukrotnie przewyższała skutecznością każdego myśliwego.

Doskonale władała mieczem, oszczepem i wreszcie twardym łukiem z rogów baranich. Nikt jednak nie

mógłby pomylić jej z mężczyzną, ani też ona nie próbowała ślepo naśladować stylu walki tej brzydszej

strony ludzkości. Przy uwodzicielskich kształtach ruchy miała niebywale sprawne, lekkie i zwinne. W

rozmowie była rzeczowa i zwięzła jak prawdziwy wojownik. Pamiętam z dzieciństwa, kiedy jeszcze

pozwalala mi wchodzić do komnaty kąpielowej, zaskoczenie na widok jej gładkiej skóry, mlecznobiałej w

miejscach, do których nie dotarły promienie słońca. Tam, gdzie moje włosy pałały ognistą czerwienią, jej

były koloru bladej przynicy. A te jej oczy, przejrzyste i błękitne jak morska woda... Niewielu mężczyzn

mogło się im oprzeć.

- Potrzeba mi porządnej walki, żeby pobudzić krew w żyłach - ciągnęła, gdy rozcierałem jej obolałe stopy. -

Albo przynajmniej ostrego marszu w jakimś określonym celu, byle nie ćwiczebnym. Zastraszenie wroga.

Oblężenie jakiegoś miasta. - Podniosła puchar do ust i przechyliła go energicznie. - Nie mam jednak

39

złudzeń, że coś takiego wkrótce nastąpi - westchnęła. - Sędziowie nie zezwolą na wymarsz gdzieś dalej,

poza mury Orissy. Chyba wierzą, że jakaś horda barbarzyńców doszczętnie spustoszy miasto pod naszą

nieobecność.

Rali piastowała stanowisko dowódcy Gwardii Maranon. W tamtych czasach w skład oddziału wchodziło

pięćset wojowniczek, kobiet zaślubionych Maranonii, bogini wojny. Wyrzekły się małżeństwa, macierzyństwa i wszelkich innych tradycyjnych dla naszej kultury ról kobiecych. Świetnie wyszkolone,

oddane były bez reszty obronie Orissy. Przeważnie nie żywiły do mężczyzn szczególnej nienawiści, lecz

wszystkie preferowały kobiety jako partnerki seksualne.

- Może przyniosę ci jeszcze jeden kielich wywaru? - zapytałem. - A może coś do zjedzenia? Mógłbym

przygotować wodę do kąpieli, jeśli sobie życzysz. A może wymyślisz dla swego brata jakieś inne zadanie,

moja piękna siostró? równie piękna jak mądra. Równie waleczna jak delikatna. Równie...

- Przestań, zanim mnie zemdli - zarządała i roześmiała się. - Dobrze, Almaryku. Zwyciężyłeś.

Zacząłem lekko gładzić jej stopy.

- Och, przemów do mnie, wyrocznio - zaintonowałem. - Wyjaw, co gnębi twe waleczne serce. - Rali

skręcała się ze śmiechu. Sprawił to nie tyle mój giętki język, co zwinne palce umiejętnie łaskoczące jej

stopy. Jeszcze w dzieciństwie znalazłem to czułe miejsce.

Moja siostra należała do tych ludzi, z którymi czułem się nadzwyczaj swobodnie. Nie miałem przed nią

żadnych tajemnic, nie było grzechu, którego nie potrafiłaby mi wybaczyć. Nigdy jednak nie nadużywała

mojego zaufania wścibiając nos w nie swoje sprawy. Bardzo liczyłem się z jej zdaniem, uważnie chłonałem

wszelkie rady. Przypuszczam, że właśnie z tej przyczyny starałem się unikać spotkania z nią podczas tych

długich miesięcy oczarowania Meliną, kiedy to straciłem resztki zdrowego rozsądku. Kiedy wreszcie się

spotkaliśmy, opinia Rali niewiele różniła się od słów Janosza. Poradziła, bym potraktował to przeżycie jako

nowe doświadczenie życiowe.

- Nie mówię ci, abyś odszedł i nie grzeszył więcej - rzekła wtedy. - Lecz przewiduję, że następnym razem

zgrzeszysz już w mniej kosztowny... i mniej jawny sposób. - Przyjrzała mi się bacznie swymi przejrzystymi,

błękitnymi oczyma i zapytała o najbliższe plany.

- Najwyższy czas, bym rozpoczął przygotowania do Odkrycia - odpowiedziałem - pomagając w ten sposób

naszemu ojcu.

- Szlachetne zamiary, drogi bracie - odparła. - Lecz zastanawiam się, czy aby naprawdę tego chcesz. Od

jakiegoś czasu podejrzewam, że twoje ostatnie zachowanie może mieć głębsze przyczyny niżli tylko

młodzieńcza fantazja. Może tak naprawdę nie pociąga cię perspektywa kupieckiego życia. - Jeszcze raz

przekonałem się o wielkiej przenikliwości mojej wojowniczej siostry. Być może walczyłem ze

swoim

nieciekawym przeznaczeniem, skazującym mnie na towarzystwo ludzi, których interesują jedynie pieniądze.

- Przejrzałaś mnie jak zwykle - odpowiedziałem uśmiechając się smutno. - Jeśli mam zostać kupcem, tak

jak nasz ojciec, nie chcę ograniczać się do przejęcia rodzinnego interesu. Chcę pozostawić po sobie ślad, być

czymś więcej niż tylko synem bogatego człowieka pasożytującym na dokonaniach swego ojca.

- W jaki sposób zamierzasz to osiągnąć? Czy w ogóle się nad tym zastanawiałeś? - zapytała.

Opowiedziałem jej o Odległych Królestwach i moim pragnieniu, aby uczynić z nich cel mego Odkrycia.

Opowiedziałem o Janoszu. Słuchała uważnie, nie wypowiadając swego zdania zanim nie skończyłem. - Nie

powiem „nie.” I nie powiem „tak.” - stwierdziła. - Tym razem nie usłyszysz ode mnie rady. Jednakże...

zasięgnę języka. A kiedy dowiem się czegoś więcej, zwłaszcza o twoim nowym przyjacielu, Janoszu Szarym

Płaszczu, usłyszysz moje zdanie.

Nadszedł czas na decyzję. Chociaż cały czas dowcipkowałem, z niepokojem oczekiwałem jej opinii. Rali

podkuliła nogi i wyprostowała się na kanapie.

- Przynieś mi jeszcze odrobinę tego wywaru, proszę - powiedziała - a powiem ci, czego się dowiedziałam. -

Bezwłocznie spełniłem jej prośbę i usiadłem obok, z trudem uspakajając przyśpieszony oddech.

- Wybacz mi, Almaryku - zaczęła - ale zabrałam się do tej sprawy niezbyt delikatnie. Zamiast sprawdzać

celowość twego Odkrycia, zaczęłam wypytywać o twego przyjaciela, podejrzewając, że okaże się zwykłym

łajdakiem. - Podniosła rękę odrzucając mój niemy protest. - Musisz przyznać, że ostatnio obracałeś się w

wielce nieodpowiednim towarzystwie, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Z tego co zrozumiałam, Janosz

Szary Płaszcz jest nowo poznanym kompanem. - Przytaknąłem skinieniem głowy.

- Na początek - ciągnęła - porozmawiałam z kilkoma znajomymi ze Straży Przybocznej Sędziów. Wniosek?

Janosz jest nie tylko wspaniałym wojownikiem, lecz również utalentowanym przywódcą i organizatorem. -

40

Westchnąłem z ulgą. - Nie oceniaj mych słów zbyt pochopnie - ostrzegła Rali. - Nie wszystko jest takie

wspaniałe. Kapitan Szary Płaszcz, jak się okazuje, w trakcie krótkiej służby zdążył przysporzyć sobie sporo

wrogów. Chociaż sądzę, że główną przyczyną jest zazdrość oraz pewność siebie tych pajaców.

- Należy wziąć pod uwagę jego pochodzenie oraz służbę w Likancie - wtrąciłem nieśmiało.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła moja siostra. - Tak się składa, że te fakty przemawiają raczej na jego

korzyść. Matka Janosza, Orissanka z rodziny Ketherów, miała reputację idealistki o wybuchowym temperamencie. Ojciec, książę Kostromy, podczas jednej z niezwykle rzadkich wypraw do Orissy poznał

młodą córkę rodu Ketherów. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. W owym czasie wywołali

niezły skandal, zwłaszcza kiedy matka Janosza zawiodła wszelkie nadzieje swojej rodziny, uciekając z

młodym księciem. Myślę, że obydwójce już nie żyją, chociaż nikt nie zna okoliczności ich śmierci.

Ta historia częściowo wyjaśniała, dlaczego Janosz tak niechętnie rozmawiał o rodzicach.

- Jak to się stało, że służył u Likantyjczyków - kontynuowała moja siostra - tego nie wiem. Podejrzewam

jednak, że po śmierci rodziców potrzebował środków do życia.

- Jest dość ubogi - przyznałem. - Odniosłem wrażenie, że na swoje utrzymanie w Straży wydaje

wszystkie

oszczędności.

- Owszem - przyznała Rali. - Najwyraźniej traktuje to jako inwestycję. Chciał poznać odpowiednich ludzi,

którzy pomogliby mu wznieść się na wyżyny.

- I to ja mam być tym odpowiednim człowiekiem? - zapytałem zaniepokojony. Czyżby znowu ktoś chciał

mnie wykorzystać?

Siostra poklepała mnie po ręce.

- Nie przeceniaj znaczenia moich słów - poprosiła. - Możliwe, że jest ubogi, lecz nie sądzę, by zdobycie

bogactwa stanowiło główny cel jego życia.

- Sam to powiedział - rzuciłem nerwowo, nie mogąc sobie wybaczyć, że przed chwilą nie stanąłem w jego

obronie.

- Zdaje się, że rodzina Ketherów, a raczej to co z niej zostało, kisiła się we własnym sosie do czasu, kiedy

Janosz pojawił się w Orissie. Uznali, że na pewno złoży im oficjalną wizytę i będzie dowodził więzów krwi,

prosząc o wsparcie. Oczywiście spotkałby się z odmową. Cała rodzina uważała, że jego roszczenia byłyby

bezpodstawne, ponieważ bezpośrednia linia ze strony matki wygasła. Jej ojcu, jak powiadają, pękło serce z

boleści, gdy córka okryła go i hańbą, łącząc się z barbarzyńskim księciem.

- On jednak nie poszedł do nich, prawda? - odezwałem się z satysfakcją.

- Ależ oczywiście, że poszedł. Odwiedził swojego wuja. Ku ogromnej uldze starego kutwy, kapitan Szary

Płaszcz nie tylko okazał się wielce dystyngowanym człowiekiem, lecz uświadomił wujowi, że nie ma

najmniejszego zamiaru prosić o wsparcie powołując się na rodzinne koneksje.

- Chwała mu za to - powiedziałem.

- Tak. To rzeczywiście sugeruje, że ten człowiek kieruje się uczciwymi intencjami. Niestety, uczciwość nie

zapobiega wypływowi monet z jego chudego trzosika. - Rali opróżniła kielich i postawiła go na stole. - Aby

się upewnić co do mojego pierwszego wrażenia - mówiła dalej - poszłam go odwiedzić.

Nie posiadałem się ze zdumienia. Siedziałem w pełnym napięcia oczekiwaniu. - No i co? - ponagliłem.

Moja siostra roześmiała się szczerze.

- Uważam, że twój przyjaciel to niebezpieczny szaleniec. - Spochmurniałem, nie wiedząc co myśleć o jej

komentarzu i śmiechu. - Szczególnie w stosunku do kobiet - sprecyzowała. - Wie doskonale, jak z nami

rozmawiać, jak prawić komplementy, łechtać naszą próżność, wynosząc walory umysłu ponad wygląd.

Patrzy ci prosto w oczy, ważąc każde twoje słowo, jakby było drogocennym klejnotem. Świetnie nam się

rozmawiało. Na koniec dał mi wyraźnie do zrozumienia, oczywiście niezwykle delikatnie i kulturalnie, że

niczego bardziej nie pragnie jak obsypać moje ciało pieszczotami.

- Co takiego? - krzyknąłem wściekły na Janosza, że obraził moją siostrę.

Rali roześmiała się jeszcze głośniejsze.

- Och, szkoda, że nie widzisz swojej miny. W połączeniu z włosami oświetliłaby całą okolicę jak błyskawica podczas burzy. Nie bądź taki protekcyjny, szczególnie gdy nie jest to konieczne. Tak jak

mówiłam, uczynił to niezwykle kulturalnie, sugerując tylko taką możliwość. To mi nawet pochlebiło.

Szczerze mówiąc, gdybym kiedykolwiek zastanawiała się nad pójściem do łóżka z mężczyzną, choć to

obrzydliwa myśl, twój przyjaciel miałby spore szanse. Jest niezwykle atrakcyjny. Gdyby nie ta blizna, można

by go nazwać aż zanadto przystojnym.

41

Poczułem ulgę i radość.

- A zatem aprobujesz mój wybór?

- O tak, jak najbardziej. To dobry wojownik. Praktyczny. I jestem pewna, że dołoży wszelkich starań, byś

wrócił z Odkrycia cały i zdrowy.

- A sam pomysł? - spytałem. - Mój plan odszukania Odległych Królestw?

- Myślę, że jest zupełnie szalony - stwierdziła moja siostra z poważną miną. - Lecz myślę również, że do

końca życia będziesz żałował, jeśli nie wyruszysz w tę podróż.

Pochyliła się do przodu, skupiona na tym, co miała za chwilę powiedzieć.

- W pewnym sensie jestem o ciebie zazdrosna, Almaryku. Ta zazdrość sprawia, że brzydzę się wszystkich

mężczyzn. Kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam o takiej przygodzie. Szybko się jednak przekonałam,

że od samego urodzenia jestem niejako skazana na własną pleć. Mogłabym wyjść za mąż i rodzić dzieci

jakiemuś łajdakowi, który zawładnąłby każdą chwilą mego życia. Mogłabym być czyjąś konkubina, co,

zważając na moje upodobania, byłoby dla mnie takim samym piekłem, a zresztą moje pochodzenie nie

pozwoliłoby mi na podobny krok. Dziękuję bogom, że urodziłam się z talentem do ćwiczeń fizycznych

typowym dla rodziny Antero, że mam kochającego ojca i wyrozumiałą matkę, którzy pozwolili mi wstąpić

do Gwardii Maranońskiej. Wierz mi, po stokroć wolę mają obecną nudę niż jakąkolwiek inną jej

postać,

doświadczaną przez moje siostry w tym mieście.

- A zatem wstawisz się za mną u ojca? - spytałem.

- Tak. Ale z dużo głębszej przyczyny niż tylko chęci zaspokojenia młodzieńczego zamięłowania do włości. Jeśli ci się powiedzie, oddasz cios wymierzony w rodzinę Antero. Wtedy ukrócisz te plotki na

nasz temat, które dochodzą z Rady Magów. Nie pomścimy w ten sposób naszego brata, lecz biedny Halab

będzie spoczywał w pokoju.

- Wydawało mi się, że kilka dni temu w tawernie widziałem jego ducha - odezwałem się cicho. - Tej nocy,

gdy spotkałem Janosza. Uśmiechnął się do mnie i podniósł kciuk na znak zachęty.

- Wspaniały omen - przyznała siostra. - Duch Halaba wiedział, co się stanie.

Zapadła długa przerwa wypełniona ciszą, jak zawsze, gdy wspominaliśmy naszego brata. Na swoje nieszczęście wtargnął do świata magów. Sam miał magiczny talent. Już w dzieciństwie odkrył w sobie

prorocze zdolności, które potrafiły napędzić strachu służącym, kiedy trafnie przewidywał niechciane ciążę.

Rali wyznała kiedyś, że Halab wiedział dużo wcześniej o zbliżającej się śmierci naszej matki i spędził sześć

miesiący okryty milczącą żałobą, zanim nastąpił ten tragiczny moment.

Pamiętam tylko kilka chłopięcych sztuczek, jakie pokazywał, by mnie rozweselić albo ukoić. Miałem ulubioną fretkę, którą wszędzie ze sobą nosiłem. Mieszkała i jadła w mojej kieszeni a w nocy zwijała się w

kłębek przy poduszce. Pewnego dnia zachorowała i zdechła - było to wkrótce po śmierci mej matki, więc

tym silniej odczułem stratę. Rozchorowałem się ze smutku i goryczy i omal nie zszedłem z tego padołu,

trawiony silną gorączką. Halab wykopał fretkę z grobu w ogrodzie, w którym ją pochowałem. Pamiętam, jak

zbudziło mnie jego rytmiczne skandowanie. Siedział na podłodze przy moim łóżku, wymachując bezwładnym ciałkiem zwierzaka nad błękitnym płomieniem wykwitającym z miedzianej misy. Do moich

nozdrzy doleciał odór przypalanego mięsa. Halab sypnął jakimś proszkiem w płomień, nie przerywając

skandowania, i nagle ohydny smród zamienił się w cudowną, słodką woń. Wtedy dmuchnął na martwe

zwierzę, okręcając je na ogonie.

Ułożył je na moich piersiach i nakierował moją rękę na zimne ciało.

- Ogrzej ją oddechem, Almaryku - powiedział tak czule, że wciąż słyszę jego głos mimo upływu lat.

Dmuchałem. Odniosłem wrażenie, że chłód ustąpił miejsca ciepłu. Poczulem lekkie poruszenie, a potem

pisk. Ukochana fretka wetknęła nosek pomiędzy moje palce. Wydałem z siebie głośny okrzyk radości na

widok małego pyszczka i czarnych oczek świecących pełnią życia. Mówią, że wkrótce potem gorączka

ustąpiła. Po niecałym tygodniu znów podskakiwałem niczym młody źrebiec, szczęśliwy, z fretką w kieszeni.

Nawet dzisiaj, kiedy wspominam tamte czasy, nie wiem czy się uśmiechać, czy płakać. Wszyscy

kochaliśmy Halaba. Z szacunkiem, i strachem odnosiliśmy się do jego nadzwyczajnych umiejętności. Teraz

zdaję sobie jasno sprawę, że ów strach, w przypadku mojego ojca, był usprawiedliwiony. Brat chciał zostać

magiem. Pragnął zgłębić tajniki wiedzy magicznej. Niestety jego pragnienie ujarzmenia nadprzyrodzonych

sił kłóciło się z polityką tamtych czasów. Mój brat, idealista, romantyk, postrzegał swe zdolności jako

możliwość niesienia pomocy mieszkańcom Orissy. Marzył o tym, by ulecząć chorych, nieść ulgę

biednym i

uciemnionym, obarczonym brzemieniem niewolnictwa.

42

Rada Magów, z drugiej strony, dążyła do tego, aby za wszelką cenę utrzymać swoje wpływy w Orissie.

Żaden sędzia, bez względu na powagę swej pozycji czy świetność rodowego nazwiska, nie mógł podjąć

decyzji bez uprzedniego błogosławieństwa Rady. Żaden kupiec, rzemieślnik czy kurtyzana nie mogli

wykonywać swej pracy nie płacąc wyznaczonej dziesięciny. Mój brat otwarcie i uczciwie mówił o swych

ambicjach, dlatego też magowie, choć z wyraźnymi oporami, zgodzili się rozważyć propozycję przyjęcie go

w swoje szeregi. Siostra powiedziała mi, że sprawdzali go dokładniej niż innych kandydatów. Zadając

pytania nie ukrywali wrogości, jakby mieli przed sobą kogoś znacznie niżej urodzonego.

Magowie odrzucili kandydaturę mego brata twierdząc, że nie zdał egzaminów. Trafili jednak na twardego

człowieka. Halab zażądał ostatecznego testu: Sądu Bożego zwanego Ciężką Próbą. Podobno całe miasto

wrzało, kiedy nadszedł wyznaczony dzień. Mój brat nie kwestionował mądrości Rady i postanowił poprosić

bogów o rozstrzygnięcie. Szczegóły próby okryte były tajemnicą, lecz wszyscy wiedzieli doskonale, że

niepowodzenie oznaczało śmierć. Tamtego dnia wszedł do świątyni... i już nigdy z niej nie wyszedł.

Magowie rozgłosili wszem i wobec, że umarł, ale odmówili rodzinie prawa do pochówku. Nie odbyły się

obrzędy otwierające ostatnią drogę. Duch Halaba został skazany na błądzenie w mrocznej otchłani pomiędzy

tym życiem a następnym.

Zapłaciliśmy wysoką cenę za marzenia Halaba. Moi bracia często skarżyli się na magów, lecz tylko wśród

swoich; jawnie okazywali swój wstyd za brata. Ojciec nigdy nie wypowiadał się na ten temat publicznie. Nie

ze strachu, lecz dla dobra rodziny i przyszłych pokoleń. Wiem dobrze, że nienawdził magów. Rali i ja

podziwialiśmy tę nienawiść.

Rali poruszyła się na kanapie. Uśmiechnęła się, lecz widziałem ze smutnego wygięcia jej ust, że nasze myśli

błąkały się po tych samych ponurych rozdrożach.

- Daj mi tydzień - przemówiła w końcu. - Wiesz jak ojciec mnie kocha, lecz mimo to potrzebuję trochę

czasu na przygotowanie odpowiednich pomysłów.

- Weź ze sobą Otarę - poradziłem. - Jej wizyty nieodmiennie go radują.

- Och, oczywiście. Musisz mi jednak coś obiecać, drogi bracie - rzekła.

- Co tylko zechcesz. Podaj nazwę góry, a wejdę na nią. Przemierzę pustynię albo ukradnę jakiś skarb.

- Obiecuj, tylko że będziesz unikał kłopotów?

- To o wiele trudniejsza sprawa - przyznałem szczerze. - Ale postaram się ze wszystkich sił... obiecuję.

- NIE POPIERAM owej ekspedycji - rzekł mój ojciec. Zupełnie nie byłem przygotowany na jego słowa. Rali

dobrze przygotowała grunt i byłem pewny, że ojciec aprobuje plan.

- Proszę, ojcze - zacząłem błagać. - Wątpię, by jeszcze kiedykolwiek nadarzyła się podobna okazja.

Błagam... musisz udzielić mi swego błogosławieństwa.

- Ja niczego nie muszę, Almaryku - odparł. - Oprócz płacenia dziesięciny Radzie Magów, podatków na

sędziów i złotej monety dla Poszukującego, aby moje przejście na tamten świat uczynić bezbolesnym i

szybkim. Te rzeczy muszę robić. Natomiast przychylnie potraktowanie głupiej eskapady wymyślonej przez

popędliwego syna nie należy na szczęście do wymagań, jakie stawia przede mną życie.

- Wybacz mi te głupie słowa - powiedziałem skruszony. - Powiedz, proszę, co powinienem uczynić, aby cię

przekonać. A może uznajesz cel wyprawy za nieosiągalny? Czy wątpisz w istnienie Odległych Królestw? -

Ojciec patrzył na mnie. Bez złości czy surowości, lecz z ogromnym znużeniem. Nie musiał używać słów, by

mi odpowiedzieć. Pamiętam, że w tamtych dniach ojciec wydawał mi się niezwykle stary, chociaż sam

jestem teraz o wiele starszy niż on w dniu owej konfrontacji. Srebrzyste pasemka znaczyły gęstą czuprynę

ojcowskich włosów, ułożonych w kształt hełmu - oznaka wieku. Niewielka bródka również jaśniała bielą.

Twarz porwana bruzdami i wysuszona skóra świadczyły o licznych podróżach. Duże, silne dłonie zdążył już

naznaczyć bezlitosny czas. Lecz teraz zdaję sobie sprawę, że Paphos Karima Antero, patriarcha naszej

rodziny, wówczas dopiero co przekroczył szczytowy punkt swoich możliwości. Wydawał mi się taki mądry!

Przypuszczam, że patrzyłem na niego jak na boga, więc kiedy utkwiał we mnie uporczywy wzrok, poczułem

się niezwykle mały i niewiele warty. Zacząłem myśleć, że to we mnie leży przyczyna niechęci ojca. To moja

osoba sprawia, że podróż do Odległych Królestw wydaje mu się pozbawiona sensu.

Poza trzaskaniem płomieni w kamiennym kominku - ojciec zawsze marzył - w pokoju panowała cisza, a ja

zastanawiałem się głęboko, jak wpłynąć na jego opinię.

- Wiem, że bardzo się mną rozczarowałeś, ojcze - rzekłem w końcu. - Nie możesz mi wybaczyć ostatnich

wybryków. Jeżeli powiem, jak strasznie mi przykro z tego powodu, będzie to mizerna rekompensata za moje

grzechy. Zdaję sobie sprawę, że żadne przeprosiny nie są w stanie ich zmazać.

Ojciec nie spuszczał ze mnie spokojnego, mądrego spojrzenia.

- Możliwe, że wygląda to na głupi entuzjizm młodzika - mówiłem dalej. - Biorąc pod uwagę moją przeszłość, na twoim miejscu również odrzuciłbym ten plan. Ale błagam cię, ojcze, abyś wejrzał do mego

serca i dostrzegł prawdę. Nie pragnę niczego bardziej niż cię zadowolić i uspokoić wszelkie podejrzenia co

do moich przyszłych poczynań. Chcę być wart nazwiska Antero, chcę, aby mój ojciec mógł być ze mnie

dumny. - Umilkłem nie mogąc znaleźć słów.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - spytał ojciec szorstko.

- Nie, panie. Pragnę postawić sprawę jasno: bez względu na to, jaka będzie ostateczna decyzja, zastosuję się

do niej bez szemrania i wyruszę na takie Odkrycie, jakie uważasz za odpowiednie dla takiego jak ja.

Jednakże zanim ogłosisz werdykt, proszę cię: rozważ po stokroć mą prośbę. Dla większości młodzieńców w

moim wieku Odkrycie stanowi jedynie pretekst do podróżowania i nurzania się w przyjemnościach na koszt

bogatych ojców. Podczas tych wypraw nie odkrywamy nowych lądów, nie poszerzamy naszej wiedzy o

świecie, a na szlakach handlowych wciąż napotykamy siły nie do przebycia, które powstrzymują Orissan

przed osiągnięciem najważniejszego celu. Twoje pokolenie, ojcze, było ostatnim, które poszerzyło granice.

Ty sam wiele lat temu zmieniłeś mapy za sprawą swego Odkrycia, a spora część wiedzy o najdalej

położonych zachodnich obszarach pochodzi z twoich późniejszych ekspedycji handlowych. Musisz jednak

przyznać, że tradycja Odkrycia Własnego Wiatru Handlu przeobraziła się w parodię. Stała się dla synów

bogaczy wymówką do wydawania fortuny swych ojców na zagraniczne luksusy, kobiety, wino, oczywiście

poza zasięgiem pruderyjnej orissańskiej opinii. Przywożą z powrotem jedynie wiadomości z pierwszej ręki

na temat najlepszych tawern, oberży i zajazdów, jakie można znaleźć w cywilizowanym świecie.

- Zamierzasz postąpić inaczej? - spytał oschle ojciec.

- Tak, ojcze. Z tego właśnie powodu proszę jeno o dziesiątą część pieniędzy zwykle przeznaczanych na ten

cel. Mam zamiar dokonać prawdziwego Odkrycia, ojcze. Nie będę kupował wspaniałych ubrań, by wyrzucić

wrażenie na kurtyzanach. Nie proszę też o monety na towarzystwo moich przyjaciół, choć stało się to już

zwyczajem. Nie pragnę luksusów, jakie zwykle zabierają ze sobą takie wyprawy: wspaniałych namiotów,

dywanów, poduszek, mających zmniejszyć trudy podróży; win i innych delikatesów, aby ulżyć podniebieniu

po barbarzyńskim pożywieniu; niewolników, aby wykonywali brudną robotę; kobiet, aby dały ulgę naszym

namiętnościom, kiedy zawiodą nas miejscowe przyjemności. Chcę, aby ta wyprawa była zorganizowana

najlepiej jak to tylko możliwe, środkami na tyle małymi, by przyniosła jakieś profity, nawet jeśli nie osiągniemy głównego celu. Co więcej, wierzę, mój ojcze, że miałem ogromne szczęście spotykając kapitana

Szarego Płaszczka. Jego obecność podwaja szanse powodzenia tej ekspedycji.

- A gdybym zaaprobował pomysł Odkrycia, ale o innym celu podróży? - spytał ojciec.

- Zastosował bym się do tego, ojcze - odparłem pochylając z szacunkiem głowę. - Ale wówczas, nie

mając u

boku Janosza Szarego Płaszczka, nie wykonałbym tego zadania równie dobrze. Niewątpliwie odczuwałbym

rozczarowanie, lecz przekonanie cię o mojej wartości jest dla mnie ważniejsze niż uniknięcie owego rozczarowania. - Umilkłem, bo zabrakło mi argumentów. W napięciu przygotowywałem się na porażkę,

błagając ducha Halaba, aby pomógł mi godnie przyjąć gorzką odmowę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tegry, służący ojca, wsunął głowę do komnaty. Uśmiech na jego twarzy

poszerzył się jeszcze, gdy Tegry zauważył moją rozterkę. Zapewne chichotał w duchu, ciesząc się z niechybnej kary za moje niegodziwe czyny.

- O co chodzi? - zapytał ojciec. Uśmiech Tegry'ego zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy. Ton ojca

wróżył niebezpieczeństwo.

- Prosiłeś, abym cię poinformował, panie, o przyjeździe kapitana Szarego Płaszczka.

Oślupiałem. Najwidoczniej mój ojciec planował, by Janosz był świadkiem mego ostatecznego upokorzenia.

Nie chciałem okazywać złości, ponieważ uderzyłoby to również w Janosza.

- Przyślij go tutaj - polecił ojciec. - I przynieś nam trochę wina. Tylko nie tego sikacza z rynku. Weź butelkę

z mojej piwnicy.

Poczułem klucie w żołądku, kiedy Tegry rzuciwszy mi nieprzyjazne spojrzenie, wyszedł wypełnić wolę

mego ojca.

Zachowanie ojca zdezorientowało mnie. To, co następnie powiedział, spotęgowało to uczucie.

44

- Przynajmniej raz nie kwestionuję kompanii, jaką sobie wybrałeś. I nie polegam tu wyłącznie na ocenie

twojej siostry. Kapitan Szary Płaszcz wydaje się wyśmienitym wojownikiem, wymarzoną do takiej ekspedycji... jeśli w ogóle do niej dojdzie. Wywarł na mnie duże wrażenie i zaprosiłem go, aby osobiście mu

to powiedzieć.

W korytarzu usłyszałem kroki Janosza i w jednej chwili zapragnąłem zapaść się pod ziemię.

- Wejdz, mój miły kapitanie - zawołał ojciec z uśmiechem, gdy Tegry zaanonsował Janosza. -
Dziękuję, że

tak szybko odpowiedziałeś na moje zaproszenie.

Janosz rozważnie skompletował swój strój i muszę przyznać, że naprawdę robił dobre wrażenie, gdy przy

drzwiach skłonił się z gracją.

- Zadowolenie z powodu twego uprzejmego zaproszenia sprawiło, że zjawiam się tak szybko, szlachetny

Antero - odpowiedział Janosz.

- Darujmy sobie te uprzejmości - zachnął się ojciec. - Powinniśmy rozmawiać jak równy z równym, skoro

masz poprowadzić wyprawę mego syna do Odległych Królestw. Przyjaciele mówią na mnie Paphos.

Nagle odniosłem wrażenie, że moja szczeka za chwilę uderzy w marmurową posadzkę. W głowie zakręciło

mi się najpierw ze zmieszania, a potem z czystej radości. Łzy mi napłynęły do oczu i poczułem dławienie w

gardle. Miałem ochotę paść do stóp ojca i wykrzyknąć słowa podziękowania.

Patriarcha uśmiechnął się i mrugnął do mnie.

- Nalej nam wina, które przyniósł Tegry, Almaryku - odezwał się. - Ciekaw jestem opinii Janosza.

Spełniłem polecenie szybciej niż zdążyłem o nim pomyśleć i rozdałem puchary. Janosz spojrzał na mnie

dziwnie, lecz odwróciłem wzrok, żeby nie robić z siebie jeszcze gorszego osła. Niewiele rozumiałem z

wymiany zdań między moim ojcem a Janosem. Musiała to być jednak przyjemna rozmowa, bo kapitan

śmiał się gromko z dowcipów ojca i milczał z szacunkiem, kiedy staruszek opowiadał o swych ulubionych

przygodach.

Nie przestawałem się zastanawiać, co umknęło mojej uwadze. Jeszcze przed chwilą Odkrycie wydawało mi

się niezwykle odległe. Teraz okazało się, że spotkał się ze szczerą aprobatą i błogosławieństwem ojca, który

właśnie wznosił kolejny toast najprzedniejszym ze swoich win. Czym go ująłem? Co takiego zmiękczyło

upór Paphosa Karima Antero? Wreszcie wydawało mi się, że zrozumiałem, przynajmniej częściowo. Jego

odmowa była swego rodzaju próbą. To nie moje słowa zaważyły, lecz pełna namiętności, szczerą obroną

własnych racji. Od tego czasu bardzo często stosowałem ten fortel. Z powodzeniem.

- Jest coś, co musimy ustalić od samego początku - usłyszałem słowa mego ojca.

- Cóż to takiego, panie? - zapytał Janosz.

- Z własnego doświadczenia wiem, że brak jednoznacznego określenia przywództwa i odpowiedzialności

bywa powodem niepowodzenia ekspedycji.

- Przewyższasz mnie mądrością, panie - powiedział Janosz. - więc nawet nie próbuję zaprzeczać twoim

słowom. Szczególnie że moje mizerne doświadczenie podpowiada to samo.

- To dobrze - stwierdził ojciec. - A zatem nie będziesz kwestionował mej pierwszej i jedynej zasady. Ty

będziesz odpowiedzialny za bezpieczeństwo wyprawy. Mój syn nie będzie się wtrącał do twojego postępowania z żołnierzami. Natomiast w sprawach handlowych czy finansowych liczyć się będzie słowo

mego syna. To jego Odkrycie i jego ekspedycja. I wreszcie to on odpowie przede mną za sukces lub niepowodzenie. Czy to rozumiałe?

- Jasne jak słońce - odrzekł Janosz.

. - Almaryku - wrócił się do mnie ojciec. - Jeśli istnieją jakieś kwestie sporne, należy je rozstrzygnąć teraz.

Nie chcesz chyba odwlekać ich rozwiązania do czasu, gdy na pustyni napadnie na was horda demonów. A

więc... zgadzasz się również na to, co powiedziałem?

Wciąż czułem się zbyt przejęty, by zdobyć się na coś więcej niż na energiczne pokiwanie głową i wykrztuszenie paru słów mających wyrazić moją najwyższą radość.

Janosz przerwał mi stanowczo:

- Daruj mi bezpośredniość, szlachetny panie - rzekł - lecz mam jedno małe zastrzeżenie.

Te śmiałe słowa wstrząsnęły mną. Co on wyrabia? Ojciec dopiero co wyraził zgodę, dlaczego Janosz

jeszcze naciska? Byłem przekonany, że ojciec natychmiast odwoła swoje pozwolenie.

- A cóż by to miało być, kapitanie? - zapytał ojciec zaskakująco jowialnym tonem.

- Pragnę jedynie poznać twoją opinię o ostatecznym celu wyprawy. Muszę cię ostrzec, panie, że nie zawaham się zaryzykować wszystkim, co zdobędziemy, kiedy już zbliżymy się do celu naszej podróży. Lecz

45

jeśli sądzisz, że uganiamy się jedynie za legendą... Nie jest jeszcze za późno, aby każdy z nas poszedł w

swoją stronę.

Zawalił sprawę, pomyślałem. Ojciec nie jest człowiekiem, który wierzy w legendy. Udało się go przekonać,

chyba tylko dlatego, że istniała duża szansa na zyski z wyprawy. Cel ostateczny schodził na dalszy plan, jeśli

tylko można było liczyć na handel po drodze. A teraz dobra wola ojca zostanie zaprzepaszczona

przez

ultimatum Janosza. Mimo to ciekaw byłem jego reakcji. Przypomniałem sobie, że zadałem wcześniej to

samo pytanie... i nie otrzymałem odpowiedzi.

Spodziewałem się ujrzeć furję w oczach ojca, więc tym bardziej zdumiał mnie wyraz zadumy na jego obliczu.

- To dobre pytanie - odezwał się wreszcie. - Sam chciałbym to wiedzieć, gdybym był na twoim miejscu. -

Ponownie napełnił puchar i popijał powoli. - Mamy wspólne marzenie, kapitanie - odezwał się. - Odległe

Królestwa trzymały mnie w objęciach swego czaru od wczesnego dzieciństwa.

Niewątpliwie usłyszał zdumione sapnięcie, jakie wyrwało mi się z ust, bo odwrócił głowę i obdarzył mnie

zagadkowym uśmiechem.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłem - wyjaśnił. - Ale wiele lat temu siedziałem tam, gdzie ty teraz siedzisz,

synu. Prosiłem wówczas swego ojca, aby zezwolił mi wyruszyć na wschód. Odmówił. Od tego czasu nie ma

dnia, w którym bym tego nie żałował.

Poczułem pustkę w głowie. Dopiero co oskarżałem ojca w myślach, że jest kupcem chciwym profitów,

człowiekiem zbyt ostrożnym, by ośmielić się marzyć.

- Ale... Jak on mógł to zrobić? Wszyscy wiedzą, że byłeś wielkim podróżnikiem. Wielu z naszych szlaków

handlowych nie znalazłybyśmy do dziś, gdyby nie ty.

Ojciec opędził się ruchem ręki od moich pochwał.

- Każdy mógł tego dokonać. Nie przemawia przeze mnie nadmierna skromność. Bogowie wiedzą, że trudno

mnie nazwać człowiekiem pokornym. Faktem jest jednak, że za moich czasów niewielu młodych ludzi

wyruszało na prawdziwe Odkrycia. A jak wiecie im skromniejsze grono, tym łatwiej o wyróżnienie.

Zdawałem sobie sprawę, że świat Orissy kurczy się szybko, zamiast rozszerzać. Sprawy pogarszały się

systematycznie od czasu naszego zwycięstwa nad Likantyjczykami. Teraz nie trzeba wiele wysiłku, by stać

się bogaczem. Wystarczy kilka rejsów do miłych, bezpiecznych portów, odkrytych w przeszłości. To dlatego

od moich czasów dokonano tak niewielu odkryć. Między innymi z tej przyczyny daję wam dzisiaj swoje

błogosławieństwo. Jeśli Orissa zaprzestanie poszukiwań, niebawem przestanie istnieć.

- A zatem naprawdę wierzysz w istnienie Odległych Królestw?

Ojciec zawahał się.

- Pozwól, że ujmę to w inny sposób... Pragnę wierzyć. Przecież musi istnieć jakieś miejsce, cel wypraw, cel

odkryć. Wszyscy przychodzimy na świat z przekleństwem tęsknoty do nieznanego. A jeśli dostajemy jedynie

dotychczasową skorupkę chleba rzuconą przez naszych braci, to jaki jest sens tego wszystkiego? Dlatego też daję ci

moje błogosławieństwo, synu. I tobie również, drogi kapitanie. Szukajcie Odległych Królestw. Znajdźcie je,

jeśli potraficie. Na bogów, jeśli Odległe Królestwa naprawdę istnieją, opuśćcie ten świat jako szczęśliwy

człowiek, wiedząc że rodzina Antero wypełniła swoje posłannictwo. - Uniósł puchar do ust i wypił do dna. -

Czy ta odpowiedź cię zadowala, kapitanie? - zapytał szybko.

- To więcej niż śmiałybym sobie życzyć - odpowiedział Janosz głosem wyrażającym najwyższy szacunek. -

Jestem ci niezmiernie wdzięczny, szlachetny panie.

- Nie trzeba mi podziękowań - rzekł ojciec i zwrócił się do mnie: - A zatem wszystko ustalone. Teraz pozostało jeszcze uzyskać pozwolenie od Rady Magów.

Poczułem tępe ukłucie w sercu. Zupełnie zapomniałem o magach. Nikt nie mógł wyruszyć na wyprawę

handlową bez ich aprobaty, którą najczęściej uzyskiwało się dzięki odpowiednio pękatemu trzosikowi i

obietnicom zwielokrotnienia jego ciężaru. Takie zabiegi nie gwarantowały jednak ich przychylności, szczególnie w przypadku naszej wyprawy, jako że różniła się ona wielce od zwyczajnych Odkryć moich

starszych braci. Na pewno będą rzucać kośćmi, nie sposób jednak przewidzieć, jak odczytają ich ułożenie -

szczególnie w przypadku członka rodziny Antero.

Ojciec zdawał się czytać w mej twarzy, więc czym prędzej napełniłem puchary.

- Zobaczymy, czy będę ci mógł pomóc - odezwał się. - Niektórzy mają u mnie pokaźne długi, a wszelkie

terminy spłaty dawno minęły. Tymczasem... - uniósł puchar. - Za Odległe Królestwa!

46

- Za Odległe Królestwa - krzyknęliśmy niczym echo. Kiedy opróżniliśmy kielichy, zerknąłem z ukosa na

Janosza. Uśmiechał się niepewnie. Przynajmniej nie ja jeden obawiałem się spotkania z Radą Magów.

W CZASACH KIEDY organizowałem Odkrycie, budżet ekspedycji podliczało się za pomocą metody, którą

według terminologii kupieckiej nazywano Regułą Trzech. Jedną część kosztów przeznaczano na wyposażenie, drugą dla uczestników wyprawy, trzecią dla bogów. Ewentualne zyski dzielono wedle Reguły

Czterech: dwie części dla kupca i jego pomocników, jedna część dla członków ekspedycji lub ich rodzin,

jeśli nie przeżyli, ostatnią część poświęcano bogom. Magowie zabierali daninę dla bogów. W owych

czasach

krążył dowcip, że najstarszy mag rzucał wszystkimi monetami wysoko w powietrze. To, co zostało w górze,

pozostawało u bogów. To, co upadło na ziemię, zabierali kapłani magii.

Niestety, żadna z reguł nie była dokładna. Już same koszty spotkania z Radą wydawały się wcale niebagatelne, jako że kupiec musiał obsypywać podarkami urzędników i pomocników magów. Jeszcze

cenniejszy upominek należało przekazać na ręce jednego z członków Rady, aby zapewnić sobie poparcie,

bez którego można było zapomnieć o wyprawie. Krążyły pogłoski, że wielu próbowało obyć się bez pozwolenia, lecz ujęto ich i w konsekwencji zakazano handlu do końca życia.

Następnie miały miejsce długie i kosztowne rytuały oczyszczenia, a po nich Rzucanie Kośćmi. Nigdy nie

gwarantowano pojawienia się szczęśliwego znaku, nawet gdyby potok pieniędzy poprzedzający obrzędy

przypominał powódź. Czasami zły omen był tak potężny, że nie można go było odpędzić. Jednak

oszczędzanie na darach stanowiło absolutną gwarancję złego układu kości. W przypadku podziału profitów

na cztery części mądry kupiec osładzał część przypadającą magą dodatkowymi garściami srebrników

przykład omijania orissańskiego prawa, które mówiło, że wszelkie przedmioty przywiezione przez

powracającą ekspedycję muszą zostać sprawdzone pod względem duchowej czystości. Bez względu na

liczbę prezentów wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z wiedzą magiczną dostawało się w ręce magów.

Każda księga, talizman, proszek czy mikstura, która spełniała ten warunek, musiała natychmiast przejść w

posiadanie Rady. Złamanie tego prawa karano śmiercią.

Zdawałem sobie sprawę, że w przypadku mego Odkrycia zwróci się baczną uwagę na przestrzeganie

tego

prawa, jako że szlak wyprawy wiedzie przez tajemnicze, niezmiernie niebezpieczne fizyczne lub magiczne

bariery, tak bardzo zawężające granice świata za czasów mojej młodości. Rada Magów będzie potrzebowała

niezliczonych, popartych miedzią i srebrem gwarancji, żeby w ogóle wyrazić zgodę na ekspedycję do legendarnych Odległych Królestw.

Mój ojciec miał w takich sprawach ogromne doświadczenie i wyczucie. Niewielu potrafiło dorównać

Paphosowi Karimie Antero w sztuce postępowania z magami. Mimo iż nie cieszył się popularnością w

kręgach Rady, posiadał tak wielką wiedzę o najbardziej skomplikowanych i subtelnych tajnikach ich administracyjnego labiryntu, że rzadko odnosił porażki. W rzeczywistości najczęściej wychodził na swoje,

negocjując dla siebie cenę najlepszą z możliwych. Skrobnięcie gęsim piórem w księdze lub jego brak bywa

czasami brzemiennie w skutki. Kiedy więc ja zamartwiałem się swoją przyszłością z perspektywy młodziana

spoglądającego z przestraczem na olbrzymią górę, którą trzeba jakoś pokonać, mój ojciec zaczął działać z

wrodzonym sobie talentem, podszeptując komuś słówko, rzucając tu i tam sakiewkę, no i oczywiście odzyskując stare długi.

Wreszcie nadszedł ów pamiętny dzień. - wczesnym latem, w porze porannych mgieł i ciepłych, słonecznych

popołudni. Powietrze wypełniał zapach pomarańczy i rozkwitających pączków rozmarynu. Słońce świeciło

wyjątkowo mocno. W ogrodach za Pałacem Magów, odziani w proste, białe szaty suplikantów, świeżo

ogoleni i namaszczeni olejkami oczyszczającymi, z niepokojem oczekiwaliśmy spotkania. Burczało nam w

żołądkach od trzydniowego postu i środków oczyszczających, czego wymagały obrzędy. Ostatnie słowa

mego ojca, kiedy wychodziliśmy z domu, wzmożyły tylko napięcie:

- Cały czas miej się na baczności - ostrzegł. - Rób dokładnie to, co ci powiedzą... nic ponadto. Cel podróży

wzbudził zainteresowanie naszych wrogów. Będą cię bacznie obserwować i słuchać z największą uwagą.

Janosz wydawał się wyjątkowo milczący. Zerknąłem ponad głowę naszego urzędowego opiekuna i ze zdziwieniem zauważyłem, że mój przyjaciel nerwowo przeczesuje palcami brodę. Zauważył moje spojrzenie

i jego posępna twarz natychmiast rozjaśniła się uśmiechem.

- Nie ma się czym martwić - rzucił szybko. - Najgorsze, co mogą zrobić, to odmówić. - Pomyślałem o Halabie i nie odezwałem się ani słowem.

Zobaczyliśmy zbiegającego po schodach niewolnika.

47

- Oczekują waszego przybycia, szlachetni panowie - zakomunikował. Urzędnik pociągnął mnie lekko za

rękaw.

- Proszę to założyć, panie. - Wręczył mi długi pasek czerwonego sukna. - Zawiąż to mocno na oczach i nie

zdejmuj, dopóki nie otrzymasz zgody. - Kiedy podał drugą przepaskę na oczy Janoszowi, wyszeptałem

modlitwę do boga ogniska domowego i zawiązałem sobie kawałek materiału dokoła głowy. Urzędnik poprowadził nas do pałacu. Szliśmy ostrożnie, potykając się na szerokich, kamiennych stopniach.

Otoczył nas istny wir zapachów i dziwnych odgłosów: mieszanina perfum i siarki, śpiewny trel dzwoneczków i tępy stukot drewna o kamień. Kiedy przechodziliśmy z komnaty do komnaty, powietrze

ochładzało się i ogrzewało na przemian. Towarzyszyły nam nieustanne szepty i tajemnicze syki

dochodzące

zewsząd. Nagle poczułem powiew suchego powietrza i zorientowałem się, że otworzono jakieś wielkie

drzwi. Weszliśmy do komnaty pachnącej jaszczurczą skórą. Powstrzymało mnie lekkie szarpnięcie za rękaw.

- Możecie zdjąć przepaski, szlachetni panowie - powiedział szorstki, obcy głos, z pewnością nie należący do

naszego przewodnika. Rozwiązałem przepaskę i ujrzałem się w krainie szarego kamienia i brudnego, żółtego światła. Przed nami stała postać odziana w długie szaty. Od razu rozpoznałem maga, którego spotkaliśmy kiedyś z Janoszem na ulicy.

- Witam was, szlachetni panowie - rzekł na powitanie. - Nazywam się Jeneander. Poproszono mnie, bym

pełnił rolę waszego przewodnika w owym rozstrzygającym dniu.

Przez chwilę stałem oniemiały, nie mogąc wykrztusić ani słowa, potem poczułem łokieć Janosza wbijający

mi się w zebra.

- Chwalmy bogów za światło zesłane nam, marnym istotom - zaintonowałem, wyjmując pośpiesznie pękata

sakiewkę z fałd szaty. Wcisnąłem ją w wyczekujące dłonie Jeneandra. Zniknęła równie szybko jak szybująca

tuż nad wodą mewa, schwytna zwinnym jęzorem morskiego jaszczura.

Jeander pochylił się bliżej i szepnął: - Oddalę się na chwilę. Podczas mojej nieobecności posilcie się tym. -

Podał nam niewielkie, owinięte w ceratę zawiniątko. - Mam przyjemność ogłosić wam, iż jeden z naszych

najbardziej obiecujących młodych magów przychylnie odniósł się do planu waszej wyprawy - oznajmił

głośno. - Niebawem zaszczyci nas swą obecnością i weźmie udział w Rzucaniu kości. Być może nieobce

wam jest jego imię. Nazywa się Cassini.

Stłumiłem jęk.

- Szczęście nie przestaje się do nas uśmiechać - bąknąłem z trudem. Wymieniliśmy ukłony z Jeneandrem,

który odszedł, aby przygotować się do ceremonii. Niezwłocznie odpakowałem zawiniątko, znajdując w nim

kilka kawałków razowego chleba umoczonych w winie.

- A co z naszym postem? - szepnąłem do Janosza. - Myślałem, że jedzenie jest zakazane.

Janosz chrząknął i wziął kawałek ciemnego chleba.

- Nauczyłem się, mój drogi Almaryku, że tyle jest odcieni owego słowa ile monet w skarbcu bogacza.

-

Spałaszował chleb w mgnieniu oka. - Jedz. Sądzę, że nasz nowy znajomy bardziej martwił się otępieniem

naszych umysłów z powodu pustych żołądków niż o niewielkie odstępstwo od reguły. - Rzuciłem się na

jedzenie niczym żądny krwi wilkołak. Humor poprawił mi się niemal natychmiast i zacząłem postrzegać

sprawy w jaśniejszym świetle.

- Kim jest ten Cassini? - spytał Janosz. - Myślałem, że możemy wybrać sobie maga, kiedy Rada zażąda, aby

towarzyszył naszej wyprawie.

- Czasami tak- odparłem. - A czasami nie.

Janosz nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Z twojego wyrazu twarzy, raczej powściągliwego, odnoszę wrażenie, że wiesz coś o tym Cassinim.

- Niesłychane - odezwał się nagle obcy głos. - Dopiero południe, a już słyszę, jak ktoś przerzuca się moim

imieniem. - Obydwaj odwróciliśmy się, aby powitać nowego rozmówcę. Wysoki, mniej więcej w moim

wieku, kościstej budowy mężczyzna miał na sobie niezwykle bogato zdobione szaty maga, a zważywszy na

jego młody wiek, musiał pochodzić z bardzo zamożnej rodziny.

- Ach, jesteś, Cassini - odezwałem się. - Właśnie zamierzałem opisać twoją ujmującą osobowość memu

przyjacielowi... Przedstawiam ci kapitana Janosza Szarego Płaszczka.

Mężczyźni wymienili ukłony.

48

- Cassini i ja byliśmy kiedyś towarzyszami z placu ćwiczeń i tawerny - wyjaśniłem Janoszowi. - Wielu ze

smutkiem przyjęło dzień jego Wezwania, kiedy to opuścił nas i pozostawił dziecinny utarczkom. - Janosz

zrozumiał od razu, że nie należałem do grona opłakujących odejście Cassiniego. - Nie znaleźmy się zbyt

dobrze, czego niezmiernie żałuję.

Cassini postąpił krok naprzód. Nieszczery uśmiech wykrzywił wąskie usta.

- A zatem nie jesteś rozczarowany, że postanowiłem towarzyszyć ci w Odkryciu? Proszę, mów szczerze,

przyjacielu, jeśli mogę cię tak nazywać.

- Ależ absolutnie - łągałem dalej. - Niech będę przeklęty, jeśli kiedykolwiek coś podobnego przyszło mi do

głowy.

Zwróciłem się do Janosza.

- Od samego początku los sprzyja naszej wyprawie - rzekłem do niego. - W Cassinim znajdziesz uczonego i

pobożnego maga oraz najlepszego towarzysza podróży.

- Nie na tyle pobożnego, bym sprzeciwiał się temu, co trzymasz w dłoniach - odezwał się Cassini z nieszczerym uśmiechem, wskazując na resztki naszej chlebowo-winnej uczy. Zarumieniliśmy się i

pośpiesznie wyrzuciliśmy dowody grzechu.

- Witaj w naszych szeregach, miły panie - odezwał się Janosz. - Czuję się niemal tak, jakby obrzędy

Rzucania już się odbyły, jakbyśmy już wyruszyli w drogę z dobrym znakiem oświetlającym nasz szlak. Czy

wolno mi spytać, co skłoniło cię do wsparcia naszych wysiłków?

- No cóż, nie ukrywam, że cel podróży - odpowiedział Cassini.

- A zatem nie należysz do grona kwestionujących istnienie Odległych Królestw?

- Nie posunąłbym się aż tak daleko - rzekł mag. - Nie dysponujemy wystarczającymi dowodami, abym zajął

zdecydowane zdanie w tej sprawie. Jednakże sam wysiłek jest tego wart. Bez względu na to, jakiej prawdy

się dowiemy, z pokorą i dumą przywiozę ją moim przełożonym.

Janosz skinął ze zrozumieniem głową. Z błysku w jego oczach poznałem, że w istocie zrozumiał więcej niż

zamierzał nam przekazać Cassini, jako że mag był młodym człowiekiem wysokiego urodzenia, lecz

mizernego talentu. Szczerze mówiąc śmiem wątpić, by posiadał choć dziesiątą część zdolności mego brata

Halaba.. Bogactwo i koneksje rodzinne zapewniły mu miejsce w Radzie, lecz teraz utknął w martwym

punkcie kariery. Chcąc przełamać złą passę, za wszelką cenę potrzebował spektakularnego sukcesu i

dostrzegł wielką szansę w wyprawie do Odległych Królestw. Janosz zdawał sobie sprawę, że Cassinim

powodowała desperacja. Zdradzał to jego głos, sztuczny spokój, nerwowe przestępowanie z nogi na nogę i

niespokojne ruchy dłoni.

- Miałeś rację sądząc, że wiele można zyskać w czasie tej podróży - powiedział Janosz. - Lecz

wyświadczyłbym ci niedźwiedzią przysługę nie wspominając o niebezpieczeństwach takiej wyprawy.

Dotychczas nie znalazł się bowiem śmiałek, który odważyłby się dotrzeć do owych legendarnych miejsc... i

powrócił, aby opowiedzieć o swoich przygodach.

- Jestem tylko pustym naczyniem w rękach bogów. Mogą je napełnić lub potłuc - odezwał się Cassini. -

Czysta wiedza będzie dla mnie wystarczającą nagrodą. - Po tych napuszonych, nafaszerowanych fałszywą

skromnością słowach zapanowała niezręczna cisza, którą przerwał powrót Jeneandra.

Powitał Cassiniego uśmiechem.

- A więc dołączył do nas trzeci podróżnik. - Skinął ręką. - Chodźcie. Rada was oczekuje.

Podążyliśmy za nim mijając ciężkie kotary i weszliśmy w długi korytarz, oświetlony ognistymi paciorkami

zwieszającymi się z głów posągów starych bogów oraz drapieżnych bestii, pełniących niegdyś rolę ich

faworytów. Na kamiennych ścianach tańczyły upiorne cienie: same rogi, długie zębiska i ostre szpony.

Korytarz zmienił się w ogromną, ciemną ni to pieczarę, ni to komnatę. Jeneander poprowadził nas ku

kamiennej platformie wznoszącej się kilka stóp nad ziemią. Z otaczającego go kręgu potężnych pochodni

wzbijały się ku tonącemu w mrokach sklepieniu gęste kłęby dymu, przetykanego ruchliwymi iskierkami.

Staliśmy tam dłuższą chwilę mrugając załzawionymi oczyma. Nie mogę mówić za Janosza, lecz ja czułem

wszechogarniającą trwogę. Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy donośny głos wypełnił ponurą komnatę

- Kim są śmiertelnicy, którzy stoją przed nami?

- Poszukującymi z Orissy, o władcy świata - odpowiedział Jeneander.

- Kto poświadczy o ich pobożności i szlachetności?

- Ja, o władcy świata. Ja, Jeneander przyprowadzam ich dzisiaj przed wasze oblicze.

- Kto przemówi w ich imieniu?

49

Cisza. Poczulem nagle, że Janosz szturcha mnie w nogę. Pozbierałem resztki zmaconych zmysłów.

- Ja będę mówił, o władcy świata - odpowiedziałem. - Ja, Almaryk, syn waszej córki, Emilie, syn waszego

syna, Paphosa Karimy Antero.

Wzrok przyzwyczaiał mi się do półmroku. Przed podwyższeniem rozciągała się goła, kamienna posadzka, na

której widniały wygrawerowane magiczne kwadraty i trójkąty, tajemnicze cyfry i symbole. Całość otaczał

olbrzymi krąg, obrysowany czystym złotem. Członkowie Rady Magów siedzieli po przeciwległej stronie

kręgu, odziani w czarne szaty, kapiące od złota. Naliczyłem dziesięciu mężczyzn na tronach inkrustowanych

wspaniałymi szmaragdami. Ściana ponad nimi tworzyła istną mozaikę barw, przesłanianą co chwila dymem

i nieruchomymi cieniami. Na centralnym tronie siedział mówca. Ostre rysy twarzy i skóra porwana tysiącem

zmarszczek upodobniały go do jastrzębia. - jakby nieznany artysta wyrzeźbił w jabłku drapieżnego ptaka, a

następnie pozostawił, aby rzeźba skurczyła się i wyschła. Białe jak śnieg włosy i broda opadały kaskadą na

ramiona i piersi, jakby nie ścinano ich od wielu lat. Przenikliwie, żółte oczy zdawały się docierać do

każdego zakątka mej duszy. Miałem przed sobą Gamelana, najstarszego z magów.

- A zatem, jak brzmi twoja prośba, Almaryku, synu Emilie, synu Paphosa Karimy Antero? - zapytał

Gamelan.

- Pragnę wyruszyć na Odkrycie Odległych Królestw, o najszlachetniejsi. Dla dobra Orissy i chwały bogów.

Zaległa cisza przerywana szeptami magów. Nie wiedziałem, czy zawsze tak postępują, lecz ze

zmartwionego oblicza Cassiniego wyczytałem, że nie. Wreszcie Gamelan przemówił.

- Jeden z was jest tu obcy, lecz zrodzony został z łona córki Orissy.

- Jam nim jest, o szlachetni - odpowiedział kapitan. - Jestem Janosz, syn Kether, syn księcia Szarego Płaszcz z Kostromy.

- Słyszeliśmy, że interesujesz się sztuką magów.

Trwoga ścisnęła mi serce. Jaki cel miało to pytanie? Kto rozpowszechniał opowieści o moim przyjacielu?

Wydawało się, że nie istnieje bezpieczna odpowiedź. Prorocy wiedzą wszystko, więc gdyby Janosz zaprzeczył, zakwestionowałby tym samym ich moc. Gdyby jednak przyznał im rację, mógłby nas spotkać los

Halaba.

- To prawda - odpowiedział szybko - mam pewien znikomy talent, lecz zapewniam was, że nie ma on nic

wspólnego z magią. Służąc w armii barbarzyńskich Likantyjczyków, musiałem polegać na własnym rozsądku, wzmocnionym przez orissańską krew. Odniosłem pewne sukcesy w leczeniu czyraków i gnijących

stóp, najczęstszych przypadłości, jakie nękały moich ludzi. Raz udało mi się wyleczyć ranę na dupie dziesiętnika.

Zdawało mi się, że usłyszałem stłumiony śmiech magów. Musiał to być jednak wytwór mej wyobraźni,

albowiem śmiech uważano za coś gorszącego w tak dostojnej grupie.

- Kiedy stanąłem u wrót Orissy - kontynuował Janosz - niezwłocznie wyrzuciłem z pamięci owe umiejętności. Uważam, że nawet leczenie czyraków przez niezawodowca jest nieroztropne. A kiedy zaledwie kilka chwil temu dowiedziałem się, że jeden z najbardziej utalentowanych magów w całym królestwie wyruszy z nami na tę, jakże niebezpieczną wyprawę, natychmiast obiecałem tłuste jagnię

bogowi, który łaskawie uśmiechnął się do nas.

Niemal wyczuwałem jak rośnie duma Cassiniego, który pysznił się niczym paw podczas tańca godowego.

Reakcja magów wskazywała, że odpowiedź Janosza spotkała się z przychylnym przyjęciem. - A zatem do

dzieła - rzekł Gamelan, kiedy szepty ucichły. - Nadszedł czas, aby rzucić kośćmi. Czy jesteś gotów,

Almaryku Emilie Antero?

- Jestem gotów, o szlachetni - odpowiedziałem przykładając rękę do piersi.

Jeneander podszedł do mnie i otworzył ozdobną szkatułkę, którą miał w rękach. Wewnątrz ujrzałem dwie

przegródki. W jednej leżało coś, co przypominało kawałki kości udowej jakiegoś stworzenia. Po drugiej

stronie znajdowały się fragmenty ludzkiej czaszki. Stałem przed wyborem. Gdy tak się wahałem, jakaś

niewidzialna siła schwyciła moją rękę i pociągnęła w lewo. Wyjąłem ze skrzynki kości udowe. Ścisnąłem je

w prawej pięści, a lewą uderzyłem się pięć razy w piersi i zaintonowałem

- O, wielki Te- Date, bogu i stróżu wszystkich podróżników, wzywam twój obraz na świętą wyprawę do

Odległych Królestw! - Cisnąłem kości w złoty okrąg. Następnie wyjąłem fragmenty czaszki, uderzyłem się

w piersi trzykrotnie i dokończyłem: - Pobłogosław nas, wielki Te- Date, natchnij swą niezmierną mądrością. Niechaj te kości ujawnią nasze przeznaczenie. - Kawałki kości zastukały sucho, gdy rzuciłem je

obok pozostałych.

50

Zaległa głucha cisza, po czym otoczyły nas nieprzeniknione ciemności, aż w końcu widzieliśmy tylko żarzący się złoty krąg. Poczulem klucie w głowie i zdawało mi się, że stoję w pobliżu źródła ciepła. Język

miałem suchy niczym łuski jaszczura, a oczodoły zmieniły się w gorące jamy pozbawione wilgoci.

Kości

udowe poruszyły się i uniosły ponad posadzkę. Dźwięk, jaki przy tym z siebie wydawały, drażnił moje uszy.

Przez chwilę płynęły luźno w powietrzu, po czym powoli, zetknęły się ze sobą. Lekkiemu stuknięciu towarzyszyła erupcja czerwonego dymu i oparów siarki. Zmroził mnie niewytłumaczalny strach i zapragnąłem wziąć nogi za pas, lecz powstrzymywała mnie niewidzialna, potężna siła. Chmura dymu zawirowała, wystrzeliła iskrami i nabrała konkretnych kształtów. Wyłoniła się z niej olbrzymia bestia ze

szponami wielkimi jak miecze. Z przepastnej gardzieli dobywało się głucho warczenie na przemian z przerażającym rykiem. Potwór stanął na dwóch masywnych nogach i górując nad nami ciął na oślep ostrym

ogonem. Zakrzywione rogi sterczały z masywnej głowy, w której jarzyły się ognistoczerwone oczy, a spływające krwią kły były długości mojego przedramienia. Demon odwracał się to w jedną, to w drugą

stronę, szukając przeciwnika. Jego wzrok padł na mnie. Kiedy spojrzałem mu w oczy, przyszło mi do głowy,

że nigdy jeszcze nie widziałem tak czystego zła.

Potwór wydał przenikliwy świst i runął do przodu. Komnatę wypełnił przeciągły okrzyk przerażenia, gdy

bestia przekroczyła barierę wyznaczoną przez złoty krąg. Ponownie próbowałem umknąć, lecz coś przygwaźdżało mnie do podłogi. Poczulem się jak zwierzę przeznaczone na ofiarę. Szczęki demona rozwarły się i o mało nie straciłem przytomności od gorącego oddechu, cuchnącego śmiercią i zgnilizną.

Bestia pochyliła się do przodu, aby chwycić mnie swymi masywnymi zębami. Nagle rozległ się ogłuszający

łomot bębna, który zabrzmiał niczym uderzenie pioruna. Demon znieruchomiał. Znajdowałem się o krok od

niechybnej śmierci. Znowu usłyszałem głośnie dudnienie.

Straszycło odwróciło się w kierunku złotego okręgu. Widziałem, jak potrzęsa rogatym łbem, jakby kogoś

dostrzegalo. Skoczyło do przodu z rykiem, nastawiając zakończone szponami łapy. Wtedy i ja zobaczyłem

wroga potwora. W miejscu, gdzie rzuciłem kości czaszki, stał nagi, niuzbrojony mężczyzna. Nigdy nie widziałem podobnego człowieka: był wysoki, lecz masywny i silnie zbudowany; jego ręce i nogi przypominały konary drzewa. Piersi i plecy porastały gęste włosy, a twarz zakrywała długa, gęsta broda.

Szczękę miał silnie wysuniętą do przodu, wydatne łuki brwiowe, a lśniące, ciemne oczy tkwiły głęboko w

oczodołach. Mężczyzna ryknął na demona i z całej siły tupnął w kamienną posadzkę. Bum. Komnata zadrżała w posadach. Grzmotnął drugą stopą. Bum. Raz po raz ponawiał wyzwanie. Bum. Bum. Bum.

Wiedzieliśmy, że cała naszą nadzieję musimy pokładać w tym nagim, bezbronnym człowieku.

Skoczył naprzód, by zmniejszyć impet szarży demona, i wymierzył bestii cios, pod wpływem którego zatrzęsło się sklepienie pieczary. Potwór zatoczył się w tył, a wojownik obnażył żółte kły i skoczył bestii do

gardła. Jęknąłem, gdy demon zionął ogniem i dymem, oślepiając naszego obrońcę. Mężczyzna upadł na

podłogę; usłyszeliśmy, jak zęby potwora miażdżą jego kości. Demon trzymał go w mocarnych szczękach

potrzęsając bezwładnym ciałem, po czym cisnął zwłokami o kamienie. Następnie uniósł łeb ku górze i

zaryczał zwycięsko. Głos makabrycznej radości wwiercał się w uszy i zrozumiałem, że w tej samej chwili

legły w gruzach nasze marzenia o Odległych Królestwach.

Serce podeszło mi do gardła, kiedy ujrzałem, jak w ciało naszego bohatera na nowo wstępuje życie. Nagi

mężczyzna poderwał się na nogi. Na jego ciele nie było widać najmniejszych śladów. Postawił z łoskotem

stopę na ziemi. Bum. Demon szarpnął się, rozdziawiając szczęki ze zdumienia. Chlasnął zawadiacko ostrym

ogonem. Mężczyzna wykonał unik przed straszliwym ciosem i grzmotnął demona w piersi. Rozległ się

głośny, suchy trzask kości i potwór zawył w agonii. Mężczyzna podskoczył i chwycił bestię za szyję. Opasał

ją mocarnymi ramionami, a następnie szarpnął nimi z całej siły. Wrzask i suchy trzask oznajmiły koniec

zmagania. Osobliwy człowiek odskoczył na bok, a demon runął bezwładnie na podłogę. Bohater zwrócił się

twarzą do nas. Wyrzucił ręce wysoko na znak zwycięstwa i zawył donośnie. Usłyszeliśmy coraz głośniejszy

szmer, a potem pojawił się biały, pachnący słodko dym...i mężczyzna zniknął.

Dym utworzył okno, za którym rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Patrzyłem oszołomiony na

zielony las, srebrne strumienie, pofałdowaną równinę w kolorze kwitnącej gorczycy. Daleko na horyzoncie

wyrastał ku błękitnemu niebu dostojny masyw górski. W łańcuchu dominowały cztery przysadziste szczyty i

piąty, zakrzywiony niczym kciuk. Wyglądało to jak zaciśnięta pięść z czarnej; wulkanicznej skały pokrytej

śniegiem. Zaspasy śnieżne uwydatniały każdy palec pięści. Dolina między kciukiem a palcem wskazującym

wznosiła się gładko ku górze, dzieląc czarny masyw na połowę.

51

To jest przejście do... Moją myśl dokończył pełen trwogi szept Janosza: - ...Odległych Królestw. - Prawda

dodała mi sił. Poczulem się jak ptak i zapragnąłem poszybować ku tej dalekiej krainie, której nie dotknęła

stopa człowieka z naszego świata.

Przenikliwy świst rozproszył obraz. Osłupiałem widząc, jak demon podnosi się, silny i nietknięty jak na

początku walki. Naprzeciw bestii stał nagi mężczyzna. Tupnął parę razy, a ściany pieczary znów

odpowiedziały drzeniem. Demon zaryczał obwieszczając swój powrót. Przeciwnicy ruszyli ku sobie. Zanim

jednak doszło do zderzenia, zniknęli. Złoty krąg ział pustką.

Zamrugalem, kiedy znikły otaczające nas ciemności. Odwróciłem się i spojrzałem na Janosza. Oczy płonęły

mu wewnętrznym ogniem. Odwzajemnił spojrzenie, chcąc coś powiedzieć, lecz pokręcił tylko głową.

Cassini poruszył się niespokojnie za mną, więc odwróciłem się i spojrzałem mu prosto w oczy. Płonęły

równie żywo jak oczy Janosza, lecz dostrzegłem w nich tylko chciwość i chorą ambicję. Nie jestem pewien,

czy już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę. Może koloryzuję nieco wspomnienia, lecz z całą pewnością

czułem wówczas wszechogarniające uczucie radości... i niepokoju.

- Bądź pochwalony, Te- Date - odezwał się Gamelan - stróżu znużonych podróżników.

- Bądź pochwalony - mrukneliśmy chórem.

- Znak jest jasny i przejrzysty - rzekł Gamelan. - Twoja ekspedycja ma takie same szanse powodzenia, jak i

porażki.

- Lecz wiemy przynajmniej, że cel podróży jest wart zachodu - powiedział Cassini. Naszemu magowi

przysługiwało prawo do odpowiedzi. - Znak pokazał, że ziemie Odległych Królestw rozciągają się za

czarnymi górami o kształcie pięści.

- Nie pozwól, aby marzenia przyćmiły twój zdrowy rozsądek, młody bracie - ostrzegł Gamelan. - Widok

ukazywał góry, a nie to, co leży za nimi. - Cassini zawahał się, a ja zadrzałem, że ta przerwa może oznaczać

zaprzepaszczenie naszej szansy. Znak nie udzielił konkretnej odpowiedzi. Ostateczna decyzja nadal spoczywała w rękach Rady Magów.

- Czy wolno mi przemówić, o wybrańcy bogów? - spytał Janosz. Gamelan skinął przyzwalająco głową. -

Powiadacie, że grozi nam ogromne niebezpieczeństwo, dzięki czemu rezultat naszej wyprawy pozostaje co

najmniej wątpliwy?

- Tak wskazuje znak - zgodził się Gamelan.

- Czy Orissie również zagraża niebezpieczeństwo? Czy komukolwiek może przydarzyć się nieszczęście,

gdyby nasza wyprawa zakończyła się niepowodzeniem?

- Tylko waszym rodzinom - odpowiedział Gamelan. - Niepowodzenie oznaczałoby pewną śmierć. Znak nie

pozostawił żadnych złudzeń.

- Każdy z nas z chęcią podejmie to ryzyko, szlachetni panowie - wtrąciłem. - Głęboko w sercu wszyscy

wiemy, że nasza wyprawa może przynieść wielką chwałę naszemu pięknemu miastu - klejnotowi całego

cywilizowanego świata.

Magowie zastanowili się nad moimi słowami, po czym jęli tajemniczo szeptać między sobą. W końcu przemówił Gamelan.

- Udzielamy wam pozwolenia - powiedział krótko. - Chwalmy Te- Date.

- Chwalmy Te- Date! - Krzyk radości odbił się echem od skalnego sklepienia. W moim umyśle pojawił się

obraz szczytów uformowanych na kształt górskiej pięści i zaśnieżonego kanionu. Przez chwilę zdawało mi

się, że dostrzegam jakiś błysk, słaby płomyk złotego światła, w miejscu, gdzie stykały się kciuk i palec

wskazujący. W miejscu, gdzie oczekiwały Odległe Królestwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Likant

52

Bogowie powinni byli sumienniej popracować nad odmalowaniem tej scenerii: dzień był słoneczny, bezchmurne niebo ujmowało delikatnym błękitem, a od rozpościerającego się poniżej morza wiała delikatna

bryza niosąca posmak soli. Na tle tej subtelnej dekoracji wyrastał Likant, najbardziej nieodpowiednie

miasto, jakie można ujrzeć w taki dzień. Bardziej by tu pasowały ciemności i pędzące po niebie chmury

burzowe. Lodowaty wicher powinien zawodzić niczym dusze potępione, szarpiąc wzburzonym morzem. Na

takie tło zasługiwał Likant.

Od tamtych czasów uległo przeobrażeniu, więc pozwólcie, że opiszę je dokładnie.

Miasto zostało wzniesione na krańcu półwyspu, którego koniuszek przypomina zakrzywiony palec. W tym

zakrzywieniu leży jeden z największych dalekomorskich portów naszego świata. Słyszałem, jak jakiś mędrzec mówił, że na końcu owego półwyspu znajdował się niegdyś wulkan. Kiedy doszło do erupcji - a

miało to miejsce wiele wieków przed czasem, gdy człowiek zerwał krępujące go kajdany i uciekł od

Świątyni Boga, aby zasiedlić ziemię - ogień walczył z wodą lecz morze, jak zawsze, odniosło druzgocące

zwycięstwo. Krater zmieniono w port. Wielu Orissan życzyłoby sobie, aby wygasły wulkan ożył

pochłaniając Likant, który przyniósł naszemu miastu śmierć i gorycz. Krater wznosi się wysoko stromym

urwiskiem. Z półwyspu do portu wiedzie tylko jedna droga - łagodnie opadający szlak, powstały

prawdopodobnie podczas spływania zastygającej lawy. Działalność człowieka i upływającego czasu

sprawiła, że przejście stopniowo nabrało gładkich, regularnych kształtów bitej drogi. Dookoła portu i dalej,

wzdłuż półwyspu, wzniesli swe miasto ludzie, których nazywano Likantyjczykami.

Orissę zbudowano na silnie pofałdowanym terenie i z czasem rozrosła się na wszystkie strony tworząc

kamienny krąg. Likantyjczycy jednak, z uwagi na wąski kształt półwyspu, budowali w górę, a ich wysokie

domy wystrzelały w kierunku nieba, jakby tajemniczy olbrzym wyrzeźbił je z pojedynczego kamienia.

Każdego dnia słońce zagładało na ulice wijące się wśród ogromnych budowli zaledwie na kilka chwil.

Janosz powiedział mi kiedyś, że te budynki wyglądały jak istne mrowiska ludzkie, pełne mieszkań i warsztatów. Ceny mieszkań wzrastały wprost proporcjonalnie do wysokości. Jednak te wielkie budowle nie

dominowały w mieście. Wzrok przykuwało bowiem samotne zamczysko stojące na samym krańcu półwyspu

- siedziba dwóch kapłanów

- królów, którzy wspólnie z Radą Czarnoksiężników, archontów sprawowali rządy w Likancie. W tejże

warowni mieściły się wypełnione po brzegi skarbcze oraz, dużo głębiej, ociekające krwią lochy i komnaty

tortur.

Zamek robił wrażenie twierdzy nie do zdobycia, raz jednak nastąpiło odstępstwo od reguły. Oczywiście

pomógł zdrajca. Walka rozpoczęła się w nocy, a ogień i miecze zebrały srogie żniwo. Twierdza otworzyła

wrota przed Orissą dwadzieścia lat przed moimi narodzinami w ostatecznej bitwie Drugiej Wojny Miast.

Odzyskaliśmy wolność, wyzwalając się spod jarzma ciemnych, przed którymi od pięciu pokoleń

chyliliśmy karki. Popełniliśmy błąd i zamiast zetrzeć Likant i wszystkich Likantyjczyków na zawsze z

powierzchni ziemi, zawarliśmy honorowy pokój. Nasi Sędziowie uważali, że jeśli Likant przestanie istnieć,

pojawi się inna potęga, prawdopodobnie równie wrogo do nas nastawiona. Albo, jeśli ta przeklęta kraina

pozostanie nie zamieszkana, dostarczy wspaniałego podłoża dla naszej własnej anarchii. Niechętnie odnosiliśmy się do pomysłu traktowania Likantu jako państwa wasalnego, albowiem wroga, usiana oddziałami wojska ziemia przynosi mizerne zyski. Dlatego właśnie nadmorski zamek nieodmiennie królował nad malowniczym krańcem stałego lądu. Skoro oszczędziliśmy to miasto, podstawowe zasady

humanitarnego postępowania i posłuszeństwa bogom nakazywały pozostawienie Likantowi możliwości

obrony przed piratami, którzy pustoszyli wybrzeża **Wąskiego Morza**. Zażądaliśmy jedynie reparacji za

szkody wyrządzone Orissie, ofiar dla duchów tych, którzy zginęli w czasie dwóch wojen oraz darów dla

tych, co przeżyli. Postawiliśmy jeszcze jedno żądanie; na trwałą pamiątkę niewybaczalnego błędu, jaki

popęlnili uważając Orissę za miasto opastych kupców i bezsilnych bogów. Rozkazaliśmy zburzyć ogromny

mur, jaki wzniesli w poprzek półwyspu. Wydobyliśmy od ich czarodziejów tajemnice ochronnych zaklęć, a

najpotężniejsi z naszych magów połączyli moce w zbiorowym zaklęciu rozpadu i zniknięcia. Oczyszczenie ,

jakiego dokonywali przed rozpoczęciem rytuału, zajęło ponad rok, a samo Wypowiadanie Zaklęcia trwało

miesiąc. Trzech magów poniosło przy tym śmierć. Po zakończeniu zaklęcia wielkie oddziały

Likantyjczyków do uprzątnięcia gruzu, a w niektórych przypadkach do zburzenia ocalałych fragmentów.

Kiedy zbliżaliśmy się do Likantu, Eanes machnął ręką w moim kierunku. Zrobiłem to samo. Eanes, wraz z

setnikiem Maeenem oraz dziesięcioma strażnikami, którzy zgłosili się na ochotnika, aby towarzyszyć

Janoszowi w wyprawie, jechał w wielkim, ciągniętym przez woły breku, w którym umieściliśmy wszystkie

bagażę oraz skrzynie ze złotem i srebrem. Janosz, Cassini i ja jechaliśmy wierzchem.

- Dlaczego Likantyjczycy nic tam nie budują - zastanawiał się Eanes wskazując na jałowy teren w miejscu,

gdzie dawniej stał mur. - Czyżby obawiali się duchów lasu?

- To dobre pytanie, przyjacielu - odezwał się Janosz. - Mają swoje powody. Likantyjczycy uważają zburzenie muru za haniebne wydarzenie i nieraz słyszałem zapewnienia, że nastanie dzień, w którym mur

ponownie wyrośnie. Zgodnie więc z ograniczeniami zawartymi w statucie żaden Likantyjczyk nie pobuduje

się na tej ziemi w obawie, by rodacy nie uznali, że aprobejuje klęskę Likantu.

- Powinniśmy byli sprzedać ich ludziom Ifora - powiedział Cassini - a ich kobiety zostawić dla naszej

przyjemności, zburzyć miasto, zaorać ziemię i posypać solą. Jak dotąd moje umiejętności nie obejmują

zdolności proroczych, lecz czuję w kościach, że Likant nie da nam spokoju.

- Ostre słowa - stwierdził Janosz. - Nie bardzo zgadzam się z tobą, iż Likant powinien zostać zmieciony z

powierzchni ziemi. Po drugiej stronie **Wąskiego Morza**, w Valaroi, mamy przykład właśnie takiego

rozwiązywania konfliktów. Rezultaty widziałem na własne oczy. Masz jednak słuszość twierdząc, że

Likant pragnie odzyskać dawną potęgę. Podczas służby w ich armii nieustannie słyszałem rozmowy na ten

temat. Kiedy to się stanie, uderzą na Orisę. Likantyjczycy są wyjątkowo pamiętliwi. Nauczyłem się zważać

to, co mówię... teraz wszyscy musimy o tym pamiętać. Oczywiście wszyscy jesteśmy Orissanami i służy

naszemu miastu, lecz zbyt długie języki nie przysporzą nam tu wielu przyjaciół. Nie w Likancie, a już na

pewno nie w Valaroi, gdzie kończą się wpływy Likantu, chociaż pomagałem obsadzać wojskiem

wiele
tutejszych strażnic; niektóre widzieliśmy po drodze w ciągu ostatnich dwóch dni. Będziemy udawali
wędrownych handlarzy, nie afiszując się naszymi przekonaniem. Tak będzie o wiele bezpieczniej.

Powstrzymał się i zawstydzony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Po stokroć błagam o wybaczenie, szlachetny Almaryku - rzekł oficjalnie. - Oczywiście chciałem
powiedzieć, że zalecam neutralność... ale decyzja należy do ciebie.

Roześmiałem się nie czując obraży. Nie dbałem o opinię Cassiniego, bo zawczasu postanowiłem, że
na

moim Odkryciu zapomniamy o jakiegokolwiek hierarchii.

- Jeżeli któryś z nas ma lepszy pomysł, niech lepiej od razu się nim podzieli - zaproponowałem -
albowiem

w przeciwnym razie nie ma szansy, żebyśmy w zgodzie dotarli do Odległych Królestw. Będziemy

podróżować bez poradców, dokładnie tak jak radzisz. - Janosz skinął głową, lecz na jego policzkach
nadal

malował się słaby rumieniec wstydu.

Eanes odkaszlnął i odezwał się bardzo cicho, tak żebym tylko ja słyszał: - Podobno żaden lew nie
lubi

żywić się padliną.

POPEŁDZALIŚMY KONIE starając się zachowywać największą ostrożność, niezbędną z uwagi na
sumę

pieniędzy, jaką wiozłem. Gdyby moje Odkrycie niczym się nie różniło od innych, z powodzeniem

wystarczyłby jeden pękaty trzosik złota. Kapitału handlowego i funduszy na pokrycie wydatków

dostarczałyby miejscowe banki dzięki listom kredytowym mojego ojca. Nasza wyprawa zaczynała
się

Jednak w Likancie, a więc było to niemożliwe. Ten nasz odwieczny nieprzyjaciół był również
zgorzałym

rywalem handlowym. Członkowie najbardziej znenawidzonego przez mego ojca klanu Symeonów,

na

którego czele stał najmłodszy i zarazem najbardziej nieszczęśliwy syn, Nissou, byli Likantyjczykami. Nie tylko

pozrywali handlowe umowy zawarte przy świadkach, lecz, jak zapewniał mnie ojciec, wykorzystali nasze

doświadczenia i wynajmowali miejscowych watażków, którzy systematycznie urządzali zasadzki na nasze

karawany. Ojciec radził zachowanie wszelkich środków ostrożności podczas pobytu w Likancie.

Podróż przebiegła bez większych kłopotów, z wyjątkiem spotkania z wiedźmą. Wąska, poprzecinana koleinami droga wiodła pod olbrzymimi jaworami o powykrzywianych, sękatych ramionach gałęzi.

Czuliśmy podenerwowanie, jako że okoliczne tereny wydawały się wymarzoną miejscem na zasadzkę.

Nagle ujrzeliśmy kobietę. Stała na środku drogi wyraźnie blokując nam przejazd.

Była naga, lecz żaden mężczyzna nie odczułby na jej widok pożądania, chyba że wypiłby uprzednio eliksir

dziesięciokrotnie mocniejszy od tego, który podałem Melinie. Wydawała mi się dość młoda, lecz nie

potrafiłem określić jej wieku, albowiem wyglądała, jakby ostatnim razem myła się w wodach płodowych z

łona swej matki. Długie, jasne włosy zasłaniały twarz tej dziwnej postaci. Zanim wozacy zdążyli sięgnąć

wodze, uniosła w górę chudą rękę. Woły zaryły się w ziemi, jakby niewidzialny młot rąbnął je między oczy.

54

Usłyszałem szepty tarczowników uciszone pomrukiem setnika Maeena. Podniosła drugą rękę, z której zwieszał się kawałek liny.

- Danina... miłosny podarek - odezwała się.

- Nikomu nie będziem płacić, mateczko - krzyknął wozak.

Zamachała linką.

- Danina... albo jak ta lina... ten sznur... to włókno... co zwisa luźno, zwisa bezwładnie... waleczni wojownicy... zwisa na bezwładnie, zwisa na luźno i żaden z was już nie zaszczydzi kobiety... zwisa luźno...

zwisa bezwładnie... - Tarczownicy poruszyli się niespokojnie i mimo stanowczej komendy Maecena wyraźnie

słyszałem ich protesty.

Cassini ześliznął się z końskiego grzbietu i postąpił kilka kroków do przodu. Spojrzał w górę na słońce

przeświecające przez gałęzie, a następnie, uśmiechając się lekko, rzekł:

- Ech, kobieto, kobieto, widzisz tamto drzewo... widzisz tamten cień... cień tamtego drzewa jest drzewem...

korzenie drzewa sięgają głęboko, głęboko w glebę... - skandował. - Tak jak tamto drzewo będziesz stała,

będziesz stała, stać musisz ... i nie zobaczy cię żaden podróżny... topór na tamto drzewo, siekiera na twoje

drzewo.

Kobieta znieruchomiała próbując poruszyć ustami.

Cassini zarechotał okrutnym śmiechem

- Możesz mówić, możesz mówić, masz moje błogosławieństwo, o wielkie drzewo.

- Wybaczcie, szlachetny panie, wybaczcie nieszczęsnej - usłyszeliśmy jej słowa. - Nie wiedziałam, żeście

obdarzeni Mocą. O wybaczenie błagam, o wybaczenie.

- Nie błagaj mnie, o drzewo, nie mnie - odpowiedział Cassini. - Błagaj o przebaczenie tych walecznych

wojowników.

- Mężczyźni z żelaza, mężczyźni z żelaza, jesteście jak żelazo, kiedy kochacie, nie ma liny, nie ma sznura,

nie ma włókna, nikt ich nigdy nie utkał... jesteście żelazem, jesteście żelazem.

- Dzięki ci, kobieto - odezwał się Cassini. Odwrócił się i dosiadł swego wierzchowca. - Almaryku - zapytał

- czy istnieje jakiś powód, abyśmy nie pozostawili jej własnemu losowi? Z ust kobiety wyrwał się jęk

boleści.

- Jesteś drzewem, jesteś drzewem - warknął mag i zaległa cisza. Spojrzałem na nieruchomą kobietę. Nie.

Nie było takiego powodu. Wyjąłem trzy złote monety z sakiewki i rzuciłem je na drogę.

- Może odejść wolno - zdecydowałem.

- Słyszałeś, o drzewo - rzucił niechętnie Cassini. - Będziesz wolna, lecz będziesz stała, będziesz stała, stać

musisz tak długo, aż cień drzewa, którym jesteś, przestanie cię dotykać...

Skinałem na woźniców, którzy popędzili woły gromkimi okrzykami. Pozostawiliśmy za sobą nieruchomą

wiedźmę. Kiedy znikaliśmy za zakrętem, popatrzyłem po raz ostatni na kobietę stojącą pośrodku drogi, jak

potępieniec z Ulicy Bogów.

Janosz podjechał do Cassiniego.

- Interesujące zaklęcie.

- Istotnie - przyznał. - Proste... tym łatwiejsze, gdy ma się do czynienia z umysłem prostego człowieka.

Zdumiałem się. Słowa Cassiniego nie miały sensu; zaklęcia działały tak samo na wszystkich, od sędziego

do chłopca, od księcia do niewolnika... Czyż nie? Odgłos końskich podków i głośny turkot kół ciężkiego

breku wyrwały mnie z zamyślenia.

Wjechaliśmy na drogę wybrukowaną kamieniami, a po jakimś czasie zatrzymaliśmy się przed barierą z

długiego pnia ułożonego w poprzek kamiennego gościńca. Tuż obok stał niski budynek. Zakotłowało

się w

środku, drzwi otwarły się z trzaskiem i ze środka wybiegło pięciu strażników. Zatrzymali się na skraju drogi.

Nosili czyste i schludne stroje, a w rękach dzierżyli włócznie i tarcze w sposób wskazujący, iż nieobce jest

im wojenne rzemiosło. Jeden z nich, domyśliłem się, że dziesiętnik, krzyknął, byśmy się zatrzymali.

Odprawa celna.

- Dokąd droga prowadzi i kto jesteście? - zapytał dziesiętnik.

- Szlachetny Almaryk Antero, kupiec z Orissy, oraz jego świta.

Przez oblicze strażnika przemknął gniewny grymas.

- Jechać... Nie, zaczekajcie. - Podeszedł do Janosza i przyjrzał mu się uważnie. Chciał coś powiedzieć, lecz

pohamował się i zrobił krok w tył. - Jechać. Witamy w Likancie - powiedział tonem tak przyjaznym, jakby

rozmawiał z poborcą podatkowym.

55

Wóz ruszył ciężko, kolebiąc się na wszystkie strony, a ja dałem ostrogę koniowi i podjechałem do Janosza.

- O co chodziło?

- Ten jegomość mnie rozpoznał - odpowiedział. - Właśnie zamierzał się spytać, co robi likantyjski rycerz w

orszaku złożonym z orissańskich szumowin. W porę jednak przemyślał to sobie i doszedł do wniosku, że

może jestem szpiegiem powracającym po wykonaniu zlecenia na nieprzyjacielskiej ziemi.

- Czyżby nie słyszał, że opuściłeś likantyjską armię?

- Czasami likantyjscy żołnierze są zwalniani, a nierzadko haniebnie wyrzucani, aby z pozornie czystą przeszłością wykonać tajne zadanie.

Dzisiaj na wspomnienie mej naiwności oblewam się rumieńcem wstydu, lecz owego dnia zapytałem

zdumiony:

- W Likancie praktykuje się takie rzeczy? - Janosz przytaknął skinieniem głowy, nie okazując zniecierpliwienia wobec kogoś tak naiwnego. Wokół nas, zupełnie nagle, wyrósł las wysokich budowli.

Byliśmy w Likancie.

ZATRZYMALIŚMY SIĘ w przydrożnej gospodzie i rozpoczęliśmy ostateczne przygotowania. Tarczownicy

z naszej eskorty nie mieli pojęcia, w jakim kierunku zdążamy, a już absolutnie nie wspominaliśmy przy nich

o celu wyprawy - o Odległych Królestwach. Mieli wyłącznie chronić nasze złoto i w razie potrzeby nas.

Eanes pełnił obowiązki majordomusa, kucharza i służącego, a do Cassiniego należało zbieranie zaklęć i

magicznych przedmiotów. Ja zobowiązałem się znaleźć statek, który przewiezie nas przez Wąskie Morze do

najbardziej odległego valaroińskiego portu, jaki znał Janosz. Studiując mapę, ponownie zdumiałem się, jak

mizerną wiedzę dysponujemy o tych krainach. Cel naszej podróży, port Redond, leżał nie dalej jak dwie

szerokości palca na wschód od Likantu po drugiej stronie morza; dalej na wschód rozciągało się Wybrzeże

Pieprzowe, o którym krążyły liczne, często złowróźbne pogłoski. Pozostałe obszary otaczał nimb tajemnicy:

ta część mapy stanowiła białą plamę, żadnych miast, żadnych wzmianek o plemionach czy narodach. Poza

Wybrzeżem Pieprzowym wznosiło się olbrzymie pasmo górskie, które Janosz naszkicował na mapie. Znał

ten masyw, bo jego rodzinna Kostroma leżała mniej więcej w tym rejonie.

- Słyszałem w Likancie opowieści - powiedział mi kiedyś - według których archonci potajemnie wysyłali

odkrywców na wschód, poza Redond, nawet za Wybrzeże Pieprzowe. Nigdy jednak nie spotkałem

człowieka, który twierdził wiarygodnie, że brał udział w podobnej ekspedycji, więc nie przykładałem wagi

do tych historii.

Setnik Maeen zaopiekował się naszym wojennym rynsztunkiem, byśmy ostentacyjnie nie obnosili się z

bronią. Resztę ekwipunku - konie, muły, zapasy żywności, namioty i tak dalej - zamierzaliśmy kupić w

Redond.

Janosz powiedział mi w sekrecie, że dla dobra i powodzenia naszej ekspedycji musi załatwić pewne

sprawy - sprawy, w które ktoś taki jak ja mógłby się nierozważnie zaangażować. Poprosił, bym nie robił

hałasu, gdy zdarzy mu się przyjść o nieprzyzwoitej porze, czy też gdy ujrzę go w kompanii podejrzanych

typów. Całe szczęście, że ostrzegł mnie wcześniej. W przeciwnym razie poderwałbym na nogi Maeena i

likantyską straż, kiedy zobaczyłem, jak typ o wyglądzie szubienicznika kręci się przed gospodą powłócząc

nogami. Przez długie lata zdążyłem się już nauczyć, że mężczyzna lub kobieta, przed którymi należy mieć

się na baczności, mogą mieć rysy boga lub bogini i pobożne obyczaje świętego, podczas gdy prawdziwy

święty może z wyglądu przypominać potwora. Lecz Greif wyglądał dokładnie na takiego łajdaka, jakim w

istocie był. Pierwszy dostrzegł go Eanes. Gwizdnął cicho i ostrzegł, by mieć na oku człowieka na dole. -

Oczywiście - powiedział - taki paskudnik musi być bogaty. Matki pewnie rezerwują jego usługi na wiele

miesięcy naprzód, żeby postraszyć dzieciaki i zmusić do przyzwoitego zachowania. - Greif przerastał mnie

wzrostem nie więcej niż o cal, lecz masą dwukrotnie. Toporna, ciężka figura pasowała raczej do tragarza czy

właściciela karczmy, a jeśli rzeczywiście parał się kiedyś jedną z owych profesji, powody jego upadku były

oczywiste już na pierwszy rzut oka: miał odcięte uszy, co oznaczało, zarówno tutaj jak i w Orissie, że po

trzykroć przyłapano go na kradzieży. Zniekształcone ramiona były dziwnie wygięte. Z początku wydawało

mi się, że jest kaleką, lecz później dostrzegłem pod podwiniętymi rękawami poplamionego kaftana przypalone blizny.

Zawołałem go i zapytałem, czego tu chce. Odpowiedział, że szuka kapitana Janosza Szarego Płaszczka,

człowieka, który służył niegdyś w Likancie. Jego donośny, głos nadawałby się doskonale do odprawiania

obrzędów i prowadzenia zbiorowych modlitw. Eanes zapytał, jak ma na imię.

56

- Greif.

- Pasuje jak ulał - mruknął mój niewolnik. - Co tu robicie, panie Greif?

- Mam sprawę... do kapitana - odparł.

Janosz wyszedł z izby i stanął na chybottliwym balkonie. - Jam jest Janosz zwany Szarym Płaszczem. Kto

cię przysłał? - Mężczyzna nie odpowiedział, przynajmniej nie za pomocą słów. Zamiast tego wykonał trzy

błyskawiczne ruchy ręką.

- Na górę, przyjacielu - odrzekł Janosz. - Eanesie, poprosimy o wino. - Bardzo możliwe, że szubienicznik

widział już od środka komnatę tortur, lecz na pewno nie był inwalidą. Pokonał strome schody w sposób, w

jaki wielkie małpy z północy wspinają się po swoich klatkach w orissańskich ogrodach. Podgięta

fałda tuniki

odsłoniła pochwę z ukrytą w niej bronią. Janosz zaprosił przybysza do swojej izby. Rozmawiali bardzo

długo. Wreszcie kapitan wyszedł i poprosił mnie o dwie sakiewki złotych monet. Zawahałem się, czując

odrazę do robienia jakichkolwiek interesów z Greifem, lecz wnet uświadomiłem sobie głupotę mego postępowania. Niewątpliwie w najbliższej przyszłości będziemy mieć do czynienia z wieloma łajdakami,

którzy sprawią, że czule będziemy wspominać Greifa.

OKAZAŁO SIĘ, że wynajęcie statku nie jest wcale prostym zadaniem, choć przed wyprawą myślałem o tym

jak o najprostszej rzeczy pod słońcem. Niestety, wymagało to wiele cierpliwości, a co najważniejsze znajomości skomplikowanej sztuki negocjacji. Chciwie pochłaniałem wzrokiem długi, lśniący statek z

wysokim masztem i zwiniętym dokoła rei trójkątnym żaglem: te nazwy podpowiedział mi jakiś próżniak

wałęający się po przystani. Na rufie widziałem solidny imponujący dziób przypominający głowę mewy, co

uznałem za dobry omen, jako że statek wyglądał tak, jakby chyżością nie ustępował temu morskemu latawcowi. Ciasne kajuty żaglowca, jedynie w części pokrytego drewnianym pokładem, nie zapowiadały

wygodnego rejsu. Statek jednak był nowy, albo wyjątkowo dobrze utrzymany. Wzdłuż lewej burty zwieszał

się z dwóch wdzięcznych bomów róg salingu, co szczególnie mnie zainteresowało, ponieważ obawiałem się,

że podczas pierwszej podróży morskiej żołądek często będzie mi o sobie dawał znać. Właściciel czekał już

na mnie. Właśnie tak wyobrażałem sobie morskiego wilka - boso, z gołą głową, w bezkształtnym wełnianym

kubraku i bryczesach do kolan.

Spojrzawszy na mój strój skinął z szacunkiem głową.

- Szlachetny panie, zechciej łaskawie rzucić okiem na tenże drakar, jeśli szukasz przygód na dalekich morzach.

Przedstawił się jako L'ur, kapitan i właściciel „Kittiwake”. Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć,

zaczął nalegać, że oprowadzi mnie po statku. W owych czasach niewiele wiedziałem o statkach; teraz, jako

właściciel większej ich liczby niż człowiek mógłby zliczyć w ciągu jednego dnia, posiadam sporą wiedzę o

tym niezwykle praktycznym wynalazku. Najzupełniej szczerze uważam, iż z powodzeniem można by nazywać statek łodzią, dziób spiczastym końcem, a rufę kuprem i w ten sposób zapomnieć o

skomplikowanej terminologii stosowanej przez żeglarzy. Wreszcie wróciliśmy na rufę, do pomieszczenia

szumnie nazywanego nadbudówką, i mój rozmówca posłał po wino. Swoje sownice rozwodniłem.

Powiedział, że zastanowił się nad moją prośbą i byłby zaszczycony, gdyby mógł nas przewieźć do Redond.

Określił cenę... w złocie... płatną z góry. Jakimś cudem udało mi się nie wypluć jego żywicznej lury na

pokład i wykrztusiłem, że chcę tylko wynająć jego zabawkę, a nie od razu kupować. Roześmiał się jak z

przedniego dowcipu i poinformował mnie z ponurą miną o niebezpieczeństwach czyhających na Wybrzeżu

Pieprzowym.

Spytałem, jakie konkretnie niebezpieczeństwa ma na myśli. Lista, którą wyrecytował, robiła wrażenie:

wspomniał o skałach często zmieniające położenie, o potężnych wirach wodnych, morskich potworach,

piratach, klifach od strony zawietrznej, gdzie na niegościnnym wybrzeżu trudno było o bezpieczne schronienie, gadał o burzach pojawiających się znikąd, bez wątpienia wskutek machinacji jakiegoś

potężnego, złego maga zamieszkującego Wybrzeże Pieprzowe, o gwiazdach, które nie podążały konsekwentnie po swej orbicie wprowadzając w błąd nawet najwytrawniejszych nawigatorów. Na koniec

powiedział:

- To chyży statek, panie. Zamustruję najlepszą załogę, tęgich zuchów, co to jednakowo umieją związać żagle,

radzić sobie z katapultami, procami i wszelaką inszą bronią. A pewnikiem i twoi kompani mają pojęcie,

którym końcem nasadza się strzałę na cięciwę.

57

Tak to się zaczęło. Każdego dnia wędrowałem do portu i rozpoczynałem żmudne negocjacje poparte furą

kłamstw. Zanim dobiliśmy targu - a skończyło się na sumie dwukrotnie przewyższającej moją ofertę, w tym

połowa płatna w dzień wypłynięcia w morze, a reszta po przybyciu do Redond - miałem ochotę przytroczyć

sobie moją czternastoosobową świtę, plus skrzynie z pieniędzmi, do pleców i wyruszyć wplaw do tego

przeklętego przez bogów Valaroi. Powinienem dodać, że od tamtego czasu żeglarze wciąż załatwiają interesy w ten sam sposób.

NA DZIEN przed całkowitym wyczerpaniem cierpliwości L'ura zdarzyło się coś wielce osobliwego.

Wróciwszy do gospody zastałem czekającego w niej Greifa. Ścisnął w rękę pieczołowicie związany worek,

wypełniony precjozami - to jego określenie - które zorganizował dla Janosza. Zaproponowałem, że oddam je

Janoszowi, lecz spotkałem się z ostrym sprzeciwem. Kapitan Szary Płaszcz zaznaczył, że tylko on będzie

mu płacił i że Greif odpowiada za swoje czyny wyłącznie przed nim. Miałem ochotę warknąć, że Janosz

pracuje dla mnie i, co za tym idzie, nie powinien mieć przede mną żadnych tajemnic, lecz nagle poczułem

ogromne znużenie, niewątpliwy skutek żmudnych targów z L'urem.

Z czystej uprzejmości zaproponowałem Greifowi wino. Przyjął zaproszenie i znaleźliśmy ustronne miejsce

w głównej izbie karczmy.

- Nadziwować się nie mogę - odezwał się. - Znajda taki, co kątem w marnej lepiance żyje, a złopie

frymuśny trunek z kupieckim księciem. Cosik mi się widzi, że nikt z mojej dawnej kompanii nie dałby temu

wiary. - Roześmiał się z wyraźnym zadowoleniem, obnażając czarne zęby. - Trunek zda mi się nawet

słodszy, gdy wiem, że robię przysługę dla Antero.

- Skąd znasz moje rodowe nazwisko?

- Ano, jeden z wojów gadał do drugiego. Pewnikiem myślał, pachol jeden, że jak uszy mam obcięte, to nic

nie słyszę. A ja, słyszę. Tak dobrze jak każdy inny. Jeno nie zamartwajcie się, dobry panie. Greif trzyma

jęzor za zębami i pary z gęby nie puści. Nauczyłem się chować mordę w kubeł. - Poglądził lekko poparzenia

od liny na swojej dłoni. Pragnąłem, żeby Janosz wrócił jak najszybciej, bo obecność tego osobnika

przyprawiała mnie o swędzenie skóry, jakby mnie wszy oblazły.

- Słyszałeś o mojej rodzinie? - zapytałem.

Greif skinął głową, po czym obrócił się na krześle i podniósł tunikę. Żołądek podszedł mi do gardła. Już

wcześniej widziałem blizny po biczu, białe i pokręcone, ale nigdy aż tak głębokie. Pejcz musiał ciąć do

samych kości.

- Jednego razu - mówił Greif odwracając się znowu do mnie i naciągając tunikę - szczęście się do mnie

uśmiechnęło i trafiłem robotę dla Nissou, pana Symeona. Tak. Tak. Widzę, żeś się zdumiał. Te Symeony...

Nawet taki uliczny łachudra jak ja słyszał o waszym nieprzyjacielu. Nie to chciałem mówić... to nie on

plącił, ale ja. Tuzin tuzinów. Potem już ino bicz. Pod budynkiem Symeonów lochy są pobudowane. Nie

pamiętam, czym krzyczał, czy nie. Pewnikiem tak. Jak tu nie wrzeszczeć gdy skórzany batog, żelazem wzmocniony, ćwiczy ci plecy? - Uśmiechnął się i przesunął językiem po wargach, jakby na wspomnienie

miłosnych igraszek. - Potem, jak psa zdechłego, do zatoki kazał mnie wrzucić. Myśleli, że zdechnę. A ja nie.

Poprzysiągłem zemstę, a pamiętliwy ze mnie człek. Spotkamy się gdzie indziej. Wiedziałem, że to tylko

takie gadanie, by do reszty ducha nie wyzionąć. I tak sobie miarkuję, że mógłbym wam pomóc, panie, a

Symeonom choć trochę sadła za skórę zalać. Żdziebko tu, żdziebko tam... Widziałem kiedyś, jak myszy

zeżarły taki wielki bochen chleba.

Opróżnił kielich, więc kiwnąłem na znudzonego karczmarza, który w wielkim skupieniu dłubał w nosie, by

przyniósł więcej wina. Greif w tym czasie udał się do wychodka. Rozejrzałem się po izbie. Niewiele osób

zwracało na mnie uwagę. Schyliłem się i dotknąłem tobołka, który włóczęga przyniósł dla Janosza; zupełnie

jak dziecko, które macając zawiniątko próbuje odgadnąć, co dostanie na urodziny. Jakieś butelki...

skrzynka... coś szeleszczącego jak suche rośliny... woreczki z okrągłymi nasionami... - O psiakrew! -

syknąłem. Ujrzałem błysk ostrza, które przebiło płócienny worek. Szybko poszerzyłem powstałą dziurę.

Ostrze było zagięte w niewielki sierp, miniaturę narzędzia, którym chłopci ścinają owies, jednak wykonany ze

szczerzego złota. Kątem oka dostrzegłem, że na ostrzu wyryto magiczne runy. Podobnych narzędzi używano

do ścinania ziół i innych roślin, lecz na pewno nie posługiwali się nimi kucharze. Tych roślin używano do

zaklęć. Używał ich mag.

Zastanawiałem się, do czego Janosz potrzebował zakazanych, magicznych narzędzi. Zawartość worka intrygowała mnie coraz bardziej. Przypomniałem sobie pytanie, jakie zadał Janoszowi w Orissie Gamelan,

58

najstarszy mag i w jak za pomocą żartu kapitan uchylił się od odpowiedzi. Nie wspominałem Janoszowi o

swoim odkryciu w tobołku, kiedy zjawił się niemalże równocześnie z powracającym z dyskretnego przybytku Greifem. Pytania pozostawiłem na czas, kiedy będziemy sami, ponieważ zdawałem sobie sprawę,

że posiadanie lub używanie takich przyborów przez osobę nie będącą magiem groziło w najlepszym razie

ponurym lochem, w najgorszym - śmiercią.

OWEJ NOCY, po raz pierwszy od wielu miesięcy, przyśnił mi się koszmar. Nie pamiętam, czyja twarz

pojawiła się poprzednio w moim śnie, lecz od tamtej nocy to Greif wyprowadzał mnie z łodzi na spotkanie

tragicznego losu. Nie miał jednego oka, a z pustego oczodołu wyzierało coś, co przypominało wijącego się

robaka lub jakieś nieziemskie światło.

Okrągły księżyc błyszczał wysoko na niebie, oblekając świat srebrnoszarą pajęczyną. Wchodząc po schodach do mojej komnaty, wyjrzałem przez brudną szybę małego okienka. Kiedy już prawie zasypiałem,

głośnie ujadanie przerwało ten na wpół świadomy błogostan. Schwyciłem miecz i wybiegłem na balkon.

Dwie pochodnie zatknięte po obu stronach bramy rzuciły migotliwe światło na skurczone pośrodku dziedzińca stworzenie. Nie pochodziło na pewno z żadnego ziemskiego łona... musiało być wytworem

zaklęć maga. Wyobraźcie sobie hienę, pozbawioną owłosienia i zagłodzoną prawie na śmierć... z twarzą

człowieka.

Dziwaczny stwór przemówił ludzkim głosem, który z powodzeniem mógłby dobywać się z sekretnych lochów archontów.

- Wzywają was - zaskrzeczał. - Wzywają was do zamku. Wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety, wszyscy,

którzy nie są Likantyjczykami. Wzywają was. Za godzinę. Tak mówi wyrocznia. Musicie się tam stawić.

Wszyscy. To rozkaz archontów. Musicie go posłuchać. Wzywają was. Niechaj ci, którzy nie posłuchają

znajdą śmierć, śmierć przez spalenie, śmierć przez wodę, śmierć przez zmiżdżenie, śmierć przez upadek.

Oto głos archontów.

Stworzenie poderwało się z ziemi i długimi susami pomknęło brukowaną ulicą ku kolejnej gospodzie.

Poczułem czyjaś obecność. Odwróciwszy się, ujrzałem kamienną twarz Janosza.

- To oznacza śmierć - powiedział. - Obawiałem się, że nas wywęszą. - Skinął na mnie. - Musisz wydać

rozkazy, by wszyscy odziali się jak najrychlej. Nikt nie może mieć ze sobą broni, nawet kuchennego noża.

Musimy dotrzeć na plac, zanim piasek przesypie się w klepsydrze... W przeciwnym razie wszystkich nas

czeka śmierć.

ULICE LIKANTU, dziwnie upiorne, wypełniły się gwarem; to tu, to tam rozbłyskała pochodnia niesiona

przez zatrwożonego przybysza z innej krainy; milczące patrole likantyjskich strażników kroczyły ulicami

odmawiając odpowiedzi na wszelkie pytania, przypominając tylko o posłuchu należnym rozkazom archontów. Wysokie budynki tonęły w nieprzeniknionym mroku, tak jakby za ich oknami nie było żywego

ducha. Od czasu do czasu zza zasłony mignęła biała twarz, wyjrzała ukradkiem, po czym chowała się pośpiesznie za kotary.

Janosz niezwłocznie powrócił do swej komnaty, a ja wydałem odpowiednie rozkazy. Z izby Janosza dobiegł

odgłos tłuczonych naczyń, potem zaległa cisza. Musiałem go trzykrotnie zawołać, zanim wyszedł.

Ruszyliśmy ulicami Likantu, lecz wnet usłyszałem, jak Janosz zatrzymuje się przy Maeenie. Potem podszedł

do Eanesa i usłyszałem, jak pyta go szeptem, czy potrafi czytać. Eanes mógł być przerażony, lecz miał dość

wewnętrznej dumy, aby warknąć:

- Oczywiście, że umiem, przecież nie jestem barbarzyńcą z Likantu.

Na końcu Janosz podbiegł do mnie.

- Trzymaj - szepnął wręczając mi jakiś metalowy przedmiot. - Naucz się tego na pamięć. Wyrecytujesz w

odpowiednim momencie, będziesz wiedział kiedy. Maeenowi i Eanesowi też dałem coś takiego.

- A Cassini? - odszepnąłem. Nasz mag podążył dostojnie kilka kroków przed nami.

- On nie ma się czym martwić - wyjaśnił Janosz. - Równi mu rangą roztoczą nad nim opiekę. - Wręczył mi

czapkę używaną przez służących, żebym ustrzegł się od kurzu na włosach. - Włóż to. Musimy uważać, by

ich niczym nie rozdrażnić.

była

podniesiona. W głębi dziedzińca olbrzymia pochodnia wysyłała złowieszcze języki czarodziejskiego ognia.

Usłyszałem urywany szept jednego z żołnierzy:

- Cuchnie tu... czarami...

- Jeśli ci życie miłe - syknął Janosz - nic nie mów, ani nawet nie myśl o tym, co widzisz.

Było na tyle jasno, że mogłem obejrzeć to, co trzymam w dłoni. Zobaczyłem czerep z politurowanego mosiądzu. Od razu skojarzyłem to sobie z łoskotem, jaki słyszałem wcześniej - mosiądz był częścią jednej z

lamp w naszej izbie. Widniały na nim słowa wyskrobane końcem noża:

Jestem zwierciadłem,

Jestem niewidzialny.

Myślę tak jak ty,

Mój umysł jest ścianą.

Nic nie odczuwaj,

Nic nie myśl,

To, co widzisz, jest tym, czym jesteś,

To, co widzisz, jest tym, czym jesteśmy.

Jestem zwierciadłem.

Pomimo wszechogarniającego przerażenia zdobyłem się na logiczne myślenie: najpierw tobolek zawierający magiczne przedmioty, a teraz to zakłęcie... Czyżby Janosz Szary Płaszcz miał się za maga? Nie

było jednak czasu na rozmyślania; tuż za bramą, gdy znaleźliśmy się na ogromnym otwartym dziedzińcu,

otoczyły nas strażę.

Na dalekim krańcu podwórca ujrzeliśmy podwyższenie, na którym stało dwóch mężczyzn. Ich ciała

błyszczały. Wydawali się wyżsi niż zwyczajni ludzie. Na głowie każdego z nich lśnił diadem archonta.

Wzdrygnąłem się... Oto miałem przed oczyma czyste zło. Zwyczajni ludzie, nie mówiąc już o przybyszach z

innych krain, pod żadnym pozorem nie powinni patrzeć na archontów Likantu, Mistrzów Magii. Usłyszałem,

że któryś z tarczowników szepce słowa modlitwy i zaraz potem inkasuje mocnego kuksańca od Maeena.

Likantyjscy wojownicy ustawili nas w szeregi. Na dziedzińcu zgromadzono trzysta, może czterysta osób.

Niektórzy w pełnym stroju, inni ubrani jedynie do połowy, lecz nikt nie nosił ubrania typowego dla Likantyjczyków. Mężczyźni i kobiety, notablowie i niewolnicy, dzieci i starcy. Niektórzy zanosili się płaczem; inni, odurzeni mocnymi trunkami, próbowali udawać odważnych.

Wtedy pomiędzy dwoma archontami pojawił się jakiś stwór. Usłyszałem głos, rozlegający się znikąd, a

jednocześnie zewsząd.

- Tej nocy jest zło, jest zło, jest zło za granicami naszego kraju,

Zło dla mnie, zło dla Likantu, zło, któremu trzeba położyć kres.

Wizja jest wyraźna, wizja jest wyraźna,

Nadszedł odpowiedni czas,

Nadszedł odpowiedni czas.

Szukaj, nasz posłańcu, nasz inkwizytorze, nasz kochanku.

Stworzeniem okazał się ów upiorny posłaniec, który nas tu wszystkich wezwał, paskuda, z najczarniejszych

zakłęć. Zeskoczyła z piasku i zmierzał w naszym kierunku. W jakiś sposób zrozumiałem, jaka jest jego

nowa rola: Poszukiwacz. W miarę jak zbliżał się do nas, słyszałem coraz wyraźniej, jak węszy. Wiedziałem,

że nadszedł odpowiedni moment.

Jestem zwierciadłem...

Stworzenie powoli poruszało się wzdłuż naszych szeregów. Kiedy podeszło do mnie, jeden z naszych tarczowników zwałił się na ziemię bez przytomności. Usłyszałem, jak bezwładne ciało uderza o kamienie.

... Nic nie myśl...

Demon stał przede mną. Nie ośmieliłem się spuścić wzroku. Poczułem jak, obrzydliwy pysk dotyka moich

gołych stóp. Z trudem zachowałem spokój.

To, co widzisz jest tym, czym jesteś...

60

Nie upadłem. Ogar odszedł. Usłyszałem zdumiony jęk gdzieś z końca rzędu, lecz nie próbowałem nawet

spojrzeć w tamtym kierunku. Dźwięki wydawane przez bestię do złudzenia przypominały odgłosy moich

tropiących psów; najwyraźniej wiedziała, że to, czego szuka, jest blisko, lecz wciąż nieuchwytnie. Słyszałem

drapanie pazurów po kamieniach... Tuż za moimi plecami... Zbliżało się ku mnie.

To, co widzisz, jest tym, czym jesteśmy...

Bestia jeszcze raz się oddaliła. Tym razem porzuciła nasze szeregi, wybiegając na otwartą przestrzeń dzielącą nas od archontów. Usiadła na zadzie i zawyla do zachodzącego księżyca. Raz. Drugi. Trzeci. Ktoś

wyszedł z tłumu i podeszedł do Poszukiwacza, wezwany jego ujadaniem.

Była to młoda kobieta. Do dzisiaj pamiętam doskonale jej niezwykłą urodę. Bardzo, bardzo młoda, może

nawet dziewczyna. Jej wiotkie kształty okrywała jedynie nocna koszula. W innej sytuacji niejeden mógłby

poczuć silne pożądanie, lecz nie wtedy. Nie tam. Likant wybrał swoją ofiarę. Podeszła do bestii.

Zdawało

się, że jej stopy pragną biec, uciekać za wszelką cenę, lecz zakłęcie trzymało zbyt silnie. Grymas trwogi

wykrzywił piękną twarz. Nagle powietrze przed nią zamigotało tą samą lśniąca aureolą, jaka otaczała archontów. Wyłonił się z niego kształt niewielkiego sztyletu o lekko zakrzywionym ostrzu. Ta dziewczyna

używała pewnie podobnego w kuchni, jeśli pochodziła z pospólstwa, lub jeden z niewolników kroił takim

narzędziem owoce na śniadanie dla swojej pani, jeśli urodziła się w zamożnej rodzinie.

Kobieta powoli ujęła sztylet i zwróciła go ku swemu ciału. Ostrze zatopiło się w piersi. Zakłęcie nie powstrzymywało jej od krzyku. Żaden z nas nie mógł się poruszyć, nie mogliśmy nawet odwrócić wzroku.

Zadała sobie kolejny cios. Potem jeszcze jeden. Po dziś dzień jej przeraźliwe krzyki brzmią mi w uszach.

Tuż przed świtem zabrakło jej sił, by krzyczeć; wtedy pozwolili jej umrzeć. Demon znikł, a na wyniosłym

podium archontów nie było żywego ducha.

Jak we śnie opuściliśmy koszmarne miejsce, powłócząc ciężko nogami. Na oświetlonym gasnącymi pochodniami placu nie pozostało nic poza bezwładnym ciałem kogoś, kto nie tak dawno emanował niezwykłym pięknem.

- TAKI JEST ZWYCZAJ w Likancie - wyjaśnił później Janosz. - Kiedy archonci lub ich wróżbici dopatrzą

się jakiegoś niebezpieczeństwa albo dostrzegą, że zło dąży do miasta, poświęca się ofiarę.

- Nic dziwnego, że zawsze jest nią przybysz z innej krainy.

- Nie zawsze - zaprzeczył natychmiast. - Widziałem, jak rodowici mieszkańcy tego miasta wybierają samych siebie, raz nawet uczynił to młody mag. Przeważnie młodzi ludzie ofiarowują swoje życie, by uratować Likant. Najczęściej są niezwykle urodziwi. Niektórzy z nich występowali kiedyś przeciwko miastu

lub często, z dziada pradziada pałają nienawiścią do Likantu. Inni niczym się nie wyróżniają. Dlatego właśnie poprosiłem cię, abys założył czapkę. Być może dlatego... to stworzenie, którego nazwy nie wymienię... zatrzymało się przy naszej grupie. A może nie. Może ta kobieta kryła w sobie większe sekrety i mocniejsze uczucia niż którykolwiek z nas. A poza tym... to nie była najgorsza śmierć Wybrańca, jaką widziałem.

Zawahałem się i już, już miałem zapytać, skąd zna kontr- zakłęcie, lecz rozmyśliłem się. W Likancie nie powinno się zadawać takich pytań.

NADSZEDŁ CZAS wyjazdu; załoga, zapasy, statek - wszystko czekało przygotowane. Mieliśmy wyruszyć

za dwa, trzy dni w czasie kwadrowego przyływu. Najwyraźniej Janosz załatwił wszystkie swoje sprawy,

jako że przestałem widywać Greifa.

Janosz, Cassini i ja udaliśmy się do jednej z licznych kuźni, by wybrać odpowiedni oręż na podróż, taki,

który nie zdradzałby naszego pochodzenia. Dostrzegłem piękny miecz z lśniącej stali, z jelcem i głownią

nabijaną drogocennymi klejnotami, inkrustowany złotem, podobnie jak misternie wykonana pochwa. Tuż

obok leżał idealnie pasujący do miecza sztylet. Kowal wymamrotał pod nosem, że jakiś mag rzucił na nie

zakłęcie powodujące niezwyciężoność. Spytałem, czy mogę je wziąć do ręki. Prawie nie czułem ich ciężaru,

lecz jako niezbyt doświadczony wojownik, zwróciłem się do Janosza o radę. On sam dokonał już wyboru -

miał przy sobie tę samą broń, z jaką widziałem go na placu ćwiczeń w Orissie.

- Weź, co chcesz - rzucił krótko. - Nikt nie powinien doradzać wojownikowi w sprawie wyboru oręża, kiedy

ten idzie na bitwę, chyba, że dowódca ma ku temu jakieś szczególne powody. Ja na pewno nie wybrałbym

tego, co trzymasz w dłoni, choć z pewnością obie klingi prezentują się wyjątkowo okazale. Po pierwsze, nie

jest dobrze, szczególnie w niewielkiej grupie, gdy łatwo jest rozpoznać dowódcę. Z tej samej przyczyny

61

lepiej nie nosić długiego pióropusza, złotych ozdób... ani dekoracyjnego grawerunku na ostrzu. Nic tak nie

wpływa na załamanie się rycerskiego ducha wśród żołnierzy, jak widok umierającego dowódcy. Poza tym

widywałem obwiesiów, którzy mordowali ludzi wyłącznie przez wzgląd na ich wspaniałe miecze. Jeśli

chodzi o domniemane zaklęcie... czy wyobrażasz sobie mężczyznę gotującego się do bitwy, bez względu na

to, czy jest biednym chłopem, uzbrojonym w obitą mosiądzem pałkę, czy też dostojnym możnowładcą z

drogocennym mieczem, który nie zostałby wcześniej przez kogoś pobłogosławiony? Obojętne - maga,

wiedźmę, miejscowego czarodzieja albo... albo nawet archonta? Dodaj do tego pole bitwy, na którym aż roi

się od zaklęć i kontr- zaklęć, kłębiących się gęściej niż wzniecany w czasie walki kurz. Zawsze czułem, że

zaklęcia bitewne i talizmany mają tendencję do wzajemnego przeciwdziałania, a co za tym idzie,

neutralizowania się. Ale to tylko moje odczucia, a może odrobina cynizmu. Cóż, ten mieczyk może i jest

solidnie wykonany, lecz zastanów się nad tym.

Wskazał palcem inny oręż, a kowal pośpiesznie nam go przyniósł. Przypominał obosieczny miecz o krótkiej

klindze i jelcu dostosowanym do jednej ręki.

- Jest mocny i o obustronnym ostrzu. Tego, co zamierzam ci pokazać, mógłbyś prawdopodobnie

dokonać z

wieloma innymi ostrzami, lecz te cieńsze mogłyby najzwyczajniej pęknąć. - Jedną dłonią złapał błyszczące

ostrze, drugą masywną rękojeść. Naprężył mięśnie i stalowa klinga wygięła się lekko. Ku mojemu zdumieniu stal zamiast pęknąć zakrzywiała się coraz bardziej tworząc łagodny łuk. Janosz pozwolił ostrzu

odgiąć się z powrotem i skinął na kowala. - W tym nie ma żadnej magii, mistrzu Kanadiesie. Za to czysta,

najlepszej jakości metalurgia.

- Poznałeś się na mnie, możny panie. - Kowal roześmiał się szczerze. - A juści, bitwa to nie miejsce dla

czarów, jednak tylko ostatni kiep pogardzi błogosławionym słowem maga przed walką. I ja także, grosiwa

nie żałując pokłoniłem się magowi, by rzucił czar przeciwko rdzy, aby nawet na morzu był z tej broni pożytek, a możny wojownik nie mitrężył czasu, przeklinając i pocierając ostrze unurzana w oliwie szmatą.

- To mocny miecz - kontynuował Janosz. - Najlepszy na taką wyprawę, w razie potrzeby i namiot przytrzyma, i posłuży za maczetę do karczowania zarośli, a może także zastąpić rożen do pieczenia mięsa

nad ogniem. Chociaż osobiście nie szczędziłbym ci ostrych słów, gdybym zobaczył, że w ten sposób rozhartowujesz szlachetną stal. Ten zwykły, prosty oręż posłuży ci także do obrony przed cięciem wroga...

oprócz tych wszystkich innych pożytków. - Czułem, że na policzki wystąpił mi lekki rumieniec. Sądziłem,

że Janosz zapomniał już o moim występie nad rzeką w Orissie, podczas którego okazało się, iż niezbyt tęgi

ze mnie szermierz.

- Oto sztylet, jak ułał pasujący do tego miecza - rzekł Janosz podając mi dość skromnie wyglądające narzędzie - jednostronny nóż ze stosunkowo długim, szerokim ostrzem, opatrzonym wyźłobieniami po

obu

stronach. - Posłuży ci do cięcia zagajnika, oprawiania zwierzyny albo zarzynania złodziei. Noś go zawsze

przy sobie. Przekonasz się, że niewygodny miecz będziesz zwykle zostawiał przy ognisku lub przytroczony

do siodła, szczególnie na chwilę przed tym, gdy będziesz go potrzebował. wtedy ten sztylet może okazać się

twoim zbawieniem. Prócz tego będzie ci potrzebny mały nożyk do krojenia mięsa, który z powodzeniem

możesz wybrać w sklepie ze sztucami. - Zgadza się ze mną, mistrzu Kanadisie?

- A juści, prawdę gadacie, szlachetny panie.

- Widzę, że decyzja została już podjęta - odezwałem się z uśmiechem. - czasami czuję się bardziej fundatorem tej ekspedycji niż jej dowódcą.

- A my wszyscy naprawdę to doceniamy - odpowiedział Janosz zanosząc się śmiechem. - Jeszcze jedna

sprawa - dodał. - Skoro już mowa o... hm... ostentacji: twoje włosy. Znałem wielkich wodzów dumnych ze

swych wspaniałych kędziorów, którzy prowokowali nieprzyjaciela do ich ścięcia. Podziwiałem ich. Z

daleka. Szczególnie podczas bitwy. Będziemy podróżować przez krainy, których mieszkańcy uważają, że

bogowie błogosławią tych, którym uda się upolować ognistogłowego mężczyznę i zrzucić go z najbliższego

urwiska, aby zapewnić korzystne plony, albo po prostu lepszą pogodę na następny dzień.

Rozważyłem te słowa, podczas gdy Janosz uśmiechał się lekko. Przypomniałem sobie dziedziniec zamkowy

i dziwnego stwora.

- Po powrocie do gospody rozkażę Eanesowi, by ostrzygł mnie jak młode jagnię - obiecałem i sięgnąłem po

sakiewkę, żeby zapłacić kowalowi.

Cassini, który przysłuchiwał się z uwagą naszej rozmowie, lecz ani razu się nie odezwał, kupił ten egzotyczny miecz wraz z bliźniaczym sztyletem.

62

- NIE PODAWAJ mi lustra - błagałem Eanesa. - Powiedz, jak wyglądam. - Poglądziłem dłonią gładką

płaszczynę, którą dopiero co porastała gmatwanina kręconych włosów.

- No cóż - odezwał się po namyśle Eanes - może trochę jak galernik.

- Albo jak złodziej skazany na Całowanie Kamieni - wtrącił Janosz wyglądając zza rogu.

- Banita - jęknąłem zrezygnowany. - Skazaniec.

- Zbyt ostry jesteś wobec siebie, mój panie. Mógłbyś uchodzić za świętobliwego męża, który złożył śluby

celibatu.

- O, to, to - krzyknął Janosz. - Możliwe, że nawet za kastrat.

- Myślę - powiedziałem - że pójdę do komnaty mojego sąsiada, maga Cassiniego, i zapytam, czy mógłby

przygotować niewielkie zakłęcie, które pomaga łysym.

- Na mnie już za późno - rzekł Eanes poklepując się po lśniącej glacy. - Ale uważaj, panie, by nie zwróciło

się na tego, co rzuca zakłęcie.

- Zaczynam wierzyć - ciągnąłem - że upadek z urwiska jest o niebo przyjemniejszy niżli wysłuchiwanie

waszych bredni. Janoszu, to twój pomysł. Chyba powinieneś postawić mi baryłkę jakiegoś przedniego

trunku... nie, lepiej kilka baryłek.

Wstałem i przypasałem nowy miecz. Starąłem się przyzwyczajać do jego ciężaru, znacznie większego od

ciężaru białej broni, jaką nosiłem w Orissie. Eanes starannie pozbierał płachty, które rozłożył dokoła

krzesła

przed rozpoczęciem postrzyżyn. Wytrzepał włosy do skórzanej sakwy.

- Uważałeś, by żaden włoszek nie spadł na dywan? - zapytał poważnie Janosz.

- Oczywiście, kapitanie. Zważam na wszystko od czasu, kiedy zostałem jego osobistym niewolnikiem, a

mój pan był jeszcze nieopierzonym pisklakiem. Uważałem na włosy, uważałem na obcięte paznokcie,

uważałem na to, co chciałby, żeby wkrótce zamieniło się w zarost, uważałem, gdy jako obrzydliwy szczeniak rzygał we wszystkich kierunkach niczym chodząca fontanna. Chociaż zdarzały się chwile, kiedy

miałem przemożną chęć sprzedać jakąś część swego pana złej wiedźmie, pod warunkiem, że planując

odpowiednie zakłęcie uwzględniłaby dobre maniery i zdrowy rozsądek.

- No dobrze - rzekł Janosz, nadal bardzo serio. - Tylko nie wyrzucaj tego do wychodka. Wynieś je i wyrzuć

do głównego ścieku, gdzie nieustannie przepływa woda.

Uśmiech znikł z twarzy Eanesa i niewolnik spojrzał poważnie na kapitana. - Zrobię tak jak mówisz - odparł.

- Nie wiem, czy kierujesz się jakimś przeczuciem, lecz samo przebywanie w tym mieście martwych kamieni

i przeklętych dusz sprawia, że ciągle myślę o naszym przeznaczeniu, które czyha na nas za każdym rogiem.

Wszyscy, jak na komendę, skrzyżowaliśmy palce. Eanes westchnął ciężko.

- Nie mogę się doczekać kiedy znajdziemy się na oceanie, gdzie będę musiał przytrzymywać głowę szlachetnego Almaryka, kiedy ogarnie go niemoc, i informować go, że bogowie nie błogosławią wymiotów

pod wiatr. Całe szczęście, że ja sam mam żołądek z najtwardszego żelaza. - Uśmiechnął się smutno, podniósł sakwę i wyszedł.

- O ile mi wiadomo - odezwałem się - nasz gaduła Eanes nigdy w życiu nie płynął żadnym statkiem,

no,

może z wyjątkiem łódki w ogrodowym stawie.

Janosz uśmiechnął się lekko.

- Przypomina moją nianię. Gdera, jęczy, narzeka, zamartwia się, lecz zawsze...

Przeraźliwy krzyk zmącił nocną ciszę. Błyskawicznie wyskoczyliśmy z Janoszem na balkon. Trzymał miecz

w gotowości, ja sięgnąłem po swój. Zbiegliśmy pędem po schodach na dziedziniec. Dwaj tarczownicy

pełniący wartę przy bramie wychylali się ostrożnie na zewnątrz, ściskając w spoconych dłoniach drzewce

włóczni. Pozostali tarczownicy zrywali się już z łóżek i chwyтали za broń.

- To Eanes - krzyknął jeden ze strażników wskazując na ulicę. Otrzymali surowe rozkazy, by nie dać się

niczemu i nikomu wywabić z posterunku. - Właśnie wyszedł...

Więcej nie słyszałem, ponieważ wybiegliśmy na ulicę. Po drodze Janosz chwycił jedną z pochodni. Przy

końcu tonącej w mroku alejki dostrzegłem trzech mocujących się mężczyzn. Pognaliśmy w ich stronę co siłą

w nogach. Jeden oddzielił się od pozostałych i dał nura w ciemność. Drugi zastygł na chwilę w bezruchu i

zadał cios trzeciemu. Nim dobiegliśmy, na brukowanej alei pozostało jedynie bezwładne ciało.

Rozpoznałem Eanesa. Odwróciliśmy go na plecy. Dostał dwa cięcia, jedno w ramię - miecz przeciął mięso

docierając do kości, a drugie rozplatało mu brzuch aż po trzewia. Wciąż jednak żył.

- Wezwij Cassiniego - rozkazałem Janoszowi, który natychmiast zawołał maga każąc mu przyjść ze wszystkimi ziołami uzdrawiającymi. Już po chwili usłyszałem zbliżające się kroki.

63

Powieki Eanesa uniosły się powoli. Utkwił we mnie wzrok.

- Nie... nie dostali tego. Nie dałem im - wysapał. - Chcieli...

- Nic nie mów. - Janosz ukląkł obok. Wyjął spod Eanesa niewielki, skórzany worek zawierający ścinki

moich włosów. Poczułem uścisk w żołądku. Nie chciało mi się wierzyć. Czyżby napastnicy uważali, ten

dobrze ubrany, mały człowiek niesie sakwę pełną monet?.

- Mówili... chcieli tego, co pochodzi... od ciebie... że dostanę nagrodę, jeśli im oddam. A jeśli nie... - Eanes

wciągnął spazmatycznie powietrze, lecz nie przyniosło ukojenia poszarpanym płucom.

- Leż spokojnie - powiedziałem czując łzy napływające do oczu. - Cassini to potężny mag. Ma różne medykamenty i zna odpowiednie zaklęcia. Wyjdiesz z tego.

Eanes pokręcił przecząco głową.

- Nie - wyszeptał. - Wyświadczyć mi łaskę, panie. - Wiedziałem, że umiera. - Uwolnij mnie - wyjąkał z wysiłkiem. - Pozwól, bym umarł jako wolny człowiek.

To nie było żadne dobrodziejstwo; przecież przeze mnie miał umrzeć na tych szorstkich kamieniach piekielnego miasta. Nie mogłem jednak nic innego dla niego zrobić. Próbowałem znaleźć odpowiednie

słowa; nigdy wcześniej nie uwalniałem niewolnika. Janosz przyszedł mi z pomocą.

- Mów za mną - rozkazał, a ja powtarzałem jego słowa niczym echo.

- Ja, szlachetnie urodzony Almaryk Antero z Orissy, oświadczam, że niewolnik Eanes z... z...

- Z Mangifery - doleciał nas słabnący szept.

- Z Mangifery... jest wolnym człowiekiem. Nie musi już składać hołdu... przed żadnym z żyjących... z wyjątkiem tych, którzy przewyższają go rangą... ma prawo do własności... do żony... do dzieci, które również będą wolne... ma prawo do życia ... po śmierci ... Ja, Almaryk Antero, oświadczam... z własnej,

nieprzymuszonej woli i otwarcie... tutaj, pod okiem bogów... że nie roszczę sobie żadnych praw... teraz i na

zawsze... do tego człowieka, jego dzieci, jego rodziny oraz jego duszy.

Usta Eanesa rozchyliły się lekko, jakby biedak chciał wypowiedzieć słowa podziękowania lub uśmiechnąć

się słabo. Potem jego spojrzenie zmieniło się i zrozumiałem, że wzrokiem przenika przeze mnie i jeszcze

dalej... nie widząc nic. Jego ciało stało się nagle niezwykle ciężkie.

Gęsta mgła przesłoniła cały świat. Ktoś odebrał ode mnie ciało. Janosz pomógł mi wstać. Wtedy coś sobie

przypomniałem: wydrapałem garść ziemi spomiędzy kamieni i posypałem nią ciało Eanesa. Teraz jego duch

nie będzie błakał się po świecie. Obiecałem sobie, że dokonam odpowiedniego obrzędu, by dostał błogosławieństwa Mrocznego Poszukiwacza, i pomszczę to morderstwo. Nie czułem złości, tylko niezmierny smutek i wielki wstyd, że w ciągu tych długich lat służby nigdy nie zapytałem mego najwierniejszego sługi, a zarazem najprawdziwszego przyjaciela, jak zwała się jego rodzinna ziemia.

Janosz objął mnie ramieniem.

- Na opłakiwanie przyjdzie czas - powiedział szorstkim głosem. - Dzisiaj wypływamy.

SPAKOWALIŚMY SIĘ pośpiesznie. Miotałem się po izbie przerzucając swoje rzeczy, po raz pierwszy w

życiu zabrakło osoby, która przypomniałaby mi, gdzie należy włożyć szczotkę do włosów, którą tunikę

trzeba złożyć tak, a nie inaczej - i o wielu innych, jakże praktycznych sprawach. Kiedy pomyślałem o tym

trzeźwiej, skłamałem się w duchu za bezgraniczny egoizm. Dopiero co umarł człowiek, a ja potrafiłem jedynie

myśleć o tym, czy odpowiednio zakorkowałem pomadę i czy wsadziłem ją do właściwego kufra. Setnik

Maeen wyznaczył mi jednego ze swych tarczowników do pomocy, lecz obawiam się, że na niewiele mi się

zdał. Starałem się jednak zachowywać choć pozory uprzejmości i nie warczeć na niego.

Odszukałem właściciela gospody i zapłaciłem za nasz pobyt. Przyrzekał, że zna kogoś, komu nie są obce

orissańskie obrzędy i że każe spalić ciało Eanesa po rytuale, jak i nakazywała nasza wiara, aby żaden mag

nie mógł wskrzesić martwych prochów i uczynić ze zmarłego swego niewolnika, bezmyślnego monstrum.

Janosz stwierdził, że można mu ufać, więc nie wspomniałem, że pamiętliwość jest jedną z głównych cech

rodziny Antero i że popełniłby fatalny błąd, gdyby z jakichś powodów nie dotrzymał obietnicy. Myślę

jednak, że spojrzawszy mi prosto w oczy, wyczytał to w moich myślach.

Kiedy zebraliśmy się na dziedzińcu, Janosz ustawił nas w szeregu i wręczył każdemu niewielki ząb w złotej

oprawie, zawieszony na łańcuszku. Powiedział nam, że są to zęby fretek i że dzięki nim trudno będzie nas

zabić. Przypomniałem sobie moją ulubioną fretkę i dzień, w którym Halab przywrócił jej życie. Może miał

to być dobry omen na wyprawę, którą od samego początku zdawał się prześladować pech. Cassini dziwnie

64

spochmurniał. Wszelkie czary, zaklęcia i talizmany powinny być jego domeną, ale on nie odezwał się ani

słowem i włożył amulet przez głowę równie szybko jak pozostali członkowie wyprawy.

Janosz stał pośrodku dziedzińca wpatrując się smutno w jeden ząb, który pozostał bez właściciela. Może

zastanawiał się, czy uratowałby on życie Eanesowi, gdyby nieszczęśnik otrzymał go pół dnia wcześniej.

SŁOŃCE STAŁO już wysoko na niebie, gdy „Kittiwake” opuściła likantyjski port. Upłynęło sporo czasu,

zanim udało nam się zbudzić L'ura, on z kolei stracił niemało czasu na znalezienie wynajętych przez siebie

żeglarzy, a następnie na odszukanie więdźmy, której prorocstwo okazało się całkiem zadowolające.
Ciężka

letnia mgła wciąż spowijała gęstym welonem okolice portu. Wreszcie rzucono cumy i czterech marynarzy

zasiadło przy długich wiosłach, aby wyprowadzić statek na pełne morze. Dopiero tam rozwinięty żagiel

mógł wypełnić się delikatną bryzą od lądu. Dziób statku przesuwał się majestatycznie w kierunku otwartego

morza. Majaczyło nad nami monstrialne nadmorskie zamczysko archontów, a po przeciwnej stronie

wąskiego ujścia portowego zegnała nas wieża strażnicza, wbijająca swe szpony w krętą, skalistą łapę portu,

która, jakby z niechęcią, pozwalała nam wypłynąć poza swoje granice.

Odwróciłem się, aby spojrzeć na znikające we mgle Likant. Biały całun podniósł się i moim oczom ukazała

się przystań, którą właśnie opuściliśmy. Zobaczyłem stojącą postać ... tak nieruchomą, że z początku

wziąłem ją za jeden z licznych pachołków cumowniczych. Potem rozpoznałem go, mimo że dzieląca nas

odległość powinna uniemożliwić dostrzeżenie twarzy. Ja jednak wiedziałem na pewno. Po prostu wiedziałem.

Człowiekiem, który obserwował nasz korab, był Greif.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Burza archontów

W ciągu następnych dni bogowie pozwolili mi pomścić śmierć Eanesa. Słońce mocno przypiekało, a wiatr

dmuchał rześko, wzdymając szeregi fal. „Kittiwake” szarżowała na spienione bałwany z zapalczywością

godną wojownika, łapiąc chciwie porywczy wicher w wielki żagiel. Jedna z przepowiedni Eanesa nie

sprawdziła się. Na morzu zdrowie dopisywało mi w takim samym stopniu jak na lądzie. Często o nim

myślałem, gdy fale przełamywały się nad statkiem, przemaczając nas do suchej nitki. Pochylone przy

burtach sylwetki naszych tarczowników niebawem zaczęły być stałym elementem krajobrazu. Tam właśnie

zwykli pozbywać się zawartości żołądków - prosto w morską kipieli, ku szczeremu zdumieniu kapitana L'ura

i pozostałych żeglarzy. Wśród ogarniętych niemocą znalazł się również Cassini, co sprawiło widoczną

przyjemność Janoszowi. Choroba morska, śmiał mi się Janosz do ucha, nie reagowała na zabiegi maga.

Traktowałem to jako naprawdę dobry żart, szczególnie że nigdy w życiu nie czułem się tak zdrowo i dobrze.

Rosłem w siłę z każdą przemierzoną milą morską, która zbliżała nas do portu Redond. Krew tętniła mi w

żyłach pragnieniem przygody i opuściły mnie wszelkie myśli dotyczące Greifa. Jeśli chodzi o Eanesa,

obiecałem sobie solennie, że jego śmierć będzie dla mnie nauką, choć szczerze przyznaję, że nie bardzo

wiedziałem, jakie wnioski powinienem z niej wyciągnąć. W głębi serca to właśnie jemu dedykowałem tę

ekspedycję, obiecując bogom tłustą owcę w ofierze zaraz po powrocie, a wspomnienie o nim umieściłem

skrętnie w mojej szkatułce tragedii, wraz z Halabem i matką.

Jest czymś zupełnie normalnym, że każdy podróżnik, poszukujący nowych lądów, zwraca - przynajmniej na

początku - niewielką uwagę na swych współtowarzyszy. Każdy widok ujmuje nowością i odmiennością,

przyćmiewając zachowania i nawyki kompanów, więc naprawdę trudno mi powiedzieć, co robili w ciągu

tych dni pozostali uczestnicy wyprawy. Pamiętam wszelako, że Cassini leżał przeważnie w hamaku, złożony

ciężką morską chorobą. Pamiętam narzekających żeglarzy, chociaż nie traktowałem tych utyskiwań zbyt

poważnie. Niewiele wspomnień zachowałem o tarczownikach z naszej eskorty, z wyjątkiem jednego faktu.

65

Mianowicie setnik Maeen uparcie izolował ich od załogi statku, wymyślając nieustannie jakieś drobne prace,

oczywiście w przerwach pomiędzy ćwiczeniami. Pamiętam, że Janosz chodził zatopiony we własnych

myślach, dumając nad mapami i jakimiś tajemniczymi skrawkami dokumentów.

Dostrzegałem inne statki, ale wszystkie z oddali, jako że L'ur należał do ostrożnych kapitanów i nigdy nie

zdecydowałby się na bezmyślne kuszenie piratów. Zastanawiałem się, jak chyba wszystkie szczury lądowe,

skąd płyną i dokąd zmierzają. Przychodziło mi na myśl, że z pewnością nie obrały sobie za cel cudownej

ziemi z moich marzeń i śmiałem się z ich mało ważnych nadziei. Kiedy jednak znaleźliśmy się na otwartym

morzu, przestaliśmy widywać statki; zaprawdę niewielu śmiałków odważyłoby się na taką wyprawę, a ci,

którzy poczynili te kroki podróżowali równie ostrożnie jak my.

W nieprzeniknionej głębinie żyły najrozmaitsze stworzenia. Widzieliśmy wyskakujące ponad powierzchnię

ryby, żółwie tak ogromne, że na ich skorupie zmieściłoby się kilku dorosłych mężczyzn, owady o odwłokach

wielkości ludzkiej głowy i długich, wrzecionowatych kończynach. Dostrzegłem stworzenie dwukrotnie

dłuższe od naszego statku, które wypluwało wodę z dziury umieszczonej na czubku olbrzymiego łba.

Pomimo olbrzymiego cielska zwinnie umknęło przed naszym statkiem. Później zobaczyłem dwa ogromne

ptaki - albo coś, co przypominało wyglądem ptaki - o szerokich skrzydłach i długich, ostrych dziobach.

Lądowały raz po raz na ciemnym kształcie dryfującym pośród fal, skrzecząc w euforii i szarpiąc bezlitośnie

krwawe mięso. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, dostrzegłem, że były to szczątki jednej z tych tryskających

fontannami wody bestii. Z boku stworzenia sterczało kilka harpunów.

Pewnego dnia na powierzchni wody pojawił się olbrzymi, stary morski jaszczur. Najpierw żeglarze stwierdzili, że przyniesie nam szczęście. Kiedy jednak niestrudzenie podążał za nami, zmęczyli się jego

widokiem i rzucali ponure spojrzenia za burtę. Jaszczur nie odstępował nas przez długi czas i ludzie zaczęli

go już przeklinać, kiedy nagle znikł. My jednak nie zapomnieliśmy o nim.

Niedługo potem, woda w morzu zmieniła barwę, jako że wpłynęliśmy w rejon wielkich głębin. Żeglarze

szeptali między sobą, że nie ma pod nami dna i że głębiny zamieszkuje zły bóg, którego imienia nie słyszał

żaden człowiek. Kapitan śmiał się słysząc te szemrania i drwił sobie określając je jako przesądne brednie,

niegodne prawdziwego żeglarza. Wyczułem jednak niepewność w jego szyderstwach i dostrzegłem, że

złapał się czym prędzej za talizman. Nie uczynił nic, aby położyć kres trwożliwym szeptom.

Mimo powszechnej trwogi nic szczególnego nie wydarzyło się podczas naszej podróży przez głębiny.

Rozumiałem rozdrażnienie załogi, ani razu bowiem nie dostrzegliśmy choćby najmniejszego stworzenia -

ani ryby, ani morskiego jaszczura, czy nawet szybującego wysoko na niebie ptaka. Miałem wrażenie, jakbyśmy wpłynęli na obszary wodnej pustyni. Kiedy pewnego dnia jeden z żeglarzy siedzących na oku

wypatrzył jakiś żagiel i głośno to oznajmił, zamiast zabrać się do ucieczki, popędziliśmy jak szaleni do

relingu. L'ur, usprawiedliwiając się, że musi sprawdzić pozycję statku i zakupić świeżą żywność, wziął kurs

na nieznanego, zawiesiwszy uprzednio na maszcie przyjazną flagę, przedstawiającą dwie dłonie splecione

w serdecznym uścisku. Statek, płynący również pod łacińskim ożaglowaniem, miał jednak trzy żagle. Zbliżyliśmy się znacznie, lecz on ze stoickim spokojem płynął swoim kursem, nie próbując się ani przybliżyć, ani przed nami uciekać. Zakrzyknęliśmy, że przybywamy w przyjaznych zamiarach.

Odpowiedziała nam cisza. Gdy podpłynęliśmy na odległość włóczni i mogliśmy przyjrzeć się pokładowi,

zdaliśmy sobie sprawę, że nie miał nam kto odpowiedzieć. Żagle statku nadymały się mocno, łopocząc

miarowo i... upiornie. Przeszedł mnie dreszcz. Rozejrzeliśmy się uważnie. Ster był podniesiony ponad linię

wodną. Któż więc sterował tym statkiem i w jaki sposób? - Czarna magia - doleciał mnie syk jednego z

majtków.

L'ur wykrzyczał rozkaz i marynarze zaczęli pośpiesznie odpychać wiosłami i bosakami burty upiornego

statku. Za późno. Oczom przerażonych żeglarzy, ukazał się pokład, obryzany ohydą, zakrzepłą krwią.

Brunatnoczerwona posoka spływała po głównym maszcie. Nie dostrzegliśmy jednak żadnych zwłok, ani też

nie słyszeliśmy jęków rannych. Uciekaliśmy bladzi z przerażenia. L'ur wrzeszczał rozgorączkowany, a

marynarze biegali jak opętani, wykonując wszystkie jego rozkazy, jakby Mroczny Poszukiwacz spuścił swe

ogary. „Kittiwake” odskoczyła od statku- widma, a kiedy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość, L'ur

rzucił kotwicę i zwołał naradę.

Niektórzy twierdzili, że była to robota złego czarnoksiężnika. Inni mówili, że dokonali tego ludzie, o

wyglądzie półpiratów, półdemonów. Zaczaili się na niewinnych marynarzy, aby urządzić sobie ucztę z ich

ciał, albo żeby uprowadzić ich w głąbiny i tam pożreć. Na stanowcze polecenie Janosza Cassini powstrzymał się na jakiś czas od uporczywych wymiotów, żeby wygłosić krótką przemowę o

66

przyjaźniejszych bogach i sympatyczniejszych ludziach. W jego słowach wyraźnie czuło się brak emocjonalnego zaangażowania i słuchacze uznali wykład za mało przekonujący, nie tyle z powodu choroby

Casiniego, co z uwagi na paraliżujący maga strach. Odniosłem wrażenie, że Cassini stara się przyzwyczać

do osobliwych spotkań, jakich wiele miało nastąpić podczas wyprawy. Widział, jak niewiele znaczyły jego

własne słowa, więc wezwał do złożenia ofiary bogom tego obszaru. Niestety, ta niefortunna propozycja stała

się zarzewiem kłótni. Zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że naszym bogom również powinniśmy

złożyć ofiarę, by nie wzbudzać w nich, zupełnie niepotrzebnie, zazdrości. Inni utrzymywali, że ofiara należała się wyłącznie naszym bogom; w przeciwnym razie całkowicie nas opuszczą - krzyczeli. Na ofiarę

nadawał się tylko mały prosiak - maskotka kapitana. Cassini mądrze obstawał przy swoim pierwotnym

postanowieniu utrzymując, że należy zjednać sobie raczej tych znajdujących się bliżej, a nie dalej. Prosię

kwiczało wniebogłosy, gdy podrzynał mu gardło. Następnie pozwolił mu się wykrwawić w miedzianą misę,

na której wygrawerowano magiczne runy.

- Na nic to się zda - usłyszałem głos jednego z marynarzy.

- Potrzeba nam znacznie hojniejszego daru - powiedział inny.

- Przecie to tylko biedna świnią - odezwał się ktoś stojący nieopodal.

- On zabija nasze szczęście - rozległo się ponure stwierdzenie.

Ktoś powiedział głośniej:

- To wina czerwonołosego. Przecież wiadomo powszechnie, że czerwone włosy na pokładzie to niechybna

zagłada. - Poczulem, jak palce Janosza zaciskają się na moim łokciu i udałem, że nagle coś padło mi na

słuch. Kiedy przyjaciel odciągnął mnie na bok, do mych uszu doleciał ostatni komentarz.

- To on powinien zająć miejsce tej świni. Wtedy odmieniłaby się fortuna.

- Doskonale cię rozumiem, człowieku - jęknąłem. - Dla mnie te włosy zawsze były przekleństwem.

- Głupio postępujesz nie mogąc pogodzić się z tym, z czym przyszedłeś na świat - odezwał się Janosz. - Nie

zdziwiłbym się, gdyby istniały królestwa zamieszkałe wyłącznie przez ludzi o rudych włosach, gdzie przeklina się czarnowłosych biedaków.

- Co powinienem zrobić? - spytałem szeptem.

- Nie zamartwiaj się. Od Redond dzieli nas zaledwie kilka dni drogi. Po co doprowadzać wodę do wrzenia,

kiedy może się gotować na wolnym ogniu nie przynosząc nikomu kłopotów? Poza tym mamy u boku własnych ludzi, dobrych, lojalnych, orissańskich wojowników, z którymi te łachudry nie mogą się równać. -

Wbrew słowom pełnym otuchy, rzucił mi ponure spojrzenie. - Ale trzymaj nóż w pogotowiu, na wypadek

gdyby jakiś nocny marek połakomił się na twoje życie.

Cassini zakończył obrzęd wylewając do morza mieszaninę krwi i magicznych składników, wołając donośnym głosem do bogów, że jesteśmy pokojowo nastawionymi podróżnikami, którzy niebawem opuszczą ich królestwo. Ponownie postawiliśmy żagiel i popłynęliśmy dalej w nieco lepszych nastrojach.

Szemranie ustało, lecz moje włosy nadal przyciągały badawcze i niekoniecznie przyjazne spojrzenia.

Członków załogi ogarnął niemal radosny nastrój, gdy wpłynęliśmy w rejon, który, jak wszyscy twierdzili,

niał nieustające błogosławieństwo przychylnych wiatrów. L'ur zmienił kurs, aby podążyć w prostej linii do

Redond i nasz statek pomknął chyżo, ślizgając się po wierzchołkach fal niczym skrzydlata ryba. Jeszcze tego

samego popołudnia wiatr ucichł zupełnie.

L'ur pocieszał swoich ludzi, przekonując ich, że to tylko chwilowa cisza na morzu, po czym dodał im otuchy powołując się na ogólnie znany fakt, iż obszary, po których płyniemy, znane są ze stałych wiatrów.

Nieco uspokojeni, przespaliśmy smacznie całą noc. Rankiem zerwaliśmy się gotowi na świeży poranny

powiew, lecz gdy wyszliśmy na pokład, zrzędy nam miny. Późne popołudnie również zawiodło, przygnębiając wszystkich nieruchomym powietrzem, a i nocna bryza nie pobłogosławiła nas swym zwyczajowym pocałunkiem. Nazajutrz słoneczny brzask dał zapowiedź gorącego dnia. W miarę upływu

czasu głowy rozbolały nas od lejącej się z nieba spiekoty. Zrogowaciałe stopy żeglarzy pokryły się pęcherzami, z których odłaziły płaty skóry, gdy nieopatrznie zbyt mocno oparli na nich ciężar ciała. Na

przejrzystym niebie nie było widać ani jednej chmurki, która mogłaby nieść nadzieję nadchodzących od

horyzontu wiatrów.

Późnym popołudniem podszedł do mnie L'ur.

- Najwyższy czas, żeby twój mag rozbudził duchy wiatru - powiedział stanowczo. - Nigdy ich nie potrzebowałem na tych wodach i trzeba je przywołać na ten parszywy kawałek, tuż przed Redond. - Oceniał

67

bezchmurne niebo i pokręcił zrezygnowany głową. - Niewątpliwie ciąży na nas jakieś przekleństwo - odezwał się - i myślę, że czas zabrać się stąd jak najszybciej.

Przedyskutowałem sprawę z Janoszem i Cassinim. Sakwa wypełniona duchami wiatru osiągała

zwykle

niebotyczne ceny i wiele starych portowych czarownic, które handlowały schwytanymi uprzednio duchami,

bogaciło się po jednej transakcji z żeglarzami. Stare morskie wygi kupowały takie sakwy na wypadek, gdyby

w najmniej odpowiednim momencie zawiodły pomyślne wiatry. Czarodziejskie worki były jednak tak

ciężkie, że używało się ich wyłącznie w ekstremalnych warunkach. Zgodnie orzekliśmy, że oto właśnie

mamy takie warunki.

Cassini zrobił z tego niezłe przedstawienie, rysując kredą pentagram na pokładzie, na dziobie statku.

Oczyścił obszar dookoła pentagramu rozsypując prochy z rzadko spotykanych ziół i spalonych części ciała

ginących gatunków zwierząt. Odziany w swoje najlepsze szaty przydźwigał sakwę z duchami wiatru.

Zebraliśmy się wokół niego. Wzniósł ręce i zaintonował głośno pieśń do Te- Date. Przez jakiś czas wzywał

boga podróżników, a co najmniej dwa razy dłużej wychwalał jego imię, błagając o współczucie dla nas,

nieszczęśników. Spiekota stawała się trudna do wytrzymania, lecz nikt nie wyrzekł słowa skargi, by nie

zakłócić obrzędu, co mogło przyczynić się do jego niepowodzenia. Słuchaliśmy hymnów pochwalnych

podtrzymując tych, którzy słabli pod palącymi promieniami słońca. Doskonale pamiętam żar lejący się z

błękitnego nieba i błagalny głos Cassiniego. Przejrzystego lazuru nie zmąciła nawet najmniejsza chmurka.

Wreszcie nadszedł odpowiedni moment. Cassini położył sakwę na pokładzie, chwycił sznurek i szarpnął

odskakując szybko, aby uniknąć podmuchu wyłaniających się duchów wiatru. Do dzisiaj krążą opowieści o

duchach, które podczas ucieczki zabijały ludzi. Tamtego dnia nie odczuliśmy ich furii. Zamiast ogromnej

chmury pędzącej co sił ku niebu, aby poderwać wicher, z worka wydobyło się chorowite sapnięcie. Sakwa

padła na pokładowe deski - żalosna, płaska, martwa. W jednej chwili straciliśmy resztki nadziei. Cassini stał

przerażony, z otwartymi ustami. Wyglądał jak uliczny głupek przebrany w szaty maga. Zaskoczeni żeglarze

wrzaskami i niecenzuralnymi słowami wyrażali swoje oburzenie i rozczarowanie.

Jeden z nich przekroczył linię świętego pentagramu i podniósł sakwę. Nie znałem jego imienia, lecz odcięte

uszy świadczyły o cenie, jaką zapłacił za kradzież. Spojrzał na zwisającą ze sznurka pieczęć i zahuczał z

pełnym wściekłości niedowierzaniem:

- Przecie to znak tej starej wiedźmy, psia mać! - zawołał. - Tanio kupczy swoimi duchami. Funta kłaków

nie warte i najmniejszej chmurki napędzić nie potrafią! - Odwrócił się w moją stronę i potrząsnął workiem w

oskarżycielskim geście. - Chłopcy, ten czerwonogłowy to skąpiradło - wrzasnął. - Rychlej robi z naszych

bab wdowy niżli zapłaci godziwą cenę za godziwy towar. - Załoga ryknęła z wściekłością, ignorując

wezwania L'ura o zachowanie spokoju. Kilku złapało za noże wykrzykując opętańczo, że czerwony skalp z

pewnością uraduje oczy bogów.

Janosz wydał krótki rozkaz i natychmiast pojawił się setnik Maeen ze swymi tarczownikami. Miecze

syknęły złowrogo wysuwając się z pochew i na statku zaległa cisza. Janosz wskoczył na drewniany pniak.

- Posłuchajcie mnie dobrze, ludzie z „Kittiwake”! - zawołał. - Jeśli choć jeden z was podniesie rękę na tego

człowieka, rozkażę moim wojom zaszlachtować wszystkich, co do jednego. Jesteśmy na tyle blisko

Redond,

że brak waszych rąk, a nie są one zbytnio pracowite, nic nam nie zaszkodzi, ręczę słowem. - Maeen rąbnął

mieczem o tarczę dla wzmocnienia powagi słów swego dowódcy. Tarczownicy poszli za jego przykładem, a

rytmiczny brzęk metalu o metal sprawił, że morskie wilki, podkuliwszy ogony, cofnęły się w milczeniu.

- Wiatr nadejdzie w odpowiednim czasie - ciągnął Janosz. - Mamy spore zapasy żywności i wody, więc

naszym jedynym wrogiem pozostaje ten niemiłosierny skwar. Te- Date wkrótce uśmiechnie się do nas.

Najwidoczniej jest zaprzątnięty problemami tych, którzy znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Niebawem jednak zwróci ku nam swe promienne oblicze. Czyż nie wzywał go potężny orissański mag? Te-

Date nigdy nie zlekceważyłby tak świątobliwej osoby. A teraz rozejdźcie się do swoich obowiązków i

zostawcie nas samych.

- Słyszeliście, sukinsyny - zagrzmał L'ur. - Nuże, do roboty. A gdyby który nie umiał znaleźć sobie godziwego zajęcia, niechaj w te pędy dyrda do mnie, już ja coś dla niego znajdę.

Ludzie morza rozproszyli się w mgnieniu oka, a L'ur kazał kilkorgu naciągnąć wiadrami morskiej wody i

schłodzić rozgrzany pokład. Szukałem wzrokiem Bezuchego, który cisnął mi w twarz niecne oskarżenie,

lecz zaszył się gdzieś i nie mogłem go wypatrzeć. Janosz zeskoczył z pieńka i podszedł do Cassiniego.

Podążyłem za nim. Twarz maga była blada jak morska piana a oczy rzucały nerwowe spojrzenia we wszystkie strony.

- Coś ty narobił, człowieku? - warknął Janosz zapominając o zwyczajowym szacunku należnemu magowi. -

Dałem ci pękaty trzosik. Zaprowadziłem cię do najlepszego miejsca, gdzie handluje się duchami wiatru.

Dlaczego zlekceważyłeś moje słowa?

Cassini kręcił przecząco głową. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

- Powiem ci, co zrobiłeś - ciągnął Janosz. - Pomyślałeś, że kupisz tanio, a resztę wepchniesz sobie do

kieszeni. Myślałeś, że twój talent wystarczy, by wywęszyć pośród chłamu to, co dobre. Mam rację?

Cassini wciąż nie odpowiadał. Nie musiał nic mówić. Wyczytałem z jego twarzy, że uwagi Janosza trafiły

w samo sedno. Dostrzegłem również czerwony rumieniec na jego szyi. Poczucie winy walczyło ze wzburzeniem. Niestety nie mogliśmy przedsięwziąć żadnych kroków. Oszukiwał czy nie, był głupcem czy

nie, Cassini był nam potrzebny. Prawo orissańskie i Rada Magów umieściły go pośród nas i musieliśmy

znosić jego towarzystwo aż do powrotu.

- Jestem pewien, że to zwykła pomyłka, Janoszu - odezwałem się. - Może pomylił się szukając adresu.

Cassini chwycił się tej możliwości niczym tonący brzytwy.

- Dokładnie tak było - wykrztusił pośpiesznie. - Byłem pewny, że poszedłem w odpowiednie miejsce. I

zapłaciłem uczciwą cenę. Przykro mi z powodu tej pomyłki.

- Nie przejmuj się zbytnio - dodałem. - Popełnimy jeszcze niejeden błąd podczas tej wyprawy. Proszę,

wybacz kapitanowi. Poniosło go trochę. Aura wpływa źle na nas wszystkich.

Janosz zrozumiał, do czego zmierzam i szybko zmienił taktykę.

- Masz rację - powiedział i zwrócił się do Cassiniego. - Proszę, wybacz moją niegrzeczność... i głupie

oskarżenia. Krew we mnie zawrzała.

- Nie ma czego wybaczać - odezwał się Cassini. - O wszystkim już zapomniałem. - Uśmiechnęliśmy się do

siebie i poszliśmy do kambuza pokrzepić się nieco. Wyczytałem jednak ze sztywnego uśmiechu na twarzy

Cassiniego, że nieopatrzne słowa Janosza nigdy nie zostaną zapomniane.

Obiecany wiatr nie nadchodził i dni mijały w nieruchomym marazmie. „Kittiwake” dryfowała wystrzelając

w górę martwym, bezwładnym żaglem, a my szukaliśmy najmniejszych skrawków cienia, kładliśmy się i

dyszając jak zziębnięte psy oczekiwaliśmy odmiany. Pewnego dnia, gdy siedziałem w cieniu zasłony dzieląc z

Janoszem rozwodnione wino, myślami powędrowałem do pamiętnej nocy, kiedy Leego ze swoimi budrysami zasadzili się na mnie przy karczmie.

- Pomyśl tylko, Janoszu - zagałem. - Może te włosy przynoszą mi szczęście. Przez nie wpadłem w sidła

Meliny, co tylko pozornie jest pechem. Bogowie są jednak cudowni, ponieważ bez owego fatum nigdy bym

ciebie nie spotkał i nie wyruszył na tę wyprawę. Samo spotkanie było największym łutem szczęścia, jaki

można sobie wyobrazić. Gdybyś nie wałęsał się w pobliżu szukając ciemnego zaułka, w którym mógłbyś

ulżyć pęcherzowi, Leego ani chybi by mnie ukatrupił.

Zamierzałem obrócić to w trochę wymuszony żart, lecz Janosz nie uśmiechnął się nawet. Wprost

przeciwnie, zmarszczył brwi, wyraźnie staczając wewnętrzną walkę. Słowa, które w końcu padły z jego ust

zdumiały mnie nad wyraz.

- Wstyd mi przyznać, ale to spotkanie nie było przypadkowe - usłyszałem odpowiedź. - Myślę, że nadszedł

czas, abym wyznał, co się naprawdę zdarzyło. - Pociągnął tęgi łyk wina i otarł usta wierzchem dłoni.

-

Maeen przybiegł do mnie wkrótce potem, jak odmówiłeś przyłączenia się do bezpiecznej kompanii.

Powiedział, że w karczmie jest jakiś młodzieniec szlachetnego urodzenia, który zdaje się wyzywać kłopoty.

Odpowiedziałem mu szczerym wybuchem śmiechu. Cóż bowiem obchodzą mnie synowie bogaczy?

Spojrzał na mnie, lecz nie drgnęła mi nawet powieka, jako że nie posiadałem się ze zdumienia.

- Lecz później zastanowiłem się. Wyczułem w tym pewną korzyść - ciągnął Janosz. - Jak wiesz, od czasu

przybycia do Orissy poszukiwałem finansowego wsparcia na ekspedycję. Nie miałem zielonego pojęcia, czy

okażesz się pomocny w tym względzie, lecz doszedłem do wniosku, że gra jest warta świeczki.

- A więc przez cały czas oczekiwałeś na zewnątrz? - zapytałem.

Janosz skinął głową.

- Ze wstydem przyznaję, że zrobiłem to wszystko kierując się egoistycznymi pobudkami.

Oczarował mnie tym wyznaniem. Wydał mi się bardziej ludzki. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że po tej

rozmowie nasza przyjaźń rozkwitnie jak pączek róży. W przeciwnym bowiem razie, po co by mi to mówił?

Jaki mógł mieć pożytek z naświetlania swych złych uczynków? Zdążyłem się przekonać, że moje młodzieńcze rozumowanie miało liche fundamenty, albowiem ludzie robią różne rzeczy kierując się

69

niezliczonymi motywami. Chociaż teraz wierzę, że Janosz istotnie był mi przyjacielem, wówczas wykorzystywał moją słabość i brak życiowego doświadczenia. Kierowała nim obsesja.

Uzupełniłem blaszany pucharek winem czując, że zainteresowanie sprawiło, iż zapomniałem o spiekocie. -

Dziękuję ci - powiedziałem szczerze. - Tylko silni ludzie przyznają się do błędów i wad.

Janosz roześmiał się ponuro.

- Mam na swym koncie więcej niedociągnięć niż siły, przyjacielu - odpowiedział. - Mimo to doceniam twe

słowa.

- Jesteś niezwykle intrygującą postacią - przyznałem. - Moja siostra nazwała cię szalonym, złym i niebezpiecznym. A ona rzadko się myli. Opowiedz mi o sobie, jeśli możesz. Jedyne co wiem, to plotki

zastyszane na rynku i kilka spraw, o których sam mi powiedziałaś. Jak to się stało, że jesteś tu ze mną i

czekasz, aż leniwi bogowie zechcą łaskawie zesłać pomyślne wiatry?

Twarz Janosza pociemniała. Z początku pomyślałem, że obraziłem go wściubiając nos w nie swoje sprawy.

Jego odpowiedź szczerze mnie zdumiała.

- Do diabła z bogami - rzucił szorstko. - Nigdy nie przychodzą, kiedy się ich potrzebuje. Przybywają

dopiero wówczas, kiedy jest już po wszystkim. Nie polegaj na bogach, Almaryku. Są równie przebiegli i

skąpi jak demony.

Te bluźnierstwa wprawiły mnie w stan takiego osłupienia, że nie potrafiłem wymówić ani słowa. Janosz

ciągnął dalej:

- Pozwól, że powiem ci, co dzieje się z tymi, którzy ufają bogom zamiast wyznaczyć sobie własną drogę

życia. Jak wiesz, moja matka była córką orissańskiego notabla, a ojciec księciem Kostromy. Kiedy wrócił na

rodzinną ziemię z żoną u boku, jego ojciec zdążył już opuścić ten padół, a tamtejsza społeczność czekała,

aby obwołać nowego króla. Oznaczało to ogromną odpowiedzialność, a choć byli jeszcze inni bracia, którzy

mogli ją wziąć na swe barki, ludzie chcieli właśnie jego... i z wielką niechęcią zgodził się wreszcie.

- Jak można mieć opory przed objęciem tronu? - zapytałem zdumiony.

- O, z różnych przyczyn, o czym sam się przekonasz, jeśli będziesz żył dostatecznie długo. W Kostromie

życie króla wydawało się szczególnie trudny. Władca mojej ojczyzny brał na siebie odpowiedzialność za

szczęście miasta. Istniało prastare prawo mówiące, że w razie plagi nieszczęść, kiedy brakowało już nadziei,

to właśnie król miał złożyć swe życie w ofierze dla swego królestwa. Rodzina mojej matki miała odrobinę

racji uważając Kostromę za krainę barbarzyńców. Lecz mieszkańcy tych ziem byli o wiele bardziej cywilizowani niż sobie wyobrażali przybysze i rodzice dbali o moje wykształcenie, sprowadzając najróżniejszych utalentowanych nauczycieli.

- Wybacz, że dotykam delikatnych spraw - wtrąciłem - ale słyszałem, że twoi rodzice nie żyją. Czy ta historia ma coś z tym wspólnego?

- Jak najbardziej - odparł Janosz. - Kostroma miała wielu wrogów, lecz mój ojciec używał swego

rozumu, dokonując wśród nich podziałów, oraz sztuki wojennej, aby trzymali się z dala od naszych

granic. Pewnego dnia nadeszły wieści, że wielka horda zbliża się do naszych ziem. Nie wiem kim byli.

Byłem wtedy zbyt mały, żeby wiedzieć więcej ponad to, że są niebezpieczni i wyjątkowo źli. Mój ojciec

wysłał ludzi na zwiady, a ci, wróciwszy, donieśli o ogromnej liczbie nieprzyjaciela. Ojciec zrozumiał, że

wszystko stracone. Kostroma została pokonana jeszcze przed przyjęciem rozstrzygającej bitwy. Król przywdział szaty kapłańskie i ujął proporzec z podobizną naszego boga- opiekuna. Sam jeden stanął na polu

bitwy, dumnie unosząc głowę przed szeregami nieprzyjacielskich wojsk, i wezwał naszego boga, aby przyjął

ofiary jego życia i ocalił miasto. Taki to był targ z naszym bogiem. Nie wymówię jego imienia, albowiem

trawiąca me wewnątrzności nienawiść mogłaby przywrócić go do życia.

Wojska najeźdźców ruszyły, a mój ojciec trwał między nimi a murami miasta. Ponownie wezwał boga

blagając o pomoc i stał nieruchomo, nie cofając się ni o krok. Jeden z jeźdźców ze strasliwym śmiechem

naparł na niego i odrąbał mu głowę jednym uderzeniem miecza. Korpus zachwiał się i opadł na ziemię, a ów

wojownik nabił głowę mego ojca na czubek miecza i poprowadził armię przez bramy miasta. Wymordowali

wszystkich, którzy stawili im opór, innych wzięli w jasyr, aby sprzedać ich jako niewolników. Moja matka

była wśród tych, którzy zginęli. W pewnym sensie dobrze się stało, jako że wszystkie księżniczki zostały

oddane na pastwę żołdaków, którzy znęcali się nad nimi aż do ostatecznego upokorzenia Kostromy.

Dopiero później dowiedziałem się, co zaszło w mieście, ponieważ owego dnia byłem z moim ojcem. Mimo

że wzrostem sięgałem mu zaledwie do pasa, z dumą nosiłem książęce insygnia i wiedziałem, że muszę stać

u jego boku podczas składania ofiary. Gdy upadł, próbowałem podnieść proporzec. Pamiętam do dziś jego

70

ciężar i paralizujący strach. Wiedziałem, że gdy go podniosę i wezwę boga, ten przybędzie niezwłocznie i

ocali mieszkańców miasta. Nagle ujrzałem odzianego w czarne szaty wojownika gnającego w moim kierunku. Krzyczał dziko i wymachiwał mieczem. Zasłoniłem się drzewcem sztandaru, lecz wytrącił mi go z

rąk, poderwał mnie z ziemi i wsadził na siodło. - Oczy Janosza wyrażały bezgraniczne cierpienie. - Po bitwie

powiększyłem rzesze niewolników.

- Ale uciekłeś - wyrwało mi się. - Musiałeś to zrobić, bo w przeciwnym razie nie opowiadałbyś mi

teraz tej

historii.

- Nie - zaprzeczył Janosz. - Kazano mi maszerować wiele mil. Umierałem z wyczerpania i pragnienia. W

końcu dotarliśmy do Redond, gdzie na wielkim targu niewolników jakiś kupiec pracujący dla armii likantyjskiej kupił mnie, jakbym był jednym z jagniąt mego ojca.

Zrobiłem głupią minę, nieco zdziwiony, że nie chcę odsunąć się od kogoś, kto właśnie ujawnił, że pochodzi

z najniższej kasty. Jeszcze raz przyjrzałem się temu brodatemu mężczyźnie z blizną na policzku. I jeszcze

raz dostrzegłem w nim przyjaciela.

- W jaki sposób udało ci się przetrwać? W końcu udało ci się uciec i wróciłeś do ojczyzny. Niewątpliwie tak

właśnie musiało być.

Janosz pokręcił przecząco głową.

- Nie. Pozostałem. Kostroma przestała istnieć. Najeźdźcy zrównali ją z ziemią i porzucali kamienie.

Dzisiaj można tam spotkać jedynie dzikie bestie.

Sięgnął pod koszulę i wyjął tańczącą dziewczynę.

- Pozostała mi tylko ta pamiątka po ojcu. To wszystko, co zbliża mnie do niego myślami. Do niego i do

matki. Tamtego nieszczęsnego dnia plakietka złamała się i zmieniła nie do poznania. Nikt mi jej nie odebrał,

jako że nie przedstawiała dla nikogo żadnej wartości.

Janosz opróżnił kielich i dał znać, że ma ochotę na więcej. Pośpiesznie napełniłem puchar, z niecierpliwością oczekując na dalszy ciąg tej przedziwnej opowieści.

- Przez wiele lat niewoli pracowałem u różnych wojowników - powiedział. - Z początku harowałem w

kuchni lub czyściłem latryny. Byłem szorstkim młodzieńcem o gniewnym usposobieniu i trzymałem pod

ręką nóż na każdego, kto próbował zrobić ze mnie popychadło czy chłopca do bicia. Wkrótce odkryto mój

talent do języków. Ogłoszono zaciąg do armii do walki w pobliżu obszarów, gdzie niegdyś leżała Kostroma,

a ja znałem tamtejsze dialekty, więc mnie również wciągnięto do jednego z oddziałów. Od tego czasu brałem udział w większości wyprawach wojennych. Wyszkolono mnie na doskonałego zabójcę i traktowano

z pogardą. Zachęcano mnie jednak, abym wykorzystywał umiejętności językowe, więc po jakimś czasie

znałem już wielu ludzi i wiele kultur.

- A zatem w jaki sposób odzyskałeś wolność? - zapytałem.

- Likantyczycy to podłe nasienie i nie cierpię ich - odparł Janosz. - Mają jednak jeden zwyczaj, który stawia

ich ponad Orissanami. Pozwalają bowiem niewolnikom kupować wolność. Później mogą się wspinać po

szczeblach hierarchii społecznej tak wysoko, jak tylko im się uda. To właśnie uczyniłem. Oszczędzałem

zołd, robiłem wszystko, żeby pomnożyć tych kilka miedziaków, jakie udało się odłożyć... także kradłem. W

końcu miałem dość pieniędzy, aby kupić swą wolność. Zawsze zamierzałem powrócić do rodzinnej krainy.

Przez kilka lat duma trzymała mnie z dala od jej granic. Duma i coś więcej.

Obrócił w palcach figurkę tancerki.

- Tylko dzięki niej nie postradałem zmysłów przez te wszystkie ciężkie lata - stwierdził. - Niezliczone noce

marzyłem i śniłem o Odległych Królestwach, cudownym miejscu, które położy kres memu cierpieniu.

Wyobrażałem sobie miejsce położone ponad krainą bogów. Miejsce, w którym nie ma niewolników, a

wszystkie słowa przesycone są uprzejmością i dobrocią. Gdziekolwiek bym nie był, czegokolwiek bym nie

robił, możliwość odnalezienia Odległych Królestw dostarczała mi motywacji do działania.
Wyobrażenia

młodego chłopca z czasem uformowały się w coś znacznie poważniejszego. Poprzysiągłem sobie, że ujrzę je

na własne oczy. Pozostałem więc z Likantyjczykami i z czasem dochrapałem się stopnia kapitana.

Nieustannie odkładałem zarobione pieniądze, aż wreszcie uzbierałem dostatecznie dużo, aby opuścić to

przeklęte miasto.

- Marzenia nie ustrzegłyby mnie przed postradaniem zmysłów - przyznałem z pełnym przekonaniem, gdyż

nie mogłem sobie wyobrazić siebie jako niewolnika.

- Zdziwiłbyś się, przyjacielu - odparł Janosz - co potrafi zrobić człowiek dla kolejnego oddechu. Co do

szaleństwa, być może istotnie jestem szalony, ale jak już mówiłem, resztki normalności, jakie we mnie

71

jeszcze tkwią, zawdzięczam niczemu innemu jak swoim marzeniom. Uczyłem się języków. Badałem ludzi,

chcąc osiągnąć zdolność przejrzenia ich na wskroś i wniknięcia w ich serca. Nie zdziwisz się zapewne, jeśli

ci powiem, że interesowałem się bardzo sztuką magów. Rozmawiałem z szamanami w odległych wioskach,

studiowałem zwyczaje barbarzyńskich kapłanów. Mam nadzieję, że nie przestaniesz nazywać mnie swym

przyjacielem, gdy wyznam ci, że posiadałem pewną wiedzę o czarnej magii i zagłębiałem się w starożytne

skrypty.

- Domyśliłem się w chwili, gdy dałeś mi ząb fretki - przyznałem. - Chociaż wiem, że magowie

potępiają

praktykowanie ich umiejętności przez zwyczajnych ludzi, moje osobiste zdanie na temat tych sukinsynów

sprawia, że grzech, który przed chwilą wyznałeś, zdaje mi się bardzo problematyczny. - Powiedziałem to bez

zająknięcia, lecz ze szczerym wewnętrznym dreszczem przypomniałem sobie kłamstwo Janosza podczas

przesłuchiwania przez magów. Modliłem się, aby nigdy nie wykryli tego kłamstwa.

Pokryłem swój niepokój śmiechem i napełniłem kielichy. Wzniosłem toast:

- Za nowych przyjaciół i starych wrogów. - Pucharek Janosza zabrzączał w zetknięciu z moim.

- A co z wiatrem? - zapytałem powracając do początku rozmowy. - Jak myślisz, kiedy się pojawi?

Janosz wzruszył ramionami.

- W najmniej spodziewanym momencie - odpowiedział, po czym odwrócił się i zamknął oczy.

Nazajutrz po przebudzeniu dostrzegliśmy, że statek ugrzązł w bezkresnym morzu wodorostów. Jak okiem

sięgnąć, nie widzieliśmy niczego innego ponad kobiercem morskich roślin. Tu i ówdzie dało się słyszeć

lamenty i fatalistyczne głosy utrzymujące, że nigdy nie uda nam się wydostać z tej morskiej pułapki.

Powietrze wypełniał wszechogarniający odór gnijących roślin. Oprócz smrodu towarzyszyło nam

przeświadczenie, że jesteśmy obserwowani. Przeczucie przeobraziło się w pewność, gdy jeden z majtków

wydał z siebie rozdzierający okrzyk i zobaczyliśmy parę olbrzymich oczu wyzierających z gmatwaniny

śluznistych wodorostów. Oczy patrzyły na nas z odległości nie większej niż długość statku od prawej burty.

Poznaliśmy te oczy. Na żółtym tle widniały grube czerwone żyły. Pod powierzchnią odbywał się nieustanny

ruch, któremu towarzyszyło bulgotanie, jakby stworzenie właśnie zaspokajało głód. Kapitan rozkazał

jednemu z marynarzy wspiąć się na bocianie gniazdo i zorientować, czy z większej wysokości będzie lepiej

widać potwora. Kiedy marynarz wchodził na maszt, koszmarnie ślepią powoli obracały się podążając jego

śladem.

Nim dotarł na szczyt, ponad powierzchnię wody wystrzelił ogromny purpurowy słup. Nieszczęśnik

wrzasał przeraźliwie, gdy pokryty małymi, ostrymi zębami jęzor bestii opasał go naokoło i ściągnął

wyjącego z trwogi na pokład. Mężczyzna wiał się i wierzgał, próbując wyswobodzić się ze śmiertelnego

uścisku, lecz bezlitosny jęzor wciągnął go pod wodę. Znikając wydał z siebie jeszcze jeden zdławiony,

bulgoczący okrzyk. Po krótkiej walce na powierzchni zamajaczyła smuga świeżej krwi. Oczy powróciły do

swego pierwotnego zajęcia... Obserwowania nas.

Zapadła noc ciemniejsza od wszystkich, jakie do tej pory widziałem. Potworne oczy skrył nocny mrok, lecz

wiedzieliśmy, że są tam ciągle, świdrując nas przenikliwym spojrzeniem. Do moich uszu doleciał urywany

szloch, potem trwożliwe szepty. Wreszcie ktoś zakrzyknął: - Bestia chce czerwonogłowego!

Janosz rzucił krótki rozkaz Maeenowi, a ten natychmiast postawił na nogi naszą eskortę. Po ich zachowaniu

zorientowałem się, że są równie przerażeni jak załoga statku. Maeen uspokoił ich, przygotowując do nocnej

warty. Nie wiedzieliśmy, z której strony grozi nam większe niebezpieczeństwo - od morskiego obserwatora

czy też od towarzyszy podróży.

Zapadłem w niespokojną, przerywaną drzemkę. Słyszałem dziwne głosy, nie widząc żadnych obrazów.

Nieustanne szepty, których natury nie potrafiłem określić, debatowały nad moim losem. Upiorne światło

stopniowo rozrosło się w błękitne płomienie, które skakały coraz wyżej i wyżej, stymulowane czarną magią.

Chciałem uciec, lecz w miejscu kończyn wyrosły mi ciężkie kamienne kolumny. Rozległ się krzyk, który

przygwoździł moją duszę, i z płomieni wynurzyli się dwaj archonci Likontu.

- Powstańcie, wichry - zawołał jeden z nich głosem potężnym niczym grzmot.

- Z północy na południe - zakrzyknął drugi - ze wschodu na zachód. Zbierzcie wichry. Zbierzcie! - Jego głos

przeobraził się w błyskawicę.

- Szukajcie czerwonogłowego - rozkazał grzmot. - I tego, który zowie się Szary Płaszcz. Znajdźcie ich na

wodach, których nie porusza tchnienie wiatru.

- Wiejcie burzliwie, wiejcie zaciekle - krzyknął drugi. - A potem jeszcze bardziej burzliwie i jeszcze

bardziej zaciekle. Wiejcie, o wichry! Wiejcie! - Spośród płomieni wystrzeliła czarna chmura i archonci

72

zniknęli. Chmura kotłowała się od czarnych mocy wirując raz w jedną, raz w drugą stronę. Wtem ujrzałem

archontów. Wskazywali na mnie! - Wiejcie, o wichry, wiejcie! - zagrzmieli chórem. Czarna chmura ruszyła

w moją stronę.

Szarpnąłem się i zbudziłem, mokry od potu. Świtało. Rozejrzałem się dookoła, nie mogąc otrząsnąć się z

resztek koszmaru i zobaczyłem, że inni też podnoszą się z pokładu. Uśmiechali się. Na policzkach poczułem

chłodny powiew - przyczynę ich radości. Janosz poklepał mnie po plecach.

- Wróciło szczęście - zawołał. - Wrócił wiatr. - Żeglarze z radością skoczyli, aby wypełniać rozkazy

kapitana L'ura. Wkrótce żagiel poruszył się, trącany porywami wzbierającego wichru. Pobiegnę do burty,

lecz nigdzie nie mogłem dojrzeć obserwatora, który skrył się w morskich głębinach. Wiatr rozdzielał powoli

unoszące się na powierzchni masy wodorostów. Żagiel z łoskotem wypełnił się wiatrem i „Kittiwake”

skoczyła w przód niczym rączy rumak. Nie podzielałem jednak radości wiwatujących żeglarzy, jako że na

horyzoncie majaczyła olbrzymia chmura z mego snu, o ile oczywiście był to sen, a nie wizja naszego przeznaczenia. Chmura pociemniała i wypełniła całe niebo ziejąc wściekłością. Krzyk Janosza utonął w ryku

zbliżającego się sztormu; spienione fale runęły na rozkołysany statek. Okrzyki radości zmieniły się w paniczne wrzaski. Lina pękła z łoskotem i przecięła powietrze obok nas niczym katowski topór. Upadłem na

deski, aby uchronić się przed miażdżącą siłą wiatru. Jakieś ciało runęło na mnie, więc schwyciłem je i

przytrzymałem, walcząc zaciekle z wiatrem próbującym wyrwać mi je z rąk. Kiedy mężczyzna zdołał się

złapać czegoś stałego, spostrzegłem, że trzymam kurczowo Janosza.

Ogromna łapa uniosła statek i cisnęła nim przed siebie. „Kittiwake” skryła się pod powierzchnią wody i o

mały włos nie potopiliśmy się pod nieskończoną masą rozwścieczonej kipieli. Z wysiłkiem, skrzypiąc

niemiłosiernie, statek wyprostował się i poszybował po wierzchołkach fal. Sztorm szalał ogarnięty furją

zniszczenia. Trzymaliśmy się rozpaczliwie czego tylko się dało, wiedząc że zwolnienie uścisku oznacza

śmierć w morskich odmętach. Wielokrotnie morze pożerało nas, a wtedy modliłem się do bogów o litość. Za

każdym razem „Kittiwake” wynurzała się na powierzchnię, najwyraźniej kpiąc sobie z wichrów archontów.

Kapitan L'ur zdołał wysapać mi wprost do ucha, że znajdujemy się już daleko poza Redond na jakichś

nieznanych wodach. Przed nami znajdowało się przekłete Wybrzeże Pieprzowe! Nikt nie odważył się

opuścić żagla i prawdopodobnie to nas uratowało. A może krew prosiaka, którego złożył w ofierze Cassini,

oblaskawiła tutejszych bogów, ponieważ żagiel z grubego płótna trzymał się dzielnie, jakby został utkany z

czarodziejskiej przędzy. Tylko dzięki niemu szybowaliśmy niestrudzenie po wzburzonym morzu.

Poczułem dłoń na ramieniu i obróciwszy się, zobaczyłem Janosza wskazującego na jakiś punkt. Podniosłem

wzrok i usłyszałem suchy trzask. Maszt rozszczerzył się tuż ponad podstawą. Gdyby się złamał, wszystko

byłoby stracone. Janosz szarpał mnie wykrzykując słowa, których nie słyszałem, lecz w lot pojąłem, o co mu

chodzi - za wszelką cenę musieliśmy ocalić maszt. Ruszyliśmy w tej samej chwili. Pomyślałem, że Janosz

naprawdę postradał zmysły, jako że chwycił grubą linę i zaczął oplatać ją dokoła masztu. Stwierdziłem, że to

nie ma sensu, ale może uda mu się przedłużyć żywot masztu o chwilę czy dwie.

Tym razem usłyszałem wyraźnie jego krzyk:

- Pomóż mi, Almaryku! - Sądząc, że to i tak ostatnie chwile mego życia, spełniłem jego prośbę opasując

liny dokoła powiększającej się szczeliny. Janosz wyrwał ze stojaka żelazny róg skutniczy i przepchnął go

przez linę. Zanurzył rękę w kieszeni i wyjął jakiś dyndający na sznurku przedmiot. Uświadomiłem sobie, że

był to ząb fretki, ten przeznaczony dla biednego Eanesa. Janosz oplótł naszyjnik dokoła słupa, zamknął oczy

i wypowiedział jakieś zaklęcie, obracając jednocześnie ząb w palcach. Maszt zatrzeszczał, a żagiel załopotał

złowrogo. Zanim jednak konstrukcja runęła, poczułem jak liny twardnieją i umacniają się w mych dłoniach,

nabierając wytrzymałości hartowanej stali. Spojrzałem ze zdziwieniem. Maszt ani drgnął.

Wyczerpani opadliśmy na pokład. Minęło dużo czasu, zanim wiatr osłabł nieco. Powlekliśmy się chwiejnym krokiem, żeby pozbierać porzucane rzeczy. Dostrzegliśmy L'ura, który sam mocował się ze

sterem próbując ustawić go na swoim miejscu. Przedarliśmy się do niego, uchylając przed zwieszającymi się

luźno linami i przesuającym się ładunkiem. W oddali usłyszałem ryk i obróciwszy się, zobaczyłem stały

ład. Poszarpana rafa szczyrzyła różnobarwne kły, obmywane spienionymi falami przyboju. W szarym

świecie dostrzegłem majaczący w oddali brzeg. Wyjątkowo wysoka fala uniosła nas nagle i rzuciła w kierunku rafy. Przytrzymaliśmy się tego, co było pod ręką, żeby nie wypaść za burtę. „Kittiwake” zatrzęsała

się ożywiona niewidzialną siłą, po czym przechyliła się na bok uderzając o rafę. Chwile, gdy fale przewalały

się ponad nami, wydawały się wiecznością i kiedy brakowało mi już tchu, fale ustąpiły.

73

Korab osiadł na szczycie najwyższej rafy. Kolejna potężna fala runęła na unieruchomiony wrak, lecz sztorm

słabł wyraźnie i przeszła tuż pod kilem. Wraz z Janoszem stanęliśmy na chwiejnych nogach. Wybuchnąłem

śmiechem, być może nieco histerycznym, jako że jego głupia mina i zdumienie, że wciąż jesteśmy wśród

żywych, musiała być lustrzanym odbiciem mojego wyrazu twarzy. Do moich uszu doleciały wołania o pomoc, więc bez zastanowienia ruszyłem w tamtym kierunku. Ze zdumieniem dostrzegłem, że Maeen i jego

tarczownicy cudem ocaleli, a załoga statku też nie wydaje się zbyt uszczuplona.

- Tam - wysapał Janosz wskazując palcem. Najwidoczniej trzech z naszych żeglarzy wypadło za burtę

podczas zderzenia z rafą. Szli teraz zanurzeni po pas w spienionej wodzie w kierunku skalistej plaży.

Zauważyłem wśród nich Ucięte Ucho. Sprawiał wrażenie silniejszego od innych i kroczył żwawo przed siebie. Jeden z towarzyszy, słabszy i zakrwawiony, schwycił się go rozpaczliwie, lecz Ucięte Ucho odepchnął go gniewnie i szedł dalej.

Janosz jęknął.

- O, nieszczęsne sukinsyny... - Spostrzegłem przyczynę jego niepokoju. Z plaży w kierunku brodzących w

wodzie marynarzy bieгло około setki ciemnych postaci. Wzrostem sięgali dorosłemu człowiekowi do pasa i

zdawało się, że ich ciała składają się z twardych skorup i ostrych grzbietów. W tej chwili poprzez pędzone

sztormowym wichrem chmury przebił się promień słońca. Postacie wcale nie były dziwnymi stworami, lecz

miniaturkami ludzi. Dzicy, uzbrojeni w trójzęby, odziani w pancerze wykonane z nieznanego gatunku bestii

o grubych skorupach, potrzęsali podłużnymi tarczami. Wpadli do wody przeskakując przez fale i mknąc w

kierunku wyczerpanych żeglarzy. Ucięte Ucho ryknął z trwogi i odwrócił się w panicznej ucieczce. Po kilku

chwilach otoczyli go, a po kilkunastu Ucięte Ucho wraz z pozostałymi leżał rozpostarty na brzegu. Jeden z

małych wojowników pochylił się do przodu i wyciął kawał mięsa z ciała wijącego się i wrzeszczącego

Uciętego Ucha.

Dzikus triumfalnie podniósł ociekający krwią strzęp. Wrzasnął coś niezrozumiałego, co przypominało

wyzwanie, w kierunku statku, po czym podniósł głowę i połknął ochłap w całości, niczym kormoran łykający rybę. Odwróciwszy się na pięcie zagłębił włócznię w ciele Uciętego Ucha. Nie mogliśmy nic

uczynić, pozostawało nam tylko patrzeć, jak dzicy pożerali żywcem naszych kompanów.

Wojownik w bursztynie

- Chodź ze mną. - zagrzemiał Janosz donośnym głosem. - Zobaczyłem, że chwyta za uwięzioną wśród porozrzucanego ładunku rybacką sieć. Zdziwiłem się, dlaczego mój przyjaciel zamierza łowić ryby, skoro i

tak już niedługo skończymy w brzuchach lilipucich wojowników. Ryknął ponownie sprawiając, że zwolniłem uścisk na relingu i ruszyłem, by mu pomóc. Rozplątaliśmy sieć. Janosz przerzucił ją sobie przez

ramię i wskoczył na brzeg burty.

- Chodź - krzyknął znikając nagle. Niewiele myśląc podążyłem jego śladem. Trzepiąc rękami brnąłem przez

rafę w kierunku płycizny, myśląc że jeśli on jest szalony, to ja jeszcze bardziej.

Janosz krzyczał coś do tubylców. Jego słowa wydały mi się z początku zupełnie niezrozumiałe, lecz następnie zdałem sobie sprawę, że używa języka handlowego.

- Strzeżcie się duchów! - krzyczał. - Strzeżcie się! Oni źli ludzie! Strzeżcie się duchów! Strzeżcie! - Za

chwilę znaleźliśmy się w kręgu nieznanym. Oni również musieli pomyśleć, że postradaliśmy zmysły,

gdyż zamiast rzucić się na nas jak rozsądni ludożercy, cofnęli się, porozwierali paszczęki i opuścili uzbrojone w dzidy i tarcze dłonie. - Źli ludzie... Strzeżcie się duchów! - Rozstąpili się przed nami, podczas

gdy Janosz nieustannie powtarzał ostrzeżenie. Kątem oka dostrzegłem przerażone twarze, zdumione twarze,

a nawet kilka twarzy wyrażających wdzięczność. Z każdym krokiem i każdym okrzykiem Janosza uświadamiali sobie coraz silniej, że stoją w obliczu strasznego zagrożenia. Kiedy zbliżyliśmy się do

grupki, która sprawiła sobie ucztę z naszych towarzyszy, Janosz rozwinął sieć.

- Cofnąć się - krzyknął. - Do tyłu. Strzeżcie się duchów!

Karłowaci ludożercy odskoczyli zatrwożeni, gdy Janosz wyrzucił sieć wysoko w powietrze.

Rozpostarła

swe skrzydła niczym ogromny ptak. Dzicy wstrzymali oddechy obserwując jak spada i wiedziałem, że

74

wzywają własnych bogów, aby wspomóc się. Gdy opadła na zakrwawione zwłoki, po zebranych przeleciał

szmer westchnienia. Duchy już im nie zagrażały.

Janosz obrócił się, a kiedy spostrzegł wojownika, który rzucił nam wyzwanie, kiedy znajdowaliśmy się na

pokładzie, wysunął szybki wniosek, że ma przed sobą jednego z przywódców.

- Ja dziękować bogom, wy zabić zły człowiek - powiedział przejętym głosem. - Wy mówić nam, jaka boga

błogosławi wasza wyspa, a my składać ofiara. My przybywać z Orissy, z ziemi świątobliwych ludzi.

-

Usłyszałem, jak słowo Orissa rozniosło się echem wśród zebranych. Gdzieś rozległy się westchnienia

świadczące, że nazwa nie jest im obca. Mali wojownicy słyszeli o nadrzecznym królestwie, lecz najwidoczniej nigdy dotąd nie mieli do czynienia z jego mieszkańcami.

Przywódca przyjrzał się uważnie Janoszowi. Kiedy poruszył się niepewnie, skorupiasty pancerz zagrzechotał sucho.

- Likantyjczyki być twój wróg? - zapytał. Grzechotanie przybrało na sile, gdy pozostali wojownicy podeszli

bliżej.

- Być Likantyjczykiem to być wrogiem świata - zaryzykował Janosz ku powszechnej aprobacie. - Ale ci być

nawet gorsi - dorzucił zapalczywie. - To demony w ludzkiej skórze. Oni sprawić, my rozbić się na waszym

wybrzeżu. Błagamy o okazanie gościnności.

Mówiąc w języku kupców, żeby wszyscy go rozumieli, zwrócił się teraz do mnie.

- Spotyka nas niebywale szczęście, że trafiliśmy na tych ludzi, mój panie. Obawiam się, że twój wiekowy

ojciec wkrótce opłakiwałby stratę najmłodszego syna, gdyby nie byli świadkami naszego nieszczęścia.

Albowiem wsparli nasze starania pozbycia się tego, tego ... - Janosz splunął na ciała - likantyjskiego plugastwa! - Spojrzałem na sieć i zobaczyłem, że Ucięte Ucho szczyrzy do nas zęby w martwym uśmiechu.

Janosz jednak ponaglał mnie, abym dołączył do tej rozpaczliwej, wymyślonej na poczekaniu gry. Większość

tubylców sprawiała wrażenie zdezorientowanych i otwartych na sugestie, lecz w wielu oczach czaiło się

zwątpienie. Obserwowali nas bacznie i kombinowali. Nasi wybawiciele mogli zażyczyć sobie wysoką cenę

za ratunek.

- Zbrodnie Likantyjczyków znane są wszystkim - powiedziałem przybierając uroczysty wyraz twarzy.
- Lecz

nie wszyscy byli złymi ludźmi. Czyż nie widzisz, kapitanie Szary Płaszczu, kto tam leży? - Wskazałem na

jedyne ciało, które przykuwało uwagę. Na Ucięte Ucho.

Janosz w lot zrozumiał do czego zmierzam. Przypatrzył się wnikliwiej rozpostartej sieci, a mali wojownicy

poszli za jego przykładem. Kiedy dojrzał Ucięte Ucho, wydał z siebie jęk pełen goryczy.

- Ależ to nasz brat, Święty Ucięte Ucho. - Z trudem powstrzymał szloch. - Biedny Ucięte Ucho. A taki był

dobry dla bezdomnych dzieci i głodujących wdów.

- Człowiek nie zły? - spytał niespokojnie wojownik. - Przecież... to Likantyjczyk. Strój to mówić.

- Oczywiście, że nim jest - przyznałem. - Lecz należał do grona tych, którzy otrzymali boskie

błogosławieństwo wiedzy o podłości rodaków. Wiele lat temu przybył do Orissy i poświęcił swe

życie

pomagając biedakom oraz czyniąc inne zbożne uczynki. Wkrótce został oczyszczony przez naszych największych magów. Od tamtego czasu, uchodził za bohatera i był stawiany dzieciom za przykład.

Wojownik wciąż nie wydawał się przekonany. Wskazał na blizny świadczące o zbrodniczej przeszłości

Uciętego Ucha.

- Dlaczego ma te wszystkie znaki?

- Sam się okaleczył - odpowiedziałem bez namysłu. - Święty Ucięte Ucho chciał, żeby bogowie pozwolili

mu dźwigać grzechy niewinnych ludzi.

W szeregach dzikich dały się słyszeć głosy współczucia. Wódz wojowników był tak zbity z tropu, że Janosz

ośmielił się podejść do niego, pochylając się możliwie najbardziej, by nie górować nad nieznanym,

niczym drzewo nad kwiatem.

- Pozbądź się żaloby, przyjacielu. Nie mogłeś o tym wiedzieć. - Wskazał ręką na wrak statku zawieszony na

rafie. - Ci Likantyjczycy napadli nas na morzu. Zapewniam cię, używali magii, nie siły, jako że nasi

żołnierze szybko rozprawiliby się z piratami. Zamierzali wykorzystać nasz statek, a nas zmienić w

niewolników w celu szerzenia swych plugawych zwyczajów. Z jakiejś nieznannej przyczyny wybrali właśnie

to miejsce na wypełnienie czarnych obrzędów.

Szemrania przybrały na sile dowodząc, że Janosz słusznie domyślił się niezgody panującej między piratami

i Likantyjczykami a Nabrzeźnymi Ludźmi.

75

- Lecz nasz mag w tym czasie leżał złożony chorobą, w przeciwnym bowiem razie nie udałoby im się

omamić tak potężnego czarodzieja; połączył swe siły ze Świętym Ucięte Ucho, aby udaremnić ich

niecne

plany. Wszyscy wszak słyszeliśmy o poczciwych mieszkańcach Wybrzeża Pieprzowego, którzy tyle wycierpieli z rąk Likantyczyków. Kiedy zaskoczyła nas burza, pomyśleliśmy, że bogowie nam błogosławią,

bo w razie naszej śmierci straszliwe demony zostałyby powstrzymane. Ale sztorm rzucił nas na waszą

wyspę, rozbijając statek, a tamci ludzie... - wskazał z obrzydzeniem palcem na ciała - próbowali uciec na

waszą ziemię, gdzie mogli spowodować wielkie nieszczęście. Święty Ucięte Ucho próbował ich powstrzymać. Ale, o nieszczęny ... - kręcił głową. - Łatwo się było pomylić, przyjacielu. Jestem jednak

pewien, że on ci wybaczy.

Wódz zdjął hełm i otarł spływające po policzkach łzy. Usłyszałem, jak kilku wojowników siąka nosami.

Wtedy odezwał się we mnie kupiecki instynkt. Nadszedł czas, aby dokończyć targu.

- Oczywiście, że wybaczy - powiedziałem. - Widzę dobro wypływające z tej tragedii. Albowiem teraz my,

Orissanie i wy, Nabrzeźni Ludzie, połączymy nasze siły, a nasi bogowie z pewnością pobłogosławią tak

cudowny mezalians. Dla obu stron owa symbioza może okazać się niezwykle pożyteczna. Przyjaźń i handel

rozkwitną na tych hojnych wybrzeżach.

Podniosłem rękę w geście formalnego powitania.

- Jestem Almaryk Emilie Antero, syn Paphosa Karimy Antero, największego księcia kupieckiego w całej

Orissie. W jego imieniu ofiaruję wam przyjaźń naszego domostwa.

Wojownik również podniósł dłoń.

- Jestem Czarny Rekin, szaman i wódz Nabrzeżnych Ludzi. Witajcie, mieszkańcy Orissy. Witajcie. -

Opuściwszy dłoń spojrział na leżące u naszych stóp zwłoki. - Jesteśmy wam wdzięczni
podziękowanie za

pojęcie ich duchów. Napełniając żołądki ich ciałami nie wiedzieliśmy, że są demonami.

- Zapomnij o tym, Czarny Rekinie - powiedział Janosz. - A teraz, jeśli nie sprawiłoby to wam
większego

kłopotu ... - Wskazał na roztrzaskaną „Kittiwake” i naszych zasmuconych towarzyszy podróży, którzy
rzucali ku nam niespokojne spojrzenia. - Może udałoby się przetransportować tych ludzi na brzeg?

Czarny Rekin uśmiechnął się. Miał to być łagodny, przyjazny uśmiech, lecz wrażenie psuły
poczerniałe

zęby wodza.

- Nie zapomnijcie o ładunku - dodałem.

- Właśnie - włączył się Janosz. - Czy moglibyście wziąć również ładunek?

- Wszystko załatwić przed przyływem - zapewnił Czarny Rekin. Wyszczekał kilka rozkazów w
rodzonym

języku i podczas gdy gratulowałem sobie w duchu, że wciąż żyję, kanibale z Wybrzeża Pieprzowego

odłożyli broń i popędzili do „Kittiwake”, aby pomóc naszym kompanom. Zgodnie z zapewnieniem,
Czarny

Rekin dopilnował, by wszyscy opuścili statek i zabezpieczył ładunek oraz ocalały sprzęt, zanim wody

przyływu zalały rafę. Przed zapadnięciem zmroku dzicy pomogli nam wznieść lekką konstrukcję z

zadaszeniem w wiosce, która leżała w pobliżu wielkiej pieczary, niedaleko ujścia rzeki. Wieczorem
Janosz,

Cassini, kapitan L’ur i ja zasiedliśmy przy małym ognisku, wysysając mięso z pieczonych odnóży
krabów.

Tym razem sztorm nie zebrał wielkiego żniwa; poza Uciętym Uchem i jego nieszczęsnymi
przyjaciółmi,

zginął tylko jeden żeglarz. Czarny Rekin i jego ludzie z wiarą przyjęli zapewnienie, że pozostali

Likantyjczycy, którzy przebywali na pokładzie naszego statku, włącznie z L’urem, należeli do tej
nowej,

zaskakująco odmiennej rasy zwanej Zreformowanymi Likantyjczykami, do której zaliczał się również

Święty Ucięte Ucho. Tarczownicy z eskorty nie odnieśli zbyt poważnych obrażeń i setnik Maeen zajmował

się teraz nimi, opatrując powierzchowne rany, podczas gdy my rozważaliśmy dalsze posunięcia siedząc przy

ognisku. Kończąc posiłek nie odczuwałem euforycznej radości na myśl o szczęściu, jakie nam dopisało. Z

posępną miną wpatrywałem się w tańczące płomienie rozmyślając nad prześladowającym nas nieszczęściem.

- Czy uda się zbudować drugi statek? - zapytałem kapitana.

- Aye - odparł. - Można to zrobić.

- Oczywiście, nie stworzymy drugiego „Kittiwake,” można jednak sklecić całkiem solidną łajbę. Mamy tu

cały las drzew pieprzowych, do wyboru do koloru, a to pierwszorzędny materiał do budowy statków. Nie

będzie czasu na leżakowanie drewna, ale nawet zielone wystarczy na nasze potrzeby.

- Przykro mi z powodu „Kittiwake” - powiedziałem. - Po powrocie zrekompensuję ci stratę. - L’ur

uśmiechnął się z wyraźną ulgą, co zresztą było moim zamierzeniem. Potrzebowałem pełnej współpracy. - Ile

zajmie budowa statku?

76

- Dwa, może trzy miesiące - odparł L’ur. - To niebezpieczne wody, jak przekonaliśmy się na własnej skórze

więc musimy zbudować go starannie i bez pośpiechu. Nowy statek musi być lepszy od zwykłej łajby, jeżeli

mamy dopłynąć do Redond.

- To nie tak długo - odezwał się nagle Cassini. Pomimo niesprzyjających okoliczności sprawiał wrażenie

osobliwie radosnego. - Wkrótce powrócimy do domu, a cała Orissa będzie wychwalać nasze imiona.

- Jak możesz coś takiego mówić? - zawołałem. - Rozbił nam się statek, zanim jeszcze rozpocząłem Odkrycie.

- Och, myślę, że wyrocznia wyraziła się jasno przepowiadając nasze kłopoty - odpowiedział Cassini.
-

Sugerowała również sukcesy. I oto jesteśmy na Wybrzeżu Pieprzowym, gdzie, jak dotąd, nie postąpiła stopa

Orissanina. Sam mówiłeś, że kraj ów stwarza wręcz baśniowe możliwości handlowe. Kapitan dopiero co

wspominał o wartości tutejszego drewna. Myślę, że znajdą się też drogie metale. Widzieliśmy wspaniałe zwierzęta i ptaki, które zachwycą naszych rodaków. Ty już znalazłeś fortunę, przyjacielu Almaryku. Nie ma potrzeby dalszego szukania.

- Ale ... Odległe Królestwa... już nigdy ich nie znajdziemy - powiedziałem. - Nie mogę zagwarantować, że

mój ojciec sfinansuje kolejną ekspedycję. Wątpię też, czy twoi przełożeni by ją zaaprobowali.

- Nie - odparł Cassini. - Oczywiście, że nie wyrażą zgody. Dalsza podróż, powiedzą, oznacza sprzeciwianie

się wyroczni. Czyż nie rozumiesz jeszcze? Nie potrzebujemy Odległych Królestw.

Nie odpowiedziałem. Tak, te wybrzeża stwarzały wystarczająco wiele możliwości. Profity i sława godna

rodu Antero. Chociaż nasza podróż nie została zakończona tak, jak sobie to zaplanowaliśmy, ziemia ta

stanowiła nowy obszar handlowy, który otwierał się przed Orissą po wielu latach zastoju. To jednak nie

miało dla mnie najmniejszego znaczenia. Potrafiłem jedynie myśleć o magnetycznym błysku złotego światła

wyzierającego zza czarnej pięści. Przywoływał mnie ku Odległym Królestwom.

- Możesz zatrzymać złoto, Cassini - odezwał się porywczo Janosz. - Możesz też zatrzymać dla siebie całą

chwałę i wiwaty poczciwych Orissan. Ja zamierzam kontynuować naszą wyprawę.

Mimo że postąpił jak głupiec, serce podskoczyło we mnie z nadzieją i radością, kiedy dotarł do mnie sens

jego słów.

- To nie do ciebie należy ostateczna decyzja, kapitanie - zripostował Cassini. - Ta wyprawa nie może trwać

bez mego błogosławieństwa, nawet gdyby istniała możliwość dalszej wędrówki... która bezsprzecznie nie

istnieje.

Janosz był wściekły. Przez moment pomyślałem, że wyciągnie nóż i zrobi z niego użytek. Wtrąciłem więc

szybko.

- Zaczekaj, Janoszu. I ty również, Cassini, jeśli można cię prosić. Nie ma potrzeby, aby obrzucać się błotem.

Nie ma również konieczności podejmowania natychmiastowej decyzji. Mamy kilka dni na zastanowienie...

Przez ten czas nasza sytuacja stanie się bardziej klarowna.

- Dla mnie jest wystarczająco jasna - uciął Cassini, chcąc załatwić sprawę raz na zawsze.

- Oj, chyba nie - odparował Janosz. - No cóż, pozwól, że zadam choć jedno pytanie. Jak sądzisz, czym

mamy zaspokajać głód przez najbliższe trzy miesiące?

- Nabrzeżni Ludzie ... - zaczął Cassini.

- Radzą sobie niezgorzej, dziękuję bardzo - przerwał mu Janosz. - Co więcej, zazwyczaj jeszcze im trochę

zostaje i mogą się z nami podzielić. - Wskazał na resztki pieczonego kraba. - To rybacy. A tak naprawdę

nawet trudno ich tak nazwać. Żyją z tego, co wyszukają wśród skał, lub co wyłowią nurkując pod wodą.

Uprawiają jakąś odmianę zboża, mają owoce i orzechy. To jednak nie wystarczy, żeby wyżywić nas wszystkich przez trzy miesiące lub dłużej.

- Mamy zapasy - zaprotestował Cassini.

Janosz parsknął.

- Głównie suszoną żywność i odrobinę smakołyków. Mieliśmy jednak żywić się jedząc plony ziemi, pamiętasz? Nie mów mi, że nie widzisz przeciwwskazań, bo nie ma takiej możliwości. Jeśli policzyć nas

wszystkich i dodać tubylców, obfitość wybrzeża wkrótce okaże się bardzo pozorna. Przekonasz się też, że

owoce i orzechy nie rosną w sadach, lecz można je znaleźć jedynie w kilku miejscach w lesie. Właśnie tak

zdobywają pożywienie mieszkańcy w tym klimacie. Po miesiącu polowania pozostałoby tu niewiele zwierzyny. Nabrzeźni Ludzie szybko zmieniliby zapatrywania, a wtedy przestalibyśmy być mile widzianymi

gośćmi. Obecność żeglarzy może okazać się pożądana ze względu na połowy ryb. Ale nasza trójka i

77

żołnierze? Kiepscy z nas myśliwi i potrafimy więcej zjeść niż dać z siebie w tym względzie. Zapamiętaj

moje słowa - prędzej poderzną nam gardła niż zdecydują się cierpieć głód.

- Skąd to wszystko wiesz? - odparował Cassini. - Nie jesteśmy tu nawet pół dnia. Nie ma najmniejszych

podstaw, aby wysnuwać podobne wnioski.

Wtrąciłem się, gdyż kłótnia stawała się coraz ostrzejsza.

- Poprosiłem was obu o cierpliwość... zaledwie kilka dni - odezwałem się, usiłując nadać głosowi stanowczy ton. - To przede wszystkim moje Odkrycie. Finansowane przez mego ojca. Nalegam, byśmy dali

sobie czas do namysłu.

- Nie będę... - zaczął Cassini, lecz przerwałem mu niecierpliwym gestem dłoni.

- Ufam ci na tyle, by bez szemrania przyjąć to postanowienie wiedząc, iż będzie to najrozsądniejsze wyjście

w danym położeniu - powiedziałem. - Więc nie drażmy tego więcej.

Obydwaj mężczyźni milczeli. Cassini wycofał się w kąt namiotu i tam usiadł, zagłębiając się we własnych

myślach. Janosz wyszedł na zewnątrz, zapewne aby liczyć gwiazdy albo porozmawiać z Maenenem. Ja

pozostałem przy ognisku w towarzystwie L'ura. Doszedłem do wniosku, że nie była to odpowiednia pora na

dalsze roztrząsanie sprawy z moim przyjacielem. Stary wilk morski zasnął niemal natychmiast z lekkim

uśmiechem na twarzy. Co rusz mamrotał jakieś komendy - szczęśliwy rzemieślnik rozmyślający o czekającej

go pracy. No cóż, przynajmniej miał jakiś cel: zbudować statek w ciągu trzech miesięcy. Tej nocy L'ur był

chyba jedynym szczęśliwym człowiekiem w naszej ekspedycji.

Wkrótce i ja poczułem znużenie od kłębiących się w głowie myśli. Na pobliskiej skale znalazłem Janosza

wsluchującego się w monotonny łoskot fal odbijających się od skalistego wybrzeża. W milczeniu usiadłem

obok, zaprzątnięty własnymi myślami.

- Dziękuję ci... za opóźnienie decyzji - odezwał się Janosz z pewnym wysiłkiem. Nie odpowiedziałem,

ponieważ nie doszukałem się szczerości w jego słowach. - Zastanawiam się, co by powiedział twój ojciec

gdyby tu był.

- Przypuszczam, że powiedziałby: „Wracaj.” Mój ojciec zawsze wybiera mniejsze zło.

- Nie zawsze - stwierdził Janosz. - Wciąż żałuje, że posłuchał swego ojca i dawno temu nie wybrał się na

poszukiwanie Odległych Królestw.

- Nie miał wyboru, musiał posłuchać - odpowiedziałem.

Janosz westchnął.

- Twój ojciec jest znacznie lepszym człowiekiem niż ja kiedykolwiek będę. Powiedział, że spocząłby

szczęśliwszy na marach, gdyby jego syn osiągnął to, co jemu zostało zakazane. Gdybym był na jego miejscu,

nie sprawiłoby mi to żadnej satysfakcji. - Uśmiechnął się do mnie ponuro. - Przeklinałbym syna, że to nie ja

byłem pierwszy.

- Co zrobisz - zapytałem - jeśli... sprawdzą się nasze najgorsze obawy?

Janosz zawahał się.

- Wolałbym teraz o tym nie myśleć, ale muszę cię ostrzec. Nie poddam się łatwo. Daj mi choć połowę

szansy, a poniosę tę ekspedycję na własnych barkach.

- Uważaj na Cassiniego - ostrzegłem go. - Może nam nieco nabruździć.

Janosz poklepał rękojeść swego noża.

- Nie tyle, ile ja mogę jemu - odpowiedział prosto, a jego słowa przejęły mnie dreszczem. Nie były to

zapalczywe, bezsensowne przechwałki, o których zapominało się rankiem po opadnięciu pierwszych emocji.

- Nigdy nie usłyszysz, że członek rodu Antero broni maga - zapewniłem go. - Ale powinieneś wiedzieć, że

Cassini próbuje tylko nałożyć maskę szczęścia na nasze niepowodzenie. On potrzebuje zwycięstwa. Dla

niego liczy się tylko to, co powiedzą w Orissie. Pamiętaj, że na szali leży jego dalsze życie.

- Niech będą przekłęci wszyscy magowie - warknął Janosz, ale zdawało się, że w tej samej chwili pożałował

wybuchu. Umilkł, lecz nie wytrzymał długo. - A ty, Almaryku? Co z twoją przyszłością?

- Podzielim twoje zdanie. - Uśmiechnąłem się smutno. - Tak, zaiste są tu bogactwa do zdobycia. Również

mógłbym założyć maskę szczęścia i chełpić się sukcesem przed całą Orissą. Ale ... - głos uwiązł mi w

gardle.

Od strony Janosza doleciał mnie urywany śmiech, podobny raczej do chrząknięcia.

- Ciebie też dopadło, co, przyjacielu? Zarażony chorobą Odległych Królestw. Niebawem pożałujesz, że w

ogóle stanąłem na twojej drodze. - Księżyc wyłonił się zza chmury oblewając Janosza upiorną poświatą. -

78

Nie ma lekarstwa na tę zarazę - powiedział wskazując stanowczo palcem. - Z wyjątkiem jednego. - Nie

potrzebowałem patrzeć. Palec skierowany był na wschód, ku Odległym Królestwom.

Czarny Rekin przyszedł nazajutrz. Nie miał na sobie pancerza, lecz zwykłą brązową tunikę. Jediną oznaką

pełnionej przez niego funkcji w plemienu było szamańskie oko narysowane na czole. Sprawiał wrażenie

mocno podenerwowanego i pokornego, o ile taki groźny człowiek mógł być pokorny.

Bez zbędnych wstępów przeszedł do rzeczy.

- Przychodzić, by prosić o łaskę dla moje plemię - wyrecytował we wspólnym języku. - Wstyd prosić, bo

kłopot wyjść z własnego uczynku. Wielki grzech, zrobiony dawno.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaki to grzech może nękać sumienie kanibala, ale nie omieszkałem wspomnieć o wielkiej przysłudze, jaką nam wyświadczyli i obiecać, że zrobimy co w naszej mocy. Czarny

Rekin zwrócił się do Janosza.

- Ty wielki czarownik. Duchy ciebie słuchać - powiedział. Cassini zakasłał słysząc te słowa, lecz Czarny

Rekin nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. - Twoja moc nam potrzebna.

- Mów dalej, wodzu - zachęcił go Janosz. - Chociaż muszę cię prosić o zrozumienie, że to jego - tu wskazał

na Cassiniego - czarodziejską sieć zarzuciłem na tych ludzi. Jednakże, jako obcy przybysze z innej ziemi,

możemy mieć jaśniejsze spojrzenie na powody waszych kłopotów.

Skromność Janosza wywarła duże wrażenie na Czarnym Rekinie. Kazał nam przynieść poduszki z morskiej

trawy i skorupy wypełnione dziwnym musującym napojem. Usadowiliśmy się wygodnie, żeby wysłuchać

jego opowieści, którą przełożę na nasz język, jako że nasz gospodarz, powiedzmy szczerze, nie posługiwał

się zbyt płynnie językiem handlowym. - Miało to miejsce w czasach mojej babki - zaczął Czarny Rekin, -

gdy była młodą kobietą, jeszcze przed urodzeniem swego pierwszego dziecka. Byliśmy wtedy szczęśliwym

ludem. Morze obfitowało w ryby, lasy dostarczały owoców, więc Nabrzeżni Ludzie nie musieli martwić się

o pożywienie czy wodę do picia. Świat wydawał się wówczas przyjemniejszym miejscem, żyło się łatwiej i

nie mieliśmy zbyt wielu wrogów. Pewnego dnia Szaman, którym był jej ojciec, zwołał nasz lud dokładnie tu

- Czarny Rekin wskazał ręką miejsce, w którym siedzieliśmy - i ostrzegł, że w wioskowym kotle bulgoczą

złe przepowiednie. Powiedział, że nie spodobała mu się cuchnąca woń dobywająca się z naczynia, a kiedy

wetknął do niego kij, na powierzchnię wypłynęło dwugłowe szczenię foki.

Jak się tam dostało, nikt tego nie potrafił powiedzieć. Wszyscy stwierdzili jednak zgodnie, że nikt z nas nie

zrobiłby tego, jako że nie czyni się tak potwornego zła własnemu ludowi. Ludzie złąkli się i poprosili

Szamana, aby im powiedział, czego się muszą strzec. Nie potrafił jednak udzielić konkretnej odpowiedzi,

ponieważ czarna magia w tym parszywym kotle zmaćla mu jasność wizji. Ludzie zaczęli się domyślać,

jakiego to zła mogą oczekiwać. Niektórzy twierdzili, że zaskoczy nas potworna burza. Inni mówili, że powinniśmy zadbać o broń, bo złe znaki mogą jedynie oznaczać atak naszych wrogów, ludu Dalree, zamieszkującego ziemię oddaloną o niecały tydzień drogi.

Czarny Rekin spojrzał na nas szczerze.

- Powiniście wiedzieć, że macie ogromne szczęście lądując na naszym wybrzeżu - powiedział. - Dalree to

zli ludzie, którzy nie dbają o życie obcych. To wściekli ludzie, którzy nawet nie uczczą swych ofiar poprzez

zjedzenie ich ciał.

Cassini ponownie zakasłał. A może był to śmiech? Nappełniłem skorupę Czarnego Rekina, żeby nie potraktował tej słabości jako oznaki lekceważenia.

- Jednak to nie Dalree musieliśmy się obawiać, chociaż, jak mówiła mi babka, podjęliśmy wszelkie środki

ostrożności i złożyliśmy ofiary. Wielokrotnie oglądaliśmy przy pływy i odpływy, aż Szaman prawie zapomniał o złych znakach. Pewnego ranka, tuż przed tym jak słońce wyгнаło duchy mgły z plaży, w wiosce

dały się słyszeć głośnie grzmoty. Ludzie pomyśleli, że oto nadchodzi zapowiadana burza. Więc jednak nie

Dalree! Wszyscy wylegli na zewnątrz i zaczęli krzyczeć, lamentować i obracać się wokół siebie, tak jak ich

poinstruował Szaman. W ten sposób, powiedział, burza uwierzy, że to jej brat nas atakuje i poszuka innych

ludów, żeby im nieść utrapienie. Na przykład ludu Dalree.

Kątem oka dostrzegłem, jak Cassini kiwa głową na znak pełnego poparcia. Rzadki to objaw aprobaty ze

strony orisańskiego maga.

- Lecz na widnokręgu nie było widać chmur i moi ludzie wkrótce zdali sobie sprawę, że ten grzmot nie jest

oznaką burzy. A dźwięk nie pochodził od strony morza, lecz z tyłu, od lądu.

Czarny Rekin wskazał dłonią i wszyscy odwróciliśmy się, aby spojrzeć na wysokie urwiska wznoszące się

ponad pasmem drzew.

79

- Na wschodzie - powiedział - tuż za tymi urwiskami ciągnie się kanion. Otchłań bez dna. A za kanionem

znajduje się tak strome urwisko, że nawet diabeł nie potrafiłby się po nim wspiąć. Stamtąd to, szlachetni

wędrowcy, nadszedł ów przerażający dźwięk.

Szaman rozkazał wojownikom przygotować się do walki i wysłał grupę złożoną z najśmielszych, aby

zorientowali się w naturze nadciągającego niebezpieczeństwa. Kiedy dotarli do otchłani, nikogo w pobliżu

nie spostrzegli. Nie usłyszeli też grzmotów. Wszyscy dziwowali się wielce temu cudowi i przygotowywali

do drogi powrotnej. Niestety dudnienie rozległo się ponownie. Z początku nic nie zobaczyli, potem jeden z

nich wydał zdławiony okrzyk i wskazał na klif. Klif, na który, jak mówiłem, nie wspiąłby się żaden człowiek. Byli tam jednak ludzie, o czym świadczył błysk metalu. Ludzie i konie.

Janosz pochylił się do przodu. Na jego spiętej twarzy malowało się pełne skupienie i nagle przypomniałem

sobie historię, jaką mi kiedyś opowiedział o spotkaniu z upiornymi jeźdźcami za czasów swego dzieciństwa.

Czarny Rekin dostrzegł ruch Janosza. - Znasz tych ludzi?

- Nie jestem pewien - odpowiedział. - Czy byli okuci w pancerze?

- Tak, byli uzbrojeni. Ludzie i konie, na których siedzieli okrakiem. Ich hełmy miały dziwne kształty. Tak

przynajmniej twierdzili świadkowie. Wyglądały mniej więcej tak ... - Czarny Rekin nakreślił palcem w

powietrzu kształt hełmu z głębokim wcięciem. Dokładnie taki, jak to wcześniej opisywał Janosz.

- Co się stało? - zapytałem.

- Z początku nic - odpowiedział Czarny Rekin. - Zdawało się, że tylko obserwują, albo po prostu ludzie tak

później opowiadali. Większość naszych potrafiła wyczuwać obecność czarodziejów, więc kiedy ich zobaczyli, padli na ziemię korząc się przed nimi. Następnie umknęli pospiesznie, zanim ich obecność mogłaby rozgniewać owych potężnych jeźdźców. Niestety, jeden człowiek nie był aż tak mądry. Moja

babka mówiła, że był to jeden ze starszych wojowników, którego trawiła zazdrość na widok powodzenia

młodszych. Zamiast upokorzyć się i wziąć nogi za pas, co byłoby najodpowiedniejszym wyjściem z sytuacji,

rzucił przybyszom wyzwanie. Jeden z wojowników spojrział na niego, a ten czując się wielce obrażony

zamachnął się włócznią.

Czarny Rekin jęknął z boleścią i goryczą w głosie.

- Skarpa była zbyt wysoka - kontynuował - lecz nie było to przeszkodą dla bogów, którzy nienawidzą

Nabrzeżnych Ludzi. Koń jeźdźca cofnął się złękniony i czarownik wpadł do otchłani, która była zbyt głęboka, żeby jego kompani mogli wyjąć zwłoki. Odjechali nie zapewniając mu odpowiedniego pochówku.

Jego kości leżą tam po dziś dzień, będąc przekleństwem dla nas wszystkich.

Czarny Rekin pociągnął nosem poruszony własną opowieścią, a następnie opróżnił naczynie.

- Tamtego dnia szczęście odwróciło się od nas - ciągnął dalej. - Skończył się handel, a wybrzeże nasze

nawiedzali od tej pory tylko piraci lub likantyjscy złodzieje. I wiecie co ... - Nachylił się do nasniżając głos

- ... zaczęły o nas krążyć straszliwe kłamstwa. Wiele ludów po dziś dzień czuje przed nami trwogę z uwagi

na te demoniczne podszepty.

- Niemożliwe - zachnął się Janosz nie zdradzając najmniejszego śladu kpiny. - Tacy łagodni ludzie?

Czarny Rekin pokiwał ze smutkiem głową. Oczy zaczerwieniły mu się od napoju.

- To niesprawiedliwe, lecz cóż możemy na to poradzić? Nie mamy szczęścia.

- A gdybyśmy pochowali szczątki tamtego wojownika? - spytał Janosz. - Moglibyście wznieść ołtarz

i pogrzebać przy nim kości, aby dać spoczynek duchowi czarodzieja.

Oczy Czarnego Rekina wypełniły się łzami. Sprawiał wrażenie zbyt poruszonego, aby wykrztusić

słowo, lecz skinienie głową mówiło samo za siebie.

- To właśnie... mieliśmy nadzieję, że ... - dławił się próbując wyartykułować cokolwiek.

Janosz spojrział na mnie, a następnie na Cassiniego.

- Co wy na to, przyjaciele? Jak moglibyśmy odmówić tym poczciwym ludziom?

KSIEŻYC SKRYŁ swe blade oblicze pośród chmur, gdy tamtej nocy poprowadzili nas przez las.
Dookoła

panowała nienaturalna cisza. Nie słyszeliśmy brzęczenia komarów, ani nawet kaszlu polującego kotołaka.

Było tak, jakby wszystkie leśne stworzenia, dowiedziawszy się uprzednio o naszej wyprawie, skryły się w

bezpiecznych norach i jamach. Czarny Rekin wraz ze swymi ludźmi zaprowadził nas aż na skraj urwiska.

Następnie, błagając o wybaczenie, wyciągnął z worka bicz spleciony z morskiej trawy. Uderzał nas lekko,

każdego po kolei, by jakakolwiek obraza, której się dopuściliśmy, nie poszła na karb Nabrzeżnych Ludzi. Po

80

tym krótkim obrzędzie zniknęli w ciemnościach nocy. Cassini powiódł za nimi wzrokiem z osobliwym

błyskiem w oczach.

- Biczowanie na nic się zda - powiedział ponurym głosem - jeśli tamci czarodzieje są tak potężni, jak mówił. - Otworzył zawiniątko, które wziął ze sobą, i wyciągnął rzeczy, na których przygotowaniu spędził

niemal cały dzień.

- A zatem dajesz wiarę opowieści o przekleństwie? - spytałem.

- Byłbym ostatnim głupcem, gdybym w to nie wierzył - bąknął. Janosz chrząknął. Wiedziałem, że on na

pewno wierzy. Opis Strażników na koniach prawie idealnie odpowiadał temu, czego był świadkiem jako

dzieciak. Rozebraliśmy się do naga i umazaliśmy swe ciała węglem drzewnym, żeby uniknąć niepożądanego

spojrzenia. Cassini wyszeptał stosowne zaklęcie. Zarzuciliśmy na plecy węzełki trawiastych lian i

zaczęliśmy się wspinać po stromym zboczu urwiska. Tamtej nocy byłem dumny z mych towarzyszy. Janosz,

poruszając się bezszelestnie niczym pantera, szedł naprzód wytyczając drogę. Cassini podążał za nim

dzielnie, trzymając w pogotowiu złoty dysk na wypadek jakiegoś nieoczekiwanego zaklęcia zagradzającego

nam drogę. Długotrwała choroba morska oraz ogólna niechęć do jego osoby sprawiły, że zapomniałem, iż

już w czasach szkoły uchodził za śmiałego młodzieńca. Jeśli chodzi o mnie, nie powiem, że byłem odważny,

lecz po prostu zbyt młody i głupi, by odczuwać strach.

Na szczycie urwiska znajdowała się rozległa, skalista równina. Zamiast niezliczonej ilości głazów i ostrych

kamieni, na których sprawdzilibyśmy swe stopy, podłoże zdawało się być gładkie jak szkło. Ruszyliśmy

zwawiej. Ledwo mogliśmy dostrzec swe własne ręce przed twarzą, lecz wyczuwaliśmy wyraźnie, że

ogromny klif, opisywany przez Czarnego Rekina, majaczy niedaleko. Bogowie musieli się do nas

uśmiechnąć, bo księżyc zniecała wychynał zza chmurnego całunu i zatrzymaliśmy się jak wryci przed

rozpościerając się tuż przed nami otchłanią.

- Chyba poszaleliśmy - szepnąłem - skoro próbujemy tego dokonać w nocy.

- Wkraczaj do ciemności z ciemności - odszepnął Cassini. - Taka jest zasada.

- W każdym razie - odezwał się normalnym głosem Janosz, a wszyscy podskoczyliśmy na ten gwałt zadany

panującej wokoło ciszy - niebawem rozstrzygniemy spór, czy duch widzi, czy też nie widzi w nocy.

- Szszsz - syknął Cassini. - Możliwe, że słyszy.

- Właściwie wołałbym, żeby tak było - stwierdził Janosz. - Jeśli zakradniemy się i zaskoczmy go, z

pewnością pomyśli, że przybyliśmy we wrogich zamiarach. - Cassini wskazał na przepastny worek, który

niosłem całą drogę. Otworzyłem go i ze środka wysypał się gruby bukiet suchych chwastów. Cassini

odkorkował flaszkę, którą niósł na sznurku zawieszanym dokoła nagich bioder, i ostrożnie zmoczył chwasty

cuchnącą cieczą. Wszeptał zakłęcie i dostrzegłem jakiś błysk głęboko pośród gmatwaniny zielska.

Rozbłysnął płomyk, a kiedy zmienił się w silny ogień, Cassini szybko zepchnął go nogą ze zbocza.

Patrzyliśmy jak spada, lecz zamiast zniknąć nam z oczu, ogień rozprzestrzenił się, aż wreszcie zdawał się

wypełniać przepaść po brzegi. Wtedy podskoczył ku górze, eksplodował czarnym, tłustym dymem, po czym

ponownie opadł i uspokoił się. Najwidoczniej otchłań nie była aż tak głęboka i wbrew pozorom miała dno.

Zerknąłem w dół. Żołądek podszedł mi do gardła, jako że nawet jeśli dno gdzieś się znajdowało, na pewno

było bardzo daleko. Janosz rozwiązał linę.

- Pójdę pierwszy - zaproponował, a ja odetchnąłem z ulgą.

- A jeśli nie jest to odpowiednie miejsce? - spytałem. Janosz wskazał tylko ręką. Gdzieś poza granicą

ognia

ujrzałem odpowiedź na moje pytanie w błysku metalu. Niewątpliwie był to ów wojownik.

Cieszyłem się, że schodzę jako drugi. Musieliśmy związać wszystkie trzy liny ze sobą, a i tak zabrakło na

długość trzech mężczyzn. Zanim jednak zdążyłem to skomentować, Janosz zarzucił naszą linę

bezpieczeństwa niczym lasso na jeden z głazów i skoczył w przepaść. Zjechał szybko do końca liny,

odepchnął się nogą od zbocza i puścił linę. Usłyszałem, jak szepcze jakieś zakłęcie i zobaczyłem

ognistych koralików. Ruszyłem za nim, czując jak dłonie ślizgają mi się na sznurze zawilgotniałym od

Janosza. Nie powinienem był mieć żadnych trudności. Jak już wcześniej wspomniałem, miałem talent

wspinaczki, lecz po przebyciu nie więcej niż jednej trzeciej drogi ogarnęło mnie poczucie

tego, co robię. Spojrzałem w dół. Światło na dnie kanionu wydało mi się niezmiernie odległe.

Długość trzech mężczyzn nagle urosła do co najmniej dwudziestu, a następnie stu. Lina zrobiła się tak śliska,

dłonie nie znalazły w niej więcej oporu i runąłem w dół z wielką szybkością. Odepchnąłem się stopą

od zbocza, aby zwolnić upadek, lecz poczułem tylko spadające kamienie i skalny pył.

81

Janosz krzyknął coś z dołu i ten krzyk dodał siły moim palcom, które zacisnęły się kurczowo na linie i

wreszcie zahamowałem. Dłonie paliły żywym ogniem i miałem wrażenie, że ciężar mego ciała,

wzrósł kilkakrotnie. Zdałem sobie sprawę, że mam zamknięte oczy, więc powoli uniosłem powieki.

Najpierw ujrzałem twarz spoglądającego w dół Cassiniego. W świetle księżyca wydawała się wyjątkowo

blada a oczy

miał szeroko otwarte. Zdumiałem się bliskością jego twarzy. Spojrzałem w dół. Znajdowałem się w tej

samej odległości od dna, co przed upadkiem.

- To tylko twoja wyobraźnia - zawołał niecierpliwie Cassini. - Zakłęcie pozostawione przez przyjaciół tego

wojownika.

Chciałem krzyknąć: co mam więc zrobić? Nie jestem żadnym czarodziejem. Cassini opróżnił torbę i

dostrzegłem migotliwy pył magiczny, który szybował w moim kierunku. Wkrótce będę bezpieczny, pomyślałem sobie, lecz widząc szybkość, z jaką opadał pył, zorientowałem się, że nie dotrze do mnie na

czas. Uczucie beznadziejności ponownie ścisnęło mi trzewia i poczułem, jak palce ześlizgują się po linie.

Tuż przy uchu usłyszałem głos.

- Alamryku - szepnął. - Nie obawiaj się.

- Halab? - zawołałem, jako że zdawało mi się, że to mój brat.

- Lekki jak powietrze - powiedział głos. - Szybki jak sokół na łowach.

Słabość zniknęła niepostrzeżenie. Palce zacisnęły się mocno na linie i poczułem jak pył opada mi mgiełką

na ramiona. Wyrwałem się z zakłęcia niczym tonący człowiek, który kopiąc i machając ramionami

wydstaje się na powierzchnię wody. Ześlizgnąłem się po linie z taką łatwością, jakbym przez całe życie

łaził po drzewach. Na koniec zwolniłem uchwyt i po chwili wylądowałem miękko na nogach. Janosz położył

mi dłoń na ramieniu.

- Nic ci nie jest, Almaryku? - zapytał. Przez chwilę myślałem, że to właśnie jego głos słyszałem zaciskając

palce na linie.

- Uwważaj - ostrzegł Janosz. - Cassini zjeżdża na dół.

Teraz zdawało mi się, że jego głos brzmi zupełnie inaczej. Odsunąłem się i Cassini stanął tuż obok nas. Nie

miało już znaczenia, czyj to był głos, jako że zaklęcie zostało przerwane i znajdowaliśmy się w trójkę, cali i

zdrowi, na dnie „bezdennej” otchłani. Nie było czasu na gratulacje, ponieważ ciszę przerwał plusk spadającej cieczy. Po długiej chwili usłyszeliśmy kolejny plusk, a potem następny. Dźwięk dochodził z

miejsca, gdzie upadł starożytny wojownik. Zaledwie doszliśmy do tego wniosku, a otoczyła nas najcudowniejsza woń, słodsza od zapachu kwiatów, bogatsza niż wonne olejki kurtyzan. Poszliśmy zaciekawieni w kierunku dźwięku i zapachu.

Ciało wojownika leżało rozbite o duży, płaski kamień. W świetle oczyszczającego ognia Cassiniego wyraźnie było widać zwłoki. Janosz wymamrotał coś pod nosem i chociaż nie mogłem zrozumieć jego słów,

wiedziałem, że zareagował w ten sposób na widok pancerza i hełmu, które ujrzał. Wyglądały dokładnie tak

jak zbroje jeźdźców z jego dzieciństwa. Wojownik był potężnie zbudowany, wzrostem przewyższał nawet

Janosza. Potężne ramiona bezwładnie odrzucone na boki i szeroka klatka piersiowa wywarły na nas duże

wrażenie. Jego twarz przypominała dziób drapieżnego ptaka o głęboko osadzonych, wciąż otwartych oczach,

które zdawały się nieodmiennie wpatrywać w przestrzeń. Miecz miał przytroczony do pasa, a u jednego

boku leżała złamana włócznia. Ciało wojownika świeciło głębokim, ziemistym brązem, jakby zostało pokryte wieloma warstwami gęstego barwnika.

Cassini wskazał w górę i ujrzeliśmy, jak na skale wiszącej ponad zwłokami tworzy się gruba plama ciężkiej

cieczy. Zebrawszy się w kulę spadła rozpryskując się na wojownika. W momencie rozprysnięcia wyczuliśmy ten sam słodki zapach i patrzyliśmy zafascynowani, jak kropla rozlewa się po ciele

pozostawiając na nim brązowy ślad przypominający oliwę. Janosz przywołał nas bliżej skinieniem ręki i

zobaczyliśmy, że zwłoki są doskonale zakonserwowane właśnie przez tę ciecz, która spływała tu od wielu

pokoleń. Umarły wykrzywił ku nam twarz z taką samą boleścią, jaka pojawiła się na jego obliczu w chwili,

gdy wydał ostatnie tchnienie.

- Widziałem już zachowane w ten sposób owady - odezwał się Janosz - ale tylko w starych lasach.

Miejscowi ludzie mówili, że zostały one uwięzione w spływającym z drzew soku. Kiedy ów płyn zastyga,

sprzedają je później jako talizmany. Chyba nazywają to bursztynem. - Janosz dotknął ostrożnie

nienaruszonego ciała. - Wojownik w bursztynie - powiedział melodyjnym głosem.

- Nie widzę tu żadnych drzew - zaprotestowałem. - Same kamienie.

82

- To najwidoczniej zaklęcie, które rzucili jego towarzysze - wyjaśnił Cassini - aby zachować ciało w nienaruszonym stanie. Skoro nie mogli go odpowiednio pogrzebać, uczynili, co tylko było w ich mocy, aby

dać ukojenie duchowi tego wojownika.

Cassini nappełnił tykwę węglami z ognia oczyszczającego i potrząsnął nią nad zwłokami. Na ciało posypał

się grad iskier i owionął je dym, podczas gdy Cassini obchodził wolno kamień wypowiadając kojące słowa,

mające uspokoić ducha wojownika. Obiecał przyzwoitą kaplicę wypełnioną wieloma darami, które przyniosą Nabrzeźni Ludzie. W mroku nocy usłyszałem przeciągłe westchnienie. Zdawało się, że oczy

wojownika załśniły, potem zamarły ponownie. Potraktowaliśmy to jako akceptację i we trójkę podnieśliśmy

ciało z zabójczego głazu. Zwłoki były lżejsze niż ciało dziecka, pozbawione wszelkich płynów i mięśni.

Kiedy położyliśmy wojownika na dnie kanionu, ciężka sakiewka stuknęła głucho o ziemię.
Ujrzyliśmy kilka

starych, przekłutych monet, odpowiednich do handlowania, osełkę do miecza oraz coś, co przypominało

zwój płótna do pisania. Wyciągnąłem rękę po to ostatnie. - Czekaj - ostrzegł Janosz, lecz zdążyłem już

dotknąć palcem płótna, zanim cofnąłem dłoń. Róg starodawnego materiału zamienił się w pył.

- Wybaczcie - wyszeptałem, lecz nikt mnie nie usłyszał.

- Wygląda na jakąś mapę - odezwał się Cassini.

Oczy Janosza rozbłysły podekscytowaniem.

- Możesz ją zrekonstruować?

Cassini nie odpowiedział, lecz podniecenie udzieliło się również jemu. Zanurzył dłoń w przepastnym worze

i wyjął mały flakonik czarnej cieczy oraz zielarski nóż. Wytrząsał kilka kropel na widniejącą na ostrzu

miarękę w kształcie rowku, po czym posypał to szczyptą płóciennego pyłu. Nie słyszałem słów zaklęcia;

wypowiedział je szybko i płynnie, co wskazywało na wieloletnią praktykę w tego rodzaju zadaniach.

Przypomniałem sobie, że wszyscy młodzi magowie musieli najpierw pracować w bibliotece, zamieniając

codziennie szczątki pergaminów czy rękopisów w kilkakrotne duplikaty.

Spojrzałem na sakiewkę, z której wypadła mapa, nie mogąc wyjść z podziwu, że skóra, z której została

wykonana, również idealnie przechowała się w bursztynie. Dostrzegłem coś, co najpierw odebrałem jako

odbarwienie, a następnie doszedłem do wniosku, że było zbyt regularne. Nachyliłem się niżej, lecz nie

dotknąłem sakiewki wiedząc, czym to może grozić. Na skórze widniał emblemat: wąż wijący się w poprzek

wyłoczonej gwiazdy. Zobaczyłem fragmenty barwnika - błękitnego na zwojach węża i żółtego na

gwieździe, która, jak sobie zdałem sprawę, w rzeczywistości imitowała słońce z promieniami. Pokazałem

symbol Janoszowi, a on przyjrzał mu się równie uważnie.

- Herb rodzinny - zaryzykowałem.

Pokręcił przecząco głową.

- Mało prawdopodobne w przypadku żołnierza służącego w zorganizowanej formacji. Przypuszczam, że to

raczej herb tych, dla których pełnił rolę Strażnika. Może księcia, może czarodzieja, a może i króla. A może

to emblemat Odległych Królestw.

Właśnie zamierzałem zareagować na jego słowa, kiedy Cassini poinformował nas, że zakłęcie zaczęło

działać. Dmuchnął na miksturę. Plamka *goo* zakrzepła wiążąc się z kolejną, a mała kulka związała się z

następną. Za chwilę zobaczyliśmy, jak kawałek płótna rozrasta się. Cassini szybko sypnął na pierwotne

płótno miksturę znajdującą się na wyłobieniu noża. Rozległ się suchy trzask i syk, jakby ktoś dołożył drewno

do ognia, i zwój płótna zaczął się poruszać. W mgnieniu oka wszelkie ślady starości zniknęły, a płótno

rozpostarło się przed nami czyste i białe, jak w dzień, w którym powstało. Nieczytelne runy zmieniły się w

głębokie linie nakreślone czarnym atramentem, połyskującym świeżością, jakby ktoś nie zdążył jeszcze

wysuszyć inkaustu.

Cassini podniósł ogniaste koraliki i we trójkę nachyliliśmy się, aby lepiej widzieć. Zgadzało się - przed nami

leżała mapa, lecz nie taka najzwyczajniejsza mapa, jako że w miejscach, gdzie rysownik zaznaczyłby

niebezpieczeństwa, takie jak bagna, kaniony czy gęste dżungle, płótno ziało pustką. Zaznaczono natomiast

szczyty górskie, dbając o dokładne nakreślenie wszystkich turni, potoków, które były widoczne z powietrza

oraz pewnych wysokich punktów, gdzie Strażnicy mogli mieć swoje stanowiska.

- Mapa dla ptaków mruknąłem.

- Albo - powiedział Janosz - ludzi, którzy potrafią latać, czy przynajmniej przenosić się za pomocą magii ze

szczytu na szczyt.

83

Zobaczyliśmy zarysy Wybrzeża Pieprzowego, jakby znaczyły one granice obszaru ważnego dla Strażnika, a

dalej mapa ukazywała wschodnie ziemie. Na najdalej wysuniętym na wschód krańcu rozpościerał się olbrzymi masyw górski w kształcie dużej czarnej pięści.

Usłyszeliśmy westchnienie i obróciwszy się pośpiesznie dostrzegliśmy lśniące oczy wojownika. Odniosłem

wrażenie, że patrzy wprost na mnie. Jestem pewien, że moim kompanom towarzyszyło to samo uczucie, lecz

przez moment myślałem, że dawno zmarły wojownik próbuje do mnie przemówić. Z suchego gardła

wydobyło się przeraźliwe dudnienie, jakby przez te wszystkie lata starał się za wszelką cenę powrócić do

życia i dopiero teraz jego duch uwolnił się wraz z głosem. Oczy ponownie zgasły, lecz teraz upiorny grymas

na jego twarzy przypominał uśmiech.

Janosz odezwał się szorstkim głosem:

- Czy nie wystarczy ci ten znak, Cassini? Czego jeszcze chcesz?

Mag milczał, lecz czułem wyraźnie rosnące napięcie i widziałem, jak kłębiące się w nim uczucia wywołują

drżenie mięśni twarzy.

- No i co? - ponaglił Janosz. - W dalszym ciągu uważasz, że wracamy do kraju? Czy też brniemy dalej?

CZTERY DNI PÓŹNIEJ pomaszerowaliśmy na wschód. Pozostawiliśmy L'ura wraz z załogą u Czarnego

Rekina i jego ludzi, którzy złożyli nam śluby wiecznej wdzięczności za wyzwolenie ich od

przekleństwa. Wódz sprzedał nam małe osiołki, żeby pomogły wieźć bagaże, i wyznaczył kilku ludzi, żeby

towarzyszyli nam jako przewodnicy „aż na sam koniec świata, jeśli życzyacie sobie tam dotrzeć.” Co więcej,

obiecał, że gdy tylko Nabrzeżni Ludzie wzniosą kaplicę dla Wojownika w Bursztynie, pomogą L'urowi w

skonstruowaniu nowego statku, który miał zabrać nas do kraju po naszym powrocie.

Sam L'ur stał się oddanym przyjacielem rodziny Antero. Gdyby spotkało nas nieszczęście i nie wrócilibyśmy w ciągu sześciu miesięcy, L'ur miał pismo, dzięki któremu mój ojciec miał uiścić zapłatę za

cały czas oczekiwania na nas oraz za budowę statku, który musiał zastąpić „Kittiwake.” Nie miałem wątpliwości, że L'ur będzie wytrwale czekał i to nie tylko z uwagi na przyobiecana fortunę. Ogarnęła go

gorączka, taka sama jaka targnęła nami, gdy rozwinęliśmy mapę, która miała nas zaprowadzić do

Królestw.

- Po raz pierwszy w życiu - rzekł stary wilk morski - żałuję, że za sprawą bogów nie urodziłem się

lądowym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nomadzi z Krańca Świata

Rzeka prowadziła w głąb lądu, poprzez pofałdowane ziemie, na których niewiele było śladów

ludzkiej

obecności. Minęliśmy kilka zagród, których obszarpani mieszkańcy obserwowali nas bez uśmiechu. Nasi

tarczownicy zmęczeni się wkrótce nieprzyzwoitymi okrzykami skierowanymi pod adresem panien na wydaniu, jakie widzieliśmy po drodze, bo sprawiały wrażenie, jakby nigdy w życiu nie spotkały się ze

sprośnością i nie wiedziały, jak na nią reagować.

- Wszyscy ci ludzie - zauważył Janosz - wyglądają tak samo jak biedniejsze ludy zamieszkujące wzgórza w

pobliżu terenów, gdzie się wychowałem. Każdego człowieka z mieczem postrzegają jako wroga, bez względu na to, jak głęboko miecz tkwi w pochwie. Może przypominasz sobie, co kiedyś mówiłem - ciągnął

podnosząc głos, tak aby Cassini również mógł usłyszeć - o tym, jak wygląda wojna po tej stronie Wąskiego

Morza? Oczywiście tych ludzi mówi więcej o ich życiu niż ja mógłbym opowiedzieć.

Cassini wzruszył ramionami.

- Silniejsi zawsze tuczyli się na słabszych i dalej tak będzie. Natura i bogowie dyktują warunki, a człowiek

stara się ich przestrzegać.

Potem nie widywaliśmy już zamieszkanego wiosek. Raz czy dwa Janosz dojrzał jakiś zarośnięty chwastami

teren, gdzie wiele lat temu mogła znajdować się wieś lub większa sadyba. Klimat, w porównaniu do

84

orissańskiego, był nieco cieplejszy i częściej padało, lecz był to delikatny deszczyk, bardziej przypominający

wilgotną mgiełkę, i zawsze przynosił ulgę po gorączce dnia. Trzymaliśmy się kierunku wschodniego, posługując się kompasem i od czasu do czasu magiczną mapą, którą udało się Cassiniemu odtworzyć z

talizmanu Strażnika. Mimo że pokazywała tylko szczyty i wybrane punkty terenu, często okazywała się

pomocna i mogliśmy sprawdzać, czy idziemy dobrym szlakiem.

Po drodze interesowało mnie wiele rzeczy, i to nie tylko dlatego, że byłem jednym z pierwszych cywilizowanych ludzi, cywilizowanych Orissan, powinienem chyba powiedzieć, którzy mieli szczęście

oglądać te ziemie," lecz ponieważ wtedy naprawdę zacząłem postrzegać świat oczyma moich rodaków.

Chociaż uczciwość nakazuje mi przyznać, że jako syn kupca widziałem ogromne ilości złota, które miały

duże szanse, by trafić do piwnic rodziny Antero. Znaleźliśmy tu ryby, których białe, delikatne mięso nadawało się idealnie do wędzenia; owoce połyskujące zielenią i purpurą, których smak mile łechtał podniebienie. Wystarczyło niewielkie zakłęcie przeciwko gniciu, a mogły się one stać największym przysmakiem w Orissie.

Po pięciodniowym marszu najgorszym naszym problemem stały się uporczywe napady kichania, które zaczynały nas męczyć po zapadnięciu zmroku. Podróżowaliśmy w tempie nie szybszym niż przechadzka po

parku, lecz mniej więcej po tygodniu coś się zmieniło. Wlokłem się obok Cassiniego myśląc leniwie o tym,

jak łatwo pokonaliśmy ostatni odcinek drogi, prowadzący między niskimi wzgórzami poprzecinanymi płytkimi wąwozami. Nagle Cassini stanął jak wryty i idący tuż za nim setnik Maeen musiał zrobić szybki

unik, żeby na niego nie wpaść. Cassini nie zwrócił na to uwagi; jego oczy wpatrywały się uporczywie w

roztaczającą się przed nami pustkę. Odsunąłem Cassiniego na bok i kiwnąłem na Janosza, który pośpiesznie

do nas dołączył. Przeraziłem się, że nasz mag wpadł niespodziewanie w stan niewytłumaczalnej hipnozy,

lecz na szczęście moje obawy okazały się bezpodstawne. Cassiniemu niebawem powróciła

przytomność

umysłu. Rozejrzał się dookoła uświadamiając sobie, że wszyscy zatrzymaliśmy się i patrzymy na niego

wyczekująco.

- Ta ziemia - powiedział bez zbędnych wstępów - jest taka, jak to przekazał Szaman Nabrzeżnych Ludzi.

Poczułem dusze tysięcy ludzi; niektórzy zamieszkiwali te wzgórza, inni tędy podróżowali, dokładnie po tej

drodze, po której resztkach kroczymy. - Bezwiednie skinąłem głową zdając sobie sprawę, dlaczego ten szlak

wydawał mi się tak łatwy do wędrówki. Oczywiście znajdowaliśmy się na dawno zapomnianej, nie

używanej od wielu lat drodze. - W tamtej dolinie - mówił dalej Cassini - której stąd nie widać, znajdowała

się słynna gospoda... na rozstaju dróg. Wielu podróżnych zatrzymywało się w niej. Było to szczęśliwe

miejsce.

- Co się zdarzyło? - zapytał Janosz.

- Śmierć - powiedział Cassini. - Śmierć i krew. Tak dużo krwi przez wiele lat, że ci, którzy żyli, uciekli albo

oddali swe dusze w poczuciu beznadziejności.

- Kto przyniósł śmierć? Skąd przyszła? Czym była? Stal... czy magia?

- Myślę, że i jedno, i drugie - odpowiedział powoli Cassini. - Magię wyczuwam najsilniej. Odbija się echem

pośród tych wzgórz. Kto ją sprowadził? Nie mam pojęcia. Skąd przyszła? Tego też nie wiem.

W chwilę później zupełnie wrócił do siebie.

- Dość tego - uciął krótko. - Nie prorokuję jak jakaś wiedźma, która wpędza w trwogę niedomytych

wieśniaków podczas Święta Zasiewów. Ty, żołnierzu, przynieś mi wina. Jak wrócisz, sprawdzisz wiązanie

mego buta. Obawiam się, że robi mi się pęcherz. - Cassini był chłodnym człowiekiem, nawet jak na maga.

Jakiś czas później jeden z osłów zaryczał przeraźliwie i zaczął się cofać. Juki na jego grzbiecie zadrżały i

cała zawartość posypała się na ziemię. Pakunek był niewielki, lecz dość ciężki, jako że zawierał grube

płótno z połową naszego złota. Spadając na ziemię rozerwał się, wysypując liczne monety. Maeen wrzasnął

na właściciela zwierzaka, lecz ten zaprzeczył ruchem głowy, co miało oznaczać, że nie zrobił nic, co mogłoby wystraszyć stworzenie. Dodał również, że kiedy pakunek spadł, on szedł w pewnej odległości od

osła. Pozostali Nabrzeźni Ludzie poparli gorliwie swego ziomka zaklinając się, że nie kłamie.

- A zatem ponosisz podwójną winę - grzmiał Maeen. - Tak marnie przytroczyłeś juki dziś rano, kiedy pakowałeś je na osła, że rzemienie musiały puścić. Jesteś podwójnym osłem i raczej twoje zwierzę powinno

ciebie prowadzić, a nie odwrotnie. - Nabrzeźny Człowiek wyjąkał, że pewnie rzemienie były stare, lecz

Maeena to nie obchodziło.

Podszedłem do miejsca, gdzie leżały rozsypane monety, i podniosłem sznur. Był całkiem nowy... L'ur wziął

go z wraku „Kittiwake,” kiedy przygotowywaliśmy się do drogi. Przyjrzałem się końcówce: był przecięty,

85

ale tak równiutko, jakby uciął go niezwykle silny mężczyzna dużym, ostrym nożem. Zaniósłem rzemień do

Janosza, który pokazał go Cassiniemu. Janosz uspokoił setnika, kazał przepakować osła i ruszać dalej.

Wszyscy milczeliśmy, lecz nie mieliśmy żadnych złudzeń. Przypomniałem sobie maleńką, złotą kosę z

Likantu, która znajdowała się teraz w bagażu Janosza. Wiedziałem, że można było jej używać nie tylko do

cięcia i przygotowywania magicznych ziół, lecz również do zaklęć na większą odległość.

Niewątpliwie

istniały też inne złote kosy, , którymi władali potężni czarodzieje. Znowu przypomniało mi się
Wybieranie w

Likancie i to ohydne stworzenie, które podeszło do mnie tak blisko. Potem pomyślałem o burzy
archontów;

podświadomie odwróciłem się, spojrzałem przez ramię i choć niczego nie zobaczyłem, niemiły
dreszcz

targnął moim ciałem.

W miarę postępów podróży wzrastał się stopniowo nastrój podenerwowania jako, bo zaatakowały
nas roje

czarnych owadów, których ukąszenia paliły niczym żywy ogień. O zmierzchu powracały tajemnicze
napady

kichania.

Kłopoty osiągnęły punkt kulminacyjny tej nocy, kiedy znaleźliśmy ruiny. Przełęcz ułatwiała nam
podróżowanie brzegiem rzeki, która nagle zrobiła się płytka i rozlała się wszcz na dwa rzuty
włócznią,

ukazując ławice ryb. Przeczyło to zasadom logiki, bo widziałem, że dalej rzeka wracała do swego
normalnego, lekko krętego biegu. Jako wychowanek rzeczno miasta domyśliłem się, co będzie
można

dalej znaleźć, i wyostrzyłem wzrok. Podejrzewałem, że wiele wieków temu rzekę uregulowano.
Zarządziłem

krótki postój i udałem się w porastające brzeg krzaki i zarośla w poszukiwaniu dowodów na
potwierdzenie

mych domysłów. Bez większego trudu znalazłem to, czego szukałem: „brzegi” rzeki były w istocie
odpowiednio ukształtowanymi zaprawą murarską podwójnymi kamiennymi ścianami, znajdującymi
się w

odległości blisko trzydziestu stóp od siebie. Janosz stał obok, najwyraźniej zbity z tropu przez
konstrukcję w

kształcie litery U.

- Wzniesione przez człowieka - skomentował. - Ale po co?

- Śluzy - wyjaśniłem. - Na końcu każdej znajdowały się drewniane wrota umożliwiające łodzi wpływanie i

albo podniesienie się, albo zniżenie do nowego poziomu, aby kontynuować kurs. Tam - wskazałem na

płycizny - najprawdopodobniej było rozlewisko, gdzie nie korzystano ze śluz. Z biegiem czasu, kiedy ludzie

przestali używać tej konstrukcji, rzeka straciła cierpliwość nie mogąc znieść uwięzi i przełamała rozlewisko,

aby znaleźć sobie nowe koryto.

Milcząc wyobrażaliśmy sobie śluzy pełne łodzi obładowanych najróżniejszymi towarami, oczekującymi na

wpłynięcie. Szerokość śluz świadczyła, że kraj ten prosperował kiedyś tak świetnie, jak mówiła wizja

Cassiniego.

Janosz kazał Maenenowi wysłać zwiadowców, a ci po powrocie poinformowali nas o kolejnych śladach

cywilizacji. Dalej w górę rzeki jeden z nich znalazł krętą ścieżkę. Domyśliłem się, że mógł to być szlak do

holowania, żeby łodzie płynące pod prąd nie musiały liczyć wyłącznie na siłę mięśni wioślarzy, wiatr czy też

zakłęcia wzmagające energię, konieczne do poruszania obciążonych statków. Zaledwie kilka stóp dalej,

okryty pnącą winoroślą, wznosił się budynek o grubych, kamiennych ścianach i wąskich oknach. Ogromne

bele podtrzymujące dach były wciąż na swoim miejscu, choć wyraźnie poczerniały od upływu lat. Przed

budynkiem znajdowała się mniejsza, okrągła konstrukcja.

Teraz przyszła kolej na Janosza.

- Kordegarda - powiedział. - W tym niewielkim domku mieszkali celnicy oraz strażnicy. Możemy się w nim

schronić. Płótno okrywające nasze toboły rozciągniemy na starych belkach stropowych. Posłuży nam za

sufit. - Rozkazał postój na noc, mimo że do zmierzchu pozostało jeszcze sporo czasu, i wybrał dwóch Nabrzeźnych Ludzi, którzy twierdzili, że doskonale znają się na sieciach, truciznach i rybnych zakłęciach,

aby złapali coś świeżego na kolację.

Stał pośrodku całego zamieszania, zatopiony w myślach. Poczulem wówczas bardzo wyraźnie - i to uczucie

towarzyszy mi do tej pory, - że z tymi ruinami wiąże się smutna i przerażająca historia. Był tu kiedyś człowiek, a potem zniknął: wiedziony własnym wyborem, czy też uciekając przed niebezpieczeństwem?

Któż to wie?

Po chwili przyszła mi do głowy kolejna, jeszcze bardziej osobliwa myśl. Podzieliłem się z nią po cichu z

Janoszem.

- Jak myślisz, którego kierunku strzegli ci żołnierze? Czy nieprzyjaciele znajdowali się przed nami, na

wschodzie? Czy też strażnicy mieli przestrzegać przed niebezpieczeństwem z tyłu? - Janosz wzruszył ramionami nie siląc się na żadne domysły.

86

□ Doleciał nas bolesny okrzyk, a następnie rozgniewane głosy i nagły brzęk miecza o tarczę. Pobiegliśmy

do ruin. zobaczyliśmy rozrzucony ogień, odwrócony do góry dnem kocioł i dwóch żołnierzy z przygotowanymi do walki mieczami. Janosz krzyknął głośno, lecz nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi i krążyli dookoła świdrując się nienawistnym wzrokiem, gotując się do ataku. Ręka Janosza mignęła w niewiarygodnie szybkim ruchu, który zapamiętałem, od kiedy po raz pierwszy widziałem go

przed tawerną w Orissie, a jedno uderzenie klingi podbiło do góry ostrza skrzyżowanych mieczy.

Oprzytomniawszy zaczęli opowiadać coś bez ładu i składu: - ...łajdak przewrócił... roześmiał się...

niezdarna małpa

- Dość! - ryknął Janosz. - Odrzućcie miecze! Natychmiast! - Stał zabrzęczała o kamienie. - Podnosić rękę na

brata! Jak śmieliście? Wiecie, jaka grozi za to kara. Wygnanie, jeśli żadnemu nie stanie się krzywda: śmierć,

jeśli któryś dozna obrażeń! To jest...

Przerwał mu spokojny głos.

- To jest magia, kapitanie. - Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy Cassiniego.

- Jesteśmy przekłęci - powiedział szorstkim tonem nie zwracając uwagi na reakcję, jaką wywołało to stwierdzenie. - Różne drobne klątwy - ciągnął - nękają nas od kilku dni. Kichanie... te roztocza pojawiające

się w najmniej odpowiednich momentach... wszyscy zbyt szybko wpadaliśmy w złość, nawet bez prowokacji.

- Kto rzucił klątwę? - mruknął jakiś tarczownik mimo gniewnego spojrzenia Maeena. - Ci piekielni

Nabrzeźni Ludzie? - Groźne oczy skierowały się na naszych niskich towarzyszy wyprawy.

- Myślę, że nie - stwierdził powoli Cassini. - Lecz trzeba dokonać kontr- zaklęcia. Teraz, jeszcze tej nocy.

Każda z tych klątw jest niewielka, dokładnie taka, jaką mag może rzucić z odległości i z łatwością ją podtrzymać bez utraty mocy.

- Mogą jednak zabijać - rzekł cicho Janosz. - Lione, gdyby to pierwsze cięcie mieczem sięgnęło celu, moglibyśmy teraz wypowiadać modły do Cherfas.

Nadeszła moja kolej. Połechtano to moją dumę, ponieważ rozkazy poszły gładko.

- Ładnie powiedziane, magu. Jeszcze raz przekonaliśmy się, jakie to szczęście, że postanowiłeś towarzyszyć

nam w wyprawie i być tarczą ochraniającą nas przed złem. - Oczywiście, nie był to szczery komplement,

lecz zdawałem sobie sprawę, że ludzie musieli mieć pełne zaufanie do Cassiniego, żeby ceremonia przeszła

gładko. - Kapitanie Szary Płaszczu - ciągnąłem dalej oficjalnym tonem. - Wyślij jakiegoś człowieka... dwóch

ludzi... nad rzekę i każ im sprowadzić naszych rybaków. Nie będziemy ryzykować, by ktokolwiek znajdował

się dzisiejszej nocy poza obozowiskiem. Co więcej, każ rozstawić strażę. Magu Cassini, wszystko co mamy

należy do ciebie, jeśli morze ci się przydę w rzuceniu zaklęcia.

Cassini urósł z dumy pod wpływem mych słów i tak długo nic nie robił, że zacząłem tracić cierpliwość.

Potem jednak zabrał się za przygotowania, wydając ludziom krótkie rozkazy. Nieco później, po zapadnięciu

zmroku byliśmy świadkami zaskakująco prostej ceremonii. Cassini kazał dwóm tarczownikom przynieść

znad brzegu rzeki pelerynę pełną gliny. Ustawił nas w szeregu, po czym każdy z nas musiał wziąć garść

gliny i uformować ją w jakąś postać, podczas gdy Cassini modlił się w nieznanym języku. Następnie kazał

nam odciąć po kawałku z ubrania i wlepić te strzępy w figurki. Ostrzegł, że nie możemy używać śliny,

paznokci czy czegokolwiek innego, co pochodziło z naszego ciała. Poprowadził nas w zarośla, gdzie

przygotował wcześniej niewielki stos z zielonych gałązek. Naszkicował okrąg dookoła ogniska i kazał

położyć figurki wewnątrz koła, a my stojąc utworzyliśmy drugie koło. Mieliśmy koncentrować całą swoją

uwagę na naszych glinianych figurkach, starając się nie myśleć o niczym innym tylko o nich i o tym, że

wyglądają dokładnie tak jak my. Paru żołnierzy pokusiłoby się pewnie o żarty na temat mało artystycznego

wyglądu ich rzeźb, ale wszyscy byliśmy zdjęci trwogą przed zaklęciami i magią. Kiedy Cassini rozpałił

ognisko i zaczął wypowiadać słowa modlitwy, wydawało mi się, że czuję, jak moce nocy oplatają się wokół

nas.

Dym się wznosi,

Dym się wspina,

Dławi oczy,

Dławi umysły ...

87

Ostrzegł nas, abyśmy nie przerywali skupienia, aż klaśnie w dłonie trzykrotnie. Wtedy to, jak nam powiedział, mieliśmy odwrócić się tyłem do naszych figurek i do ognia. Nie oglądając się za siebie ruszyliśmy w kierunku obozowiska. Słyszałem, jak Cassini kontynuuje modlitwę.

Teraz śpimy,

Teraz zostajemy.

Teraz szukacie,

Teraz znajdujecie.

Okrąg zatrzyma,

Okrąg sięgnie,

Okrąg zgromadzi,

Okrąg zatrzyma...

Godzinę później dołączył do nas i zakomunikował, że teraz powinniśmy się najeść i udać na spoczynek. Nic

się nie stanie, gdy ktoś będzie musiał wyjść za potrzebą w krzaki, lecz nikt, pod żadnym pozorem nie może

podejść do wygasłego ogniska. Musieliśmy uważać, by nie czynić najmniejszego hałasu, lecz również

spróbować się odprężyć i niczym nie martwić. Zaklęcie odwrotne zostało rzucone i wszelkie uciążliwe

klątwy powinny teraz przejść na ulepione przez nas figurki.

Wojownicy i Nabrzeżni Ludzie odczuli wyraźną ulgę. Pokładali teraz całą ufność w Cassinim i jego czarach, wierząc, że położył on kres wszystkim kłopotom. Wziąłem Cassiniego na stronę, a po chwili dołączył do nas Janosz. Obiecałem magowi dar za przeprowadzone tej nocy obrzędy, oczywiście po powrocie do Orissy. Zapytałem go, czy rzeczywiście klątwy spadły na stojące przy ognisku figurki.

Powiedział, że jest najzupełniej pewny - skoro żadna klątwa nie została rzucona w celu zabicia, żadna też

nie wymagała specjalnie wyszukanego zaklęcia odwrotnego. Uważał, że lepiej zwrócić klątwy w innym

kierunku i pozwolić im trwać niż przerwać je całkowicie.

- Mam nadzieję, że dzięki temu nasi wrogowie będą się radować, święcie przekonani, że wciąż nękają nas

ich zaklęcia.

- Nasi wrogowie? - zapytał Janosz. - Jacy?

Cassini sprawiał wrażenie niezbyt pewnego siebie.

- Z początku sądziłem, że te czary pochodzą z Likant, jak wiemy, siedliska naszych wrogów, począwszy od

klanu Symeona, a skończywszy na... na innych. W istocie wyczuwałem pewne wibracje z tego kierunku.

Czułem jednak również coś innego. Coś... żaden z was nie jest magiem, więc nie mogę używać określeń

zastrzeżonych dla naszej profesji... coś w rodzaju ogromnej fali... może powodzi nadchodzącej ze wschodu.

Zdumieliśmy się.

- Ale... nikt z nas jeszcze tam nie był - powiedziałem. - Z wyjątkiem może któregoś z tych Nabrzeżnych

Ludzi.

- Rzeczywiście zdaje się to być pozbawione sensu - zgodził się Cassini - jednak jeszcze bardziej

dezorientuje fakt, że... ta fala, a może czyjaś obecność... nie wyczuwałem, by była zła. Przynajmniej nie

czułem bezpośredniego zagrożenia. To było... - zabrakło mu słów - ...jakby ponad nami unosiła się jakaś

wielka, niewidzialna siła, siła, która... która... ech, nie potrafię znaleźć odpowiednich słów - poddał się. -

Pomyślcie o wielkiej rybie w jeziorze, która wie, że w pobliżu pływają małe okonie. Nie jest teraz

głodna, lecz widzi te ryby. I za godzinę albo za tydzień, kiedy zgłodnieje dostatecznie, może przyjrzeć im się

dokładniej. - Cassini pokręcił głową. - To najlepsze porównanie, jakie w tej chwili przychodzi mi do głowy.

Postanowiliśmy wzmocnić straż tej nocy, mniej obawiając się intruzów, a bardziej tego, że któryś z naszych ludzi wiedziony ciekawością pójdzie przyjrzeć się miejscu, gdzie Cassini rzucał zaklęcie, i wszystko zepsuje. Janosz, Cassini, setnik Maeen i ja zdecydowaliśmy sami pełnić straż. Cassini objął pierwszą wartę. Janosz wyznał mi później, że na początek wybrał maga, bo nikt jeszcze nie spał, więc trzeba

się było martwić o czujność czarodzieja. Następnie miała przyjść kolej na Maeena, dalej na mnie, a Janosz

miał objąć ostatnią wartę podczas najbardziej niebezpiecznej pory, tuż przed świtem.

Spałem smacznie, dopóki Maeen, klepiąc mnie po ramieniu, nie zbudził mnie na wartę. Wziąłem broń i

ustawiłem się tuż za drzwiami strażnicy, gdzie mogłem sobie spoglądać na rozgwieżdżoną noc nie będąc

jednocześnie przez nikogo zauważonym. Od czasu do czasu oddalałem się od budynku i kręciłem po terenie,

88

żeby sprawdzić, czy nikt się do nas nie zakrada. Dookoła panował niezmacony spokój, a szum płynącej

nieopodal rzeki działał kojąco. Zdrowy sen znacznie mnie pokrzepił, a obrządek wykonany przez

Cassiniego

zdział mi ciężar z serca. Uświadomiłem sobie, że te skromne czary podziałały na mnie równie mocno jak na

pozostałych. Odwróciłem się i spojrzałem na przełęcz, leżącą ćwierć mili za nami. Nagle mój wzrok przykuł

powien szczegół krajobrazu, była to skalista forma na wierzchołku wzgórza. Na moich oczach skała poruszyła się, przeobrażając w dwóch ludzi. Dwóch mężczyzn na koniach.

Dzieliła mnie od nich zbyt duża odległość, abym mógł ich widzieć dokładnie, lecz przysięgam, że zauważyłem na obydwóch lśniące pancerze, co wydawało się dość dziwne jak na tę ubogą krainę, oraz

hełmy ozdobione imponującymi pióropuszcami. Przypomniałem sobie opis Janosza, kiedy siedzieliśmy sobie

w słoneczne popołudnie pod drzewami orissańskiej winiarni: „Mieli na sobie zbroję, w każdym razie

dostrzegłem błysk pancerzy i włócznie, a na głowach wysokie hełmy. Światło księżyca odbite od blachy

pozwoiliło mi dostrzec, że rumaki również okuto w pancerze. Gdybym prowadził podjazd na nieprzyjazne

terytorium, zająłbym dokładnie taką samą pozycję - nad parowem, tak by uniknąć ewentualnej zasadzki i

uchronić główne siły...”

Chciałem zacząć krzyczeć na alarm, lecz powstrzymałem się. Dzień zakończył się zakłęciami i wszyscy

udzielił byli lekko przerażeni. Słyszałem opowieści starych wojowników, kompanów mego ojca, o młodych

strażnikach, którzy zaklinali się, że jakiś pobliski krzak przeobraził się niespodziewanie w atakującego

wroga, a wraz z przybyciem dowódcy straży znów zamienił w krzak. Po chwili widziałem już tylko szczyt

wzgórza; jeźdźcy zniknęli. Najwidoczniej uległem jakiejś silnej iluzji. Mimo to, kiedy zbudziłem

Janosza na

ostatnią wartę, zaczekałem, aż w pełni oprzytomnieje i opowiedziałem mu o mirażu.

Janosz zaczął skubać w zadumie kosmyki brody.

- A więc - odezwał się po namyśle - wielka ryba Cassiniego może naprawdę istnieje. Po wschodzie słońca

powinniśmy wybrać się na ten wierzchołek. W najlepszym razie znajdziemy końskie odchody i ślady kopyt,

co będzie dowodem na to, że ktoś obserwuje naszą wyprawę na tej ziemi. Jeśli jednak nie znajdziemy tych

znaków... no cóż, albo to wszystko sobie wyobraziłeś, albo... - Janosz chrząknął. - Myślę, że nie powinniśmy

nic mówić ani robić, przyjacielu. Jeśli na szczycie tej skarpy pojawili się Strażnicy... czy możemy mieć

choćby pewność, że są świadomi naszej obecności? Założmy, że tak. Czy koniecznie muszą być do nas

wrogo nastawieni? Nikt w Kostromie nigdy się nie skarżył, że ci upiorni Strażnicy wyrządzili komukolwiek

fizyczną krzywdę. A jeśli nawet zdają sobie sprawę z naszej obecności, dzięki potężnym siłom magicznym

swych przywódców, czyż koniecznie muszą mieć względem nas złe zamiary? W końcu nienagannie

odprawiliśmy ostatnie obrzędy dla jednego z ich towarzyszy. Każdy żołnierz, bez względu na rasę i

przekonania... nawet taki, który nie został zrodzony z kobiecego łona... musi doceniać podobne honory.

Mimo że zabraliśmy talizman.

Uśmiechnąłem się słysząc te słowa.

- Janoszu, przyjacielu, zaczynasz mówić jak półgłówek rozstrząsający szanse powodzenia przy grze w

kamienie. Skoro niedawno miałem jeden kamień w garści, czy powinienem teraz mieć tyle samo? I czy mam

twierdzić, że mam jeden, dwa, czy że nie mam żadnego? Może powinienem rzucić tak jak przedtem, lecz

mój przyjaciel domyśli się, że to zrobiłem, i trzy rzuty temu też, bo taki był mój plan... więc tym razem

powiniennem... - zakończyłem, bo Janosz nie mógł powstrzymać chichotu.

- Dziękuję ci. Chyba rzeczywiście zaplątałem się podobnie, jak uczeni, którzy zastanawiają się, czy zwierciadło stanowi odbicie rzeczywistości, czy też samą rzeczywistość. Niebawem okaże się, czy Strażnicy

mają dobre czy też złe zamiary. Może zresztą się przekonamy, że obchodzimy ich tak niewiele, jak najedzoną wielką rybę małe rybki.

- Czy nie powinniśmy powiadomić o tym Cassiniego?

- Proponuję, żeby chwilowo się wstrzymać. Zaczekajmy na rozwój sytuacji. - Pomyślałem, że Janosz Szary

Płaszcz bardziej martwił się tą sprawą niż to po sobie okazywał; lecz, ostatecznie, to właśnie on widział tych

tajemniczych jeźdźców dawno temu, jako mały dzieciak.

Dwie noce później, nieco dalej w górę rzeki, tam gdzie rozlewała się płytko wcinając się we wzgórze,

Strażnicy pojawili się ponownie. Tym razem widziało ich trzech ludzi - setnik Maeen, jeden z tarczowników

oraz któryś z naszych przewodników. Tak jak poprzednio, nie uczynili nic, tylko zawrócili konie i zniknęli.

Cassini nalegał, żeby rzucić zaklęcie pytające, które pozwoliłoby dowiedzieć się, kim są Strażnicy i czy ich

obecność wróży dla nas dobrze, czy też źle.

89

- Rzucić zaklęcie w ich kierunku - mruknął Janosz. - Cóż to za pomysł! Jeśli do tej pory nie byli świadomi

naszej obecności, teraz na pewno będą.

Zakłęcie Cassiniego nie przyniosło żadnych skutków. Strażnicy mogli stanowić jedynie jakiś niezwykły

rodzaj mirażu. Janosz miał co do tego własną opinię. Uważał, że mogli mieć przy sobie broń, której nie

zauważyliśmy. Cassini odniósł się do tej uwagi z typową dla siebie arogancją. Następnego dnia znalazł

najwyższe wzniesienie w okolicy i zaniósłszy na sam jego wierzchołek płonąca pochodnię, „przyłączył” tę

ziemię do Orissy. Nie znaczy to, że w ten sposób zagwarantował fizyczne prawo do tej ziemi sobie czy

naszemu miastu, jako że nawet w tamtych czasach żaden z nas, nawet mag, nie zdobyłby się na podobne

zuchwalstwo. Obrządek, który składał się z modlitw, a następnie zasadzenia nasion przywiezionych z

naszego miasta, miał na celu powiadomić wszelkie widzialne i niewidzialne istoty o istnieniu Orissy i jego

mieszkańców. Podczas ceremonii Cassini zwrócił się z prośbą, która według mnie brzmiała bardziej jak

żądanie, żeby wszelkie istoty z tej krainy miały prawo do szacunku, honoru i ochrony w imię magicznych

praw Orissy. Nasza grupa zaś „prosiła” o taką samą sprawiedliwość i zrozumienie.

Nigdy nie przekonam się do podobnych ceremonii i niezmiernie się cieszę, że udało mi się usunąć je z

podróży Orissan do innych krajów. A już na pewno nie było to potrzebne na tamtej ziemi, która obfitowała

w magiczne fluidy, nieznanne ludy i obyczaje, a przede wszystkim tych upiornych Strażników. Ani ja, ani

Janosz nie mieliśmy w tej kwestii nic do powiedzenia. Gdybym zabronił Cassiniemu odprawiania ceremonii,

tam czy gdziekolwiek indziej, niewątpliwie po powrocie powiadomiłby o tym Radę Magów. Magowie

nadali temu zakazowi najbardziej zdradziecką interpretację, wmawiając wszystkim, że wydałem go

kierowany jedynie żądzą zysku. Postanowiłem o tym nie myśleć.

Pomimo przeprowadzonego skutecznie obrządku rzucenia kontr- zaklęcia próżność Cassiniego irytowała

wszystkich uczestników wyprawy. Wydawało się, że uważa się on za przywódcę ekspedycji a na nas, że

cięży obowiązek zabezpieczenia magowi sutych posiłków, wygodnych strojów i bezpieczeństwa. Złapałem

się na tym jedynie, że w miarę jak wzrastało zmęczenie trudami podróży, coraz częściej myślałem, jak to

dobrze byłoby zrezygnować z rzekomych korzyści, jakie przynosiła obecność maga na moim Odkryciu... i

jak bardzo bym się cieszył, gdyby coś niespodziewanego przytrafiło się Cassiniemu.

Rzeka rozlewała się coraz większymi płyciznami, aż wreszcie przeobraziła się w szerokie jeziorka,

przechodzące w bagniska. Pewnego dnia stanęliśmy nad brzegiem malowniczego stawu, z którego było

źródełko.

- Po raz pierwszy w życiu przemierzyłem całą długość rzeki, od ujścia aż do jej początku - zauważył Janosz.

- Czy ten fakt, o wielki magu, uprawnia mnie do jakiegoś szczególnego błogosławieństwa? - Cassini

uśmiechnął się kwaśno, lecz nic nie odpowiedział. Żaden z członków wyprawy nie utrzymywał zbyt

stosunków z Cassinim, ale między magiem a Janoszem panowała otwarta wrogość. Na szczęście ani jeden,

ani drugi nie okazał się na tyle nierozsądny, by doprowadzać do otwartej konfrontacji na tej obcej

wszystkim ziemi, lecz obawiałem się, że dojdzie do niej, jak tylko przekroczymy granice naszego kraju.

Tamtej nocy rozbiliśmy obóz przy źródełku. Przez jakiś czas dyskutowaliśmy z Janoszem na temat

przebiegu podróży, jako że mapa Strażnika pokazywała niewiele szczegółów obszaru, który jawił się

przed

naszymi oczami jako nie kończące się pustkowie. Wykorzystaliśmy dwa charakterystyczne miejsca, które

zostawiliśmy już poza sobą, a które również widniały na mapie Strażnika, i naustawiliśmy kompas w kierunku, który poprowadzi nas bezpośrednio do kolejnego charakterystycznego punktu. Odkryłem w sobie

ukryty talent: rozumiałem mapy i lubiłem je rysować. Do tej pory bez trudu radziłem sobie z utrzymaniem

obranego szlaku i nawet gdybyśmy musieli zawrócić, byłem pewny, że łatwo trafimy w to samo miejsce bez

powtarzania poprzednich błędów, które niekiedy wiodły nas na moczary czy do wąwozów bez wyjścia.

Po południowym posiłku podszedł do mnie człowiek odpowiedzialny za naszych przewodników-tragarzy.

Oznajmił, że dotarliśmy właśnie do miejsca, do którego, zgodnie z umową, zgodzili się towarzyszyć nam

Nabrzeźni Ludzie, i że jutro o brzasku zawrócą wraz ze swymi zwierzakami w kierunku wybrzeża. O mało

nie straciłem panowania nad sobą, ale na szczęście w porę się pohamowałem. Odpowiedziałem, że on i jego

bracia zgodzili się, zgodnie z umową, towarzyszyć nam podczas całej podróży, która tak naprawdę dopiero

się rozpoczęła. Odparł, że to nieprawda. Zgodzili się podróżować z nami na koniec świata, a to źródło, to

miejsce, gdzie rzeka się zatrzymała, stanowi właśnie koniec końców. Zapytałem go więc, wskazując na

rozpościerające się aż po horyzont pustkowie, co znajduje się za tym źródłem? Albo za tym gajem

porastającym podnóże najbliższego wzniesienia? Człowiek wzruszył ramionami: odpowiedź wydawała mu

się oczywista. Wy tłumaczył mi, że to musi być jakiś inny świat, bo wszystkim wiadomo, że ten nasz kończy

się na tym źródle. Tamten świat należy niewątpliwie do jakiegoś innego plemienia. Dodał z uśmiechem, że

to plemię z pewnością przychylnie ustosunkuje się do takich dobrych ludzi jak my. zaproponował, żeby od

tych nowych przyjaciół wynająć juczne zwierzęta.

Wyniknął spór, podczas którego szybko wycofałem się z argumentów moralnych przenosząc główny nacisk

na korzyści. Powiedziałem, że istotnie, zaszło pewne nieporozumienie, z mojej czy też z ich winy -

nieważne. Teraz jednak daję im nie tylko szansę sławy pośród rodaków, chwały, która również mnie będzie

towarzyszyć do mej ziemi rodzinnej, lecz proponuję bogactwa. Już wcześniej obiecałem im złoto, a teraz

podwoiłem jego ilość. Powiedziałem, że kiedy wrócą na Wybrzeże Pieprzowe, będą mogli sobie wybrać co

tylko zechcą z naszej broni i ubrań, oprócz, rzecz jasna, naszych osobistych strojów. Wzbudziłem w nim

zainteresowanie, lecz mimo to stwierdził, że będzie to niezwykle trudne do zrealizowania. Bardzo, bardzo

trudne. Zwiększyłem ofertę: każemy L'urowi i jego wprawnym żeglarzom zbudować dla nich nowe,

wspaniałe chaty. Co więcej, jeśli ze szybko powrócę z Orissy, aby rozpocząć z nimi handel, zostaną

nagrodzeni kosztownymi podarunkami. Wciąż potrząsał przecząco głową: bardzo, bardzo trudne.

Przyprawy, które poprawią znacznie smak łowionych przez nich ryb... Hę? Błysk zainteresowania, po czym:

wybaczcie, panie, ale to bardzo, bardzo trudne. Otworzyłem skrzynię ze złotem i wręczyłem każdemu z nich

po dwie sztuki na potwierdzenie moich szczerych intencji: jesteśmy niezmiernie wdzięczni, ale... muszę to

przemyśleć... Może... gdybyśmy poszli dalej... ale nie, to byłoby bardzo, bardzo trudne. Nowe sieci, a nawet

łodzi rybackie - ładnie z mojej strony, ale wciąż jest to bardzo, bardzo trudne. Wyobraźcie sobie, jakie

stroje otrzymają wasze żony, konkubiny, córki; najdelikatniejsze jedwabie i najwspanialsze kolory. He?

Skończyłem dobrze po północy. Przewodnik, do którego w trakcie sporu dołączyli wszyscy Nabrzeżni

Ludzie biorący udział w mojej wyprawie, siedział i rozmyślał głęboko, a w końcu rzekł: - Obdarowałeś

mnie... obdarowałeś nas bardzo hojnie. Czarny Rekin mądrze określił cię mianem niezwykle cennego przyjaciela.

- A zatem będziecie nam dalej towarzyszyć?

- Podróż... będzie bardzo, bardzo trudna. - Uśmiechnął się i poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu, czym dał

wyraz szacunku, traktując mnie jako równego sobie. - Czym byłoby jednak życie bez bardzo, bardzo trudnych ...

Śmiertelnie wyczerpany poszedłem spać, zerknąwszy przelotnie na dogasający żar w ognisku. Czułem

wielką radość i satysfakcję. Bardzo możliwe, że syn Paphosa Karimy Antero odziedziczył po nim zdolność

do negocjacji. Zasnąłem przepełniony dumą, lecz gdy się zbudziłem, poczułem się jak ostatni głupiec.

Jeszcze przed świtem Nabrzeżni Ludzie zniknęli. Ich ślady prowadziły na zachód, w kierunku wybrzeża i

rodzinnej ziemi. Z początku ogarnął mnie gniew. Przecież się zgodzili, prawda? Janosz próbował za wszelką

cenę powstrzymać się od śmiechu i jednocześnie tłumaczył mi, że pewne ludy nie potrafią mówić „nie” i

zawsze starają się jakoś to stwierdzenie omijać.

- Na przykład mówiąc „bardzo, bardzo trudne” - rzuciłem gorzko.

- Dokładnie tak. W ten sposób uniknęli stanowczej odmowy nie przysparzając sobie wrogów -

odparł

Janosz.

To tyle na temat moich zdolności negocjacyjnych, pomyślałem sobie i pożałowałem złota, które wraz z nimi

bezpowrotnie nas opuściło.

- Prawdę mówiąc - powiedział Janosz - postąpiłeś prawidłowo. Pewnie tego nie zauważyłeś, lecz pozostawili osły wraz z uprzężą. Być może zrobili to z powodu złota, które od ciebie dostali. A może sprawił to twój, hm, hm, dyplomatyczny język.

Nie mogliśmy tracić więcej czasu przez moje poczucie winy. Z wielkim trudem przytroczyliśmy juki do

osłich grzbietów. Nabrzeżni Ludzie robili to tak sprawnie, że wydawało się to niezwykle prostą czynnością,

lecz nam, niewprawnym, zajęło prawie pół dnia. Ruszyliśmy ucząc się po drodze roli poganiaczy osłów. Po

pewnym czasie przyjął się nowy zwyczaj: znajdujący się w pobliżu mnie członkowie wyprawy przybierali

poważną minę i mówili do swego kompana: „Wszystko jest bardzo, bardzo trudne.” Za każdym razem

udawałem, że nie słyszę.

Gdy tak posuwaliśmy się na przód, okolica stawała się coraz bardziej sucha; pośród pofalowanych łąk coraz

rzadziej spotykaliśmy drzewa wokół coraz bardziej zabagnionych źródeł czy strumyczków. Te niewielkie

zaganiki prowadziły nas bezbłędnie do wody, lecz z czasem napotykalismy coraz więcej drzew ciernistych,

których długie korzenie czerpały wilgoć z dużej głębokości. Nie stawiało nas to jednak w niebezpiecznej

sytuacji a zawdzięczaliśmy to głównie doświadczeniu Janosza. Nauczył nas podążać za antylopami i wbijać

pale w zagłębienia, jakie wygrzebywały o świcie, co gwarantowało szybkie, nieskomplikowane zabicie

zwierzęcia. Zjadaliśmy je, a z ich żołądków robiliśmy bukłaki na wodę: co prawda skóra była zielona i

cuchnęła, lecz nie przepuszczała wilgoci. Cierpliwe osły protestowały rycząc jak oszalałe, lecz w końcu

przyjmowały dodatkowe obciążenie. Podeszwy naszych butów stawały się coraz cieńsze, więc Janosz

stwierdził, że nadszedł czas, abyśmy nauczyli się chodzić jak bogowie, czyli boso. Przekonywał nas, że

musimy oszczędzać podeszwy na gorsze podłoże. Cassini tak okropnie jęczał i narzekał z tego powodu, że

łatwiej nam było co dwa, trzy dni robić dla niego nowe podeszwy z zielonej skóry niż zmuszać go do

wędrówki na bosaka. W trakcie podróży codziennie uczyliśmy się czegoś nowego: polowania na dziką

zwierzynę, za pomocą włóczni albo, chwytania jej w sieci; zastąpienia grotów strzał ręcznie rzeźbionymi,

tępyimi zakończeniami z drewna. Takie strzały służyły nam do polowania na opasłe ptaki nieloty: końcówka

otępiała ptaka na czas wystarczająco długi, aby myśliwy podbiegł do niego i skrzył mu szyję, a strzała nie

przepadła gdzieś w zaroślach. Nauczyliśmy się, że lepiej się wystrzegać jedzenia nieznanych owoców czy

jagód, jeśli ich sok przypomina konsystencją mleko, oraz że czerwone jagody i owoce mogą okazać się

niebezpieczne. Chcesz się dowiedzieć, czy jakaś roślina czy owoc są jadalne? Przetnij je i wetrzyj sobie w

skórę na rękę; jeśli wyskoczą bąble, nie jedz pod żadnym pozorem. Odkryliśmy także, że niektóre wysokie

drzewa mają rezerwy wodne w swym wnętrzu - pozostałości po porze deszczowej.

Jeśli to, co właśnie opisałem, sugeruje, że moje Odkrycie zamieniło się nagle w ponurą walkę o przetrwanie, to chciałbym sprostować, że nie takie było moje zamierzenie. Mimo trudności, najadaliśmy się

do syta, wystarczało nam wody, a zdrowie dopisywało, choć nie wyglądaliśmy zbyt schludnie.

Posuwaliśmy się wytrwale do przodu, czując nieustanne działanie promieni słonecznych i cichą obecność

suchego wiatru. Otaczający nas świat mienił się różnymi odcieniami brązu, od czasu do czasu przerywanymi

plamkami zieleni. Zdawało się, że przed nami nie ma nic oprócz niezmierzonej prerii, która, choć sobie z

tego nie zdawałem sprawy, powoli zamieniała się w pustynię. Poza antylopami napotykaliliśmy też inne

zwierzęta, na przykład stada dzikich stworzeń przypominających z wyglądu psy, polujące sfory wilków -

które najczęściej wlokły się za nami, póki nie doszły do wniosku, że nie ma wśród nas żadnych łatwych do

zaatakowania maruderów - oraz kilka gatunków dużych kotów. Często widzieliśmy te ostatnie kręcące się w

pobliżu, podczas gdy ich małe wyłaziły z toreb matek, żeby podokazywać. Koty nie stanowiły dla nas

żadnego zagrożenia, bo staraliśmy się nie zbliżać do ich kryjówek. Pewnego razu o świcie, na szczycie

stromej turni ujrzelśmy wielkiego lwa z czarną grzywą. Niespodziewanie tuż obok niego pojawiło się

dwóch Strażników na koniach. Zdawało się, że lew zupełnie nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. Jeden

ze Strażników wyciągnął rękę w pancерnej rękawicy i pogłaskał kota po ogromnym łbie, a jego zbroja

załśniła w promieniach wstającego słońca. Lew wyprężył się niczym oswojony zwierzak... i Strażnicy

zniknęli.

W końcu pewnego gorącego, letniego dnia miły sen się skończył. Znaleźliśmy się na bezkresnej pustyni;

teren wznosił się i opadał, siany strzelającymi wysoko w niebo skałami i piaszczystymi wydiami. Liczne

wąwozy były zarośnięte suchymi krzakami. Mimo że mieliśmy kilka kompasów, a czytanie i kreślenie mapy

wciąż dawało mi wiele satysfakcji, zaczęło brakować nam charakterystycznych punktów terenu i pewności,

że zmierzamy w dobrym kierunku. Janosz powiedział, że nie można nic na to poradzić i pozostaje nam tylko

podążać dalej tak jak do tej pory. Kiedy dojdziemy do kolejnego wyznacznika widniejącego na talizmanie -

pasma górskiego, które zdawało się leżeć w dużej odległości - będziemy w stanie określić dokładniej nasze

położenie. Dodał, że nie wolno nam ani na chwilę zwątpić w kompas ani w zdrowy rozsądek, w

przeciwnym razie zaczniemy zataczać coraz ciaśniejsze kręgi na pustyni, obracając się w kółko wokół

własnych tyłków. Ślady karawany uświadomiły nam, ku naszej wielkiej uldze, że nie jesteśmy pierwszymi

ludźmi, którzy przemierzają te niegościnnie obszary. Podążyliśmy za nimi, co jeszcze bardziej utrudniło

utrzymanie kierunku wskazywanego przez kompas, lecz nie mieliśmy wyboru. Ślady karawany wiodły

najłatwiejszym szlakiem i prowadziły od dziur wodnych do samotnych studni czy wreszcie zielonych oaz.

Wkrótce zobaczyliśmy karawanę - rząd jeźdźców daleko na horyzoncie. Koczownicy, domyślił się Janosz.

Sprawiali wrażenie, że nas nie widzą, choć w głębi ducha wszyscy w to wątpiliśmy. Kiedy pół dnia później

przecieliśmy ich szlak przypuszczenia Janosza okazały się słuszne, ponieważ napotkaliśmy nie tylko

odchody końskie, lecz również kozie. Janosz stwierdził, że wątpi, by Strażnicy podróżowali takimi grupami

ciągnąc za sobą stada kóz.

- Szkoda - powiedziałem - że te ludy nie są spokrewnione z plemieniem Ifora, moglibyśmy bowiem odnowić stare przyjaźnie. Tamta kobieta, Tepon... to było takie miłe. Mimo że miała spiłowane zęby.

92

Janosz wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

- Kiedy zasiądziesz do pisania wspomnień, Almaryku, mój drogi przyjacielu, i będziesz opisywał ten etap

podróży jako karkołomny i niebezpieczny, nie powinieneś wspominać tego ostatniego zdania. Ciężko umierać z pragnienia i jednocześnie mieć umysł zaprzątnięty potrzebami krocza. Co do Ifora, muszę ci

powiedzieć, że kiedy pierwszy raz się z nimi zaznajomiłem, miałem ze sobą podjazd złożony z pięćdziesięciu likontyjskich konnych, a ich było około dwudziestu. Zauważyłem pewną wspólną cechę

charakterystyczną dla wszystkich ludów pustynnych: w najlepszym razie są chimeryczni i niesforni a jeśli

myślą, że posiadasz coś cennego, stają się zdolni do zdumiewającego wprost okrucieństwa.

- A więc miejmy nadzieję, że nas nie widzieli - podsumowałem. Janosz skinął głową, podjechał do setnika

Maeena i kazał mu przekazać żołnierzom, by zachowywali wyjątkową czujność.

Następnego dnia z obu stron naszego pochodu dostrzegliśmy po dwóch jeźdźców. Z początku wydawało mi

się, że to znowu Strażnicy- widma, lecz nieznajomi jechali niestrudzenie, zachowując stałą odległość mili.

Cassini powiedział, że wyczuwa rzucane zaklęcia, które zdają się nie mieć nic wspólnego z wcześniejszymi

czarami. Janosz również przyznał, że czuje coś dziwnego. Spytałem, czy to dawne, tradycyjne klucie w

kciukach. Pokręcił głową. Coś zupełnie odmiennego - wydawało mu się, że ktoś spogląda mu przez ramię.

O świcie dostrzegliśmy za nami gromadę jeźdźców, a do tych z boku doszło kilku pieszych. Wciąż utrzymywali bezpieczną odległość. Staraliśmy się nie zmieniać tempa marszu, żeby nie tracić energii oraz nie zdradzać trwogi. Około południa liczba nieznajomych wzrosła do dwóch dziesiątek. Janosz zalecał podwójną ostrożność.

Atak rozpoczął się zupełnie niespodziewanie. Gdybym przypadkiem nie spojrział w tamtym kierunku, w ogóle bym go nie zauważył. Jakiś błyskawiczny ruch... i jeden z osłów zaczął się cofać rycząc przeraźliwie.

Z boku sterczały mu dwie strzały. Zdławiony okrzyk zakończony jękiem - i jeden z naszych ludzi wyłamał

się chwiejnym krokiem z szeregu, ugodzony trzecią strzałą, która utkwiała mu w udzie. Zostaliśmy zaatakowani, a najbliższy łucznik znajdował się w odległości pół mili od nas! Rozległy się gorączkowe

rozkazy... ja również krzychałem, żeby ludzie przypadli do ziemi i pod żadnym pozorem nie pozwolili uciec

osłom. Janosz i Maeen wrzeszczeli do tarczowników, żeby przywdziali natychmiast kolczugi... ranny człowiek jęczał głośno...

Nagle u mego boku pojawił się Cassini. Patrzył niedowierzająco na nadlatujące znikąd strzały.

- Do diabła - krzyknąłem. - Kontr- zakłęcie... i to szybko!

Cassini otwierał i zamykał usta, jakby był rybą leżącą na suchej plaży. Jego oczy... a najprawdopodobniej

również umysł... nie zdradzały oznak żadnej konstruktywnej aktywności.

Janosz usłyszał mój krzyk i zrozumiał natychmiast.

- Niepewność - wrzasnął. - Czarodziej stał się nagle niepewny!

Cassini popatrzył osłupiały, aż wreszcie chwycił sens słów mego przyjaciela. Wyjąkał jakąś formułkę

przypominając sobie stopniowo zaklęcie. Posypał się kolejny grad strzał wylatujących znikąd, lecz tym

razem wszystkie utkwily w piachu kilka kroków od nas. Naliczyliśmy ich sześć.

- Dobra nasza - zakrzyknął Janosz. - Jeszcze raz. Następne nie dolecą. - Nagle przyszło mu coś do głowy,

wyjął jedną ze strzał z piasku i podał ją magowi. - Mów zaklęcie: „Brat przemawia do brata.”

Zobaczyłem, jak ogorzała od słońca twarz Cassiniego robi się jeszcze bardziej czerwona.

- Jak możesz ...

- Zrób to, człowieku, albo wszyscy zginiemy!

Cassini ujął strzałę w obie ręce i przyłożył ją sobie do ust. Wyszeptał słowa, których nie mogłem zrozumieć, po czym przełamał strzałę na pół. Spodiewając się, co ujrzę, zerknąłem na pozostałe strzały...

wszystkie leżały przełamane.

- Dobrze - pochwalił Janosz. - Roześlij teraz to zaklęcie. Jak najszerzej.

Cassini posłuchał. Nie wiem, jaki miało skutek to zaklęcie, lecz strzały przestały latać. Janosz chciał to

skomentować, lecz powstrzymał się i wypowiedział zdanie, które można było potraktować niekoniecznie

jako rozkaz, lecz jako luźny pomysł człowieka, który niewiele zna się na magii:

- A teraz, Cassini, czy mógłbyś umieścić coś między nami a nimi? Zasłonę niewidzialności?

Cassini na tyle doszedł do siebie, że wycodził zaciśniętymi ustami:

- To wymagałoby zbyt dużej mocy i zbyt wyczerpałoby moje siły. Mogę zrobić coś łatwiejszego...
i

lepszego.

93

Podniósł garść piasku i pozwolił mu przelecieć przez palce, następnie wyprostował się, nieustannie coś

mamrocząc. Odwróciwszy się spojrzałem na koczowników i ujrzałem, jak między nami a nimi

powstają i

zaczynają wirować małe, sięgające do kolan piaskowe wiry. Cassini, ośmielony zapowiedzią powodzenia,

podbiegł do osła dźwigającego jego osobiste rzeczy i zaczął kompletować przybory niezbędne do rzucenia

zaklęcia. Tarczownicy zdążyli już przywdziać kolczugi i smażyli się teraz w bezlitosnych promieniach

słońca, lecz poczuli się lepiej zabezpieczeni przed ewentualnym atakiem. Przypomniałem sobie rannego i

podszedłem do niego, lecz okazało się, że jest za późno. Kiwnąłem do Janosza, który podszedł, spojrzał w

dół i pokiwał posępnie głową. Zauważył również, że jedno z naszych jucznych zwierząt zdechło, mimo że

jedna ze strzał tylko je drasnęła.

- Zaklęcie na strzałach - domyśliłem się.

- Chyba nie - zaprzeczył Janosz. - Prawdopodobnie groty zostały nasączone jakimś jadem. Pustynię zamieszkuje wielu łowców żmij i skorpionów. Nie ma potrzeby marnować magii, skoro natura sama dostarcza doskonałych trucizn, których skuteczność nie słabnie wraz z odległością.

Cassini wyjął jakieś proszki i mikstury, po czym nakreślił na piasku tajemnicze pentagramy i symbole.

Piaskowe wiry rozrosły się, sięgając piętnastu stóp wysokości.

- Dobrze - powiedział Janosz. - Burza piaskowa ustrzeże nas od kolejnych ataków. Ciężko będzie nam

jednak uciec, jeśli tamci będą się nadal trzymać blisko. Właściwie będzie to niemożliwe, bo jak się domyślam, ci ludzie wiedzą, dokąd zdążamy... A teraz muszę uleczyć dwie rany.

Odwrócił się do żołnierzy, którzy klęczeli lub leżeli w pozycjach obronnych.

- Doskonale - odezwał się. - Byliście szybcy. Myślę, że dokonałem słusznego wyboru.

Powiodłem wzrokiem po twarzach żołnierzy i ze zdumieniem przekonałem, że nie ma na nich śladu

przerażenia czy paniki, jakich spodziewałem się ujrzeć. Spoglądali gniewnie, zdradzając tylko lekkie zmartwienie. Najwyraźniej śmierć towarzysza, mimo że dokonała się w dużej mierze za sprawą magii, nie

zdziwiła ich zbyt. Być może właśnie to kryło się pod powiedzeniem „żołnierski los.”

- Na nogi - rozkazał Janosz. - Ruszamy, i to szybko. Setniku Maeen, wyznacz dwóch ludzi do każdego osła,

by nie uciekły w razie kolejnego ataku. Juki z zabitego osła trzeba rozdzielić między pozostałe zwierzęta.

Odmówimy modlitwę za naszego towarzysza, kiedy mag odprawi zaklęcie ochronne.

Cassini najwyraźniej skończył swoją pracę. Janosz podszedł do niego, kiedy ten wkładał z powrotem rzeczy

do juków.

- Przyjmij moje przeprosiny, magu - zaczął. - Nie zorientowałem się, że wtedy postępowałeś według pewnego obranego planu.

Cassini obdarzył go chłodnym spojrzeniem.

- Mówiłeś kiedyś, że interesujesz się magią - wysyczał. - To mi dopiero zainteresowanie, skoro znasz słowa

zaklęcia „brat- przemawia- do- brata”. Taka wiedza może wymagać szczegółowego wyjaśnienia przed Radą

w Orissie.

- Mogę to od razu wytłumaczyć - rzucił Janosz próbując nadać swoim słowom swobodne brzmienie. -

Przypomniałem sobie, że kiedyś, kiedy służyłem w Likancie, takie właśnie zaklęcie zostało rzucone przez

czarodzieja mojego regimentu, kiedy okupowaliśmy obce miasto i wpadliśmy w pułapkę zabójców czyhających na dachach domów.

Czekałem, by przekonać się jak, do jakiego stopnia głupcem był w istocie Cassini. Mag mierzył Janosza gniewnym spojrzeniem.

- Twoja pamięć - odgryzł się - działa nadzwyczaj szybko i efektywnie w chwilach zagrożenia.

- Tak też mi mówiono. Mógłbym ci pomóc w spakowaniu rzeczy? Musimy się spieszyć.

Po odprawieniu pośmiertnej ceremonii nad ciałem zmarłego tarczownika zapytałem Janosza, jakie są konkretnie nasze plany.

- Zakładając - odparł - że ta część drogi będzie podobna do poprzednich, w ciągu najwyżej dwóch dni

powinniśmy natrafić na wodę - jakąś studnię czy oazę. Jeżeli do tego czasu nie zgubimy koczowników,

proponuję, by tak długo uniemożliwić im dostęp do wody, aż pragnienie zmusi ich do odwrotu.

- Nie sądzisz, że może zniechęci ich magia Cassiniego?

- Nie ma szans - odpowiedział Janosz. - Wszystko to pozwoliło im utwierdzić się w przekonaniu, że jesteśmy podróżnikami, którzy posiadają moc, a to oznacza, że mamy coś, co warto byłoby nam zabrać. Ta

walka dopiero się rozpoczęła. - Modliłem się w duchu, żeby Janosz się mylił.

94

Jechaliśmy przez całą noc, prowadzeni przez gwiazdy i szlak. O świcie pomyślałem, że moje modlitwy

zostały chyba wysłuchane, ponieważ nie dostrzegliśmy śladu nieznajomych. Janosz sprawiał wrażenie

zaniepokojonego tym faktem, lecz nie chciał mi wyjaśnić dlaczego. Dwie godziny później daleko na

horyzoncie zamajaczyła zielona plama, która wbrew pozorom nie była mirażem; mieliśmy przed sobą oazę.

Dotarliśmy do niej tuż przed zapadnięciem zmroku. Naszym oczom ukazał się piękny widok: błękitne sadzawki połyskiwały wśród niskich krzaków i witających nas swym cieniem drzew. Oczy nasze doznały

ulgi na widok tego miejsca zmęczone wiecznymi brząkami, które wypełniały nam swą monotonią całe dnie.

Znajdowaliśmy się zaledwie dwie rzuty włócznią od oazy, kiedy usłyszeliśmy pohukiwanie, wycie i zawodzenie. Koczownicy uprzedzili nas i dotarli do oazy wcześniej. Kilka kroków od nas spadł grad

strzał,

tym razem wysłanych ku nam siłą mięśni, a nie magią.

Janosz zaczął ostro wykrzykiwać rozkazy:

. - Wy tam! Zaprowadźcie osły do tamtej niecki! Setniku, zajmijcie się nimi. Cassini... Almaryku...

zostańcie tu ze mną. Najprawdopodobniej wyślą posłańca.

Zastanawiałem się, w jaki sposób Janosz mógł wysnuć podobny wniosek po kilku strzałach, które wylądowały przed forpoczta naszej grupy.

- Trzymajcie miecze w pochwach, dopóki nie wydam innego rozkazu - kontynuował Szary Płaszcz, zanim

zdażyłem go o cokolwiek zapytać. - Kiedy się wyłonią z krzaków, starajcie się sprawiać wrażenie dumnych i

walecznych, a nie pokonanych i zastraszonych. Wróg chce nas wziąć żywcem.

Cassini zapytał skąd Janosz to wszystko wie.

- Grad strzał miał nas jedynie zastraszyć, a nie wyrządzić krzywdę - wyjaśnił magowi. - A więc ci

koczownicy albo chcą uczynić z nas niewolników, albo ofiary rytualnych obrzędów.

Najprawdopodobniej

chodzi o to pierwsze, jako, że żaden mieszkaniec pustyni nie marnuje czegoś wartościowego, na rzecz

niewidzialnych bogów, o ile, oczywiście, nie zostanie do tego zmuszony.

Z zarośli okalających oazę wynurzyło się trzech mężczyzn - wszyscy podobnie ubrani: mieli na sobie luźne

bryczesy do kolan i tuniki oraz powiewające peleryny z kapturem. Za pasem połyskiwały wygięte miecze w

skórzanych pochwach. Dwaj z nich nieśli odwrócone włócznie, między którymi powiewało białe płótno.

Trzeci rozpostarł ręce ukazując gołe dłonie. Zbliżyli się. Już miałem zamiar uczynić ten sam znak pokoju

kiedy Janosz powstrzymał mnie ruchem głowy.

- Stójcie! - zawołał głośno - Cała trójka zastosowała się do polecenia. - Jak możecie przychodzić w

pokoju -

rzekł stanowczo w języku handlowym - skoro już zdążyliście zabić jednego z nas i posyłacie przeciwko nam

strzały, mimo że nie okazaliśmy wam najmniejszego śladu wrogości? Czy bierzecie nas za głupców?

Stojący na przodzie mężczyzna roześmiał się sucho i odpowiedział w tym samym języku, lecz powoli i z

przerwami, jakby nie posługiwał się nim zbyt często.

- Nie uważam was za głupców o, nie. Najwyżej za jagnięta. Jagnięta, które odeszły od stada i błąkają się po

pustkowiu, narażone na niebezpieczeństwo ze strony wilków i orłów. Ja zaś jestem pasterzem, który proponuje bezpieczeństwo i schronienie.

- Bez wątpienia z dobroci serca - odparł ironicznie Janosz.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nikt niczego nie robi z czystej życzliwości - odrzekł. - W przeciwnym razie byłby bogiem. Pasterz oferuje

jagnięciu bezpieczeństwo, a jagnię dostarcza mu wełny, w końcu zaś, również swego ciała, aby pasterz mógł

ochraniać następne pokolenie. Tak już jest.

- Jakże to miło z twojej strony - odezwał się Janosz. - Ale... chyba może coś nie w porządku z moim wzrokiem. Mówisz, że jesteś pasterzem... a ja widzę tylko trzy wrony cuchnące łajnem, kraczące coś o

miodzie. - Mówił dalej, udając, że nie dostrzega gniewnych spojrzeń. - Nie jesteśmy żadnymi jagniętami. -

W tym momencie błysnął miecz Janosza, a nieznajomy odskoczył w tył sięgając po swoją broń. - Jagnięta

nie mają takich kłów - rzucił złowieszczo Janosz. - Prawdopodobnie pustynne słońce pomieszało wam

zmysły i nie zauważyliście, że wyzywacie do walki wilki. - Janosz zwrócił się do mnie. - Czy chcesz przyjąć

ofertę tego szakala i nosić kajdany? - zapytał językiem handlowym.

Nie potrzebowałem odpowiadać.

- Ja też nie chcę - ciągnął - kontynuował Janosz. - Nigdy. - Cassini zdawał się wahać. - Magu - rzekł Janosz

- ciebie nie dotyczy ta uprzejma oferta; ty byłbyś złożony w ofierze, aby wzmocnić ich moce szamańskie.

Cassini przełamał wahanie.

- Oczywiście, jestem z wami.

95

- A ja mówię również w imieniu wojowników - zakończył Janosz. - Musicie nas wziąć mieczem, padlinożercy - zwrócił się do nieznanego. - A jeśli się na to zdecydujecie, sprowadzicie wielką żalobę na

wasz lud.

Koczownik podniósł rękę.

- Odważna to przemowa. Może z nowym dniem ... albo pojutrze... będziesz śpiewać zupełnie inaczej, jak

skończą się wam zapasy wody. A może pustynne lwy nie pozwolą mi okazać litości i czekać cierpliwie, aż

odzyskacie zdrowe zmysły. - Cała trójka oddaliła się w kierunku oazy i zniknęła w zaroślach.

- Cassini - warknął Janosz - zakłęcie ochronne. Natychmiast! - Cassini ledwo zaczął mamrotać magiczne

słowa, kiedy strzała pomknęła prosto w Janosza. Dostrzegłem wyraźnie, jak zadrżała uchwycona zaklęciem.

Janosz odskoczył w bok i błyskawicznym ruchem złapał strzałę. Złamał ją, odrzucił na bok i odwróciwszy

się podążył ku niecce. Ruszyliśmy za nim.

Janosz zebrał ludzi i wyjaśnił im, co się wydarzyło. Na obliczach paru żołnierzy widniało to samo wahanie,

które towarzyszyło początkowo Cassiniemu, lecz szybko pozbyli się niepewności. Następnie we trójkę

odeszliśmy na bok, aby poczynić konkretne plany na najbliższą przyszłość.

- Mogą czekać, aż padniemy z pragnienia, zanim zrobią następny ruch - odezwał się pierwszy Janosz - ale

mało prawdopodobne, by starczyło im cierpliwości. Wydaje się bardziej logiczne, że zanim zaatakują,

pozwolą nam przez dwa czy trzy dni podpiec mózgi na słońcu. Na pewno nie uderzą teraz, kiedy jesteśmy w

pełnej gotowości. Walka jest tym bardziej krwawa, im więcej wojowników zapełnia pole bitwy. Kiedy

niewielu walczy, a wielu ginie, summa summarum wszyscy przegrywają. Dlatego właśnie koczownicy wolą

zasadki albo niespodziewane ataki.

Cassini zmarszczył brwi.

- Jeśli to wszystko prawda, kapitanie... nie wydaje się prawdopodobne, by po odparciu ich ataku przestali

nas prześladować i zajęli się wylizywaniem swoich ran.

- Dokładnie - powiedział Janosz. - Dlatego tuż przed zmrokiem zaczniemy udawać, że brakuje nam wody i

tracimy siły. Pić będziemy dopiero po zapadnięciu zmroku i wtedy zmobilizujemy całą swoją siłę. W razie

konieczności, jeśli spróbują nas przetrzymać, zabijemy osły i wypijemy ich krew.

Przyszedł mi wówczas do głowy pewien pomysł, wraz z pewnością, że jest właściwy.

- Ci koczownicy myślą... - zacząłem powoli, a potem już mówiłem coraz szybciej, w miarę jak wszystko

układało mi się w jedną całość - że jesteśmy mieszczuchami albo wieśniakami. Skoro tak nas potraktowali,

czy nie możemy wykorzystać tej niewiedzy przeciwko nim? Trochę na zasadzie, że nikt nie traktuje

poważnie biegacza, jeśli wysmarował się zieloną oliwą albo rzucił na linie poszarpane i brudne szaty. -

Podałem ten przykład, ponieważ sam tak kiedyś kogoś potraktowałem i do tej pory czuję skruchę z tego

powodu.

Janosz obnażył zęby w uśmiechu. - Domyślam się, że te słowa dokładnie odzwierciedlają ich myśli.

Zgadzam się z tobą w zupełności. Kontynuuj. - Nawet w tym przerażającym momencie podziwiałem u

Janosza umiejętność trzymania języka za zębami i niewyważania otwartych drzwi.

- Tej nocy - powiedziałem. - Ty, ja, setnik Maeen. Każdy z kimś, kto będzie osłaniał mu plecy, tak jak

szkoliłeś wojowników.

Janosz zdumiał się. - Ale wszyscy inni ...

- Nie. Niech pozostali odgrywają rolę owieczek, tak by wykluczyć możliwość popełnienia błędu. Ty, magu,

musisz pozostać z nimi. Potrzebujemy zaklęcia, które poprzednio rzuciłeś... Niepewności, czy coś w tym

rodzaju. - Pamiętałem, co Janosz powiedział u kowala, gdy wybieraliśmy odpowiednią broń na wyprawę - o

magii na polu bitwy, lecz teraz pomyślałem, że może być inaczej. Mój plan w niczym nie przypominał

bitwy, oczywiście zakładając, że się powiedzie, natomiast atak koczowników za dwa lub trzy dni na pewno

do takowej by doprowadził.

- Zamiast niepewności - zaproponował Janosz - mógłbyś rzucić zaklęcie, które wpędzi tamtych w

przerażenie w odpowiednim momencie? W taki strach jaki może odczuwać wieśniak, kiedy pośrodku lata

przy błękitnym niebie powstaje burza z błyskawicami.

- Kiedy już dowiem się dokładnie, jakie są plany szlachetnego Antero - odezwał się zgryźliwie Cassini -

mogę obmyślić tak subtelne i zarazem wyszukane techniki, jakimi nawet ty nie dysponujesz w dziedzinie

taktyki wojennej, w którą ja nigdy nie śmiałybym ingerować.

Janosz stłumił w sobie chęć ostrej riposty.

96

- Doskonale. Zatem nas czterech, tak? Najlepiej będzie zacząć tuż po zejściu księżyca. Wystarczy nam

czasu przed świtem. Weźmy hubki z krzesiwem... odskrobiemy dziegieć z popręgów naszych zwierząt,

zmiękczymy go nad ogniem i posmarujemy nim nasze ptasie strzały. Kiedy znajdziemy się wewnątrz oazy,

weźmiemy zarzewie z ich ogniska, żeby oświetlić ich śmierć... - Jego słowa stały się ledwo słyszalne, gdy

precyzował szczegóły mojego planu.

KIEDY KSIĘŻYC ZSZEDŁ nisko, wykradliśmy się we czwórkę cichcem z obozowiska, wyposażeni w

sprzęt ustalony przez Janosza. Dodatkowo każdy z nas niósł krótką włócznię. Setnik Maeen wybrał na czwartego nadpobudliwego Lione, twierdząc, że jego zamiłowanie do przemocy i żądza działania są dokładnie tym, czego potrzebujemy.

W oazie nadal płonęły trzy ogniska wskazując nam drogę do obozowiska koczowników; przynajmniej wykluczało to niebezpieczeństwo zabłądzenia. Zatoczyliśmy szeroki łuk, aż znaleźliśmy się na tyłach, po

czym ruszyliśmy prosto w kierunku oazy. Miejsce, porośnięte wysokimi krzakami i palmami, a tu i tam

rzadką trawą i pnączami, przypominało raczej park. Znaleźliśmy jedną z krętych ścieżek, które podróżnicy

wydeptali między sadzawkami a otwartym terenem, odpowiednim na rozbiście obozu, i podążyliśmy w

kierunku koczowników. Janosz ostrzegł, żebyśmy nie wpatrywali się w światło ich ognisk, ponieważ

bardzo

utrudni to widzenie w ciemnościach, lecz trudno mi było zastosować się tego zalecenia. W miarę jak zmniejszaliśmy dystans dzielący nas od obozowiska, z coraz większym trudem odróżniałem przedmioty

znajdujące się między nami a blaskiem bijącym od płomieni. Potknąłem się w błocie i omal nie wpadłem do

jednej z sadzawek, lecz na szczęście podtrzymał mnie setnik. W chwilę później jego ciężkie ramię zmusiło

mnie do ukłęknięcia. Tuż przed nami ujrzałem jakiś podłużny kształt, który nie był jedną z palm, lecz strażnikiem. Po chwili ciemna postać zaszła go od tyłu i usłyszałem stłumione „Uuuhh! ”; dźwięk jaki wydaje z siebie człowiek, został ugodzony w brzuch. Janosz zaczekał, aż strażnik opadnie bezwładnie na

ziemię. Dostrzegłem błysk stali, gdy wyciągał sztylet z ciała koczownika.

Znajdowaliśmy się teraz na obrzeżach ich obozu. Janosz zamachał do nas dłonią. Kucnęliśmy ukryci w

krzakach i przyjrzeliliśmy się obozowisku. Zobaczyliśmy dwa namioty, które, sądząc z ich rozmiarów, mogły

pomieścić po dziesięciu ludzi każdy. Tam pewnie śpią koczownicy, pomyślałem. Między ogniskiem a namiotami leżeli na ziemi śpiący mężczyźni i kobiety. Dostrzegłem błysk metalu i powiodłem wzrokiem po

łączących ich ze sobą łańcuchach. Najwyraźniej ci handlarze niewolnikami znaleźli już część swojej „owczarni”. Jeden strażnik stał przed niewielkim namiotem o stożkowatym kształcie, a drugi, na wpół

drzemiąc, czuwał przy niewolnikach. Domyśliłem się, że ów mały namiot należy do przywódcy koczowników.

Wzdrygnąłem się, jakby przenikliwy wiatr przeleciał ze świstem przez sam środek mej duszy, i poczułem,

jak moja dusza włóczy się po ciemnej pustyni, pełnej krwiożerczych bestii, które lepiej by mnie uśmierciły

nieświadomego, abym nie musiał oglądać ich odrażającej brzydoty. Zaklęcie Cassiniego działało.

Maeen i Janosz nałożyli na cięciwy strzały wojenne, podczas gdy Lione i ja wyciągnęliśmy hubki z krzesiwem. Po chwili iskry zamieniły się w małe płomyki, w które wetknęliśmy natarte dziegciem strzały.

Płomień... Janosz syknął. Brzdęk cięciw... i strzały trafiły bez pudła w cel. Strażnicy upadli nie wydawszy

najmniejszego odgłosu. Wraz z Lione wypuściliśmy strzały w namioty, a Maeen i Janosz natychmiast poszli

za naszym przykładem. Podnieśliśmy się i ruszyliśmy do ataku.

Komuś, kto będzie czytał te wspomnienia spisane czarno na białym, może uznać, że wykazałem tu skłonności samobójcze... lub że skłamałem. Nic nie jest dalsze od prawdy. Postawcie się na miejscu

pustynnego koczownika, który śpi spokojnie marząc o bogatym żniwie, jakie zbierze biorąc do niewoli

głupich kupców, obozujących nieopodal na pustyni. Naraz krzyki... płomienie... opada cię silna trwoga...

chwytasz za miecz... wybiegasz na chwiejnych nogach z namiotu... i stajesz twarzą w twarz z czterema

wyjęciami demonami. Latające włócznie, ciosy ociekających krwią mieczy; napastnicy tną zapalczywie i bez

ustanku niczym pustynne diabły, dzierżące śmiertelną stal w jednym ręku, a jednocześnie miotające ogniem

pochodzący z twego własnego ogniska i podpalające namioty. Pomyślcie teraz: czy biorąc te wszystkie

okropności pod uwagę, nie postąpilibyście tak jak owi handlarze niewolników? Czy nie

przekrzykiwalibyście naszego skowytu własnym wrzaskiem, umykając w ciemność nocy? Czyż ponury

widok sześcioro waszych towarzyszy z rozprutymi brzuchami nie dodałby skrzydeł waszym nogom?

Znajdowałem się za stożkowym namiotem z mieczem przygotowanym do zabijania, kiedy rozchyliły się

poły zasłaniające wejście; uważałem, że sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli wódz koczowników

97

znajdzie śmierć z moich rąk, lecz gdy złożyłem się do ciosu, w blasku dochodzącym z ogniska dostrzegłem

wynurzającą się z namiotu kobietę. Teraz dziękuję bogom, że nie byłem wówczas wojownikiem jak Janosz

czy Maeen, czy nawet takim, jakim się stałem później. Moje ruchy były na tyle powolne, że bez trudu skierowałem ostrze miecza w innym kierunku. **Nalóżnica wodza**, przeszło mi przez myśl, a w chwilę później dostrzegłem błysk srebra, które opasywało jej nadgarstki i łączyło się między dłonie. Kolejna schwytna nieszczęśnica przeznaczona na niewolnicę.

Kobieta była młoda, miała na sobie koszulę i olbrzymie męskie bryczesy. Jej czarne włosy opadały wdzięcznymi falami na ramiona. Było tak, jakbyśmy stali oświetlani promieniami słońca, a ja bez pośpiechu

notowałem w pamięci szczegóły: na szyi nosiła złoty naszyjnik mieniący się drogocennymi klejnotami. Była

naprawdę piękna.

- Kim jesteście... - spytaliśmy równocześnie, albo tylko tak mi się zdawało, bo kobieta mówiła w nieznany mi języku. Powiedziałem coś o uratowaniu i zdaje się, że zrozumiała. Spojrzała w miejsce poza

moimi plecami. Obróciwszy się dostrzegłem, jak reszta naszych wojowników wbiega w krąg światła. Był

pośród nich Cassini. Niewolnicy zdążyli poderwać się na nogi, a Janosz i Maeen zwinnie poruszali się wśród

nich. Maeen znalazł gdzieś klucze i uwalniał ich z łańcuchów. Janosz zdecydowanie preferował najprostrze

rozwiązania i rozdzielał ogniwa łańcuchów za pomocą silnych uderzeń wielkiego ostrza.

Kobieta, najwyraźniej czymś zaintrygowana, przeszła obok mnie nie zwracając najmniejszej uwagi na

zakrwawiony miecz w mojej dłoni. Podeszła do zwłok jednego z koczowników leżących twarzą do góry i

pochyliła się nad nim. Rozpoznałem tego człowieka - herszta bandy. Kobieta plunęła mu prosto w twarz,

roześmiała się gorzko i wypowiedziała jakieś słowa w obcym języku.

- Janoszu! - Zawołałem uwolniwszy ostatniego z pojmanych, podszedł do mnie. Podniósł polano z leżącego

nieopodal stosu i rzucił je w płomienie, które podskoczyły ku górze. Niewolnicy stali w osłupieniu.

Janosz przemówił w języka handlowym. Tylko jeden mężczyzna zdawał się go rozumieć, i to niezbyt dobrze' więc Janosz pomógł sobie gestykulacją, starając się używać najbardziej uniwersalnych i zrozumiałych gestów.

- Jesteście wolni - odrzucił jeden z łańcuchów - my musimy iść dalej... podróżujemy na wschód - klepnął się

w piersi i wskazał kierunek - powinniście iść z nami... handlarze powrócą... jutro - wskazał na ciemności, po

czym zatoczył ręką łuk pokazując wschodzące słońce - będzie ich więcej... więcej oręża - ponownie

najpierw łańcuch, potem rozpostarte palce, kilkakrotnie rozpostarte palce pokazujące liczbę. - Chodźcie z

nami... jesteście wolni.

Niewolnicy popatrzyli po sobie z wahaniem. Nikt się nie poruszył. Wreszcie piękna kobieta postąpiła krok

naprzód. Podeszła do mnie i wypowiedziała słowo, którego nie zrozumiałem. Potem powtórzyła je, tym

razem we wspólnym języku.. Zrozumiałem, że użyła słowa **wolna**. Wypowiedziała je z ogromnym

upodobaniem. Następnie odwróciła się do pozostałych i krzyknęła ku nim kilka zdań. Uwolnieni zaczęli

paplać wszyscy na raz. Jeden, potem drugi, a w końcu pięciu podeszło do Janosza. Pozostali umilkli.

Spuścili wzrok ku ziemi, po czym usiedli. Janosz spróbował raz jeszcze, lecz żaden z nich się nie podniósł.

Nawet chwycił jednego z nich za ramię i pociągnął na nogi, lecz mężczyzna opadł bezwładnie na ziemię.

Janosz kipiał ze złości... zdawało się, że mógłby zabić albo wybuchnąć płaczem.

Maeen przerwał wzrastający w nim szal.

- Kapitanie Szary Płaszczu, już prawie świta. Musimy ruszać.

Janosz opanował się.

- Powinienem był pamiętać - zwrócił się do pojmanyh. - Widziałem ludzi takich jak wy, kiedy byłem...

tym, czym byłem. Ludzi, którzy woleli żyć w kajdanach niż umrzeć wolnymi.

Potem zachowywał się, jakby przestali istnieć. Zwrócił się teraz do nas:

- Musimy wrócić do obozu i przytroczyć juki. Koczownicy na pewno wrócą, i to z posiłkami. Musimy

odejść przed ich powrotem, zaszyć się głębiej w pustynię.

Splądrowaliśmy obozowisko pozostawiając zapasy żywności dla tych, którzy postanowili pozostać w

jarzmie niewolnictwa. Wszystko poza tym puściliśmy z dymem. Popędziliśmy ich konie w zupełnie innym

kierunku mając nadzieję, że w razie czego handlarze ruszą fałszywym śladem. Nie ośmieliliśmy się wziąć

ich ze sobą - koczownicy pewnie wiedzą dokładnie, gdzie znajdują się źródła wody, lecz my nie. A nie

chcieliśmy zostawiać za sobą śladów w postaci padliny. Wreszcie wyruszyliśmy. Kiedy opuściliśmy oazę o

pierwszym brzasku kobieta, zrównała się ze mną, poklepała mnie po klatce piersiowej i zapytała coś.

Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę z tego, co chciała wiedzieć.

98

- Almaryk - odpowiedziałem. Dotknęła własnej piersi.

- Deoce.

Pozostawiając daleko za sobą blask płomieni z obozowiska koczowników, który niął w świetle wschodzącego słońca, zanurzyliśmy się w niezmierzone pustkowiea pustyni.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Deoce

Przez kolejnych kilka dni Deoce i jej towarzysze mieli powody, aby żałować, że zostali wyrwani z rąk

handlarzy. Noce na pustyni były tak straszliwie zimne, że odczuwaliśmy bóle w kościach, a z drugiej strony

w ciągu dnia lał się z nieba tak straszliwy żar, że błagaliśmy niebios, aby raczyły zesłać nam prędej nocne

ukojenie. Utrzymywanie szybkiego tempa marszu, jak sobie życzył Janosz, było praktycznie niemożliwe,

więc czuliśmy wdzięczność wobec koczowników, że najwidoczniej postanowili nas nie ścigać. W miarę jak

słońce dopiekało nam coraz bardziej, osły rykiem demonstrowały swe nieszczęście, a my pragnęliśmy mieć

choć tyle łez w oczach, aby móc wypłakać swą boleść i gorycz, uświadamialiśmy sobie, że tylko skończony

głupiec zdecydowałby się na pościg. Byliśmy skazani na łaskę i niełaskę pustyni, a każdy, kto puściłby się

naszym śladem, mógłby jedynie oczekiwać tego samego losu. Mimo to zdawaliśmy sobie sprawę z

„towarzystwa” wielu bestii, chociaż nie mogę poświadczyć, że pochodziły z naszego świata. W nocy

słyszeliśmy wycie spragnionych wilgoci naszej krwi stworów; w gorączce dnia wyczuwaliśmy, jak węższą za

nami ukrywając się za skałami czy piaszczystymi wydmi.

Trzeciego dnia o zmierzchu prorocza różdżka Cassiniego zadrżała lekko, a my padliśmy na piach i

zaczęliśmy drapać i kopać w ziemi niczym psy. Wydałem z siebie pomruk zadowolenia, kiedy - podobnie

jak pozostali - wyczułem palcami mokry piasek. Wydrapałem błogą wilgoć i wcisnąłem ją sobie do ust,

wsysając się zapamiętane w drobniutkie ziarenka i wypluwając je, kiedy były już suche. Wtedy gorączkowo

zacząłem wydrapywać drugą garść. Kiedy czułem, że prawie zaspokoilem pragnienie, podniosłem

wzrok, w

dalszym ciągu żując piasek, jakby był on najśłodszym owocem. Wtedy ujrzałem Deoce. Miała umorusaną

twarz. Posłała mi szeroki uśmiech, ukazując brudnobrunatny piach między śnieżnobiałymi zębami. Śmiała

się z mojego wyglądu, a kiedy ja również wybuchnąłem śmiechem patrząc na jej opłakany stan, ją rozbawiło

to jeszcze bardziej i roześmiała się jeszcze donośniej.

Deoce miała prześliczny śmiech. Słyszę go nawet teraz, kiedy piszę te słowa i wysilam się szukając odpowiednich wyrazów do opisu. Nie określiłbym go jako melodyjny czy dźwięczny. Nie pasują do niego

również porównania typu „jak wichur w świętym gaju.” Śmiała się od samych czubków palców, głębokim,

serdecznym śmiechem, który przyjemnie łaskotał zmysły każdego, kto znalazł się w zasięgu jej głosu.

Niebawem śmialiśmy się już wszyscy i Janosz nie potrzebował zbyt długo zachęcać ludzi, żeby zajęli się

poszerzaniem i pogłębianiem dziury oraz pomogli zwierzętom zaspokoić pragnienie.

Nie twierdzą, że owej nocy czuliśmy się jak młodzi bogowie; nawet nie można powiedzieć, że byliśmy

odświeżeni, lecz znacznie poprawił nam się humor. Kiedy jedna z bestii zawyla jak zawsze, Lione zadrwił z

niej skowycząc wniebogłosy, a wkrótce wszyscy nasi ludzie zaczęli wyć do księżyca. W końcu tylko nasze

głosy zakłócały spokój pustyni.

Podczas posiłku Deoce usiadła obok mnie i po jakimś czasie próbę rozmowy. Wskazała na mnie,

wypowiedziała moje imię i powiodła ręką dookoła. Powtórzyła moje imię, lecz tym razem nadała mu charakter pytania.

- Acha - odezwałem się. - Chcesz wiedzieć, skąd pochodzę. - Wskazałem na zachód. Spochmurniała i

zaprzeczyła ruchem głowy, jakbym powiedział jakąś oczywistą bzdurę. Skinąłem głową i ponownie wskazałem kierunek zachodni. Kiedy się zadumała, wypowiedziałem jej imię wykonując taki gest, jak ona

na początku. Gdzie leżała jej rodzinna ziemia? Wskazała na południe i kilkakrotnie pokazała mi wszystkie palce, sugerując ogromną odległość. Podniosłem obie dłonie w pytającym geście, wskazałem ponownie na południe, po czym z powrotem na miejsce, gdzie spotkaliśmy koczowników.

99

- Co się stało? - zapytałem. - W jaki sposób znalazłaś się w ich rękach? - Deoce potrząsnęła głową w

zdumieniu, więc wskazałem na jej nadgarstki, pokazałem łańcuchy i ponownie uniosłem ręce w geście

zapytania. Przez cudowne oczy przemknął błysk zrozumienia. Zaczęła szybko mówić w swoim języku, po

czym speszona pokazała za pomocą palców, jak szła po pustyni. Na jej twarzy pojawił się wyraz błogiej

niewinności i zaczęła nucić cicho, jakby otaczający świat w ogóle jej nie obchodził. Odgrywała początek

swej podróży wykonując ruchy, które wskazywały na wielu kompanów i silną straż. Następnie wcieliła się

nagle w rolę koczowników, przyjmując przebiegły, zły wyraz twarzy. Zrozumiałem, że handlarze

niewolników czatowali w zasadzce, kiedy przechodziła wraz ze swymi towarzyszami podróży. Dalej

zademonstrowała nagły skok, wydawała odgłosy bitwy, odgrywała rolę wojowników w okrutnej walce, aż

wreszcie pokazała, jak została schwytana. Klepnęła się w oba nadgarstki robiąc aluzję do tego, że zakuli ją w

kajdany, i powtórzyła ruchy palców oznaczające pieszą wędrówkę przez pustynię. Tym razem na jej twarzy

malowała się potworna rozpacz. Westchnęła i wydała z siebie stłumione łkanie, po czym wskazała na

wschód. W tym to kierunku gnali ich handlarze. Za pomocą gestykulacji pokazała sakiewkę pełną monet i

liczące je dłonie. Zrozumiałem, że prowadzili ją w jakieś odległe miejsce, żeby sprzedać.

Nawet w swych obszernych spodniach i za dużej koszuli, z cienką smuzką piasku obrysowującą usta Deoce

była niezwykle piękną kobietą. Powiększyłaby bardzo skarbiec herszta koczowników.

Przez jakiś czas milczeliśmy, myśląc usilnie, jak by tu kontynuować rozmowę.

- Może ja mógłbym pomóc, przyjacielu - odezwał się Janosz. Nie słyszałem jak do nas podszedł i

rozejrzałem się w lekkim zdumieniu. Wręczył mi niewielkie, drewniane pudełko do pisania i kucnął tuż

obok. - Jeśli sobie przypominasz, mam pewne doświadczenie w tych sprawach.

- Nie jestem pewny, czy tym razem możesz pomóc - powiedziałem. - Zdaje się, że nasze języki nie są nawet

w najmniejszym stopniu podobne.

Janosz roześmiał się.

- Już ci kiedyś mówiłem, mój drogi Almaryku, że najlepszym słownikiem jest ten, który możesz zabrać do

łóżka.

Oślupiałem słysząc tę propozycję.

- Och, daj spokój, Janoszu. Nie wykorzystalbym tej dziewczyny. Najwyraźniej pochodzi z rodzin. równie

dobrej, a może nawet lepszej niż moja. I na pewno jest dziewicą. Postąpiłbym niewłaściwie...

- Postąpiłbyś niewłaściwie zachowując się jakbyś był w domu, w spokojnej, nudnej Orissie, Almaryku. To

samo życie. Prawdziwe życie. - Powiódł ręką dokoła wskazując na otaczające nas pustkowie. - Weź ją, skoro

znalazłeś, przyjacielu. W przeciwnym razie możesz żałować do końca swych dni.

Chciałem zaprotestować, lecz Janosz zwrócił się do Deoce:

- Mój przyjaciel uważa, że jesteś piękną kobietą, pani - odezwał się w naszym języku. - Sądzi, że jesteś

księżniczką. I bardzo możliwe, że tak jest w rzeczywistości. Almaryk jest prawie księciem, więc świetnie

byście do siebie pasowali.

Deoce zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad znaczeniem tajemniczych słów, lecz uśmiechała się i potakiwała głową, podczas gdy mówił, a nawet dogadywała coś w swoim języku. Wskazała na skrzynkę do

pisania, a Janosz otworzywszy ją pokazał czyste płótno i stosowane przybory. Deoce roześmiała się i wyjęła

je pośpiesznie, łapiąc w lot jego intencje. Szarpnęła się za rękaw, wypowiedziała jakieś słowo, po czym

powtórzyła je... powoli... zapisując na płótnie. Wręczyła mi je wskazując, żebym postąpił tak samo.

- Rękaw - powiedziałem. - Rę...

- Nie bądź taki dokładny, mój kupiecki przyjacielu - skarcił mnie Janosz. - Najwyraźniej ma na myśli całą

koszulę. Jeśli pójdziesz tym tokiem rozumowania, spędzisz całą noc dyskutując o najmniejszych szczegółach ubioru. Od szwów po mankiety, aż do kołnierzyka.

- Myślisz, że ona ma na myśli całą koszulę? - zapytałem czując się głupio.

- Możesz być pewny - odparł Janosz.

Deoce spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. Szarpnęła się za

przód koszuli i wypowiedziała to samo słowo co przedtem, wskazując jednocześnie runy na płótnie.

- Koszula - powiedziałem. - Koszula. - Zapisałem to słowo. Deoce klasnęła w dłonie zachwycona.

Schwyciła za nogawkę spodni. - Spodnie - powiedziałem, a Deoce powtórzyła po mnie: - Spod - nie.

Janosz wstał.

- Zrobi się jeszcze ciekawiej - przyznał - kiedy skończycie z ciuchami i przejdziecie do... anatomii.

Zarumieniłem się pewien, że Deoce domyśla się, o czym mówimy, z tonu komentarza Janosza. Odwróciłem

się myśląc, jak by ją tu przeprosić za lubieżne uwagi mego przyjaciela, lecz dostrzegłem na jej twarzy wyraz

absolutnego zdumienia. Uniosła dłoń i dotknęła moich włosów i twarzy. Wypowiedziała jakieś słowo. Nie

potrzebowałem słownika. Jedynym słowem, o jakie chodziło, mogło być... czerwone.

Znikając w ciemnościach, Janosz zawołał:

- Nie wiem dlaczego sądziłeś, że musisz używać eliksiru miłości przy cudownej Melinie, Almaryku. Te

twoje ogniste włosy są już same w sobie eliksirem... dla większości kobiet.

Deoce poklepała mnie po ręce, dając znak, że chce o coś zapytać.

- Me- li- na? - zapytała. - Melina? - Wyraźnie zależało jej, żebym napisał to słowo na płótnie.

Pokręciłem głową.

- Zostawmy Melinę na inną lekcję - odparłem. - Później.

Następnego dnia pod koniec wędrówki przywitał nas łagodniejszy krajobraz. Znaleźliśmy niewielki strumień, który wyłobił sobie drogę w wąskim wąwozie. Po obu stronach porastały go drzewa i krzaki,

tworząc niewielki, lecz równy pas zieleni. Stopniowo strumyk zamienił się w potok o jeszcze obfitszej

wegetacji, która koła nasze oczy zmęczone długotrwałym obrazem suszy. Woda pochodziła z wielkiego,

pojedynczego krateru na równinach. Mapy ukazywały go jako wyraźny symbol „X” umieszczony w samym

środku. Prawdopodobnie oznaczało to miejsce w sam raz do odpoczynku. Wszyscy czuliśmy się zbyt wyczerpani, by kwestionować logikę tego pomysłu. Mimo że woda spływała z hukiem ze skał, krater

wydawał nam się równie opustoszały jak równina. Janosz kazał Maeenowi pozostać w stanie gotowości, na

wypadek gdyby okazało się, że ktoś już wcześniej rozgościł się w tym miejscu. Słońce chyliło się już ku

zachodowi, kiedy zebraliśmy wszystkie siły i ruszyliśmy ku wielkiej górze.

Oczekiwał nas istny cud. Krater tworzył zagłębienie u podstawy, a jego grube ściany stanowiły ochronę

przed światem zewnętrznym. Po same brzegi wypełniały go drzewa i kwitnące rośliny, a cały teren przecinały niezliczone strumyki. Widzieliśmy zwierzęta gaszące pragnienie a w gasnącym świetle dnia niebo

ożyło tysiącami kolorów; ptaki nawoływały się szybując dokoła wśród gęstych chmur opasłych owadów.

Deoce wydała okrzyk zdumienia wskazując na jeden ze stawików, które tak licznie połyskiwały w tym raju.

Wszyscy zwróciliśmy się w tym kierunku i ujrzeliśmy pół tuzina smukłych antylop baraszkujących

beztrosko w wodzie. Pośród nich dostrzeżliśmy dwa tygrysy, które chlapały się z podobnym upodobaniem i

tarzały na plecach, wywijając łapami w powietrzu niczym małe kociaki. Nie zwracały najmniejszej uwagi na

swe naturalne ofiary. Dokoła panowała wspaniała atmosfera pokoju i radości i nagle poczułem przemożną

chęć, aby dołączyć do nich w beztroskiej zabawie. Deoce uśmiechnęła się uroczo i powiedziała coś w swoim

języku. Odwzajemniłem jej uśmiech i spojrzałem w błyszczące oczy.

- Szczęśliwy - rzekłem. - Bardzo szczęśliwy.

- Szczęśliwy - powtórzyła, po czym dodała: - Tak... szczęśliwy. Deoce bardzo szczęśliwy. - Było to jej

pierwsze pełne zdanie w języku orissańskim.

Ciemności i ostrożność powstrzymały nas od kontynuowania podróży. Podłoże wzdłuż krawędzi krateru

wyglądało dość niebezpiecznie. Nazajutrz Maeen wysłał Lione na czele grupy tarczowników na zwiady, by

upewnili się, że nie ma w pobliżu nieprzyjaciół. Czekać niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Przechadzaliśmy

się upojeni urokiem okolicy, kontemplantując emanujący z niej spokój i pogodę. Spędziliśmy z Deoce dużo

czasu dodając kolejne słowa do naszych słowników, koncentrując się przede wszystkim na rozmaitych

stworzeniach, kwiatach i drzewach.

Lione powrócił z ekipą tuż przed zmrokiem. Żartowali śmiejąc się szczerze i zachowując bardziej jak swawolne byczki niż zaprawieni w bojach żołnierze.

- Jeden jeno kłopot możemy tu napotkać, kapitanie - odezwał się Lione - a juści, jeno taki, coby nie zostać

tu na zawsze. - Prostymi słowami odmalował cudowny obraz przygód i doznań, jakich doświadczyli tego

dnia. Po raz pierwszy w życiu napotkali tak wielką różnorodność żywych istot: zwierzęta kopytne, z łapami,

futrem i łuskami; pasące się stworzenia o tępych zębach i mięsożerne z ostrymi kłami; drzewa rzucające

cień, owocowe, wszelkie rodzaje kwitnących roślin oraz towarzyszące im nieodmiennie owady wysysające

nektar. - Siła zwierza widzielim, panie, - zakończył Lione - jeno ludzi brakuje. Ni śladu sadyby czy jakiegoś

człowieczego życia. Aha, jeszcze jedna sprawa, i to dużej wagi. One tygrysy i rogacze, co tak wczoraj razem

harcowały... - Janosz skinął głową na znak, że pamięta doskonale. - Takż jest w całej dolinie. Wszystko, co

bogowie stworzyli, by się zżerało nawzajem, łązi wszędzie pospołu jakby nigdy nic.

- Czym się żywią? - wypowiedziałem pytanie, które nasuwało się wszystkim.

101

Lion otworzył szerzej oczy, myśląc usilnie nad odpowiedzią.

- Tak, to dziwne, bo caluński dzień spokój niemiłosierny tam panuje, co jużem mówił. Ale zanim tu wróciliśmy, coś się porobiło. Te rogate strach jakiś obleciał i uszły w knieje, tygrysy rzuciły się za nimi. Inne

tak samo. To, co się nadaje na godziwy obiad, zaczęło szukać kryjówek, a to, co zabija, zaczęło ich szukać.

Ale nadziwować się nie mogliśmy, bo te, co polowały, brały tylko to, co mogły zjeść... nic więcej. Potem,

całkiem znenacka, cały bajzel znikł jako zjawą i wszystko było jak przedtem. - Podrapał się po głowie,

uśmiechając się głupkowato. - No i co, słyszeliście o takich piekielnych dziwach?

Zerknąłem na Cassiniego czując wzrastającą niepewność, podczas gdy on zachowywał absolutny spokój.

- Zakłęcie?

Cassini pomyślał chwilę, po czym pokręcił przecząco głową.

- Nie wyczuwam innej... obecności - stwierdził. - Lecz towarzyszy mi świadomość... dobrego samopoczucia? Tak. Właśnie tak bym to określił. Co jest jednak tego źródłem, nie potrafię powiedzieć.

Chociaż podejrzewam, że wszystkie zakłęcia, które do tej pory rzucałem, aby zapewnić nam bezpieczeństwo, wreszcie zespoliły się w jedno, które nas ochrania. - Wskazał grube ściany krateru.

-
Możliwe, że struktura tego miejsca pomogła mi skupić razem zakłęcia.

Janosz zachnął się.

- A więc te wszystkie stworzenia stały się nagle niezwykle łagodne, kiedy stanąłeś na krawędzi krateru?

Błogosławione w obecności Mistrza Magów? Daj spokój, Cassini. Jeśli to jest wyjaśnienie, myślę, że twoi

przełożeni w Orissie powinni zacząć przepisywać święte teksty.

Twarz Cassiniego pociemniała.

- Dość tego - wtrąciłem. - Zamiast zadawać sobie dziwne pytania i sprzeczać się proponuję, byśmy po

prostu cieszyli się tym, co nas spotkało. Możemy tu odpocząć i nabrać sił. Mnie przynajmniej na tym najbardziej zależy.

- O, właśnie - wtrącił Lione. Maeen, który do tej pory trzymał się z boku, obrzucił go gniewnym spojrzeniem. - Wybaczcie - bąknął Lione. - Nie chciałem wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale tak sobie

ułożył w głowie, że szlachetny Antero ma niezły pomysł. Jest tu się czym radować dokoła. A jak dzionek

rozproszy mroki, sami się przekonacie.

Nazajutrz, kiedy rosa lśniła jeszcze na zielonych liściach, przenieśliśmy się wraz z bagażami i zwierzętami na dół. Nigdy w życiu nie oddychałem tak słodkim powietrzem. Śpiew ptaków rozbrzmiewał

ostro i czysto. Wszystko, o czym mówił Lione, było najprawdziwszą prawdą. Tego dnia zapomnieliśmy o

rozbiciu obozowiska, lecz uwolniliśmy osły od ciężaru a one rycząc z zachwytu popędziły do pobliskiego

stawu i zanurzyły się w orzeźwiającej wodzie, pluskając się w niej jak małe dzieci. Ze stawu wyszły dwa

duże jaszczury, trzykrotnie dłuższe od człowieka, i z upodobaniem obserwowały swawole osłów

uśmiechając się przy tym swymi jaszczurczymi uśmiechami, otwierając paszcze na tyle szeroko, że z powodzeniem mogłyby połknąć jedno z naszych jucznych zwierząt. Osły ignorowały je zupełnie wiedząc, że

nie grozi im niebezpieczeństwo. W chwilę później dołączyliśmy do nich, odzierając się w pełni świadomie z

krępujących śladów cywilizacji, a mianowicie ściągając z siebie ubrania. Zachowywaliśmy się jak szaleńcy,

w miarę jak chłodna woda zmywała z nas trudy długiej i wyczerpującej wędrówki.

Nurkowałem głęboko, pływając niczym szczur rzeczny, czując jak chłód pieści delikatnie zmęczone i

obolałe członki. Przejrzysta woda pozwalała z łatwością ujrzeć w swojej głębi ciała moich kompanów

szalejących nieopodal oraz potężne cielska jaszczurów o przysadzistych zadach i silnych kończynach.

Dostrzegłem zacieniony dopływ prowadzący do sadzawki. Wynurzyłem się, aby zaczerpnąć powietrza,

zanurkowałem ponownie i popłynąłem wodną alejką, po obu stronach której widziałem łagodne, pokryte

mchem brzegi. Każde orissańskie dziecko praktycznie od urodzenia nawiązuje ścisły kontakt z naszą wielką

rzeką. Małe, raczkujące berbecie bawią się wśród prądów i wirów, które mogłyby budzić trwogę u silnego

mężczyzny. Ze mną było to samo, a zawsze ze szczególnym upodobaniem pływałem pod wodą, wstrzymując

oddech jak mogłem najdłużej, aby poszukiwać kryjących się pod powierzchnią dziwów. Płynąłem więc

podwodną aleją, aż postanowiłem wynurzyć się po kolejny haust powietrza.

Wiosłowałem leniwie nogami, płynąc powoli w górę. Kiedy zbliżałem się ku powierzchni, uwagę moją

przykuły pewne zgrabne kończyny, które dostrzegłem tuż przy brzegu. Zamiast wynurzyć głowę,

podpłynąłem bliżej i uświadomiłem sobie, że owe smukłe nogi należą do kobiety. Miały lekko brązowy

kolor i sięgały do niedużej czarnej plamki, w którym to miejscu zgrabnie się łączyły. Powyżej ujrzałem

krągłe biodra i wąską talię. Muszę przyznać, że oczy moje szczerze się rozkoszowały tym isticie niebiańskim

102

widokiem. Wynurzyłem się na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Usłyszałem chichot, a następnie

plusk i zamiast powietrza wciągnąłem głęboki haust wody. Krztusząc się i sapiąc ruszyłem ku brzegowi,

próbując jednocześnie oczyścić płuca i oczy. Usłyszałem chlupot wody roztrącanej przez kogoś idącego do

brzegu. Zanim znowu mogłem oddychać i odzyskałem wzrok, właścicielka pięknych nóg zniknęła. Nie

miałem jednak cienia wątpliwości, kim była.

Twarz Deoce mignęła mi pośród zwieszających się gałęzi wierzby. - Widzę Almaryka - zawołała. Ujrzałem

kształtną pierś sterczącą wśród soczystozielonych liści. Dostrzegła mój głodny wzrok i zakryła się gałęziami,

robiąc przy tym słodką minkę.

- Almaryk widzi Deoce. - Roześmiała się. - Almaryk być szczęśliwy, tak?

- Bardzo szczęśliwy - odpowiedziałem, po raz pierwszy doceniając umiejętności lingwistyczne Janosza.

Wskazała ręką i spojrzałem w dół uświadamiając sobie, że stoję nagi w wodzie, która sięga mi zaledwie do

połowy ud. - Deoce bardzo szczęśliwa. Almaryk ładny.

Kiedy przybrałem minę półgłówka, jej twarz zniknęła mi z oczu. W chwilę później spośród gęstych gałęzi

wyfrunęła pocerowana, długa koszula, którą pośpiesznie naciągnąłem. Sięgała mi do kolan. - Almaryk

przyjść i mówić z Deoce, teraz - zawołała. Wyszedłszy z wody ujrzałem ją leżącą na brzegu. Umyła się i tak

dokładnie pocerowała swoje ubranie, że aż trudno było uwierzyć, że jeszcze niedawno nosiła postrzępione

łachmany. Poklepała ziemię tuż koło siebie.

- Mówić z Deoce - powiedziała.

Moja pani rozkazała. Pozostawało mi jedynie posłusznie spełnić jej żądanie.

Płomienne nadzieje rozproszyły się jednak błyskawicznie, kiedy zobaczyłem, że wyjmuje skrzynkę do pisania.

- Deoce uczyć się bardzo więcej ... - Spochmurniała, najwidoczniej penetrując umysł w poszukiwaniu

odpowiedniego słowa. Wymamrotała coś niecierpliwie i wyciągnęła słownik ze skrzynki. Wsunąwszy

różowy języczek zaczęła przeglądać kolejne stronic. - Aha - krzyknęła pokazując palcem. - Deoce uczyć się

bardzo więcej... słów. - Uśmiechnęła się do mnie z błyskiem w oczach. - Tak?

- Wspaniale - przyznałem. Przypominając sobie radę Janosza co do lekcji anatomii, złapałem ją za mały

palec u nogi.

- Palec - powiedziałem. - Palec. - Deoce powtórzyła z przejęciem:

- Palec. - Zapisała w słowniku i wręczyła mi go, abym umieścił obok orissański odpowiednik. Pozwoliłem

ręce posunąć się ku górze.

- Noga - powiedziałem. - Noga. - Oczy rozszerzyły się jej, kiedy zrozumiała moje intencje. Zachichotała

cichutko.

- Noga - powtórzyła. Ręka wędrowała dalej.

- Kolano - rzekłem. - Kolano - powtórzyła, lecz wyczułem lekkie napięcie mięśni, jakby w przygotowaniu

na ewentualny odwrót. Zamiast kontynuować wędrowkę w tym kierunku, dotknąłem jej ramienia.

- Ramię - powiedziałem. Rzuciła mi dziwne spojrzenie uświadamiając sobie, że nagle zmieniłem taktykę.

- Ramię - odpowiedziała ostrożnie. Nachyliłem się bliżej, a ona pozostała nieruchoma:

- Pocałunek? - zapytałem zbliżając twarz. W odpowiedzi usłyszałem namiętny szept. - Pocałunek? - Nasze

usta musnęły się leciutko i aż zadrzałem czując niewysłowioną miękkość jej warg. Objąłem ją ręką za szyję,

aby przyciągnąć ją bliżej i móc zaczerpnąć więcej cudownego nektaru. Poczułem drobniutką dłoń na

moich

piersiach. Odepchnęła mnie delikatnie. Westchnąłem cicho.

- Więcej nie pocałunek - odezwała się, lecz dostrzegłem rumieniec namiętności malujący jej policzki. -

Almaryk nauczyć Deoce słowa. Nie pocałunek - zakończyła.

Skinąłem głową i podniosłem słownik próbując odzyskać zdrowe zmysły. Deoce dostrzegła moje zmieszanie i poklepała mnie po ręku.

- Pocałunek ładny - powiedziała. - Deoce szczęśliwa. - Wyprostowała ubranie i usiadła prosto. -
Uczyć

pocałunek później - ciągnęła. Nadzieja najwidoczniej znalazła odzwierciedlenie na mojej rozpalonej twarzy,

więc dodała pospiesznie. - Bardzo później. Może ...

TAMTEJ NOCY Janosz zwołał spotkanie przywódców ekspedycji.

- Myślę, że byłoby rozsądnie - rozpoczął - gdybyśmy jednoznacznie ustalili pewne sprawy. Na przykład jak

długo zamierzamy tu pozostać. I jak będziemy się zachowywać podczas pobytu w tym miejscu.

103

- Wiem, jak bardzo ci się spieszy, by wyruszyć dalej, Janoszu - odezwałem się - lecz potrzebujemy odpoczynku. Wątpię, by dalsza wędrówka była łatwiejsza, więc im więcej sił odzyskamy, tym łatwiej

stawimy czoło przeciwnościom losu, które z pewnością oczekują nas w dalszej drodze.

- Tego nie mogę zakwestionować - rzekł Cassini - lecz zdumiewa mnie, że wspominasz o naszym zachowaniu.

- Mówię tu o zasadach, według jakich postępują żyjące tu stworzenia - odezwał się Janosz. -
Uważam, że

powinniśmy postępować zgodnie z tymi regułami, jeśli jest to odpowiednie słowo, i ograniczyć polowanie

do niezbędnego minimum, tak jak to one uczyniły.

Cassini otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Skąd ci przyszło do głowy, że głupie bestie mogły ustalić między sobą jakiegokolwiek reguły? - obruszył się.

- Spokój, jakiego tu doświadczamy, wypracowaliśmy sobie sami i mamy prawo w pełni z niego korzystać.

- Czy wciąż uważasz, że to twoja zasługa? - spytał Janosz nie próbując ukryć szyderstwa w głosie.

- Czyż może istnieć jakieś inne logiczne wytłumaczenie? - spytał Cassini. - Od chwili gdy opuściliśmy

Orisnę, rzucałem zaklęcia, aby zagwarantować nam bezpieczeństwo i komfort. Co więcej, otrzymaliśmy

potężne błogosławieństwo od Rady Magów. Dotychczas obydwie te rzeczy sprawiały, że nie imaliśmy się nas

strzały nieprzyjaciół, woda pośrodku tego pustkowia. Znaleźliśmy wodę. Otrzymaliśmy ulgę i wytchnienie.

Zamiast zapalczywej riposty, Janosz rozważył słowa Cassiniego, po czym rzekł - Pomóż mi, uczony magu

dostrzec mądrość twego rozumowania. - Obydwaj z Cassinim zdumieliliśmy się nie słysząc drwiny w głosie

Janosza. - Nie odkrywając przed nami głębokich tajemnic swego rzemiosła - ciągnął mój przyjaciel -

powiedz, w jaki sposób wybierasz zaklęcie? I skąd wiesz, jaki będzie jego ostateczny efekt?

- To niezwykle proste - odrzekł Cassini - dla tych, którzy dostąpili błogosławieństwa posiadania mocy

magicznych. Studiujemy dogłębnie wszystkie zaklęcia, które zostały zapisane w księgach, pod mądrym

przewodnictwem Mistrza Magów, a następnie zapamiętujemy je dokładnie.

- Jednakże zaklęć musi być niezliczona ilość - skontrował Janosz. - Nawet mag musi mieć trudności ze

spamiętaniem wszystkich.

- Oczywiście - odpowiedział Cassini. - Podobnie jak spotyka się magów obdarzonych większą i mniejszą

mocą, jedni są lepsi w zapamiętywaniu, a drudzy gorsi. Ja, na przykład, szczerę się wspaniałą pamięcią. Nie

są to czcze przechwałki, lecz słowa mego pierwszego nauczyciela, kiedy zostałem przyjęty przez mych braci

Magów. Jednakże nawet ja czasami miewam trudności z przypomnieniem sobie absolutnie wszystkiego. W

takich przypadkach sięga się do archiwów, gdzie zapisane są wszystkie zaklęcia.

- Przecież podczas podróży - zauważył Janosz - nie możesz taszczyć ze sobą biblioteki.

Cassini poklepał się w czoło.

- Mam ją tutaj - odparł. - To jeden z powodów twego wielkiego szczęścia, kapitanie, wyrażonego

uczestnictwem w tej ekspedycji.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział Janosz. - Chciałbym jednak wyjaśnić jeden nurtujący mnie

problem. Zaklęcia, jakich używasz są recytowane z pamięci. Mądrość, jak to mówią, przekazywana jest

przez wieki w starożytnych tekstach.

- Dokładnie - przyznał Cassini. - Wiemy, że zadziałają, albowiem zawsze działały. Nieważne dlaczego.

Człowiek nie potrafiłby nawet czegoś takiego zrozumieć. Tylko bogowie znają powód.

Janosz utkwiał w nim świdrujący wzrok. Cassini zaczerwienił się zdając sobie sprawę, dokąd zawiodła go ta

rozmowa.

- A zatem nie można stwierdzić, dlaczego znaleźliśmy się w tym małym rajku - rzekł Janosz. - Czy czegoś

nie zrozumiałem? - Cassini sapnął, lecz nie odpowiedział. - A więc nie wiemy - ciągnął nieubłagalnie Janosz

- czy pokój, jaki tu znajdujemy, jest zasługą ludzi, czy też... bestii. Mam rację?

- Tak - odparł Cassini nie mogąc znieść, że to powiedział.

- A zatem proponuję, byśmy nie próbowali domyślać się, jakie były pobudki poczynań bogów - stwierdził

Janosz. - Proponuję też, abyśmy postępowali według reguł, które tu zastaliśmy, tak jakby wprowadzili je

sami bogowie.

- Myślę, że tak będzie najbezpieczniej - odezwałem się biorąc stronę Janosza. - Jeśli nawet Janosz jest w

błędzie, nic się i tak nie stanie. A nie możemy stwierdzić z całą pewnością, co by się stało, jeśli ma rację.

- Doskonale - wycedził Cassini przez zaciśnięte zęby. - Uczyńmy zatem jak proponujesz.

- Wszyscy będziemy się trzymać tych zasad? - przycisnął Janosz.

104

- Tak - odpowiedział Cassini. Wstał, zanim Janosz zdążył wciągnąć go w dalszą dyskusję, i oddalił się od

ogniska.

- Czyż to nie zdumiewające, przyjacielu - zwrócił się do mnie Janosz - gdy dowiadujesz się, że coś tak

zasadniczego jak magia nie rządzi się żadnymi prawami, z wyjątkiem, oczywiście, reguł wymyślanych przez

samych czarodziejów po to tylko, aby zatrzymać całą wiedzę dla siebie?

- Tak już chyba jest na tym świecie - odpowiedziałem.

- Czy naprawdę tak sądzisz? - zapytał Janosz.

Chciałem odpowiedzieć twierdząco, lecz tylko pokręciłem głową.

- Któż to może wiedzieć? Będąc jeszcze dzieciakiem, przyprawiałem moich nauczycieli o obłąd podobnymi

pytaniami.

- A teraz, kiedy jesteś dorosłym mężczyzną?

- Nie jestem Cassinim - rzekłem. - Zostawmy te gierki. Powiedz wreszcie, o co ci chodzi. Widzę

wyraźnie,

że do czegoś zmierzasz.

Janosz roześmiał się czując, że go przejrzałem.

- Och, czyż wszyscy nie uwielbiamy słuchać własnej mowy? - zapytał. - Musi istnieć jakiś mały demon

samouwielbienia, który wprost rozkoszuje się dźwiękiem naszych głosów. - Łyknął słodkiej wody i podał mi

wilgotną tykwę. - Jak już zauważyłeś, mam pewne osobiste teorie, które wykraczają daleko poza gadaninę

Cassiniego. Według mnie istnieją pewne odwieczne prawa, które działają do dziś.

Skinąłem głową zachęcając go do dalszego wywodu. - Uważam, że u podstaw wszystkiego leżą pewne

określone reguły - wyjaśnił Janosz. - Jedna jest taka, że miłość rodzi miłość, a co za tym idzie, skutek

przypomina jego przyczynę. Druga mówi, że jeśli pewne rzeczy, miały kiedyś ze sobą coś wspólnego, będzie

tak nadal, bez względu na dzielącą je odległość. A teraz przykład, który ilustruje obydwie reguły: jeśli mag

postanawia kogoś zniszczyć, próbuje wejść w posiadanie czegoś, co należy do tej osoby, na przykład

kosmyka włosów. Odczułeś to na własnej skórze w Lykancie. Następnie tworzy podobiznę wroga, używając

kosmyka włosów jako części tej podobizny, po czym unicestwia figurkę poprzez, dajmy na to, spalenie jej.

Jeśli wszystkie czynności wykona prawidłowo, wróg ucierpi srodze, a czasami może nawet umrzeć.

- Czarna magia - mruknąłem.

- To przykład praw magów - rzekł Janosz. - To oni podzielili magię na białą i czarną. Dobro i zło.

- Ty nie widzisz różnicy?

- Żadnej. Dla kogoś, kto próbuje zniszczyć wroga, magia jest czymś dobrym i właściwym. Innymi słowy,

białą magią. Dla ofiary...cóż, niestety w większości przypadków będzie to czarna magia. Myślę, że jedyna

różnica dotyczy punktu widzenia.

- Dlaczego kłopotujesz się takimi sprawami? - zapytałem. - Dlaczego nie zostawisz tego jak jest?

- Zainteresowałem się tym, kiedy jeszcze byłem niewolnikiem - odpowiedział Janosz. - Za wszelką cenę

chciałem uzyskać choć odrobinę kontroli nad własnym życiem, które ktoś obcy mógł unicestwić dla samego

kaprysu.

Pokręciłem głową.

- Czy to zdrowe? A raczej... czy to mądre?

- Myślę, że ani jedno, ani drugie - odparł Janosz. - Moja kolejna teoria mówi, iż każde rzucone zaklęcie

musi wywierać pewien wpływ na tego, co je rzuca. A więc w końcu, po wielu zaklęciach, czarodziej

powinien zdać sobie jasno sprawę, że w pewnym sensie krzywdzi samego siebie. Jedyny kłopot w tym, że

magia jest niesłychanie kuszącą nauką... tak, tak, uważam, że już niedługo stanie się ona nauką. Kiedy

stajesz w obliczu celu, który może ci dać niezaprzeczone korzyści, kładziesz na szali wszystko, i jesteś

gotów na każde ryzyko.

Pomyślałem o eliksirze miłości i Melinie, i nie mogłem nie przyznać mu racji.

- Co masz zamiar osiągnąć przez zgłębianie tych spraw? - zapytałem.

- Osiągnąć cel - odparł miękkim głosem Janosz. - Nic więcej. - Zapatrzył się w ogień. - W przyszłości

pojawią się mądrzejsi ludzie, Almaryku - powiedział zadumany. - Ludzie, którzy rozpracują wszystkie

prawa... magiczne czy też naturalne. Dlaczego rzeka spływa ze źródła w dół, a nie w górę? Dlaczego kij

podparty kamieniem podnosi przedmiot, którego ty nie dźwignąłbyś siłą swych mięśni? W jaki sposób

przepowiadająca różdżka znajduje wodę? Jak jest możliwe schwytywanie duchów wiatru w skórzaną sakwę, a

potem wypuszczenie ich na wolność, aby wypełniły luźne żagle? Może jestem głupcem, lecz wierzę, że są

105

prawa, które rządzą tymi zjawiskami. A czyż nie byłoby przyjemnie, mój przyjacielu, gdyby się okazało, że

nie ma różnicy między tym, co naturalne i tym, co duchowe?

- Naprawdę myślisz, że to możliwe? - spytałem zdumiony.

Janosz zaśmiał się lekko. - Nie. To byłoby zbyt łatwe. Lecz gdybyś żył dostatecznie długo, aby poznać tych

myślicieli, nie zdziw się jeśli choć cząstka z tego, co tu mówię, okaże się prawdą.

Taki był koniec naszej rozmowy, lecz bardzo często powracałem do niej myślami, dokładnie analizując

słowa Janosza. Pamiętam wyraźnie, że kiedy dzielił się ze mną swymi przemyśleniami, poczułem budzącą

się gdzieś głęboko w duszy nadzieję. Skoro istnieją reguły, pomyślałem, skoro są prawa magii, których

każda kobieta i każdy mężczyzna mogą się nauczyć, może to stanowić ogromne dobrodziejstwo dla nas

wszystkich. Gdyby nadszedł kiedyś ten dzień, dumałem, czy jarzmo, w jakim trzymają magowie zwykłych

ludzi, takich jak ja, zostałyby zrzucone? W tej chwili przez mój umysł przemknęła niespodziewana myśl:

Janosz może zdążyć ku czemuś, co jest równie warte zachodu i poświęcenia jak moje Odkrycie. Od ogniska

doleciał mnie śmiech Deoce i myśl przysła tak szybko jak się pojawiła.

Następne dni upłynęły niczym mgnienie oka i wydawały się najszczęśliwszymi dniami mego życia. Z

łatwością dostosowaliśmy się do ujmujących obyczajów panujących w kraterze. Pływaliśmy i bawiliśmy się

ze zwierzętami, jedliśmy owoce i orzechy, a zabijaliśmy tylko z głodu, w określonym czasie zaś łowca i jego

ofiara powracali do swych zwyczajowych ról. Wkrótce pozbyliśmy się brudu i zmęczenia, które pozostawiły

na naszych ciałach trudy wędrówki, wychudłe ciała wypełniły się niebawem nowymi, zdrowymi mięśniami.

Zaprzyjaźniłem się z Deoce. Już wcześniej doceniałem jej przymioty, lecz w spokojnej atmosferze, prowadząc zdrowy tryb życia niesamowicie wypiękniała. Ciało nabrało jeszcze wspanialszych kształtów,

skóra i włosy wprost emanowały zdrowiem, a oczy błyszczały wdzięcznie sprawiając, że zapominaliśmy o

jej językowych brakach. Uczestnicy naszej wyprawy udawali, że nas nie widzą, kiedy spacerowaliśmy

trzymając się za ręce i chłonąc wzrokiem obfitości krateru. Podczas długiego postoju w tym swoistym raj

zwiedziliśmy chyba wszystkie jego zakątki, podziwiając spokojne strumienie i gaje witające nas łagodną

zielonością. Kontynuowaliśmy nasze lekcje czyniąc olbrzymie postępy; często przechodziliśmy swobodnie z

jednego języka na drugi jakbyśmy w istocie posługiwali się wspólnym, pośrednim dialektem.

Moje przypuszczenia sprawdziły się; Deoce pochodziła z królewskiego rodu. Jej matka stała na czele małego, lecz bogatego księstwa o nazwie Salcae. W ich klanie, jak mówiła Deoce, mężczyźni, którzy zwykle

lepiej radzili sobie z takimi sprawami, pilnowali namiotów i palenisk. W czasie wojny walczyli wszyscy, a

kobiety pełniły rolę zwiadowców i przywódców. Z przyczyn politycznych matka zarządziła zrękowiny

Deoce z pewnym notablem z innego klanu. Moja ukochana właśnie zmierzała na swój ślub, kiedy całą

karawanę zaatakowali handlarze niewolników.

Z początku bardzo się zmartwiłem dowiedziawszy się o rychłych zaślubinach. Deoce uspokoiła mnie jednak

tłumacząc, że ów "notabl" nie ukończył jeszcze sześciu lat, a ona przebywając przez tak długi czas w towarzystwie obcych mężczyzn, nie mając przy sobie przyzwoitki, nie może już być traktowana jako za

odpowiedni materiał na żonę. Moje zaniepokojenie ustąpiło teraz miejsca smutkowi i goryczy.

Deoce zachichotała, kiedy zdradziłem jej powód swego zmartwienia.

- To jedynie oznacza, że nie będę musiała poślubić tego małego chłopca - wyjaśniła. - Wedle praw mego

klanu, dziewictwo nie jest aż tak istotną sprawą. Jest ważne dla... dla innych ludzi. Ludzi typu... -

wzdrygnęła się - ... handlarzy niewolników. Zamierzali mnie sprzedać kapłanom, którzy złożąliby mnie na

ofiary w Święto Żniw. - Rzuciła mi ponury uśmiech. - Gdybym nie była dziewczyną, mogłabym przynajmniej

ocalić życie.

Spojrzała na mnie zamyślona, a ja natychmiast zastanowiłem się, o czym myśli. Deoce westchnęła.

- Pod pewnymi względami - rzekła - było łatwiej, gdy znaliśmy... mniej słów.

- Dlaczego? - spytałem, lecz pokręciła tylko głową i rzekła: - Nieważne. - Znałem odpowiedź jeszcze przed

zadaniem tego pytania. Od owego pamiętnego dnia, kiedy próbowałem ją pocałować, otwarcie zacząłem

zabiegać o jej względy. Odkryta przez nas łatwość porozumiewania się zbliżyła mnie do niej bardziej niż

uczyniłby to czysty pociąg fizyczny. Kiedy tak siedzieliśmy gawędząc, uświadomiłem sobie, że bardzo

szybko połączyła nas nić przyjaźni. Wkrótce uczucie to wzmocniło się na tyle, że poczułem, iż ufam jej na

tyle mocno, by zdradzić cel mojej ekspedycji.

- Odległe Królestwa? - krzyknęła. - Naprawdę chcesz je odnaleźć? - W jej oczach ujrzałem tyle entuzjazmu

i trwogi, że upewniłem się w słuszności mojego postępowania.

- Jeżeli bogowie zechcą okazać swe wsparcie - odparłem.

106

- Jestem pewna, że okażą - rzekła. - W przeciwnym razie nie zaszedłbyś tak daleko. Salcae mówią, że kiedy

nasi ludzie i ludzie z całego świata połączą się z Odległymi Królestwami, nadejdzie kres wszelkiej przemocy. Koniec z morderstwami, koniec z wojnami.

- Nigdy więcej wojen? - roześmiałem się. - To miła myśl, lecz obawiam się, moja piękna Deoce, że wojna

to nieuleczalna choroba, która nie ma nic wspólnego z ciemnymi mocami, z jakimi podobno zmagają się

oświeconone ludy Odległych Królestw. Tamto jest pewnie magią. Złą magią. Zabijanie jednak leży w naturze wszystkich istot żywych i nie musi opierać się na mocach ciemności.

W odpowiedzi wskazała na bijące spod korzeni dużego drzewa źródło. Potężna hiena umykała z udawaną

trwogą przed tłustą młodą małpą.

- Tutaj tak nie jest - rzekła, a ja nie potrafiłem znaleźć żadnego kontrargumentu.

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, powiedziała: - Sama muszę się o tym przekonać. Dlatego też postanowiłam ci towarzyszyć.

- To niemożliwe - odparłem przerażony.

- Co zamierzasz ze mną uczynić? - spytała Deoce. Od jakiegoś czasu unikałem tego jakże rozsądnego pytania. - Nie możesz mnie wysłać z powrotem do Salcae. Nie możesz zawrócić, nie teraz, kiedy dotarłeś już

tak daleko. Nie dołączę do jakiegokolwiek kupieckiej karawany, a to z tej prostej przyczyny, że nie znajdziemy

takowej na tej opustoszałej ziemi. Możesz jedynie brnąć do przodu. Wydaje się więc całkiem

rozsądne, byś

zaopatrzył mnie w broń, jako że jestem utalentowaną wojowniczką, jak wszystkie kobiety w Salcae, i pozwolił podróżować ze sobą jak równorzędnemu uczestnikowi wyprawy, zamiast traktować mnie jako

dodatkowe obciążenie.

I tym razem nie mogłem sprzeciwić się logice jej słów. Roześmiałem się, lecz umilkłem po chwili, ponieważ odniosłem wrażenie, że się obraziła. Wtedy wytłumaczyłem jej, że przypomina mi siostrę, Rali,

która miała żołnierski zwyczaj zmiernia od razu do sedna sprawy. - Polubiłabyś moją siostrę - powiedziałem.

- Na pewno - zdawało mi się, że usłyszałem taką odpowiedź, lecz jej głos był tak cichy, że nie mogłem mieć

pewności. - Słucham? - zapytałem.

Otworzyła usta, lecz pokręciła tylko głową. - Och, Almaryku - rzekła - czy wszyscy mężczyźni w Orissie są

tacy jak ty?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Dość tego - podniosła głos. - Co musi zrobić kobieta, by zasłużyć na obiecany pocałunek?

Po tych słowach rzuciła się na mnie. Była drobna, lecz przygwoździła mnie do ziemi a jej usta wpiły się w

moje. Osłupiałem, nie wiedząc co się dzieje, lecz kiedy poczułem gorąco jej ciała, długo tłumiony ogień

zapłonął we mnie ze zdwojoną siłą. Zaczęliśmy ściągać z siebie ubranie w zapamiętaniu. Przetoczyłem się

na nią czując pod sobą jej rozchylone nogi i wijące się biodra, po czym zanurzyłem się w niej niczym szaleniec. Poczulem opór, usłyszałem jęk, który, jak się domyśliłem, był wyrazem bólu i postanowiłem się

wycofać, lecz w tej chwili jej dłonie oplotły silnie moje lędźwie i przyciągnęły mnie jeszcze silniej.

Opór

został przełamany i ponownie ogarnęła mnie fala miłosnego szaleństwa. Ujeżdżałem ją bez opamiętania,

czując jak nasze biodra zderzają się ze sobą, a usta i ręce lgną do siebie w gorączce pożądania.

Kochaliśmy się przez całą noc. Ranek rozpoczęliśmy od orzeźwiającej kąpieli, pochłonęliśmy szybkie

śniadanie, a następnie wymknęliśmy się z obozowiska i kochaliśmy się znowu aż do wyczerpania. W miarę

upływu dni namiętność rosła w nas wraz z coraz głębszą miłością. Nie podlegało już najmniejszej kwestii,

że Deoce będzie nam towarzyszyć w wyprawie. Wyznam wam teraz coś szczerze. Gdybym był Mistrzem

Magii rzuciłbym potężne zaklęcie, które przeniosłoby mnie z powrotem do tamtych dni spędzonych z

ukochaną w sielance owego tajemniczego krateru. Żyłbym tam z nią aż po kres wyznaczonego nam, na tym

świecie czasu.

Nie pamiętam, jak długo tam przebywaliśmy, jako że zbyt byłem zaprzątnięty Deoce, by mierzyć upływ

czasu. Kiedy czar prysnął, straciłem bezpowrotnie coś niezwykle cennego, coś, co nie powtórzyło się już

nigdy w moim długim życiu.

Było to tuż po godzinie łowów, kiedy wszystkie stworzenia powróciły do swych normalnych zwyczajów.

Tamtego dnia upolowaliśmy dwie antylopy i złowiliśmy kilka ryb. Upiekliśmy zdobycz i najedliśmy się do

syta, po czym rozłożyliśmy pozostałe mięso na kratkach do suszenia. Nasyceni, leżeliśmy z Janoszem na

brzegu rozkoszując się widokiem zachodzącego słońca. Cassini wymieniał cięciwę w swoim łuku. To jego

strzała ugodziła antylopę, którą pożywialiśmy się w podczas wieczerzy. Dziwiło mnie, że mag

czepał taką

107

radość z czynności, które zwykli ludzie musieli wykonywać, aby po prostu przeżyć, lecz Cassini mało nie

oszalał z uciechy po zabiciu antylopy i puszył się, jakby był najdzielniejszym i najwprawniejszym z myśliwych.

Usłyszałem, że Deoce wydała okrzyk zachwytu i uniosłem się na łokciu. Stała pod rozłożystym drzewem

wskazując na gęstwinę gałęzi.

- Spójrz na tę małpę - zawołała. - Jest cudowna.

Wysiliwszy wzrok dostrzegłem zwierzę na gałęzi. Małpka ogryzała dojrzały owoc, wymyślając przy tym

Deoce. Uwagę moją przykuło osobliwe umaszczenie zwierzątka. Jego futerko było istną mieszaniną barw:

zielonej, czerwonej, błękitnej i żółtej, które wirowały układając się w niezwykle wzór. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - rzekł Janosz. Wstaliśmy, żeby się lepiej przyjrzeć.

Kątem oka zauważyłem, że Cassini również wstał, wciąż trzymając łuk w dłoniach, lecz nie wyczułem

żadnego niebezpieczeństwa. Dołączyliśmy do stojącej pod drzewem Deoce. Małpka zaczęła skakać czepiając się coraz to nowej gałęzi. Śmialiśmy się podziwiając jej zwinne akrobacje.

- Idealny rozmiar na modną czapkę - usłyszeliśmy nagle głos Cassiniego.

Odwrociłem się zdumiony, nie wierząc własnym uszom. - Co masz na... - Ku swemu przerażeniu dostrzegłem, że zdążył już napiąć łuk i nałożyć strzałę.

- Cassini, nie! - przeraźliwy krzyk Janosza targnął nieruchomym powietrzem - W tym momencie strzała

pomknęła ku bezbronnemu zwierzęciu. Przez chwilę łudziłem się nadzieją, że chybi, jako że małe stworzonko znajdowało się właśnie w połowie skoku między jedną gałęzią a drugą. Szczęście rzadko jednak

dopisuje w takich momentach i mogliśmy tylko bezradnie patrzeć, jak strzała bezlitośnie zmierza do celu.

Zanurzyła się w piersi małpy, która wydała skowyt bólu i trwogi tak podobny do krzyku dziecka, że nie

można było nie wierzyć, iż Cassini popełnił morderstwo.

Zwierzę runęło u stóp Cassiniego. Podniósł je z wyrazem triumfu na twarzy. - Nawet nie użyłem zaklęcia na

strzały - pochwalił się.

Deoce stała nieruchomo z ustami otwartymi w niemym krzyku rozpacz.

- Niech cię diabli, Cassini - zawołał Janosz. - Złamałeś umowę.

Cassini wzruszył ramionami.

- No i co z tego? To była głupia umowa. A teraz przynajmniej mam futerko na wspaniałą czapkę, która

osłoni mi głowę przed słońcem. - Janosz podniósł rękę, jakby zamierzał go uderzyć. Zobaczyłem, że Deoce

sięga ręką po nóż. Poczulem wzbierającą wściekłość i gdybym wtedy miał pod ręką broń, sam bym

zaatakował. Nagle ogarnęło mnie wielkie obrzydzenie i odwróciłem się, żeby zwymiotować, lecz w tym

momencie usłyszeliśmy potworny ryk: ryk tygrysa żądnego krwi. Ktoś wrzasnął z trwogi i obróciwszy się

zobaczyliśmy, jak ludzie umykają w panice przed ścigającym ich drapieżnikiem.

Janosz zerwał się z miejsca i schwycił z ogniska płonąca pochodnię. Cisnął nią prosto w pysk tygrysa;

bestia zawyla dziko, przeskoczyła przerażonych mężczyzn i zniknęła wśród drzew. Zaledwie jednak

niebezpieczeństwo minęło, usłyszeliśmy inne ryki wściekłości.

- Co się dzieje? - zawołała Deoce. Wrzasnęła z bólu, kiedy coś twardego ugodziło ją w ramię. W chwilę

później z drzew posypał się istny grad twardych i ostrych przedmiotów. Nie widzieliśmy atakujących, lecz

rozpoznaliśmy głosy rozjuszonych małp. Nadbiegały ich setki, tak wiele, że drzewa zaczęły uginać się pod

ich ciężarem. Usłyszeliśmy też inne bestie zamieszkujące krater, wyraźnie domagające się zemsty.

Zauważyłem, że dwa ogromne jaszczury ze stawu płyną pośpiesznie do brzegu. Tam dołączyło do nich stado

hien. W chwilę później brzeg zaroił się od mięsożerców, które przygotowywały się do zmasowanego ataku.

- Uciekajcie, bo zginiecie - wrzasnął Cassini i rzucił się pędem do obozu. W tej chwili niebiosa otwały się i

nastąpiło oberwanie chmury. Strugi deszczu zalały nas tak niespodziewanie, że mieliśmy trudności z złapaniem oddechu, lecz z wyraźną ulgą dostrześliśmy, że ulewa ostudziła również zapal zwierząt. Nasi

wrogowie zaczęli gorączkowo szukać kryjówek. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że ta sytuacja nie potrwa

długo. Kiedy burza się skończy, ponowią atak, a nie mogliśmy mieć nadziei, że damy radę zjednoczonym

siłom mieszkańców krateru.

Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, nie dyskutowaliśmy o tym, jaki powinien być nasz następny ruch. Z

nieba, przy wtórze grzmotów, spływały zygzakowate błyskawice. Zwinęliśmy pośpiesznie obóz, przytroczyliśmy juki do grzbietów osłów i umknęliśmy czym prędzej.

Zatrzymałem się z Deoce na szczycie krateru. Odwróciliśmy się, aby po raz ostatni spojrzeć na miejsce,

gdzie rozkwitło łączące nas uczucie. W szalejącej burzy nie dostrześliśmy jednak niezapomnianego raj.

108

Janosz zbliżył się do nas i objął ramieniem. Staliśmy tak we trójkę przez dłuższą chwilę, chłostani strugami

deszczu i przenikliwym wiatrem.

- Czas ruszać w dalszą drogę, przyjaciele. Chodźcie - odezwał się w zadumie. Odwróciliśmy się opuszczając bramy raj.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jałowe Ziemie

Umknęliśmy ze wspaniałej doliny wprost w objęcia pustkowiec: ujrzeliśmy przed sobą bezmiar równiny

przerywanej skałami, głazami i łożyskami. Jediną roślinnością, jaka nas powitała, były szare powykręcane

drzewa o długich, zwieszających się do ziemi gałęziach, przypominających sękaty ramiona starca. Nie

dostrzegliśmy żadnych śladów zwierzyny, a woda na jaką natrafiliśmy, okazała się niesłychanie słona i

znajdowała się głęboko pod ziemią, tak że spędziliśmy długie godziny na kopaniu, by zadowolić się wilgotnym piaskiem.

Warunki zmusiły nas do założenia postrzępionych, starych butów, a i tak wkrótce podeszwy zostały doszczętnie porozcinane przez ostre skały i kamienie. Owinęliśmy stopy szmatami. Cassini niewątpliwie

przeklinał teraz fakt, że nalegał na uszycie dla siebie butów, zanim weszliśmy do doliny, bo ostatnia para,

jaka miał, rozleciała się w niecały dzień, a nie dysponowaliśmy odpowiednim materiałem, by zrobić nowe.

Co więcej, nie sądzę, by ktokolwiek zdecydował się na wyświadczenie podobnej przysługi magowi - nikt nie

odzywał się do niego, chyba że było to konieczne. Gniew wzrósł w nas jeszcze bardziej, gdy zauważyliśmy,

że z coraz większym trudem udaje mu się rzucić zaklęcia, orientowaliśmy się zatem w kierunkach dzięki

obserwacji słońca i gwiazd.

Coraz mniej ze sobą rozmawialiśmy, a gdy zachodziła taka konieczność, popękane od spiekoty usta

częstokroć odmawiały posłuszeństwa. Stopniowo w naszych sercach potęgowało się uczucie wzajemnej

nienawiści. Na szczęście nie było żadnych konfliktów między mną a Deoce, chociaż zasoby energii wyczerpały się w nas do tego stopnia, że nie mieliśmy siły na fizyczną miłość. Niektórzy członkowie ekspedycji, a w szczególności Lione, zaczęli szemrać coś o przywilejach bogaczy i zwracać uwagę, że ja

pracuję dużo mniej niż pozostali. Świadomie ignorowali fakt, że stałem się kucharzem wyprawy - nie dlatego, bym odnalazł w sobie jakiś szczególny ku temu talent, lecz po prostu dlatego, że pamiętałem o

prawdzie, jaką przekazał mi ojciec, kiedy byłem małym chłopcem: „Jeśli kroisz dla siebie największy

kawałek ciasta, niech to oznacza, że tego dnia wykonałeś na oczach towarzyszy więcej pracy niż pozostali.”

Pitraszenie nie należało do uciążliwych obowiązków, jako że polegało w dużej mierze na wypełnieniu kotła

wodą, kukurydzą, suchymi warzywami i przyprawami oraz zaprawieniu „zupy” niewielką ilością suszonego

mięsa. Nikt jednak, jak dotąd, nie wystąpił z propozycją zabicia osłów.

Kolejną ważną zmianą, która nie uszła naszej uwadze, była nieobecność Strażników. Nie wiedziałem, czy

powiniennem odczuwać ulgę, trwogę czy też zmartwienie faktem, że zgubiliśmy się na tym niezmiernym

pustkowiu. Mimo że nie zdołaliśmy rozgryźć natury ich zamiarów, w pewien sposób przyzwyczailiśmy się

do regularnego widoku jeźdźców na horyzoncie.

Pewnej nocy rozbiliśmy prowizoryczne obozowisko, bezmyślnie przeżuliśmy wieczerzę i ułożyliśmy się do

snu w wygrzebanych własnymi rękami jamach w ziemi. Leżałem na plecach z wyciągniętą ręką, żeby odczuwać bliskość Deoce. Nie czułem skwaru ani chłodu, niebo nad nami rozpościerało się przejrzystym,

choć ciemnym kirem; gwiazdy znajdowały się tuż nad naszymi głowami, o wyciągnięcie ręki. Nagle wydało

mi się, że obraz zmatowiał jakby zbliżała się burza piaskowa, lecz nie poruszyłem się. Spałem i śniłem.

Sny musiały wypełnić mi całą noc, ponieważ po przebudzeniu czułem ból w mięśniach jak po ciężkiej

pracy. Deoce sprawiała wrażenie równie zmęczonej. Miała podkrążone oczy. Zareagowałem w bezsensowny

sposób, zwracając uwagę na jej wymizerowaną twarz, czym wyprowadziłem ją z równowagi, lecz po chwili

pożałowała swego wybuchu gniewu i przeprosiła mnie. Wszyscy wyglądali podobnie. Bez słowa zaczęliśmy

109

zbierać rzeczy i pakować się przed podróżą. Janosz przerwał nagle ciężącą ciszę i rozkazał, byśmy zebrali

się dokoła niego.

Bez zbędnych wstępów zaczął

- Cassini, miałem tej nocy dziwny sen. - Spodziewałem się jakiegoś sarkazmu ze strony Cassiniego, lecz

mag skinął tylko głową, jakby wiedział doskonale, o czym mówi Janosz.

- Myślę - kontynuował mój przyjaciel - że wszystkim przyśniło się to samo. Mam rację? - Rozległy się

chrząknięcia, pomruki i zaskoczone potakiwania głową. - Mógłbym dokładnie opisać ten sen, lecz nie

możemy tracić czasu na szczegóły. Krótko mówiąc, sen uświadomił mi, że ziemia, którą przemierzamy, nie

pochodzi od bogów, lecz od czegoś innego. Śniło mi się, że była to kiedyś spokojna kraina, na której

wznosiły się miasta i wsie, kraina rozleglejsza niż sugerowała wizja Cassiniego - wizja rzeki i obszaru poza

granicami Nabrzeżnych Ludzi. Kraj ten został zrównany z ziemią, kompletnie zniszczony w ciągu zaledwie

siedmiu dni. Ludzi zabito lub wypędzono, nie pamiętam dokładnie. Woda wniknęła głęboko w ziemię i

nawet wzgórza i góry zostały rozwalone w sposób, w jaki my możemy rozgnieść butem kopiec mrówek. No

jak? Czy mój sen pokrywa się z waszymi? A zatem pozwolę magowi dokończyć myśl. Co spowodowało tę

totalną destrukcję?

Twarz Cassiniego wyglądała jak nawiedzona.

- Zakłęcie - szepnął. - Zakłęcie lub sieć zaklęć, rzuconych przez magów o takiej mocy, o jakiej mógłbym

jedynie marzyć, silniejszej od tej, która zburzyła wielki mur Likantu,, silniejszej od burzy archontów, którą

ledwie przeżyliśmy. Ta ziemia została całkowicie zniszczona między zachodem a wschodem słońca, a co

więcej, pozostało tu na tyle silne zakłęcie, że nigdy już nie odzyska swej płodności.

- Możesz nam powiedzieć, skąd pochodziło to zakłęcie? - zapytał Janosz.

Cassini pokręcił głową.

- Wiem tylko, że twój sen był prawdziwy i że zostało ono rzucone przez ludzi... albo istoty, które nigdyś

były ludźmi, a nie bogami.

- Z Odległych Królestw - mruknął któryś z gromady. Zwali go Sylv. - A my teraz leziemy im prosto do

paszczy jak kozioł pod nóż.

- Nie - przerwał mu stanowczo Cassini. - Wyczuwałem wcześniej i nadal wyczuwam mocną magię ze wschodu, z miejsca, gdzie - jak wskazuje nasz talizman - leżą Odległe Królestwa. To nie pochodzi z tego

kierunku... lecz zewsząd... a zarazem znikąd.

Janosz wstał.

- A zatem, skoro to zaklęcie wciąż ma moc... a my rzeczywiście pchamy się pod nóż, używając słów Sylva,

to najlepiej zrobimy, jak usuniemy się poza zasięg włóczni, nawet jeśli jest to włócznia magiczna.

Pośpiesznie zwinęliśmy obozowisko i ruszyliśmy dalej, lecz obawy naszych ludzi nie minęły. Czułem na

sobie coraz więcej chmurnych spojrzeń, spojrzeń gniewu, strachu i winy, skrzętnie ukrywanych przed każdym z czterech przywódców ekspedycji. Janosz maszerował teraz przy dwóch osłach, które wiozły nasze

zapasy wody, a Maeen ochraniał te ze skarbami. Zapytałem Janosza, czy bierze pod uwagę możliwość

buntu, lecz zaprzeczył.

- Jeszcze nie - stwierdził. - Są zbyt wyczerpani; nikt na razie nie umarł; a, co najważniejsze, nie wiedzieliby

dokąd uciekać. Jedynie ta piątka, którą wyrwaliśmy z rąk handlarzy, może się odłączyć, z uwagi na bliskość

swoich sadyb. Z drugiej jednak strony nie odzyskali jeszcze w pełni sił po długim okresie niewoli. Nie. Nikt

nie targnie się na nasze życie podczas snu. Na razie.

Nazajutrz Cassini stracił resztkę magicznych sił. Jego przeraźliwe krzyki zbudziły mnie o świcie, więc

pobiegłem do niego myśląc, że może dopadł go jakiś pustynny wąż. Cassini kulił się pod peleryną, której

używał jako przykrycia. Na jego twarzy malowało się osłupienie i przerażenie, niczym na twarzy dziecka,

któremu właśnie przyśnił się pierwszy koszmar nocny i zbudziło się, odczuwając jedynie przejmującą trwogą.

- Ja... ja nie mam już swoich zaklęć - wyjąkał. - Ja... mój umysł jest zupełnie pusty! - prawie nie mogłem mówić i sporo czasu minęło, zanim dowiedziałem się o co mu dokładnie chodzi. Zbudziwszy się postanowił

rzucić proste zaklęcie, które wybiłoby pchły zamieszkujące w podszewce jego peleryny. - Ale nie mogłem...

nie mogę... nie pamiętam, do jakich bogów powinienem się zwrócić wymawiając to zaklęcie, nie pamiętam

słów zaklęcia ani symboli, które powinienem narysować... Prawdę mówiąc, nie pamiętam żadnego symbolu,

z wyjątkiem okręgu, ale przecież największy głupiec zdaje sobie sprawę, że okrąg to figura magiczna.

110

- A zatem jesteśmy załatwieni - odezwał się Maeen, zanim zdążył się ugryźć w język. Nie sądzę, by ktokolwiek inny go usłyszał, lecz nie było to konieczne. Jeśli Cassini rzeczywiście stracił moce magiczne,

oznaczało to, że straciliśmy możliwość korzystania ze wszystkich, nawet najdrobniejszych zaklęć, począwszy od likwidujących szczeliny w bukłakach z wodą aż po tajemnicze słowa, które wypowiadał, aby

ochroniać nas przed zewnętrzną magią. Istotnie byliśmy załatwieni. Co gorsza, bez odpowiednich słów

talizman Strażnika, czyli nasza mapa była zupełnie nieprzydatna. Czuję zadowolenie, że przynajmniej

zostaliśmy o tym w pewien sposób ostrzeżeni i Janosz już wcześniej zaczął polegać na innych formach

orientowania się w terenie. Przy odrobinie szczęścia nadal będziemy zdążać w kierunku niewidocznych

dotąd gór, pięciu szczytów i dzielącej je przełęcz, którą nazywałem w myślach Pięścią Bogów.

Maszerowaliśmy dalej, odczuwając coraz dotkliwiej wzrastającą rozpacz.

Zaczekałem aż Janosz zostanie sam i podszedłem do niego. Uważnie dobierałem słowa.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że posiadasz pewną niewielką wiedzę o magii - zacząłem. - Gdyby udało mi się

odciągnąć uwagę Cassiniego, może wysłałbym go pod jakimś pretekstem na zwiady ... - Urwałem, gdy

spojrzał na mnie, a jego ściągnięte rysy przypomniały mi oblicze Cassiniego.

- Ja również, mój przyjacielu - wyszeptał. - Ja również straciłem tę odrobinę wiedzy, jaką jeszcze do niedawna potrafiłem wykorzystać. Nic ci nie mówiłem, nie tylko z uwagi na prawa, lecz ...

Umilkł, bo nie musiał dodawać niczego więcej. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że Janosz i Cassini jednocześnie stracili swe moce magiczne, domyśliliby się natychmiast, że mogło to nastąpić tylko z jednej

przyczyny - innego maga, czarodzieja, niewątpliwie naszego wroga, który poszukuje nas na tym pustkowiu,

by sprowadzić zagładę na całą wyprawę. Zobaczyłem, że Lione spogląda na nas podejrzliwie, więc wysiliłem się na swobodny wyraz twarzy i promienny uśmiech, który, jak zdawałem sobie sprawę, był

pustym grymasem. Janosz poszedł w moje ślady.

Dotknęło nas to, czego obawiał się Cassini. Ogarnął nas strach i bezpodstawne rozdrażnienie. Warczeliśmy

na siebie z Deoce z powodu najbanalniejszych spraw, po czym łagodiliśmy spory, używając przy tym

wymuszonych, nieszczerych słów. Złapałem się na tym, że sporządzam listę wszystkich członków ekspedycji wyliczając ich przywary, wytykając niekompetencję, niedostosowanie do potrzeb wyprawy.

Potem całą niechęć i obrzydzenie do świata zewnętrznego skierowałem przeciw sobie samemu. Jak śmiem w

ogóle poszukiwać Odległych Królestw? Czy nie powinienem był pomyśleć, że ludzie lepsi próbowali już

wcześniej i stracili życie? Czyż nie powinienem był pomyśleć, że coś tak potężnego jak Odległe Królestwa z

pewnością ma potężnych wrogów, wrogów, z którymi będziemy musieli się skonfrontować, aby dotrzeć do

wyśnionej krainy? O ile oczywiście Odległe Królestwa w ogóle istnieją, co, jak podszeptował mi wewnętrzny demon, w najlepszym wypadku było wątpliwe. Powinniśmy zawrócić. Zawrócić

natychmiast.

Moglibyśmy skierować się ku rzece i wrócić do naszych przyjaciół, Nabrzeżnych Ludzi. A gdybyśmy wpadli

w łapy handlarzy niewolników na pustyni? Przynajmniej utrzymamy się przy życiu. A choćby nawet chcieli

nas zabić, czy to ważne? Nasze śmierdzące, brudne ciała nadają się na stertę śmieci. Myśli kłębiły mi się w

głowie, zataczając coraz to nowe błędne koło. Z uporem parliśmy naprzód... a raczej powinienem

powiedzieć, że Janosz z moją pomocą zmuszał ludzi do dalszej wędrówki, obiecując, grożąc, nakłaniając

pochlebstwami do jeszcze jednego kroku, jeszcze jednej mili, jeszcze jednego dnia. Deoce udowodniła, że

płynie w niej książęca krew wojowniczką zaprawioną w trudach i dzielnie nam pomagała przekonywać

ludzi na wszelkie możliwe sposoby.

Niestety nie ustrześliśmy się chorób: ospałość, gorączka, bóle kończyn, osłabienie. Dwoje naszych ludzi -

Sylv i Yelsom pochorowali się tak mocno, że musieliśmy sporządzić dla nich sanie z kocy i włóczni, które

następnie przywiązaliśmy do osłów. Yelsom zmarł po dniu męczarni. Wszyscy byliśmy chorzy w mniejszym

lub większym stopniu. Pocieszałem się słabo, że przynajmniej teraz nikt nie ma siły, aby planować

jakikolwiek bunt. Zakłęcie nie odstępowało; ani Cassini, ani Janosz nie mogli sobie przypomnieć choćby

odrobiny wiedzy magicznej, a ich przybory, narzędzia i zioła pozostawały dla nich niezgłębioną tajemnicą.

Dwa dni po pochówku Yelsoma otaczający nas krajobraz uległ znacznemu przeobrażeniu. Płaskie i

kamieniste podłoże ustąpiło miejsca piaszczystej równinie. Od czasu do czasu oko rejestrowało zielone

plamy niskich krzaków. Raz zdawało mi się, że dostrzegam jakieś zwierzę, drobną antylopę

przemykającą

do kryjówki. Nigdy bym nie przypuszczał, że mogę odczuwać radość na widok pustyni, lecz tak naprawdę

było. Miałem nadzieję, że najgorsze pozostawiliśmy za sobą, a pustynia stopniowo zazieleni się, zaroi

wodnymi oczkami, aż wreszcie dostrzeżemy, jak teren wznosi się równomiernie wychodząc na spotkanie

majestatycznym górcom.

111

Szlak wił się wśród rozpadlin, a ja zdobywałem coraz większe doświadczenie w orientowaniu się w terenie.

Podchodziliśmy do takiego zagłębienia, starając się iść według wskazań kompasu w kierunku, którego

Janosz konsekwentnie się trzymał. Następnie odbijaliśmy od „kursu” o dziewięćdziesiąt stopni, starannie

licząc kroki. Kiedy minęliśmy głęboki jar, wracaliśmy na pierwotny szlak, szliśmy wzdłuż krawędzi, skręciliśmy dziewięćdziesiąt stopni i ponownie odmierzywszy kroki, trafialiśmy znów na właściwą drogę.

Napotykaliliśmy tak wiele rozpadlin, że w końcu zaczęły doprowadzać nas do szału.

Niektóre z zagłębień były wąskie, inne szerokie na jakieś pięćdziesiąt rzutów włócznią. Zastanawiałem się,

w jaki sposób powstały. Może zasłyszane historie, które mimo wszystko zawierały w sobie ziarno prawdy?

Spadające gwiazdy, które rozświetlały letnie noce w Orissie, nie były sygnałami od bogów, lecz skałami z

daleka; prawdziwymi skałami, które mogły spaść z niebios na ziemię. Dlaczego jednak było ich tak wiele

akurat tutaj, na opustoszałej, jałowej ziemi?

Kiedy dumałem nad rozwikłaniem owej odwiecznej zagadki, znaleźliśmy pierwsze szczątki. Prowadzący

długo nie był pewny co przed sobą widzi, i dopiero po dobrej chwili zawołał setnika Maeena. Kości bolały

mnie strasznie, lecz pomimo tego dowlokłem się na początek kolumny. Janosz dołączył do mnie w chwilę

później. Staliśmy dokoła resztek czegoś, co, jak przypuszczałem, było kiedyś antylopą. Nie było to całe

ciało, lecz wypalona słońcem skóra jakiegoś czworonożnego stworzenia. Leżała jakieś dziesięć stóp od

kolejnej rozpadliny. Kawałek dalej Maeen dostrzegł następną skórę. Sprawiała wrażenie rozdartej na strzępy. Może przez polującego kota? Kot jednak zjadłby skórę, a porzucił kości. Poszliśmy dalej.

Przynajmniej mogliśmy mieć nadzieję, że natkniemy się na wodę i na wieczerzę ze świeżego mięsa.

Znaleźliśmy kolejne zagłębienia i dalsze skóry. Wiedziałem, co mi przypominały - skórki po winogronach,

odrzucone po wyciśnięciu soku i miąższu. Później dostrzegliśmy ciało człowieka. Został zabity w ten sam

sposób: nie było śladu kości, a jedynie skóra zdarta od środka klatki piersiowej aż po stopy leżała na ziemi.

Przy zwłokach nie znaleźliśmy głowy nieszczęśnika, który mógł dorównywać mi wzrostem. Nie potrafiliśmy

stwierdzić, czy oglądamy ciało dzikusa, czy jakiegoś uczzonego, bo nie znaleźliśmy przy nim najmniejszego

śladu ubrania ani broni. Janosz zaproponował, żeby zacieśnić szeregi i poruszać się ostrożnie, szczególnie w

okolicach zarośli. Możliwe, że jakiś wielki kot schwytał tego człowieka i oderwał mu głowę. Nikt nie

wystąpił z ciekawszą teorią.

Właśnie okrążaliśmy kolejny dół, kiedy zupełnie niespodziewani, ziemia usunęła nam się spod nóg.

Wykonując rozpaczliwe ruchy w ruchomy piasku, zsuwaliśmy się w kierunku dna zagłębienia. Dostrzegłem

jednego z osłów... tego, który dźwigał nasze skrzynie ze skarbami. Staczał się w dół, rycząc

panicznie, a

dokoła niego sypał się kaskadą grad złotych monet. Jakiś tarczownik próbował za wszelką cenę wydostać się

na górę.... Cassini wrzeszczał zdjęty przerażeniem.

Coś wyłoniło się z dna dołu. Jakaś czarna zjawa. Nie widziałem... a może mój umysł nie chciał się przyznać, że widział... tego stworzenia w całej okazałości. Olbrzymi, pulsujący brzuch... klinowaty łeb na

szyi długiej niczym wieża... kły jak lśniące sztylety wystające po obu stronach zaciśniętego pyska... drapiące

piach pazury, które kopały, kopały coraz zajadlej, sprawiając, że piach usuwał się spod naszych nóg wciągając prosto w paszczę śmierci. Cassini stracił oparcie pod stopami i runął w dół koziółkując

bezwładnie. Ryk osła przeszedł w przeraźliwy kwik, po czym urwał się w jednej chwili. Cassini zatrzymał

się z nogami i ramionami rozpostartymi szeroko na piasku, po czym zaczął znowu się ześlizgiwać, tym

razem bardzo wolno. Wzywał pomocy.

Janosz również wpadł w pułapkę bestii i leżał rozciągnięty kilka stóp powyżej maga. Ostatnim wysiłkiem

poderwał się na kolana... Cassini wyciągnął ku niemu rękę w błagalnym geście... Janosz zaczął się

przesuwać... lecz nagle zatrzymał się. Wszyscy staliśmy się częścią jakiegoś straszliwego koszmaru,

zamrożonego w tym przedziale czasu. Nagle poczułem, jak nogi grzęzną mi głęboko w piachu i po chwili

znalazłem się poniżej Cassiniego, zagrzebany po kolana. Mag zjechał na mnie i zaczęliśmy kotłować się we

dwójkę. W jakiś sposób zatrzymałem się.... stanąłem... bałem się spojrzeć w dół, bałem się zobaczyć, jak

blisko potwora się znajdujemy. Straciłem równowagę i nie byłem w stanie wyciągnąć miecza, lecz

wrzeszczałem na Cassiniego, aż wreszcie zaczął się wdrapywać na górę, a ja ruszyłem za nim, choć zdawało

mi się, że słyszę za plecami potworny syk... Z góry posypał się grad włóczni; przelatowały tuż nademną...

Syk przerodził się z świdrujący pisk; zachwiałem się i poczułem, że znów zsuwam się w dół...
Zobaczyłem

obok Janosza . W jakiś sposób udawało mu się iść po tym suchym bagnie... Wreszcie znaleźliśmy się poza

jamą bestii. Podbiegli do nas Deoce i Maeen z napiętymi łukami. Cel zniknął jednak tak nagle, jak się pojawił.

112

Zbocza zagłębienia wciąż się osuwały, bo piach dążył do zajęcia najodpowiedniejszej pozycji w stożkowatym otworze, którego dno świeciło pustką. Ani śladu stworzenia, ani śladu osła, ani śladu skrzyni

ze złotem. Wydawało mi się, że widzę błysk, który mógł pochodzić od kilku monet. Stwór najwidoczniej

zagrzebał się ponownie w ziemi, chyba że miał zdolność do stawania się niewidzialnym albo był demonem z

jakiegoś nieznanego piekła. Przyszło mi do głowy, że za każdym razem, mijając podobne zagłębienie, przechodziliśmy w pobliżu podobnego potwora, lecz szybko odpędziłem tę przerażającą myśl. Po jakimś

czasie zdaliśmy sobie sprawę, że brakuje jednego z tarczowników - Arona. Nie znaleźliśmy zwłok, więc

dałem rozkaz wymarszu, zanim stworzenie zdąży wyssać z nieszczęśnika wszystkie soki życiowe i ciśnię

nam pod nogi to, co z niego zostanie. Cassini mierzył Janosza gniewnym spojrzeniem, lecz ten skrupulatnie

unikał jego wzroku. Maszerowaliśmy dalej.

Tamtej nocy, zbudziwszy się, zobaczyłem nieopodal potężną postać, która mogła być jedynie Janoszem.

Wstałem po cichu i podszedłem do niego.

- Zgodnie z prawem - rzekł cicho - powinieneś mnie zdegradować i postawić na moje miejsce setnika

Maena. Dzisiaj zawałem sprawę.

Pomyślałem, że Janosz nie potrafi realnie ocenić swego charakteru i typowo ludzkich słabości, od których

nawet on nie był wolny.

- Potężny Szary Płaszcz się boi - powiedziałem z największym sarkazmem, na jaki mogłem się zdobyć. -

Gwiazdy wypadają z kursu, ziemia się trzęsie, a na księżycu pojawia się krew. Jakby ten piekielny, olbrzymi

potwór nie mógł zatrwożyć nawet dawnych bohaterów.

- To nie była trwoga - stwierdził Janosz i wiedziałem, że nie kłamie. - Nikt, kto uważa się za wojownika,

nie może pozwolić, aby strach przed śmiercią, który wszyscy odczuwamy, sparaliżował go tak, jak wówczas

ja czułem się sparaliżowany.

- A więc życzyłeś śmierci Cassiniemu. Do diaska, nie mam pojęcia, co sprawiło, że skierowałem się ku

niemu; szczególnie dziesiątki razy życzyłem mu, aby dotknęła go jakaś straszliwa zaraza.

- Moje uczucia wobec Cassiniego również nie miały z tym nic wspólnego. Powiem więcej: bez względu na

to, jak bardzo go nie znosimy, nie moglibyśmy się bez niego obejść. Aby wkroczyć na teren Odległych

Królestw, potrzebujemy jego magicznych... hmm, powiedzmy, że zdolności... a myślę, że jesteśmy już naprawdę bardzo, bardzo blisko.

- A zatem o co chodzi? - zapytałem zniecierpliwiony.

- Jak już mówiłem, chodzi o Odległe Królestwa - ciągnął Janosz. - Ta myśl spłynęła na mnie, kiedy dostrzegłem, jak Cassini trzepie się niczym karp wyrzucony na brzeg. Wtedy uświadomiłem sobie, jak

bezsensownie byłoby, gdybym umarł... tutaj... teraz... będąc zaledwie o krok od urzeczywistnienia swego

życiowego marzenia. By osiągnąć cel, pozwoliłbym, żeby jakiś potwór wysał z Cassiniego wszystkie soki.

Nie powinienem był zadawać tego pytania, lecz nie potrafiłem się powstrzymać.

- Przypuśćmy, Janoszu, że to ja jestem na jego miejscu i zsuwam się wprost w te przerażające szczęki. Czy

również stałbyś nieruchomo?

Przedłużające się milczenie zaczęło doprowadzać mnie do gniewu.

- Nie sędzę, przyjacielu. A może po prostu mam nadzieję, że postąpiłbym inaczej. Nie. Z całą pewnością

pomógłbym ci. - W moich uszach pozostała jednak ta, jakże bolesna, nuta wahania.

Powróciłem do Deoce i owinąwszy się w derki próbowałem zasnąć. Przez długi czas rzucałem się jednak

niespokojnie, rozważając ostatnie wydarzenia. Kiedy powracam pamięcią do owej nocy, wyszukując

odpowiednie słowa do opisania mych młodzieńczych uczuć, zdaję sobie sprawę, że czułem się mocno

dotknięty... zdradzony przez najlepszego przyjaciela. Z perspektywy czasu widzę jeszcze coś, czego

wówczas nie rozumiałem. Teraz bowiem potrafię patrzeć naprzód, podczas gdy młody Almaryk nie posiadał

tej umiejętności. Kolejne dni przyniosły pewną subtelną zmianę stosunków, jakie łączyły mnie i Janosza.

Mój przyjaciel wydawał się... bardziej rozluźniony w moim towarzystwie. Tak jakby przełamała się jakaś

niewidzialna, dzieląca nas bariera, a zamiast niej zrodziła się silna więź o nader osobliwym charakterze: do

tamtego dnia ja traktowałem Janosza jako swego przyjaciela - to nie podlegało kwestii, lecz on nie

odwzajemniał mego uczucia. Po incydencie z potworem Janosz Szary Płaszcz stał się naprawdę moim

przyjacielem... a raczej na tyle przyjacielem, na ile w ogóle potrafił się z kimś zaprzyjaźnić.

Nazajutrz pokazał mi figurkę tańczącej dziewczyny. Aż sapnąłem ze zdumienia: wisiołek błyszczał, jakby

jakiś złotnik spędził wiele dni na dokładnym polerowaniu metalu, a co dziwniejsze, figurka częściowo

powróciła do swego dawnego wyglądu. Wcześniej, jak już wspominałem, została przełamana w okolicy

113

bioder. Obecnie trzymałem w dłoniach statuetkę bez najmniejszej skazy. Srebrne piórko wystawało z drobnej dłoni, a chusta zdawała się być utkana z tkaniny cienkiej niczym pajęcza nić. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że zbliżamy się do granicy Odległych Królestw!

Następnego dnia Deoce pierwsza zauważyła, że horyzont maluje się ciemniejszym odcieniem błękitu.

Modliliśmy się w duchu, aby oznaczało to, że zbliżamy się do gór. Jeśli przed nami rzeczywiście widniały

potężne łańcuchy górskie, czekało nas jeszcze wiele dni uciążliwej wędrówki. Powstawało pytanie, czy

znajdziemy w sobie dość sił, aby do nich dotrzeć. Obawiałem się, że przekracza to nasze możliwości.

Najlepszym wyjściem byłoby znalezienie kolejnej oazy, obfitującej w dziką zwierzynę i ryby. Musieliśmy

odpocząć i nabrać sił, jako że choroby nękały nas nieustannie. Może jeśli się zatrzymamy kłątwa, która nas

prześladowała, zniknie, a Cassini odzyska magiczne moce.

Lione kroczył na czele kolumny. Znajdowałem się mniej więcej rzut włóczni za nim. Wspiąłem się na wierzchołek jednego z otaczających nas wzgórz, które wyrastało na lini naszego szlaku. Bez większego

wysiłku dotarłem do celu. Za nim znajdowała się wąska dolina: wielka niecka, jakby jakiś olbrzym zagłębił

obie dłonie w ziemi, a następnie rozsunął je na boki. Tuż za stromą, prawie pionową krawędzią

dostrzegłem

soczystą zieleń, która mogła jedynie oznaczać dobrze nawodnioną glebę. Krzyknąłem na Lione, który maszerował wprost ku rozpadlinie, jakby zamierzał w nią wejść. Spojrzał na mnie zdziwiony, po czym

zawrócił.

- Dlaczego nie dałeś znać, kiedy to zobaczyłeś? - zapytałem.

- Zobaczyłem co?

Pomyślałem, że świadomie drażni się ze mną, i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest

wycieńczony chorobą. Wskazałem ręką. Odwrócił się i jakby nagle podniosła się jakaś zasłona.

- Tego... tego... tu nie było. Ja ... ja tylko... same wzgórza - wybąkał. - Chciałem nawet zawrócić i rzec,

byśmy zmienili szlak.

Może ktoś chciał, by tak pomyślał, zastanawiałem się. Wzruszyłem ramionami i zbliżyliśmy się powoli na

skraj skarpy, starając się nie sprawiać wrażenia groźnego oddziału, lecz trzymając łuki i strzały w pogotowiu. Zanim dotarliśmy do brzegu urwiska, napotkaliśmy, wyraźnie oczekujących naszego przybycia,

kobietę i dwóch mężczyzn. Stojąca na przodzie niewiasta sprawiała wrażenie przywódcy. Podnieśli ręce do

góry ukazując puste dłonie na znak, że nie mają wrogich zamiarów. Byli odziani w kolorowe, luźne, szaty z

tkaniny przypominającej jedwab. Wyglądali na nie uzbrojonych. Kobieta odezwała się w nieznanym języku.

Nie zrozumiałem znaczenia jej słów, ale natychmiast domyśliłem się o co jej chodzi, tak jak pamięta się

znajomą twarz czy sen po nagłym przebudzeniu. Deoce zdumiona wstrzymała oddech.

- Oni mówią w moim języku - odezwała się, a następnie zapytała: - Czy pochodzicie z mego ludu?

Kobieta uśmiechnęła się i zalała Deoce potokiem słów, z którym wiele potrafiłem rozróżnić. Deoce zmarszczyła brwi, próbując nadażyć za wypowiedzią. Uniosła rękę i kobieta umilkła.

- Ten język... jest tylko podobny do mowy mego ludu - wyjaśniła starannie dobierając słowa. - Ona posługuje się językiem starych ludzi... Nie, to nieodpowiednie słowo... Tak jak, według mądrych ludzi,

mówili moi pobratymcy dawno, dawno temu.

Deoce dokonała wstępnej prezentacji. Jeden z mężczyzn, zwany Poranną Mgłą, pełnił rolę szamana, drugi

nazywał się Żniwiarz; kobieta - Jutrzenka Nadziei - była istotnie ich wodzem. Zwróciła się do mnie mówiąc

powoli, tak że udawało mi się wyłapywać sens wypowiedzianych przez nią słów. Jej język rzeczywiście

przypominał mowę, której uczyła mnie Deoce.

- Obserwowaliśmy was od dwóch dni. Mieliśmy nadzieję, że nas ujrzycie. - Zrozumiałem jej słowa, lecz nie

pojąłem znaczenia i poprosiłem, aby wyjaśniła, co przez to rozumie. Z pomocą Deoce wytłumaczyła,

dłaczego Lione nie widział tej doliny. Tego miejsca strzegło potężne zaklęcie ochronne. Nikt, kto przybywał

ze złymi intencjami, nie mógł dojrzeć rozpadliny, lecz widział tylko pofałdowany teren pełen łagodnych

wzgórz; wzgórz, które nie wiedzieć czemu swym widokiem skłaniały do zawrócenia.

Cassini usłyszał to tłumaczenie. - Tę ziemię zamieszkują potężni magowie - odezwał się częściowo z

trwogą, częściowo ze smutkiem w głosie, a ja poczułem nagle współczucie. Cassini przypominał człowieka,

którego życie i praca zależą od bystrego wzroku, a tymczasem nagle oślepl. Przebłysk współczucia, nic

ponadto. Wciąż pamiętałem o raj, który utraciliśmy przez jego nikczemny czyn. Byłem zresztą zaprzątnięty

powitaniem i wymianą drobnych upominków, co zwykło się robić w przypadku spotkania

nieznajomych,

przyjaźnie nastawionych ludzi. Zaproponowali nam, abyśmy dzielili z nimi ich ziemię i domostwa tak długo,

jak będziemy uważać to za słuszne. Poprosili nas jedynie, byśmy zastosowali się do ich zwyczajów i praw,

114

które, jak powiedział Żniwiarz, ich Dawca Praw, ograniczały się do korzystania ze zdrowego rozsądku i nie

były w najmniejszym stopniu uciążliwe. Powstrzymałem się od osądu jego słów - Nabrzeźni Ludzie uważali

kanibalizm za całkowicie naturalny zwyczaj, a jednak w głębi serca nie odczuwałem z ich strony żadnego

zagrożenia. Poprowadzili nas na skraj klifu, gdzie wyrzeźbione w kamieniu schody wiodły zygzakiem w dół

stromiej skały, znikając w gęstwinie drzew. Ujrzałem migoczącą w promieniach słońca tafłę jeziora, a moje

nozdrza wychwyciły intensywną woń drzewnego dymu. Nieopodal niewielki wodospad, rozbijając się o

skałki spływał, do samego dna doliny. Zasłoniliśmy osłom oczy, lecz mimo skrajnego wyczerpania nasze

czworonogi znalazły w sobie dość siły, aby zaprotestować rycząc i pokwikując. Uspokoily się wyczuwając

zapach wody i posłusznie podreptały w dół.

Zdążyliśmy zejść nie więcej niż kilkanaście schodków, kiedy usłyszałem krzyk Cassiniego. Odwróciłem się

błyskawicznie, chwytając za miecz. Mag stał osłupiały na chwiejnych nogach, jakby zaraz miał stracić

przytomność. Jeden z naszych ludzi podtrzymał go, lecz Cassini najwyraźniej tego nie zauważył.

- Moja moc... Moja magia... Wróciły! - Pośpiesznie zerknąłem na Janosza i z uśmiechu, który przebłyskiwał

spod gęstej brody, zrozumiałem, że nie są to jedynie czcze przechwałki. Mieszkańcy Doliny istotnie posiadali potężnych magów, skoro ich zaklęcia nie tylko potrafiły oślepić intruzów, którzy wtargnęli na tę ziemię, lecz również pozbawiać ich magicznej siły.

Całe plemię oczekiwało w wiosce, która składała się z kilku głównych budynków, obszernego placu, na którym celebrowano uczyty i plemienne obrzędy oraz z przycupniętych wokół chałupek, pozornie rozmieszczonych bez ładu i składu. Zobaczyliśmy nakryte stoły uginające się pod ciężarem jadła, lecz obawiam się, że biorąc wówczas udział w uczcie mogliśmy niechcący przynieść wstyd naszej ojczyźnie.

Zaprowadzono nas do drewnianych chatek, a obcy mężczyźni i kobiety dali nam nowe ubrania. Pozostali

członkowie plemienia pomogli chorym rozebrać się i ułożyli ich na wygodnych hamakach. Uzdrowicielki

poinformowały nas, że mają gotowe mikstury lecznicze, aby zaaplikować je naszym chorym. Najwidoczniej

nie byliśmy pierwszymi podróżnikami, którzy napotkali na swej drodze Dolinę, ani też pierwszymi, którzy walczyli z tym okropnym pustkowiem.

Wraz z Deoce wykąпалиśmy się w jeziorze, przywdzialiśmy nowe szaty i czując się jak ożywione trupy

zmusiliśmy się do pójścia na ucztę. Tylko kilkoro z nas, a między nimi Deoce, Janosz, setnik Maeen oraz

Lione, zasiadło przy wielkim stole. Zjadłem niewiele czując, że mogę się rozchorować, gdybym rzucił

się bez opamiętania na te wspaniałości. Lione i Maeen przesadzili; bóle żołądka i silne torsje nie zwróciły

najmniejszej uwagi naszych gospodarzy. Wreszcie powieki zaczęły nam ciążyć niemiłosiernie i przeprosiwszy naszych nowych przyjaciół udaliśmy się do swoich kwater. Niewiele pamiętam z kolejnych

kilku dni z wyjątkiem tego, że budziłem się, jadłem, kąpałem i starałem się dopilnować, by moi ludzie

odzyskali zdrowie i siły.

Po jakimś czasie ja również wróciłem do siebie. Stało się to nawet prędzej niż początkowo przypuszczałem.

Podczas mego długiego życia raz po raz uświadamiałem sobie, jak wiele kar i niewygód to nasze ciało może

znieść i z jak wielu się otrząsnąć, a jednocześnie nigdy nie przestało mnie dziwić, jak łatwo niektórzy pozwalają, aby to życie wymknęło im się z rąk. Właśnie tu, w dolinie, zdałem sobie z tego sprawę po raz

pierwszy. Umarł jeden z ludzi, z których zrzuciliśmy brzemię niewolnictwa, a potem drugi. Mimo

najlepszych zaklęć i ziół sporządzanych przez Cassiniego i Poranną Mglę zdawało się, że choroby

przyłgnęły do naszych ludzi i trzymały ich w swoich szponach. Tylko Janosz, Cassini, Deoce, setnik Maeen i

ja ustrześliśmy się chorób, a ambicja Lione nie pozwalała mu przyznać się, że trawi go jakieś paskudztwo.

Kiedy wróciłem do sił, zacząłem interesować się Plemieniem Doliny. Zamieszkiwało tu około dwustu ludzi,

którzy wiedli nad wyraz spokojny żywot. Nowa krew przybywała do plemienia w postaci tułających się

wędrowców, albo, co zdarzało się znacznie rzadziej, kupców, którzy postanowili świadomie wycofać się ze

świata zbrukanego polityką i pieniędzem. Ludzie z radością oddawali im swoje domostwa i przeprowadzali

się do przyjaciół, ciesząc się na nowe opowieści, jakie mieli nadzieję usłyszeć o nieznanym świecie.

Członkowie plemienia żyli z upraw, które przynosiły im plantacje znajdujące się nieco dalej, w miejscu,

gdzie las stawał się rzadszy. Używali długich dyniowatych roślin, które niczym rurki doprowadzały wodę ze

źródeł czy potoków do pól. Polowali na liczną tutaj (dziką zwierzynę, zwracając uwagę, aby zabijać

rozsądnie nie przynosząc uszczerbku stadu. Niegdyś hodowali kozy, lecz wyginęły za czasów poprzedniego

pokolenia. Pamiętali również, choć mgliście, bydło i konie i zdawali się nieco trwożliwie patrzeć na nasze

osły, które, z natury silne i wytrwałe, niezwykle szybko odzyskały siły witalne po trudach morderczej wędrówki.

115

Plemię Doliny przybyło tutaj wiele pokoleń temu. Na swej ziemi rodzinnej przyszło im zamieszkiwać między dwoma ludami znanymi z zamiłowania do wojen; pozostając tam dłużej, skazywali się na zagładę.

Mieli jednak, jak powiedział mi Poranna Mgła, wielkiego czarodzieja: - Ogromna moc... Ogromna...

Potężniejsza niż moja... Większa niż waszego szamana... Pochodził z Odległych Królestw. Słyszałeś o nich?

Z trudem zachowałem spokój na wieść o krainie mych marzeń. Zawołałem Deoce i Janosza, aby byli świadkami naszej rozmowy i dopilnowali, bym niczego nie zapomniał, a Poranna Mgła starał się odpowiadać na moje pytania. Tak, ten czarodziej pochodził z Odległych Królestw; był wielkim człowiekiem. Zrezygnował ze świata obfitującego w złoto i jedwabie, aby pomagać innym, słabszym od

siebie. Przypadkiem tuż po rozpoczęciu wojny natrafił na ich plemię. zaproponował, że poprowadzi ich na

zachód, jak najdalej od zagłady i śmierci, która ich czekała na rodzinnej ziemi. Janosz przerwał mu pytając,

czy Poranna Mgła wie, jak daleko stąd leżą Odległe Królestwa. Nie wiedział. Nie miał również pojęcia, jak

długo wędrowało plemię pod przewodnictwem czarodzieja, zanim przybyło do tej doliny. -
Opowieści

głoszą, że była to długa i wyczerpująca wędrówka. - Wzruszył ramionami. - Która podróż nie jawi się jako

pełna niebezpieczeństw i niesamowitych wypadków, kiedy opowiada się o niej w nocy przy blasku

ogniska?

Zadałem następne pytanie: czy owi wędrowcy i kupcy, o których nam wcześniej wspomniał, pochodzili

również z Odległych Królestw? Nie, odpowiedział Poranna Mgła. Szczerze mówiąc, zanim przyszedł na

świat, nie słyszano o żadnych wędrowcach ze wschodu.

- Co mówią wasze opowieści o Odległych Królestwach? - zapytała Deoce. - Czy zamieszkują je bogowie,

czy też ludzie? Dobrzy czy zli? - Odpowiedź na te pytania zabrała Porannej Mgle resztę dnia, jako że streścił

nam wszystkie legendy plemienne, a wraz z nadejściem zmroku poprosił o pomoc starszyznę plemienia.

Opowieści w dużej mierze pokrywały się z tym, co już wcześniej słyszeliśmy o baśniowej magii i

niesłychanym bogactwie. Zwróciliśmy szczególną uwagę na dwie informacje: mianowicie wszystkie legendy

Plemienia Doliny zgadzały się co do tego, iż mieszkańcy Odległych Królestw charakteryzowali się wielką

dobrocią. Z jakiej innej przyczyny ów Wielki Mag byłby taki świątobliwy? Problem tkwił w otaczających te

królestwa terenach, nazwanych przez członków Plemienia Doliny Niezbadanymi Obszarami. Poranna Mgła

stwierdził, że tam najpewniej tkwiło źródło naszych kłopotów z magią. To właśnie te państwa złapały ludzi

Doliny w krzyżowy ogień jednej z odwiecznych wojen.

Nikt z wioski nie słyszał o Strażnikach ani ich nie widział i nasi gospodarze zatrwożyli się wielce, kiedy

opisaliśmy upiornych wojowników.

- A zatem kiedy was opuścimy, ponownie ruszymy ku ciemnościom - mruknął Janosz.

- Nie musicie opuszczać naszej ziemi - powiedział Poranna Mgła. - W naszym plemieniu wiele jest

młodych, samotnych kobiet. Jak głosi legenda, Wielki Mag pozostawił nam szczególny podarunek,

gwarantując, że wędrowcy, którzy zdecydują się pozostać na naszej ziemi, będą głównie płci męskiej, dzięki

czemu równowaga zostanie zachowana po wsze czasy. - Zdawało się, że wszyscy moi ludzie zdążyli już

znaleźć sobie towarzyszek, pomimo że większość z nich nie była do niczego więcej ponad picie rosołu czy

proszenie o otarcie płonącego gorączką czoła. Zrozumieliśmy również, że zwyczaje plemienia w kwestii

kontaktów fizycznych były bardzo liberalne, co oznaczało, że kobiety często zmieniały partnerów, a czasami

udzielały się towarzysko we dwie, dobierając sobie szczególnie atrakcyjnego mężczyznę. Dwie z nich

zapytały Deoce, czy - przytaczając dokładnie ich słowa, ma ochotę „pospacerować z nimi w świetle księżycy.” Deoce udała zdumienie, lecz sądzę, że tak naprawdę pochlebila jej ta propozycja. Nawet

Cassiniego widziano raz czy dwa, jak unyka w cień z jedną z kobiet.

Najbardziej zdumiało mnie postępowanie Janosza. Zachowywał się jak jeleń na rykowisku. Do jego chatki

ciągnął nieprzerwany sznureczek młodych niewiast, czasem pojedynczo, innym razem grupami.

Jeśli chodzi o mnie, nie potrzebowałem nikogo oprócz Deoce. W miłości cechowała ją niezwykła inwencja

i świeżość; była ognista, lecz często ujmowała mnie nieśmiałością i subtelną zalotnością. Starłem się jak

najszybciej odzyskać siły, więc z początku urządzałem sobie dłuższe spacerunki, które stopniowo zmieniły się

w długie biegi dookoła krawędzi Doliny. Potem zacząłem biegać pod górę i w dół, co okazało się o wiele

bardziej bolesne dla mięśni nóg. Zdawałem sobie sprawę, że przeżywam dziwny okres. Trwałem w

przeświadczeniu, że znajdujemy się pod olbrzymią kopułą, o ile oczywiście, możecie sobie wyobrazić

szklaną kopułę. Mimo, że każdego ranka pustynne niebo witało nas niezmaconym błękitem, odnosiliśmy

wrażenie, że ponad Doliną i poza jej granicami szaleje potężna burza; nawałnica, której niebawem musimy

stawić czoła.

116

Kilkakrotnie zabierałem Cassiniego i map, do miejsca tuż poniżej szczytu urwiska i kazałem mu wypowiadać zaklęcia. Teraz talizman Strażnika działał idealnie. Ponownie ujrzeliśmy Pięć Bogów, a

między Doliną a przełęczą znajdowało się dużo charakterystycznych punktów terenu.

Z rosnącą niecierpliwością oczekiwałem dnia, kiedy ruszymy w dalszą podróż. Mój niepokój miał również

rozsądne uzasadnienie - lato zbliżało się do końca, ustępując miejsca jesieni. Jeśli talizman i wizja w Orissie

nie myliły się, przed Odległymi Królestwami natrafimy na góry, a do długiej listy przeciwności, w jakie

obfitowała nasza ekspedycja nie chcieliśmy, dodawać jeszcze śniegu, lodu i burz. Moi ludzie odzyskiwali

siły, aczkolwiek niezwykle wolno. Nie uśmiechało mi się zimowanie w tej krainie, bez względu na to, jak

miło traktowali nas mieszkańcy Doliny. W końcu podjąłem decyzję. Postanowiłem, że rozdzielimy się,

pozostawiając chorych w Dolinie pod opieką tubylców i setnika Maeena.

W dalszą wędrówkę mieliśmy wyruszyć w trójkę. Zamierzałem pokonać jak największą odległość forsownym marszem, by jak najszybciej dotrzeć do Pięści Bogów. Przejdziemy przełęcz i jeśli okaże się, że

Odległe Królestwa leżą w zasięgu wzroku, powrócimy do Doliny. Jeżeli moi ludzie do tego czasu wyzdrowieją, a my nie napotkamy zbyt licznych przeszkód, pomaszerujemy z powrotem tym samym szlakiem. Liczyłem się z tym, że w przeciwnym razie będziemy musieli tutaj przezimować.

Wiedziałem od

wytrawnych wojowników, że niewielkie grupy zwiadowcze mogą poruszać się szybciej i trudniej je wytropić, a zatem są daleko bezpieczniejsze, niż liczne karawany. Słyszałem jednak również opowieści o

tym, jak bardzo takie małe grupki są narażone na niespodziewany atak.

Postanowiłem, że Deoce pozostanie w wiosce. Teraz, z perspektywy wielu lat, widzę swoją głupotę, jako że

zdążyła przecież zademonstrować hardość i wytrzymałość wobec handlarzy niewolników oraz wytrwałość w

znoszeniu trudów podróży. Ale... ale, gdyby miała umrzeć z powodu mej krótkowzroczności, z jaką

nalegałem na kontynuowanie wyprawy w tak nielicznym gronie... nigdy bym tego sobie nie wybaczył. Kiedy

poinformowałem ją o mojej decyzji, wpadła w szal. Cóż mogłem wiedzieć o jej uczuciach? A gdybym na

przykład został porwany... albo jeszcze gorzej? Co by powiedziała memu ojcu po powrocie do Orissy? Jak

by się zachował wobec córki wodza i wnuczki wielkiego satrapy, która pozwoliła, aby jej ukochany

zniknął gdzieś w dziczy? Kiedy tak na mnie pomstowała zauważyłem, iż obydwójce zakładamy powrót do

Orissy i wspólne życie. Korzystając z okazji poprosiłem ją o rękę. Mało brakowało, bym oberwał, lecz na

szczęście skończyło się na tym, że wygoniła mnie z naszej jakże przytulnej sadyby. Mogłem spać, gdzie

tylko chciałem i z kim mi się podobało. A jeśli chodzi o małżeństwo... to odesłała mnie do najgorętszych i

najbardziej wypełnionych suchym piachem zaświatów. Większość tubylców słyszała naszą kłótnię i gdy

wyszedłem, powitały mnie spojrzenia wzgardliwego współczucia i ukrywane uśmiechy. Znalazłem jakąś

małą, niezajętą chatkę, w której rozpocząłem ponure rozmyślenia nad skomplikowaną kobiecą naturą.

Reakcja Deoce nie wpłynęła na zmianę mego rozumowania. Janosz, Cassini i ja. Męczyło mnie jedynie, w

jaki sposób przeforsuję swoje zamierzenia w przypadku naszego maga. Możliwe, że rwał się do Odległych

Królestw podobnie jak ja, lecz równie dobrze mógł uznać trzyosobową wyprawę za szaloną próbę obłąkanego samobójcy. Co więcej, w przypadku tak nielicznej ekspedycji musiałyby zapomnieć o wszelkich

posługach, jakie do tej pory świadczyli mu prości tarczownicy, i sam znosić trudy wyczerpującego marszu.

Temu człowiekowi daleko było do wojownika, za jakiego ja się wówczas uważałem, szczególnie po ataku

na obozowisko handlarzy niewolników, więc jego kompetencje w tej dziedzinie pozostawiały wiele do

zyczenia.

A więc Janosz i ja. W ciągu ostatnich kilku dni, kiedy miałem głowę zaprzątniętą opracowywaniem swego

planu, widywaliśmy się niezwykle rzadko. Głowę mego przyjaciela zaprzętały natomiast coraz to nowe

nałożnice i, jak się domyślałem, owe tajemnicze specyfiki, które przywiózł z Lykantu. Udałem się do jego

kwatery. Z wnętrza doleciało mnie rytmiczne skandowanie, zakończone osobliwymi jękami. Oczekałem, aż

zapadnie cisza, a potem jeszcze jakiś czas, aby zdążyli dojść do siebie, po czym zapukałem do drzwi.

- Kto tam?

- Almaryk. Twój głównodowodzący.

- Wejść, przyjacielu.

Uczyniłem, jak prosił, nie wiedząc zupełnie, czego mogę oczekiwać wewnątrz. W obszernym pokoju unosił

się intensywny zapach kadzideł. Wszystkie meble zostały usunięte. Na ścianie wisiały trzy zwoje pergaminu

opatrzone symbolami, których znaczenia nie rozumiałem. Podłoga pokryta była białym piaskiem, na którym

widniał zarysowany czerwonym piaskiem pentagram wewnątrz trójkąta, znajdującego się z kolei w środku

koła. W pokoju naliczyłem siedem osób; ani Janosz, ani żadna z sześciu kobiet nie mieli na sobie niczego

117

prócz cienkich czerwonych sznurków przepasanych wokół talii. Niewiasty klęczały w pięciu rogach

pentagramu. Przytrzymały za ręce, stopy i włosy, nie używając do tego praktycznie żadnej siły, szóstą

kobietę. Ta była zupełnie naga. Żadna z kobiet nie zdawała się być świadoma mojej obecności.

Rozumiałem, dlaczego szóstą sprawia wrażenie całkowicie nieprzytomnej - powracała z tej odległej krainy,

w którą wkraczamy podczas orgazmu. Piach i pentagram wokół jej bioder był rozsypany. Pozostałe kobiety

wyglądały jak w transie, jakby uczestniczyły w potężnym, transcendentalnym doświadczeniu.

- Już koniec, moje drogie - rzekł delikatnie Janosz, a kobiety powróciły natychmiast do stanu pełnej przytomności. Pomogły szóstej wstać, a jedna z nich przyniosła bukłak mocnego wina. Poznały mnie i powitały miło. Najwyraźniej żadna nie zdawała sobie sprawy z osobliwości tej sytuacji.

Janosz poprowadził mnie do drugiego pomieszczenia.

- Obawiam się, że obraz przeżytej dopiero co przyjemności może się okazać nieco rozprasający -

powiedział sucho. - Co cię sprowadza? Sądziłem, że ty i Deoce właśnie... właśnie o tej porze odnajdujecie

swoje niebo.

Nie mówiłem mu, że w tej chwili ja i Deoce udajemy, że się nie znamy. Powiedziałem mu natomiast o

mojej decyzji. Podniósł dłoń i dotknął figurki tańczącej dziewczyny, której drobna postać kontrastowała z

jego muskularnym, obnażonym torsem.

- Interesujące - zadumał się. - Mała grupka zdążająca na przespiegi. Almaryku, czasami odnoszę wrażenie,

że lepszy byłby z ciebie Zwiadowca Graniczny niżli bogaty kupiec.

Podziękowałem mu, wyrażając przy tym chęć rychłego wymarszu - za dzień, najpóźniej dwa, jak tylko

zgromadzimy zapasy żywności i wyrychtujemy broń.

- Masz rację - odezwał się i nagle przyszło mi do głowy, że Janosz zachowuje się, jakby stracił zainteresowanie Odkryciem oraz wszystkim dookoła, z wyjątkiem tego, co teraz zaprzętało jego umysł. -

Tak. Powinniśmy wyruszyć. Ale powinniśmy również starannie dobrać porę i dzień odejścia. Może - jego

głos zdradzał głęboką niepewność - może poprosimy naszego maga, by spojrzał na czarodziejskie runy i

podał nam najbardziej odpowiedni termin. A może byłoby rozsądniej gdybyśmy jednak zczekali, aż nasi

ludzie wydobrzeją. Zastanów się nad tym, Almaryku. Nikt z nas nie zachorował, lecz to żadna gwarancja, że

nie zarazimy się czymś paskudnym. Nie wyobrażam sobie, żeby miało mnie dopaść jakieś choróbko, z tych,

które nękały od jakiegoś czasu uczestników naszej wyprawy. A myślę, że w takim przypadku moje przyjaciółki z sąsiedniej izby okazałyby się o wiele lepszymi uzdrowicielkami niż ty.

Miałem na końcu języka ostrą ripostę, lecz powstrzymałem się w ostatniej chwili.

- Rozumiem - powiedziałem i wstałem. - Okazuje się, że przyszedłem do ciebie w najmniej odpowiedniej

chwili. Porozmawiamy o tym później. Jutro. - Wyszedłem, starając się opanować wzburzenie i nie okazywać

po sobie złości spowodowanej porażką.

Możliwe, że wściekłość zawładnęłaby mną na dobre, gdybym miał wówczas okazję zastanowić się nad

rozmową z Janoszem, lecz w swoim kawalerskim domku zastałem oczekującą na mnie Deoce. Nieważne, co

sobie powiedzieliśmy i ile rozlaliśmy przy tym łez. Jedyne kochankowie, którzy naprawiają spustoszenia

spowodowane kłótnią, mogą zrozumieć swoje uczucia i docenić ich wagę. Osoby postronne uważałyby ich

przeżycia albo za nudne, albo za obrzydliwie sentymentalne.

O świcie, kiedy wyszedłem za potrzebą, ujrzałem przed sobą Janosza. Wyraził skruchę i ubolewanie z

powodu wczorajszej rozmowy. Nie miał pojęcia, co mu się stało; no, chyba że... weźmiemy pod uwagę owe

niewiasty. Oczywiście, że wyruszymy na ekspedycję zwiadowczą. To wspaniały plan. Po kilku dniach marszu,

a przynajmniej taką miał nadzieję, urzeczywistnią się marzenia naszego życia. Jeśli tylko zechcę, wyruszymy

jeszcze dzisiaj... zakładając, że nadal potrzebuję do towarzystwa takiego głupka i leniucha jak on.

Roześmiałem się.

Teraz już wyczuwałem zapach Odległych Królestw, smakowałem je i wyobrażałem sobie, jak ich bogactwo

przesypuje się między moimi palcami, niczym złote monety w rękach skąpca.

Dwa dni później, niosąc ze sobą jedynie lekkie sakwy i suchy prowiant, wyruszyliśmy wraz z Janoszem na

powitanie Pięści Bogów.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

118

Pięść Bogów

Nasz marsz trwał znacznie dłużej niż przekonywał mnie wcześniej Janosz. W odpowiedzi na moje pytania

spojrzenie roześmiał się i stwierdził, że była to dla mnie cenna lekcja; lekcja, której powinien doświadczyć

każdy dobry dowódca. Nigdy nie wolno powiedzieć dowódcy, że jakkolwiek dystans jest większy niż pięć

wiorst, aby nie wyprowadzić go z równowagi. Za każdym razem pięć wiorst, dodał, a możesz podbić cały

świat.

Szliśmy szybko, znacznie szybciej niż na początku podróży kiedy opuściliśmy Wybrzeże Pieprzowe. Z

drugiej strony jednak staraliśmy się wybierać możliwie najbardziej kręty szlak, unikając otwartych przestrzeni. Kiedy stawało się to niemożliwe, zwracaliśmy baczną uwagę na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa i przeskakiwaliśmy z jednej kryjówki do drugiej. Po zmroku rozbijaliśmy prowizoryczne

obozowiska i nie paląc ogni wypoczywaliśmy do pierwszego brzasku. Dopiero w południe, w pełnym

świecie dnia przyrządzaliśmy posiłki na ognisku z suchego drewna, które nie dawało dymu. Spożywaliśmy je

następnego dnia podczas drogi. Wędrówkę opóźniał znacznie mój upór, z jakim codziennie oddawałem się

szkicowaniu mapy. Janoszowi wystarczyłoby odkrycie Odległych Królestw. W moim przypadku ważna była

możliwość powrotu do nich, a co istotniejsze, pokazanie kupcom szlaków, jakimi powinni podążać.

Łagodnie pofałdowany teren stopniowo przeobraził się w podnóża majaczących w oddali gór, które ani

odrobinę się nie przybliżyły. Cassini z wyraźną niechęcią nauczył Janosza zaklęć koniecznych do pobudzenia talizmanu Strażnika i po trzech dniach od opuszczenia Doliny po raz pierwszy dokonaliśmy

iluzorycznej penetracji terenu. Wówczas też popełniliśmy pierwszy błąd. Talizman pokazał, że

znajdujemy

się dokładnie na obranym przez nas szlaku, a Pięć Bogów leży bezpośrednio na linii marszu. Po jakimś

czasie od wypowiedzenia zaklęcia niespodziewanie poczułem, że ktoś... albo coś... mnie szuka.

Uświadomiłem sobie, że to osobliwe uczucie towarzyszyło mi jeszcze w tym czasie, kiedy byli z nami

Nadbrzeżni Ludzie i nawet zaklęcie Cassiniego rzucone na rzekę nie zdołało go rozwiązać. Zniknęło jedynie

na czas pobytu w Dolinie. Zaczęły mi przychodzić do głowy głupie myśli, a ponieważ Janoszowi towarzyszyło równie osobliwe uczucie, podjął ten temat jako pierwszy. Z początku porównywał siebie do

królika, który zdaje sobie sprawę z tego, że wygłodniały jastrząb kołuje mu nad głową: przypomniał też

sobie słowa Cassiniego o wielkiej rybie pływającej leniwie w stawie. Twierdził, że nie odczuwa, by nasz

Strażnik był czymś złym. Nie wyczuwał jednak również najmniejszego śladu życzliwości. Mieliśmy pewność: że interesuje się nami.

Owego dnia ponownie ujrzeliśmy Strażników. Dwie posągowe postacie, jak zrosnięte ze swymi wierzchowcami, obserwowały nas ze szczytu pobliskiego wzgórza. Wyłanialiśmy się właśnie z niewielkiego

gaju. Możliwe, że zdecydowałbym się jechać dalej nie zważając na ich obecność, tak jak to czyniliśmy

wcześniej, lecz Janosz powstrzymał mnie. Bez słowa, gestem nakazał, bym przypadł do ziemi i skrył się za

najbliższy krzak.

- Jesteś jeleniem - szepnął. - Rozumuj jak jeleni. - Pomyślałem, że dostał porażenia słonecznego, lecz poszedłem za jego radą nie wiedząc dokładnie, co miał na myśli. Moja wiedza o życiu jeleni była mizerna,

więc przypomniałem sobie te, które widzieliśmy na szlaku i starałem się wczuć w ich sytuację. Myśli

nieustannie uciekały do jeźdźców na wzgórzu. Jednocześnie wyczuwałem podświadomie, że nie powinienem na to pozwolić. Chwilę później Janosz poklepał mnie po ramieniu i kazał usiąść. Wskazał na

wierzchołek wzgórza - Strażnicy zniknęli.

- Nie podoba mi się to - ocenił. - Nie znamy ich intencji, jeśli w ogóle jakieś mają. Nie jestem też przekonany, czy obrali sobie nas za cel. Obawiam się jednak najgorszego. Ostatnio w ogóle ich nie widywaliśmy, lecz za każdym razem, gdy używaliśmy talizmanu, pojawiali się nieodmiennie. Trudno zapomnieć o tym, że talizman należał do jednego z nich, a podobieństwa zawsze się przyciągają, zarówno w

magii, jak i w życiu. Jeśli się nie mylę, powinniśmy używać go możliwie jak najrzadziej. Nie chcemy przecież niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

Osobiście uważałem, że nie miało sensu sądzić, iż Strażnicy pojawili się na wzgórzu zupełnie przypadkowo

akurat przed naszym przejazdem: lecz ostrożność Janosza na pewno nie mogła w niczym zaszkodzić. Od tej

chwili posuwaliśmy się zachowując jeszcze większą czujność i unikając otwartych przestrzeni; przechodząc

przez strumień skakaliśmy po skałkach, żeby nie zostawiać śladów w bagnistym brzegu rzeki i nigdy nie

wybieraliśmy udeptanych, najłatwiejszych ścieżek.

119

Po jakimś czasie zobaczyliśmy daleko przed sobą ruiny. Kolisty, kamienny fort nie sprawiał wrażenia porzuconego, lecz raczej zniszczonego przez burzę - olbrzymie drewniane wrota, najwyraźniej wyrwane z

zawiasów, leżały teraz w pewnej odległości od głównej bramy. Wszystkie części drewniane, to znaczy

dachy, daszki i bele wspornikowe, były zwęglone. Nasuwał się jeden wniosek - najeźdźcy puścili twierdzę z

dymem. Teraz zrozumiałem, dlaczego Janosz tak podkreślał znaczenie Cassiniego - też chciałbym wiedzieć,

czy wojownicy zginęli w uczciwej walce, czy też pochłonęła ich magiczna moc. Ruiny nie były porośnięte

winoroślami ani nawet chwastami, a z drugiej strony wszystko wskazywało na to, że bitwa została stoczona

wiele lat temu; wskazywało to na rękę czarodzieja. Rozmiary portali i schodów świadczyły, że tę krainę

zamieszkiwali ludzie naturalnych rozmiarów, a nie giganci. Nie skorzystaliśmy ze schronienia oferowanego

przez ruiny, lecz szybko je minęliśmy.

Zniszczona warownia mogła pełnić rolę granicznej placówki, bo od tamtej pory coraz częściej napotykał się ruiny. Spytałem Janosza, ile czasu mogło upłynąć od toczonych na tych terenach wojen.

Odparł, że nie orientuje się dokładnie, lecz uważa, że miały one miejsce przed jego narodzinami. Minąwszy

jedną ze spalonych wiosek usłyszeliśmy ujadanie i dostrzeżliśmy sforę psów goniących pręgowaną antylopę.

Było wśród nich kilka rasowych, z czego wynikało, że nie były to pierwotne stworzenia. Plemiona rolnicze,

niewątpliwie zamieszkujące te obszary, nie porzucają psów bez powodu. We wnętrzu jednej ze

zniszczonych chałup znalazłem małego, ręcznie rzeźbionego konika; wyglądało to na zabawkę, jaką ojciec

mógł wyrzeźbić dla syna. Żadne dziecko nigdy nie porzuci swojej zabawki, chyba że jest zupełnie

zniszczona... albo jeżeli zostanie od niej odciągnięte siłą. Odnosiłem wrażenie, że napastnicy, którzy

najechali osadę, zabrali wszelkie wartościowe rzeczy uprowadzając również jej mieszkańców. Nikt nie

zdołał uciec, w przeciwieństwie do naszych przyjaciół z Doliny. Niespokojne Ziemie, o ile rzeczywiście

wkroczyliśmy na ich teren, nie bez powodu nosiły taką nazwę.

Tamtej nocy spaliśmy w pobliżu wioski. Nagle zbudził nas odgłos kopyt końskich. Skurczyliśmy się w

sobie jeszcze bardziej, przylegając do ziemi w nadziei, że nie zostaniemy dostrzeżeni. Pogłos sugerował

spora liczbę jeźdźców - Janosz pokazał mi trzykrotnie wszystkie palce jednej ręki. Zdawało mi się, że

zaledwie o rzut włóczni od miejsca, w którym leżeliśmy widzę hełmy ze sterczącymi dumnie pióropuszcami,

lecz prawdopodobnie więcej w tym było mojej bujnej wyobraźni niżli prawdy. Nazajutrz po ostrożnej,

aczkolwiek wnikliwej obserwacji terenu przekonaliśmy się, że w miejscu, w którym musiał przejeżdżać

konny podjazd, nie widniał nawet najmniejszy ślad końskiego kopyta.

- Strażnicy jeżdżą grupami patrolując teren - wyjaśnił Janosz. - Jesteśmy już blisko.

Po jakimś czasie znaleźliśmy się w gęstym lesie; niebotyczne, prastare drzewa od wielu lat nie były tknięte

ludzką ręką. Baldachim gęstych konarów zupełnie przesłonił nam słońce, więc musieliśmy polegać

wyłącznie na kompasie i jeszcze na długo po zmroku nadal brnęliśmy pośród zielonej puszczy. Tej nocy

spaliśmy niespokojnie. Z otaczających ciemności coraz to dolatywały nas dziwne głosy nieznanymi

stworzeń, łowców i ofiar. Poczulem się dziwnie osaczony w tej pierwotnej dżungli, jakiej nie wyobrażałem

sobie nawet w snach. Przeszedł mnie lodowaty dreszcz, gdy usłyszałem tuż nad głową trzepot skrzydeł

olbrzymiego, nocnego ptaka. O świcie zjedliśmy skromne śniadanie i ruszyliśmy w dalszą drogę, mieczami

torując sobie przejście wśród gęstych zarośli.

Las skończył się tak niespodziewanie jak się zaczął. Stanęliśmy na skraju wielkiej, poszarpanej,

brązoworudej równiny, jakby pomalowanej przez Miesiąc Dymów; jeszcze niedawno wysokie trawy musiały

być żółte niczym kwitnąca gorczyca. Naszym oczom ukazały się zielone lasy i połyskujące srebrzyście

wody.

Daleko na horyzoncie rozpościerał się olbrzymi masyw górski. Widzieliśmy wyraźnie cztery szczyty oraz

piąty, wykręcony niczym ogromny kciuk. Dotarliśmy do równiny, która sięgała do Pięści Bogów. Pora roku

była zbyt wczesna na śnieg, a poza tym znajdowaliśmy się bliżej masywu niż w mojej wizji, więc z łatwością dostrzegłem białe płaty na szczytach kontrastujące z czarną, wulkaniczną skałą. Na wszystkie

świętości, myślałem sobie, znaleźliśmy Pięść Bogów. Za tą górą leżały upragnione Odległe Królestwa.

Odwróciłem się do Janosza, który obserwował mnie od dłuższego czasu. Nagle obydwaj wpadliśmy w dziki

szal radości, gadając bez ładu i składu i, rozdziawiając usta ze zdziwienia. Minęło sporo czasu, zanim

zdołaliśmy się opanować.

- Znaleźliśmy ją - odezwałem się.

- To prawda.

- Czy wierzyłeś tak naprawdę, że nam się uda?

120

Nie patrzyliśmy na siebie, nie próbowaliśmy odpowiadać na to pytanie. Być może zbyt wiele magii, niebezpieczeństwa i rozczarowania doświadczyliśmy już na Odkryciu, by utrzymać niezbędną pewność

siebie. Po chwili znów pękł uroczysty, oficjalny nastrój i rozpoczęliśmy szaleńczy taniec niczym dwaj

obłąkani z pragnienia wędrowcy, którzy po wielu dniach męczarni odnaleźli upragnione źródło krystalicznej wody. Wreszcie się uspokoiiliśmy.

- Przekleństwo - wyszeptałem. - Powinienem był zabrać flaszkę przedniego wina, aby uczcić to wydarzenie.

- Nie potrzeba nam tego, Almaryku - rzekł Janosz. - Woda z tamtego strumienia będzie smakowała lepiej

niż najlepsze wino. Możemy tam rozbić obóz; sądzę, że znajdujemy się nie dalej jak trzy, cztery dni drogi do

początku przełęczy.

- Potem może ze trzy dni górskiej wędrówki - mruknąłem - przejście przez przełęcz i...

- I ujrzymy przed sobą Odległe Królestwa - zakończył Janosz.

Zarzuciliśmy na ramiona ekwipunek i ruszyliśmy w kierunku strumienia. Czuję w sobie tyle siły, że chyba

mógłbym przefrunąć lub przepłynąć tę odległość. Zapomniałem o ranach pozostawionych przez

dżungli, obolałych, spuchniętych nogach. Dotarliśmy do miejsca, którego nie dotknęła jeszcze stopa

Orissanina ani Likantyjczyka. Zdałem sobie sprawę, że nie tylko tworzymy historię, lecz zmieniamy jej bieg,

i kształtując czasy, które miały nadejść. Jeżeli na dalekim skraju przełęczy ujrzymy Odległe Królestwa i

jeżeli wrócimy stamtąd cali i zdrowi, co do czego nie miałem cienia wątpliwości, nic już nie będzie takie

samo jak wcześniej.

Daleko z boku dostrzegłem sylwetki dwóch Strażników, lecz nie zwróciłem na nich uwagi.

Znaleźliśmy się nie dalej niż kilkanaście kroków za linią drzew, kiedy do naszych uszu doleciał

odgłos rogu. Z odległego o kilka rzutów włócznią zagajnika wychynęło trzech jeźdźców. Po paru chwilach

ujrzeliśmy następne dwie dziesiątki. Nie byli to Strażnicy - słyszeliśmy ich krzyki, które przypominały do

złudzenia wrzaski orissańskich myśliwych ścigających wielkiego odyńca, umykającego tuż przed nimi. Ci

jeźdźcy nie byli odziani w odświętne, paradne zbroje Strażników, lecz mieli na sobie praktyczne, wzmocnione stalą skórzane kaftany zwyczajnych włóczników. Zobaczyłem, że mężczyźni stają w strzemionach i napinają łuki. Trzy strzały wbiły się w ziemię zaledwie kilka jardów przed nami, więc

zawróciliśmy i puściliśmy się biegiem. Wpadliśmy w gęstwinę dżungli i nigdy w życiu nie radowałem się

tak bardzo na widok nieprzebytej plątaniny pnączy, gałęzi i krzaków.

Nie potrzebowałem porad Janosza. I tak czułem się jak zaskoczony zając, wiewiórka czy borsuk, ścigany

przez sforę ogarów i myśliwych. Kiedy torowaliśmy sobie drogę poprzez krzaki i powstrzymujące nas

gałęzie, za plecami słyszeliśmy odgłos przedzierających się przez gęstwinę koni, krzyki i rozkazy. Będą

musieli stracić sporo czasu na zejście z koni i przedzieranie się za nami na piechotę, albo na okrążenie lasu i

zastawienie pułapki. Nie przejmowaliśmy się ich decyzją; zdawaliśmy sobie sprawę, że w tej gęstwinie

możemy z powodzeniem ukrywać się przez wiele lat, chyba że sprowadziliby całą armię, by przeczesać

każdą piędź ziemi w dżungli. Wiedzieliśmy, że w tym lesie możemy przeczekać niebezpieczeństwo i dlatego

stał mi się on tak drogi jak moja własna komnata sypialna w długie, zimowe wieczory, gdy za oknem szalała

burza.

Mimo dość osobliwej sytuacji radość przepełniała moje serce. Widzieliśmy na własne oczy Pięć Bogów.

Teraz pozostał jedynie problem zgubienia naszych wrogów. Potem będziemy mogli powrócić do Doliny, a

następnie, zachowując niezwykłą ostrożność, przyjść tu samą drogą. Nasi ludzie z pewnością odzyskają do

tego czasu siły i zdrowie, a z setnikiem Maeenem na czele bez trudu sprostają tak nielicznemu podjazdowi

jak ten, przed którym zmuszeni byliśmy uciekać.

Nic nie było w stanie nas zatrzymać. Jeszcze przed nadejściem zimy wkroczymy na ziemię Odległych Królestw.

TAK PRZYNAJMNIEMUSIEM myślałem. Kiedy jednak wróciliśmy do Doliny, okazało się, że oczekują na nas

jedynie setnik Maeen i Deoce. Pozostali nas opuścili.

Pomimo napotkania po drodze licznych patroli, przeczesujących olbrzymie obszary, wędrowaliśmy z

Janoszem bez większych trudności. Owe podjazdy składały się z bardzo rzeczywistych żołnierzy. Według

oceny Janosza, wszystkie oddziały charakteryzowały się absolutnym profesjonalizmem, jednak dzięki jego

wojskowemu umiejętnościom udawało nam się je skutecznie omijać. Co więcej, jak przypuszczał mój

przyjaciel, poszukiwali oni o wiele większej grupy. Nas mogli wziąć za zwiadowców. Powstrzymywaliśmy

121

się od używania talizmanu, korzystając z mojej starannie naszkicowanej mapy, której tworzenie Janosz

określał jako kompletną stratę czasu.

Wreszcie dotarliśmy do Doliny i... ujrawszy co narobił ten syn nierządniczy, czyli mag, poczułem, że mój

świat legł w gruzach. Wszyscy milczeli, lecz mnie ogarnął istny szal. Janosz odszedł w kierunku jeziora,

zdezorientowany, z ponurą i zamyśloną twarzą.

Odzyskawszy panowanie, zapytałem co się stało. Otóż dwa dni po naszym odejściu zaniemógł setnik

Maeen. Cassini niewątpliwie wykorzystał tę okazję. Owej nocy tubylcy ujrzeli dziwne, kolorowe dymy

snujące się ponad dachem jego chaty.

Nazajutrz o świcie mag obwieścił, że Janosza i mnie spotkało coś bardzo złego: wpadliśmy w ręce nieprzyjaciela. Wątpił nawet, czy jeszcze żyjemy.

Przeklinałem Cassiniego wypowiadając w myślach najpaskudniejsze klątwy, jakie tylko przychodziły mi do

głowy, po czym zapytałem.

- Deoce, jak ty zareagowałaś? Przykro mi, że ten człowiek sprowadził na ciebie niepotrzebny smutek.

Deoce pokręciła przecząco głową.

- Nie czułam żalu, Almaryku. Wiedziałam, że żyjesz i nie stała ci się żadna krzywda.

- Skąd mogłaś to wiedzieć?

- Wierz mi... jeśli kiedykolwiek przejdiesz tę granicę, będę wiedziała. Będę pewna.

Dalsze pytania wydawały mi się zbędne.

- Co się stało po tym, jak Cassini rozgłosił te kłamstwa?

Deoce próbowała zakwestionować słowa maga. Poprosiła Poranną Mgłę, aby rzucił kośćmi dla potwierdzenia jej osobistych odczuć. Poranna Mgła nie odebrał żadnej wskazówki sugerującej, by przytrafiło się nam coś złego. Niestety nie znalazł również znaków, które mówiłyby, że jesteśmy cali i

zdrowi. Cassini stwierdził więc, że cała grupa musi natychmiast wracać na Wybrzeże Pieprzowe... a następnie do Orissy.

W tym momencie zdawało mi się, że setnik Maeen, który już prawie odzyskał siły po ataku choroby, wybuchnie płaczem.

- Szkoliłem ich - odezwał się złamanym głosem. - Myślałem, że znam tych łotrów. Myślałem... myślałem,

że się nie ugną.

Stało się inaczej, szczególnie kiedy Cassini zapewnił ich, iż zaklęcie wskazuje na to, że pozostawiliśmy

ślady... ślady, które sprowadzą do Doliny, naszych wrogów. Zignorowali zapewnienia wodzów, że to

niemożliwe. Wszystkich ogarnęła panika. W niespełna dzień zgromadzili zapasy żywności, zarzucili juki na

grzbiety zwierząt, czym prędzej wspięli się po schodach i oddalili od Doliny zdążając w kierunku zachodnim.

- Przekląłam ich - wyznała Deoce. - Ale nie jestem czarodziejką. Poprosiłam Jutrzenkę Nadziei, by rzuciła

na nich klątwę, lecz wyjaśniła, że jej lud tego nie robi, gdyż zniszczyłoby to potężne zaklęcie, a oni staliby

się równie nadzy i bezbronni jak my byliśmy na tamym pustkowiu.

- Może te łotry zdechną na pustyni - wyjęczał Maeen. - Albo zeżrą je te potwory z tych wielkich dołów.

- Nie. - Usłyszeliśmy głos Janosza. Wrócił sprawiając wrażenie całkowicie opanowanego. - Do tego nie

dojdzie. Mam silne przeczucie. Każdy, kto ucieka przed Odległymi Królestwami, nie ma się specjalnie

czego obawiać, oczywiście poza niespodziankami charakterystycznymi dla tych ziem. W pewien sposób

czuję, że Cassiniemu uda się bezpiecznie powrócić do Orissy.

- A zatem tam sobie z nim porozmawiamy - rzekłem złowieszczo.

- Jeśli będziemy mieli taką okazję, lecz nie to jest najważniejsze - stwierdził Janosz a ja ujrzałem w jego

oczach znajomy błysk, z którym po raz pierwszy opowiadał mi o swoim największym marzeniu.

Wiedziałem, co ma na myśli. Ponieśliśmy porażkę, to prawda, lecz nie możemy zapominać, że jest to

pierwsze większe niepowodzenie. Niewątpliwie będą następne. Wyciągnąłem otwartą dłoń, a Janosz, bez

wahania podał mi swoją.

Wrócimy, na bogów... wrócimy i zdobędziemy Odległe Królestwa.

Druga

Podróż

Morska

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bohaterowie i kłamcy

Dwa miesiące później, o poranku, mając rześki wicher w żaglach wpłynęliśmy do portu w Orissie. Mimo że

słońce już dawno rozjaśniło niebo nad miastem, port świecił pustkami i nie miał kto podziwiać umiejętności

L'ura, który po mistrzowsku wprowadzał „Nową Kittiwake” do przystani. Powiodłem wzrokiem po nabrzeżu poszukując znajomych twarzy, lecz jedynie parę opuszczonych wraków odwzajemniło moje spojrzenie, no i jakiś stary rybak naprawiający sieci.

- Widzę, że tylko nieznacznie przesadziłeś mówiąc o świetności Orissy, mój kochany Almaryku -

skomentowała oschle Deoce. - Port, w którym aż roi się od statków, łodzi i żeglarzy, rozległe aleje, kipiące

życiem targowiska. - Ponownie rozejrzała się po pustym nabrzeżu, po czym zwróciła się do Janosza:

-

Powiedz mi, proszę, czy zawsze jest tu tak tłoczno, czy przybyliśmy akurat w szczególnie pracowitym dniu?

- Janosz pokręcił głową, równie zdezorientowany jak ja.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał. - Normalnie harmider nie pozwala usłyszeć, co do siebie mówimy.

Deoce roześmiała się.

- A ten znowu to samo. Ciągłe próby, by zamącić w głowie barbarzyńskiej dziewczynie. -

Przemówiła

głębokim, niskim głosem parodiując mężczyznę: - Tak, moja kochana. Jestem bardzo znaczącym

człowiekiem w mym kraju. Bogatym człowiekiem. Mam wspaniały dom i liczną służbę. A teraz proszę cię,

byś jeszcze chwilę zabawiła w moim namiocie... - Uszczypnęła mnie mocno, widząc że marszczę brwi. -

No, spokojnie, spokojnie. Nawet jeśli jesteś biedny, i tak nie ma to wpływu na uczucie, jakim cię darzę.

- Uwierz mi, Deoce - odezwał się Janosz wyraźnie rozbawiony jej żartami - nasz przyjaciel wcale nie jest

biedny. Daję słowo.

- Oj, wierzę ci, wierzę, Janoszu - odparła Deoce. - Ale na przyszłość, proszę oszczędźcie mi opisów... -

powiodła ręką wzdłuż pustego nabrzeża - ... kipiących życiem portów.

Zeskoczyłem z trapu i podszedłem do starego rybaka.

- Gdzie się wszyscy podziali, dziadku? - zapytałem.

Podniósł kaprawe oczy i nie przestając jednocześnie związywać węzłów sękatymi palcami, przyjrzał się

dokładnie mojej osobie, ubraniu oraz mym dwojgu kompanom.

- Macie tęgiego pecha, panie, jak chcecie teraz zrzucić ładunek - powiedział wskazując głową na „Nową

Kittiwake.” - Po prawdzie, mielibyście pecha wczoraj, i dwa dni nazad też. - Pokręcił głową, jakby

rozkoszował się każdą chwilą naszego niepowodzenia. - Rozważcie moje słowa, jutro będzie nie inaczej,

jeno tak samo. Może kiedyś wszystko będzie po staremu, nie wiem. Choć cała kupa ludzisków czeka na

swoją kolej. Kupa ludzisków.

- Poradzimy sobie, dziadku - odpowiedziałem - ale dzięki ci za to, że się tak przejmujesz. Chcę się tylko

dowiedzieć, co się stało. Dokąd wszyscy poszli?

- Tyś Orissanin - ocenił starzec - i miarkuję, że musiało cię tu nie być sporo czasu. - Zerknął na Deoce,

zatrzymując na niej wzrok dłuższą chwilę. - Niewiasta nietutejsza - odezwał się. Odwrócił pośpiesznie

wzrok widząc, że Deoce zaczyna tracić cierpliwość i spojrzał na leżącą na mej dłoni monetę. Zdjął

ją

błyskawicznym, wprawnym ruchem i powrócił do wiązania sieci. - Dzięki, panie - powiedział. -
Zżera mnie

parszywe pragnienie i trzeba na to zaradzić. A teraz, co do tego pytania, panie. Zaraz wam
odpowiem. Mamy

tu wielgachną uroczystość. Już ze cztery, może pięć dni. Ludziom aż łby pękają od tego świętowania.
Mnie

łeb nie pęka jeno dlatego, że grosiwa brakuje. Trzosik mam pusty jak beczka po piwie.

- A cóż to za uroczystości, przyjacielu? - zapytał Janosz.

- Musieliście szmat czasu spędzić z dala od Orissy, panie - odparł starzec. - To nie wiecie, że nasi
odkryli

Odległe Królestwa?

123

Wymieniliśmy spojrzenia z Deoce i Janoszem.

- To niesłychane wiadomości - stwierdziłem spokojnie.

Starzec roześmiał się. - A juści - rzekł. - Teraz, my, Orissanie, jesteśmy górą. A Likantyjczycy wnet
ruszą w

ślad za nami. Bo tak po prawdzie nasza noga jeszcze tam nie powstała, ale już blisko jak diabli, mówię
wam.

Blisko jak diabli.

- A kim jest ów bohater, który zaszedł aż tak daleko? - spytałem starając się nie pokazywać sarkazmu
w

głosie.

- Jakiś tam młody mag - odpowiedział starzec. - Ludziska powiadają, że wcześniej nie był wart funta
kłaków. Ale teraz ważny jest, powiadam wam, panie. Zowie się Cassini. Słyszeliście o nim, panie?

- Istotnie, słyszałem - odparłem krótko.

- No, no, Cassini to teraz bohater, najlepszy jakiego spłodziła Orissa - ciągnął starzec. - Wrócił kilka
miesięcy temu nazad. Władze trzymały na tym pokrywę przez jakiś czas, ale na nic się to zdało. Całe

miasto

huczało. Rozumiesz, młody panie, wszyscyśmy myśleli, że Odległe Królestwa to bajka dla głuptaków, no

nie? A teraz prawda wyszła na wierzch, jak ta dżdżownica w porze dżdżu. Za niedługo wrócimy tam i

powitamy ludzi w Odległych Królestwach. Wtedy już nic nas nie zatrzyma. Tak, panie, jeno patrzeć, jak

chwała zaleje Orissę. Serce mi się raduje, że doczekał tego dnia. Od teraz będziemy się tarzać we złocie i

przyjemnościach.

Starzec wykrzywił twarz w bezzębnym uśmiechu.

- Tak czy owak, zrób ono wielkie obwieszczenie. A magowie i sędzie zarządziły siedem dzionków świętowania. Teraz się ma ku końcowi. Dziś popołudniem każdy obawatel, któremu trunki nie szumią

zbytńo we łbie, ma pójść do Wielkiego Amfiteatru. Cassini ma tam dostawać jakieś wielkie honory. Co

więcej, chyba będzie wyruszał z następną wyprawą. Jeno patrzeć, jak wypłyną. A teraz dobrze się

przygotują. Nie wyślą grupki z kilkoma żołdakami. Wielka siła, powiadam ci, panie, nic nam nie stanie na

drodze. Tak, młody panie, dumny możesz być z Orissy.

Poczułem, jak serce łomocze mi w piersiach.

- Lepiej pośpieszmy do domu mego ojca - zwróciłem się do Janosza i Deoce. Posłuchali bez słowa, lecz

kiedy oddalaliśmy się, starzec zawołał za nami: - Ktoś ty, młody panie? Jako cię zwa, bym wypił za ciebie w

tawernie, żeś mnie tak hojnie obdarował.

Odwróciłem się na pięcie.

- Jestem Almaryk Emilie Antero, do usług.

Starzec popatrzył na mnie, z niedowierzaniem otwierając usta, po czym odkrzyknął.

- Almaryk Antero! A to heca! Ale nie radzę ci, panie, próbować tego na kimś innym. Bo Odległe Królestwa

to było jego Odkrycie. Tyle, że poczciwy Almaryk uświercił gdzieś w głuszy. On i reszta cuchną teraz bardziej niżli zdechłe ryby. Cassini tak gadał.

Nie zdziwiło mnie, że Cassini opowiedział wszystkim o naszej śmierci. Zdażył już wypróbować swój talent

kłamcy na setniku Maeenie i kapitanie L'urze, a potem pozostało mu wiele tygodni na ułożenie dokładnego

planu. W drodze do domu z trwogą myślałem o wrażeniu, jakie te ponure wieści musiały wywrzeć na mej

rodzynie. Niepokój dodawał nam skrzydeł, a lojalność również wspomagała nasz szybki powrót, jako że L'ur

dał mniej więcej tyle samo wiary opowieści Cassiniego co setnik Maeen. Kiedy mag na czele grupy tarczowników stanął przed L'urem, poczciwy żeglarz zgodził się przetransportować go do Redond, ani

kawałka dalej. Tam kapitan czekał na mnie dotrzymując umowy, jaką zawarliśmy na Wybrzeżu Pieprzowym.

- Coś mi nie pasowało w gadaniu tego Cassiniego - relacjonował L'ur. - Rzekłem mu „Zostanę przy młodym Antero, szlachetny panie. I przy kapitanie Szarym Płaszczu.” Cassiniemu wyraźnie nie spodobała

się ta odpowiedź, ale nie miał zbyt dużego wyboru, beze mnie nie znalazłby szybkiego statku do Orissy.

Pędziłem do domu mego ojca, czując wzbierającą wściekłość i rosnącą nienawiść do Cassiniego. Moje

wzburzenie znalazło swe uzasadnienie: ojciec zaniemógł srodze na wieść o mej śmierci, a moja siostra, Rali,

ujrzawszy mnie przeżyła głęboką rozterkę obawiając się, że szok związany z dobrymi wiadomościami może

wysłać ojca na tamten świat. Poszła przygotować go na moje zmarywychwstanie, a w chwilę później

zaprosiła mnie do komnaty. Osłupiałem na widok słabego, wychudłego mężczyzny, który spoczywał nieruchomo w wielkim łożu. Skurczył się i zestarzał, a wisząca luźno na kruchych kościach skóra nabrała

woskowej barwy. Jedyne jego zapadnięte głęboko oczy rozjarzyły się radosnym blaskiem na mój widok.

124

- Dzięki Te- Date, że mój syn przybywa cały i zdrowy - wysapał. Poczułem tak silne wzruszenie, że bliski

płaczu padłem na kolana. - Nie płacz, Almaryku - pocieszył mnie ojciec. - Niedawno poczułem obecność

Mrocznego Poszukiwacza. Odczułem przemożną pokusę, by pójść za nim, lecz... ostatecznie przepędziłem

go. Gdybym tego nie uczynił... - położył trzęsącą się dłoń na mej głowie - ... nigdy nie zaznałbym tak wielkiego szczęścia.

Zmusił mnie, bym wstał. Poklepał miejsce na łożku obok siebie. Ujrzałem, jak na blade, wyschnięte policzki występują lekkie rumieńce.

- Usiądź i opowiedz mi o swych przygodach, synu - powiedział. - Znalazłeś Odległe Królestwa?

- Nie - odparłem. - Ale widziałem góry o wyglądzie czarnej pięści. Widziałem też przełęcz prowadzącą na

drugą stronę.

- Wiedziałem, że ci się uda - odrzekł ojciec. - Marzyłem o tym przez długie lata. Teraz wiem, że nie były to

próżne marzenia.

Zdałem ojcu krótką relację z naszych przygód. Najbardziej uradowała go wieść, że powróciłem z wyprawy

z przyszłą żoną. Chwycił mnie mocno za rękę.

- Bez względu na to, co leży tam dalej, Almaryku - wyszeptał - traktuj ją jako swój skarb największy, a

umrzesz jako szczęśliwy człowiek. - Zwolnił uścisk, przymknął powieki i przeraziłem się, że odszedł na

zawsze, lecz po chwili dostrzegłem nikły uśmiech rozjaśniający jego oblicze i lekkie drganie brody. Spał.

Wyśliznąłem się z komnaty i dołączyłem do pozostałych.

Moją siostrą targały przeciwstawne uczucia: z jednej strony wściekłość na Cassiniego, z drugiej radość z

naszego szczęśliwego powrotu.

- To ty jesteś bohaterem, Janoszu. Ty i mój brat.

- Zastanawiam się - odparł Janosz - co odpowiedzieć. Prawdę mówiąc nigdy nie uganiałem się za sławą.

Jest zbyt ciężka, przysparza więcej niewygód niżli przyjemności i zbyt łatwo można ją stracić.

- Lecz, jak się okazuje, trwają przygotowania do kolejnej ekspedycji - odezwałem się. - A chcą, by poprowadził ją właśnie bohater. Teraz takim bohaterem jest w oczach wszystkich Cassini.

- To parszywy kłamca - rzuciła Deoce. - Wyzwij go na pojedynek za te wszystkie szkody, jakie wyrządziły

jego matactwa. Zabij go. W taki sposób my, kobiety z Salcae, potraktowałybyśmy takiego człowieka.

Rali roześmiała się, a ja z rozkoszą wsłuchiwałem się w ten ukochany śmiech.

- Naprawdę polubiłam ją, Almaryku. Nie zasługujesz na nią. - Mrugnęła do mnie i zwróciła się do Deoce: -

My, Orissanie nie różnimy się tak bardzo od was, kochana Deoce. Cassini jest jednak magiem. Nie można

wyzywać na pojedynek maga. Najmniejszą karą, jaka by spotkała takiego śmiałka, byłaby nieprzyjemna

śmierć.

Deoce skrzywiła się.

- Teraz już wiem, że to mężczyźni sprawują tu władzę - stwierdziła. - Żadna kobieta z charakterem nie

przystałaby na takie prawo.

Janosz rąbnął ciężką pięścią w stół, który zakołysał się od uderzenia.

- Żaden mężczyzna też nie powinien na nie wyrazić zgody - rzekł stanowczo. - Ale odebranie mu życia

wydaje się zbyt prostą zemstą. Odległe Królestwa będą moje, do diaska. Niczyje inne.

- A zatem niechaj dojdzie do konfrontacji - zaproponowałem. - Ludzie wkrótce zaczną się gromadzić, by

oddać mu należne honory. Pójdziemy tam i nie tylko pokażemy im, że żyjemy, lecz powiemy, że niczego nie

zawdzięczamy temu kłamliwemu tchórzowi, który porzucił nas w potrzebie i namówił pozostałych, by

poszli jego śladem.

Tak właśnie zrobiliśmy. Przekonałem Rali i Deoce, że najlepiej będzie jeżeli zostaną pilnować domu na

wypadek, gdyby nie wszystko poszło po naszej myśli. Wydałem polecenie, by osiodłano wierzchowce i

mając na sobie wciąż nasze zniszczone, podróżne stroje ruszyliśmy do Wielkiego Amfiteatru. Na ulicach

ujrzeliśmy sporo ludzi. Co więcej, uświadomiłem sobie, że mimo iż stary rybak nie uwierzył moim słowom,

niewątpliwie rozpowiedział ludziom o młodym głupku, który twierdzi, że jest Almarykiem Antero.

Podnosili teraz głowy i spoglądali niepewnie na konnych. Podniosły się głosy zdziwienia.

- Czyż to nie Szary Płaszcz? - usłyszałem poszepty ludzi. - A czy tamten obok niego to nie Almaryk Antero,

we własnej osobie? A zatem to prawda! Oni żyją!

Ktoś z tłumu zawołał

- Dokąd jedziesz, kapitanie Szary Płaszczu?

- Jedziemy, żeby narobić wstydu wielkiemu kłamcy. - odkrzyknął Janosz. - Jego słowa oraz wieść, że nasze

przybycie wcale nie było bezpodstawną plotką, rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy i zauważyliśmy, że

tuż za nami zaczął gromadzić się coraz większy tłum, wykrzykując słowa otuchy i przeklinając Cassiniego i

jego kłamstwa. Wkrótce stanęliśmy u bram Wielkiego Amfiteatru. Potężnie zbudowany strażnik próbował

zagrozić nam drogę, lecz przeraziły go złowieszcze okrzyki tłumu. Kapitan straży podniósł włócznię i

wezwał nas do zatrzymania się.

- Jak śmiesz tak mówić do obywatela Orissy - krzyknąłem, jednakże mój protest okazał się zbyteczny.

Kiedy strażnik rozpoznał Janosza, opuścił zdumiony włócznię.

- Na Te- Date, toż to Janosz Szary Płaszcz - zawołał. - Żyw, jak tego, dnia kiedy wyszedł z matczynego

łona! - Podszedł do Janosza. - Wiedziałem, że żaden mag nie mógłby czegoś podobnego osiągnąć. - Zwrócił

się do swoich ludzi: - Czyż nie mówiłem, chłopaki? Czyż nie mówiłem wam, że tylko prawdziwy wojownik

mogł dokonać tego, co ów przebrzydły kłamca sobie przypisał? - Tarczownicy zaczęli wiwatować. Kapitan

straży poklepał Janosza po łudzie. - Dalej, człowieku - ryknął basem. - Odległe Królestwa są dla nas

wszystkich. Dla żołnierzy i dla zwyczajnych obywateli, a nie tylko dla tych piekielnych magów. - Zsiedliśmy

z koni, rzuciliśmy wodze strażnikowi i przeszliśmy przez bramę. Za nami wlał się tłum ludzi.

Tamtego dnia nikt chyba nie chciałby być w skórze Cassiniego. Wyobrażam sobie, jak się czuł jeszcze kilka

chwil przed naszym nadejściem. Wszystkie miejsca w Amfiteatrze były zajęte. Tysiące ludzi, którzy

przybyli, żeby wychwalać jego triumf, z pewnością przeżywało głębokie uniesienie. Istniała jednak niktła

możliwość, że Cassini również je odczuwał. Niewątpliwie doskonale przygotował się do ceremonii, spędziwszy uprzednio wiele nocy na nauce przemówienia pokornego bohatera, które to zamierzał dzisiaj wygłosić. Odczekałby cierpliwie wszystkie wstępne mowy, nurzając się w głębi duszy w falach samouwielbienia. Nadchodził punkt kulminacyjny, najdonioślejszy moment jego życia, które, jak się do niedawna obawiał, przeminęłoby niedocenione. Marzył o kolejnych tryumfach. Poprowadzi następną ekspedycję do samych wrót Odległych Królestw i wróci otoczony jeszcze większą chwałą. Tak, przez krótki okres, Cassini doświadczył, co znaczy splendor i chwała. Potem pojawili się my i klepsydra glorii uroniła ostatnie ziarenka piasku.

Jeneander, ten stary oszust, właśnie gotował się do prezentacji swego protegowanego. Stał na obszernej scenie amfiteatru; jego głos, podobnie jak cała postać, zostały wyolbrzymione zaklęciem, rzuconym przez stu dwunastu magów jeszcze w czasach, gdy położono w tym miejscu pierwszy kamień. Otaczał go tłum osobistości z wszystkich dziedzin orissańskiego życia. Na dwóch najbardziej zaszczytnych miejscach zasiadali: Gamelan, najstarszy ze Starszyny magów, oraz Sishon, jego odpowiednik pośród Sędziów.

Pośrodku, na ozdobionym przepięknymi ornamentami tronie, zasiadał Cassini. Czoło jego zdobił wieniec

bohatera.

Jeneander znajdował się mniej więcej w połowie przemowy, kiedy tłum, który wtargnął za nami zaczął

skandować nasze imiona i głowy wszystkich zgromadzonych w Amfiteatrze odwróciły się jak na komendę.

W chwilę później powstał nieopisany chaos. Zewsząd rozlegały się wrzaski; to tu, to tam wybuchały nagłe,

dzikie bijatyki. Słyszałem, jak skandują moje imię, lecz najgłośniejsze i najczęściej wykrzykiwano imię

Janosza. Janosz. Janosz. Ujrzałem Cassiniego. Stał jak sparaliżowany tuż obok Jeneandera, z grymasem

panicznej trwogi na twarzy. Upokorzenie całkowicie go unieruchomiło, lecz za to znajdujący się w pobliżu

ludzie ożywili się znacznie. Niektórzy umknęli pośpiesznie ze sceny; inni zaczęli mu wymyślać, chociaż

panujący dookoła harmider uniemożliwił mi rozróżnienie poszczególnych słów. Gamelan jako pierwszy z

magów opanował targające nim emocje. Zbliżył się do Jeneandera i Cassiniego, objął ich ramionami,

podniósł głowę ku niebu i rzucił zaklęcie. Cała trójka zniknęła w gęstym słupie dymu i ognia.

Wtedy tysiące ramion uniosło nas w górę; poszybowaaliśmy przez arenę, aż znaleźliśmy się na scenie. Ja

pierwszy stanąłem na nogach. Za ledwie zdążyłem złapać równowagę, tuż obok mnie wylądował Janosz.

Rozejrzał się dookoła, nieco zdezorientowany, jako żołnierz czując się niepewnie w obecności tak wielu

skupionych na nim spojrzeń. Popchnąłem go do przodu domyślając się, że w tym właśnie miejscu na scenie

nasze postacie zostaną powiększone. Po ciszy, jaka niespodziewanie zapadła, zorientowałem się, że moje

przypuszczenie okazało się trafne.

- Orissanie! - krzyknąłem, a moje słowa eksplodowały w powietrzu i powróciły echem, niemal wytrącając

mnie z fizycznej równowagi. - Wszyscy mnie znacie, albowiem jestem jednym z was.

Tłum zaczął skandować moje imię. - Almaryk! Almaryk! Almaryk!

Uciszyli się, gdy podniosłem dłoń.

126

- Jestem pewien, że wszyscy słyszeliście o stojącym tu obok mnie wojowniku.

Przedstawieniu Janosza towarzyszyła dzika owacja. Popchnąłem go przed siebie wyczuwając, że ludzie

pałają do niego ogromną sympatią, do Janosza i szepnąłem mu: - Przemów do nich. Chcą cię usłyszeć.

Oczy Janosza świeciły dzikim blaskiem

- Co mam powiedzieć?

Popchnąłem go, tym razem mocniej.

- Po prostu powiedz im prawdę.

W tamtej chwili Janosz po raz ostatni doświadczał cierpienia, jakie zwykle towarzyszy początkującym

aktorom. Nagle stanął prosto otrząsając się ze strachu i zmieszania. Postąpił krok do przodu, pełen wiary w

siebie, jakby został zrodzony do takiej roli.

- Mieszkańcy Orissy! - zagrzemiał. - Przynoszę wam wieści o Odległych Królestwach...

Przemowę, jaką tamtego dnia wygłosił, wychwalano jeszcze przez długie tygodnie. Orissa nigdy wcześniej

nie miała podobnego bohatera. Stał oto przed nimi człowiek pochodzący z królewskiej rodziny, panującej w

egzotycznym kraju. Był również wojownikiem, żołnierzem, który wiedział, co znaczy cierpienie. Co więcej,

krążyły pogłoski, że kiedyś był niewolnikiem, więc mogli być pewni, że nieobce mu są trudy i znoje

zwyczajnych ludzi. Ośmieszył i wytknął oszustwo magowi, a czyż nie jest prawdą po dziś dzień, że nawet

najprzywocitszych czarodziejów można szanować, ale nigdy darzyć sympatią? Najważniejsze jednak, że

złożył im dar. Zwykli ludzie otrzymali to, co jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się zupełnie

niemożliwe. Obiecał, że posunie się dalej i postawi stopę na magicznej ziemi, która oferowała tak wiele

obfitości.

Jeśli chodzi o mnie, również dostąpiłem zaszczytów i honorów. Ludzie wyprawiali na moją cześć uczty i

gratulowali mi udanego Odkrycia. O ile fałszywa skromność nie nazwie mnie teraz kłamcą, powiem, że

mnie również obwołano bohaterem. Mimo wszystko, to właśnie moje Odkrycie stało się zarzewiem całej

sprawy. Przemierzyłem ten sam szlak co Janosz, cierpiałem te same trudy, co i on. Choć poprzednio rwałem

się do natychmiastowego organizowania nowej ekspedycji i wyruszenia przetartym szlakiem, teraz, kiedy po

wielu miesiącach znalazłem się w rodzinnym domu, moje serce nie tęskniło już tak mocno za Odległymi

Królestwami. Ojciec leżał złożony chorobą, a biorąc pod uwagę słaby charakter mych braci, to ja miałem

wziąć na barki ciężar interesów rodziny Antero. Moi bracia nie mieli powodu do kłótni, kiedy ojciec ogłosił

mnie swym następcą. Zostałem głową rodziny. Poklask, jaki zdobyłem swym Odkryciem, zmazał w dużej

mierze cienie z dobrego imienia naszej rodziny, a przynajmniej sprawił, że atakowanie nas było czynem

wielce nieroztropnym.

Ach, tak; zapomniałem o jeszcze jednej sprawie... Deoce. Stała się pociechą dla mego ojca, który zawsze

potrafił znaleźć odpowiednią wymówkę, aby skłonić ją do dotrzymania mu towarzystwa. Mimo że stan jego

zdrowia ciągle się pogarszał, pomyślelibyście, że starzec młodnieje, gdy Deoce wchodzi do jego komnaty.

Nic dziwnego, jako że nieustannie z nim dowcipkowała i flirtowała. Do dziś dnia jestem całkowicie

przekonany, że przedłużyła mu jego czas. Deoce oszołomiła również Rali, natychmiast angażując się na polu

manewrowym, prosząc o nauczanie nowych sztuk walki i udzielając wielu użytecznych porad,

opartych na

własnym doświadczeniu.

- Nie ma w mojej Gwardii ani jednej kobiety, która nie byłaby w stanie ci jej odbić - powiedziała mi Rali. -

Jedyna rzecz, jaka je powstrzymuje, to fakt, iż ta wspaniała kobieta kocha cię wprost do szaleństwa.

Ceremonia zaślubin z konieczności była niezwykle skromna. Gdyby lista gości wykroczyła poza najbliższą

rodzinę, nowo zdobyta przeze mnie chwała uczyniłaby z tego powód do obrazy. Zaplanowaliśmy więc

skromną uroczystość w domu mego ojca, oddając się w opiekę bogowi naszego ogniska domowego.
Z

początku niepokoiłem się, że Deoce poczuje się zlekceważona.

- Dlaczego miałabym się czuć dotknięta? - wzruszyła ramionami. - Pośród ludu Salcae małżeństwo jest

ważniejsze niżli samo przyjęcie weselne. Prawdziwie wielka feta odbywa się po okresie, gdy para młodych

szczęśliwie przeżyła ze sobą cały cykl zniwny. Z każdymi następnymi zniwami przyjęcia stają się coraz

bardziej huczne. Myślę, że w Orissie dzieje się odwrotnie, jako że kobiety mają tu tak niewiele do powiedzenia. Przyjęcie weselne to ochłap rzucony dziewczynie, która ma przed sobą perspektywę życia w

służbie mężowi. To praktycznie jedyna chwila w jej życiu, kiedy znajduje się w centrum uwagi i jest ważniejsza od otaczających ją gości. Czyż nie słyszałam, jak Rali wylewa gorzkie skargi z tego właśnie

powodu?

127

Deoce ujęła mnie za rękę i położyła ją delikatnie na swym lekko powiększonym brzuchu. Wiedzieliśmy

oboje, że za kilka miesięcy będziemy mieli maleńką córeczkę, ponieważ Rali poprosiła pewną

wiedźmę,

która zajmowała się leczeniem kobiet z jej oddziału, żeby rzuciła odpowiednie zaklęcie.

Roześmiałem się

czując, jak maleństwo kopnęło.

- Jak ją nazwiemy? - zapytałem.

- Powinniśmy uczcić nasze matki - odpowiedziała Deoce. - Nazwijmy ją Emilie, po nazwie klanu twojej

matki, oraz Ireena po mej matce.

- Zastanówmy się. Emilie Ireena Antero... Podoba mi się.

- Chcę, żebyś mi coś obiecał, Almaryku - poprosiła moja przyszła żona.

- Co tylko zechcesz.

- Nie chcę, żebyśmy wychowywali naszą córkę w świadomości, że kobiety muszą zachowywać się tak jak

Orissanki. Czuję po mocnych kopnięciach, że będzie miała silną wolę. W nocy, kiedy dookoła panuje cisza,

słyszę jak jej małe serduszko bije równie mocno. To wrażliwe serduszko, Almaryku, proszę cię, uwierz

mi. Jestem tego pewna, mimo że jeszcze się nie spotkałyśmy.

- Wynajmę najlepszych nauczycieli - odezwałem się podekscytowany. - Poprosimy Rali, żeby również ją

uczyła dając przykład niezależności.

- To nie wystarczy - odpowiedziała Deoce. - Emilie pozna inne kobiety, będzie obserwować, jak schylają

pokornie głowy w towarzystwie mężczyzn, czując, że są mniej warte, bo nie mają jąder, i w niemym cierpieniu pełniąc wyznaczoną im rolę aż do końca swego mizernego życia.

- Jaką obietnicę mam ci zatem złożyć, aby temu zapobiec? - zapytałem.

- Chcę, żeby moja matka pomagała w jej wychowywaniu - padła zwięzła odpowiedź. Wstrzymałem oddech,

bo któryż z ojców chciałby, żeby dziecko zniknęło mu na jakiś czas z oczu? Deoce dostrzegła mój niepokój i

mocniej ścisnęła mi rękę. - Proszę, musisz to dla mnie zrobić. Jeśli powiesz „nie,” zaakceptuję to; nie jako

służebna orissańska żona, bo taką nigdy nie będę, ale dlatego, że cię miłuję, mój Almaryku. Żadne dziecko

nigdy nie będzie ważniejsze od tej miłości. Nie chodzi mi o to, żeby ją gdzieś odsyłać. Tego również, podobnie jak ty, nie potrafiłabym znieść. Chodzi mi o to, żeby za trzy lata - zanim zdąży ulec złym

wpływowi środowiska - Emilie Ireena musi spotykać się często z moją matką, aż do obrzędów kobiecości,

kiedy skończy szesnaście wiosen. Po tym czasie już tylko osobiste słabości mogą wpłynąć na jej sposób

myślenia. Obiecuję ci, Almaryku, że nie będzie to dziecko o słabym charakterze.

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej przekonywałem się do tego, co powiedziała Deoce. Ogarnął mnie

nawet entuzjazm i zacząłem postrzegać całą sprawę jako podniosły, nowatorski eksperyment: połączenie

dwóch kultur, którego owocem staje się doskonałe dziecko, złote dziecko. Złożyłem oficjalną obietnicę, po

której przyłgnęliśmy do siebie tak blisko, jak tylko może przyłgnąć para kochanków. Poczulem, że jej ręka

ześlizguje się wzdłuż mych gołych ud. Schyliła się, aby pocałować gruby mięsień, który tam znalazła, po

czym podniosła wzrok, a czarne loki spłynęły kaskadą na jej piękną twarz.

- Skoro powiedzieliśmy już sobie wszystko - szepnęła - postaram się, żeby niczyje uczucia nie zostały

zranione. - Po tych słowach skupiła się na kojeniu „uczuciu” swymi gorącymi ustami.

Tydzień później odbyła się ceremonia zaślubin. Mój ojciec był zbyt słaby, żeby aktywnie w niej

uczestniczyć. Siedział na wygodnym na krześle i łkał z radości jak małe dziecko. Rali przejęła jego

obowiązki i poderżnąwszy gardło jagnięciu, wypełniła jego krwią ofiarną misę przeznaczoną dla boga.

Janosz pełnił rolę brata Deoce, namaszczając nasze brwi krwią jagnięcia. Po skończonym rytuale ucztowaliśmy w radości i pokoju przez trzy dni.

Ojciec zmarł tuż przed naszą podróżą weselną. Pocieszam się myślą, że umarł szczęśliwy: jego błądzący

syn okazał się wart zaufania, rodzinę, która zostawiał na ziemskim padole, otaczała aureola chwały, a największe marzenie z czasów młodości urzeczywistniło się. Kiedy jednak zastanawiam się nad jego uczuciami, nie potrafię zapomnieć słów Janosza wypowiedzianych na Wybrzeżu Pieprzowym - że mój

ojciec jest lepszym od niego człowiekiem, ponieważ będzie usatysfakcjonowany, jeśli jego syn osiągnie to,

co zostało uniemożliwione jemu. Mój ojciec istotnie był dobrym człowiekiem, niewątpliwie lepszym od

Janosza czy ode mnie. Niestety, nie był doskonały, a tylko doskonały człowiek może umierać w absolutnym

szczęściu. Nie wtedy, kiedy stało się jasne, że po odkryciu Odległych Królestw świat, który dotychczas znał,

już nigdy nie będzie taki sam.

128

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyprawa druga

Nie dla przechwałek piszę, że pogrzeb Paphosa Karimy Antero był jednym z największych w historii naszego miasta. Tak wielu chciało na niego przybyć, że sędziowie zarządzili otwarcie Wielkiego Amfiteatru,

aby tłumy mogły tam obejrzeć stos pogrzebowy. Niemal wszyscy mieszkańcy Orissy uczestniczyli w długiej

procesji wzdłuż rzeki, prowadzącej ku Gajom Podróżnych, gdzie złożyliśmy ofiarę Te- Date, a ja rozsypałem na wiatr prochy mego ojca.

Wszyscy, włącznie ze mną, byli zdumieni, jak popularną osobą był mój ojciec. Ten z natury spokojny człowiek stronił od zaszczytów i liczego towarzystwa, lecz - jak już wspomniałem wcześniej w tym dzienniku - posiadał wprost niezwykłą umiejętność wyczuwania kłopotów pocziwych, zasługujących na

godziwy żywot ludzi i dawania z siebie wszystkiego, aby ulżyć ich cierpieniom. Potrafił również znakomicie

prowadzić interesy, by wychodząc jak najlepiej na danym targu, nie zrażać do siebie rywali. To, że jego

popularność nigdy nie przejawiała się publicznie, składał na karby złej woli magów i zła, jakie wyrządzili

Halabowi. Teraz jednak, dzięki memu jednoznacznemu zwycięstwu, nikt nie obawiał się okazać nam swej

sympatii. Tym razem, strach miał zupełnie inne źródło, jako że echa pogrzebu trwały jeszcze długo potem,

jak wiatr rozwiał resztki prochów mego ojca. Potężni możnowładcy zaczęli poszukiwać nowych sprzymierzeńców; niezgoda zagościła również w szeregach magów.

Pogrzeb mego ojca z towarzyszącym ceremonii oplakiwaniem, rwaniem włosów z głowy i napuszonymi

przemowami stanowił ważne tło dla żarliwej debaty, która pochłonęła bez mała wszystkich mieszkańców

Orissy. Dyskusja ta dotyczyła drugiej ekspedycji... i osoby Janosza Szarego Płaszczu. Nie

zdawaliśmy sobie

tak naprawdę sprawy, jak wielki wpływ wywarły na nasze życie Odległe Królestwa.

Niespodziewanie,

wszelkie akceptowane dotychczas stare zwyczaje zostały podane w wątpliwość. Wszyscy - od stojących

najwyżej w hierarchii społecznej do najbiedniejszego niewolnika - uważali, że zasługują na swój udział w

tym, co miało niebawem nastąpić. Ludzie domagali się jak najrychlejszej zmiany. Dla zwykłych kobiet i

mężczyzn, dla właściciela karczmy, żołnierza, czy niewolnika; dla młodych i żądnych przygód, Janosz stał

się symbolem nadziei.

Szary Płaszcz promieniał w intensywnym świetle nagłej popularności. Brał udział w nie kończących się

przyjęciach wydanych na jego cześć, a następnie zbierał ze stołów przysmaki i trunki, które rozdawał

ulicznym biedakom. Opowiadał o naszych przygodach w najbogatszych domach oraz w nadbrzeżnych

slumsach. Za każdym opowiadaniem historia nabierała nowej świeżości, a on za każdym razem wzruszał się

dochodząc do momentu, kiedy to zobaczyliśmy łańcuch górski w kształcie czarnej pięści. Kobiety

zaczepiały go na ulicach błagając, aby pozwolił im urodzić jego dziecko; matki nazywały synów jego

imieniem; ojcowie wystawali całymi dniami oczekując okazji, by móc uścisnąć jego dłoń. Każdy chciał o

coś zapytać.

- Pytano mnie już o wszystko - od opłat celnych, poprzez podatki, aż po cenę wina w karczmach - zwierzył

mi się kiedyś Janosz. - Czy ciasto na chleb rośnie lepiej w czasie przyływu czy odpływu, czy konie o

ciężkich zadach lepiej nadają się do uprzęży czy pod wierzch? Jakiś rybak zapytał mnie, czy lepiej zarzucać

sieci, kiedy księżyc kryje się za chmurami. A jakaś kobieta, na Butalę, spytała nawet czy podoba mi się jej

córka, a następnie naciskała, żebym przekonał się, czy będzie z niej dobra nałożnica. - Wyszczerył zęby

spomiędzy ciemnego zarostu i poskrobał się po brodzie. - Na szczęście nikt nie kwestionował mej prawdomówności, gdy odpowiedziałem twierdząco na obydwa pytania.

Jeśli nawet owo bałwochwalstwo uderzyło Janoszowi do głowy, nie pozwalał sobie na kompletną utratę

rozsądku. Rzucił się w odmęty tego szaleństwa mając przed oczyma jasno wykreślony cel: kiedy się z niego

wyłoni, poprowadzi następną, i jak przyrzekał, ostateczną ekspedycję do Odległych Królestw.

- Nie jestem politykiem - mówił. - Nie pragnę być sędzią... czy królem, jeśli takie są zwyczaje tego miasta.

Bogactwo jest dla bogaczy; niechaj się radują chciwością, jeśli tylko potrafią. Tak naprawdę w życiu liczy

się tylko idea, a zaczynam przypuszczać, że w przyszłym życiu jest dokładnie tak samo.

Nie ulegało wątpliwości, że drugą ekspedycję poprowadzi właśnie Janosz. W naszej naiwności,

zdumieliśmy się niewspółmiernie, gdy główny głos sprzeciwu doszedł nas z najmniej oczekiwanej strony.

129

Heroizm to dziwna ludzka cecha. Nikt nie pojawia się po wielkiej próbie ze znakiem bohatera na czole.

Heroizm jest swoistym nadaniem; sędzią ostatecznym jest otoczenie, pozostali muszą się z nim zgodzić i

pochylać głowę na ulicy, mijając takiego bohatera. Kiedy już obwołano kogoś bohaterem, nie jest łatwo, jak

się przekonaliśmy, odebrać mu tę zaszczytną szatę. Zwolennicy Cassiniego, a było ich naprawdę wielu, czuli

się święcie przekonani, że młody mag padł ofiarą wielkiej niesprawiedliwości. Kłamstwa, które początkowo

szerzył, zostały stopniowo jakby rozcieńczone. Niektórym było nawet na rękę zapomnieć o nich zupełnie;

inni twierdzili, że ktoś świadomie przeinaczył jego słowa; jeszcze inni grzmieli, że Janosz i ja upozorowaliśmy swą śmierć z jakiejś niejasnej, nikczemnej przyczyny. Wielu ze zwolenników Cassiniego

można było określić mianem pocziwych głupców: jeśli już raz podałeś rękę bohaterowi, gratulując mu

szczerze i wychwalając jego imię na całym świecie, trudno jest nagle zmienić o nim zdanie, jako że jego

heroizm zostawił na nas pewne piętno. Z drugiej strony, najpotężniejsi poplecznicy Cassiniego kierowali się

bardziej skomplikowanymi pobudkami. Przyznanie, iż jest nikczemny i niegodziwy, oznaczałoby upokorzenie dla nich samych a, jak wiadomo, w krętych zaułkach władzy, gdzie bitwę albo się wygrywa,

albo przegrywa, nie ma miejsca na upokorzenie.

Na przeszkodzie Janoszowi stał jeszcze jeden problem: część wpływowych osobiście nie odczuwała potrzeby poznania Odległych Królestw. Byli zadowoleni z tego, co już posiadli. Ciężkie, okute żelazem

skrzynie w ich piwnicach nie domykały się od nadmiaru złota, ich niewolnicy bez zarzutu spełniali swe

obowiązki, a perspektywa jakiegokolwiek zmiany mogła nieść jedynie zagrożenie dla tego boskiego raj.

Malaren, mój przyjaciel i kolega po fachu, bardzo trafnie to kiedyś określił. Był w moim wieku i chociaż

miał pewne cechy fireyka, pod pozorem elegancika kryła się tęga głowa myśliciela, który maskował swój

talent swobodną, nierzadko nonszalancką powierzchownością.

- Och, nie musisz mnie przekonywać, drogi Almaryku - mówił. - Uważam to za dość ekscytujące. Ale

wszyscy wiedzą, że uważam również, iż Orissa stała się posepną, starą jędzą o zaplutej brodzie. Musisz

wpłynąć na mego ojca i jemu podobnych. On nadal sądzi, że to miasto jest szczytem doskonałości.
Wcale

mu się przy tym nie dziwię. Nie musi nawet podnieść palca, żeby złoto wysypywało się z ładowni
jego

statków. Nie zwraca najmniejszej uwagi, kiedy mu mówię, że jego synowie i córki nie będą mieli tak
łatwego życia, a jeszcze cięższy los przypadnie w udziale jego wnukom.

- Ale chyba zdaje sobie sprawę, że jednym ruchem możemy doprowadzić do rozszerzenia wpływów
miasta

- odpaliłem. - A na szali nie znajdują się tylko zyski i wpływy. Człowieku, pomyśl o wiedzy, którą
można w

ten sposób zyskać! Nie ulega wątpliwości, że mieszkańcy Odległych Królestw mają nam wiele do
zaoferowania. Sam fakt ich istnienia, pomimo tak wielu przeciwności losu, świadczy niezbicie, że pod

wieloma względami ustępujemy im mądrością i poziomem cywilizacji.

- To właśnie najbardziej go przeraża - odparł Malaren. - W tej chwili mój ojciec jest niby wielki
wąż na

płytkiej wodzie. Żywi się, kiedy przyjdzie mu na to ochota, bez najmniejszego trudu znajdując strawę.
Jak

będzie jednak wyglądał, kiedy zmierzy się z mieszkańcami Odległych Królestw? A jeśli dwukrotnie
przewyższają go rozmiarami... albo są jeszcze więksi?

- To już nie zależy od nas - odpowiedziałem. - Nie możemy pozwolić, aby Odległe Królestwa znów
zamieniły się w legendę i po prostu zawrócić z raz obranej drogi. Zapewniam cię, że Likant
natychmiast

skorzysta z okazji i wkroczy na szlak, z którego my zrezygnujemy. A wtedy gwarantuję ci, że

nadmuchiwane królestwo twego ojca szybko obróci się wniwecz. Jego profity, nie - całe jego życie,
stanie w

obliczu wielkiego zagrożenia. Wierz mi, Likantyczycy nie wykażą tyle cierpliwości, by pozwolić mu
umrzeć

z godnością i dopiero wtedy dobrać się do jego dzieci.

Malaren zamyślił się, po czym skinął głową.

- Nigdy wcześniej nie kładłeś tak silnego nacisku na ten ostatni argument - odezwał się po namyśle. -

Pozwól, że mu go przytoczę, a potem zobaczymy.

Wkrótce po naszej rozmowie przyjaciele Cassiniego wydali kosztowne, choć nie wychodzące poza pewne

kręgi przyjęcie, aby uczcić swego bohatera. Nikt z zewnątrz nie wiedział, co się na nim wydarzyło, jako że

trzymało to w ścisłej tajemnicy, lecz w następnym tygodniu miasto zalała istna fala najróżniejszych plotek

atakujących osobę Janosza. Zarzucano mu, że jest opłacany przez Likant, że w rzeczywistości, jest synem

jednego z archontów i uprawia czarną magię głównie z zamiarem zwaśnienia poczciwych obywateli Orissy.

Janosza najwyraźniej nie obeszyły oszczercze ataki. Kiedy poradziłem mu, aby odparował cios i powiedział

tym kłamcą coś do słuchu, nie skorzystał z mojej rady.

130

- Za tym stoi Cassini i wszyscy zdają sobie z tego sprawę - powiedział. - Jedyne, co mogę zrobić, to powtórzyć to, co już wcześniej powiedzieliśmy: że jest tchórzliwym, zapatrzonym w siebie oszustem.

Niestety, tak się zwykle dzieje, że im częściej się to powtarza, tym szybciej ten sam zarzut zostaje skierowany przeciwko jego autorowi.

- A zatem co proponujesz?

- Obstawać przy swoim - odparł Janosz. - Z każdym dniem zyskujemy nowych sprzymierzeńców. Co więcej, zostałem zarzucony tyłoma prośbami wzięcia udziału w następnej ekspedycji, że właśnie zamierzałem poprosić cię o fundusze, byśmy mogli wszystkich zadowolić. Jestem żołnierzem, nie urzędnikiem, ale zaklinam się na bogów, którzy opiekują się urzędnikami, że już nigdy w życiu nie będę

oczerniał tego zawodu. Zalewa mnie powódź dokumentów, pergaminów, oświadczeń. Są wszędzie i

z dnia

na dzień jest ich coraz więcej.

- Nie martw się tym - pocieszyłem go. - Mogę wynająć ci kogoś do pomocy oraz odstąpić jakieś pomieszczenie w jednym z naszych biur. Jednak... czy nie wyprzedzasz trochę biegu wypadków?
Druga

ekspedycja nie została jeszcze oficjalnie zatwierdzona, a tym bardziej osoba, która ją poprowadzi.

- Wiem o tym - rzekł Janosz. - Ale zamierzam kontynuować przygotowania jakby nigdy nie podlegało to

kwestii. Zbyt wielu ludzi w to wierzy. Nie ma sensu dawać naszym przeciwnikom pola do popisu.

- To bardzo właściwe podejście - przyznałem. - Kiedy jednak już wspominasz o tych wszystkich, którzy

sprzeciwiają się twojej wyprawie, nie zapominaj o jednej grupie, która, choć nieliczna, posiada ogromne

wpływy. Mam na myśli magów. Wszyscy oni popierają Cassiniego. Przypuszczam, że nie mają wyboru, jako

że potępienie jego czynów równałoby się potępieniu samych siebie. Bez względu na to, jak wielu Orissan

nas popiera, wystarczy jedno słowo magów, by zniweczyć nasze plany.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał Janosz i czułem, że sam w to wątpi. - Osobiście uważam, że nie upłynie

zbyt wiele czasu. A jeśli nawet sam wielki Te- Date stanie na drodze tym masom ludzi, obawiam się, że

rozerwą go na strzępy i nie zważając na konsekwencje, ruszą ku Odległym Królestwom.

- Może masz i rację - odparłem. - Chociaż sądzę, że twoja wizja jest zbyt różowa. Magowie wciąż są potężną siłą. Nie można ich lekceważyć, w przeciwnym razie możemy stracić o wiele więcej niż tylko drugą

wyprawę.

Rali ostatecznie udowodniła, że moje obawy, choć w pełni uzasadnione, okazały się grubo przesadzone.

Kiedy otrzymałem wieści, odpoczywałem właśnie w miejskiej łaźni. Był to jeden z tych niewielu dni, kiedy

udało mi się uciec od napięć związanych z handlem i polityką i dać ukojenie zmęczonym mięśniom i umysłowi. Dzień chylił się już ku końcowi, więc poza niewolnikiem, który doglądał gorących kamieni, w

łaźni pozostało tylko kilku mężczyzn. Kiedy napięcie puściło i ze spokojem rozważałem swoje sprawy

osobiste, takie jak na przykład upragniony powrót do domu i rzucenie się w objęcia Deoce, usłyszałem

głośny protest właściciela łaźni.

- Kobietom tu nie wolno!

- Zejdź mi z drogi, pchlarzu - nadeszła grzmiąca odpowiedź. Rozpoznałem dźwięczny głos Rali.

- Proszę przyjść jutro - odparł pchlarz. - Jutro jest dzień dla kobiet. Dzisiaj przyjmujemy tylko mężczyzn.

- Nie naprzykrzaj mi się, człowieku. Nie zobaczę tam nic, czego nie widziałabym już wcześniej.

Usłyszałem odgłosy szarpaniny, krzyk bólu, po czym Rali weszła zwycięsko do opustoszałej sali.

Dostrzegła mnie mimo kłębow pary i podeszła sprężystym krokiem, ignorując przerażone spojrzenia pozostałych mężczyzn. Poklepałem miejsce obok siebie na kamiennej ławie, bawiąc się ich zażenowaniem i

patrzając z radością, jak moja ukochana siostra po raz kolejny stawia świat na głowie.

- Szukam cię od samego rana, Almaryku. - oświadczyła. Rozejrzała się po sali; mężczyźni pośpiesznie

odwrócili wzrok. Nie mieli pojęcia, jak się powinni zachować. Uważali, że doznają upokorzenia bez względu na to, czy zdecydują się zostać, czy też wyjść.

- Prawdę mówiąc, czuję się taka zmęczona - powiedziała w końcu Rali - że chyba dołączę do ciebie.

Po tych słowach zrzuciła sandały, ściągnęła tunikę i w mgnieniu oka usadowiła swe wspaniałe, gołe pośladki na gorącej ławie. - Więcej pary - krzyknęła do niewolnika, który pośpiesznie wypełnił polecenie.

Dwaj czy trzech mężczyźni umknęli z łaźni równie szybko.

Rali rozciągnęła się na ławie, rozkładając szeroko nogi. Jeden z siedzących tu jeszcze mężczyźn ośmielił się

zlustrować ją pożądliwie, lecz moja siostra, zamiast złączyć nogi i zakryć piersi, odwzajemniła mu się

hardym spojrzeniem. - Zjadłabym cię żywcem, mały - warknęła. Mały uciekł bez słowa, a zanim kolejna

131

kropla potu zdążyła spłynąć mi po brwiach, w łaźni, oprócz nas, nie było już nikogo. Wybuchnąłem gromkim śmiechem i chichotałem tak długo, aż rozboleł mnie brzuch.

- Doskonale - odezwała się Rali. - Do tego, co chcę ci powiedzieć, potrzebuję prywatności. Ale najpierw...

trochę wina, mój drogi bracie, żeby zaspokoić pragnienie.

Nalałem jej wina i natychmiast opróżniła kielich. Następnie zaczerpnęła duży dzban zimnej wody i poląła

się z wyraźną rozkoszą. Woda spłynęła na podłogę, wpadając do zagłębienia z kamieniami, gdzie zmieniała

się w potężny słup pary.

- A teraz powiedz mi, cóż to za wieści doprowadzają cię do takiej desperacji, że straszysz tych biedaków? -

zapytałem.

- Och, przesadzasz, Almaryku. Przynajmniej będą teraz mieli o czym gadać. To doda pieprzyku ich nudnemu żywotowi. Może tak ich podnieciłam, że przy odrobinie szczęścia popędzą do domu, by natychmiast udowodnić swym kobietom, że mimo wszystko naprawdę są mężczyznami.

- No, przestań się wymądrzać - przerwałem jej z uśmiechem. - Wieści? Co to za wieści? - Napełniłem jej

kielich i przeszła od razu do sedna.

- W moim oddziale jest pewna młoda kobieta - zaczęła Rali - której matka od wielu lat służy magom

jako

czyścicielka podłóg. Od tak dawna czyści ich korytarze i komnaty, że w końcu przestali ją dostrzegać.

Ponieważ owa kobieta okazała się na tyle mądra, że skierowała córkę do mego oddziału i nie posłała jej w

swoje ślady, myślę, że zgodzisz się ze mną, iż magowie nie wykazali się zdrowym rozsądkiem traktując ją w

ten sposób. Szczerze mówiąc, matka mojej podopiecznej darzy ich tak wielką niechęcią, że z radością

zgodziła się podsłuchiwać ich sekretne dysputy.

Wyprostowałem się na ławie. Rzeczywiście nadarzała się wyśmienita okazja. Gwardia Maranon składa

przysięgę zachowania neutralności we wszystkich sprawach miasta, więc z konieczności muszą mieć wiele

„uszu,” jak to ujęła moja siostra, aby uniknąć posądzenia o kierowanie się uczuciem. - Powiedz mi coś

więcej, o mądra i piękna siostró - poprosiłem.

Rali roześmiała się, dała mi kuksańca w ramię i ciągnęła dalej:

- Wczoraj w południe odbyło się spotkanie Rady Starszych. Uczestniczyli w nim również Cassini oraz jego

mentor, Jeneander. Nasza czyścicielka znalazła brudne miejsce na posadzce tuż przed drzwiami komnaty i

nastawiała uszu. Twierdziła, że z głosów wynikało jasno - szczerze mówiąc, byli bardzo wzburzeni - że

przedmiotem ich debaty były Odległe Królestwa.

- A więc sprawy zaszły aż tak wysoko - rzuciłem posępnie. - Gromadzą przeciwko nam swe najpotężniejsze

siły.

- Nie możesz się bardziej mylić - brzmiała odpowiedź mojej siostry. - Może trudno w to uwierzyć, ale

magowie są równie podzieleni jak mieszkańcy Orissy. Oficjalnie popierają Cassiniego, robią jednak wyłącznie dlatego, że jest on jednym z nich i wielu czuje wewnętrzny przymus. Prywatnie cała sprawa podzieliła ich na kilka zwaśnionych obozów. W tej chwili poplecznicy tego typu, Cassiniego, trzymają wodze w swoich rękach, lecz, według tego, co mówi nasza dzielna informatorka, ręce zaczynają im coraz bardziej drżeć. Najgłośniejszym bowiem zwolennikiem dla całej ekspedycji i osoby Janosza jako jej przywódcy jest nikt inny, jak sam Gamelan.

Omal nie spadłem na podłogę.

- Ale... on jest najstarszy z nich wszystkich. A co za tym idzie, najbardziej zdeterminowany, by bronić honoru magów.

- Ja również doszłabym do takiego wniosku - odrzekła Rali. - Jednak z jego uwag wynikałoby coś zupełnie

przeciwne. Jak się okazuje, wygłosił namiętną przemowę, w której podkreślił, iż Orissie grozi głęboka

stagnacja, co w obliczu zewnętrznego niebezpieczeństwa wydaje się niemal katastrofą. Nie tylko trzeba

wysłać jak najszybciej drugą ekspedycję, lecz na jej czele powinien stanąć Janosz, jako że od jej powodzenia

zależy tak wiele.

- A Cassini? - zdjęty bezgranicznym zdumieniem ledwo mogłem mówić.

- Najwyraźniej Gamelan ocenia go bardzo nisko. Oświadczył bowiem otwarcie, że Cassini nie tylko zhańbił

dobrze imię magów, lecz również podkopał wiarę, jaką ludzie w nich pokładali.

Teraz nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- Wiarę? Bardziej chodzi tu o strach niż o wiarę.

- No cóż... zgadza się. Najważniejsze, że Gamelan jest po naszej stronie. Nigdy nie sądziłam, że

dożyję

dnia, kiedy jakiś mag opowie się po stronie rodziny Antero.

132

- Ja też nie - przyznałem. - Jaki był wynik debaty?

- Oczywiście Gamelan poniósł porażkę, lecz nasz sumienny szpieg doniósł, że zwycięstwo było zaledwie o

krok. Wydaje mi się, że musimy znaleźć sposób, by subtelnie wesprzeć te zmiany w szeregach magów. -

Absolutnie zgadzałem się z jej tokiem rozumowania. Nie wiedziałem tylko jak się do tego zabrać. W głowie

wirowało mi od kłębiących się myśli, poszukujących najlepszego rozwiązania. - Jest jeszcze jedna sprawa -

odezwała się moja siostra. - Zdaje się, że istnieje jakieś, małe ugrupowanie, stojące na czele pozostałych.

Matka mojej podopiecznej zaklinała się, że z piwnicy nieustannie dochodziły ją tajemnicze odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi. Rzucano wiele zaklęć, rozlegały się dziwne głosy, dolatywały jeszcze

bardziej osobliwe zapachy; osobliwe nawet jak na jaskinię czarodzieja. To niezwykle tajemnicza grupa i

pozostali nie bardzo wiedzą, co mają o nich myśleć.

- Co uważa nasz przyjaciółka?

Rali wzruszyła ramionami.

- Nie ma pojęcia. Nic jej nie przychodzi do głowy. Powiedziała mi, że gdyby ona miała jakieś podejrzenia,

to Gamelan i pozostali magowie również domyśliliby się tego.

Mimo że wszystko wskazywało na szybkie rozwiązanie dręczącej nas sprawy, ciągnęła się ona jeszcze przez

kilka tygodni. Janosz wysłuchiwał informacji Rali i z tym większą zapalczywością zaczął nękać swych

przeciwników.

Jeśli chodzi o mnie, miałem na głowie rodzinę i interesy. Pomysł skryzalizował się wkrótce po naszym

powrocie do Orissy. Była to idea, której nasionko zaczęło kiełkować po śmierci Eanesa. Z początku myślałem sobie, że jestem głupcem, skoro pozwalałem sobie na pielęgnowanie takiego planu, lecz im

przyglądałem się, jak zwykli ludzie reagują na Odległe Królestwa, uważając je za swoją własność, tym

bardziej przekonywałem się do swojej koncepcji. Przed podjęciem jakichkolwiek kroków postanowiłem

skonsultować się z Deoce.

- Od niedawna jesteśmy razem, kochanie - zacząłem. - Ale w tym czasie znalazłem w tobie nie tylko kochającą żonę i bliskiego przyjaciela, lecz również najlepszego doradcę, jakiego kiedykolwiek miałem.

- Dziękuję, że tak mówisz, mężu - odparła - ale ten wstęp jest całkowicie zbyteczny, jako że w dniu, w

którym przestałbyś pytać mnie o radę i, co więcej, liczyć się z moimi słowami, wsiadłabym na pierwszy

statek odpływający do Salcae, gdzie nie używa się słodkiego balsamu, zanim zapyta się kobietę o zdanie.

Sploniłem się jak sztubak, a Deoce roześmiała się wesoło, klepiąc mnie po ramieniu. - Nie obawiaj się,

drogi Almaryku. Jeżeli twój charakter pozwolił ci traktować mnie tak jak inni Orissanie traktują swe żony,

dawno bym to dostrzegła. I, co najważniejsze, nigdy nie poszłabym z tobą do łóża.

Poruszyła się na poduszkach próbując znaleźć wygodną pozycję, po czym poklepała się po brzuchu, który

powiększył się już znacznie, co wskazywało, że nasza córeczka, Emilie, jak obwieściły ostatnio akuszerki,

niebawem do nas dołączy. - Słuchaj, uważnie, maleństwo - zwróciła się Deoce do brzucha. - Twój

ojciec ma

zamiar przemówić.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Myślę, że znalazłem powód niepokojów, które dręczą Orissę. To samo jest przyczyną, dla której Odległe

Królestwa tak silnie przemówiły do wyobraźni ludzi. Ty sama wielokrotnie zetknęłaś się z tą... chorobą, bo

chyba można to tak nazwać.

- To sprawa nieprzyznawania praw kobietom, prawda? - zapytała.

- Tak, to wiąże się z problemem, o którym myślę. Kobiety są jednak tylko jednym czynnikiem. W Orissie

wszyscy wraz z narodzinami zostają bezpowrotnie przypisani do swych ról. Kobieta może podjąć się tylko

kilku powszechnie aprobowanych zadań. Tak samo dzieje się w przypadku wszystkich klas społecznych w

tym mieście. Jeśli urodziłeś się rzemieślnikiem, to umrzesz rzemieślnikiem... i tak dalej. Halab napotkał na

barierę nie do przebycia próbując zostać magiem.

- Jeżeli ktoś ma jakieś marzenia, bardzo ciężko mu żyć w takim mieście - zgodziła się Deoce.

- Masz rację - przyznałem. - W Orissie nie istnieje zakaz posiadania marzeń, ale na pewno się do nich nie

zachęca. Sami siebie otumaniamy. Rozkoszujemy się zuchwałymi rozmowami i radujemy, gdy zwykli ludzie

zwracają się do nas z wielkim szacunkiem.

- Do czego zmierzasz? - spytała.

- Zacząłbym od najnędzniejszych z nędznych - odpowiedziałem. - Dałbym wolność niewolnikom. Usuń tę

barierę, a zacnie się powódź. Potem puszczą wszystkie tamy, kiedy każda klasa popędzi z nurtem rzeki i po

drodze uderzy w inną, i jeszcze w inną, i tak dalej... Kto wie... może nadejdzie dzień, kiedy nawet niewolnik

otrzyma tytuł szlachecki.

Deoce obdarzyła mnie promiennym uśmiechem aprobaty, który wlał w moje serce otuchę i niewysłowioną

radość.

- Jako kobieta, która znalazła się o włos od niewolnictwa, zgadzam się z tobą całkowicie. Nasz śmiały

przyjaciel, Janosz Szary Płaszcz, jest najlepszym przykładem tego, co może osiągnąć niewolnik.

- Uwolnienie naszych niewolników będzie tylko początkiem - zapewniłem ją. - Najpierw będziemy musieli

trzymać język za zębami, ponieważ obawiam się, iż publiczne ogłoszenie czegoś podobnego wzbudziłoby

tylko kontrowersji, że nasz plan zostałby wystawiony na poważne niebezpieczeństwo.

- Mądrze mówisz - przyznała. - Jeśli jednak podzielimy się opinią z niewielkimi grupkami ludzi, efekt

będzie większy i... spokojniejszy.

- Jedyne kłopot to moi bracia - westchnąłem. - Żeby dać dobry przykład, wszyscy członkowie rodu Antero

powinni uwolnić swoich niewolników. Przeczuwam wielki rodzinny spór.

- To dobrze. W końcu krew popłynie im szybciej w żyłach. Twoi bracia potrzebują takiego wstrząsu. Zbyt

długo żyli kosztem ojca, a teraz unoszą się leniwie na falach popularności, jaką im zafundowałeś.

Bracia, tak jak przeczuwałem, nie odnieśli się do naszej propozycji zbyt entuzjastycznie. Rodzina Antero

posiadała na własność około stu pięćdziesięciu dusz, z których większość stanowili niezwykle kosztowni

niewolnicy do prac w domu, wykwalifikowani pracownicy portowi i farmerzy, albo wykształceni

urzędnicy i

nadzorcy. Dając im wolność zredukowalibyśmy bogactwo naszej rodziny o jedną piątą. Mój najstarszy brat,

Porcemus, stawiał największy opór. Był dwukrotnie ode mnie starszy i z nas wszystkich najbardziej przypominał ojca, choć rysy miał o wiele bardziej miękkie.

- Twój plan to czyste szaleństwo - zaproponował. - Puścisz nas z torbami. Kto zajmie miejsce niewolników?

Pomyśl o tygodniówkach, człowieku! Nie możemy sobie na to pozwolić.

- Złoto nie stanowi tu żadnej przeszkody. Jeśli jakaś idea jest z gruntu słuszna, powinno się ją wprowadzić

w życie bez względu na koszty. Jeśli jednak upierasz się... - Wziąłem do ręki ciężki wolumin. - Rzuć okiem

na liczby, które tu umieściłem, a sam się przekonasz, że taniej jest zatrudniać pracownika niż utrzymywać

niewolnika. Wolny człowiek płaci za swoje utrzymanie. Pracuje wydajniej, ponieważ może polepszyć swe

warunki, podczas gdy niewolnik zawsze pozostanie niewolnikiem, więc po cóż miałby trudzić się i starać? -

Otworzyłem dokumenty i wskazałem kolumny cyfr. - Patrz tutaj, Porcemusie. Od piętnastu lat wielkość

produkcji sadu utrzymuje się prawie na tym samym poziomie. Zmieniła się na korzyść tylko jeden raz.

-
Spojrzał na cyfry marszcząc brwi. - Był to rok, kiedy gorączka rozłożyła wszystkich twoich niewolników -

ciągnąłem. - Musieliśmy wynająć wolnych ludzi, żeby wykonywali za nich pracę. Zbiory były imponujące,

nieprawdaż? Mniej produktów kwalifikowało się do wyrzucenia, ponieważ pracowali szybciej i efektywniej,

żeby zarobić więcej pieniędzy.

Między mymi braćmi rozległy się pomruki zdziwienia. Porcemus przejawiał jednak bezpodstawny

upór,

jaki może okazywać tylko osoba o niezbyt lotnym umyśle.

- Nie możesz wysnuwać takich wniosków opierając się jedynie o wyniki z jednego sezonu -
odpowiedział.

- Jestem daleki od pochopnych decyzji. - Podsunąłem mu bliżej księgę rachunkową. - Znalazłem
wiele

innych przykładów, dzięki którym można dostrzec podobne prawidłowości. W ciągu tych wszystkich
lat

nasze zyski zwiększają się, kiedy zamiast wykorzystywać pracę niewolnika płacimy uczciwą zapłatę.

Szczerze mówiąc, nie zawarłem tutaj produktów przewożonych naszymi statkami, chociaż tu tkwi
główna

pryczyna zwiększenia dochodów. Jak wiesz, rzadko używamy niewolników w interesach
handlowych... z

powodów, które przed chwilą nakreśliłem. Nawet najmniej wykwalifikowany kupiec wie, że nie ma
większej motywacji jak zysk.

- Nadal uważam, że opętał cię jakiś demon - rzekł Porcemus. - Gdyby wszyscy uwolnili
niewolników,

liczba obywateli natychmiast by się podwoiła. W takiej sytuacji, jaką proponujesz, populacja
wzrosłaby o

prawie trzydzieści tysięcy. Zapanowałaby anarchia. Nastąpiłby koniec Orissy. - Ze złością odepchnął
księgi.

- Czyż nasza rodzina nie dość już wycierpiała? Najpierw Halab... a teraz ty.

Spodziewałem się ataku na moją osobę. Byłem na to przygotowany i zamierzałem zachować
całkowity

spokój i rozsądek. Nie mogło mnie dziwić, że moich braci zżerała zazdrość, iż ktoś tak młody jak ja

otrzymał zaszczytną funkcję głowy rodziny. Atak na Halaba zaskoczył mnie jednak całkowicie i
postąpiłem

głupio wstając od stołu tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się z hukiem na podłogę. - Gdyby nie
płynęła

w tobie moja krew - ryknąłem - zabiłbym cię tak jak siedzisz.

134

Porcemus pobladł. Pozostali bracia próbowali mnie uspokoić. Nie ich słowa doprowadziły mnie jednak do

opanowania, lecz widok przerażonej twarzy Porcemusa. Co za beznadziejny przypadek, pomyślałem sobie.

Nagle całe wzburzenie minęło. No, cóż, myślałem dalej. Są mi ciężarem, ale co z tego? Byli również ciężarem dla ojca, a on, obarczając cię tą wielką odpowiedzialnością, zaufał, że nie ugniesz się pod ciężarem

tego brzemienia.

Westchnąwszy, podniosłem krzesło i postawiłem je na miejscu.

- Przepraszam za mój gniew, bracie - odezwałem się. - Chciałbym, byś zgodził się na mój plan. Aby

złagodzić ból, proponuję, że z własnej szkatuły wypłacę ci równowartość twoich niewolników. - Zwróciłem

się do pozostałych: - Czy to wystarczy? - Usłyszałem głosy akceptacji. Porcemus zrobił się nagle bardzo

przyjazny, przytulił mnie mocno, przeprosił, po czym wszyscy wyszli.

W taki właśnie sposób ja, Almaryk Emilie Antero, stałem się pierwszym człowiekiem w Orissie, który

uwolnił niewolników. Całe przedsięwzięcie nie było powodem do dumy, jako że wiązało się przede

wszystkim z chęcią zysku, ale przynajmniej wreszcie się dokonało. Czekałem na reakcję. Pierwsza nadeszła

z najmniej oczekiwanej strony.

- Coś ty narobił? - zagrzemiał Tegry.

Czułem się zbity z tropu; niewolnicy nie odzywają się w ten sposób do swych właścicieli. Potem

przypomniałem sobie, że nie jest już niewolnikiem. Trochę czasu upłynie, zanim się do tego przyzwyczaję,

szczególnie w przypadku kogoś, kogo tak nie cierpiałem. Tegry'ego zatrzymałem wyłącznie przez

wzgląd na

ojca.

- Uspokój się, Tegry - powiedziałem. - Wyjaśnij mi mój błąd, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go

naprawić.

- Ty... ty... ty mnie uwolniłeś!

Jestem pewien, że wyraz mojej twarzy nie był bardziej inteligentny od tego, jaki maluje się na pysku zdumionego osła.

- Co ci się nie podoba? - wyrzuciłem z siebie. - Uwolniłem wszystkich niewolników.

Oczy Tegry'ego zapalały nienawiścią.

- Całe życie pracowałem jak wół, żeby osiągnąć obecną pozycję - wycedził jadownicę. - A teraz koniec.

Skradłeś całą moją dumę.

- W jaki sposób? Nadal przecież masz swą pracę, tyle tylko, że otrzymujesz za nią zapłatę. Wciąż pełnisz

funkcję rządcy, tak jak robiłeś to wcześniej.

- Ja... ja... szczam na twoją zapłatę! Więcej kradłem w ciągu jednego dnia, do czego miałem zresztą pełne

prawo. Powinienem dostawać osiem razy więcej. Co do mojej pozycji, nie posiadam teraz żadnej władzy

nad służbą. Żadnej faktycznej władzy. Dałeś im wszystkim wolność, ty głupcze. Kiedy rozkazuję im

pracować, śmieją mi się w nos, jeśli nie podoba im się sposób, w jaki się do nich zwracam.

Niedawno

złapałem za bat, a jeden z tych łajdaków miał czelność wyrwać mi go z rąk. A potem... zwolnił się. Wyszedł.

Nie mogę rozkazać mu wrócić, ponieważ nie wymaga się już od niego posłuszeństwa.

- Będziesz po prostu musiał nauczyć się lepszych manier - odpowiedziałem. - Jeśli nie podoba ci się pensja,

no cóż, mogę ją zwiększyć. Ale nie ośmiokrotnie. To by było większe złodziejstwo, niż masz do tego prawo.

Ale chętnie ją podwoję i...

- Nie zgadzam się - krzyknął były niewolnik. - Skoro jestem wolny, nie będę pracował dla takiego człowieka jak ty. Ostrzegałem twojego ojca, ale nie chciał mnie słuchać. Doskonale, skoro koniuszy może to

zrobić... dlaczegoż bym ja nie mógł. Almaryku Antero, rezygnuję ze swego stanowiska. Za chwilę już mnie

tu nie zobaczysz i będziesz gorzko żałował, że dopuściłeś się takich nadużyć na mojej osobie. -

Odwróciwszy się na pięcie wyszedł.

Chociaż nie rozgłaszaliśmy wszem i wobec moich decyzji, wieści rozchodziły się lotem błyskawicy i niebawem wszyscy dyskutowali zażarcie o tym „szaleńcu Antero,” który uwolnił swych niewolników.

Wkrótce znaleźli się tacy, którzy ochoczo poparli moje stanowisko, szczególnie młodzi kupcy, którzy dostrzegali w tym możliwość większych zysków. Niektórzy z nich uwolnili swych niewolników, przy czym

sprawę zyskowności ukryli pod ładniejszym określeniem moralności i dumy.

- Mówią, że jeśli tacy barbarzyńcy jak Likantyjczycy pozwalają swoim niewolnikom na kupowanie wolności - śmiał się Janosz - to Orissa może posunąć się jeszcze o krok dalej.

- Mam tylko nadzieję, że ta cała sprawa nie przyniosła szkody twoim dążeniom - zaniepokoiłem się.

135

- Szczerze mówiąc, tylko poprawiła sytuację - odparł Janosz. - Ludzie, którzy mnie popierają, najprawdopodobniej uwolnią swoich niewolników. A więc, jak się okazuje, znów idziemy łeb w łeb, jakbyśmy znajdowali się na szlaku.

Oczywiście nie wszystko szło gładko. Ostre słowa niejednokrotnie zamieniały się w burdy i bijatyki. Wielu

właścicieli rozwścieczał fakt, że byli niewolnicy zaczepiali ich na ulicy wymyślając im za to, że nie

zdecydowali się na uwolnienie swoich niewolników.

Wreszcie zwołano publiczne spotkanie w Wielkim Amfiteatrze. Ogłoszono, że druga ekspedycja do Odległych Królestw spotkała się ostatecznie z aprobatą i należy wspólnie zdecydować, kto ją poprowadzi.

Ponownie pojawiło się imię Cassiniego. Pojechałem na to spotkanie wraz z Janoszem, który przywdział

lekką zbroję i przypasał zwykły miecz na plecach. Siedząc na jabłkowitym wierzchołku, z wyczesaną do

połysku brodą i lśniącymi w uśmiechu białymi , wyglądał jak młody władca. Przed amfiteatrem powitała nas

spora grupa wzburzonych młodzieńców, pośród których dostrzegliśmy Malarena.

- Dziękujemy za powitanie - odezwał się Janosz. - Co się tu dzieje?

- Powiem ci, mój panie - rzekł szybko Malaren. - Zamierzają skraść ci przewodnictwo w ekspedycji.

- Kto zamierza? - wtrąciłem widząc, że Janosz jest zbyt zaskoczony, by zadać to pytanie.

Odpowiedział mi krzepki mężczyzna o grubych, zrogowaciałych od ciężkiej pracy rękach.

- Ci sędziowie, niech ich psy pogryzą. To oni - zawołał. Dostrzegłem znak na jego ramieniu - jeszcze niedawno był niewolnikiem. - A ci przekłeci magowie też się z nimi kumają.

- Nie wszyscy - zaprzeczył Malaren. - Ale to prawda, że zarówno wśród jednych, jak i drugich jest wystarczająco dużo tchórzów, by poddać się Cassiniemu.

Zerknąłem na Janosza, który siedział spoglądając przed siebie nieruchomym wzrokiem. Wydawało się, że

zaraz popędzi konia do galopu i rozpędzi tłum w amfiteatrze. Ktoś krzyknął: - Jesteśmy z tobą, Szary

Płaszczu! - Inne głosy przyłączyły się do niego: - Nie pozwolimy, żeby was znowu oszukali. - Zauważyłem,

że popiera nas wielu ludzi. Byli pośród nich szlachetnie urodzeni, jak Malaren, ale również zwykli kowale,

żeglarze oraz... tak, również niedawni niewolnicy. Czuję się jak przed rozstrzygającą bitwą.

Niespodziewanie Janosz całkowicie się uspokoił. Podniósł rękę i dokoła zaległa cisza.

- Nie będziemy zachowywać się jak hałastry - zwrócił się do tłumu. - Jeśli mnie popieracie, chodźcie za

mną spokojnie. Chcę, byście wszyscy trzymali się razem i przyrzekam, że będę przemawiał nie tylko w

swoim, ale i w waszym imieniu.

Tu i ówdzie rozległo się szemranie, lecz obecność Janosza narzuciła spokój. Przygotowaliśmy się do wejścia na teren amfiteatru. Poczułem lekkie szarpnięcie za bryczesy i spojrzawszy w dół, rozpoznałem

młodą służącą z mego domu. Jej szeroko otwarte oczy zdradzały przerażenie.

- O co chodzi? - zapytałem.

- To pani Antero - zawołała. - Proszę szybko. Dziecko się rodzi.

Jej słowa przeszły mnie niczym sztylet. Czuję się rozdarty między wagą chwili a strachem o Deoce.

Janosz popędził konia w moim kierunku.

- Wracaj do domu - powiedział krótko.

- Ale... spotkanie...

Popchnął mnie ostro.

- Poradzę sobie. Później mi będziesz bardziej potrzebny. Teraz wracaj! - Nie wahałem się ani chwili dłużej,

schwyciłem służącą i pomogłem jej usadowić się w siodle, po czym pognałem ulicami w kierunku naszego

domu. Za plecami słyszałem odbijający się echem ryk tłumu.

Łóżko, na którym rodziła, przypominało morze krwi i bólu. Dwie akuszerki pomagały mojej biednej Deoce,

lecz nie wszystkie lekarstwa i zaklęcia przynosiły jej ulgę w tych ciężkich chwilach. Moja córka

przychodziła na świat, lecz nie odbywało się to łatwo. Deoce tak silnie złapała mnie za rękę, że zacząłem

obawiać się o swoje palce. - Wiedziałam, że przyjdiesz - załkała. - Powiedzieli mi, że jest...

spotkanie.

Ekspedycja! Ale... Wiedziała, że i tak przyjdiesz.

Próbowałem znaleźć odpowiednie słowa, żeby ukoić jej cierpienie, lecz wszystko poza bólem i głęboką

wiarą we mnie wydawało się tak nieistotne. Mogłem tylko powtarzać, jak bardzo ją miłuję i że będę ją

kochał aż po kres swych dni. Krzyknęła przeraźliwie i już i myślałem, że straciłem na zawsze swoją Deoce.

Cisza... Tak grobowa i ciężka po owym krzyku, że nawet teraz, gdy pisząc te słowa, czuję jak mrozi mi krew

w żyłach. Wtedy ujrzałem, jak główka mojej córeczki wyłania się spomiędzy zakrwawionych ud Deoce.

136

Moja żona wydała następny, lecz już stłumiony okrzyk i maleństwo całe wysliznęło się wprost do rąk położnej. W chwilę później Emilie zapłakała głośno. Mieliśmy córeczkę.

- Czy jest piękna? - spytała Deoce słabym głosem.

Popatrzyłem na zakrwawioną niemowlę, mocno zaciskając maleńkie powieki. Darło się wniebogłosy,

rozzłoszczone, że ktoś ośmielił się wydrzeć z ciepłego, bezpiecznego miejsca.

- Tak, kochanie - odpowiedziałem. - Jest piękna. - Patrzyłem, jak akuszerki myją ją i owijają w delikatne

plótno, by przygotować malutką Emilie na pierwsze spotkanie z mamą, i... naprawdę tak uważałem.

NIE LICZĄC wojny, druga ekspedycja do Odległych Królestw była najpotężniejszym zgromadzeniem sił w

historii Orissy. To nie będzie Odkrycie, podczas którego młody mężczyzna mógł popędzić dokąd tylko

chciał, mając do dyspozycji tylu chętnych do wypitki towarzyszy, na ilu stać było jego ojca. Hazard rozstrzygał o przeznaczeniu, a każdy mieszkaniec miasta chciał zająć miejsce przy stole. Pójdą całe dwa

tysiące ludzi: oddziały, konie i masztalerze, oficerowie wraz z służbą, kucharze, piekarze, kowale, poganiacze oraz ci, których ciekawi przebieg wyprawy. Wodzem, który poprowadzi tę wielką siłę, został

jednogłośnie wybrany Janosz Szary Płaszcz.

- Obeszło się bez cięższej walki - powiedział mi tamtego wieczoru Janosz. - Cassini nawet nie pojawił się

na scenie chociaż widziałem go w kulisach, jak puszy się w samouwielbieniu. Przechadzał się tam i z powrotem ćwicząc swoją przemowę, którą miał wygłosić, gdy zostanie wybrany na przywódcę. To właściwie wystarczyło mnie - biednemu, niezbyt błyskotliwemu żołdakowi, - by utwierdzić się w przekonaniu, na czyją stronę przechyla się szala zwycięstwa. - Janosz pokręcił głową, wciąż nie mogąc

wyjscie ze zdumienia. - Kiedy tylko zająłem miejsce, tłum zaczął skandować tak jak wcześniej: Janosz, Janosz. - Wyszczrzył zęby w promiennym uśmiechu. - Tym razem było dużo głośniejsze, a rozwścieczeni

ludzie wykrzykiwali takie plugastwa, że tylko głupiec mógł nie zauważyć żądy krwi w ich oczach.

Niektórzy, najśmielsi, próbowali wdrzeć się na scenę, lecz powstrzymałem ich prosząc, by pozwolili tym

zaczynającym przemówić.

Janosz opróżnił puchar wina i roześmiał się.

- Ech, szkoda, że cię tam nie było, przyjacielu - westchnął. - Chyba jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłeś

czegoś takiego. - Janosz opowiedział, jak Jeneander i jego przyjaciele odbyli pośpieszną konferencję,

próbując zignorować zuchwałe uwagi tłumu. Jak zauważył Janosz, nigdy wcześniej nic podobnego nie

zdarzyło się w Orissie i naszych wrogów ogarnęła panika. Uchylali się, jakby tłum ciskał kamienie, a nie

tylko przekleństwa. Ktoś dostrzegł Cassiniego i cała grupa ruszyła na niego, ale młody mag zdołał umknąć w

ostatniej chwili. Na scenie podjęto już decyzję, lecz powstały wątpliwości, kto ma przekazać ją rozjuszonym

mieszkańcom miasta. Tłum śmiał się z ich rozterki i ponownie naparł na scenę. Wtedy jeden z sędziów

popchnął Jeneandera i mag postąpił kilka kroków do przodu, a jego postać została powiększona przez

zakłęcie. Stał tuż obok Janosza drżąc na całym ciele.

- Uciszyłem naszych przyjaciół i obdarzyłem Jeneandera najmiłszym z możliwych uśmiechów - wyjaśnił

Janosz. - Objąłem go ramieniem jak brata i odezwałem się głośno, tak by wszyscy mnie słyszeli: „Bez

względu na wybór, przyjacielu, wszyscy tu zgromadzeni wiedzą doskonale, że wy, zacni ludzie, bardzo

długo i ciężko pracowaliście, by podjąć tak mądrą decyzję”.

Janosz roześmiał się i pociągnął tęgi łyk wina, by przepłukać gardło.

- Wtedy biedny Jeneander przemówił - ciągnął. - Pierwsze słowa zabrzmiały jak cienki pisk, jak gdyby

mysz kopulowała z kaczką. Wreszcie wydusił to z siebie, lecz kolana drżały mu, jakby targały nim,

podmuchy zimowego wichru. Odezwał się cieniem głosem: „Ogłaszamy, że przywódcą drugiej ekspedycji

będzie... kapitan Janosz Szary Płaszcz”.

No cóż, ciężko było wyłowić cokolwiek pośród wrzasku tłumu. Nie miało to jednak znaczenia, jako że

zaledwie pocziwy mag wypowiedział te słowa, jego pobratymcy czmychnęli ze sceny niczym stado

wystraszonych zajęcy. - Śmiałem się do rozpuku, nie mogąc powstrzymać łez płynących mi po policzkach.

Ponownie napełniłem puchary i wznieśliśmy toast za Te-Date, który tak umiejętnie pomieszał szyki naszym

nieprzyjaciołom.

Janosz spoważniał nagle.

- Chcę, byś wiedział - odezwał się - że bez względu na nasze dalsze losy, nigdy nie spłacę długu, jaki u

ciebie zaciągnąłem. - Wydałem jakiś niewyraźny odgłos, lecz radość rozsadzała moje serce.

137

Gdzieś z wnętrza domu doleciał mnie płacz Emilie, po czym usłyszałem cichy głos opiekunki i słowa uspakajającej pieśni. To był wyjątkowy dzień.

Janosz również usłyszał płacz dziecka i uśmiechnął się.

- Wiem, że tym razem nie możesz jechać ze mną - powiedział. - Masz teraz zbyt wiele obowiązków na

głowie, lecz powinieneś wiedzieć, że bardzo mi będzie ciebie brakowało.

- Miło to słyszeć - odparłem. - Ale zdaję sobie sprawę, iż ostatnim razem byłem jeszcze tak

niedoświadczony, że nie miałeś ze mnie zbyt dużego pożytku. Teraz dysponujesz potężną armią z

doświadczonymi dowódcami, którzy w każdej chwili mogą służyć ci radą.

Janosz zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- Twoją prawdziwą wadą, mój przyjacielu - powiedział - jest to, że sam siebie nie doceniasz. Staniesz się

niebezpieczny, kiedy zdasz sobie sprawę z własnej wartości, jako że masz wrodzony talent podróżnika i

odkrywcy. A co ważniejsze, masz mężne serce i wiesz czego chcesz. Nie próbuj zaprzeczać. Zbyt dobrze cię

znam; może nawet lepiej niż ty sam. Jesteśmy do siebie bardzo podobni, Almaryku Antero. Tak podobni

jakbyśmy byli bliźniakami. Ty jednak, dzięki bogom, nie masz mojej ciemnej strony.

Zerknął na mnie. Po lekko zaczerwienionych oczach poznałem, że wlał w siebie sporo mocnego trunku. -

Przysięgam ci, Almaryku - odezwał się - że kiedy moja stopa dotknie ziemi Odległych Królestw,

złożę ofiarę

na twoją cześć i powiem władcom tego miejsca, że przywożę pozdrowienia od mego dobrego przyjaciela i

brata bliźniaka... - Urwał w połowie zdania i głowa opadła mu na piersi. Wyjąłem puchar z jego dłoni, a gdy

cichutko opuszczałem komnatę, do mych uszu dobiegło głębokie chrapanie.

Ekspedycja wyruszyła miesiąc później. Wykorzystano każdą, nawet najmniejszą łódź do przeprawy przez

morze. Całe miasto wyszło, by ich pożegnać. Stałem na wzgórzu patrząc jak odpływali i nie wstydę się

przyznać, że czułem żal, że nie ma mnie na pokładzie któregoś z tych statków. Kiedy jednak ostatni żagiel

zniknął w oddali, odwróciłem się w kierunku domu, pomyślałem o Deoce i Emilie i na powrót poczułem

lekkość ciała i umysłu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mroczny Poszukiwacz

To, co napiszę, wyda się dosyć skomplikowane. Oddałbym wiele, gdybym ubierając myśli w słowa, mógł

czерpać wprost z pergaminów mego życia. Przez wiele lat bogowie błogosławili Orissan. Nasze ofiary były

wielokrotnie nagradzane wspaniałymi żniwami, obfitością rzek, zwycięskimi bitwami, doskonałym zdrowiem i posłuszeństwem naszych dzieci. Potem jednak bogowie upomnieli się o swój dług.

Przez krótki czas po wyjeździe Janosza moje życie było jednym pasmem radości. Każdą wolną chwilę

spędzałem z Deoce i Emilie. Moja żona była dla mnie wszystkim - kochanką, partnerem, doradcą i przyjacielem. Miała tęgą głowę do interesów i od jakiegoś czasu towarzyszyła mi podczas pracy w porcie,

organizując handel z zamorskimi krainami, które odkryliśmy podczas naszej pierwszej wyprawy z

Janoszem. W domu była uwielbiana przez służących, którzy od czasu uzyskania wolności tworzyli teraz

dużo radośniejszą grupę, bo nie stroniła od ciężkiej pracy, nie obawiając się nawet ciemnych, zasnutych

pajęczynami kątów. Czasami pojawiała się niespodziewanie przy moim stole, by zwabić mnie w ustronne

miejsce, gdzie na powrót poznawaliśmy czar naszych rozgorączkowanych ciał, tak jak w owe dni, kiedy

kochaliśmy się w rajskiej dolinie.

Emilie okazała się tak rozkosznym dzieckiem jak przewidywała Deoce. Była radosną małą dziewczynką o

krągłych policzkach, jasnej karnacji i oczach błyszczących ciekawością. Za każdym razem, kiedy słyszałem

jej głosik czułem przyjemne ukłucie w sercu, a kiedy tylko mnie zobaczyła, piszcziała z radości i przytulała

się obejmując mnie pulchnymi rączkami. Naprawdę czułem wielką radość, słuchając jej perlistego śmiechu i

czując mleczny zapach.

- Urabia cię jak glinę w swoich rączkach - dokuczała Deoce. - Jeśli kiedykolwiek istniała mała dziewczynka

tatusia, to właśnie ona. Musisz trochę więcej od niej wymagać, kochanie, bo zepsujesz ją tak, że stanie się

nie do zniesienia.

138

Oczywiście, życie nie było usłane jedynie różami. Borykaliśmy się również ze swoimi codziennymi problemami. Deoce cierpiała z powodu zwichnięcia nogi w kostce, Emilie miała kolkę, a niewielki statek z

ładunkiem z północnych ziem zaginął gdzieś na wzburzonym morzu. Co więcej, Janosz wyruszając pozostawił na miejscu naszych wrogów. Przez jakiś czas byli jednak zbyt zatrwożeni, by uczynić coś więcej

poza rzucaniem oszczerczych zarzutów. Wprawdzie pewne zjawiska mogły służyć nam jako ostrzeżenie

przed tym, co miało niebawem nadejść, lecz na razie większość z nas żyła w błogiej nieświadomości,

marząc o skarbach, które wkrótce miały napłynąć z Odległych Królestw. Ceremonia Całowania Kamieni

wypadła wyjątkowo fatalnie. Nikczemnik, którego magowie ukamienowali, by pobłogosławić żniwa, okazał

się w istocie zagłodzonym złodziejaszkiem. Utocono z niego niewiele krwi podczas miażdżenia pomiędzy

dwoma starożytnymi głazami. Nastąpiły burzowe dni, czarne niebo rozświetlały błyskawice, powietrze drżało

z gorąca, a psy i jaszczury skowyczały kryjąc się po kątach. Gdy o świcie słońce rozjaśniało niebo ognistą

czerwienią, gęste czarne chmury napływały znikąd, wirując i układając się w upiorne wyobrażenia. Powstało

wiele niestworzonych historii. Mówiono, że druga wyprawa kilkakrotnie gubiła drogę, że Janosz

popadł w

konflikt ze swoimi oficerami, w końcu zarzucano mu niemoralne wykorzystywanie czarnej magii dla przyjemności cielesnych. Tak jakby nie dość było opowieści o Janoszu, podróżnicy przynosili wieści, że

Likantyczycy zaczynają się burzyć stawiając pod broń liczne oddziały i coraz częściej wspominając o

odbudowie wielkiego muru, który zburzyliśmy po zwycięskiej wojnie. Mimo to nie przykładaliśmy zbyt

wielkiej wagi do tych historii, sądząc że to jedynie pogłoski, takie jak te o osobliwym świetle i odorze

wydobywającym się z Cytadeli Magów. Pytałem o to Rali, lecz jej szpieg doniósł jedynie, że wśród magów

nadal istniały silne waśnie, choć teraz ukrywali panującą wśród nich niezgodę za zamkniętymi drzwiami, za

którymi nawet obecność czyścicielki byłaby podejrzana.

Po jakimś czasie powrócili pierwsi członkowie ekspedycji Janosza. Potwierdzili krążące plotki. Zarzucali,

Janoszowi, że stał się despotycznym przywódcą, który nie przyjmował żadnych rad, publicznie upokarzając

tych, którzy mieli śmiałość, by mu się sprzeciwić. Mówili, że nie tylko kilkakrotnie zbłądzili, lecz nadal

wałęsali się po nieznanach krainach, gubiąc po drodze ekwipunek, skarby, a nierzadko padając ofiarą

wojowniczych tubylców. Nie dawaliśmy posłuchu tym relacjom, jako że ludzie, którzy powrócili, byli

ogólnie znani jako tchórzliwi łajdacy. Ogólnie uważało się, że wyruszyli na wyprawę tylko po to, by zyskać

sławę tanim kosztem.

Cassini natychmiast wykorzystał nadarzącą się sposobność i zaczął częściej występować publicznie,

oczerniając Janosza i czyniąc rozmaite wysiłki, by zszargać dobre imię mego przyjaciela. Jego

zwolennicy

stopniowo powychodzili z ukrycia. Wkrótce nabrał takiej śmiałości, że zaczął uczestniczyć w publicznych

rytuałach. Asystował Jeneanderowi w dorocznej ceremonii deszczu potrząsając srebrnymi dzwoneczkami,

które dzwoniły niczym krople deszczu, podczas gdy starzec podrzynał gardło tłustemu bykowi.

Deszcz spadł... lecz nie przestał padać. W końcu zmienił się w tak gęstą ulewę, że ciężko było odróżnić

dzień od nocy. Ulice Orissy opustoszały. Ludzie pozamykali się w domach, wsłuchując się w ciężkie

dudnienie kropli o dachy. Wraz z deszczem przyszedł chłód i nieustannie dokładaliśmy drewna do ognia, by

ogrzać nasze domostwa. Wkrótce zabrakło opału. Zielona pleśń zaatakowała ubrania i ocalała żywność.

Magowie biedzili się, rzucając zaklęcia, które miały ustrzec nas przed kataklizmem, lecz zaledwie udało im

się odgonić tę plagę, gdy w naszych domostwach pojawiły się tysiące mrówek. Wychodziły z najmniejszych

szczelin doprowadzając ludzi do szaleństwa, gdy próbowali zmiatać je ze ścian, z siebie i ze swoich dzieci.

Wszystkie nieszczęścia okazały się jednak bagatelne w porównaniu ze strachem, jaki ogarnął nas na widok

wód przybierających w korycie rzeki. Nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętali, by kiedykolwiek wystąpiła

z brzegów, lecz na zboczach okolicznych wzgórz widniały liczne ślady świadczące o kataklizmie, jaki miał

miejsce w dawnych czasach. Kiedy więc rzeka zamieniła się w kipiącą masę błota i przeróżnych szczątków,

zmiatając z impetem jedną z mniejszych przystani, miasto ogarnęła panika. Po naradzie z magami,

sędziowie przyprowadzili z lochów zbrodniarza, który uśmiercił żonę i dzieci, a następnie upiekł je i zjadł.

Wydano rozkaz, by wszyscy mieszkańcy opuścili swe domostwa i udali się do ofiarnego ołtarza. Smutni i

zżębnięci tłoczyliśmy się w strugach deszczu, a Jeneander z Cassinim w asyście pozostałych magów przez

nieskończenie długi czas wypowiadali zaklęcia ułaskawiające rzekę. Wśród czarowników nie zauważyłem

Gamelana, co wiele mówiło. Natomiast Revotant, ten stary złodziej, zaszczycił wszystkich swoją obecnością, co mówiło o wiele więcej. Ceremonia wypadła fatalnie: garnce z kadzidłami gasły nieustannie, a

kiedy związano zbrodniarza, węzły same się rozwiązywały. Nieszczęśnik wrzeszczał, jęczał i rzucał się

desperacko, ponieważ otępiająca mikstura, którą go napoili, w ogóle nie działała. Ludzi przerażały te

139

wszystkie niepowodzenia. Nikt się nawet nie uśmiechnął, kiedy Jeneander wywinął kozła w błocie, mocując

się z ofiarą. Niektórzy z nas odczuwali współczucie dla tego biedaka. Do mych uszu dolatywały szepty, że to

deszcz doprowadził go do szaleństwa. A czyż nie była to wina magów, którzy nie powinni wyczarowywać

takiej ilości wody?

Cassini postąpił kilka kroków do przodu i uderzył go w głowę ciężką kłodą. Następnie wraz z Jeneandrem

schwycili nieprzytomnego za ręce i nogi, i bez większego trudu wrzucili do wody, by się utopił. Ludzie

wrócili do domów wzburzeni i niezadowoleni z kapituły miasta.

Nikt się nie zdziwił, gdy rytuał ofiarowania zwiódł i poziom wody w rzece nadal wzrastał. Biegałem wraz z

innymi ludźmi, którzy żyli z tej wielkiej rzeki, opróżniając magazyny, holując łodzie oraz odsyłając większe

jednostki na pełne morze. Kiedy owej nocy wróciłem późno do domu, woda zaczęła zalewać

magazyny.

Deoce zbudziła mnie tuż przed świtem.

- Co się stało? - zapytałem, natychmiast przytomniejąc. Umiejętność tę nabyłem w trakcie wyprawy z

Janoszem. Stała przy łóżku w białej koszuli trzymając w ramionach Emilie. Była blada i drżała na całym

ciele. Emilie miała szeroko otwarte oczy i wiedziałem, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- Posłuchaj - powiedziała tylko.

W oddali usłyszałem przeciągły grzmot... nie, to raczej przypominało ryk. Słyszałem również odgłosy

pękania i trzaski. Wskoczyłem z łóżka i otworzyłem okiennice. Dźwięk przebijał się wyraźnie poprzez

szum gęstego deszczu. Ciemności nocy nie pozwoliły mi zobaczyć tego, co się działo. Odwróciłem się do

Deoce wiedząc, co czuła.

- To rzeka.

- Uciekamy? - Usłyszałem drzenie w jej głosie. Nigdy wcześniej nie okazała strachu. Po chwili

uświadomiłem sobie, że ona nigdy nie mieszkała nad rzeką.

- Tutaj powinniśmy być bezpieczni. - Oprócz starego nabrzeża, do którego rzadko docierała woda, jest tu

wiele wzgórz.

Niepokoilem się o przystań i magazyny, a jeszcze bardziej martwiłem się o ludzi, którzy mieszkali i

pracowali tuż przy brzegu. Nie mogłem jednak nic poradzić. Nie posiadałem mocy boga, by móc

powstrzymać powódź. Kazałem mojej żonie położyć się w łóżku wraz z dzieckiem i sam dołączyłem do

nich, tuląc je w ramionach. O świcie deszcz ustał. Emilie nie zapłakała - taka właśnie myśl przyszła mi do

głowy jako pierwsza.

Poziom wody w rzece wydawał się stabilizować. Zniszczenia były poważne, lecz nie tak duże jak się

obawiałem. Niektóre z przystani wyglądały jak po przejściu huraganu. Kilka magazynów runęło, z wody

wystawały tu i ówdzie wraki łodzi i statków, lecz niewielu ludzi straciło życie. Kiedy zgromadziliśmy się, by

nieść pomoc ofiarom kataklizmu i porządkować ulice, pomyślałem, że mogło być dużo gorzej. Spojrzałem

na ślady pozostawione przez wycofującą się rzekę. Okazało się, że woda doszła do połowy pradawnych

śladów po katastrofie.

Należałem jednak do tych nielicznych, którzy byli wdzięczni. Po drodze do domu słyszałem gorzkie słowa

o sytuacji w Orissie. Miałem na sobie utyłtany w błocie strój i czapkę skrywającą płomiennorude włosy,

więc nikt mnie nie rozpoznał.

- Słyszałem, że magowie z Odległych Królestw znają zaklęcia mogące utrzymać w ryzach nawet najbardziej

krnąbrną rzekę - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Nam się nie przydadzą - odparł drugi. - Tylko patrzaj. Kiedy wróci kapitan Szary Płaszcz, nasi

zawszawieni ludzie dadzą mu popalić. Zaklinają się na Te-Date, że nic dla nas nie ma w tych Odległych

Królestwach. Wszystko jedno, co tam znalazł ten kapitan.

- Powiesić Szarego Płaszcza - warknęła jakaś stara kobieta. - To przez niego mamy tyle problemów. Nic tu

po nim.

- Zamknij jadaczkę, chora kobieto - odparował pierwszy mężczyzna. - Szary Płaszcz to jedyne szczęście,

jakie nam jeszcze zostało. On i ten Antero z czerwonymi włosami. Gdyby nie oni, nie mielibyśmy żadnych

szans.

Zaczęli się sprzeczać, więc przyśpieszyłem kroku, zanim mnie rozpoznali. Po raz pierwszy od wielu miesięcy ogarnął mnie prawdziwy niepokój. Do tej pory sądziłem, że większość ludzi popiera drugą ekspedycję. Uważałem również, że sukces wyprawy jest praktycznie przesądzony, biorąc pod uwagę potężne siły, jakimi dysponowała ekspedycja, zdolna przeciwstawić się niebezpieczeństwom czyhającym w odległych krainach. Teraz jednak przypomniałem sobie o wszystkich niepowodzeniach, które pojawiały się

140

znikąd w czasie pierwszej ekspedycji. Problemy z magią, tajemniczy Strażnicy, niebezpieczne i wycieńczające etapy wędrówki, zasadzki i pułapki, jakie mógł na nas zastawiać każdy nieprzychylny czarodziej. Te wszystkie sprawy mogły zdecydować o niepowodzeniu wyprawy.

Kiedy jednak wróciłem do domu, Deoce powitała mnie ciepłym pozdrowieniem, a gdy ujrzałem uśmiechniętą twarz mojej córki, odpędziłem od siebie wszelkie wątplenia. Na pewno czeka nas przyszłość bardziej świetlana niż by sobie mógł wymarzyć mój ojciec. Jak bogowie mogliby opuścić taką

wspaniałą parę, a właściwie jak mogliby opuścić wszystkie matki i ich dzieci? Wszystko będzie dobrze,

powiedziałem sobie w duchu... po prostu będzie dobrze.

Ponury nastrój pogłębił się, w miarę jak zbliżał się Miesiąc Żniw. Ulewne deszcze i powódzie wymyły

większość nasion i delikatnych roślin rosnących na okolicznych polach. Staliśmy w obliczu ciężkiego okresu

i wzrostu cen. Jakby na domiar złego, przestały do nas napływać jakiegokolwiek wieści o Janoszu i drugiej

ekspedycji. Tak jakby nagle zapadli się pod ziemię. Zapewniałem jednak wszystkich, siebie również, iż

działo się tak dlatego, że zawędrowali już zbyt daleko, by wieści mogły szybko do nas powracać.

W czasie żniw, zaledwie kilka dni przed zwyczajowym wyjściem wieśniaków na pola, nieszczęście

znów

dało o sobie znać. Tym razem przybrało postać nietypowej dla tej pory roku wichury która nadeszła od

strony gór. Gorący i suchy wiatr nie przestawał wiać. Wyssał praktycznie wszystko z bruzd na polach,

zabijając większość tego, co litościwie pozostawiły nam deszcze. Sędziowie nałożyli specjalny podatek na

wszystkie gospodarstwa, faktorie i towary, żeby za te pieniądze sprowadzić zboże z zagranicy. Magowie

wylegli na pola rzucając rozliczne zaklęcia. Wicher nie ustępował i wiał nieprzerwanie aż do dnia, kiedy po

prostu wygasł z własnej, nieprzymuszonej woli.

Byliśmy zdumieni ciągłymi niepowodzeniami magów. Przez całe życie chronili nas przed

niebezpieczeństwami realnego oraz duchowego świata. Cóż się więc stało? Dlaczego opuściło nas

szczęście? Jeśli sytuacja nie ulegnie wkrótce zmianie, Likantycy zaczną knuć nowe intrygi przeciwko

nam.

Jakiś czas później przyczyna tego wszystkiego wyjaśniła się częściowo za sprawą mojego przyjaciela,

Malarena. Przyszedł do mnie i oznajmił, że jeden z sędziów chciałby porozmawiać ze mną na osobności.

Nazywał się Ecco i zaliczał do grona silnych, lecz spokojnych zwolenników naszej sprawy, więc zgodziłem

się bez wahania. Spotkaliśmy się następnego wieczoru. Ten postawny mężczyzna miał więcej zmarszczek i

siwych włosów niżby wskazywał na to jego wiek. Młodość zachował za to w bystrych oczach, sprawnych

ruchach oraz nowatorskich poglądach. Zanim wstąpił w szeregi sędziów, wsławił się jako dobrze prosperujący kupiec. Szybko przeszedł do sedna sprawy.

- Jeśli miałeś jakieś wieści od kapitana Szarego Płaszczka - odezwał się bez ogródek - bardzo by nam to

pomogło... bez względu na naturę owych wiadomości.

- Mówię uczciwie - odparłem. - Nie słyszałem nic więcej ponad to, o czym mówią wszyscy Orissanie, czyli

właściwie nic. Nie dziwi mnie jednak ów brak wiadomości. Stoimy o krok od Pory Burz, a Janosz niewątpliwie również będzie szukał odpowiedniego schronienia, żeby tę porę przeczekać.

Przez jakiś czas przyglądał mi się wnikliwie, jakby szukał dowodów na moją nieuczciwość. Nie znalazłszy

żadnego, spuścił wzrok i westchnął głęboko.

- A zatem stamtąd nie ma co oczekiwać ratunku.

- O co tym razem chodzi?

- Czy przysięgniesz, że nikomu nic nie powiesz? - Przyrzekłem, a on skinął głową zadowolony i rzekł: -

Obawiam się upadku Orissy. Nasi ludzie coraz szybciej tracą w nas wiarę. Jak zapewne wiesz, zdarzyły się

już przypadki bójek na ulicach, i bywają też inne problemy mające źródło w buntowniczych nastrojach

mieszkańców. Kto może ich zresztą obwiniać? Skoro nie mamy nawet wpływu na deszcze i zniwa,

dłaczegoż by mieli nam ufać? Z drugiej strony, miłuję to miasto z całego serca i prędzej oddałbym życie niż

chciał patrzeć, jak dzieje mu się krzywda.

- Dlaczego magowie temu nie zaradzą? - zapytałem. - Wy, sędziowie, spotykacie się z nimi regularnie,

prawda? Co oni o tym wszystkim sądzą?

- Jeśli masz na myśli Jeneandera i Cassiniego - odparł z obrzydzeniem - to nie mają nic do powiedzenia.

Przychodzą na nasze obrady, żeby rzucać pustymi obietnicami, zbierają daninę i odchodzą.

- A Gamelan? - spytałem. - A pozostali magowie?

- Przestali w ogóle przychodzić albo im tego zakazano - nie wiem, które stwierdzenie jest bliższe prawdy.

Ale mogę ci powiedzieć, że pośród tych, co trzymają władzę w swoich rękach, nie mamy przyjaciół.

141

- Przecież musi istnieć coś więcej niż tylko zwykła walka o władzę - zastanowiłem się. - Jeneander jest

głupcem, a Cassini kłamcą. Są jednak utalentowanymi magami. Dlaczego nie mogą nam pomóc? Wybacz,

ale nie sądzę, żeby to była jakaś konspiracja, ponieważ wyrządzając szkodę nam szkodziliby również sobie.

- Nie znam żadnych faktów - odpowiedział Ecco - a wahałbym się przed daniem posłuchu pogłoskom.

- Nie wahaj się lepiej, szlachetny Ecco - poradziłem. - A na pewno nie wtedy, gdy pogłoska sugeruje wyjaśnienie zagadki.

- Słyszałeś, czy może byłeś świadkiem dziwnych rzeczy dziejących się w Pałacu Magów? - zapytał i przyznałem, że coś mi o tym wiadomo. - No cóż, krążą plotki o osobliwych światłach, zapachach i rozmaitych innych zjawiskach. Niektórzy twierdzą, że Cassini i jego kompani zajmują się czarną magią. Z

jakiej przyczyny? Pogłoski nie sugerują żadnego wytłumaczenia. Powszechnie uważa się natomiast, że

praktykowanie czarnej magii opróżniło miasto z naturalnych zasobów magicznej energii. Dlatego właśnie

wszystkie zaklęcia rzucane w naszym imieniu nie odniosły pożądanego skutku lub okazały się tak słabe, że

zakończyły się niepowodzeniem.

- Czy dajesz posłuch tym opowieściom? - zapytałem.

Ecco ponownie westchnął.

- Nie. Chyba nie. Ale niewątpliwie odczuwam silną pokusę, aby dać im wiarę, jako że to by wiele wyjaśniało.
- Uwolniliby to również Orissę z zarzutu, że w jakiś sposób obraziliśmy bogów - odpowiedziałem.
- To prawda. Nie ma jednak sposobu, aby tego dowieść, więc chyba wszelkie spekulacje są zbyteczne.

Ecco opróżnił pucharek wina i wstał zbierając się do wyjścia.

- Jeśli otrzymasz jakiegokolwiek wieści od kapitana Szarego Płaszcz...

... podzielę się nimi niezwłocznie - dokończyłem. Sędzia wyszedł pozostawiając za sobą długi łańcuszek

pytań, na które nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Pozostawało tylko żyć nadzieją na lepsze jutro. Tego roku nadzieja, jak zwykle, okazała się matką głupich,

bo nieustannie prześladowały nas niepowodzenia. Tuż przed nadejściem pierwszych mrozów otrzymaliśmy

najgorszy cios.

Zdarzyło się to w jeden z tych idyllicznych wieczorów na początku zimy, kiedy panujący na dworze chłód

pozwała radować się ciepłem kominka, a odgłosy łagodnej burzy skłaniają do wzięcia ciepłej kąpieli i

wcześniejszego pójścia do łóżka. Kochaliśmy się długo z Deoce, a ja zapomniałem o bożym świecie. Potem

wstałem, żeby dorzucić drewno do kominka i przygotować dwie porcje grzanego wina. Kiedy podawałem jej

kielich, dostrzegłem, że ma rozpaloną, czerwoną twarz, lecz złożyłem to na karb przeżyć miłosnych. Kiedy

odwróciłem się po mój puchar, jęknęła głośno i kielich wypadł jej z rąk pobrząkując na podłodze.

Odwróciłem się błyskawicznie.

- Co się dzieje, kochanie? - Nie odpowiedziała, lecz chwyciła się mocno za głowę. Jej twarz wykrzywiła

grymas bólu. - Jesteś chora - krzyknąłem zaniepokojony. - Za chwilę sprowadzę uzdrowicielkę.

Odpowiedziała słabym głosem:

- Nie, Almaryku. Proszę, zmarzniesz i zmokniesz w tej burzy.

- Nonsens. - Pośpiesznie nałożyłem na siebie ubranie. Próbowła wstać i protestować, lecz kolejna fala

świdrującego bólu przykuła ją do miejsca. Krzyknęła tak głośno, że zawołałem młodą służkę Spoto, żeby

została przy Deoce na czas mojej nieobecności.

Burza przybrała na sile. Przenikliwy wiatr popychał mnie do przodu, więc pędziłem, jakby mi wyrosły

skrzydła, czując na policzkach kłujące kulki gradu. Zanim dotarłem do domu uzdrowiciela, zdążył już

zapaść zmrok, lecz mimo to dostrzegłem wyraźnie jarzący się symbol maga. Spożywał właśnie późną

wieczerę, lecz bez słowa ubrał się i w chwilę później gnaliśmy na złamanie karku do biednej Deoce. Tym

razem wichur i nawałnica chłostały nas prosto w twarze i musieliśmy nakłaniać konie do szybszej jazdy

przeciw gradowi i marznącemu deszczowi. Wkrótce dotarliśmy do domu, zeskoczyliśmy ze spienionych

wierzchowców i poprowadziłem uzdrowiciela do komnaty sypialnej.

142

Deoce leżała na łożu jęcząc z bólu. Byłem pewien, że ból rozsadza jej głowę, jako że nie należała do kobiet,

które narzekają z byle powodu. Kiedy weszliśmy, otworzyła oczy. Wydały mi się wyjątkowo rozszerzone i

płonęły nienaturalnym blaskiem. Uzdrowiciel wyjął z torby medykamenty, a ja podszedłem do łóżka i

ucałowałem ją. Pod ustami poczułem rozpalone czoło; gorączka była bardzo silna.

- To tylko zimowe przeziębienie - odezwała się Deoce próbując mnie pocieszyć. Zdobyła się na słaby

uśmiech i wyciągnęła dłoń, żeby poklepać mnie po ręku, lecz w tym samym momencie wydała niski jęk bólu

i ręka opadła jej bezwładnie. - Na bogów Salcae, czuję się paskudnie - wyznała. - Boli mnie każda kość, a w

głowie czuję otępiające dudnienie.

Wysiliłem się na uśmiech.

- A zatem miałaś rację. Zimowe przeziębienie. Nic więcej. Nie zdążysz zauważyć, jak dojdiesz do siebie,

kochanie, i znowu będziesz huśtać Emilie na kolanach.

Deoce spojrzała na mnie zatrwożona, kiedy wspomniałem o naszej córce.

- Emilie? Jak ona się czuje? Sprawdzałeś?

- Czuje się dobrze, pani - odpowiedziała Spoto. - Właśnie od niej wracam. A'leen mówi, że twoja córeczka

śpi spokojnie.

Deoce odetchnęła z ulgą, po czym skupiła wzrok na uzdrowicielu, który nałożył zaklęcia i sporządził

odpowiednią miksturę uśmierzającą ból. Najpierw dokładnie ją zbadał, dotykając w wielu miejscach,

wąchając oddech, nakierowując światło świecy na oczy Deoce. Serce podskoczyło mi w piersiach, gdy

dostrzegłem jego wahanie... jakby próbował zająć określone stanowisko. Zauważyłem, że nieznacznie

pokręcił głową, po czym uśmiechnął się... a ja pomyślałem, że jego grymas był równie wymuszony i

nieszczery jak mój, gdy szczerzyłem się do Deoce jak idiota, starając się stwarzać pozory bez troski.

- Zimowe przeziębienie, prawda? - zapytałem siląc się na spokój.

Zawahał się, zanim odpowiedział:

- Hm... tak... Tak! Zaiste tak. Zimowe przeziębienie. A teraz wypoczywaj proszę, szlachetna pani, i wypij tę

miksturę. Włożyłem do niej kawałek miodu, żeby złagodzić gorycz, ale mimo to może ci nie

smakować.

Zrób to jednak dla mnie i wypij wszystko jednym haustem... - Spełniła prośbę, opróżniając kielich najszybciej jak potrafiła. - A teraz proszę, zamknij oczy. Niebawem zmorzy cię sen. Nałożę zaklęcia, które wypędzą z ciała te małe demony. Jak przepowiedział twój zacny mąż, kiedy jutro otworzysz oczy, po chorobie nie zostanie najmniejszy ślad.

Usiadłem obok, gdy zamknęła oczy, i ująłem jej dłoń, aby ulżyć cierpieniu. Dłoń tętniła rozpalona gorączką,

a palce sprawiały wrażenie mocno opuchniętych. Nagle otworzyła szeroko oczy.

- Będziesz doglądał Emilie dziś w nocy? - zapytała.

- Oczywiście - zapewniłem. - Poproszę Spoto, żeby nie odchodziła przez całą noc od jej łóżeczka. Jest z

nami uzdrowiciel, więc nie musisz się martwić o Emilie, gdyby nawet złapała przeziębienie. - Ucałowałem

ją czule i zamknęła znużone powieki.

- Kocham cię, Almaryku - wymamrotała. Ja też zapewniłem ją o swojej miłości. - Byłeś dla mnie dobrym

mężem. I dobrym ojcem dla Emilie. - W odpowiedzi pogłaskałem gorącą dłoń. Ziewnęła. Najwyraźniej

mikstura zaczynała działać. - Wiesz? Myślę, że Emilie jest... bardzo... do... ciebie podobna. - Usnęła.

Uzdrowiciel ruchem ręki nakazał mi odejść od łóżka, więc usiadłem na krześle w kącie, podczas gdy on

postawił naczynia z kadzidełkami na ogniu, wsypując do nich antidotum na zimowe przeziębienie.

Wyczarował zdobny łańcuszek z ognistych koralików, po czym porozdzielał je i rozrzucił po łóżku. Sypnął

ciemnym prochem, a światełka ułożyły się w jarzący krąg. Następnie uniósł obie ręce do góry i szybko

wypowiedział zaklęcie. Światła nagle przygasły i Deoce krzyknęła głośno przez sen. Uzdrowiciel sprawiał

wrażenie zdumionego. Pokręcił głową, po czym przyniósł szkatułkę z innym proszkiem i wysypał zawartość

do naczyń. Koralki zajaśniały i uzdrowiciel odetchnął z wyraźną ulgą, lecz ta ulga przeraziła mnie; zmuszałem się, aby za wszelką cenę myśleć, że wszystko, co robi, jest takie zwyczajne, prawie rutynowe.

Kiedy ponownie zaczął wypowiadać zaklęcie, czekałem w napięciu na kolejny okrzyk bólu. Nie doczekałem

się. Twarz Deoce rozluźniła się wyraźnie i odniosłem nawet wrażenie, że jej wdzięczne usta układają się w

uśmiechu. Modliłem się, żeby oznaczało to słodkie sny. Uzdrowiciel nie przerywał obrzędów i wkrótce

kadzidła wypełniły całą komnatę intensywną wonią. Skończywszy wyjął mały stołeczek, rozłożył go i usiadł

przy łóżku. Pochylił w skupieniu głowę i zaczął wypowiadać kolejne zaklęcie ochronne. Wielokrotnie byłem

świadkiem takiej ceremonii, nawet kiedyś nakładano je na mnie. Tak, były to czynności rutynowe, zwykłe

antidotum na najzwyklejszą w świecie chorobę. Usnąłem.

143

Nie był to spokojny sen. Czulem, jakby poduszka niespodziewanie przeniknęła do mojej głowy i wtedy

odpłynąłem. Umysłem moim zawładnął koszmar, podczas którego ponownie spotkałem się z

przewoźnikiem... upiornym mężczyzną o ziejącym straszliwą pustką oczodole. Tak jak dawniej wszedłem

po schodach, usłyszałem wycie i stanąłem twarzą w twarz z przeznaczeniem, przed którego oblicze pociągał

mnie koszmar nocny, ilekroć zawładnął moimi snami.

Kiedy się zbudziłem, Mroczny Poszukiwacz zdążył już nawiedzić nasz dom i wymknąć się niepostrzeżenie.

Deoce nie żyła.

Nie będę profanował jej pamięci nieudolnym opisem uczuć, których wówczas doświadczałem.

Napiszę

tylko, że nigdy później nie odczuwałem takiej pustki i tak potwornego bólu. Zdawało mi się, że moje serce

jest kończyną, którą w każdej chwili można amputować, lecz mimo to żyć dalej.

Nie pamiętam zbyt dobrze, co działo się później. Uzdrowiciel szlochał, nie mogąc pogodzić się ze swoim

niewpowodzeniem, lecz jego łzy nie zdołały powstrzymać zimnej nienawiści, jaką do niego czułem. Rali

przybyła, by mnie pocieszyć i dopilnować, żeby odpowiednio przygotowano ciało Deoce i rzucono zaklęcie

pozwalające zachować zwłoki w nie zmienionym stanie aż do ceremonii pogrzebowej. Przypominam sobie,

że siostra mówiła o innych chorych, którzy, dotknięci tajemniczą zarazą, odeszli z tego świata. Jej słowa nie

miały jednak dla mnie żadnego znaczenia. Nie potrafiły przebić twardej skorupy odrętwienia. Minęły dwa

dni, a zdawało mi się, jakby to były lata całe. Każdą chwilę spędzałem z Emilie. Bawiliśmy się w ogrodzie,

gdzie stawiała swoje pierwsze kroki. Potrafiła już powiedzieć „ta” i „mama.” Wyjaśniłem jej, że mama

udała się w daleką podróż i nie będzie jej przez wiele dni. Zamiast się rozplakać, przytuliła się do mnie

mocniej niż zwykle; myślę, że bardziej aby ukoić mój ból, niż swój. W końcu zebrałem się w sobie.

Należało zaplanować pogrzeb. Wydawało mi się, że wynurzam się z objęć drugiego snu. W pierwszym

odeszła Deoce, w drugim ujrzałem, jak Mroczny Poszukiwacz i jego poddani zbierają obfite żniwo w Orissie.

Nigdy wcześniej podobna plaga nie nawiedziła naszych brzegów. Zaraza szalała w mieście, lekceważąc

wyraźnie wszelkie zaklęcia rzucane przez zrotpaczonych magów. Padali wszyscy: biedni i bogaci.
Choroba

nie rządziła się żadną logiką. Wyludniała całe dzielnice, inne pozostawiając nietknięte. Na porządku
dziennym zdarzały się przypadki wymierania całych rodzin, podczas gdy sąsiedzi cisnęli się w
swoich

domach zdjęci trwogą i paniką, lecz w dobrym zdrowiu. Czasami plaga wybierała sobie tylko
jednego

członka rodziny, pozostałych okrywając żałobą. Choroba nie piętnowała ludzi jakimiś krostami czy
ranami;

jedynymi objawami był straszliwy ból i gorączka. Niektórzy utrzymywali się przy życiu dłużej... inni
umierali przy pierwszym ataku.

Trwoga padła na miasto. Pozamykano wszystkie faktorie i tawerny. Nawet w kuźniach zapanowała
upiorna

cisza. Statki i łodzie zniknęły z rzeki. Magowie zwołali zgromadzenie wyjątkowe i przeglądali zwoje
pergaminów w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, która pomogłaby powstrzymać pustoszącą nasz kraj

zarazę. Bez skutku. Zmarłych grzebano pośpiesznie, bez zwyczajowych orszaków pogrzebowych,
ponieważ

ludzie lękali się wychodzić na zewnątrz. Pochowałem Deoce w naszych ogrodach, urządając
niewielką

ceremonię w asyście Rali i służby.

Wraz z upływem dni oczekiwałem powrotu Mrocznego Poszukiwacza, niespokojnie wpatrując się w
oczy

Emilie i swoich służących. Na zewnątrz gorączka nie ustępowała, lecz na razie nie dawała nam
kolejnego

powodu do żałoby. Nie wiem, ilu mieszkańców zmarło w tym czasie; może dwa tysiące, może
więcej.

W noc, w którą spadł pierwszy śnieg, Emilie zbudziła się jęcząc z bólu. Popędziłem do niej,
odpychając na

bok Spoto i A'leen. Na mój widok Emilie rozplakała się jeszcze głośniejsze. Wziąłem ją w ramiona i

przytuliłem mocno, starając się całym wysiłkiem woli odpędzić potworny ból. Wpiła się we mnie drobnymi

paluszkami i łkała: - Ta... ta... ta. - Podałem jej miksturę, by mogła spokojnie usnąć, i wykąpałem jej rozpalone, małe ciało w lodowatej wodzie, żeby zmniejszyć gorączkę. Nie pomogło. Przez całą noc kołysałem ją w ramionach, nucąc jej ulubione piosenki. Wiedziałem, że nie ma sensu sprowadzać uzdrowiciela, lecz za wszelką cenę chciałem coś zrobić, w jakiś sposób pomóc memu dziecku.

Wtedy przypomniałem sobie o lekarstwie Halaba, kiedy to przywrócił do życia moją fretkę i mnie samego.

Wybiegłem na śnieg i wkrótce jak opętany łomotałem do drzwi domostwa hodowcy. Wcisnąłem mu do ręki

pełną garść monet za małego zwierzaka w klatce i popędziłem konia z powrotem. Przeszukawszy swoją

komnatę, znalazłem naszyjnik z zębem fretki, który Janosz podarował mi dla ochrony w czasie ekspedycji.

Zabrałem Emilie wraz z klatką i amuletem do ołtarza Halaba, gdzie położyłem córeczkę wygodnie na podłodze. Na jej piersiach ułożyłem ostrożnie naszyjnik i padłem na twarz przed ołtarzem.

144

- Drogi bracie - poprosiłem - pomagałeś mi już wcześniej i błagam, byś teraz także przyszedł mi z pomocą.

Emilie umiera. Jest twoją siostrzenicą i byłbyś naprawdę dumny, gdybyś widział, jak dzielną, małą Antero

jest moja córeczka. Och, przybądź, Halabie. Ulecz ją z bólu. Odeślij Mrocznego Poszukiwacza od moich

drzwi.

Twarz Halaba spoglądała na mnie ze ściennego malowidła. Zdawało mi się, że w nieruchomych oczach

widzę bezbrzeżny smutek, tak jakby i jego dotknęło moje nieszczęście. Przywołałem całą swoją odwagę i

wyjąłem fretkę z klatki. Wiła się pełna życia, spoglądając dokoła zaciekawionymi oczkami.

Umieściłem ją w

ramionach śpiącej Emilie.

Spojrzałem na podobiznę Halaba.

- Przybądź do nas, bracie. Przybądź, zaklinam cię.

Nagle komnata pociemniała. Poczułem, że obok mnie przemknął cień. Emilie jęknęła boleśnie, lecz fretka

pozostała nieruchoma. Tylko drgające lekko wąsiki świadczyły, że nie jest wypchanym zwierzęciem.

Tuż przy uchu usłyszałem czyjś głos.

- Almaryku... - Wiedziałem, że to Halab i serce podskoczyło mi z nadzieją. W powietrzu pojawiło się jasne

światło i zawisło nad Emilie. Poczułem silną woń kadzideł.

Głos Halaba powrócił ponownie, tym razem jako szept.

- Emilie... Emilie.

Emilie poruszyła się, otworzyła oczy i uśmiechnęła się na mój widok. Fretka również się poruszyła i moja

córka dostrzegła ją. Zachichotała słabo.

- Ta - odezwała się. - Ta.

Rozpłakałem się czując niewypowiedzianą ulgę.

- Tak, córeczko. To dla ciebie. Fretka. Taka, jaką ja miałem będąc małym chłopcem. Fretka. Powtórzysz?

Fretka.

- Fre-tka - odpowiedziała wyraźnie, dodając tym samym nowy wyraz do swego małego słownika. Zamknęła

oczy i wydała z siebie długie westchnienie. Dłoń otworzyła jej się i fretka czmychnęła. Kolejne głębokie

westchnienie... i umarła.

Zawyłem z żalości i bólu. Rzuciłem się na małe ciało błagając, by to nie było prawdą. Sam chciałem

umrzeć. Życie straciło dla mnie wartość. Wszystko, co kochałem, wszystko, co nadawało sens memu istnieniu zostało mi bezlitośnie wydarte. Wtedy poczułem w pobliżu czyjaś obecność, a następnie usłyszałem wołanie Halaba: - Almaryku! - Spojrzałem przez łzy, dostrzegając jego postać pochylającą się nade mną. Chłodna, drgająca mgła o określonym kształcie. Usta ducha otworzyły się, aby przemówić. Z wielkim wysiłkiem wyszeptał: - Tak bardzo mi przykro... tak bardzo. - Jego dłoń popłynęła do przodu i dotknęła mojej twarzy. Dotyk nie był prawdziwym dotykiem, nie czułem ciepła ani zimna, po prostu był, pocieszający jak oddech, który poczułem na policzku.

Szept odezwał się ponownie: - Nie wolno ci przestać. Nie możesz... się poddać.

Pragnąłem krzyczeć. Po co? W jakim celu? Smuga mgły otuliła moją twarz w niewidzialnym dotyku.

- Wyzdrowiej, bracie - szepnął, po czym dodał: - Śpij, Almaryku... śpij.

Zapadłem w sen niemal śmiertelny, bo nikt nie mógł mnie zbudzić. Służący zanieśli mnie do komnaty i położyli na łóżku. Zaopiekowali się biedną Emilie, po czym pogrzebali ją w ogrodzie obok jej matki, a mojej żony. Zbudziłem się po sześciu dniach. Gorycz zamieszkała w moich piersiach niczym węzeł odrętwienia. Chciałem go wyciąć nożem, lecz kiedy opadły mnie mroczne myśli, przypomniałem sobie prośbę Halaba. Z trudem zastosowałem się do niej. Jadłem. Piłem. Dzień po dniu dźwigałem żal, cierpiałem ból.

Na zewnątrz, w mieście, radość rozproszyła smutki. Zaraza minęła. Mroczny Poszukiwacz zaspokoił głód.

Czuł się syty, a Orissa była bezpieczna. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Martwy czy żywy, chory czy zdrowy, nie dbałem o los miasta i jego mieszkańców.

Pewnej nocy usłyszałem pukanie do bramy. Wszyscy posnęli znużeni opieką nade mną i moją rodziną.

Wstałem i sam poszedłem sprawdzić, kto zacz. Otworzyłem bramę i osłupiałem. Wymizerowany, zakrwawiony mężczyzna opierał się o drewniane podwoje. Z trudem poznałem w nim setnika Maeena.

- Setniku - wyjąkałem zdumiony. - Skąd przybywasz i co się stało?

Maeen wycharczał z trudem.

- Wszystko legło w gruzach, panie. Zrujnowane.

145

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Opowieść setnika

- Co się stało? - dopytywałem się. - Gdzie on jest?

- W... Likancie - wyjąkał stary żołnierz. - W lochach. Albo gorzej... - Umilkł nagle, a ja odwróciłem się i

ujrzałem zbierających się dokoła służących. Szybko wprowadziłem Maeena do domu. Rozkazałem przynieść

jedzenie i wino, i zabroniłem komukolwiek powtarzać co tu usłyszeli, w tej samej chwili zdając sobie

sprawę, że ostatnie polecenie wydałem na próżno. Maeen próbował kontynuować opowieść, lecz nakazałem

mu milczenie, jeśli tylko to, co miał do powiedzenia, nie wymaga natychmiastowej reakcji. Setnik siedział z

posępnym wyrazem twarzy. - Nie natychmiast, nie za dzień, szlachetny panie, może nigdy - odpowiedział.

Pomogłem mu przejść do komnaty gościnniej, gdzie właśnie nakrywano stół. Trójce najbardziej zaufanych

ludzi nakazałem przy nim czuwać; od razu rzucił się na jedzenie, wypił duszkiem całą flaszkę wina i zwałił

się jak kłoda na posadzkę. Zgrzytając zębami, starając się uzbroić w cierpliwość, pozwoliłem mu na krótki

sen zdając sobie sprawę, że nic nie udałoby mi się wyciągnąć z człowieka, który umiera z braku snu.

Kazałem spalić złachmanione ubranie. Przybył tu bez broni; musiało zdarzyć się coś okropnego, jeśli

właśnie ten wojownik stracił miecz. Kiedy tylko Maeen otworzył oczy, natychmiast wykąpano go,

wymasowano zdrętwiałe ciało i przyprowadzono do mojej komnaty. Poczęstowałem go
odświeżającym

napojem, usiadłem za ciężkim stołem i poprosiłem, by opowiedział mi całą historię. Spodziewałem się

usłyszeć niespójną paplaninę, lecz powinienem był mieć lepsze zdanie o tym szlachetnym człowieku,
a

zarazem o naukach, jakie pobierał u Janosza.

Wyczerpany, najwyraźniej jeszcze pod wpływem szoku, zdawał jednak relację zwięźle i treściwie.

- Szlachetny panie Almaryku, druga ekspedycja do Odległych Królestw przestała istnieć. Zostaliśmy

unicestwieni za sprawą magii pochodzącej z zewnątrz oraz niekompetencji pośród naszych
przywódców. O

ile mi wiadomo, jedynym oficerem, jaki przetrwał jest kapitan Janosz Szary Płaszcz. Obecnie jest
więziony

w lochach Likantu. Nie wiem dokładnie, gdzie i pod jakim zarzutem. Kiedy go pojmano, umożliwił
mi

ucieczkę, więc nie mogę dokładnie określić miejsca, w którym go trzymają.

- Ale żyje?

- O ile Likantyjczycy nie wykonali egzekucji albo nie zamęczyli go podczas tortur. Kiedy nas
pojмали,

musieli się ostro pilnować, by nie zrobić mu krzywdy.

Poprosiłem, by opowiedział wszystko, od samego początku, bez względu na to, jak bolesne okazać
się

mogą jego słowa. Spełnił moją prośbę. Maeen nie był bardem, który rozpocząłby opowieść od
określenia

celu wyprawy i od lamentu, jak to bogowie odwrócili się od podróżników, zanim jeszcze postawiono

pierwszy żagiel. Zaznaczył krótko, że od pierwszego dnia wyprawa obfitowała w liczne niespodzianki, w

większości nadzwyczaj bolesne. Statki były przeładowane; kiedy tylko dotarły do ujścia rzeki i wpłynęły na

wody Wąskiego Morza, stało się jasne, że nie przygotowano ich należycie na tak daleki rejs. Trzon floty

stanowiły płaskodenne rzeczne barki lub pośpiesznie przebudowane felukki.

Niedługo potem wpadli w ramiona silnego sztormu, i chociaż nie dorównywał on burzy archontów

skierowanej przeciwko „Kittiwake”, flota rozproszyła się po całym morzu. Statek, na którego pokładzie

znajdowali się oficerowie, włączając Janosza i setnika Maeena, jako jeden z pierwszych dobił do brzegu

niedaleko wioski Nabrzeżnych Ludzi na Wybrzeżu Pieprzowym. - To jedyne szczęście, jakie nas spotkało -

dodał Maeen.

Dopiero po kilku tygodniach reszta ocalałych statków pojawiła się na wodach przybrzeżnych; pięciu nigdy

nie odnaleziono. Statki stanęły na kotwicy tuż przed wielką rafą i zaczęto pośpieszny wyładunek. Konie

wypychano za burty mając nadzieję, że dopłyną do brzegu o własnych siłach. Małych łodzi użyto jako barek,

a na płyciźnie ustawił się szereg żołnierzy podających sobie z rąk do rąk lżejsze przedmioty. W końcu cały

ładunek i członkowie wyprawy znaleźli się na suchym lądzie. Podczas lądowania doszło do kilku

incydentów pomiędzy naszymi ludźmi i tubylcami. Banda maruderów skrzywdziła kilka miejscowych

kobiet, doszło do bijatyk, a spora część zapasów ekspedycji ulotniła się niczym dym z ogniska. Janosz

musiał wyteńczyć cały swój kunszt dyplomatyczny, by nie pogorszyć stosunków z ludźmi Czarnego Rekina.

Maeen na czele oddziału gwardii przybocznej dowódcy ekspedycji uczestniczył w większości

spotkań.

146

Generał Versred powiedział, że to wszystko nie ma sensu, a Nabrzeżni Ludzie nie przedstawiają żadnej

wartości i szkoda czasu na jakiegokolwiek pertraktacje.

Wreszcie ekspedycja ruszyła w dalszą drogę, podążając mniej więcej szlakiem mojego Odkrycia. Piszę

„mniej więcej”, jako że dwa tysiące osób nie mogło korzystać z tych samych wąskich ścieżek i przecinek,

którymi my szliśmy, i nie mogło żywić się jedynie znalezionymi plonami ziemi. Większość uczestników

nalegała na wzięcie ze sobą różnych luksusowych przedmiotów, takich jak namioty, przenośne toalety -

jedne dla oficerów, a drugie dla pozostałych członków wyprawy, oraz skrzyń pełnych ubrań, co wielce

spowalniało marszrutę. Ciężkie wozy wyznaczały tempo. Maeen poinformował mnie, że pięciu czy sześciu

oficerom towarzyszyły nałożnice, od których nie można było oczekiwać, by podróżowały piechotą. Konie

okazały się bardziej narowiste i wybredne w jedzeniu niżli nasze osły, przez co wymagały staranniejszej

opieki. Ludzie padali jak muchy już na wstępnym etapie ekspedycji, gdy przemierzali opustoszałe tereny,

przypominające rozległy park. Umierali z powodu chorób, błędów i ignorancji. Dwukrotnie gubili drogę i

wracali po śladach na właściwy szlak. Tego nie potrafiłem zrozumieć. Cóż zatem robili magowie? Setnik

wyjaśnił, że ich zaklęcia zdawały się bezsilne albo obracały się przeciwko nim samym z jeszcze większą

bezwzględnością niż stało się to w przypadku Cassiniego. Zapytałem o mapę Strażnika, na której, jak się

okazało, można było polegać jedynie sporadycznie. Najbardziej godnym zaufania przewodnikiem okazała

się kopia mapy naszkicowanej przeze mnie. A Janosz? Janosz zainteresował się nad wyraz żywo przyjaciółką jednego z oficerów, żołdak zaś nie miał nic przeciwko zalotom do jego ukochanej. Setnik

Maeen odnosił wrażenie, iż Janosz jedynie połowę swych myśli poświęca wyprawie, lecz „może zbierał siły

na Jałowe Ziemie”. Przypomniałem sobie znudzenie Janosza, kiedy żyliśmy wśród Ludu Doliny, lecz przemilczałem to.

Maeen wspomniał, że ekspedycja, niczym szarańcza, pozostawiała za sobą stratowany pas ziemi szerokości

mili. Szarańcza jednak przemieszcza się dużo szybciej. Dotarli do źródeł rzeki i ich oczom ukazała się

niezmierzona pustynia. Zapytałem, czy nękały ich hordy handlarzy niewolników albo ich czary, lecz setnik

zaprzeczył. Spytałem też, czy magowie odzyskali swe zdolności, lecz w odpowiedzi usłyszałem, że ich moc

powróciła jedynie w niewielkim stopniu.

Setnik rozejrzał się nerwowo po komnacie.

- Czy jesteście, panie, świadomi... zainteresowań kapitana?

- Masz na myśli magię?

- Istotnie. Kazał rozstawiać jeden z namiotów wyłącznie do swego użytku i spędzał w nim większość czasu.

Wydawał rozkaz wartownikom pilnującym wejścia do namiotu, by nie wpuszczali nikogo bez jego zezwolenia. Osobiście wierzę, że to właśnie poczynania kapitana uchroniły nas przed obcą magią. Nie

zauważono również śladu Strażników.

Ekspedycja ominęła krater, ciągnął setnik Maeen, chociaż początkowo miał posłużyć jako schronienie i

miejsce popasu. Zacisnąłem zęby do bólu wyobrażając sobie, co ta hałastrą uczyniłaby z rajem, jaki znaleźliśmy wraz z Deoce. Byłem bliski łez, gdy znów uświadomiłem sobie, jakby po raz pierwszy, że moja

ukochana odeszła na zawsze. Starąłem się nie okazywać uczuć, zdradzając jedynie żywe zaciekawienie

opowieścią Maeena. Janosz zmienił zdanie bynajmniej nie z romantycznych pobudek. Obawiał się, że zakłęcie nałożone na krater jest zbyt silne i gdyby śmierć ponownie nawiedziła rajską dolinę, ekspedycja

poniosłaby zbyt wiele ofiar. Co więcej, zapasy żywności i wody wydawały się jeszcze całkiem zadowalające.

Janosz nie myślał również o poszukiwaniu Doliny, jako że nie mogła by ona wyżywić tak licznej ekspedycji,

mimo że liczba uczestników zmniejszyła się do półtora tysiąca osób.

Jałowe Ziemie pojawiły się niczym nocny koszmar, lecz Maeen nie martwił się tym, ponieważ wiedział, że

gdzieś w oddali leży kres tego pustkowia. Podążali ścieżką wydeptaną niegdyś przeze mnie i Janosza u

podnóży górskiego pasma. Nastęła jesień. Maeen zastanawiał się głośno, czy może w porze roku nie tkwił

najgorszy z problemów. Zdawało się, że Janosz wychodzi z letargu w miarę zbliżania się do przełęczy;

zachowywał się jak poganiacz bydła zmuszający swoje stado do coraz większego wysiłku. Setnik pokręcił

smutno głową.

- Rozumiałem, czego chce kapitan... lecz nie widziałem sposobu, by przyspieszyć pochód. Może w

przypadku mniej licznej wyprawy, gdybyśmy mieli ze sobą jeno podręczny bagaż, gdyby ludzie byli lepiej

wyszkoleni... - Głos uwiązł mu w krtani. - Miałem wrażenie... oczywiście nie mam zamiaru ganić mego

dowódcy i jego metod... że przestano słuchać jego rozkazów, a generał wraz z pozostałymi oficerami

uważali, że przechwalała się niczym handlarz ryb. Janosz, generał Versred i jego ludzie postanowili sforsować

147

przełęcz przed pierwszymi śniegami. Potem planowali zapaść na zimowe leże. Nigdy jednak do tego nie

doszło. Posuwaliśmy się dalej, aż oczom naszym ukazało się miasto u podnóża przełęczy.

Pamiętałem to miejsce.

- Stamtąd zapewne pochodzili jeźdźcy, którzy nas zaatakowali.

Maeen skinął głową.

- Władcy miasta przyznali się do tego i poprosili o wybaczenie. Porozumiewaliśmy się językiem handlowym. Twierdzili, że zagrażają im bezlitośni wrogowie i stąd pochopna decyzja dowódcy oddziału.

Przeprosili nas tłumacząc się gęsto, jakby to powiedział kapitan. - Maeen wyraźnie miał ochotę splunąć, lecz

przypomniawszy sobie gdzie się znajduje. - Od tamtego dnia zaczął się dopełniać nasz los - powiedział z goryczą.

- Miasto i jego mieszkańcy oczarowali nas swym pięknem - ciągnął. - Zapewnili generała i kapitana o

radości, jaka zagościła w ich sercach na widok naszej ekspedycji. Nastął świt nowego dnia, jak powiedzieli

ojcowie miasta, dzień przymierza z Orissą. Koniec paralizującego strachu przed wojownikami z

Niespokojnych Ziem. Radość ich wzrosła jeszcze bardziej, gdy usłyszeli, jaki jest cel naszej wyprawy. Wraz

z nadejściem wiosny wielu z młodszych żołnierzy wyraziło gotowość dołączenia do naszej kompanii i

powędrowania na wschód ku Odległym Królestwom. Miasto, które nosiło nazwę Wahumwa, wiele wieków

wstecz utrzymywało przyjacielskie stosunki z łagodnymi mędrkami zamieszkującymi Odległe Królestwa.

Setnik przerwał, wyjął poszarpany zwitek materiału i wręczył go mnie.

- Jako dowód - powiedział - te kłamliwe łotry dali to kapitanowi.

Rozwinąłem materiał i rozdziawiłem usta w zdumieniu. Trzymałem w ręku proporzec, jakich zwykle używała konnica, tak stary, że płótno stało się brudnoszare. Widniały na nim czytelne, wyraziste oznaczenia:

zwinięty wąż na tle promienistego słońca. Dobrze zapamiętałem ów symbol. Umysł mój poszybował na

Wybrzeże Pieprzowe do wojownika w bursztynie, którego ducha udało nam się ukoić. Wąż i słońce były

wyrysowane na skórzanej sakwie, jaką miał przy sobie zmarły wojownik.

Setnik Maeen odezwał się znowu:

- Powiedziano nam, że wojownicy z Odległych Królestw nosili właśnie takie sztandary. Zostawili go ostatnim razem, kiedy przybyli im z odsieczą.

- Co na to Janosz? - zapytałem.

- Och, uwierzył, że to pochodzi z Odległych Królestw i jest godłem tamtejszych władców.

- A więc był tego pewien? - naciskałem przypominając sobie, co obydwaj sądziliśmy patrząc na owo godło.

- Był pewny, kiedy mu go dali - odpowiedział Maeen - jak w dniu, gdy on przekazał go mnie, bym w razie

jego śmierci wręczył go tobie, jeśli przeżyję.

Zwinąłem materiał i wsunąłem go ostrożnie do szkatułki na stole, gdzie leży do dzisiaj. Potem delikatnie

zachęciłem setnika, by podjął przerwany wątek: - A więc mieszkańcy owego miasta twierdzili, że łączą ich

przyjazne stosunki z Odległymi Królestwami?

- Tak, panie. To właśnie nam powiedzieli ci kłamcy - odparł gorzko Maeen. - Mówili, że stoczyli kilka

wielkich bitew z barbarzyńcami z Niespokojnych Ziem i stracili kontakt z Odległymi Królestwami.

Na

skutek tychże wojen mieliśmy do dyspozycji wiele wolnych domostw. Nie musieliśmy rozbijać namiotów,

czy spać pod gołym niebem. A co do towarzystwa wielu wdów czy kobiet niezamężnych... Tego mieliśmy aż

nadto. - Maeen umoczył usta w ziołowym wywarze, skrzywił się, odstawił kubek i poprosił o wino.

Nalałem mu pełen kielich, pociągnął tęgi łyk, otarł usta wierzchem dłoni i ciągnął dalej swą opowieść.

- Zajęliśmy wolne kwatery i krok po kroku dyscyplina naszej małej armii się rozprężyła. Wtedy nadeszły

zimowe burze. Po co nam musztra, skoro możemy czerpać siły z ciepła domowego ogniska, popijając

przednie wino? Nie podobały mi się owe dni. Czuję się obiektem żartów, jakby robiono z nas wszystkich

głupców, jakby ci ludzie podśmiewali się za naszymi plecami.

Zastanowiłem się. Kiedy byłem tam z Janoszem, za dnia dostrzegli byśmy dym dobywający się z ognisk

tego miasta lub taniec ognia na tle gór otulonych mrokiem nocy. A może nie; może miasto leżało ukryte w

dolinie. Maeen wspomniał, że Janosz próbował wysłać zwiadowców na przełęcz, lecz za każdym razem

warunki pogodowe zmuszały ludzi do powrotu. Wreszcie postanowił oddać się rozkoszom tej luksusowej

pułapki aż do pierwszych roztopów i ponownie powrócił do swoich badań.

- Nie wyszły mu one na dobre i obawiam się, że nam wszystkim również nie - zauważył setnik.

Aby uczcić wigilię środka zimy, mieszkańcy miasta zorganizowali wystawną ucztę. W wielkiej sali

ustawiono długie stoły, które uginały się pod ciężarem egzotycznych potraw; każdemu mężczyźnie umilała

148

towarzystwo kobieta. Służący biegali bez wytchnienia ze lśniącoymi półmiskami i z dzbanami pełnymi

przednich trunków. Muzykanci brzdąkali na instrumentach starając się umilić gościom czas, a w powietrzu

unosila się odurzająca woń perfum i wonnych olejków, jakimi kobiety namaściły swe powabne ciała.

- Nie wiem co sprawiło, że przybyłem na ucztę uzbrojony - kontynuował Maeen. - Wsunąłem sztylet do

rękawa gwałcąc w ten sposób wszelkie zasady gościnności. Teraz dziękuję bogom za ów nietakt. Nie ostrzegł mnie żaden sygnał. Kobieta zajmująca miejsce po przeciwnej stronie stołu niespodziewanie zatopiła

ostrze sztyletu w plecach swego towarzysza. W sali zapanowała panika; rozpętało się istne piekło, gdy

miecze i noże odbierały życie Orissanom. Moje ostrze cięło, zanim siedząca obok mnie niewiasta zdążyła

unieść uzbrojone ramię. Upadła na ziemię, a kapitan skoczył na równe nogi i z furią napał na zbity tłum,

wywijając kandelabrem jak maczugą. Zrozumiałem, że zbliża się koniec wszystkiego. Widziałem, jak ci

ludzie wpadają w amok pod wpływem krwi, którą sami rozlali. - Jego krępy ciałem targnął silny dreszcz. -

Ujrzałem piękną, płowowłosą kobietę, która na klęczkach, niczym młoda lwica, rozrywała gardło generała

Versreda. Potem ona... i cała reszta... rozpoczęli makabryczną ucztę.

Mężczyźni i kobiety rzucili się na zwłoki naszych ludzi, ignorując pozostałych przy życiu Orissan, którzy

umknęli zabierając broń i zapasy żywności, nie zważając na burzę, mroki nocy i przenikliwy chłód. O dziwo, nikt ich nie ścigał.

- Może dostali to, czego chcieli - podsumował Maeen. Miałem podobne zdanie. Jednak myśl, że ludzkie

mięso nie było ich prawdziwym celem, zatrzymałem dla siebie. - Masakrę przeżyło nie więcej niż dwie,

może trzy setki Orissan. Rozpoczęliśmy długotrwały i zmutny odwrót. Teraz śmierć zbierała swoje

żniwo

każdego dnia, w miarę jak ludzie padali z wyczerpania, pragnienia lub od noży pustynnych zbójców.

W końcu zostało nas po trzykroć dziesięciu, w tym jeden oficer, Janosz. Odnajdywaliśmy drogę tylko dzięki

słońcu i gwiazdom i wkrótce zboczyliśmy z obranego szlaku. Po wielu dniach tułaczki dotarliśmy do morza,

lecz daleko na zachód od krainy Nabrzeżnych Ludzi. Na opustoszałym wybrzeżu nie znaleźliśmy najmniejszego śladu bytności człowieka. Dwóch z naszych ludzi wychowało się nad morzem i znali się

trochę na szkutnictwie. Skleciliśmy prostą tratwę, uszyliśmy z ubrań niewielki żagiel i złożyliśmy nasz los w

ręce bogów, mając nadzieję, że sprzyjające prądy i wiatry zanoszą nas prosto do Redond.

Nigdy nie dotarli do tego kupieckiego miasta. Po drodze zostali zaatakowani przez potężną galereę.

Napastnicy twierdzili, że są piratami, lecz wszyscy zachowywali się jak świetnie wyszkoleni, karni żeglarze.

Domyśliłem się, że była to jednostka likantyjskiej floty. W trakcie walki padło ośmiu naszych. Resztę zaciągnięto na forpik, zakuto w kajadany i statek pożegłował w kierunku Likantu.

- Wraz z kapitanem Janoszem - mówił dalej setnik - obmyśliliśmy plan, wprowadzając go w życie, kiedy

przeniesiono nas na pokład tuż za tą przeklętą zatoką Likantu. Janosz miał wszcząć walkę, w nadziei że

pozostali przyjdą mu z pomocą. Ponieważ jako mały chłopiec uchodziłem za doskonałego pływaka,

uzgodniliśmy, że wskoczę do wody i wpław dotrę do brzegu. Gdyby kapitanowi udało się wyswobodzić,

miał ruszyć w moje ślady. - Maeen pokręcił ponuro głową, a na jego twarzy pojawił się rumieniec wstydu,

jakby nie wywiązał się ze swego zadania. - Zdołałem jedynie zobaczyć, jak strażnicy przygważdżają szamoczącego się kapitana do pokładu. Potem pamiętam padające dokoła strzały. Zanurkowałem, by się

przed nimi ustrzec.

Maeen dotarłszy do brzegu zobaczył, jak galera mija wielki łańcuch, który strzegł wejścia do portu Likantu.

Nie mógł już nic zrobić dla Janosza i pozostałych. Mógł jedynie zanieść smutne wieści do Orissy.

Maeen skończył westchnąwszy ciężko. Uzupełniłem kielich zastanawiając się, co powinienem teraz uczynić. Sprawy wymknęły mi się z rąk. Ktoś, może jakiś strażnik przy bramie, przypadkowy przechodzień,

może nawet ktoś z mojej służby rozniósł hiobowe wieści. Orissa zapłakała. To miasto już wcześniej nękały

rozmaite katastrofy, lecz jeszcze nigdy nie spotkało go tak wielkie nieszczęście. Spośród dwudziestu setek

uczestników wyprawy powrócił tylko Maeen. Pozostali albo zginęli zbłądziwszy na pustkowiu, albo stali się

niewolnikami: trzech młodych, lecz wysoce cenionych sędziów, generał Versred z całą swoją świtą, inni

waleczni wojownicy, cała straż przyboczna sędziów, z wyjątkiem jednej kohorty, oraz setki żołnierzy stanowiących kwiat naszej armii.

Sędziowie wezwali Maeena, by usłyszeć zatrważającą historię z jego własnych ust. Zasugerowałem mu

pominięcie pewnych szczegółów, dotyczących zachowania generała pod koniec wyprawy, śmiertelnie

wolnego tempa marszu i postawy Janosza. Słuchając wzburzonych pomruków tłumu uświadomiłem sobie,

że miało to małe znaczenie. Maeenowi kazano powtórzyć opowieść na miejskim zgromadzeniu w Wielkim

Amfiteatrze. Ludzi ogarnął szal, który wkrótce przerodził się w histerię. Pogłoski, zarzuty, obwinianie

149

trawiły miasto niczym żarłoczne płomienie rozkwitające na suchym krzaku. Magowie, z Cassinim na czele,

podsycał ogień. Podejrzewano, że wyprawa była z góry skazana na niepowodzenie, ponieważ Janosz Szary

Płaszcz prowadził ją prosto w pułapkę. Obwołano go zdrajcą, podwójnym szpiegiem opłacanym przez

archontów, a nawet czymś jeszcze gorszym, mianowicie wrogiem z nieznanego kraju. On w ogóle nie był

człowiekiem. Albowiem czy komukolwiek udało się dotrzeć poza Redond i czy ktoś widział księstwo

Kostromy? To Janosz zaprzepścił szansę połączenia Orissy z Odległymi Królestwami. Jego zwolennicy nie

dawali posłuchu tym oszczerstwom, lecz z drugiej strony większość mieszkańców Orissy nie słuchała ich

argumentów, że do tragedii doprowadzili magowie pragnący sobie przypisać glorię odkrycia Odległych

Królestw i powstrzymać teokrację. Gamelan zgodził się z innymi magami, że najlepszym wyjściem będzie

dla niego skrycie się w pustelni za miastem, by tam zgłębiać mądrości Innych Światów, zanim zdecyduje się

na wypowiedzenie swego zdania przed większym audytorium.

Ponownie wypłynęły na powierzchnie oszczerstwa wymierzone w rodzinę Antero. My również podobno nie

byliśmy wierni Orissie, lecz obchodziły nas jedynie złote monety i sztabki srebra. Pewnego wieczoru jakiś

śmiałek wykrzykiwał przed moim domem, że zacni magowie zawczasu wyczuli złą wolę mego brata i

dlatego umarł. Wybiłem mu zęby trzonkiem szyletu i niechybnie zatopiłbym lśniące ostrze w jego trzewiach, gdyby Rali mnie nie odciągnęła. Ona i Maeen stanowili teraz dla mnie jedyną podporę. Zdawało

mi się, że cały świat pokryty jest gęstą mgłą, a między mną a moim życiem zawisła nieprzenikniona zasłona.

Deoce i Emilie częściej zaprzętały moje myśli niż cały ten zgiełk dokoła.

Mniej więcej w tym samym czasie powrócił sen, koszmar nocny, w którym torturowano mnie w głębokich
lochach. Tym razem przez osobliwe pieczary wprost ku zagładzie prowadził mnie Greif Likantyjczyk.
Ocknąłem się o świcie nad rzeką obserwując jak ciemne wody płyną w kierunku morza i myśląc o tym, że
sprawiają wrażenie miękkich niczym powitalne łoże dla znużonego życiem człowieka. Otrząsnąłem się. Mój
ojciec zganiałby mnie, gdyby żył i znał moje myśli. Żaden Antero nie pozwolił sobie do tej pory tak dogłębnie
pogrążyć się w żalu. Muszę zacząć działać i to jak najszybciej.
Kiedy tylko powstała mi w głowie ta myśl, wiedziałem już co mam zrobić. Nawet gdyby mieszkańcom
Orissy powróciły zdrowe zmysły, i tak nie pomyśleliby o ratowaniu Janosza. A zatem ja to zrobię.
Pośpieszyłem do domu. Zbudziłem służbę i zacząłem wydawać polecenia. Podzieliłem się z Rali moim
pomysłem, na co zmarszczyła gniewnie brwi.
- Możliwe, że decydujesz się na skok do głębszej wody nie możesz przypuszczać - powiedziała, a ja
wzdrygnąłem się podświadomie, słysząc to porównanie. - Może Janosz jest bardziej wartościowy dla
Likantu... albo po prostu sami sobie to wmawiają... niż się tego domyślamy.
- Nie sądzę - odparłem. - Nie znam żadnego Likantyjczyka, który oparłby się widokowi pękatej sakiewki.
Poradzę też Janoszowi, zanim dam za niego okup, by opowiedział Likantyjczykom wszystko co wie. Niechaj
zorganizują własną ekspedycję, jeśli tylko tego pragną, i staną twarzą w twarz z pustynią, handlarzami
niewolników, padlinożercami. Janosz, jak to udowodnił błędząc w drodze powrotnej, ma w głowie błędną
mapę. Istnieje tylko ta, którą sam naszkicowałem.

Rali pokręciła głową.

- Rozumujesz całkiem logicznie, bracie, a to może wpędzić cię w kłopoty. Kiedy ludzie zaprzatają sobie

umysły kolorem sztandarów - tak jak czynią to obecnie oba miasta - i tym, co rozumieją przez prestiż swojej

nacji... cały racjonalizm znika. Dodaj jeszcze do tego szaleństwo rozbudzone przez najmniejsze

wspomnienie Odległych Królestw... - Głos uwiązał jej w gardle. - Ruszaj, jeśli musisz, Almaryku, ale będę

się o ciebie martwiła.

Jeszcze przed świtem wynajęty niepozorny wóz wytoczył się przez bramę miasta. Znajdowały się w nim

dwie skrzynie wypełnione po brzegi sztabkami czystego złota, które wzięłem z piwnic naszego domu.

Otworzą mi drogę do Likantyjczyków, nawet do odurzonych magią archontów. Nie był to może okup godny

króla, lecz z pewnością wystarczający dla możnowładcy, czy nawet dwóch. Sześciu z moich najlepszych

ludzi strzegło skrzyń niczym oka w głowie. Chciałem zabrać ze sobą setnika Maeena, lecz zdałem sobie

sprawę, że gdyby jedyny ocalały uczestnik ekspedycji opuścił miasto kierując się w stronę Likantu, moi

wrogowie natychmiast wykorzystaliby ten pretekst i wysłali za nami pościg.

PODRÓŻ DO Likantu przebiegła bez większych problemów. Pozostawiłem wóz w ostatniej przyzwoitej

gospodzie, jakiś dzień drogi od miasta, nakazując moim ludziom, by cierpliwie czekali tam na mój powrót.

Wybrałem silnego wierzchowca i pojechałem do Likantu. Nie pamiętam, jaka była pogoda i czy napotkałem

150

po drodze jakichś podróżnych. Wszystkie moje myśli krążyły wokół sposobu, w jaki uwolnię Janosza. Bez

problemu wjechałem do miasta i skierowałem się do tej samej karczmy, w której przebywaliśmy podczas

pierwszej wyprawy. Zamierzałem odświeżyć się tudzież zaspokoić głód i pragnienie. Potem chciałem

poszukać najkrótszej drogi do likantyjskich władców. Nie dane mi było jednak dotrzeć do karczmy.

O pierwszym brzasku na ulicach miastach pojawił się tłum likantyjskich wyrobników powracających do

swych domostw, więc musiałem poganiać strudzonego wierzchowca, by szedł stępa wśród ludzkiej rzeki.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, zostałem sam. Siedząc na koniu, na opustoszałej ulicy, kątem oka widziałem, jak ostatni przechodzień umyka w stronę wejścia do dużego budynku.

Usłyszałem ujadanie i zaledwie zdążyłem przypomnieć sobie ten dźwięk, kiedy zza rogu wyskoczyła obrzydliwa, pozbawiona włosów hiena o twarzy człowieka. Było to samo stworzenie, które niegdyś wezwało

nas do zamczyska archontów, a następnie wybrało młodą kobietę na ofiarę. Stworzenie przysiadło na zadzie,

spojrzało na mnie badawczo małymi ślepiami i zawyło złowrogo. Przejmujący dreszczem głos odbił się

echem od kamiennych budowli.

- Almaryku Antero - usłyszałem głuchy głos. - Jesteś wzywany. Musisz posłuchać.

Podświadomie ściągnąłem wodze, próbując odciągnąć przerażonego wierzchowca od ohydneho monstrum,

lecz za moimi plecami wyrósł jak spod ziemi silny oddział strażników, najeżony ostrymi jak brzytwy włóczniami. Drugi szereg żołnierzy pojawił się nagle tuż za hieną.

- Almaryku Antero, jesteś wzywany.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Lochy archontów

Znalazłem się w wielkim nadmorskim zamczysku wznoszącym się na krańcu cypla. Wewnątrz

poprowadzono mnie długimi, ciemnymi, rozbrzmiewającymi echem kroków korytarzami. Mijaliśmy strzeżone przejścia oraz komnaty o niezwykle wysokich sklepieniach. Zdawało mi się, że jedynymi żywymi istotami w tym wielkim zamczysku są strażnicy, ja sam i owo paskudne stworzenie, które stąpało tuż przede mną. Dotarliśmy do głównego wejścia, zasłoniętego ciemnozieloną kotarą. Strażnicy bez żadnego rozkazu odwrócili się na pięcie i odmaszerowali... pozostawiając mnie w towarzystwie Poszukiwacza.

- Almaryku Antero, jesteś wzywany - powtórzył stwór i zniknął za zasłoną. Podążyłem jego śladem, czując ogólne odrętwienie. Znalazłem się w kamiennej grocie o wysokim sklepieniu, oświetlanej blaskiem pochodni zatkniętych w naturalnych otworach. Na dalekim końcu komnaty ujrzałem podwyższenie, po obu stronach którego znajdowały się dwa okrągłe podesty. Stworzenie usiadło przed osobliwą sceną. Usłyszałem

- albo raczej poczułem - buczenie, jakby powietrze drgało. Odgłos narastał i w końcu dostrzegłem migotanie na szczycie każdego z podestów, migotliwe aury przewyższające dorosłego mężczyznę. Poszukiwacz pochylił łeb z szacunkiem. Stałem wyprostowany, patrząc prosto przed siebie.

Wiedziałem, że powinienem uklęknąć, lecz wzbraniałem się przed tym całym jestestwem; od tamtego czasu

zdarzyło mi się to robić przed wieloma dziwnymi bogami, królami a nawet łotrami, którzy obnosili się ze szlachetnymi tytułami, nie zawsze im należnymi. W rzeczywistości ów gest ma niewielkie znaczenie; często

okazuje się wielce przydatny, zwiększając szanse przeżycia, a kiedy indziej jest to sprawa zwykłej grzeczności. We wnętrzu zamku archontów stałem jednak wyprostowany. Być może powodowała mną duma

z pochodzenia i nazwiska. Krótko mówiąc, nie zamierzałem klękać przed jakimiś wirującymi mgłami.

Buczenie stało się prawie namacalne, po czym natężenie dźwięku uległo zmianie, przypominając złowrogie

dudnienie - odgłos pochodzący z gniazda monstrualnych pszczół. Poza tym nie wydarzyło się nic osobliwego i po jakimś czasie odgłosy umilkły.

Kiedy zaległa cisza, z ciemności za podestami wyłonił się człowiek. Jego piękno naprawdę urzekło, chociaż rzadko używam podobnego określenia w przypadku brzydszej połowy ludzkości. Mężczyzna

lekko kręconych płowych włosach, pełnych ustach ułożonych w chłopięcy uśmiech i zgrabnej sylwetce,

zaiste robił wrażenie.

- Szlachetny Almaryku. Miałem nadzieję, że zatrzymanie twego pacholka sprawi, iż przybędziesz do naszego miasta. Jestem Nisou Symeon. - A zatem ten człowiek, którego i mój ojciec i Greif uważali za

151

najbardziej nikczemnego z Symeonów - klanu, z którym rodzina Antero rywalizowała od trzech generacji -

był nikiem więcej niż chłopcem. Mimo że znajdowałem się w rozpaczliwym położeniu, zwróciłem szczególną uwagę na jego twarz i nie pierwszy raz uświadomiłem sobie, że tylko głupiec osądza dobro i zło

przez pryzmat piękna i brzydoty.

Przez głowę przebiegły mi rozliczne odpowiedzi. Odrzuciłem te, które sugerowały strach, zaskoczenie,

pogardę czy zbytnią śmiałość. - Szlachetny Symeonie - odezwałem się w końcu. - A więc przekonałeś

swoich władców, że potrafisz pojmać orissańskiego dostojnika nie obawiając się konsekwencji.

- Moi panowie, archonci nie potrzebują żadnych dowodów - odparł. - Na wypadek gdybyś był zagrzebany w

swoich wspomnieniach o przeszłości, jak większość Orissan, uświadomiam ci, że w Likancie panuje nowy

duch. Nadszedł czas, byśmy spełnili historyczny obowiązek i poszukali dla siebie odpowiedniego miejsca. -

Przypomniał mi się srogi werdykt Cassiniego, kiedy opuściliśmy Likant. Powiedział wtedy, że powinniśmy

byli zrównać z ziemią to miasto i jego mieszkańców w obawie ponownego powstania. Nawet taki Cassini

może czasem wyrzeć poza zasłonę pychy i prawidłowo coś ocenić.

- Co więcej - kontynuował Symeon - nawet gdyby martwił nas potencjalny odwet Orissy, wątpię, czy

stałoby się to za sprawą jakiegoś Antero. Twoja ojczyzna przestała cię kochać. - Zachowałem kamienną

twarz i głębokie milczenie, lecz musiałem w duchu przyznać, że mój rozmówca miał słuszość.

- Pragniemy jedynie, byś zdał nam szczegółową relację z wyprawy i opisał szlak prowadzący ku Odległym

Królestwom - kontynuował Symeon. - Nie ulega wątpliwości, że Likant to jedyna siła, jaka może szukać

przymierza z Królestwami, szczególnie jeśli zważyć nieszczęście jakiego doznała Orissa z powodu twego

sługi, kiedy ostatnio próbował dotrzeć do Odległych Królestw.

- Mylisz się bardzo sądząc, iż kapitan Szary Płaszcz jest moim podwładnym... czy choćby ziomkiem.

- Czyżby? Przypuszczam więc, że jedynie z czystego altruizmu przybyłeś do Likantu? A jeśli nie jest twoim

podwładnym, to kim dla ciebie jest? - Ściągnął usta. - Kochankiem?

Zamrugalem nie będąc wówczas świadom, że podejście Likantyjczyków do niektórych spraw jest tak

zacołane jak architektura ich budowli. Bez trudu zignorowałem obraźliwe, według niego, słowa. Zmusiłem

się do cynicznego uśmiechu. - Doskonale. Co możesz mi zaoferować, jeśli zacznę z tobą współpracować?

- Mógłbym postąpić głupio - odparł - i obiecać ci złoto lub wysokie stanowisko tu w Likancie. Oczywiście

nie wrócisz do Orissy, aż... dojdzie do unormowania stosunków pomiędzy naszymi miastami. Nie zaoferuję

ci jednak ani jednego, ani drugiego. Dla ciebie istnieje tylko jedna nagroda... wszystkie inne wydają się przy

niej bez wartości. Właściwie to nie muszę niczego obiecywać; moi mistrzowie, archonci, potraktowaliby

mnie gorzej niż niewolnika, gdybym ci coś przyrzekł. Pragniemy posiąść całą waszą wiedzę. Chcemy poznać szlaki wiodące ku Odległym Królestwom. Chcemy wiedzieć wszystko, poczynając od przybrzeżnych

pływów, poprzez jadalne owoce, irytujące owady, tubylców, aż po wszelkie rodzaje magii, jakie napotkaliście podczas wędrówki. Jesteśmy przygotowani użyć wszystkich naszych talentów i umiejętności,

aby zachęcić was do podzielenia się z nami tymi informacjami. Nie mamy żadnych skrupułów, jeśli chodzi o

sposób i czas wykorzystania owych umiejętności. Nie śpieszymy się zbytnio, ponieważ zarówno moi mistrzowie, jak i ja zdajemy sobie sprawę z problemów mogących wyniknąć ze zbyt gorliwego przesłuchania.

- Takich jak śmierć?

- Właśnie - odparł spokojnie Symeon. Lub na przykład; a nawet, jeśli inkwizytor jest niedostatecznie sceptyczny, świadome, lub przypadkowe kłamstwo. Taki jest zatem nasz cel i główne zamierzenie. Czy

życzysz sobie skomentować to, czy może zdecydujesz się na śmiałe odrzucenie propozycji? - Potrząsnąłem

przecząco głową. Symeon przytaknął. - A zatem to wszystko... na razie. Niebawem dowiemy się, kiedy

zapragniecie przemówić... z całego serca i duszy. A teraz bądź łaskaw podążyć za posłańcem moich mistrzów do swojej komnaty - nie czekając na odpowiedź Symeon odwrócił się na pięcie i zniknął w cieniach. W tej samej chwili ustały tajemnicze migotania, pochodnie rozbliły jaśniej i zgasły.

Nie mając wielkiego wyboru, podążyłem za Poszukiwaczem długimi kamiennymi korytarzami.

Spodziewałem się, że wtrąca mnie do lochu, stworzenie poprowadziło mnie jednak ku krętym schodom.

Weszliśmy w inny ciąg korytarzy i domyśliłem się, że zbliżamy się do głównej kondygnacji potężnego

zamczyska. Zatrzymaliśmy się przed olbrzymimi, łukowatymi drzwiami. Hiena otworzyła pysk i zawyła

przeraźliwie. Miałem wrażenie, że ogłuchłem od tego, lecz po chwili uświadomiłem sobie, że zakłęcie, jakie

rzuciło na mnie stworzenie miało jeszcze dodatkowe działanie. Mianowicie uniemożliwiało rozróżnianie

słów. Odzyskałem słuch, gdy drzwi stanęły otworem. Przede mną rozciągał się korytarz prowadzący do

152

kilku olbrzymich komnat. Ze ścian zwieszały się ogromne malowidła, a sufit był przykryty jedwabiem.

Zawahałem się.

- Wejdziesz, jeśliś z tego świata; bądź przeklęty, jeśliś nie jest - doleciał mnie krzyk z wewnątrz. Spełniłem

polecenie i drzwi zamknęły się za mną. Złapałem za klamkę, która obracała się dokoła i zdałem sobie

sprawę, że Poszukiwacz rzucił zakłęcie ryglujące. Ruszyłem korytarzem w kierunku komnaty, z której

dochodził głos mego przyjaciela. Mijałem obszerne sale o wysokich sklepieniach, sypialnie, jadalnie,

saloniki. Gdyby nie przewaga ulubionego przez Likantyjczyków ciemnego kamienia oraz tematy na

większości obrazów, gobelinów i rzeźb, związana z chorobami, byłby to apartament, w którym nie

powstydzilibym się ugościć mego największego przyjaciela wraz z jego świtą.

Kolejna niespodzianka czekała na mnie w głównej komnacie. Na bogato wyściełanym łożu spoczywał

Janosz. Otaczały go grube woluminy i liczne zwoje pergaminu. Tuż obok stały drewniane sztalugi z

przymocowanym płótnem, na którym widniały szkice i tajemnicze runy. Za jego plecami widziało pół tuzina

dużych, pootwieranych okien, za którymi dostrzegłem światła Likantu i portu rozpościerającego się poniżej.

Janosz miał na sobie bogate, luźne szaty i jedwabną kamizelę. Nie wyglądał jak torturowany więzień.

Przyjrzałem się jego twarzy, smutnej i tak wyczerpanej jak w dniu, w którym dotarliśmy do celu naszej

wędrówki i powróciliśmy na Wybrzeże Pieprzowe.

- Witaj, przyjacielu. Właściwie dowiodłeś, że jesteś czymś więcej niżli przyjacielem - odezwał się na

powitanie, po czym wstał i przytulił mnie. - Żaden człowiek nie mógłby sobie życzyć lepszego druha, chociaż żałuję, przez wzgląd na ciebie, że nie jesteś bardziej samolubny.

- Właściwie nie planowałem - odrzekłem - przyjąć gościny archontów.

Janosz wysilił się na stłumiony śmiech.

- Jakiś czas temu powiedzieli mi, że niedługo zawitasz do tego miasta. Łudziłem się, że twój spryt pozwoli

ci wyczuć pułapkę. - Pokręcił głową.

- Skąd wiedzieli o moim przybyciu?

- Nie wiem. Nie chcieli mi zdradzić, a wróżby jakie udało mi się poczynić, nie dały żadnych wiążących

odpowiedzi. Może zaklęcie ostrzegające, albo jakieś stworzenie zaczajone przy drodze, a może jakiś szpieg

w Orissie, posiadający umiejętności magiczne? Przypuszczam, że na czele konspiracji stoi jakiś twój wróg.

- Nissou Symeon. Na dole ujrzałem go po raz pierwszy w życiu. - Opowiedziałem Janoszowi o dziwnym

spotkaniu. Nie skomentował. Nie było ku temu potrzeby. Zaproponował mi wino, soki lub wodę, stojące w

dzbanach na stole. Napełniłem kielich winem, po czym zmieniłem decyzję, odstawiłem pucharek i

naląłem

sobie soku.

- Skosztuj wina, jest naprawdę wyborne - zaproponował Janosz. - Pij co tylko chcesz. O ile mogę się

domyślać, nic nie zostało zatrute i jak dotąd poszukiwania archontów nie wymagały odurzania
mocnymi

trunkami. Radzę, byśmy jedli i pili ile dusza zapagnie, jako że wkrótce nasze położenie ulegnie
całkowitej

odmianie.

Wypiłem do dna uświadamiając sobie, jak bardzo byłem spragniony, po czym ponownie napełniłem
kielich.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Nasza cela zawieszona była dokładnie nad wodą i
dużo niżej

widziałem biel fal załamujących się na skałach niedaleko portu.

- Czy na okna nałożono jakieś zaklęcie?

- Naturalnie. Nie sądzę jednak, by było potrzebne, chyba że przypadkiem masz ze sobą dwa zestawy
skrzydeł.

Zmusiłem się do uśmiechu. Pomyślałem, że dużo łatwiej wytrzymam w tych warunkach, jeśli nie
stracę

poczucia humoru. Nurtowało mnie wiele pytań i zaryzykowałem, że zadam je otwarcie.

- Czy powinniśmy zachować ostrożność podczas rozmowy?

- Tak, oczywiście w granicach rozsądku. Nie zdradzałbym żadnych szczegółów dotyczących naszych
wspólnych przygód. Możemy jednak dyskutować o sprawach codziennych. Wyczarowałem słowa,
które

powinny sprawić, że każdy, kto będzie podsłuchiwał naszą rozmowę, w rzeczywistości usłyszy
niezwykle

nudne lekcje religii, jakie odbierałem w czasach mego dzieciństwa. Jak dotąd, kierowali przeciwko
mnie

słabsze zaklęcia, które wytrzymywałem i w przeważającej części neutralizowałem. Dwukrotnie

wyczułem

silną magię, chociaż kto wie, czy nie nałożono na mnie również prawdziwie potężnych zaklęć.

Istnieje

możliwość, że rozmawiam teraz z tworem archontów, a ty możesz się zastanawiać, czy nie jestem demonem

pozostającym na ich usługach. Jednak takie rozumowanie niechybnie doprowadziłoby nas do obłądu.

153

- Pozwolili ci na twoje... hmm... zainteresowania? - zapytałem używając niewinnego określenia, które

wymyśliłem w dzieciństwie, kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że zainteresowania mego brata

Halaba zmierzają w kierunku tego, co zakazane.

- Pozwolili? Użyłeś niewłaściwego określenia. Nie mogą powstrzymać czystej magii.

Zneutralizowałiby

wtedy własne zaklęcia. Mogą jednak nałożyć blokadę tak, bym doznał nagłej amnezji nie potrafił przypomnieć sobie żadnego zaklęcia, albo na przykład rodzaju zaklęcia, którego powinienem użyć, by zerwać pęta.

- Tak samo jak tobie i Cassiniemu odebrano magiczną wiedzę w... w tym innym miejscu.

- Dzięki bogom ich zaklęcie nie jest tak skuteczne. Chociaż nie powiem, że nie próbowali. Wybacz, jeśli

będę sprawiał wrażenie roztargnionego, ale...

Pod jedną ze ścian dostrzegłem migotanie i zdawało mi się, jakby na moment drzwi otworzyły się ukazując

wejście do ciemnej komnaty, gdzie ujrzałem udręczone postacie nękanie przez odzianych w czarne szaty

katów. Ocknąłem się wpatrzony w pustą ścianę.

- Oto przykład słabszego zaklęcia - odezwał się Janosz. - Wszystkie mają na celu wyczerpanie nas i

słamszenie naszej woli. Tę komnatę otaczają liczne zaklęcia - powodujące bezsenność,

rozdrażnienie,

poczucie samotności, przygnębienie, oraz wiele innych przykrych, lecz nieszkodliwych przypadłości,
z

których wszystkie udawało mi się do tej pory neutralizować.

- Daleko zaszedłeś w studiach nad sztuką magów od czasu, jak po raz pierwszy zdałem sobie sprawę
z

twoich tajemniczych zainteresowań - stwierdziłem, jednocześnie czując zdziwienie, że udało mi się
odnaleźć

opanowanie, pozwalające prowadzić tak ryzykowną dysputę w potrzasku bezwzględnego wroga.

- Dziękuję ci, lecz nie odczuwam dumy z tego powodu. Uważam, że powinienem poradzić sobie z
tym

wykorzystując nie więcej energii niż w fizycznym świecie wymaga podrapanie swędzącego miejsca.
A może

potajemnie zachowuję siły na czas ostatecznej konfrontacji.

- Powiedziałeś, że dwukrotnie próbowali tego, co nazwałeś Potężną Magią. Jaką formę przybrały
owe

zaklęcia? Pytam, bym mógł się w razie czego ustrzec przed nimi.

- Obydwa były obrzydliwe. Pierwsze, to bardziej do przyjęcia, stanowiło odmianę demona w postaci
pięknej

i młodej czarodziejki, która wtargnęła do moich snów obiecując zdradzić sekrety swego świata po
spędzeniu

rozkosznych chwil w jej ramionach. W zamian za to miałem jej opowiedzieć o czarach w innych
krainach.

Udało mi się jednak dość łatwo odmówić jej prośbie, ponieważ w lot zdałem sobie sprawę, że takie
opowieści mogą stać się furtką do wnętrza mej duszy. Kiedy się sprzeciwiłem, zjawa zniknęła. -
Druga

próba okazała się o wiele bardziej niebezpieczna, a rozpoczęła ją cała masa słabszych zaklęć,
rzucanych

jednak z pełną mocą woli mistrza magii. Byłem zrozpaczony, poirytowany, drażnili mnie wszyscy i

wszystko poczynając ode mnie samego. Towarzyszyło mi nieodłączne poczucie całkowitego niepowodzenia.

- A przecież - zaryzykowałem - słabsze zaklęcia, o których wspominałeś, mają wywierać właśnie taki

wpływ.

- Nie do końca - odparł Janosz. - Te były nieco inne. Towarzyszyło im dodatkowe odczucie, że zasługuję na

sławę, bogowie i ludzie zjednoczyli się w celu odebrania mi pełnej chwały. Zdawałem sobie sprawę, że takie

zaklęcie mogło znaleźć silny oddźwięk nawet w obrębie zdrowego ego Janosza. - Wreszcie postanowiłem

skończyć z sobą. Nie z powodu bólu, lecz aby pokazać komuś lub czemuś sam nie wiem, jakie zło mi wyrządził pozbawiając mnie należnego mi dziedzictwa.

- Widzę zło w tym zaklęciu - stwierdziłem - lecz nie rozumiem, w jaki sposób mogło doprowadzić do

ujawnienia informacji na... na pożądaną temat. Co gorsza, gdybyś nie żył, straciliby szansę na zdobycie tej

wiedzy.

- Ależ nie! nałożyliby kontr-zaklęcia, a może nawet rozwiesili sieci pod oknami na wypadek, gdyby zachciało mi się wyskoczyć, oraz zastosowali inne ochronne zaklęcia na wszystko, co mogłoby pomóc mi w

odebraniu sobie życia - na noże kuchenne, pogrzebacz, nawet kandelabry. Przypuszczam, że byłem pod stałą

obserwacją. Dokładny opis tego zaklęcia mógłby jednak naprowadzić ich na to, co mogłem im dać, gdyby

tylko wiedzieli.

- Odległe...

- Właśnie. Dokładnie opisane poszukiwanie. - Zrozumiałem i wzdrygnąłem się. Było to prawdziwie subtelne zaklęcie i zastanawiałem się, czy wytrzymałbym podobny czar, tak starannie wymierzony

przeciwko tym wielorakim słabościom.

154

Zapytałem, dlaczego nalegał, byśmy najedli się do syta z uwagi na rychłą zmianę naszego położenia. A

może nie powinienem był zadawać tego pytania? Janosz odpowiedział mi jednak, uśmiechając się szczerze.

Nie miał całkowitej pewności, lecz przeczucie mówiło mu, że jesteśmy poddawani standardowemu przesłuchaniu, jakie stosowali wszyscy w owych czasach, od inkwizytorów poprzez wojskowych mistrzów

od wydobywania informacji, aż do... moich rodziców. Najpierw więzień ma do dyspozycji przednie

trunki oraz jest niezwykle uprzejmie traktowany, lecz na każdym kroku zwraca mu się uwagę, że inni zupełnie inaczej traktują jeńców i że tylko całkowita współpraca pozwoli uniknąć tortur. - Czy twoja matka

nigdy nie sugerowała ci jako dziecku, że lepiej zrobisz mówiąc jej od razu, czym wyprowadziłeś z równowagi twego nauczyciela, wyjaśniając, że ojciec, gdy tylko wróci sam się tego dowie w znacznie mniej

subtelny sposób? - Przyznałem mu rację, pomijając milczeniem fakt, że nie pamiętam swojej matki.

- A więc - spytałem - czy będziemy beczynnie siedzieć, aż poznamy drugą stronę likantyjskiej „gościnności”?

-Zachowaliśmy się jak normalni więźniowie: czekajmy, ćwiczmy mięśnie i rozmawiajmy. Rozmawiajmy o

wszystkim z wyjątkiem tego, co może okazać się istotne.

To właśnie czyniliśmy przez następnych kilka dni. Byłem poirytowany, a na domiar złego towarzyszyło mi

uczucie strachu. Wyczuwałem jednak, że jestem bardziej rozluźniony niż Janosz, nawet pomimo nocnego

koszmaru. Przewoźnik bez twarzy nieustannie zabierał mnie do mrocznej groty i jakaś istota, z twarzą Greifa

od czasu spotkania w tym piekielnym mieście, prowadziła mnie do komnaty. Ze snami jednak można żyć. Ja

żyję ze swoim do dzisiaj.

Janosz nie słyszał o śmierci Deoce i Emilie. Ciężkie łzy popłynęły mu po policzkach na wieść o ich odejściu. W przeważającej jednak mierze nasza rozmowa toczyła się wokół trywialnych, nieistotnych spraw,

jak na przykład najszybszy sposób nauczenia się obcego języka. Teoria Janosza twierdziła niezbicie, że

trzeba to robić w łóżku, a biorąc pod uwagę, że mój przyjaciel opanował dotychczas przynajmniej dwadzieścia trzy języki i dziesięć dialektów, potraktowałem jego hipotezę nadzwyczaj poważnie.

Zastanawialiśmy się także, czy każdego Likantyjczyka podczas narodzin pozbawiano poczucia humoru, czy

też dotknęła ich jakaś klątwa bogów; w nadziei, że rozgniewał to bardzo niewidzialnych obserwatorów

podglądających nas nieustannie przez sprytnie skonstruowane dziury w ścianach, ustaliliśmy, że ta druga

opcja jest bardziej prawdopodobna. Ćwiczenia pomagały nam przetrwać i zwalczyć nudę. Bezustannie

powtarzaliśmy zestawy ćwiczeń rozbudowujących mięśnie oraz biegaliśmy po komnatach niczym tygrysy

okrążające klatki w menażerii. Janosz pokazał mi pewne techniki, dzięki którym bezbronny człowiek nie

musi obawiać się ataku nawet kilku uzbrojonych mężczyzn.

Spędziłem wiele czasu przechadzając się wzdłuż okien i próbując wymyślić sensowny plan ucieczki. Janosz

zdawał się wpadać w znany mi już z Doliny stan apatii i odrętwienia. Przypomniałem sobie historię opisaną

przez jakiegoś kupca, który pojmany przez barbarzyńców z dalekiego południa spędził kilka lat jako ich

jeniec, czy raczej gość. Po odzyskaniu wolności twierdził, że istnieją jedynie dwie możliwości

ucieczki:

pierwsza - natychmiast po pojmaniu, zanim jeszcze strażnicy zdążą rozstawić warty; druga - po długim

czasie, kiedy uśpi się ich czujność pozorną akceptacją swego losu. Kiedy zobaczyłem dzikie błyski w oczach

Janosza, gdy patrzył poprzez Likant na odległe wzgórza, które oznaczały wolność, zrozumiałem, że on również zna te zasady i z rozmysłem pozwala czasowi przepływać przez palce.

Dawano nam jeść dwa razy dziennie, nieustannie zmieniając potrawy. Ani razu nie widzieliśmy wartownika

i przypomniały mi się słowa Symeona, że w odpowiednim momencie on i archonci będą doskonale wiedzieli, że zostaliśmy złamani i jesteśmy gotowi wyjawić im największe sekrety. Chwila ta zdawała się

jeszcze należeć do dalekiej przyszłości. Nuda, złość, poirytowanie, frustracja, niepokój o to, co dzieje się w

Orissie - nic nie było w stanie nas złamać. Zacząłem nawet myśleć, że jestem absolutnie niepokonany i że to

Symeon pierwszy umrze z nudy.

Przyszli po nas po północy. Zewnętrzne drzwi otworzyły się z hukiem, a odgłos ciężkich butów odbijał się

echem od korytarzy, gdy zmierzali ku mojej komnacie sypialnej. Z trudem wygramoliłem się z łóżka. Z

komnaty Janosza najpierw doleciały mnie jakieś krzyki, a następnie odgłos uderzeń. Sześciu mężczyzn

odzianych w kolczugi i hełmy wtargnęło do mojej sypialni. Byli uzbrojeni w nabijane żelazem pałki, a u

pasa zwisały im długie sztylety w pochwach. Przez chwilę stałem osłupiały. Skoro taki był początek oczekiwanej przez nas „zmiany”, dlaczego nie wysłali Poszukiwacza czy innych stworzeń, by nas przedtem

zatrwożyć? Znalazłem odpowiedź, kiedy rzucili mnie bestialsko na podłogę. Powoli podniosłem się na nogi,

a wtedy jeden z oprawców wymierzył mi silny cios w twarz pięścią w pancерnej rękawicy.

155

- To cię nauczy moresu i przypomni, że musisz, psie, robić co ci każą- warknął i poczułem silną woń piwa.

Jednocześnie uświadomiłem sobie, i potwierdzam to obecnie, że człowiek może być straszliwszy niż najgorszy z podziemnych demonów. Wrzeszcząc kazali mi się ubrać, skuli mi ręce i nogi kajdanami i wypchnęli z komnaty. Janosz leżał zwinięty pod ścianą. Po twarzy ciekły mu strugi krwi. Otaczało go sześciu odzianych w kolczugi żołnierzy i jakiś oficer. Znalazłem się na schodach prowadzących głęboko w

dół do podziemi zamczyska. Powietrze ociekało wilgocią, z kamieni skapywała woda, a schody stawały się

coraz węższe i coraz obficiej pokryte pleśnią. Zniszczone kamienne stopnie dawały świadectwo, jak wiele

mężczyzn i kobiet schodziło po nich przez minione wieki. Zastanowiłem się, ile z tych nieszczęsnych ofiar

kiedykolwiek ujrzało znowu światło dzienne.

- Teraz zaczniecie inaczej rozumować - warknął jeden ze strażników. - Nie uwidzicie tu niebieskiego nieba

ani zielonej trawy.

Przy zakratowanych i zamkniętych bramach nie dojrzelismy strażników, lecz zdawaliśmy sobie sprawę z

ich ukrytej obecności. Wreszcie dotarliśmy na sam dół. Kamienie wokół nas były zbielełe od saletry i bardzo

stare, żelazne bramy i pachołki z pochodniami szerniały i zardzewiały, a drewniane wrota, stół i krzesło

pociemniały ze starości. Minęliśmy obszerną celę pełną szkieletów; niektóre wisiały na zardzewiałych

łańcuchach a inne leżały porozrzucane po na kamiennej posadzce. Czyżby ci dawno już nie żyjący

więźniowie dostali się tu za sprawą magii? Czy zapomniano o nich? Oprócz mnie i Janosza nikt nie

zwrócił

najmniejszej uwagi na kości. W świetle pochodni dostrzegłem okrągłą, metalową płytę w podłodze z otworem w samym środku, długości około stopy i szerokości sześciu cali. Kiedy nad nią przechodziliśmy,

doleciały mnie chichoty pomieszane z piskiem szczurów. Odniosłem wrażenie, że owa płyta została wmurowana w kamienie, kiedy je tu układano.

Teraz sklepienie korytarza przybrało owalny kształt. Po jednej stronie ujrzałem otwarte drzwiczki, nie

większe od drzwiczek chlebowego pieca. Było to wejście do celi, która kształtem przypominała trumnę. W

jednej ze ścian wycięto kamienną ławę. Więzień nie miał możliwości wstać, ani się rozprostować. Dalej na

kamiennej ścianie dostrzegłem plamę, jakby ktoś wylał na nią kubeł dziegciu, a następnie pozostawił go do

zaschnięcia. Jeden ze strażników zorientował się, że zauważyłem ten osobliwy ślad. Poklepał z czułością

swoją wielką pałkę i uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją, jakby przypomniało mu się coś wyjątkowo

miłego. Dostrzegłem inne pomieszczenie. Była to stróżówka. Jedno spojrzenie wystarczyło, abym zrozumiał, że strażnikom wolno było wyciągać więźniów z celi i robić z nimi, co im się żywnie podobało.

Odwróciłem pośpiesznie wzrok.

Korytarz otwierał się na obszerną, półkolistą izbę. Między kamiennymi słupami widniały grube kraty i z

początku pomyślałem, że znajdują się tam oddzielne cele, lecz zobaczyłem tylko jedną dużą salę.

Zrozumiałem raz, jaki był powód tak niezwykłego układu lochu. Więźniowie trzymeni w celi mieli być

świadkami tego, co działo się w otwartym pomieszczeniu naprzeciwko. Była to izba tortur, przedzielona

podwójnymi, olbrzymimi żelaznymi wrotami, które teraz stały otworem. Możliwe, że właśnie to

pomieszczenie ujrzałem już wcześniej w wyobraźni, kiedy kontr- zakłęcie Janosza przestało na chwilę

działać. Udręczone, blade ciało kobiety wisiało obok kotła wypełnionego żarem, z którego wystawały

szcypce oraz wiele innych żelaznych narzędzi rozgrzanych do czerwoności. Z szeroko rozwartych ust nie

wydobywał się żaden krzyk. Może rzucono jakieś zakłęcie wyciszające dźwięki, żeby nie przeszkadzać

strażnikom, a może nieszczęsna kobieta nie mogła już krzyczeć. Zanim zmusiłem się do odwrócenia oczu,

dostrzegłem paru innych więźniów, kilku odzianych w czarne szaty inkwizytorów, zwisające z sufitu i ze

ścian łańcuchy oraz napawające przerażeniem, rozliczne narzędzia tortur.

Dowódca straży przełożył dłonie przez żelazne pręty i drzwi się otworzyły. Zdjęto nam kajdany i wepchnięto brutalnie do celi.

- Patrzcie na tę salę - odezwał się dowódca. - Żebyście nie myśleli, że na zawsze o was zapomniano.

-

Strażnicy zarechotali głośno, uważając widać słowa swego przełożonego za przedni żart. Kraty zatrzęsnęły

się z głuchym łoskotem. Obszerne pomieszczenia rozjaśniał blask pojedynczej pochodni i nikła poświata

żarzących się węgli w kotłach, oświetlając makabryczne sceny rozgrywające się przed naszymi oczami.

Opadłem ciężko na resztkę wilgotnej, cuchnącej słomy.

- Almaryku! - Szept Janosza był szorstki i nagły. Wyprostowałem się i dostrzegłem ich. Naszych współwięźniów. W celi znajdowało się około pięćdziesięciu mężczyzn. Większość z nich stała lub leżała w

odrętwieniu, nie zwracając uwagi na nowo przybyłych. Jednak nie wszyscy... Kilku z nich zbliżyło się do

nas powłócząc nogami. Poczułem nieprzyjemny zapach. Zdawało mi się, że ich oczy płoną żywym ogniem.

156

Kiedyś mówiono mi, że oczy polujących wilków emanują takim właśnie blaskiem, lecz na szczęście nigdy

nie miałem okazji się o tym przekonać.

Jeden z nich, przewyższający pozostałych wzrostem, wyszedł na czoło.

- Weźmiemy wasze ubrania - odezwał się monotonnym głosem, który nie brzmiał ani obiecująco, ani groźnie - a to ładne pacholę będzie nam usługiwać.

Janosz złapał mnie za ramię i cofnęliśmy się pod ścianę. Więźniowie ruszyli za nami. Bez pośpiechu. Mieli

bardzo dużo czasu i z wyraźną ochotą przystali na przedłużenie tej rozgrywki. Janosz przypatrywał im się

badawczo. Sądziłem, że cofamy się dlatego, aby ściana zasłoniła nas przed atakiem z tyłu. Janosz kucnął i

podniósł coś z ziemi... coś białego ... jakiś kij. Przekazał go mnie. Zaledwie zdążyłem sobie uświadomić, że

trzymam ludzką kość kiedy Janosz ponownie sięgnął dłonią i podniósł pobrzękujące kajdany, z których

wysypały się kości dawno umarłego więźnia. Pierwszy z napastników wrzasnął dziko i skoczył ku nam, lecz

Janosz błyskawicznym ruchem poderwał łańcuch i grzmotnął mężczyznę prosto w twarz. Napastnik ryknął

niczym przebity włócznią niedźwiedź, odskoczył w tył i brocząc krwią upadł na ziemię dokładnie w momencie, gdy jakiś inny rzucił się na mnie. Zamachnąłem się, lecz wyschnięta na wiór kość pękła na dwie

połowy. Rzuciłem się na napastnika z tym prowizorycznym sztyletem o ostrych, poszarpanych krawędziach i

dźgnąłem go głęboko w brzuch. Wyszarpnąłem kość akurat w chwili, gdy jakiś inny więzień wyrósł nagle

tuż za moimi plecami. Dałem nura zamierzając przerzucić go nad głowę, lecz Janosz zdążył przyjść mi z

pomocą. Usłyszałem odgłos łamanych kości; ramiona wychudłego osobnika zawisły bezwładnie wzdłuż

tułowia. Wyprostowałem się. Kolejny napastnik chciał dobrać mi się do gardła, lecz przypomniawszy sobie

jedną ze sztuczek Janosza podniosłem ręce do góry i z całej siły uderzyłem w wyprostowane ramiona, po

czym, zgodnie z naukami Janosza, wycelowałem kolaniem w krocze mężczyzny, odwróciłem się w bok i

wymierzyłem mu druzgocący cios pięścią prosto w gardło. Napastnik zatoczył się w tył dławiąc się własną

krwią. Kolejny cios, a potem krzyk, gdy przeciwnik Janosza ponownie rzucił się na niego. Po chwili jednak

z atakujących pozostało już tylko trzech, lecz wszyscy wycofywali się w popłochu podnosząc do góry ręce.

- No dobra, dobra - wysapał jeden z nich. - Jeszcze przyjdzie na was czas.

- Nie, nie przyjdzie - odparował szybko Janosz. - Popatrz na mnie, ty... - Rozmówca Janosza zatrzymał się. -

Znane są mi sztuczki, o których tobie... i tym łajdakom tam... - wskazał kciukiem salę tortur - nawet się nie

śniło. - Zanim mężczyzna zdążył zareagować, Janosz rzucił na podłogę kajdany i ruszył do przodu

wysuwając jedną rękę przed siebie. Przysięgam, że nie zrobił nic więcej jak tylko dotknął więźnia zagiętymi

palcami, co mogło wyglądać na lekką pieszczotę, lecz mężczyzna zawył z bólu i zgiął się w pół, chwytając

za szczękę. - Będziesz żył - rzucił mój przyjaciel. - Ale ból będzie ci o mnie przypominał jeszcze przez

tydzień. - Pozostali odciągnęli swemu kompana w odległy kąt celi.

- Spróbują ponownie? - zapytałem.

- Może - odparł obojętnie Janosz. - Mimo wszystko lepiej nie zapadać w głęboki sen. Pomyślę o zaklęciu,

które sprawi, że ta słoma pod nogami będzie trzeszczeć, jakby ktoś łamał w lesie wielkie drzewa, na wypadek gdyby któryś z tych łotrów zapragnąłby się do nas zbliżyć.

W taki sposób rozpoczął się drugi etap naszego więziennego życia. Kiedy zapadliśmy w drzemkę, bezszelestnie usunięto z celi ciała mężczyzn, których uśmierciliśmy. Od tego czasu grupa więźniów, która

brutalnie rządziła pozostałymi, przestała nas nękać. Widziałem jednak, w jaki sposób traktowali oni słabszych i chciałem coś na to zaradzić, lecz Janosz zabronił mi:

- Wytoczyliśmy sobie wyraźnie miejsce w tej małej, przeklętej społeczności. Pozostawiaj nas w spokoju, o

ile nie będziemy wtrącać się w... ich sprawy. Wyczuwając ukrytą w tej teorii mądrość, starałem się odtąd nie

słyszeć odgłosów niesprawiedliwości, podobnie zresztą jak moje oczy patrzyły przez żelazne pręty na izbę

tortur, nie widząc jednak dziejących się tam potworności. Dwukrotnie wywlekano więźniów z naszego lochu

i wleczono ich do izby tortur, gdzie byli poddawani straszliwym męczarniom. Ze zgrozą spostrzeżliśmy, że

niektórzy z ich towarzyszy uważali to za niezłą rozrywkę.

Posiłki pozwalały mi odróżnić porę dnia, jako że cuchnącą kaszę i spleśniały chleb podawano nam raz

dziennie. Janosz jednak poradził, bym dał sobie spokój, ponieważ kolejną typową techniką strażników

więziennych, mającą na celu osłabienie więźniów, było karmienie ich w nieregularnych odstępach czasu.

Mogliśmy otrzymywać trzy posiłki dziennie i wysnuwać stąd wniosek, że minęły właśnie trzy dni, a kiedy

indziej nie dostawać jedzenia przez trzy dni i uważać, że właśnie przeżyliśmy najdłuższy dzień naszego

życia. Wedle moich obliczeń trzymano nas w tych cuchnących lochach już prawie miesiąc.

157

Czasami prowadziliśmy ciche rozmowy z towarzyszami niedoli. Okazało się, że niektórzy z nich złamali

prawo archontów lub prawa Likantu, lecz zdecydowaną większość stanowili pospolici bandyci, rzeźmieszk

i oszuści. Byliśmy świadkami uwolnienia jednego z więźniów i w ten sposób przekonaliśmy się na własne

oczy, że nie znajdujemy się w ostatniej cytadeli skazańców. Szczęśliwiec bełkotał słowa podziękowania, łzy

ciekły mu po policzkach i próbował nawet całować wysokie buty strażnika, który otworzył mu drzwi.

Wiedziałem, że trzymają nas tutaj w jednym celu: chcieli nas złamać, osłabić nasz upór. Następnym etapem

mogła być tylko izba tortur.

- Możliwe, że tak będzie- mówił Janosz. - A może na przykład odseparują nas od pozostałych i skierują

przeciwko nam całą siłę dostępnej magii. - Jeśli Janosz miał rację, oznaczało to, że nie znajdujemy się

jeszcze w najgorszej części lochów archontów. Nie odezwałem się jednak. Żaden z nas nie potrzebował

kolejnych przykrych wieści.

Pewnego dnia doznaliśmy sporego zaskoczenia. Odwiedzono jednego z więźniów! Była to kobieta, która

twierdziła, że jest jego żoną. Nie tylko pozwolono jej się z nim zobaczyć - oczywiście w tym czasie zamknięto starannie drzwi do izby tortur - lecz mogli się udać na krótko do stróżówki i tam spokojnie porozmawiać. W kilka dni później, jak zdołałem się zorientować, przyszedł brat jednego z mężczyzn.

Zauważyłem, że większość czasu poświęcili obydwaj na rysowanie planów wnętrza budynku, a rozmawiali

ściszymi głosami. Zapytaliśmy o szczegóły związane z odwiedzinami i powiedziano nam, że każdy

więzień dysponujący odpowiednią ilością złota może przyjmować odwiedzających, z wyjątkiem oczywiście

tych więźniów, którzy zostali wtrąceni do lochów za przekonania. Wszystko zależało od kaprysu dowódcy

straży. Czasami trzeba było coś dodać oprócz pieniędzy, powiedział nam jeden z więźniów. Na przykład

kobieta, która odwiedziła swego „męża”, musiała niewątpliwie zaspokoić przynajmniej kilku strażników.

- Jeśli ktoś z zewnątrz może tu wejść - odezwał się ostrożnie Janosz - to możliwe, że ktoś ... na przykład

jakieś dwie osoby... mogą stąd wyjść, nie mam racji? Zanim jeszcze archonci przejdą do punktu trzeciego

swojego planu?

- Jak to zrobić? - zapytałem.

- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Najpierw muszę się zastanowić nad odpowiednim zaklęciem, aby

pojawił się tu nasz gość.

- Wszelkie zabiegi okazały się jednak niepotrzebne. Wkrótce potem pojawił się gość. Dwóch strażników

przyproważyło pod drzwi celi jakiegoś człowieka. Niewysoki, lecz krzepkiej postury, dziwnie pokrzywiony

mężczyzna przypominał półczłowieka, półbestię. Strażnicy ryknęli do jednego z więźniów, który z wyraźnym zdumieniem podszedł do żelaznych prętów. W półmroku błysnęły złote monety i strażnicy wyszli. Człekokształtna istota zamieniła kilka słów z zaskoczonym rzezimieszkiem, więzionym za szczególnie okrutne zabójstwo. Łotr podszedł do nas.

- Do ciebie. On do ciebie. - Nabrałem oddechu chcąc zaprzeczyć, lecz w tej chwili wraz z Janoszem rozpoznaliśmy osobę stojącą po drugiej stronie krat. Powinienem był wcześniej się domyślić. Był to Greif -

przewodnik z mojego koszmaru, a pośrednik i dostawca magicznych mikstur Janosza. Po raz kolejny

usłyszałem, jak dudniący głos wydobywa się z oszpeconej twarzy.

- Szlachetny Antero. Kapitan Szary Płaszcz. Zdaje się, że fortuna kołem się toczy, hę?

- Skąd wiedziałeś, że jesteśmy tutaj? - zaczął Janosz.

- Co wiem, to moje i wara wam od tego - odezwał się niecierpliwie. - Greif wie wszystko, co warto wiedzieć w Likancie. Doszły mnie słuchy i opłaciłem kogo trzeba, bo znam Rolfa, tego tam. Potem nie

będzie podejrzeń.

- Potem? - zapytałem nie rozumiejąc.

- Ty też? - warknął. - Zamknijże jadaczkę! Czasu nie ma! Nie moja sprawa, żeby tu być. Wiem, że archonty

zaglądają tu wcale nierzadko. Tak sobie myślę, czy aby Symeon nie kazał czarodziejom rzucić zaklęcia na

was obu, żebyście spali spokojnie, gdy będziecie tam, gdzie was wsadził.

- Możesz nas stąd wyciągnąć? - Janosz domyślił się, do czego zmierza Greif. Nasz rozmówca wykrzywił się

charakterystycznym, szpetnym uśmiechem i skinął głową.

- Mogę, ale będzie was to kosztowało, oj będzie. Znam takiego maga... Nie podobało im się to, co robił,

więc wyleli go na zbity pysk. Złota mi trzeba, złota... złota, żebym mógł umknąć przed gniewem Symeona i

archontów.

- Gwarantuję ci to - powiedziałem szybko. - I nowe życie. W Orissie lub gdzie tylko będziesz chciał. Ile

tego złota?

158

- Połowę - odrzekł stanowczo Greif. - Połowę całego anterowego złota. Myślę sobie, że wasze głowy więcej

warte, bo jeno siostra się ostanie, co nie zamierza rodzić dzieci, a bracia głosu nie mają.

- Dużo wiesz o mojej rodzinie.

- To jedyna szansa - rzekł Greif. - Dość złota, żebym nie poczuł ichniego smrodu. Tyle złota, żebym mógł

rzec każdemu żołdakowi, aby sobie nasrał pod hełm, a potem poklepać go po łepetynie i nagadać, że to

najnowsza moda, i odejść ze śmiechem! Wici rozesłałem, to i wiem, jak sprawy stoją.

- Mam złoto ... dużo złota, i to niedaleko Likantu - powiedziałem. - Zamiana połowy moich nieruchomości

na złoto zajęłaby jednak dużo czasu, a potem jeszcze przetransportowanie pieniędzy tam, gdzie byś chciał ...

- Nam również zależy na czasie - wtrącił Janosz. - Archonci znani są z ograniczonej cierpliwości.

- Słyszałem - potwierdził Greif - że macie stanąć do Pytania. I to za kilka dni. Najpierw tutaj... - wskazał na

zamknięte drzwi prowadzące do izby tortur i zrozumiałem, że rzeczywiście orientuje się w naszym położeniu. - Potem przed trzema magami. Mają za sobą wielką moc archontów. Złamiecie się... i zostanie po

was jeno swąd.

- A zatem jak mogę cię wynagrodzić? - kontynuowałem temat. - Nie oczekujesz chyba, że zapłacę ci po

naszym wyjściu? A skoro już o tym mowa, to w jaki sposób zamierzasz nas stąd wyciągnąć.

- Nie musicie wiedzieć - odparł Greif. - A skoro już mowa o zapłacie, to ufam ci. Nigdy nie słyszałem, żeby

jakiś Antero złamał dane słowo. Dla pewności wezmę od was podarki. Nieco krwi, odrobinę waszych

włosów, kawałek skóry. Dla pewności.

Zerknąłem na Janosza, lecz nie potrafiłem nic wyczytać z jego nieruchomej twarzy. Czy mieliśmy jakiś

wybór? Nawet gdyby ucieczka się nie powiodła, cóż mogli nam uczynić? Nie zabiją nas, dopóki nie

dowiedzą się tego, czego pragną. Ani chybi spadłyby na nas tęgie cięgi, wrzucono by nas z powrotem

do

lochu, a spotkanie z inkwizytorami przybliżyłoby się znaczenie. Wysunąłem dłonie przez żelazne pręty i

uścisnąłem rękę Greifa.

- Niech mi bielmo wlezie na oczy, niech mi gębę wykrzywi, niech mi uszy odpadną i niech zdechnę pod

plotem, gdybym złamał przysięgę - wyszeptał z zapalem. Powtórzyłem jego słowa zmieniając ostatnie

wyrazy na: „Jeśli nie wynagrodzę tego człowieka tak jak na to zasługuje i nie obdarzę go zaszczytami, na

które sobie zapracuje”.

- No to czekajcie. Nic nie róbcie, tylko czekajcie. - Greif powlókł się korytarzem i krzyknął na strażników.

Czekaliśmy. Jedna miska cuchnącej kaszy... droga miska... jeszcze jedna. Janosz przechadzał się tam i z

powrotem, nie mogąc jeść ani spać. Udawałem spokój i opanowanie, choć kusiło mnie, by dać upust emocjom.

Zbudziło mnie przejmujące wycie wicheru, a otworzywszy oczy ujrzałem, jak Greif wchodzi do celi.

Trzymał w ręku długi pręt. Gdy się zbliżył, usłyszałem, że mamrocze coś pod nosem. Mruczenie i wycie

wiatru ucichło nagle. Wyszeptał jakieś słowa i żelazne kraty otwarły się, starodawne, zardzewiałe żelazo

przesuwało się tak gładko, jakby była to naoliwiona stal. Niezwłocznie wyskoczyliśmy z mrocznej celi.

Żaden z więźniów najwidoczniej nie zauważył ani otwierających się drzwi, naszego wyjścia ani tego, że

krata powróciła na swoje miejsce. Greif odstawił na bok pręt, a z niewielkiego tobołka wyjął dwie peleryny z

kapturami. Dał znak, byśmy je założyli, po czym wręczył każdemu z nas po kawałku papieru. Na moim

widniał następujący napis: NIE PATSZAJTA NA BOKI. ZA MNOM. SZEPTAJ SŁOWA
ALOTHEM,

BERENTA ALOTHEM. Podniósł ciężką pałę i trzymając ją przed sobą ruszył w kierunku schodów i
stróżówki, nie przestając mamrotać zaklęcia. Znowu usłyszałem wycie wiatru. Zobaczyłem, że,
pomimo

chłodu panującego w lochach kropelki potu spływają po twarzy naszego przewodnika. Podążaliśmy
za nim

szeptając słowa zaklęcia, jakie dostał od wygnanego maga. Minęliśmy wartownię. Połowa
strażników leżała

pokotem, chrapiąc przeraźliwie, lecz pięciu czy sześciu nie spało. Mimo to nie dostrzegli nas.
Ruszyliśmy w

górze po schodach. Kiedy zbliżaliśmy się do zamkniętych drzwi, Greif dotykał ich najpierw jednym,
potem

drugim końcem maczugi. Otwierały się niemal w tej samej chwili.

Dotarliśmy do głównej kondygnacji zamczyska. Tuż przed nami przechadzali się strażnicy, lecz
wydawało

się, że nie znaczymy dla nich więcej niż zatęchłe powietrze. Zauważyłem, że Janosz zatrzymał się i
odwrócił. Sięgnął po jedną z nasączonych smołą pochodni. Dotknął płomienia i opuścił rękę, gdy

zniecierpliwiony Greif nas ponaglił. Po chwili znaleźliśmy się na obszernym dziedzińcu; deszcz
bębnił o

kamienie. Poczułem jego słodycz, gdy tak tysiące kropel rozpryskiwało się obok mych stóp, choć
nigdy nie

oczekiwałem, że będę przeżywał podobne doznania. Na dziedzińcu czekał na nas czarny powóz z
woźnicą,

czterema końmi i czterema forysiami po bokach. Mógł należeć do bardzo majątnego człowieka, który
akurat

159

załatwiał swoje interesy z archontami czy z ich kapłanami. Greif skinieniem ręki pokazał, byśmy
weszli do

środka.

- Zostańcie tu nie wychylajcie się. Tym dojedziemy do następnego etapu, a potem za miasto. Zaczni już

myśleć, Antero, jak szybko dasz mi moje złoto. - Zatrzasnął drzwi powozu. Wewnątrz panowały ciemności z

powodu szczelnie zaciągniętych zasłon. Powóz zakołysał się na boki, gdy Greif wskoczył na stopień i konie

ruszyły z kopyta. Odetchnąłem z ulgą.

- Jeszcze nie - rzucił krótko Janosz. - Najpierw musimy się znaleźć za dawnymi murami tego miasta. Z dala

od ich patroli.

Na powrót stałem się czujny.

- Co robiłeś z tą pochodnią?

- Żaden łucznik nie nosi przy sobie tylko jednej cięciwy - odparł Janosz. - Poczułem, że może mi się przydać odrobina smoły. - Podniósł do góry dłoń i zaczął szeptać.

Ogniu, mój przyjacielu,

Ogniu, posłuchaj!

Ogniu, mój przyjacielu,

Ogniu, posłuchaj!

Ogniu, pamiętaj,

Ogniu, posłuchaj...

Wypowiadał też inne słowa w nie znanym mi języku. Nie miałem pojęcia czemu to miało służyć, więc

skupiłem się na odgłosach dobiegających z zewnątrz: koła toczące się po wybrukowanych ulicach, okrzyki

patrolujących strażników, Greif odkrzykujący hasło, świst bata oraz stukot kopyt. Na zakrętach powóz

przechylał się silnie na boki. Próbowałem wywnioskować, dokąd zmierzamy, ponieważ ulice Likantu nie

były mi zbyt dobrze znane. Zapytałem Janosza, lecz on machnął niecierpliwie ręką, nie przerywając szeptania.

Usłyszałem zgrzyt odryglowywanych wrót i skrzypienie zawiasów. Po chwili zdałem sobie sprawę, że koła

powozu toczą się po ubitej ziemi. Wrota zawarły się z hukiem. Zatrzymaliśmy się. Siedzieliśmy w ciemności

i ciszy, aż drzwi otworzyły się niespodziewanie i oślepiło nas światło pochodni.

- Wychodzić! - padł wyraźny rozkaz. Ostrożnie wysiadłem z powozu, mrugając oczami. Znajdowaliśmy się

na olbrzymim dziedzińcu. Kilku odzianych w opończe żołdaków wyprzęgło konie i zaciągnęło powóz w

poblizę wysokiego muru. Na czele dwudziestu uzbrojonych po zęby żołnierzy stał Nissou Symeon.

Zdradzono nas i wpadliśmy z jednej pułapki w drugą.

- Witam cię, szlachetny Almaryku Antero, i otwieram przed tobą podwoje mego skromnego domostwa.

Świat zawirował i zatrzęsł się w posadach. Na usta cisnęły mi się najstraszliwsze przekleństwa. Pragnąłem

rzucić się na Greifa, który stał tuż za Symeonem z szyderczym uśmiechem na twarzy, lub skoczyć

Symeonowi do gardła, lecz powstrzymywał mnie widok najeżonego włóczniami szeregu żołdaków. Przez

dłuższy czas walczyłem z sobą, by odzyskać wewnętrzny spokój.

- Dlaczego? - wycedziłem przez zaciśnięte zęby. - Miałeś nas w lochu. Prędzej czy później magowie, lub

kaci rozpoczęliby swój piekielny taniec. A może czeka nas spotkanie z jakimś potężnym czarodziejem?

Zakładam, że wciąż pragniesz zgłębić sekrety, które jakoby ukrywamy.

- Możliwe - odparł Symeon. - A co do twego pytania, okoliczności mogły się zmienić.

- Rozumiem. Nie chcesz zatem zdradzić swym mistrzom informacji, które spodziewasz się z nas

wyciągnąć.

Janosz podszedł do Symeona, ruszając się niczym olbrzymi kot.

- Dlaczego chcesz zdradzić archontów? - Trzymał ręce rozłożone, jak gdyby w geście zdumienia. Jedną

dłonią musnął rąbek szaty Symeona.

- Cofnij się - warknął Likantyjczyk, a jeden z żołnierzy wycelował ostrze włóczni w pierś Janosza. Kapitan

wykonał polecenie. - Nie rozmawiam z pachołkami - ciągnął Symeon. - Szczególnie ze zdrajcami sprawy,

której służyli.

- Mówisz o zdradzie, Nissou Symeonie? - spytałem. - Ty który otwarcie sprzeciwiasz się archontom?

- Jestem lojalny - powiedział - wobec mistrza, któremu ślubowałem! Tak jak mówiłem, okoliczności uległy

zmianie. Informacje, których od was oczekuję, zeszły na dalszy plan. Dość tego. Wejdziecie do środka, a

160

straż zaprowadzi was na miejsce spoczynku. Jest ono równie bezpieczne jak lochy archontów. A teraz

powiem wam, że po raz ostatni możecie oglądać niebiosa, choć przesłonięte ciężkimi chmurami. Nie marnujcie zatem czasu na słowa, tylko rozkoszujcie się widokiem.

Zdałem sobie sprawę, że Janosz nie przestaje szeptać.

Ogniu, mój przyjacielu,

Ogniu, posłuchaj!

Ogniu, zapłoń,

Wspomnij swego brata.

Ogniu, mój przyjacielu,

Ogniu, zapłoń!

Smola z pochodni „wspomniała brata”, zamigotała i niespodziewanie szaty Symeona stanęły w ogniu.

Płomienie podsycane magią oraz suchą tkaniną wystrzeliły w górę, nie zważając na deszcz. Symeon wrzasnął przeraźliwie. Żołnierze, wśród krzyków przerażenia rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony.

- Na górę! - krzyknął Janosz i skoczył ku drzwiom powozu, wspinając się na dach. Jeden z włóczników,

bardziej czujny od innych, ruszył na niego gotując się do zadania ciosu. Zamachnął się, lecz Janosz podskoczył zwinnie i chwycił się krawędzi muru. Pobiegłem do przodu i postawiłem stopę na kole, zamierzając pójść w ślady mego przyjaciela. Poczulem na nodze jakieś silne dłonie, zadałem cios rękojęścią

włóczni i usłyszałem zdławiony krzyk, jeszcze głośniejszy od tych wydawanych przez żywą pochodnię, w

jaką zmienił się Symeon. Po chwili stałem już na dachu powozu. Lżejszy, niższy i bardziej gibki niż Janosz,

wybiłem się mocno, oparłem się łokciami o występ, a Janosz podciągnął mnie do góry.

Miałem tylko chwilę, by spojrzeć w tył i zobaczyć Greifa, który chwiejnym krokiem cofał się, jęcząc z bólu

i zasłaniając zakrwawionymi rękami oko. Nissou Symeon leżał na ziemi, a żołnierze własnymi ciałami

próbowali stłamsić płomienie. Skoczyliśmy ryzykując połamaniem nóg, jako że nie mieliśmy pojęcia, co

znajduje się poniżej.

Wylądowaliśmy na bruku. Po chwili zerwaliśmy się na nogi i pognaliśmy przed siebie tak szybko, jak nigdy

w życiu. Biegliśmy w ciemnościach nocy i strugach deszczu. Wychwalałem bogów Orissy, że pomogli nam

obalić wielki mur Likantu. Jeśli uda nam się przebyć mroczne ulice, omijając liczne patrole... Dalej

oczekiwała nas wolność. Wolność i dom. Po wyrwaniu się ze szponów archontów Symeona mogliśmy

oczekiwać jedynie wszystkiego co dobre.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zemsta Cassiniego

Po pierwszym spojrzeniu na Orissę upewniłem się, że wszystko co dobre, bez względu na znaczenie tych

słów, nadal należało do dalekiej przeszłości. W kilku miejscach nad miastem unosiły się kłęby czarnego

dymu, a modrej rzeki nie przetykały żagle rybackich łodzi. W porcie nie zauważyłem żywego ducha.

Zamknięte bramy miasta potwierdzały moje złe przeczucia. Wielkie wrota ryglowano jedynie w skrajnych

przypadkach, gdy miastu zagrażało niebezpieczeństwo. Na drewnianym pomoście ponad nimi stał oddział

tarczowników i łuczników w pełnym rynsztunku.

- Stój, kto idzie?

- Almaryk Antero i kapitan Janosz Szary Płaszcz, Orissanie.

Za murami rozległy się okrzyki zdumienia, które ucięła ostra komenda oficera. Po chwili uchylono bramę

wypadową. Spojrzeliśmy po sobie i wkroczyliśmy do miasta. Przez moment odniosłem wrażenie, że

wchodzimy w kolejną pułapkę. Wartownicy, którzy odryglowali wrota, nie oddali nam należnych honorów.

W milczeniu pośpieszyliśmy w stronę mego domu.

Po ucieczce z Likant zaryzykowaliśmy odwiedzenie gospody, w której zostawiłem ludzi z ekwipunkiem i

złotem. Gospodarz zakomunikował, że wiele tygodni temu Orissanie, pewni mojej śmierci, wyruszyli w

161

drogę powrotną. Może to dobrze, że przybyliśmy jedynie we dwóch. Za całe uzbrojenie służyła nam jedna

włócznia, którą schwyciłem na dziedzińcu Symeona, i groźnie wyglądająca maczeta, którą Janosz

wytargował od właściciela gospody. Wędrowaliśmy przez rozległe stepy, jako że drogi i górskie stacje roiły

się od wojskowych patroli. Oprócz likantyjskich włóczników widywaliśmy przemykające w oddali oddziały

konnicy w barwach Symeona.

- A więc nie spotkał go los, jaki dla niego planowałem - stwierdził Janosz. Ja również czułem się rozczarowany. Żaden człowiek nie powinien z zimną krwią życzyć drugiemu śmierci, lecz zdawałem sobie

jasno sprawę, że moje życie, moja rodzina, mój klan i każda kolejna generacja Antero będą poważnie zagrożone, dopóki nie przestaną istnieć Symeonowie. Na razie jednak, radowałem się w duchu, że udało

nam się ujść uwagi oddziałów likantyjskich i że zdrowi dotarliśmy do kraju.

Na ulicach było wielu obywateli Orissy, a większość nich stanowili mężczyźni. Minęliśmy kilka młodych

kobiet, lecz nie widzieliśmy żadnego dziecka. Wszyscy mieli posępne miny, a od czasu do czasu do moich

uszu dolatywały gniewne krzyki lub odgłosy kłótni. Dostrzegliśmy źródło jednej z ponurych smug dymu,

które unosiły się nad miastem. Były to wciąż dymiące ruiny budynku, który najprawdopodobniej spłonął w

ciągu ostatniej doby. Mieścił się w nim niewielki kantor rozrachunkowy używany przez magów do pobierania opłat od wjeżdżających na teren miasta karawan. Przypomni mi się buszujący w moim magazynie Prevoant i podziękowałem bogu, który zesłał nieszczęście na tę świątynię łapówek.

Nie wiedzieliśmy, co się wydarzyło w mieście, lecz przeczucie podpowiadało nam, że czym prędzej powinniśmy schronić się pod dachem mego domu. Nie mieliśmy jednak szczęścia. Z jednej z bocznych

uliczek wyłonił się niespodziewanie pieszy patrol złożony z sześciu włóczników, dwóch łuczników, setnika

oraz młodego legata. Wszyscy nosili napierśniki z napisem „Straż Wybrzeża”, był to więc oddział, który

miał pod swoją pieczę przedmieścia miasta.

- Stać! - rozległ się donośny krzyk. Żołnierze przygotowali włócznie i napięli łuki. Znieruchomieliśmy.

Legat wyjął zwój pergaminu z worka zwieszającego mu się u pasa.

- Almaryk, głowa rodziny Antero, posiadający prawo z łaski sędziów i bogów Orissy zwać się szlachetnym?

- Jam jest.

- Janosz Szary Płaszcz, raz z Kostromy, raz z Likantu, okresowo używający tytułu kapitana?

- Odpowiem na wezwanie... a ty pewnego dnia odpowiesz za tę zniewagę - warknął Janosz.

- Milczeć! Nie zamierzam nikogo znieważać. Wypełniam tylko rozkazy sędziów. Mam tu nakaz

aresztowania szlachetnego Antero i, jeśli Janosz Szary Płaszcz będzie w jego towarzystwie, jego również.

- Pod jakim zarzutem? - zażądałem wyjaśnienia.

- Zarzut zostanie sprecyzowany w odpowiednim czasie.

- Kto wydał ten otwarty nakaz?

- Mag Cassini, a podpisał go sędzia Sisson.

- Dlaczego Straż Wybrzeża wykonuje taki rozkaz? Czy utrzymywanie bezpieczeństwa miasta nie leży w

gestii Gwardii Maranon?

- Gwardia odmówiła pełnienia swych obowiązków i została zamknięta w koszarach!

Nie mogłem opanować zdumienia. Co się takiego wydarzyło? Czy Rali groziło niebezpieczeństwo?

- Żądam natychmiastowego poddania - zagrzmiał legat. Zerknąłem na Janosza, który wzruszył ramionami.

Nie mieliśmy wyboru. Stanęliśmy w obliczu konieczności udowodnienia swej niewinności w Cytadeli

Sędziów.

- Doskonale - powiedziałem.

- Odłóżcie broń - rozkazał legat. - Mam rozkaz odstawienia was do Pałacu Magów i przekazania w ich ręce.

- Nie zgadzam się! - warknął Janosz. - Od kiedy to magowie rządzą tym miastem?

- Od czasu, gdy po wybuchu powstania zaszła konieczność wprowadzenia stanu wyjątkowego. Jako część

tej deklaracji zostały wprowadzone w życie pewne zarządzenia. To jedno z nich.

Ścisnąłem mocniej włócznię. Nie, nie miałem zamiaru udać się pod opiekuńcze skrzydła Cassiniego. Nie

uciekliśmy przed krwiożerczymi wilkami tylko po to, aby pożarł nas teraz szakał. Jeden z łuczników podniósł łuk.

- Napniesz ten łuk, a wypruję ci bebechy, ty wieprzu! - krzyknęła potężna kobieta stojąca na dachu niskiego

budynku. Była rybaczką, o czym świadczył długi harpun, który trzymała w pogotowiu. Rozejrzałem się

dookoła. Ulica zarojła się od Orissan. Wszyscy mieli na sobie zniszczone ubrania, jako że znajdowaliśmy się

w biednej dzielnicy miasta; lecz wszyscy mieli przy sobie broń. Z pobliskiego okna wyłonił się jakiś młody

162

chłopak, trzymając w dłoniach kuszę. Za naszymi plecami ustawiała się spora grupa uzbrojonych w długie,

sękate kije mężczyzn. Inni trzymali pałki i kamienie. Zobaczyłem też błysk sztyletów, toporów rzeźniczych,

a nawet kilka nagich mieczy.

- Nie zabierajcie Janosza do tych psich synów, łachudry - kontynuowała kobieta. - Ani Almaryka Antero. Te

przekłęte magi dosyć już zrujnowały! - Przez tłum przebiegł pomruk akceptacji i krąg zaczął się zacieśniać. -

To wy odłóżcie broń - krzyczała dalej. - A my użyjemy jej, jak będzie się robić tak gorąco jak ostatnio.

Jakiś kamień ugodził w napierśnik jednego z włóczników. Mimo żelaznej pokrywy mężczyzna zawył z bólu

i upadł na kolana. Po chwili na żołnierzy posypał się istny grad kamieni i przeróżnych odpadków. Wśród

tlumu zaczęły rozbrzmiewać coraz głośniejsze i bardziej gniewne okrzyki i uświadomiłem sobie, że żołnierze znaleźli się o krok od niechybnej śmierci.

- Przestańcie! - usłyszałem ryk Janosza. Wszyscy zamarli. - Orissanie! - zawołał mój przyjaciel. - Ci ludzie

też są mieszkańcami tego miasta. Czy chcecie, aby wasze ręce splamiła ich krew?

- Mnie to nie obchodzi - zawołał ktoś z tłumu i poparły go wzburzone krzyki.

- Spójrzcie na nich! Znam tego legata - powiedział Janosz i domyśliłem się do razu, że kłamie. - Pamiętam,

jak składał żołnierską przysięgę, i widziałem jego matkę i siostrę płaczące z radości. Czy chcecie, żeby teraz

płakały z innego powodu? - Przez tłum przebiegł głuchy pomruk. - Spójrzcie na pozostałych. Są tylko

żołnierzami. Każdy z was mógł kiedyś zdecydować się na przywdzianie żołnierskiego rynsztunku, czyż nie

mam racji? Niektórzy z was chwycili za broń, by bronić honoru tego miasta. To właśnie należy do ich obowiązków. Czy to ich wina, że inni wprowadzają ich w błąd?

- Przeklęte głupki powinny wiedzieć, co dobre, a co złe - zawołał jakiś mężczyzna i zdawało mi się, że to

ten sam, który oświadczył, że nie obawia się zabić. Janosz milczał przez jakiś czas, po czym wybuchnął

śmiechem - swoim charakterystycznym, gromkim, dźwięcznym śmiechem. Ludzie zdumieli się wyraźnie,

nie wiedząc jak zareagować, po czym również zaczęli się śmiać, nie do końca pewni, co właściwie ich

śmieszy. Janosz umilkł i tłum poszedł za jego przykładem.

- Serce moje się raduje, że usłyszałem wreszcie człowieka, który wie co dobre, a co nie - krzyknął Janosz. -

Kiedy wszystko się skończy i powróci porządek, przyjdź do mnie, człowieku. Zapłacę ci sownie w

złocie i

winie, żeby od tej pory być pewnym, że też wiem co dobre, a co nie. - Teraz tłum miał się przynajmniej z

czego śmiać, lecz Janosz nie czekał, aż zapadnie cisza, tylko zwrócił się do patrolu. - Ty tam... Legacie.

- Tak, panie - młodzieniec pochylił z szacunkiem głowę.

- Miej baczenie na swoich ludzi i wracajcie do dowódcy straży. Przekaż mu, że otrzymałeś wyraźne rozkazy

od kapitana Szarego Płaszczka ze Straży Przybocznej Sędziów. Wtedy on wyda ci swoje rozkazy. - Legat

ponownie pochylił głowę, po czym dał rozkaz do odmarszu. Oddział zniknął w bocznej ulicy, trzymając

szereg, nawet pomimo ранego włócznika, któremu pomagali koledzy. Janosz zaczekał, aż znikną z pola

widzenia, a następnie zwrócił się do tłumu:

- Jak się nazywa ta dzielnica?

Rozległy się chaotyczne okrzyki. Wreszcie ktoś o wyjątkowo silnych płucach ryknął:

- Jałowa Skała!

- Jałowa Skała... dziękuję wam. Szlachetny Antero również składa wam wielkie dzięki. Chyba

zawdzięczamy wam życie. Powinniście być dumni, że jesteście Orissanami. Kiedy to wszystko się skończy,

obecny tu Almaryk Antero i ja będziemy pamiętać o niespłaconym długu. Zawsze będziemy gotowi przyjść

wam z pomocą w razie potrzeby.

Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić, wznosząc okrzyki na znak radości, zgody i zadowolenia. Kilkoro z

nich, między innymi rybaczka z harpunem, chciało koniecznie zamienić choć słowo z Janoszem, albo chociaż go dotknąć.

- A teraz - odezwał się do mnie Janosz niskim głosem, wyczerpany po zakłęciu - powinniśmy dać temu

zuchwalcowi i jego piaskowym strażnikom wystarczająco dużo czasu na ucieczkę. - Pomału wycofaliśmy

się. Wybierając mało uczęszczane alejki i starannie unikając ulicznych patroli, dotarliśmy do bramy mego

domu.

Budynek wyglądał, jakby został skrupulatnie przygotowany do oblężenia. Wszystkie okna na niższych

kondygnacjach zasłonięto szczelnie solidnymi, dębowymi okiennicami, które skonstruował niegdyś mój

dziadek.

Setnik Maeen stanął najwyraźniej na wysokości zadania i wziął sprawy w swoje ręce, jednocześnie

rezygnując z pełnienia obowiązków wojskowych. Zdaje się, że nikogo specjalnie to nie obeszło, szczególnie

163

że Przyboczna Straż Sędziów praktycznie przestała istnieć. Cztery osoby ze służby wytrwale wspomagały go

we wszystkich staraniach: J'an - główny stajenny, Rake - szef kuchni, Mose - magazynier oraz Spoto,

najmłodsza z pokojówek. Przyszły mi na myśl jeszcze dwie osoby, które powinny były zarządzać obejściem

w czasie mojej nieobecności, to znaczy Eanes i Tegry. Pomodliłem się za obu, z których jednego uważałem

za bohatera, drugiego za głupca.

Rali udawało się od czasu do czasu wymykać z koszarów, lecz nikt nie miał pojęcia, jak to robiła. Ja

wiedziałem, lecz milczałem przez wzgląd na bezpieczeństwo mojej siostry. Przed zamieszkami udało jej się

przekazać wiadomość naszym braciom, zamieszkującym posiadłości poza miastem, żeby nie wracali do

Orissy. W rzeczywistości dom mógł oprzeć się każdemu szturmowi. Rali poprosiła jakiegoś

łatwowieznego

maga, mało odpornego na powaby kobiet, aby dał błogosławieństwo słodczy na nasze dwie piwnice.

Otworzyła zbrojownię i uzbroiła naszą małą armię. Maeen przez wiele dni uczył ich, jak posługiwać się

różnymi rodzajami broni. Cała czwórka oświadczyła, że opłaci każdego ze służby, kto obawiał się, niepokoił

czy też uważał, że moja rodzina zasłużyła sobie na zły los, jaki ją spotkał. Wzruszyłem się do łez, gdy Spoto

poinformowała mnie, że tylko troje ludzi zażądało zapłaty i odeszło. Oprócz wynagrodzenia bohaterskich

mieszkańców Jałowej Skały, będę musiał pamiętać również o służących, którzy wykazali ofiarność i oddanie

w obliczu niebezpieczeństwa.

Byłem zmęczony, głodny i brudny, lecz wiedziałem, że nie wolno mi tracić czasu. Kazałem moim domowym obrońcom oprowadzić się po posiadłości i pokazać, co udało im się zrobić. Następnie wykąpałem

się pośpiesznie, ukroiłem sobie pajdę chleba z owczym serem i połknąłem ten prowizoryczny posiłek,

popijając chłodnym winem z chronionych zakłębieniem piwnic. Spojrzałem z tęsknotą na szerokie łoża w

sypialni, lecz nie dałem się opanować uczuciu słabości. Zszedłem na dół, gdzie natrafiłem na Janosza i

dowiedziałem się, że ten, jako doświadczony żołnierz, również wprowadził pewne zmiany w otoczeniu. W

całym domu kazał porozmieszczać kubły wypełnione piaskiem lub wodą na wypadek „niespodziewanego”

pożaru. Rozstawił wartowników na dachu i kazał meldować o wszystkim, co wzbudziłoby ich najmniejszą

wątpliwość. Na wszystkie drzwi, z wyjątkiem głównego wejścia, założyliśmy podwójne kraty i zastawiliśmy

je ciężkimi meblami.

Niespodziewanie zjawiała się Rali. Oprócz Janosza nikt nie okazał zdziwienia na jej widok, więc domyśliłem

się, że skorzystała z zakłącia, które umożliwiło jej wejście do domu bez używania drzwi, informując o tym

uprzednio służbę. Później wytłumaczyłem zaskoczonemu Janoszowi, w jaki sposób dostała się do wnętrza

domu. Niegdyś któryś z przywódców naszego klanu rozkazał wydrążenie dwóch tuneli na wypadek

wyjątkowych sytuacji. Jeden rozpoczynał się za szafą pełną prastarych woluminów w dawnym gabinecie

mego ojca i biegł pod terenem posiadłości, wychodząc jakieś sto kroków za kamiennym murem

otaczającym dom; drugi brał swój początek przy drzwiach zapadowych na drugim piętrze, po czym schodził

falszywym kominem pod ulicę, aż docierał na tyły małego sklepiku; nikt, oczywiście z wyjątkiem

właściciela, nie wiedział, że należy do rodziny Antero.

Rali opowiedziała nam, co się wydarzyło od czasu, gdy wymknąłem się z miasta. Zgodnie z obawami, moje

zniknięcie przeważało szalę zwycięstwa przeciwko tym, którzy uważali, iż Orissa znajduje się w punkcie

zwrotnym w swej długowiecznej historii; punkcie zwrotnym, który nakazywał nam sięgnąć ku Odległym

Królestwom i zmienić wiele w naszym ustroju, aby z odwagą spojrzeć w twarz nadchodzącej, nowej epoce.

Wielu z tych, którzy do tej pory występowali przeciwko starej gwardii, uważało za politycznie stosowne

posunięcie wycofać się i przeczekać rosnące zamieszanie. Niektórzy, tak jak Malaren, poszli za przykładem

Gamelana i opuścili miasto.

Słowa przybrały formę fizycznej przemocy. Zaczęło się od wychłostania szczególnie znienawidzonego

zarządcy najnędzniejszych kamienic, których właścicielami były najbogatsze i najbardziej konserwatywne

rodziny w mieście. Niedaleko Jałowej Skały puszczo z dymem jedną z wartowni. Następnie mój stary

znajomy, Prevotant, doniósł sędziom, że on i jego strażnicy zostali napadnięci w nocy przez jakichś łotrów,

którzy wykrzykiwali głośno: „Koniec z magami” i „Likant nas uwolni.” W tym momencie Rali przerwała i

uniosła brwi, oczekując komentarza. Ani Janosz, ani ja nie zamierzaliśmy podważać prawdziwości tych

słów. Likant rzeczywiście nas uwolnił. O, tak. Prevotant okazał się jeszcze głupszy niż sądziłem.

Z tych i jeszcze innych powodów sędziowie nabrali przekonania, że muszą ogłosić stan wyjątkowy i wprowadzić prawa, które jednocześnie sankcjonowały pozycję kapłanów miasta do „służenia rada i pomocą

w celu rychłego zakończenia obecnego stanu wyjątkowego.” Decyzja ta sprawiła, że tłumy wyległy na ulice.

W nocy, podczas masowych demonstracji, spłonęły dwa budynki, a siedmiu mężczyzn i dwie kobiety,

164

wszyscy wywodzący się z klasy rzemieślniczej, „zaatakowali nocne strażę z zamiarem zabójstwa, zmuszając

wartowników do użycia broni.”

Wezwano Gwardię Maranon do patrolowania ulic i przywrócenia ładu, lecz przez porządek i ład magowie

rozumieli krwawe stłumienie buntu i poparcie zwolenników starego porządku.

- Zwołaliśmy wówczas radę - wyjaśniła Rali z kamienną twarzą. - Wszyscy, od oficera po najbiedniejszego

sługę, wszyscy bez wyjątku mieli być traktowani równo oddając swoje głosy. Obrady trwały prawie całą noc.

Doszliśmy do wniosku, że głównym powodem, dla którego Maranoniam bógosławi, jest to, iż

stanowimy ducha Orissy. Opowiedzenie się za jedną lub drugą frakcją oznaczałoby utratę szacunku, którym

nas dotąd darzono, oraz, co ważniejsze, zesłałoby na nasze głowy klątwę ukochanej bogini. Po raz pierwszy

w historii Gwardia Maranon odmówiła wykonania rozkazu. - Rali odwróciła wzrok, a w świetle ogniska

dostrzegłem połyskujące w kącikach jej oczu łzy. - Była to zarazem dumna, podniosła i haniebna chwila.

-Rozkazano nam wycofać się do warownego obozu, gdzie pozostajemy do chwili obecnej. Nie wiemy, w

jaki sposób mogłybyśmy powstrzymać nieszczęście, które trawi i rozdziera Orisę. Próbowaliśmy docierać

do proroków, mędrców, do mądrych kobiet. Nawet kilku magów, tych, którym ufamy, odwiedziło

potajemnie warownię. Nieustannie rzucamy zaklęcia, lecz jak dotąd ... - Głos uwiązał jej w krtani. - Czasami,

Janoszu Szary Płaszczu - odezwała się stanowczo - przeklinałam ciebie wraz z Odległymi Królestwami.

- Prędzej czy później nastąpi zmiana - rzekł Janosz. - Możemy jedynie starać się ukształtować ją wedle

naszych oczekiwań, co przy odrobinie szczęścia da pokój i radość większości mieszkańców.

- Wiem - westchnęła Rali. - Wiem. Lecz jakże ciężko patrzeć, gdy miasto, które tak bardzo ukochałam, jest

rozdarte. Teraz biedni zamieniają się w nocy wygłodniałe wilki, grabią, zabijają i palą; magowie chełpią się

za dnia fałszywym triumfem, a ci, którzy mogliby położyć kres temu nieszczęściu, kryją się za kamiennymi

murami. Wieść o waszym przybyciu dotarła do koszar w chwili, gdy przekroczyliście bramy miasta -

stwierdziła. - Przypuszczam, że dopiero teraz wszystko zacznie wrzeć i niebawem dowiemy się, do kogo

uśmiechają się bogowie.

Pogłaskała mnie czule po głowie.

- Witaj w domu, bracie. Chyba nigdy nie sądziłeś, że ty i jakiś wojak z gór staniecie na czele rewolucji, co?

- Odeszła, zanim dotarł do mnie sens jej słów. Jak zwykle Rali miała rację. W pewnym sensie staliśmy na

czele rewolucji. Bardzo chciałem spojrzeć w przyszłość i zobaczyć, jak się ona zakończy. Teraz, gdy to piszę,

żałuję, że nadal nie wiem.

Obserwatorzy wspięli się na dach, Janosz i ja udaliśmy się na spoczynek do swych komnat, a setnik Maeen

nadzorował pierwszą zmianę warty. Trzymaliśmy broń w pogotowiu. Janosz kazał się obudzić przed

świtem, kiedy istniało największe prawdopodobieństwo ataku. Nasi przeciwnicy nie czekali jednak aż tak

długo. Zbudził mnie okrzyk, po którym nastąpił głośny trzask, a następnie wrzask trwogi. Hałas dochodził

od głównego wejścia. W mgnieniu oka stanąłem przy drzwiach, całkiem nagi, z mieczem w ręku. Służący z

zapalonymi pochodniami skupili się za moimi plecami. Dwaj z nich, których imion nie wspomnę teraz, by

nie przynosić wstydu rodzinie, kulili się pod ścianą. U ich stóp leżał olbrzymia kłoda drewna, stanowiąca

uprzednio blokadę drzwi. Na widok zdrajców ruszyłem w ich kierunku z mieczem, lecz pohamowałem się,

kiedy zaczęli błagać o litość i możliwość wytłumaczenia się. Najpierw kazałem im ponownie zaryglować

drzwi i muszę przyznać, że nader pośpiesznie wykonali polecenie. Na schodach pojawił się Janosz w pełnym

rynsztunku bojowym.

- Widziałem jakichś ludzi - zawołał. - Może ze dwudziestu. Uzbrojeni. Po drugiej stronie ulicy. Zaczęli

biec, gdy usłyszeli krzątanicę. - Wtedy nagle uświadomił sobie prawdziwe podłoże sytuacji. - A więc - rzucił

- mamy do czynienia raczej ze zdradą niż z frontalnym atakiem. Co wam obiecano, psubraty, za tę nikczemną zdradę? - zapytał marszcząc gniewnie brwi. Służący zaczęli gadać jeden przez drugiego, więc

wrzasnąłem nakazując im milczenie, po czym dałem głos jednemu nakazując, żeby mówił jasno i zwięźle.

Okazało się, że po odbyciu warty poszedł do łóżka. Nagle otworzył oczy, czując się jakby nadal był we śnie i

nie mógł się powstrzymać, żeby nie pójść ku drzwiom. Tam czekał na niego ten drugi. - To było jakies

zakłęcie - upierał się przerażony służący. - Próbowałem mu się przeciwstawić ... ale na próżno.

Zawahałem się, po czym opuściłem miecz przypominając sobie, że obydwaj od wielu lat służyli mojej

rodzinie. Nie czułem się jednak do końca przekonany. Janosz też nie.

- Co przerwało zakłęcie? - zapytał sceptycznie. - Podobne zakłęcie, jeśli rzeczywiście ktoś je na was rzucił,

nie przyniosłoby pożądanego efektu, gdyby zostało wypowiedziane niewprawnie; w przeciwnym razie

skłoniłoby was do całkowitej realizacji planu.

165

- To był ... to był jakiś okrzyk.

- Czyj? - zapytałem.

Służący zaczęli się trząść na całym ciele, aż wreszcie jeden z nich wskazał drżącym palcem na przestrzeń za

moimi plecami. Wskazywał na wiszący za ołtarzem portret mego brata, Halaba.

- Pochodziło... od niego. Stamtąd.

Reszta służących zaczęła szemrać między sobą i ponownie musiałem ich uciszać. Dwaj mężczyźni

opowiadali nieskładnie, że okrzyk pochodził z obrazu, co niewątpliwie oznaczało, że to błogosławiony

Halab próbował z za grobu ratować rodzinę. Czułem się rozdarty między zdumieniem a sceptycyzmem.

Janosz rozkazał zabrać obu służących do lochu. Powiedział, że tam dowie się prawdy.

- Nie zgadzam się na żadne tortury - szepnąłem mu do ucha. - Bez względu na to, co zrobili. Jeśli uważasz,

że są winni, odpraw ich. Albo zabij, do czego również mamy prawo, jeżeli istotnie nas zdradzili.

- Nie dotknę ich, przynajmniej w fizycznym znaczeniu tego słowa - uspokoił mnie Janosz. - Istnieją inne,

znacznie lepsze sposoby, pozwalające dowiedzieć się prawdy. - Poszedł do kuchni, skąd wziął niezbędne

przedmioty. Domyśliłem się, co zamierza. Niebawem znaleźmy odpowiedź. Służący nie kłamali. Ktoś z

zewnątrz rzucił zaklęcie, potężny czar mający na celu zamianę człowieka w bezwolnego niewolnika.

- Czarna magia - stwierdziłem.

Janosz zgodził się, aczkolwiek niechętnie. Zastanawiał się czy podchodziłbym do sprawy tak samo, gdyby

rzucano takie zaklęcie, aby na przykład powstrzymać okrutnego łotra przed skrzywdzeniem zacnej osoby?

Nie mieliśmy oczywiście czasu na filozofowanie. O świcie Janosz wysłał służących na rynek, żeby dokupili

inne, niezbędne produkty. Tamtego dnia rzucił kilka zaklęć. Pierwsze i najsilniejsze skupiało swą moc

wokół posiadłości.

- Nie mogę w ten sposób powstrzymać obcych zaklęć, na przykład takiego, jakie zostało rzucone

poprzedniej nocy, ale mogę w pewnym stopniu zneutralizować ich moc. - Rzucił również zaklęcia ochronne

na nas wszystkich, choć wyjątkowo ciężko poszło mu z dwoma służącymi, którzy padli ofiarą obcych

czarów.

- Ktoś, kto raz zachoruje na płuca, musi zawsze wystrzegać się wilgoci i nisko położonych miejsc; tak samo

człowiek, który dostał się pod wpływ magii, staje się bardziej podatny na zaklęcia rzucane przez tego samego czarownika. W każdym razie tak uważam, chociaż nigdy nie słyszałem podobnej teorii z ust maga,

ani nie czytałem o tym w żadnej mądrej księdze.

Zapytałem Janosza, jak zareagowali na czary odprawiane nad nimi przez kogoś, kto nie ma nic wspólnego z

magami. Mój przyjaciel wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i stwierdził, że nie czynili mu najmniejszych wstrętów.

- Nie zdajesz sobie nawet sprawy, Almaryku, iż większość biednych, zwyczajnych ludzi polega właśnie na

takiej „podziemnej” magii. Nie stać ich na opłacenie maga, albo po prostu wierzą, że pewne zaklęcia czy

przedmioty, których od wielu lat używali członkowie ich rodzin lub przyjaciele, są o wiele skuteczniejsze od

zaklęć magów. Czasami są to przesady, ale zwykle ci prości ludzie mają rację. Wreszcie problemy, w

których rozwiązaniu pomogłaby im magia, są powszechnie uznane za... pozaprawne. Mówię tu na przykład

o miłosnych eliksirach, klątwach rzucanych na wroga, czy też o zaklęciu pomocnym we wzbogaceniu się.

- Jawna niesprawiedliwość - stwierdziłem. - Ja zawsze miałem dość pieniędzy, aby kupić milczenie, kiedy

pragnąłem rzucić jakieś zaklęcie.

- Złoto... albo raczej potęgę rodzinnego nazwiska.

- W naszym mieście panuje wielka niesprawiedliwość - powtórzyłem.

- Bystry wniosek - zgodził się Janosz nie próbując skrywać sarkazmu. - Jeżeli znajdziesz system, w

którym

nie zauważysz podobnego zjawiska, oczywiście w większym lub mniejszym stopniu, poinformuj mnie

proszę, byśmy razem mogli tam wyemigrować. - Podałem mu pełny puchar mocnego wina, a sam udałem się

przed ołtarz Halaba, gdzie modliłem się długo dziękując bratu za to, co uczynił. Nie wiedziałem, czy doceni

ofiary złożone po zakończeniu tego koszmaru, lecz mimo to obiecałem mu je solennie. Poprzysiągłem również, że będę rozgłaszał o czynach jego, a raczej jego ducha, aż ostatni Antero zostanie zabrany z ziemskiego padołu.

Kolejny atak zaskoczył nas późnym popołudniem. Odgłos rogu sprawił, że wyjrzałem przez okno na piętrze. Na ulicy poniżej dostrzegłem Cassiniego. Miał na sobie ceremonialne szaty maga. Za jego plecami

stało dwóch innych magów, a po bokach asystowali im odziani w białe stroje kapłani. Dwaj z nich ponownie

zadęli w róg. Nieco dalej czaiły się ze dwie dziesiątki włóczników.

166

- Almaryku Antero - zawołał Cassini. - Wzywam cię, abyś stanął w obliczu sprawiedliwości! - Nie odpowiedziałem dopóki Janosz nie stanął obok mnie. Tymczasem Cassini zawezwał mnie jeszcze

dwukrotnie. Zapytałem Janosza, co powinniśmy uczynić, a on zadumał się głęboko. - Możesz zignorować

tego sukinkota, jeśli tylko chcesz - poradził. - Możesz również z nim porozmawiać. Nie widzę tam żadnych

łuczników ani kuszników i nie wyczuwam działania magii.

Zdjąłem ciężki rygiel z drzwi balkonowych i wyszedłem na zewnątrz.

- Czego sobie życzysz, magu?

- Wzywam cię, Antero - zawołał ponownie Cassini.

- Dlaczego? Nie złamałem prawa. Poza tym nie jesteś sędzią. Jeszcze nie. - Prawdopodobnie nie

powiniennem tego mówić, lecz nie potrafiłem się powstrzymać.

- Kłamco - odkrzyknął. - My, magowie, wyczuliśmy, że ktoś z twego domu praktykuje czarną magię. Skoro

nie przebywa z tobą żaden mag, ciebie wraz z tymi, których ochraniaasz, oskarża się o tę zbrodnię przeciwko

Orissie, przeciwko magom oraz przeciwko naturalnemu porządkowi naszej ziemi. A zatem wzywam, abyś

się poddał. A wraz z tobą każda istota winna popełnienia tego niewybaczalnego grzechu, służenia pomocą

czy namawiania innych. Daję ci czas równy jednemu obrotowi klepsydry ... - w tym momencie jeden z

asystujących mu ludzi podniósł do góry ten przedmiot - ... abyś się przygotował i przyniósł te materiały i

przedmioty, które, jak sądzisz, mogą być ci pomocne w obronie. Zważ na wezwanie, Almaryku Antero, i

poddaj się naszej sprawiedliwości. Uczciwy człowiek nie musi obawiać się Rady Magów.

- Słyszę, jak duch mego brata śmieje się słysząc te słowa - zawołałem czując, jak wzbiera we mnie gniew. -

Szkoda waszego czasu. Ani ja, ani nikt inny, kto przebywa za murami tego domostwa, nie odda się

dobrowolnie w ręce magów! Jeśli przesłuchanie jest konieczne, niech się ono odbędzie w odpowiedni

sposób i niechaj przewodniczą mu sędziowie, a nie szarlatani w ceremonialnych szatach!

Na twarz Cassiniego wypełził chytry uśmiezek. Trafnie przewidział moją odpowiedź. Wziął długi,

obustronny sztylet od towarzyszącego mu kapłana; sztylet lśnił złotem w popołudniowym słońcu. Chwycił

obiema rękami rękojeść broni i ustawił go przed sobą ostrzem do góry.

- Nie mam zatem wyboru. - Drugi kapłan stanął obok niego i odwinął zwój pergaminu. - Ja, Cassini,

gromadzę moce dane mi przez bogów oraz demony tego świata i zaświatów. Skierowuję je przeciwko

Almarykowi Antero i wszystkim, którzy mu służą, z własnej lub bez własnej woli, ogłaszając, że od tej

chwili są wyjęci spod prawa i zostają objęci klątwą. Od teraz aż do czasu, gdy sprawiedliwości stanie się

zadość i banita Antero zostanie postawiony przed sądem. Przeklinam i potępiam ogólnie i w szczególności, a

klątwa przyjmie straszliwe formy. Niechaj wszyscy Antero i ci, którzy im służą, zostaną nią naznaczeni,

ażeby żaden uczciwy człowiek, który boi się i szanuje bogów i ich sługi, nie został oszukany. Pierwsze

przekleństwo będzie...

Cassini zamrugał widząc, że plamka jasnego światła przemknęła przez pergamin a następnie przez jego

twarz. Spojrzał w górę i krzyknął wypuszczając sztylet z dłoni. Chciał naciągnąć sobie kaptur na twarz, lecz

zareagował zbyt późno.

Janosz stanął u mego boku. Obiema rękami trzymał ogromne, posrebrzane lustro, które od zawsze wisiało

na wielkiej szafie. Skończywszy szeptać zaklęcia, odezwał się głośno:

- Magu Cassini! Uwięziłem w tym lustrze obraz twój oraz wszystkich tych, którzy ci towarzyszą. Teraz

czynię cię, w imię bogów Orissy i demonów Kostromy, zakładnikiem, któremu nie wolno rzucać klątw na

rodzinę Antero ani na tych, którzy im służą lub nazywają przyjaciółmi. Jeśli ten zakaz zostanie złamany,

odbicie z tego zwierciadła zostanie wysłane w ciemności nocy, a tam rozbite przez wszelkie moce, jakie

tylko uda mi się wezwać. To lustro odwraca również twą klątwę od tego domu i ich mieszkańców. Ofiaruję

bogom własną duszę jako dowód, że każdy mag, który wziął udział w tej maskaradzie, jest szarlatanem!

Czarodziejem najczarniejszej z magii!

Cassini rozdziawił szeroko usta. Usłyszałem jęk jednego z kapłanów.

- To absurd - wyjąkał. - Jak ty, nie będąc nikim więcej jak tylko zwykłym oszustem i zwyczajnym rzezimieszkiem, ośmielasz się twierdzić, że posiadasz umiejętności rzucenia Wielkiego Zaklęcia?

- Twierdzę, że je posiadam - zawołał Janosz - dzięki swej wiedzy i oddaniu, z jakim ją zgłębiałem.
A co

ważniejsze, moje moce i moje nauki pochodzą od dnia, pochodzą od światła. Tak jak dzień będzie
zawsze

zwycięzał noc, tak samo sprawiedliwość zatriumfuje nad złem!

Cassini rozejrzał się dookoła zdając sobie sprawę, że jego towarzysze i włócznicy cofnęli się.

- To jakaś farsa!

167

- Jeśli wierzysz w to, co mówisz... kontynuuj swoją klątwę i dalej nazywaj nas rzezimieszkami.

Cassini przesunął językiem po spierzchniętych wargach. Następnie odwrócił się na pięcie i nie
odezwawszy

się ani słowem, odszedł pospiesznie. Rąbek długich ceremonialnych szat zaplątał mu się między
nogami i

mag o mało się nie przewrócił. Odzyskawszy równowagę ruszył jeszcze szybciej, a jego
pachołkowie

podążyli pokornie za nim.

Z dołu dobiegły zdumione okrzyki moich służących. Spojrzałem na Janosza, który bardzo ostrożnie
stawiał

zwierciadło na ziemi.

- Nie wiedziałem - rzekłem - że posiadasz aż tak wielką moc.

Janosz zmusił się do ponurego uśmiechu.

- Ja również. Nie jestem też pewny, czy... wolno mi rzucać tak potężne kontr-zaklęcie. Nie zamierzam
tego

ciągnąć o ile nie zmuszą mnie do tego Cassini i magowie. Być może sam fakt, że na coś się takiego

porwałem, czyni mnie winnym, lecz jestem gotów stanąć przed sądem.

- A więc blefowałaś?

Janosz wzruszył ramionami.

- W tym niematerialnym świecie czyż ktokolwiek, nawet najpotężniejszy czarodziej, może odróżnić blef od

prawdy? Liczy się tylko to, że udało nam się wlać nieco otuchy w serca ludzi, którzy nam służą.

- A jeśli Cassini spróbuje powtórnie? Albo jeśli zgromadzi wszystkich magów, żeby rzucić zaklęcie wyjmujące spod prawa?

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. Może naprawdę jego obraz pozostał w tym lustrze. W takim razie jeśli on

spróbuje, ja będę kontynuował atak. Jeśli nie udało mi się go uwięzić... wszystko pozostanie po staremu. W

tej jednak chwili mag Cassini święcie wierzy, że grozi mu niebezpieczeństwo i że został zniewolony ... a to

nam wystarczy, przynajmniej na razie.

- On się nie podda - odezwałem się. - Pozostali magowie i sędziowie, którzy go popierają, też nie zrezygnują.

- Oczywiście - zgodził się Janosz. - Lecz podejrzewam, że spróbują teraz czegoś innego. I to bardzo szybko.

Cassini za bardzo niepokoi się tym, czy naprawdę mam go w swojej mocy, by tracić czas na czekanie.

Dzisiejszej nocy musimy się przygotować na jeszcze większe kłopoty.

Przewidywania Janosza sprawdziły się, zanim jeszcze zapadł zmierzch. Zdawało mi się, że słyszę dudnienie

bębnowych dochodzące z Wielkiego Amfiteatru oraz wzrastający ryk tłumu. Kiedy ciemności ogarnęły miasto,

ujrzeliśmy tysiące pochodni, rzekę ognia znaczącą ulice. Może uczynilibyśmy lepiej biorąc nogi za pas, ale co

potem? Wiedziałem, że Cassini ponownie zaryzykuje zakłęcie, a gdy zostaniemy banitami wszyscy mężczyźni pod bronią, od myśliwego po zwykłego tarczownika będą deptać nam po piętach, póki nas nie

wyłapią. Ten problem trzeba rozwiązać jak najszybciej.

Noc była wyjątkowo jasna. Wysoko nad głowami migotało tysiące gwiazd. Księżyc skrył się za horyzontem, lecz wydawało mi się, że wszędzie roztacza się osobliwa poświata. Mimo bezchmurnego nieba

gdzieś niedaleko rozległ się groźny pomruk nadchodzącej burzy.

Janosz rozkazał pogasić wszystkie pochodnie, które było by widać z zewnątrz. Zebrał dziesięciu najsilniejszych ludzi i podzielił ich na dwie grupy pod komendą Maeena. Miały być to nasze odwody na

wypadek nagłego ataku. Czterej mężczyźni mający jakie takie pojęcie o łucznictwie zajęli stanowiska na

dachu. Warta przypadła w udziale najmłodszemu służącemu z uwagi na najlepszy wzrok. Przed bramą, w

każdym rogu oraz na tyłach domu zapłonęły ogromne pochodnie. Przygotowaliśmy też inne łuczywa, które

przywiązaliśmy do włóczni. Gdyby jakaś siła zgasiła światła, mogliśmy zawsze rzucać za mury mniejsze

pochodnie jako dodatkowe oświetlenie. Wszystkim, którzy zgłodnieli, wydano odpowiednie porcje, chociaż

Janosz uprzedzał, byśmy powstrzymali się od jedzenia z uwagi na ewentualne rany brzucha. Nakazał

każdemu z nas przywdziać czyste, ciemne stroje, żeby uchronić rany przed brudem. Potem zajęliśmy pozycje

i czekaliśmy.

Jakiś czas później ujrzeliśmy napływający od centrum miasta strumień pochodni. Skandowanie tłumu przybrało na sile. Zauważyłem coś dziwnego i postanowiłem podzielić się z Janoszem swym spostrzeżeniem.

- Z tego co się domyślam, te rozwścieczone do szaleństwa tłumy mają zamiar rozerwać nas na strzępy za to,

że zakpiłem z bogów.

- Skąd wiesz - zapytał kwaśno Janosz - że ten tłum nie jest po prostu zwykłym zgromadzeniem, które chce

dać upust swej wściekłości w imię wszystkiego, co dobre i święte?

168

- Widzę pochodnie z przodu i po bokach. Przesuwają się regularnie, jakby nieśli je wyszkoleni żołnierze.

Skandowanie zdaje się również dobrze wyćwiczone. Sądzę, że wydano rozkazy lojalnym oddziałom, aby

przywdziały cywilne stroje.

- Nie - zaprzeczył Janosz. - Znowu kierują przeciwko nam swoje czary. Po całym zajściu żołnierze nie

utrzymaliby języka za zębami bez względu na rozkazy. O wiele łatwiej jest sterować zwykłymi ludźmi,

wyprowadzając ich z domów za pomocą sprytnie i umiejętnie rzuconego zaklęcia. Spowodują podobne w

skutkach spustoszenie ... i, co więcej, nie będą mieli poczucia winy albo, nazajutrz doznają całkowitej

amnezji.

Niebawem dziki tłum otoczył posiadłość ścisłym kordonem.

- Kolejna wskazówka - zauważył Janosz. - Prawdziwy, popychany własnymi intencjami tłum skupiłby się w

miejscu, gdzie mogłyby zajść najważniejsze wydarzenia, to znaczy przed wejściem do domu. A popatrz

tylko, co się stało. Jesteśmy otoczeni.

- Co teraz?

- Kamienie, gniewne okrzyki, jakaś grupa zaryzykuje szarżę, znalazłszy słabsze miejsce. Powinniśmy

ostro

odpowiedzieć na atak, używając strzał i włóczni. Prędeż czy później albo się zmęczą rozlewem krwi,

poniósłszy duże straty, albo ...

Nie musiałem pytać o drugą alternatywę.

- Przypuszczam, że nie ma co łudzić się nadzieją, że sędziowie przyjdą nam z pomocą?

Janosz pokręcił przecząco głową.

- Najlepsze, na co możemy liczyć to że utrzymamy się do wschodu słońca.

Tłum nie przestawał krzyżeć, a po chwili posypały się ku nam pierwsze kamienie. Wydawało się jednak,

że nie zamierzają przypuszczać szturm.

- Być może - zastanawiał się głośno Janosz - chcą, żeby pierwszy atak oparł się o magię. Przyjrzyj się tym

ludziom, Almaryku. Poszukaj ich przywódców. Temu tłumowi wyraźnie przewodzi konkretna osoba; ona

nie jest sterowana przez upiorne ręce maga z odległego pałacu. Tam! Widzisz?

Na tyłach tłumu dostrzegłem kilka światełek.

- Ślepe latarnie - ocenił Janosz. - Przywódca lub przywódcy tej grupy, prawdopodobnie prowadzeni odgórnie.

- Cassini?

- Czy naprawdę sądzisz, że zrezygnowałby oglądania naszej śmierci? Tam na pewno jest Cassini, gdybyśmy

mieli magiczną kulę i mogli ujrzeć co się dzieje w Pałacu Magów, ujrzelibyśmy, jak jego kompani szepczą

gorliwie zaklęcia.

Mijał czas i nic się nie działo. Janosz zaczął się niepokoić.

- Oczekują czegoś; jakiegoś wydarzenia, które odmieni bieg wypadków. W przeciwnym razie nie

trzymałoby tego tłumu w tak ścisłych ryzach.

Niespodziewanie rozległ się kobiecy krzyk. Dochodził z wnętrza domu!

- Idź tam - rozkazał Janosz. - Będę miał na oku Cassiniego. Nie mogę przegapić kolejnego ruchu.

Popędziłem na dół słysząc okrzyki i brzęk stali. W jakiś sposób... nie wiem którądy... dostali się do domu.

Jakiś mężczyzna ze złamanym nosem, wymachując zakrwawionym toporem, rzucił się ku schodom.

Przeskoczyłem przez poręcz i ruszyłem ku niemu z mieczem gotowym do zadania ciosu. Lśniące ostrze bez

trudu rozplątało jego ramię. Zachwiał się, lecz padając w tył wyrwał mi miecz z rąk. Lewą ręką wyjąłem

duplikat zakrzywionego noża, który miałem ze sobą na Odkryciu. Zanim zdążyłem wyciągnąć miecz z ciała

pierwszego napastnika, zaatakował mnie brodaty olbrzym, wywijając nad głową sękatą maczugą. Skuliłem

się i zawirowałem w błyskawicznym piruecie, mierząc w jego odkryty brzuch. Po chwili z maczugą w

wolnej ręce ruszyłem na spotkanie losu. Odparowałem atak, zamachnąłem się powalając dwóch na podłogę.

- Antero! Antero! Do mnie! Do mnie! - wołałem bez przerwy. Setnik Maeen i oddział rezerwy wybiegli z

bocznej komnaty. Korytarz prowadzący do głównego wejścia wypełnił się zgiełkiem, odgłosami walki,

zgrzytem stali o stal. Nieprzyjaciele napływali do domu nie wiadomo skąd. Wtedy zobaczyłem go... i

zrozumiałem.

Po przeciwległej stronie komnaty stał Tegry. Był jednym z niewielu wtajemniczonych, którzy wiedzieli o

tunelach, i niewątpliwie podzielił się swoim sekretem z Cassinim. Trzymał w ręku włócznię i miał na sobie

starą, zardzewiałą kolczugę. On również mnie zobaczył, wrzasnął szaleńczo i cisnął włócznią. Przemknęła

tuż obok i utkwiała w ścianie. Przyszła kolej na mój ruch. Zerwałem ze ściany lampę oliwną i rzuciłem nią,

169

wkładając w to cały gniew, jaki można odczuwać po zdradzie - nie tylko mnie i mojej rodziny, lecz także

mego ojca.

Płonąca lampa zatrzymała się na chwilę na jego twarzy. Nawet odgłosy walki nie zdołały zagłuszyć rozpaczliwego wrzasku bólu. Tegry zwałił się ciężko na plecy i straciłem go z oczu w zamieszaniu, jakie

panowało dookoła. Ocknąłem się słysząc świst przelatujących strzał i zobaczyłem, jak łucznicy na dachu

coraz to nakładają strzały na cięciwy. Rozległ się jakiś krzyk, potem następny i ci, którym udało się przetrwać, rozpoczęli odwrót przesuwając się wolno ku wejściu do tunelu. Niewielu udało się do niego

dotrzeć.

W korytarzu było mnóstwo krwi. Pięciu, nie, sześciu naszych ludzi odniosło rany lub dogorywało w męczarniach. Znowu dostrzegłem Tegry'ego. Usiadł z trudem i oparł się plecami o ścianę. Jego twarz zmieniła się w upiorną maskę: placki czarnej i czerwonej skóry poprzedzielane olbrzymimi pęcherzami.

Ogień strawił mu włosy i brodę. Nic nie widział, lecz musiał usłyszeć moje kroki. Wyciągnął przed siebie

ręce mamrocząc coś, co przypominało błaganie o litość. Dostał łaski i umarł szybciej niż umarłbym ja,

gdyby on zdołał zrealizować swój plan.

Usłyszałem krzyk Janosza. Kazałem dwóm służącym zablokować wejście do tunelu, chwyciłem za miecz i

z resztą moich ludzi wbiegliśmy po schodach, potykając się co chwila z wyczerpania. Janosz stał na balkonie

trzymając łuk w dłoniach. Wypuszczał strzałę za strzałą w zgromadzony poniżej tłum.

- Teraz zaatakują - krzyczał. - Hej, łucznicy... zajmijcie pozycje. Mierźcie starannie. Najpierw tamci.

Pamiętajcie, nie załatwicie wszystkich naraz, tylko każdego z nich po kolei.

Ośmiu mężczyzn wzięło tęgi rozbieg i ruszyło ku wrotom, dźwigając na barkach ciężką kłodę. Ciężkie,

okute żelazem, dębowe drzwi opierały się kolejnym uderzeniom, wydając triumfalne dudnienie.

Wiedziałem jednak, że w końcu ustąpią. Strzały świstały w powietrzu, lecz za każdym razem, gdy odpadał

jakiś człowiek przy taraniu, zastępowało go dwóch innych. Magia Cassiniego albo żądza krwi ludu musiały

mieć wyjątkową moc. Taran znowu ugodził w drzwi i tym razem usłyszałem trzask drewna. Drzwi zaczęły

ustępować.

- Na dół - zawołałem. - Janoszu - zostań ze mną. Wy, reszta... rozerwijcie blokadę na tunelu. Zatrzymamy

ich jak najdłużej.

Zbiegliśmy na dół do zalanego krwią korytarza. Nadchodziła ostatnia chwila rodziny Antero. Ujrzałem

przed sobą portret Halaba. Za chwilę dołączę do niego.

- Ludzie - krzyknąłem. - Wasza służba dobiegła końca. Uciekajcie tunelem, póki jest jeszcze okazja.

- Do czorta z tobą i twoimi rozkazami, Almaryku Antero - burknął J'an napinając mięśnie ramion, w których trzymał wielki topór, którego używaliśmy do rąbania kości wołu. - Umrę kiedy i gdzie będę chciał.

Żaden przeklęty mag nie będzie patrzył na moją śmierć.

Stojący przy nim Maeen nie odezwał się ani słowem, tylko splunął na podłogę i stopą nakreślił ostateczną

linię. Rozejrzałem się dookoła i zdałem sobie sprawę, że kilkunastu z moich służących postanowiło umrzeć

tutaj, podobnie jak J'an. Ścisnęło mnie w gardle. Spojrzałem na Janosza. Białe zęby połyskiwały na tle

ciemnej brody.

- A teraz - powiedział. - teraz niech dokona się rzeź. Niechaj bogowie usłyszą lament i zawodzenie i dowiedzą się, że to Janosz Kether Szary Płaszcz, suweren Kostromy, wychodzi im na powitanie. -

Roześmiał się jeszcze głośniej. - Będą śpiewać pieśni o tej pamiętnej nocy. Jestem gotów.

Jako że nie miałem talentu do wygłaszania pogrzebowych przemów, zmusiłem się do grymasu, który, jak

miałem nadzieję, wyglądał na uśmiech w obliczu śmierci, po czym podniosłem miecz i sztylet.

Drzwi puściły... i wszczął się niesamowity zgiełk. Ku naszemu zdumieniu wyłącznie na zewnątrz!

Usłyszałem dudnienie bębnow, odgłos wypuszczanych strzał, włócznie uderzających w zewnętrzne ściany

oraz dzikie wrzaski. Ze śmiertelnego uniesienia powróciliśmy do rzeczywistego świata. Spojrzeliśmy po

sobie zdezorientowani, podczas gdy na zewnątrz odgłosy walki przybierały na sile. Janosz wyrwał topór z

rąk J'ana i trzema potężnymi ciosami roztrzaskał resztki drzwi. Wybiegliśmy na zewnątrz.

Z ciemności nocy przybyły z odsieczą trzy falangi Gwardii Maranon. Poruszały się powoli, lecz

konsekwentnie, z wysuniętymi do przodu włóczniami przechodząc przez ścielące się na ziemi trupy. Za

pierwszym szeregiem znajdowały się łuczniczki i oszczepniczki, mierzące dokładnie w obrane cele. Dudy

zapiszczały przeraźliwą pieśń śmierci, dodając nam otuchy wraz z werblami, które nadawały dźwięczny

rytm. Na przodzie kolumny dostrzegłem Rali, lecz najwyraźniej nie miała czasu, by szukać mnie wzrokiem.

170

Tłum rozproszył się i... pierzchnął na pola, między inne obejścia. Wsunąłem sztylet do pochwy, a z ziemi

wyrwałem kołyszącą się włócznię. Cassini z pewnością również rzuci się do ucieczki. Podniesienie ręki na

maga uważane było za najgorszą zbrodnię, lecz na moich dłoniach znajdowało się już tyle przelanej krwi, że

nie przejmowałem się dodatkowymi kilkoma kroplami, bez względu na to, czy miały pochodzić od czarodzieja, czy od kogoś innego.

Cassini jednak nie uciekł. Nie biegł też wraz z innymi. Dojrzałem go dokładnie w tym samym miejscu, w

którym znajdował się przed atakiem tłumu. Stał pośrodku ulicy. Stał samotnie; najwidoczniej wszyscy

asystenci i doradcy opuścili go, umykając z pozostałymi. Nie wiem, czy był w szoku, czy też kierował nim

jakiś wewnętrzny przymus.

Nagle wyrzucił ręce ku niebu i zaczął wykrzykiwać tajemnicze słowa w nieznanym języku. Powstrzymałem

się od rzutu włócznią. Znieruchomiałem. Grzmot, który wydarł się z niebios, rykiem swym zagłuszył bębny

Gwardii. Służący, Janosz, ranni - wszyscy bez wyjątku sprawiali wrażenie osłupiałych. Upiorne od błądki

twarze spoglądały w górę.

Grzmot narastał. Wtem z niezmiernych głębin bezchmurnego nieba, wynurzyła się olbrzymia ręka

utworzona z błękitnych płomieni. Sięgnęła w dół w naszym kierunku. Chciałem krzyknąć i zapaść się pod

ziemię, lecz nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu.

Ręka dotknęła Cassiniego. Krzyki maga zmieniły się w oszalałe piski, w miarę jak ogniste palce opłoty

jego drżące ciało. Ręka uniosła go jakieś dziesięć stóp nad ziemię... i zacisnęła się mocno, w geście, jakim

ogrodnik rozgniata robaka. Palce rozwarły się wypuszczając na drogę to, co pozostało po Cassinim. Po

chwili płomienne ramię zniknęło nam z oczu jakby nigdy się nie pojawiło.

Odwróciłem się. Janosz stał ciągle w tym samym miejscu. Minąłem go, przeszedłem przez szczątki drzwi

mego domu, omijając leżące wszędzie zakrwawione ciała. Na zewnątrz usłyszałem krzyki i lamenty świadczące o tym, że wróciła rzeczywistość, a raczej to, co za nią uważamy.

Nie chciałem dzielić się z nikim swymi przemyśleniami. Zwyciężyliśmy, to prawda. Ale ta „wojna,” jako że

nie można było inaczej określić owych wydarzeń, dla mnie jeszcze się nie skończyła. Trzeba było stoczyć

jeszcze jedną bitwę, odnieść jeszcze jedno zwycięstwo; byliśmy to winni tym, co zginęli oraz tym, co mieli

się dopiero narodzić.

- SZLACHETNY ALMARYKU Antero i kapitanie Janoszu Ketherze Szary Płaszczu, wystąpcie.

Znajdowaliśmy się w Cytadeli Sędziów. Od opisywanych przeze mnie wydarzeń nie upłynął jeszcze tydzień, a wydawało się, jakby dzielił nas już od nich cały wiek. Stara Gwardia, jeszcze do niedawna uważająca się za jedyną władzę tego miasta, zniknęła bez śladu. Pośrodku Ławy Sędziów zasiadał Ecco. Po

dwóch dniach od bitwy Sisson ogłosił wszem i wobec, że cierpi na rzadko spotykaną chorobę i zszedł z

areny społecznej, udając się na leczenie. Jego zwolennicy oddali się ważnym obowiązkom, które również

zmusiły ich do opuszczenia miasta.

Trzy dni po bitwie zniesiono stan wyjątkowy i życie w Orissie zaczęło powoli wracać do normy. Zmiany

rzuciły się jednak w oczy, a jednym z najważniejszych wydarzeń było pasowanie Janosza na rycerza. Po

ceremonii stwierdził z powagą, że jego tytuł nie jest dziedziczny.

- Na pewno obawiają się co też mogłoby na nich sprowadzić dziecko takiego mieszańca. Jednak cieszy

mnie ten zaszczyt, ponieważ wszyscy wiemy, że koniec świata nadejdzie wraz z moją śmiercią... lub

z mym

przeobrażeniem. - Roześmiał się gromko.

Ku radości wszystkich, pęta magów, które od jakiegoś czasu krępowały miasto, zostały rozerwane.

Popleczników Cassiniego przestano widywać publicznie. Szczerze mówiąc, żaden z magów nie miał śmiałości paradować po ulicach miasta z taką pychą i zarozumiałstwem jak uprzednio. Jeneander, Prevotant

i im podobni starali się za wszelką cenę zrozumieć zasady nowego porządku i znaleźć sposoby, dzięki

którym mogliby odzyskać utraconą kontrolę nad Orissą.

Gamelan powrócił z odosobnienia i przemawiał teraz w imieniu magów. W tym podniosłym dla nas wszystkich momencie zajmował miejsce na ławie tuż obok Ecco. Staliśmy słuchając uważnie jego słów. Za

naszymi plecami znajdowały się rzesze przyjaciół, poczynawszy od Rali przez Malarena aż do połowy mieszkańców Jałowej Skały.

- Decyzją Rady - kontynuował Ecco - po dogłębnym rozważeniu problemu i po konsultacji z odpowiednimi

siłami duchowymi ogłaszamy Wielkie Odkrycie - podróż, która ma na celu zjednoczenie mieszkańców tego

miasta z nieznanymi istotami zamieszkującymi ziemie znane powszechnie pod nazwą Odległe Królestwa.

171

Kierujemy prośbę ku wszystkim mieszkańcom Orissy oraz krain znajdujących się pod naszą protekcją, aby

dostarczali szlachetnemu Almarykowi Antero oraz rycerzowi Szaremu Płaszczowi wszystkiego, co będzie

im niezbędne, aby z powodzeniem wypełnić to zaszczytne zadanie. Proklamujemy wyprawę pokoju, która

będzie ogromnym krokiem w nową, złotą erę naszego miasta.

- Szlachetny Antero... kapitanie Szary Płaszczu, jedźcie. Odszukajcie Odległe Królestwa.

Ostatnia Podróż

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Miasto duchów

Wyruszyło nas tylko dwudziestu, lecz wszyscy byliśmy twardzi, nieugięci, zaprawieni w bojach i młodzi.

Przyświecał nam jeden wspólny cel: Odległe Królestwa; kierowaliśmy się jedną zasadą: nie robić tego, co

oczywiste. Dobrze, że przygotowaliśmy się do tej ekspedycji jak do wojennej wyprawy, ponieważ od czasu

gdy opuściliśmy Orissę - tuż po zimowej burzy - poprzez wylądowanie na Wybrzeżu Pieprzowym, aż po

podróż do źródeł rzeki, nic nie odbywało się spokojnie ani normalnie.

Kiedy u ujścia orissańskiej rzeki potajemnie weszliśmy na pokład jednego z moich nowo wybudowanych,

szybkich statków handlowych towarzyszyło nam uczucie, że gromadzi się wokół nas jakaś osobliwa aura,

niczym mgliste nici oplatające jesienny dzień. Pod wprawnym okiem kapitana L'ura mknęliśmy po falach

Wąskiego Morza, zamierzając wylądować kilka mil od krainy Nabrzeżnych Ludzi. Wraz z Janoszem

postanowiliśmy odwiedzić Czarnego Rekina, poinformować go o naszej obecności na jego ziemi,

zgromadzić niezbędne zapasy, a przy okazji poprosić, żeby ani on, ani jego ludzie nie rozgłaszali wieści o

naszej wyprawie. Gdy opróżniliśmy ładownie składając ekwipunek na piaszczystym brzegu, L'ur odpłynął

pośpiesznie na pełne morze, by nie zdradzić naszego przybycia. Na każdego z nas przypadały dwa osły,

zaczarowane w ten sposób, by nie wydawały z siebie najmniejszego dźwięku. Załadowaliśmy na nie broń,

suszoną żywność, bukłaki ze słodką wodą i hojne dary przeznaczone dla mieszkańców Odległych Królestw.

Juczne zwierzęta traktowaliśmy jak drogocenne skarby; zabraliśmy ze sobą dwóch poganiaczy o nienagannej

reputacji, znanych z wnikliwej wiedzy i oddania swym podopiecznym.

Pozostawiwszy ekwipunek pod czujnym okiem Maeena, ruszyliśmy z Janoszem do wioski Czarnego

Rekina. Na szczęście, zanim dotarliśmy na miejsce, wstał blady świt. Gdyby nie brzask, przeszlibyśmy przez

sam jej środek nie zauważając, że się w niej znajdujemy. Po wiosce i jej mieszkańcach nie pozostało zbyt

wiele śladów. Chaty zostały zrównane z ziemią i spalone, choć nie dostrzeżliśmy śladów przemocy.

Obeszliśmy uważnie wybrzeże i brzegi rzeki, nie znajdując ani jednej z charakterystycznych łodzi, z

wyjątkiem starego, na wpół zatopionego czteroosobowego czółna. Zapytałem Janosza, czy domyśla się, co

się tu wydarzyło. Pokręcił przecząco głową, po czym wszedł do wody i poprosił mnie, abym pomógł mu

wyciągnąć wrak łodzi. Zaskoczony spełniłem prośbę. Janosz wyciął sztyletem kilka drzazg z czółna i

wsadził je do skórzanej sakwy za pasem. W milczeniu wróciliśmy do naszych towarzyszy i

pomaszerowaliśmy ku Odległym Królestwom.

Poruszaliśmy się szybko, a zarazem powoli, co pozornie wydaje się sprzecznością niemożliwą do

pogodzenia. Przed rozpoczęciem ekspedycji spędziliśmy z Janoszem wiele czasu omawiając rozliczne

szczegóły i alternatywy. Dopiero określiwszy wytyczne, zarządziliśmy nabór ludzi. Mimo fiaska drugiej

wyprawy, połowa mieszkańców Orissy wyraziła chęć uczestniczenia w tym karkołomnym przedsięwzięciu.

Wybraliśmy tylko młodych mężczyzn, o dobrej kondycji fizycznej, cierpliwych i obdarzonych poczuciem

humoru. Rali również wyraziła chęć udziału w wyprawie, lecz przekonałem ją, że przynajmniej jeden

członek rodziny Antero powinien pozostać na miejscu i czuwać, by z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny w

Orissie nie zapanowały na powrót stare, złe zwyczaje. Zgodziła się, nie omieszkując wszelako wyrazić

swego niezadowolenia. Przyjęliśmy dwudziestu ochotników o niezwykle zróżnicowanych osobowościach:

dwóch służyło uprzednio w oddziale granicznych zwiadowców, jeden był leśnikiem, dwóch braci, jak

podejrzewałem, trudniło się wcześniej kłusownictwem i tak dalej. W naszych szeregach znalazł się nawet

172

nauczyciel muzyki, który dla rozrywki uwielbiał się wspinać na mury zamków bez lin czy szpikulców. Jako

ostatni do naszej wyprawy dołączył Lione. Jego strażnik przyniósł nam wiadomość. Najwyraźniej człowiek

ten nie poprawił umiejętności współżycia z innymi ludźmi i dlatego przebywał obecnie w ciemnym lochu.

Niewątpliwie miewał swoje humory i nie był przyjemny w obejściu, lecz jego męstwo i hart ducha zasługiwały na uwagę. Sowiecie opłaciłem jego wolność i został dwudziestym członkiem ekspedycji.

Pierwszego dnia cała dwudziestka zebrała się w jednej z moich położonych za miastem posiadłości. Janosz

zakomunikował, że od tej pory mamy zachowywać się tak, jakby wszyscy ludzie zwrócili się przeciwko

nam. Jesteśmy bandą maruderów lub zwyczajnych zbójców i musimy dbać o dobrą formę fizyczną. Podczas

długiej, ponurej zimy Maeen niczym demon w ludzkiej skórze przeganiał nas po pobliskich górach i dolinach, wyciskając z nas siódme poty, aż błagaliśmy o litość i wyrozumiałość. Wtedy kazał nam robić

ćwiczenia indywidualne, wspinać się na drzewa lub skały. Czasami braliśmy udział w grach zespołowych,

których zamierzeniem było rozwinięcie instynktu orientacji w terenie. Zabawa „Zajac i Ogary” może

brzmieć śmiesznie i dziecinnie, dopóki nie zmieni się odpowiednio reguł gry tak, że schwytanego zajaca

wrzuca się go do strumienia poruszającego młyńskie koło - kara niezwykle dotkliwa, jeśli wziąć pod uwagę

chłód zimowych wieczorów. Kiedy padaliśmy z wyczerpania, Maeen kazał nam rozrysowywać mapy i

rozwiązywać przeróżne łamigłówki. Krok po kroku powstawała z nas prężna, zwarta drużyna. W tym czasie

powrócił do mnie koszmar nieznanych jaskiń, lecz byłem tak znużony szkoleniem, że sen nawiedził mnie

jedynie dwukrotnie.

Minąwszy Wybrzeże Pieprzowe doskonaliliśmy się w zbójceckich sztuczkach. Wiele czasu spędzaliśmy w

ukryciu, prowadząc wnikliwą obserwację terenu, zanim zdecydowaliśmy się pokonać następny etap wędrówki. Szczególną uwagę zwracaliśmy na zachowanie jucznych zwierząt i ptaków. Niepokojem napawał

nas zupełny brak leśnej zwierzyny, a radosne trele ptaków słyszeliśmy niezwykle rzadko, co wskazywałoby,

że wybito tutaj wszelkie żywe stworzenia. Albo, myślałem, zwierzęta wiedzione naturalnym instynktem

przetrwania umknęły przed nadciągającą nawałnicą. Wioski, które mijaliśmy w czasie mojego Odkrycia,

również okazały się opuszczone i nie dostrzegliśmy najmniejszego śladu myśliwych czy zwiadowców,

którzy obserwowaliby nas z ukrycia.

Bez większych przeszkód dotarliśmy do źródeł rzeki, choć wszystkim towarzyszyły złe przecucia.

Cieszyliśmy się z jednego - tym razem nie nękały nas drobne zakłęcia, które nie dawały nam spokoju w

trakcie pierwszej wyprawy. Może, zastanawiałem się w duchu, nasi wrogowie wiedzieli, że

poradzilibyśmy

sobie z takimi czarami i woleli zaskoczyć nas w przyszłości jakimś Wielkim Zaklęciem. Kilkakrotnie widzieliśmy Strażników i za każdym razem chowaliśmy się czekając, aż odjadą. Nie znaliśmy ich zamiarów,

więc uważaliśmy, że najmądrzej postąpimy udając niewidzialnych.

Wybieraliśmy najmniej uczęszczane szlaki. Tak więc, jeśli najłatwiejsza trasa prowadziła wzdłuż dna

doliny lub starą, dawno zapomnianą drogą, z której korzystaliśmy podczas pierwszego Odkrycia, tym razem

nawet nie zbliżaliśmy się do owego traktu. Staraliśmy się, oczywiście w miarę możliwości, unikać

odsłoniętych wierzchołków wzgórz. Po pierwsze dlatego, iż były to ulubione miejsca Strażników, po drugie

bylibyśmy widoczni jak na dłoni. Kluczyliśmy niczym uciekający zając, nie wychodząc poza obszar znany

nam z poprzednich wypraw, lecz nigdy nie obierając poprzednio obranego szlaku. Nie traktowaliśmy tej

wyprawy jako sprawdzianu naszej wytrzymałości: zwykle maszerowaliśmy przez dwa obroty klepsydry, a

następnie odpoczywaliśmy przez pół. Wyczerpanie, powtarzał nieustannie Janosz, jest wrogiem równie

śmiertelnym jak przyczajeni przy drodze zbójcy. Podobnie jak wcześniej, przyrządzaliśmy posiłki w

południe, rozpalając osłonięte ogniska z suchego drewna. Często w ogóle rezygnowaliśmy z potraw

gotowanych, zadowolając się odpowiednio przyprawioną, zbożową papką. Dwukrotnie zastawiliśmy sieci i

po obfitych połowach przygotowywaliśmy smaczne potrawy z ryb w kwaśnym sosie z pospolitych w tym

regionie owoców. Mimo zachowywania nadzwyczajnej ostrożności, dotarliśmy do wielkich równin szybciej

niż w czasie mojego Odkrycia, a ponad dwa razy prędzej niż olbrzymia, ekspedycja Janosza. Na otwartym

terenie wzmogliśmy czujność, ponieważ oprócz niewielkich zagajników i pojedynczych zagłębień w ziemi

trudno było znaleźć jakieś odpowiednie schronienie.

Cztery dni drogi od miejsca, które umownie uznałem granicą pomiędzy trawiastymi równinami a pustynią,

napotkaliśmy handlarzy niewolników. Podobnie jak poprzednio, najpierw pojawili się jeźdźcy zajmując

pozycję po bokach naszej grupy. Janosz wstrzymał marsz i wziął mnie na stronę.

- Musimy dokonać wyboru - szepnął. - Albo zaczekamy, aż nas zaatakują, magią lub naturalnymi środkami,

i wtedy pokażemy, na co nas stać... albo uderzymy pierwsi. Osobiście optowałbym za drugim rozwiązaniem.

173

Mam dość tych parszywych koczowników. W przyszłości oni lub ich pobratymcy będą łupić i unieczwiać

karawany i podróżników zmierzających na wschód, stając się istną plagą tego szlaku. Uważam, że powinniśmy dać im nauczkę, żeby już nigdy nie ośmielili się niepokoić Orissan.

Zawahałem się myśląc, że niewątpliwie istnieje jakiś sposób na uniknięcie rozlewu krwi: moglibyśmy

spróbować ich zgubić albo przechytryć. Wtedy przypomniałem sobie z goryczą, jak miło i gościnnie

potraktowali nas podczas pierwszego spotkania. Wspomniałem Deoce i wściekłość, choć skierowana nie

tylko przeciw tym nomadom, zakipiła we mnie podżegając do czynu.

- Rób jak uważasz - rzuciłem i po dzień dzisiejszy nie mogę sobie wybaczyć tej decyzji.

- Doskonale. Unieczwimy te hieny - wycedził. - I to nie tylko siłą naszego oręża. Użyjemy innych, bardziej

przekonujących metod. - Zboczyliśmy z obranej drogi i skierowaliśmy się prosto na zwiad handlarzy,

starając się jednocześnie nie zdradzić naszych zamiarów. Przed zmierzchem popędzili konie do galopu,

znikając w oddali. Widzieliśmy jednak, dokąd zmierzali. W najbliższej oazie czekały na nich główne siły.

- Zaskoczmy ich podczas snu - zaproponował Janosz i kazał nam oddać wszystkie sztylety i noże. Na piasku narysował znak V skierowany w kierunku oazy. Drugi, płytszy znak zamykał otwarty koniec figury,

tak że całość miała teraz wygląd grotu dzidy lub strzały. Poniżej grotu nakreślił duży okrąg, w którym umieścił wszystkie sztylety skierowane ostrzami do środka. Następnie powyciągał strzały z kołczanów i

ułożył je w okręgu w ten sam sposób, tak że małe groty dotykały czubków sztyletów. Z jednego z osłów

zdział pokaźny worek zawierający część przyborów, które zdobył w czasie swoich podróży. W trzy końcówki

grotów leżące na piasku włożył małe, drewniane kliny. Wypowiedział odpowiednie słowa i trzy kliny

zadymiły, po czym zapłonęły żywym ogniem, nie trawiącym jednak drzewca. Wyjął ostrożnie flakonik z

sakwy i odblokował dwie klamerki trzymające pokrywkę. Woń dobywająca się z wnętrza małego naczynia

doleciała aż do nas, znajdujących się dziesięć kroków dalej. Zebrało mi się na wymioty. Płyn w naczynku

cuchnął jak zepsute mięso. Janosz nalał kilka kropel tego świństwa na środek kręgu ze sztyletów, po czym

szybko zamknął butelkę i podszedł do nas. Zdawało się, że wstretny odór nie robi na nim najmniejszego

wrażenia.

Spojrzał na swoje dzieło i zamyślił się przez chwilę.

- Przydałaby się odrobina krwi - odezwał się w zadumie. - Ale nie jednego człowieka. To mogłoby zmylić

czar. A może by tak... oczywiście. Lione, weź no tę miarkę - wręczył miecznikowi małe, złote naczynko,

które wyjął z worka wypełnionego magicznymi przedmiotami - i napelnij ją krwią jednego z osłów.
Nie

upuszczaj więcej krwi niż potrzeba do tej miarki. - Zauważyłem, że ręka Lione drżała, kiedy odbierał naczynko od Janosza, lecz bez słowa posłuchał rozkazu i wkrótce na ostrza sztyletów polały się kropelki

oślej krwi. Janosz stanął za kręgiem i rozpoczął tajemniczy obrzęd. Jak zwykle, używał nieznanych określeń; może były to imiona bogów, a może obcy nam język magii, poprzetykany wyrażeniami, które

mogłem zrozumieć. - Oto... dar... poza życiem ... śmiercią .. robak toczy .. I sam umiera .. dar .. Biały Pokój

.. poza .. Do czasu przybycia szakala. - Małe światełka rozbłyły mocniej .. po czym zgasły.

. - Zakłęcie skończone - zwrócił się do nas Janosz. - Niech każdy z was weźmie swój sztylet, a ludzie,

którzy niosą łuk, i rozdzielą te strzały między siebie. Pod żadnym pozorem, do czasu gdy rzucę kontrzakłęcie, nie używajcie ani strzał, ani sztyletów i, jeśli choć trochę cenicie swe życie, uważajcie żeby się nie

skaleczyć. Poczekamy, aż przygasną ogniska w ich obozowisku, potem ich okrążymy. Jeśli nawet wystawiają warty, obiecuję, że nas nie zobaczą. Zajmiemy pozycje po tej stronie obozu. Każdy łucznik ma

wybrać cel, a następnie, na mój sygnał, zlikwidować wroga. Wtedy zaatakujemy. Nie używajcie innej broni

oprócz tych sztyletów, chyba że zajdzie bezwzględna konieczność. Unieście wroga samym dotknięciem

broni. Wskażę jedną osobę z obozu handlarzy. Ja będę za nią odpowiedzialny. Nie róbcie mu krzywdy, w

przeciwnym razie narazicie się na mój gniew. A teraz posilmy się i nabierzmy sił.

Późną nocą wymknęliśmy się z obozu i podążyliśmy w kierunku oazy. Ponownie wróciło wspomnienie

Deoce i oczy zaszkliły mi się od łez. Zawrzałem bezsilnym gniewem i zmieniłem się w bezszelestny cień.

Nie wiem, czy sprawiła to nasza ostrożność, czy też była to zasługa zakłęcia, lecz dwaj strażnicy istotnie nas

nie dostrzegli. Janosz wskazał jednego Lione, drugiego wziął na siebie. Wartownicy umarli w tym samym

momencie, nie wydawszy żadnego głosu. Droga stała otworem. Nie ujrzelśmy ani jednego namiotu. Mniej

więcej piętnastu koczowników spało smacznie, opierając głowy na siodłach. Jeden z nich chrapał w pewnej

odległości od pozostałych i tego mężczyznę Janosz zarezerwował dla siebie. Łucznicy nałożyli strzały na

ciężki... Janosz machnął ręką. Niewielkie strzały pomknęły w kierunku śpiących nomadów. Z wojennym

wezwanem na ustach ruszyliśmy do ataku. Na wpół zamroczony gorzałką mężczyzna wyrósł nagle przede

174

mną, próbując wyswobodzić się z koców. Dźgnąłem sztyłem zapominając o rozkazie Janosza, żebyśmy

tylko dotykali nieprzyjaciół. Kolejny koczownik wrzasnął z bólu, łapiąc się za głębokie rozcięcie na ramieniu. Przygotowałem się, aby z nim skończyć... kiedy na moich oczach runął bezwładnie na ziemię. Był

martwy ... a w chwilę później jego ciało zaczęło się rozkładać. W mgnieniu oka zaszedł proces, który

powinien był zająć wiele dni lub nawet tygodni - ciało nabrzmiało puchnąc do granic możliwości, pękło,

poczerniało, a następnie zniknęło, aż pozostał po nim jedynie wyschnięty szkielet majaczący na piasku. A

zatem ujrzałem Biały Pokój z zakłęcia Janosza.

Oprzytomniałem i rozejrzałem się szukając kolejnego wroga. Jeden z handlarzy uciekał w ciemności nocy.

Strzała świsnęła mi koło ucha, zaledwie dotykając jego ramienia i odbijając się rykoszetem. Człowiek

wrzasnął przeraźliwie, padł martwy i po chwili stało się z nim to samo co z moim przeciwnikiem.
Ocalał

tylko jeden. Herszt pustynnych zbójów na klęczkach błagał o darowanie życia.

Janosz kazał przywiązać go do pobliskiej palmy. - Mówisz językiem handlowym? - zapytał, a
mężczyzna

przysnął. - Patrz zatem dobrze. Taki los spotyka naszych nieprzyjaciół. Taki... lub jeszcze gorszy.
Ty

dostąpisz łaski przeżycia. Nie dlatego, że nie chciałbym zobaczyć, jak twoje kości lśnią w słońcu.
Chcę,

żebyś przekazał swoim pobratymcom, co dzieje się z tymi, którzy ośmielają się występować przeciw
Orissie.

Ja jako pierwszy podróżuję przez te tereny... ale będą następni. Zapamiętaj dobrze to, co dzisiaj
widziałeś i

trzymaj się z daleka od naszych rodaków. Rozumiesz?

Przerażony mężczyzna zrozumiał bardzo dobrze. Janosz wyjął ze swej sakwy niewielki nożyk i
wetknął go

w piach w odległości trzech stóp od spętanego człowieka. - Zostawiam jednego przywiązanego konia
i jeden

bukłak pełen wody. Jeśli uda ci się dosięgnąć tego noża i uwolnisz się z więzów, odjedziesz wolny...
i

opowiesz o tym, co się tu wydarzyło.

Skinął na nas ręką i opuściliśmy obóz, pozostawiając jednego wierzchowca przy drzewie, a
pozostałe

puszczając wolno. Milczeliśmy, chyba bardziej z przerażenia wywołanego tym co zrobiliśmy, niż w
celu

wywarcia wrażenia na przywódcy koczowników. Niewątpliwie decydując się na tak drastyczne
kroki Janosz

kierował się pewną logiką i rozsądkiem, lecz według mnie to, czego byliśmy świadkami, było
owocem

najczarniejszej magii pod słońcem... a zatem nasze dusze pozostaną splamione okropnościami tej
nocy po

kres dni.

Dopiero tuż przed świtaniem Janosz dopełnił kontr-zaklęcia, które przywróciło normalność sztyletom i

strzałom. Z trudem przełknęliśmy poranny posiłek, po czym w pośpiechu przytroczyliśmy juki do grzbietów

osłów i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie uszliśmy nawet szóstej części mili, kiedy doleciały nas dziwne

odgłosy: kwik konia, a następnie wrzaski człowieka. Ujrzelśmy, jak na oazę spadają olbrzymie skrzydlate

istoty, choć z uwagi na dużą odległość nie mogliśmy stwierdzić z całą pewnością czy były to sępy, orły czy

też pustynne jastrzębie. Rżenie konia i wrzaski koczownika przybrały na sile, po czym ucichły gwałtownie.

Przeszło mi przez myśl, że pustynia jest jedną wielką areną śmierci, bo nigdy wcześniej nie słyszałem, by

jakikolwiek padlinożerca zaatakował zdrowego człowieka czy konia. Janosz zaklął pod nosem. Okazało się,

że ostrzeżenia, jakiego chciał udzielić innym handlarzom niewolników, nie będzie miał kto przekazać.

Przebąkiwał, że to chyba ostatnie słowa rzucanego czaru sprowadziły te stworzenia. Próbował tego zaklęcia

po raz pierwszy w życiu.

Niedługo potem niebo na horyzoncie pociemniało, co oznaczało, że ptaki skończyły posiłek. Początkowo

leciały w naszym kierunku, lecz skręciły w połowie drogi. Próbowałem dostrzec, do jakiego gatunku należą

te monstrualne ptaki, i... zabrakło mi powietrza w płucach. Pozostali również krzyknęli z przerażenia.

Padlinożercze potwory znajdowały się w dość dużej odległości, lecz widzieliśmy wyraźnie, że nie są to ptaki

ani nietoperze. Patrzyliśmy na istoty ludzkie... a przynajmniej mające ludzką postać: każdy posiadał tors

przypominający korpus człowieka, nogi oraz ramiona i głowę. Nieproporcjonalnie małe skrzydła wyrastające

z pleców zmuszały do zastanowienia się, czy stworzenia te nie utrzymywały się w powietrzu za sprawą

magii. Maeen napiął łuk i posłał ku nim strzałę. Był to dobry strzał, w sam środek stada, więc zmieniły

formację, tak jak to robią gołębie kiedy polują, na nie myśliwi. Strzała Maeena najwidoczniej nie osiągnęła

celu. Jeden z naszych dostrzegł jednak, że coś spadło. Niebawem dotarliśmy do miejsca, gdzie upadł

tajemniczy przedmiot i jeden z ludzi pobiegł, by go przynieść. Była to ludzka głowa. Wziąłem w garść

piasku i posypałem ją, kiedy odchodziliśmy. Nawet handlarz niewolników nie zasługiwał na to, żeby jego

duch błąkał się po tym dzikim pustkowiu.

Wiele dni później dostrzegliśmy znajome kształty krateru, gdzie spędziliśmy krótkie, aczkolwiek

niezapomniane i szczęśliwe dni w czasie mego Odkrycia. Ominęliśmy go szerokim łukiem, trzymając się

175

postanowienia, aby nie powtarzać poprzedniego szlaku. Janosz starał się jak najrzadziej rzucać zaklęcia, aby

drżania magii nie wskazały szlaku naszej wędrówki. Wyraźnie wyczuwaliśmy obecność obserwujących nas

istot... lecz równocześnie żaden z nas nie czuł bezpośredniego zagrożenia. Znaleźliśmy potok wypływający z

magicznego krateru i napełniliśmy wodą skórzane bukłaki.

Janosz rzucił na nas kolejne zaklęcie. Z rosnących nad potokiem wierzb zerwał dwie gałęzie i wykonał z

nich łuk. Wypowiedział rytualne słowa i w samym środku łuku zawirował wiatr. Janosz nakazał wszystkim

po kolei przejść przez ten powietrzny wir. Rechotał patrząc, jak piach wciska nam się w oczy, uszy i

włosy.

Następnie powiedział, by przeprowadzić przez wir zwierzęta. Wyjątkowo im się to nie podobało, zarówno z

uwagi na magię, jaką wyczuwały, jak i na wzniecane przez wiatr kłęby pyłu. Kiedy skończyliśmy, co do nas

należało, wyjaśnił: Ziemia Jałowa, na którą właśnie wkraczaliśmy, została niegdyś przeklęta. To właśnie tu

jesteśmy najbardziej narażeni na wykrycie, a każdy, kto będzie nas teraz poszukiwał używając do tego

czarów, nie zobaczy nic szczególnego oprócz niespodziewanej burzy piaskowej albo pochodu wirujących

trąb powietrznych.

- A gdyby na naszej drodze stanęli Strażnicy? Czy oni również by nas nie dostrzegli? - zapytał Maeen.

- Nie wiem, setniku - odparł Janosz. - Jestem przekonany, że moje zaklęcie oślepi każdy magiczny fantom,

lecz nie mam pojęcia, czy Strażnicy są tylko projekcją, czy też fizycznymi istotami oraz w jaki sposób

postrzegają świat. Jeśli dostrzeżemy któregoś z nich, radziłbym skłonić osły do położenia się, a potem

nakryć je i siebie także naszymi szatami. Potem należy już tylko udawać, że jest się piaszczystą wydumą.

Kolejne pytanie padło ze strony Hebrusa, nauczyciela muzyki:

- Kapitanie Szary Płaszczu, czy nadal nie wiesz, kto albo co nas poszukuje? Miałem nadzieję, że do tego

czasu dostrzeżesz jakieś wskazówki, tak jak ja potrafię rozpoznać ucznia po sposobie, w jaki trąca struny

lutni.

Janosz pokręcił głową.

- Wciąż nie wiem. Może to jedna osoba, może jest ich wiele. Oczywiście archonci z Likantu nie pałają ku

nam zbytnim afektem i prawie na pewno wysłali za nami swoich strażników. Nissou Symeona niewątpliwie

stać na wysłanie naszym tropem najlepszych magów, może nawet kogoś z Orissy? Nie zapominajcie, że nie

wszyscy nasi rodacy zaakceptowali przemianę, jaka dokonała się w naszym mieście. - Wzruszył ramionami.

- A może to sami bogowie? Albo czarodzieje z Odległych Królestw?

- Myślałem że Odległe Królestwa to święte miejsce - odezwał się Lione. - No może nie święte, ale, jakby tu

rzec, ludzie tam jak magowie, co mi o nich opowiadali, jak byłem mały. To dobre ludziska. Chcą ino naprawić świat. Pomagają biedakom.

- Właśnie tak rodzi się legenda - odpowiedział Janosz. Nie ma powodu, żeby w to wątpić, ale, pomyśl tylko:

gdybyś miał taką potęgę jak władcy Odległych Królestw, czy nie rozsyłałbyś licznych podjazdów po całym

terenie, żeby upewnić się, czy nie zbliża się ktoś niepowołany? - Na twarzy Lione'a, która jeszcze przed

chwilą przypominała twarz dziecka, któremu ktoś mówi, że w ogrodzie nie mieszkają duszki, odmalowało

się uczucie ulgi.

Oślaniani przez nowe zakłęcie wkroczyliśmy na przeklęte ziemie. Na razie nie napotykalismy żadnych

przeciwności, z wyjątkiem tych natury czysto fizycznej. Bestie zamieszkujące ogromne zagłębienia w ziemi

nie stanowiły dla nas zagrożenia, ponieważ, świadomi ich obecności, skrupulatnie omijaliśmy wielkie jamy.

Radowało mnie szybkie tempo marszu. Raz zdałem sobie sprawę, że robię się zazdrosny o powodzenie

Janosza. Mój przyjaciel zachowywał się, jakby był jedynym dowódcą ekspedycji. Stłumiłem jednak te

uczucia, składając je na karb zmęczenia długotrwałą wędrówką. Skoro wolał iść na czele, miał do tego

przynajmniej takie samo prawo jak ja, a może nawet większe, jako że mój tytuł przypadł mi w udziale na

drodze dziedziczenia, a on zasłużył na swój ciężką pracą. Tłumaczyłem sobie w głębi ducha, że gdy umysł

jest zmęczony, często pada ofiarą czarnych myśli.

Zamierzaliśmy zatrzymać się w Dolinie i pozostać tam kilka dni, by odzyskać nadwątlone siły. Wyglądało

jednak na to, że albo nasze mapy się myliły, albo my błędnie określiliśmy swoje położenie. Dotarliśmy do

obszaru niskich, pofałdowanych wzgórz, skąd powinniśmy wyraźnie zobaczyć Dolinę, lecz nic takiego nie

zauważyliśmy. Ustaliliśmy nasze położenie za pomocą gwiazd na nocnym niebie i słońca nazajutrz, a nawet

ponownie policzyliśmy węzły na sznurku, dzięki którym widzieliśmy, jaką odległość przebywamy danego

dnia. Według wstępnych obliczeń powinniśmy znajdować się o kilkanaście rzutów włóczni od naszych

przyjaciół. Niestety, rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Przejrzałem dokładnie mapę, którą naszkicowałem podczas Odkrycia i dzięki temu zweryfikowałem nasze obecne położenie. Razem z

176

Janoszem stwierdziliśmy zgodnie, że musimy znajdować się na południe od Doliny, więc zaryzykowaliśmy

dwudniowy, forsowny marsz na północ; nie natknąwszy się na ślady bytności ludzi, powróciliśmy na szlak.

Nasi ludzie sprawiali wrażenie zawiedzionych, jako że Maeen i Lione dużo im opowiadali o Dolinie i

tamtejszych niezwykle chętnych kobietach.

Niebawem jednak całe rozczarowanie rozwiało się jak mgła, ustępując miejsca euforii, kiedy idący

w straży

przedniej wojownik ujrzał wielkie pasmo górskie. Pięść Bogów. Nawet ja poczułem podniecenie na widok

przełęcz oddzielającej „kciuk” i „palec wskazujący”. Ostrożność wzięła jednak górę nad emocjami.

Znajdowaliśmy się niebezpiecznym terytorium, a niedaleko, przed nami, leżało miasto Wahumwa.

Posuwaliśmy się niezwykle wolno pomimo równinnego terenu. Ostrożność nakazywała nam unikanie wszelkich ruin w obawie przed ludźmi i zaklęciami.

Zarządziłem postój, podczas którego zwołaliśmy naradę wojenną. Janosz ocenił, że znajdujemy się pół dnia

drogi od Wahumwa. Do tej pory nie napotkaliśmy najmniejszego śladu zwiadowców czy mieszkańców tego

pięknego kraju. Problem polegał na tym, że zdradzieckie miasto rozłożyło się na jedynej drodze prowadzącej

do przełęcz. Po namyśle postanowiliśmy, że podejmiemy jak najbliżej jeszcze za dnia, po czym przyczaimy się. Czekając, będziemy prowadzić wnikliwą obserwację, a następnie, korzystając z ciemności,

okrążymy mury miasta i pomaszerujemy prosto ku przełęcz. Gdyby przejście okazało się pilnie strzeżone,

ustaliliśmy, że podzielimy się na cztery grupy, a każdej z nich musi wystarczyć noc na pokonanie najbardziej

niebezpiecznego odcinka drogi. Janosz dodał, że powinienem pójść z pierwszą grupą i rozbić obozowisko w

wysokich partiach gór. Każdej następnej nocy on będzie przeprowadzał pozostałych ludzi. Wspomniałem

swoją zazdrość na Jałowej Ziemi i ze wstydem pomyślałem, że pozwoliłem sobie na nią wobec człowieka,

który teraz, narażając własne życie, starał się zapewnić bezpieczeństwo innym.

Wreszcie dotarliśmy do stóp wielkiego łańcucha górskiego. Janosz zakomunikował wszystkim, że za nim

leży mroczne miasto. W dalszą drogę wyruszył tylko z setnikiem Maeenem, który miał powrócić, gdy przejście okaże się bezpieczne. Przesypał się cały piasek w podręcznej klepsydrze, a jego jeszcze nie było.

Nie mogłem dłużej czekać. Wyciągnąłem miecz i ruszyłem w kierunku, w którym zniknęli, wykorzystując

naturalne kryjówki terenu. Może zostali schwytani? Wynurzyłem się z gęstych zarośli i ujrzałem ich. Stali na

krawędzi urwiska, nie próbując się nawet kryć przed potencjalnym obserwatorem na równinie albo w

mieście. Obawiałem się, że rzucono na nich jakieś zaklęcie. Podbiegłem nie mając pewności, co bym zrobił,

gdyby moje przypuszczenia się sprawdziły i przyjaciele by mnie zaatakowali. Dopiero gdy się zbliżyłem

zrozumiałem, co ich tak sparaliżowało.

- To - wyjąkałem z niedowierzaniem - to jest Wahumwa?

Obydwaj odwrócili się błyskawicznie, zaskoczeni moją obecnością. Ręka Janosza niczym wąż pomknęła ku

rękojeści miecza, lecz mój widok sprawił mu wyraźną ulgę.

- Tak - wyksztusił.

- A przynajmniej kiedyś było - wtrącił Maeen.

Miasto w dole leżało w gruzach, a niebotyczne mury obronne były popękane i zburzone w wielu miejscach.

Roślinność pokryła zrujnowane domy i drogi wjazdowe do miasta. Niegdyś w obrębie tych murów wznosiły

się imponujące budowle, dorównujące wielkością kolosom Likantu. Czas i pogoda wypaliły na nich piętno,

a pozbawione dachów budynki wyciągały ku niebiosom kamienne ramiona.

Jąkając się zacząłem zadawać jakieś pytanie, lecz Janosz pokręcił posępnie głową.

- Rzucono tu potężne zaklęcie - wyszeptał. - Wielkie Zaklęcie. Zwołaj ludzi. Ja... ja muszę wejść do

tego

miasta.

Setnik Maeen odzyskał panowanie nad sobą i pobiegł po pozostałych członków wyprawy. Oni również

osłupieli na widok ruin, lecz Janosz przywołał ich do porządku, rozkazując uformować szereg i maszerować

trzymając broń w pogotowiu. Zmierzchało już, kiedy dotarliśmy do bram przypominających o dawnej świetności miasta. Wrota, wzmocnione żelaznymi sztabami, zwieszały się teraz z zardzewiałych zawiasów.

Trawa, niskie krzaki, a nawet drzewa wyrastały spomiędzy kamieni, jakimi były wybrukowane ulice. Po

strzelistych budowlach i wzbudzających podziw iglicach pozostały jedynie ruiny. Janosz kroczył na przedzie, sprawiając wrażenie, że wie dokąd zmierza. Zeszliśmy z głównego traktu i ruszyliśmy ukrytą w

trawie aleją w stronę ruin olbrzymiej budowli na szczycie wzgórza. Maeen pobrał - on wiedział, a ja się

domyślałem, dokąd prowadzi nas Janosz, lecz bez mrugnięcia szedł za swoim dowódcą, ściskając mocno

miecz w garści. Weszliśmy do wielkiej sali i z gardeł naszych wydobył się okrzyk przerażenia. Widziałem,

czego się spodziewać, lecz mimo to, widok wywarł na mnie potworne wrażenie. Kamienną posadzkę

177

gigantycznej sali pokrywały ludzkie szczątki. Tysiące kości bieleło pośród gnijących mebli. Czaszki były

popękane, a kości porozrzucone bezładnie, tak że nie można było odróżnić jednego całego szkieletu.

- Sępy i dzikie psy pojawiły się tutaj... po wszystkim - szepnął Janosz. Podniósł leżącą obok kość udową i

potrząsnął nią przed moimi oczami. Sprawiała wrażenie wprawnie ogryzionej, a pęknięcia i rozszczepy

świadczyły, że szpik z jej wnętrza został dokładnie wyspany. - Ale tego nie zrobiły dzikie psy. - Odrzucił

kość, która zaklekotała sucho na kamiennej posadzce. - Tak jak powiedziałem na wzgórzu, rzucono tu Wielkie Zakłęcie, zanim jeszcze nasza ekspedycja dotarła do miasta.

- Wszyscy, których spotkaliśmy, z którymi tutaj żyliśmy - powiedział szorstkim głosem Maeen - byli... czym?

Janosz wzruszył ramionami.

- Duchami? Demonami? Może nie aż tak źle; może tylko dekoracją, jaką wielki czarownik dodał do zakłęcia, podobnie jak artysta nanosi detale na swoje płótno, by przekonać cię, że on naprawdę gościł na

uczcie bogów.

- Ale... ale przecież masz dar magiczny - wyjąkał Maeen. - Jak to możliwe, że ciebie również wyprowadzili

w pole? - Janosz nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Ja również nigdy wcześniej nie słyszałem o

tak silnej magii. W porównaniu z tym zburzenie likantyjskiego muru wydaje się nic nie znaczącą zabawą. Po

pierwsze sprawili, by ponad tysiąc pobitych wojowników ujrzało miasto w miejscu ruin... zapełnili ruiny

ludźmi i zwierzętami... a każda z tych iluzji chodziła, mówiła, jadła, piła, a nawet uprawiała miłość cielesną... aby wreszcie w krwawą noc zabić i pożreć swoje ofiary. W dodatku ta uczta śmierci nie była

bynajmniej iluzją. Wydawało się to niemożliwe, a jednak było prawdą.

Wzdrygnąłem się.

- Nie pozostanę w tym mieście ani chwili dłużej, Janoszu. Natychmiast się stąd wynosimy. Niech nikt niczego nie dotyka, niczego nie zabiera: żadnych kości, gałęzi, kamieni... niczego, co należy do tego przeklętego miejsca.

Nie usłyszałem głosu sprzeciwu. Próbując opanować drżenie nóg i chęć panicznej ucieczki,

ruszyliśmy

dziarsko przez miasto zmierzając do bramy, skąd szlak wspinał się ku przełęczy. Nikt z nas nie ośmielił się

spojrzeć za siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Niespokojne Ziemie

Przełęcz rozdzielająca Pięć Bogów okazała się tak gładka, jak wydawała się z odległości wielu stajań.

Wznosiła się okrążając kłykieć palca wskazującego, by zatopić się w sercu gór. Podobnie jak poprzednio,

odwrotnie niż na pierwszej wizji, śniegowe czapy nie pokrywały wierzchołka pięści. Pamiętając o

wcześniejszych wypadach Janosza, kiedy to druga ekspedycja rozbiła zimowy obóz poniżej Wahumwa, , jak

daleko zaszedł wtedy, zanim śnieżne burze zmusiły go do odwrotu.

- Nie udało mi się dotrzeć aż do tego miejsca - odparł. - Lecz nie z powodu śniegu. Powodem były nawałnice i burze śnieżne. Zimą silne wichry omiatają te szczyty i śnieg nie leży zbyt długo, nawet w skalnych rozpadlinach.

Dalsza wędrówka przebiegała bez przeszkód i w miarę upływu czasu nabrałem przekonania, że juczne osły,

a nawet konie, z łatwością pokonają ów szlak wioząc towary z Orissy do Odległych Królestw. Na ziemi

leżało sporo odłamków skalnych i głazów, które najwidoczniej spadły z większej wysokości, lecz, z

łatwością omijaliśmy wszelkie przeszkody, bo przełęcz była szeroka na dwa rzuty oszczepem. Dostrzegłem

niewielki wodospad, poniżej którego, w miejscu gdzie woda rozbryzgiwała się tworząc ulotną mgiełkę, ktoś

poukładał kamienie tworząc niewielkie jeziorko. Podróżowano tym szlakiem już wcześniej... a w przyszłości

również pociągną tędy karawany.

178

Już dawno straciliśmy z oczu dolinę i przeklęte miasto. Szlak zwęził się znacznie i zacząłem się martwić,

czy aby nie podążamy jakąś ślepą uliczką. Po jakimś czasie odetchnąłem z ulgą, widząc że przełęcz

ponownie się rozszerza.

Janosz kroczył dziarsko na przedzie kolumny, ja trzymałem się tuż za nim. W pewnej odległości podążali

pozostali członkowie wyprawy i juczne zwierzęta. Odwróciłem się błyskawicznie, słysząc nad głową

charakterystyczny chrzęst żwiru. Jeden z łuczników nałożył strzałę na cięciwę i również przeczesywał

wzrokiem wznoszące się ponad nami zbocza. Nie ujrzeliśmy jednak nic prócz nagich, szarych skał. Zapewne

nie było powodu do niepokoju, lecz od tej pory wzmogliśmy czujność. W miarę jak przełęcz się rozszerzała,

zbocza stawały się coraz bardziej strome i po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że oddychanie przychodzi

mi z coraz większym trudem. Szlak wznosił się ku wierzchołkowi góry i postanowiłem zarządzić postój

obok dwóch wielkich bloków skalnych, które leżały pośrodku kamienistego szlaku. Wizja odpoczynku

dodała nam sił, lecz Maeen powtarzał nieustannie, że pośpiech prowadzi jedynie do „wypadków i pułapek,

których należy unikać”. Wkrótce sprawdziły się jego słowa. Dysząc ciężko, całą uwagę skupiłem na

kolejnym kroku, kiedy niespodziewanie rozległ się ostrzegawczy okrzyk. Ujrzałem, jak jeden z dwóch

wielkich głazów na wierzchołku toczy się w naszym kierunku. Nabierał prędkości, odbijając się od zboczy

przełęczy, lecz ostrzeżenie padło w samą porę; udało nam się usunąć zwierzęta z drogi i samym wziąć nogi

za pas. Głaz z głośnym dudnieniem przetoczył się obok i zniknął w dali. Podbiegłem do Janosza.

- Głazy - odezwał się stwierdzając coś raczej oczywistego - nie poruszają się same z siebie.

Kazał łucznikom naciągnąć cięciwy i czterech ustawił za moimi plecami, by przeczesywali wzrokiem każdą

piędź ziemi. Wezwał Lione i kazał mu zająć miejsce tuż za sobą. Ruszyliśmy ku wierzchołkowi w

nadziei,

że oczom naszym ukaże się otwarta przestrzeń i wielkie miasta Odległych Królestw. Wbrew oczekiwaniom

zobaczyliśmy jedynie góry i wznoszącą się przełęcz, która znikła w oddali.

Ostrożnie sprawdziliśmy miejsce, gdzie od wielu wieków leżał ów gład. Nie dostrzeżliśmy jednak żadnych

śladów, które wskazywałyby na użycie dźwigni czy żelaznego łomu. Czysty przypadek albo, jak zacząłem

podejrzewać, magia. Możliwe, że nasi niewidzialni wrogowie zlokalizowali wyprawę. Żaden z nas, a

szczególnie Janosz, nie wyczuwał najmniejszego drgnienia magii. Ruszyliśmy ostrożnie wąwozem. Daleko

przed nami przełęcz ponownie się zwężała, a następnie ściany odsuwały się od siebie, a droga wznosiła ku

pozornemu szczytowi. Znajdowaliśmy się dokładnie pośrodku wąskiego przejścia, kiedy zagrzmiały niebiosy. Myślałem, że to burza i spojrzałem na zachmurzone niebo. Wtedy zrozumiałem przyczynę hałasu.

Lawina. Rzeka kamieni i gładów pędziła ku nam z prędkością galopującego wierzchowca. Mój krzyk zgubił

się pośród wrzasku moich towarzyszy. Pobieglem jak wichur, zdając sobie sprawę, że muszę zdążyć za

wszelką cenę. Muszę dobiec do miejsca, gdzie przełęcz ponownie się rozszerza. Maeen, który osłaniał tyły,

rozpaczliwym rzutem ciała umknął przed lawiną, która przetoczyła się przez przełęcz krusząc zwierzęta

skały w demonicznej kakofonii.

Wkrótce wszystko ustało, a echo grzmotu zamarło wysoko w górach. Kurz opadł powoli. Zawstydzony

chwila słabości, oprzytomniałem i szybko policzyłem ludzi. Niechaj będzie pochwalony Te-Date!

Postanowiłem złożyć ofiarę, jak tylko znajdziemy się po drugiej stronie tych gór, bo na szczęście nikt

nie

ucierpiał. Ktoś spóźnił się nieco ze spuszczeniem lawiny. Nikt z nas nie chciał wierzyć, że te dwa następujące tuż po sobie wypadki nie miały ze sobą nic wspólnego. Teraz przynajmniej byliśmy bezpieczni,

bo skalne ściany, łagodnie wznoszące się po obu stronach wąwozu, pozbawione były zupełnie głazów czy

nawet kamieni. Właśnie miałem zapytać Janosza o dalszą drogę, kiedy usłyszeliśmy ryk, jakby to same góry

krzyczały.

Wtedy po raz pierwszy w życiu ujrzałem olbrzyma. Często olbrzymami nazywamy wysokich ludzi, których

wysokość przekracza przyjęte normy. Ten jednak trzykrotnie przewyższał wzrostem wysokiego Orissanina,

a szerokość barków, potężna klatka piersiowa i ramiona grube jak konary drzewa świadczyły o

nieprzeciętnej sile tego osobnika. Na pierwszy rzut oka można go było pomylić z ogromną małpą, bo całe

ciało miał pokryte gęstym futrem. Stał oddalony o niecały rzut włócznią. Gdy przygotowaliśmy broń,

olbrzym dał nura za skalny występ. Krzyknął coś ponownie w nieznanym języku, który przypominał wycie

górskiego wiatru. My również skryliśmy się gdzie popadło. Dopiero wtedy odzyskałem wewnętrzny spokój i

na zimno zacząłem się zastanawiać nad sytuacją.

- Myślę - odezwałem się cicho - że każe nam zawracać, wynosić się z „jego” gór.

Janosz skinął głową i wydał rozkazy.

- Jest ich więcej - mówił do Maeena. - Sądzę, że siedzą przyczajeni wyżej, osłaniając tego tu.

179

Maeen przytaknął, a Janosz nakreślił pokrótce plan działania. Milczałem słuchając jednym uchem, bo właśnie zastanawiałem się nad moją pierwszą myślą. Janosz wyznaczył trzech ludzi: siebie, Maeena i

świątecznego wspinacza, nauczyciela muzyki, Hebrusa, do wykonania specjalnego zadania.

- Jesteśmy gotowi, szlachetny Antero - powiedział, stając się nagle niezwykle oficjalny, co zdarzało mu się

dość często w przypadku kłopotów, a także gdy słyszeli nasi żołnierze. - Obejmiesz dowodzenie nad pozostałymi ludźmi. Po zajęciu pozycji damy sygnał i będziemy czekać na odpowiedź.

- Janoszu... może pomyślisz, że oszalałem.. - zacząłem. - Odejźmy na chwilę na stronę.

Oddaliliśmy się nieco na bok i przedstawiłem mu całkiem inną strategię działania. Zmarszczył brwi.

- Nie jestem zachwycony tym pomysłem - odparł po chwili namysłu. - Jeśli was zaatakują... wszystko, co do

tej pory osiągnęliśmy, trafi szlag.

- Wcale nie - zaprzeczyłem żarliwie. - Jeśli zdarzy się najgorsze, ty obejmiesz dowodzenie nad ekspedycją i

będiesz mógł podejmować konieczne decyzje. Nikt ich nie zakwestionuje. Takie rozkazy wydałem Rali,

moim braciom i Ecco. Nie tylko możesz mówić w moim imieniu, lecz również w imieniu mieszkańców

naszego miasta.

Janosz odwrócił wzrok. Kiedy się odezwał, w jego głosie było zdenerwowanie.

- Ty... wyróżniłeś mnie i moją rodzinę. Ale... - Spojrzał mi prosto w oczy. - Co się stanie, jeśli ten przerośnięty gibbon zrobi ci krzywdę? Jesteśmy o krok od spełnienia naszych marzeń.

- Nie martwię się tym zbytnio - odpowiedziałem stanowczo. - Mam dwa powody. Po pierwsze to stworzenie

ostrzegło nas, a nie próbowało unicestwić. Zastanawiam się również, czy ten głaz, a potem lawina nie były

też jedynie ostrzeżeniami? Po drugie nie przeraża mnie ktoś, kto chodzi na co dzień bez biodrowej przepaski.

Istniał jeszcze trzeci powód, o którym wtedy nie wspomniałem. Nadal martwiła mnie śmierć nomadów. Nie

uważałem, żeby moją życiową misją było przetarcie szlaków do Odległych Królestw i niszczenie jałowej

ziemi, po której szliśmy.

- Wciąż uważam, że postępujesz nierozsądnie - upierał się Janosz.

- W porządku - odparłem. - Może rzeczywiście tak jest. Chcę jedynie, byś ty postąpił według swego planu, z

tą różnicą, że masz czekać na mój sygnał albo na atak tego dryblasa. Jest niesłychanie ważne, by wasza

trójka oddaliła się niepostrzeżenie.

- Z tym nie będzie problemu - stwierdził Janosz. - Ale muszę cię ostrzec, przyjacielu, że jeśli zginiesz w tak

absurdalny sposób, to ci nawymyślę.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i wprowadziliśmy nasz plan w życie. Janosz, Maeen i Hebrus przeszli na

tyły, po czym zniknęli w wąskiej rozpadlinie, podczas gdy pozostali biegali dokoła, by skupić na sobie

uwagę naszych przeciwników. Czekaliśmy przez jakiś czas, lecz olbrzym nie wykonał żadnego ruchu.

Jedynie krzykiem dawał nam do zrozumienia, byśmy się wycofali. Poza tym sprawiał wrażenie, że może tam

czekać, aż zima wykurzy nas z naszej kryjówki - kolejna wskazówka, że stwór nie miał wobec nas złych

zamiarów. Przeglądałem juki starając się znaleźć coś, co mogło wywrzeć wrażenie na olbrzymie, bo przecież nigdy nie miałem do czynienia z tą rasą.

Wreszcie jeden z naszych ludzi, obdarzony sokolim wzrokiem, którego wysłaliśmy, by obserwował

olbrzyma, dał znak, że kolos poruszył się... lekko. Zdjąłem pelerynę i pas z mieczem, zakasałem rękawy

koszuli. Zadrzałem z zimna, gdy górski wiatr liznął nie osłonięte części mego ciała. Ruszyłem powoli

naprzód, trzymając w wyciągniętych rękach skórzaną sakwę wypełnioną wybranymi przedmiotami. Olbrzym

spojrzał uważniej i huknął na mnie. Nie odpowiedziałem, kontynuując powolny marsz. Sierść na jego grubym karku zjeżyła się, rozcapierzył palce i pokazał zęby niczym kocur. W miarę jak się zbliżałem, olbrzym wydawał mi się coraz paskudniejszy. Gęste futro było poczochrane, zapewne od ciągłego drapania

się; wyobraziłem sobie ile musi mieć pcheł. Był wyjątkowo niekształtny, szczególnie z powodu olbrzymich

dłoni i wielkich stóp. Ogromna głowa była nieco wydłużona, a żółte kły połyskiwały nad dolną wargą.

Wyprostował się, wymachując nad głową maczugą wyglądającą jak pień małego drzewa, który odarto z kory

i poodrywano gałęzie. Zatrzymałem się. Olbrzym pocił się obficie, jakbyśmy znajdowali się spalonej słońcem pustyni, a nie w wysokich partiach gór. Cuchnął tak strasznie, że zebrało mi się na wymioty.

Zwalczyłem jednak słabość i nie zwracałem uwagi na protesty mego cywilizowanego nosa, jako że kupiec

dyktujący społeczne zwyczaje swoim klientom jest nie tylko , ale i nierozważny. Postawiłem worek na ziemi

i rozwiązałem go, wyjmując ostrożnie poszczególne podarki. Poruszałem się wolno, by nie spłoszyć mego

klienta. Olbrzym odprężył się wyraźnie, a ja usiadłem ze skrzyżowanymi nogami, jak zwyczajny handlarz na

180

miejskim bazarze i zastygłem w oczekiwaniu. Troglodyta nie wykonał najmniejszego ruchu. Była naprawdę

prymitywny.

Wybrałem jeden z przedmiotów, postawiłem go na płaskiej skale i pociągnąłem za sznurek wystający ze

środką. Mechaniczna pokrywka obróciła się, rozbłyskując tęczowymi kolorami na tle szarej skały.

Wyłowiłem uchem lekki pomruk zainteresowania. Następnie wyjąłem złoty naszyjnik i krzywiąc się nieco

na wspomnienie jego wartości i tego, że miał zawisnąć na szyi jakiejś księżniczki, oplotłem dookoła

nadgarstka. Łagodnym ruchem rzuciłem go w stronę mego handlowego partnera, który cofnął się zdumiony.

Naszyjnik wyraźnie go zaintrygował. Podpełził, podniósł złoty łańcuch i przyglądając się uważnie zamruczał,

po czym włożył go na swój nadgarstek. Zarechotał z aprobatą i rozejrzał się dokoła. Legendy nie myliły się;

olbrzymi ludzie byli naprawdę tak tępi, jak bajały o tym nianie; upłynęło wiele czasu, zanim kolos zdał sobie

sprawę, że w jego najbliższym otoczeniu nie znajduje się zbyt wiele przedmiotów nadających się na

handlową wymianę. Zastanawiał się nad poszczególnymi skałami, a nawet porostem wystającym spod

dużego kamienia. W końcu podjął decyzję i w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się naszyjnik, położył

swoją maczugę. Teraz umocniłem się w przekonaniu, że nie zagraża nam bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Pokręciłem głową na znak, że nie chcę maczugi, dając mu do zrozumienia, że naszyjnik jest podarunkiem.

Postąpił krok do przodu. Dostrzegłem, że zmarszczył nos na znak niezadowolenia; uśmiechnąłem się pod

nosem przypominając sobie, jak ojciec opowiadał mi, że kiedyś handlował z ludźmi tak prymitywnymi, że

zmieniali skórzane stroje dopiero gdy przegniły, a zapach czystej skóry przyprawiał ich o mdłości.

Zaprezentowałem pozostałe przedmioty. Niektóre z nich odrzucił ze wstrętem. Szczególnie nie spodobały

mu się wonne olejki za to, ogromne wrażenie wywarła na nim mała srebrna figurka. Roześmiał się i ujął

delikatnie rzeźbę ogromnymi paluchami. Zaakceptował również złote łańcuszki, lecz z największym

uznaniem spotkała się szkatułka ze słodyczami, którą wyłożyłem dopiero po namyśle. Zjadł całą zawartość

rozglądając się na wszystkie strony, niczym dziecko z poczuciem winy, że nie podzieliło się ze swymi

towarzyszami.

Kiedy olbrzym dokonał selekcji wszystkich podarków, wstałem i wskazałem na siebie, na moich współtowarzyszy, a następnie na ciągnący się dalej szlak. Ruchem palców pokazałem, jak idziemy... i poprosiłem o pozwolenie kontynuowania naszej wędrówki. Chrząknął, po czym zaryczał głośno. Z wysoka

odpowiedziały mu podobne głosy. Olbrzym stanął w całej okazałości, pokazał wszystkie żółte kły w przyjaznym uśmiechu i dał do zrozumienia, że droga stoi przed nami otworem. Został jednak jeszcze jeden

problem. Krzyknąłem. Olbrzym zatrwożył się nieco, po czym spojrzał prawdziwie przerażony, gdy Janosz, a

za nim Maeen i Hebrus wyłonili się nad miejscem, w którym staliśmy, trzymając w dłoniach napięte łuki.

Zanim olbrzym zdążył warknąć na znak, że zdradziliśmy, cała trójka zgodnie z moimi zaleceniami skierowała łuki w dół, ceremonialnie przełamała strzały i rzuciła je nam pod nogi. Nawet mój mocno ograniczony towarzysz zrozumiał ten gest. Zrozumiał, że mogliśmy go zabić, ale postanowiliśmy tego nie

robić. Złamane strzały symbolizowały również pokojowe intencje naszego przejazdu, teraz i... w przyszłości.

Olbrzym roześmiał się gromko, choć nie bardzo wiedziałem dlaczego, wziął podarunki i odbiegł, ciężko

kołysząc się na boki. Po chwili zniknął w odnodze wąwozu. Łucznicy ześlizgnęli się ze zbocza parowu.,

Janosz wydał kilka rozkazów, uformowaliśmy szyk i ruszyliśmy dalej. Nigdy więcej nie spotkaliśmy ani

olbrzyma, ani jego pobratymców.

Tamtej nocy Janosz podszedł do mnie.

- Nauczyłem się czegoś - zaczął poważnym głosem. - Miecz nie zawsze stanowi najlepszy sposób na

rozwiązanie uporczywego węzła. - Machnąłem ręką. Powodzenie odniesione w przypadku jednej, pokojowo

nastawionej i w dodatku nierozgarniętej istoty nie oznaczał, że możemy zmniejszyć czujność. Zauważyłem

jednak wyraźną zmianę w zachowaniu mego przyjaciela. Sądzę, że ten Janosz, który towarzyszył mi podczas

pierwszego Odkrycia, również wykorzystałby możliwość negocjacji zamiast przelewać niepotrzebnie krew.

Być może myliłem się. W każdym razie pokonaliśmy kolejną przeszkodę bez żadnych strat w ludziach.

Jestem dumny, że umowa pomiędzy olbrzymami a mieszkańcami Orissy dotrwała aż do dnia dzisiejszego.

Karawany przemierzające ten górski szlak pamiętają o podarkach, bo w przeciwnym razie mogłyby być

narażone na lawiny i kamienne blokady. Nikt nigdy nie widział więcej niż jednego olbrzyma na raz i często

zastanawiałem się czy jest to ten sam, którego obdarowałem. Z biegiem czasu skryzalizowały się jego

„prezentowe” upodobania. Teraz czeka jedynie na łakocie. Im słodsze, tym lepiej.

181

PO TRZECH dniach dotarliśmy do centralnych szczytów łańcucha górskiego i od tej pory przełęcz zaczęła

opadać krętym szlakiem. Po kolejnych dwóch dniach wędrówki ujrzeliśmy wreszcie to, co kryło się za

górami. Ku wielkiemu rozczarowaniu zamiast złotych miast, oczom naszym ukazał się widok... górskich

dolin. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się we wszystkich kierunkach. Ogarnęła nas czarna rozpacz. Czy to

możliwe, że uczestniczyliśmy w wyprawie, która będzie się ciągnąć w nieskończoność, aż pomieramy ze

starości? Niechętnie, ale kontynuowaliśmy marsz podążając dalej wzdłuż przełęcz. Wybór innego

szlaku

odkładaliśmy do momentu, gdy wkroczymy na równiny. Na razie jednak nie było o tym mowy, jako że przełęcz zwęziła się i przeszła w wąwóz. Przed nami błysnęło niewielkie źródło, potem następne i jeszcze

następne; niebawem kroczyliśmy brzegiem rosnącego górskiego potoku. Zastanawiałem się, co będzie, kiedy

rwąca rzeka pozre dno kanionu. Znajdowaliśmy się na właściwym szlaku. Weszliśmy na ścieżkę która

wcinając się w zbocze góry utworzyła wysoki na dwadzieścia i szeroki na tyleż samo stóp parów.

Gdzieś tam widniały nisze wyżłobione w skale, by karawany mogły się mijać lub rozbić nocne

obozowisko. Ścieżka wiła się równolegle do potoku. W brzegu wycięto stopnie, by można było napęłnić

wodą skórzane bukłaki. Żaden z nas, nawet Janosz nie zetknął się z ludzkim działaniem na tak wielką skalę

na ziemiach, które nazywaliśmy cywilizowanymi.

Deszcz kroił często, ale skała nad naszymi głowami sprawiała, że szliśmy jak pod dachem. Niemal z żalem

przywitaliśmy dolinę, gdzie straciliśmy ten naturalny dach nad głową. Otaczała nas teraz soczysta zieleń,

która cieszyła oczy, lecz podążaliśmy bez przystanku dalej kamiennym traktem. Zastanawialiśmy się, czy

postępujemy rozsądnie korzystając z tego szlaku, ale nie mieliśmy wyboru, ponieważ zbocza z obu stron

porastały, wielkie drzewa spięte grubymi jak konary lianami. Obozowiska rozbijaliśmy na środku drogi,

odkąd pewnego popołudnia natknęliśmy się na nowe niebezpieczeństwo. Rozkazałem zwiadowcy, by rozejrzał się za miejscem na nocleg. Wkrótce znalazł niewielkie wgłębienie. Był tam staw idealny na orzeźwiająca kąpiel, miejsce na obóz i soczysta trawa dla utrudzonych osłów. Janosz już zarządził rozładunek, kiedy ujrzałem, jak dolina ożyła w jednej chwili. Jakby trawa ruszyła w naszym kierunku.

Liście

na drzewach poruszały się w nieruchomym powietrzu. Pomyślałem, że to magia, lecz gdy zrozumiałem

prawdziwą przyczynę, żołądek wywrócił mi się z obrzydzenia. Pijawki. Nigdy w życiu nie widziałem tak

wielkich. Długie na dwie dłonie, wyczuwając krew pędziły ku nam niczym armia mrówek. Inne zwieszały

się z drzew, udając poruszające się liście. Ten widok nawet najdzielniejszego bohatera zamieniłby w

drżącego tchórza, więc bez zbytnich ceregieli uciekliśmy stamtąd czym prędzej. Janosz rzucił zaklęcie

ochronne i noc spędziliśmy na samym środku drogi. Mimo to nazajutrz musieliśmy rozpaść niewielkie

ognisko i użyć płonących wiechci do odpędzenia kilku pijawek, które, w jakiś sposób przełamując magiczną

barierę, dopadły nas na drodze. Były tłuste i nabrzmiałe od naszej krwi. Kiedy odpadły, rany krwawiły

obficie i musieliśmy zakładać opatrunki.

Jakiś czas później zlokalizowali nas Strażnicy. Dolina rozszerzyła się znacznie, a rzeka spłycała zakręcając

do miejsca, z którego wyrastały ku niebu poszarpane góry. Droga prowadziła prosto przez dolinę,

widzieliśmy więc wszystko przed sobą na wiele mil wprzód. Gorące powietrze stało nieruchomo; pamiętam

odgłosy cykad swawolących w ten leniwy letni dzień. Wtedy zza zakrętu wynurzyli się jeźdźcy. Od razu ich

rozpoznałem po lśniących pancerzach okrywających ludzi i wierzchowce. Było ich co najmniej dwudziestu.

Nigdy wcześniej nie ujawnili się w takiej liczbie. Dostrzegli nas, zanim udało się nam uskoczyć na bok i

skryć w pobliskich krzakach. Czubek lancy dowódcy powędrował w dół, kiedy schwycił ją mocno za

rękojeść. Zobaczyłem, jak dwie dziesiątki rąk, w tej samej chwili, wędrują do hełmów zamykając

przyłbice.

Kiedy upiorny podjazd ruszył ku nam kłusem, nie doleciał nas brzęki zbroi, okrzyki rozkazów czy nawet

stukot kopyt końskich o kamienną drogę.

- Jeśli planują zaatakować nas bez wstępnych pertraktacji - odezwał się Janosz - ich dowódca da sygnał do

galopu, gdy tylko wjadą w tamtą nieckę i stracimy ich z oczu. - Podczas sławetnego szkolenia Maeen

przećwiczył z nami podobną sytuację. Przygotowaliśmy specjalne włócznie i połączyliśmy je żelaznymi

tulejami, które zainstalowaliśmy na każdej rękojeści. Sześciu mężczyzn, kryjąc się za okutymi tarczami,

uknęło na skraju drogi trzymając w pogotowiu połyskującą broń. Za nimi ustawili się łucznicy, a dalej

zwierzęta. Reszta wyciągnęła miecze, szykując się do odparowania ataku. Mimo że nasze szeregi były

najeżone ostrymi lancami i czekaliśmy w gotowości bojowej, pozycja, jaką przyjęliśmy przy drodze, nie

skłaniała do nieuniknionej konfrontacji: Strażnicy mieli możliwość wstrzymania wierzchowców tuż przed

nami lub ominięcia nas szerokim łukiem.

182

- Zachować pozycje - ostrzegł Janosz. - Nie martwcie się ... i nie uciekajcie. Ani historia, ani legendy nie

wspominają o takim koniu, który by przeszedł przez ścianę włóczni. Stójcie... stójcie .. - powtarzał głosem

tak spokojnym, jakbyśmy znajdowali się na placu musztry wykonując codzienne ćwiczenia.

Kolumna wjechała kłusem w obniżenie i zniknęła z pola widzenia.

- Teraz - powiedział Janosz. - Teraz dopiero się dowiemy, jakie zamiary mają wobec nas. - Tak się jednak

nie stało. Czekaliśmy długo, lecz jeźdźcy nie wyłonili się z niecki. - A to ciekawe - zauważył Janosz.
- Tam

nawet nie ma dość miejsca, by się wszyscy pomieścili, nie wpadając na siebie. Potrzebuję dwóch ludzi!

Podejdźcie ostrożnie do brzegu tego obniżenia! Zdaje mi się, że nic tam nie znajdziecie!

Zgodnie z przewidywaniami, dwaj zwiadowcy odkrzyknęli, że w niecce nie ma żywego ducha.

- Robi się coraz ciekawiej - stwierdził Janosz, wciąż ze stoickim spokojem. - Pierwsza możliwość, w którą

osobiście wątpię, jest taka, że zaskoczyła ich nasza obecność i gotowość bojowa. Druga, że próbują nas

zniechęcić do dalszej wędrówki. Trzecia, która wynika z logicznego myślenia, sugeruje, że dowódca tego

podjazdu jest równie niepewny nas, jak my ich. Czwarta, pod którą się podpisuję, mówi, że wszelkie

domysły co do zamierzeń prawdziwie wielkiego maga można porównać do sikania pod wiatr - na początku

przynosi satysfakcję, lecz w miarę rozwoju wydarzeń staje się bezproduktywne, niemiłe i żenujące.
Szyk

marszowy! Ruszamy dalej! - Posuwaliśmy się teraz dużo wolniej, odziani w pancerne kolczugi, trzymając

broń w pogotowiu.

Następnego dnia wpadliśmy w zasadzkę. Bardzo wprawnie zastawili tę pułapkę, dokładnie w miejscu, gdzie

po jednej stronie drogi leżały zwalone bloki skalne. Po drugiej stronie naga ziemia nie dawała możliwości

schronienia ani ucieczki. Popelnili jednak błąd. Powinni byli mianowicie zaczekać, aż środek naszej

kolumny znajdzie się w strefie śmiertelnego zagrożenia, a nie atakować naszych zwiadowców.
Świsnęły

strzały i dwóch naszych ludzi idących na przodzie krzyknęło krótko, a następnie runęło na ziemię.
Wtedy

spoza ogromnych głazów załśniły włócznie. Nasi przeciwnicy wydali wojenny okrzyk mający

zmrozić nam

krw. Staliśmy przez chwilę kompletnie zdezorientowani, a jeden z osłów zaryczał i zaczął się cofać ugodzony dwiema strzałami w bok. Usłyszałem krzyk Janosza: - Na nich! Na nich! Rozciągnąć szyk, łotry! -

Maeen przeskoczył przez jednego z rannych, zamaszystym ruchem wyjął miecz z pochwy i pognął na nieprzyjaciela. Strzała świsnęła tuż koło niego i odbiła się od skały. Setnik uskoczył za jeden z głazów. Ja

również pędziłem trzymając miecz w dłoni. Za plecami słyszałem bitewny zgiełk. Wpadłem w zarośla koło

dużej skały i zobaczyłem łucznika, który właśnie wypuszczał strzałę. Nie wiem, czy sięgnęła celu, w każdym

razie jednym cięciem pozbawiłem go ramienia. Z kikuta trysnęły strugi krwi, a mężczyzna zawył przeraźliwie. Nagle wyrósł przede mną kolejny przeciwnik. Przypadłem do ziemi unikając zamaszystego

cięcia i niezgrabnie odparowywałem kolejne ciosy. Ostrze mego miecza zazgrzytało na jego napierśniku i po

chwili zwarliśmy się w mocarnym uścisku. Uderzyłem głową miażdżąc mu nos. Zachwiał się w tył i nim

zdążył odzyskać równowagę, rzuciłem się do przodu, zatapiając ostrze aż po rękojeść w kroczu mężczyzny.

Gdy padał na ziemię, wyszarpnąłem miecz. Tuż obok jakaś strzała ugrzęzła w ziemi i podniósłszy wzrok

ujrzałem stojącego na skale łucznika. Wyjął kolejną strzałę, nałożył ją na cięciwę; wprawne palce dotknęły

policzka. Widziałem śmierć w jego oczach, śmierć na koniuszku owej strzały wymierzonej prosto w moją

twarz. Sztylet Janosza błysnął w powietrzu. Mężczyzna upuścił łuk, zachwiał się i runął na ziemię.

Usłyszałem chrzęst łamanych kości i krzyk bólu. Dopadłem go niemal w tej samej chwili i jego głowa

potoczyła się po trawie.

Po chwili nie został już nikt z nieprzyjaciół. Oparłem się ciężko o skały i doświadczyłem krótkiego, lecz

silnego ataku dreszczy. Gdy doszedłem do siebie, rozejrzałem się. Osiem ciał leżało nieruchomo na skałach.

- Ośmiu przeciwko dwóm dziesiątkom - rzekł Janosz z nutą podziwu w głosie. - Muszą dobrze wiedzieć, że

zaskoczenie podwaja liczebność i siły.

Podniósł sztylet i spojrzał na niego sceptycznie.

- Czemu tak się utarło w epice rycerskiej - zadumał się - że kiedy bohater rzuca nożem, zawsze trafia w

samo serce łajdaka? No cóż, przynajmniej porządnie go rąbnąłem. I tak byłem zdumiony, że nie trafiłem w

ten głaz obok.

Podziękowałem mu. Jeszcze raz wymknąłem się śmierci. Janosz uśmiechnął się i dowcipem spróbował

przełamać napięcie.

- Szczerze mówiąc, rzuciłem sztyletem tylko po to, żeby mieć okazję przedyskutować z tobą ten

wspaniały styl, w jakim rozprawileś się z pierwszym miecznikiem. Odniosłbyś niesłychane

zwycięstwo, gdybyśmy znajdowali się na placu ćwiczeń w koszarach, a ja stawiałbym cię za przykład

183

każdemu głupkowi, który macha mieczem jak cepem. Może nawet pomyślałbym o jakichś ekstra

porcjach z kuchni.

- Dziękuję ci, kapitanie Szary Płaszczu - roześmiałem się szczerze. - Zupełnie jakbym słyszał jednego z

moich dawnych nauczycieli. Chociaż, muszę przyznać, ten akurat był jednym z niewielu, którzy mieli w

ogóle coś konkretnego do powiedzenia.

Spojrzałem na obu ludzi, którzy zginęli od cięć mego miecza. Czuję, że ostatnie lata utwardziły mnie i

zahartowały. Byłem w stanie patrzeć beznamiętnie na zwłoki, nie odwracając ze wstrętem wzroku.

- Byli dobrze uzbrojeni - stwierdziłem. - Umundurowani, a więc z pewnością nie mieliśmy do czynienia z

pospolitymi rzezimieszkami. Nie chce mi się również wierzyć, że byli pieszym oddziałem znanych nam

Strażników.

Twarz Janosza wydała mi się dziwnie blada.

- Powiem ci, kim byli - rzucił krótko. - To Likantyjczycy. Spójrz na buty tamtego, albo na jego kolczugę...

czy na rękojeść tamtego miecza. Sam używałem takiej broni podczas służby w ich armii.

- Co oni tutaj robią? Niemożliwe, by śledzili nas przez całą drogę - krzyknąłem.

Janosz ukląkł nad ciałem miecznika i przeszukał je dokładnie. W skórzanej sakiewce znalazł kilka

likantyjskich monet. - Zauważ jedno - zaczął - mimo iż wszyscy ci ludzie to Likantyjczycy, nie mieli ze sobą

żadnego sztandaru ani proporca. Nie mają też żadnych oznaczeń na napierśnikach. - Wstał. - Setniku

Maeenie!

- Tak, panie!

- Każ rozebrać wszystkie zwłoki. Zbierzcie ciała w jedno miejsce. Przeszukajcie ich i przynieście mi wszystko, co przy nich znajdziecie.

- Tak jest!

Czekając na wyniki przeszukania, zabraliśmy się za ocenę rozmiarów strat. Ku naszemu zdumieniu okazało

się, że nie zginął ani jeden człowiek. Dwaj zwiadowcy, których ugodziły pierwsze strzały,

najprawdopodobniej szybko wrócą do zdrowia, chociaż jeden z nich mocno krwawił z rany na udzie i Janosz

nabiedził się sporo rzucając zaklęcia zanim rana się zagoiła i mogliśmy ją opatrzyć. Rany drugiego

nie były

tak poważne. Strzała przeszła mu ramię, lecz zatrzymała się na napierśniku. Janosz zajął się pozostałymi,

wykorzystując swoje zdolności magiczne. Zwiadowca i jeszcze jeden z ciężiej rannych mieli przez kilka dni

podróżować na grzbietach osłów, aż odzyskają siły. Pojawienie się Strażników poprzedniego dnia niewątpliwie dobrze przygotowało nas do tej zasadzki.

Mimo ostrzeżeń Janosza, by nie usiłować rozwikłać zagadki Strażników, właśnie snułem kolejne domysły

co do zamiarów, jakie wobec nas mieli, kiedy setnik Maeen przyniósł nam coś, co znalazł przy jednym z

zabitych. Był to niewielki medalion zawieszony na łańcuszku. Janosz, bez słowa, położył go sobie na dłoni i

podsunął mi ją pod same oczy. Nie potrzebowałem wyjaśnień. Widziałem już taki emblemat na

napierśnikach żołnierzy, którzy poszukiwali nas poza granicami Likantu. Widniał również wykuty w marmurze na dziedzińcu wielkiej posiadłości w samym centrum tego okropnego miasta.

Patrzyliśmy na rodzinny herb Nissou Symeona.

DROGA ZAWIODŁA nas z powrotem do rzeki, a raczej do kilku kamiennych pomostów. Nie cumowały

przy nich jednak łodzie. Janosz znalazł kawałek liny zwieszającej się z drewnianego pachołka. Była

poszarzała ze starości. Upłynęło wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni rzeczna jednostka przybiła do tego

osobliwego portu. W naszych sercach zrodziła się jednak nadzieja, że odtąd będziemy podróżować w łatwiejszy sposób. Właśnie miałem zarządzić rozbicie obozu i wyznaczyć ludzi do ścinania drzew na tratwy,

kiedy przypomniałem sobie drzazgi zatopionego czółna, jakie Janosz znalazł w zniszczonej wiosce

Nabrzeżnych Ludzi.

Mój przyjaciel wyjął kawałki drewna ze swojej sakwy przygotowując się do zaklęcia.

- To proste - powiedział kreśląc kredą magiczne symbole na kamiennym pomoście. Po chwili dorysował do

nich sześć elips. - Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że to, co kiedyś stanowiło część całości, może

się jeszcze raz stać całością. Jeśli tylko bogowie uśmiechną się do mnie i pobłogosławią moje wysiłki, do

zaklęcia dodam jeszcze czar odnowy.

Na każdej elipsie ułożył kawałek drewna i rozpoczął czynienie zaklęcia. Wiedziałem, co się zdarzy,

albowiem zdążyłem się już przyzwyczaić do praktyk Janosza. Wydałem rozkazy, aby podzielić juki na

osłach na sześć części, z których każda miała zawierać tyle samo różnych rzeczy, aby jak najbardziej

184

zmniejszyć ryzyko, na wypadek gdyby czołno przewróciło się dnem do góry. Rzucenie zaklęcie nie zabrało

wiele czasu. Powietrze zamigotało tak silnie, że musiałem zmrużyć powieki, a w chwilę później przy

pomostach kołysało się sześć czołen, niezbyt dokładnych replik szarego, zniszczonego długotrwałym

działaniem wody wraku, który wyciągnęliśmy na Wybrzeżu Pieprzowym. Nasze czołna lśniły nowością,

jakby dopiero co opuściły warsztat szkutniczy.

Ten niewinny czar, jak określił go Janosz, „prosta sztuczka” bardziej niżli pozostałe zaklęcia, które

dotychczas rzucił, zatrwożyła naszych ludzi. Janosz uśmiechnął się widząc ich złężnione twarze. - Teraz

rozumiecie, dlaczego magowie większość swoich „cudów” wykonują w ciemnościach i w tajemnicy -

wyjaśnił - każdy, kto był świadkiem tworzenia tych czołen, gdy już dojdzie do siebie po wrażeniu, jakie

wywiera oglądanie takiej magicznej przemiany, zastanowi się, dlaczego podobne rzeczy nie zdarzają się

codziennie. Dlaczego, na przykład, jego żona musi płacić kowalowi za wyklepanie nowego kotła,

kiedy jakiś

mędrzec z sąsiedztwa mógłby za miedziaka czy dwa odnowić stary garnek?

- Doskonałe pytanie - przyznałem. - Dlaczego nie może tak być?

- Gdybyś zarabiał na życie pracując jako kowal, czy górnik czy budowniczy łodzi, z pewnością potrafiłbyś

natychmiast odpowiedzieć na to pytanie. Mogłaby to być zagadka naszego wieku - w którym momencie

magia, dostępna dla wszystkich bez żadnych przeszkód, mogłaby stać się siłą służącą bardziej złu niż dobru?

- Odpowiedź jest niezwykle prosta, panie - wtrącił Maeen podchodząc do nas bezszelestnie. - Kiedy

wszyscy posiadziemy magiczne zdolności i będziemy żyć tak, jak żyją mieszkańcy Odległych Królestw,

wtedy będziemy mogli usiąść, kazać elfom otworzyć kolejną beczkę wina i przedyskutować tę sprawę z

każdego punktu widzenia.

- Wtedy - odparł Janosz - będzie już za późno.

- No, cóż, panie, ale poznamy odpowiedź, czyż nie? Tymczasem juki już gotowe, jeśli nasi filozofowie są

gotowi do dalszej podróży.

Załadowaliśmy czółna i podzieliliśmy się na załogi pamiętając, by na każdym czólnie znalazł się

przynajmniej jeden człowiek mający jakieś pojęcie o żegludze. Najtrudniej było nam rozstać się z wiernymi

zwierzętami. Pocieszaliśmy się tym, że rejon obfitował w soczystą zieleń i rośliny typowe dla łagodnego

klimatu, więc nawet poganiacze stwierdzili, że zimowe chłody nie zmienią tej doliny w zamarzniete

pustkowie. Po drodze nie widzieliśmy też żadnych drapieżców, które mogłyby zagrozić życiu naszych

pocziwych zwierzaków. Podczas drogi osły nierzadko padały z wyczerpania, pragnienia, czy bólu.

Tutaj

miały szansę odzyskać siły, podtuczyć się, rozmnożyć oraz ryczeć, bo Janosz zdjął z nich wreszcie zaklęcie

milczenia. Mimo to, kiedy odbiliśmy od brzegu zwierzaki stały na pomoście patrząc na nas smutnymi, szarymi oczami i rycząc przeraźliwie, dopóki nie zniknęliśmy im z widoku. Milczeliśmy z poczuciem winy,

że pozostawiamy je tak na łaskę i niełaskę tej krainy.

* * *

RZEKA ROZSZERZYŁA się znacznie, bo zasilaty ją coraz to nowe strumienie. Nasze łodzie płynęły wartko z prądem kołysząc się na boki; podnosiły się w górę, to znów opadały wznieczając przy tym fontanny

wodnego pyłu, tak gęstego, że czasem mieliśmy trudności z utrzymaniem właściwego kursu. Prędkość, z

jaką płynęliśmy, można było określić jako znaczną... i zarazem niewielką. Spływaliśmy jak strzały z

wodnych uskoków, desperacko odpychając łodzie wiosłami od ostrych głazów, to znowu posuwaliśmy się

przez całe mile wąziutkimi rynnami, niczym wydry dryfujące na bagnach. Dwie łodzie wywróciły się do

góry dnem i straciliśmy wiele czasu na wyławianie bagaży i ludzi ze spienionych wód. Dzięki łasce Te-Date

nikt nie utonął.

Czasami większe progi wodne zmuszały nas do lądowania na brzegu i przenoszenia całego ekwipunku na

bezpieczne wody. Mimo tych trudności nikt nie doznał obrażeń, a ranni w walce z Likantyjczykami szybko

powracali do zdrowia. Powoli, w miarę jak koryto rzeki stawało się coraz szersze i głębsze, jej wody

uspokoily się. Dziwiliśmy się jednak, że wciąż nie spotykamy najmniejszych śladów życia, nawet

opuszczonych wiosek. Od czasu do czasu przepływaliśmy obok kamiennych przystani podobnych do tej, od

której rozpoczęliśmy naszą rzeczną podróż, lecz kamienne drogi prowadzące od pomostów porastała gęsta

roślinność i sprawiały wrażenie dawno nie używanych. Kraina obfitowała w soczystą zieleń, a gleba

185

wydawała się nadzwyczaj żyzna. Nie potrafiliśmy zrozumieć dlaczego ludzie opuścili tak gościnne tereny,

lecz pewnego dnia natknęliśmy się wreszcie na ślady człowieka i zrozumieliśmy przyczynę.

Najpierw rozległo się głośnie dudnienie przypominające grzmot, następnie brzęk, jakbyśmy zbliżali się do

wielkiej odlewni. Wreszcie do naszych uszu doleciały głośnie krzyki. Minęliśmy zakole rzeki... i nagle jej

spokojne, przejrzyste wody zabarwiły się szkarłatem krwi. Od jednego brzegu prowadziła grobla aż do małej

wysepki, którą szeroki most łączył z drugim brzegiem. Prąd przybrał na sile, ściągając nas do brzegu.

Wydawało się, że za chwilę uderzymy w kamienny most.

Nie to jednak przykuło naszą uwagę. Najpierw ujrzeliśmy zwłoki. Trafiliśmy akurat na ostatnie chwile

bitwy; walczące strony nie zwróciły najmniejszej uwagi na pojawienie się naszych czołen. Ciała zabitych

leżały porozrzucane na grobli i na wysepce, a na moście tworzyły wysokie stosy. Doszło tu do wyjątkowo

krwawej bitwy. Na przeciwległym brzegu ostatni z żywych, obrońcy lub napastnicy, nie wiadomo, szli

prosto w objęcia niezaspokojonej śmierci. Chorągiew, którą nieśli, była tak zboczona krwią, że nie mogłem

odróżnić widniejących na niej symboli. Jakiś olbrzymi mężczyzna machał na oślep oburęcznym mieczem.

Najwidoczniej w ferworze walki zgubił hełm i teraz śnieżnobiałe włosy i broda połyskiwały w promieniach

słońca. Jakiś król? Możliwy władca? Otaczali go ostatni z żyjących towarzyszy, a nacierający

pochłaniali ich

szeregi w zastraszającym tempie, niczym sztormowe fale, które wdzierają się bezlitośnie na brzeg. Gdy

białowłosy olbrzym padł na ziemię, a wraz z nim runęła zboczona krwią chorągiew, rozbrzmiały okrzyki

zwycięstwa.

Załoga mojej łodzi stała z rozdziawionymi ustami, przeklinając, jęcząc, a paru nawet zemdleli ten okropny

widok. Ciemnoczerwona woda obmywała głązy splamione karmazynową posoką.

- Skupcie się na wiosłowaniu - rozkazałem. - Baczcie na wszystko, w przeciwnym razie zniesie nas na

brzeg. Ci, którzy wierzą w bogów, niechaj się modlą, by nas nie zauważono.

Łódź Janosza minęła naszą, gdy prąd popchnął ją z dużą prędkością pod most. Tuż nad głową ujrzałem

zwisającego z balustrady człowieka z pustymi oczami wpatrującymi się uporczywie w pustkę. Zdawało mi

się, że słyszę jakieś okrzyki z mostu, a któryś z naszych ludzi twierdził nawet, że posłano w naszym

kierunku strzałę, lecz rzeka weszła w następne zakole, a porastające brzegi drzewa i gęste zarośla odgrodziły

nas od niebezpiecznej przystani.

Dopiero po zmroku przybiliśmy do brzegu niewielkiej wysepki pośrodku rzeki. Wciągnęliśmy czołna w

krzaki z trwogą i zdziwieniem wspominając okrutną scenę, której byliśmy świadkami.

- To dzikusy - odezwał się Lione. - Może nie widzieliście, ale całe ich setki szły za żołnierzami, niosły

długachne noże i robiły co trzeba, jak jakiś ranny potrzebował pomocy. Przeskakiwali od jednego do drugiego, jakby tylko do tego ich wynajęto.

- Szukali łupów - wyjaśnił Maeen.

- Nie łupili - upierał się Lione - ino dorzynali.

- Koniec jakiejś długotrwałej waśni - zasugerowałem nieśmiało.

- A może - powiedział ponuro Janosz - te Niespokojne Ziemie nie na darmo noszą taką nazwę?

- W każdym razie - odezwałem się próbując nadać głosowi jak najweselszy ton - teraz już wiemy, dlaczego

Odległe Królestwa nie wysyłały ku nam dotąd żadnych posłańców ani kupców. Musieliby bowiem podróżować przez ziemie rządzone przez takich rzeźników, jak ich spotkaliśmy.

Ludzie ożywili się słysząc moje słowa.

- Docieramy powoli do zaludnionych obszarów, chociaż na razie sprawiają one wrażenie dość

barbarzyńskich - ciągnąłem. - Ujście rzeki i Odległe Królestwa są już zapewne niedaleko - snułem dalej na

głos swoje przypuszczenia.

Półtora dnia później rzeczywiście znaleźliśmy ślady cywilizacji. A raczej cywilizacja znalazła nas. Z

dopływu rzeki wynurzyły się niespodziewanie cztery wojenne galery. Naliczyłem dwadzieścia wioseł po

każdej stronie zielonych statków, na których pokładach stali uzbrojeni wojownicy. Zmierzały prosto w

naszym kierunku. Znaleźliśmy się w zasadzce. Jakiś mężczyzna ze spiczastą brodą wystającą spod złotawego hełmu, odziany w skórzany kaftan z pancernymi okuciami, zamachał do nas.

- Witajcie, podróżni - zawołał. - Witajcie, zacni goście. - Jego uśmiech nie zdradzał ani szczerości, ani

radości z powitania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Czarodziej Dusz

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiego miasta: dziwnie ciche, mieniło się nienaturalnie jaskrawymi

barwami. Domostwa wzniesione z jasnego kamienia miały jedynie niewielkie czarne otwory służące za

drzwi. Czerwone proporce zwieszające się z pomalowanych na zielono słupów zdobiły obie strony osobliwej

ulicy.

Nasi gospodarze odmówili odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Odwracali też głowy, gdy się do nich

zwracaliśmy, zachowując się tak, jakbyśmy byli powietrzem. W takiej niesympatycznej atmosferze

dopłynęliśmy do portu, gdzie przekazano nas w ręce oczekującego oddziału żołnierzy, dowodzonego przez

kapitana w ciemnej przyłbicy. Broń i wszystkie nasze bagaże załadowano na wóz, który jechał za nami,

kiedy pod silną eskortą maszerowaliśmy główną ulicą miasta. Nowi towarzysze okazali się równie milczący

jak poprzedni. Jedyne odgłosy pochodziły od stukotu ich podkutych butów o bruk i tępego brzęku metalowych części uniformów.

Niewielu ludzi było świadkami naszego przemarszu, a ci, których widzieliśmy, wałęsali się bez określonego

celu, albo stali nieruchomo jak kamienie, obserwując tajemniczy pochód. Nie mogłem doszukać się żadnego

sensu w ich ubiorach. Niektórzy mieli na sobie zwykłe długie szaty, inni białe, jedwabne tuniki, można było

też dostrzec ludzi częściowo odzianych w uniformy żołnierskie, w zgrzebne koszule wieśniaków oraz ulicznych żebraków w zwykłych łachmanach. Jakieś dziecko spojrzało na mnie, gdy przechodziliśmy.

Uśmiechnąłem się, a dziewczynka odwzajemniła uśmiech. Poczułem ścisk w gardle; to niewinne biedactwo

nie miało nosa. Stopniowo zacząłem sobie uświadamiać, że wielu innych mieszkańców tego dziwnego

miasta nosiło ślady okaleczenia. Często brakowało im jednej ręki albo zamiast stóp mieli drewniane bloki.

Doleciał mnie szept Maeena:

- Ile tu nieszczęścia...

Janosz zbliżył się do mnie i powiedział stłumionym głosem:

- Kiedy dotrzemy na miejsce, biorę ster w swoje ręce.

Aleja zakręcała, a następnie biegła prosto ku wysokiej, monumentalnej budowli, nad którą królował olbrzymi czerwony komin, wypływający morze iskier i kłęby czarnego dymu. Powietrze dookoła przesycone

było gryzącym smrodem. Kiedy podeszliśmy bliżej, zdałem sobie sprawę, że budynek jest większy niż

początkowo sądziłem. Tuż przed nim znajdowała się konstrukcja przypominająca kształtem ogromny ul o

łukowatych wrotach. W wejściu stanął nagle jakiś człowiek. Miał na sobie strojną czerwoną tunikę z

przypiętą czarną odznaką świadczącą o wysokiej funkcji. Podniósł rękę w powitalnym geście. Okaleczona

dłoń zamachała do nas kikutami palców.

Odezwał się głosem najwyraźniej nawykłym do wydawania rozkazów:

- Witajcie, mili podróżni. Mój pan przesyła wam powitanie i uprzejmie oferuje gościnę.

- Dziękujemy - odezwał się Janosz. - Kimże jest twój zacny pan?

- No cóż, jego imię znane jest wszystkim - odparł nasz rozmówca. - To szlachetny Mortacjus, władca tego

miasta oraz wszystkich ziem Gomalalee.

- Wybacz naszą ignorancję, miły panie - rzekł Janosz - ale przybywamy z krainy tak odległej, że nawet imię

twego niezwykłego pana nie mogło dotrzeć do naszych brzegów. Nie lada zaszczyt to dla nas, że jako

pierwsi będziemy mogli rozślawić jego imię wśród naszego ludu, kiedy szczęśliwie wrócimy do ojczyzny.

Mężczyzna pochylił lekko głowę i odpowiedział: - A zatem dostąpcie radości spotkania go. Pójdźcie za

mną. Mój pan oczekuje was w komnacie jadalnej.

Ruszyliśmy za nim: dziewiętnastu ludzi modlących się w duchu, żeby bogowie wspomagali łaskawie spryt

Janosza. Usłyszałem syk dobywający się z wielkiego komina nad naszymi głowami i poczułem cuchnący

dym. Nasz przewodnik otworzył masywne drzwi i wprowadził nas do olbrzymiej sali. Oczy zaboląły mnie

od jaskrawego światła, wypełniającego długie i wąskie pomieszczenie. Jediną dekorację sali stanowiły

czerwone proporce zwieszające się z wysokich ścian. Ciężkie stoły wykonane z czarnego drewna sięgały od

jednego krańca komnaty do drugiego. Rozstawiono na nich najróżniejsze przysmaki, które samym widokiem

kusiły podniebienie: przeróżne pieczenie, złote półmiski pełne przyrządzonych na wszelkie możliwe

sposoby ryb, stopy ciemnego chleba oraz duże kryształowe karafki napełnione czerwonym winem, którego

słodka woń unosiła się w powietrzu, łagodnie uderzając do głowy. Przy stole siedziało czterdziestu

mężczyzn, a w pobliżu wejścia przygotowano miejsca dla kolejnych osiemnastu.

187

U szczytu stołu, na zielonym tronowym krześle zasiadał człowiek przypominający z rysów twarzy

powietrznego padlinożercę. Ujrzawszy nas wstał i podniósł na chwilę ręce, a zwiewna tunika zafalowała

niczym skrzydła wielkiego, pustynnego ptaka. Nie mógł być to nikt inny jak nasz miły gospodarz -

szlachetny Mortacjus. Wstał i przemówił do zgromadzonych przy stole:

- Panowie! Przypadł nam w udziale niewątpliwy zaszczyt goszczenia znamienitych gości. -

Odpowiedział

mu szmer podniesionych głosów. Nie potrafiłem stwierdzić, czy były radosne, czy też ponure. -
Pozwólcie,

że dokonam wstępnej prezentacji. Oto kapitan Janosz Szary Płaszcz z Orissy. - Janosz cofnął się o
krok.

Poczułem, że mięśnie twarzy drgają mi nerwowo ze zdumienia. - Myślę, że mężczyzna stojący obok
niego,

ten ze wspaniałymi ognistoczerwonymi włosami, to szlachetny Almaryk Antero. Również obywatel
Orissy. -

Skłoniłem się nisko z pozornym spokojem, choć głowa pękała mi od kłębiących się w niej myśli.
Skąd nas

znał? Do czego zmierzał?

- To my czujemy się zaszczytzeni, szlachetny Mortacjusie - odrzekł Janosz, a ja powtórzyłem jego
słowa. Za

plecami usłyszałem, jak jeden z naszych ludzi zakasłał nerwowo, lecz ostry szept setnika przywołał
go do

porządku.

Mortacjus poprawił okręconą wokół szyi chustę, utkaną z kosztownego czarnego jedwabiu.
Uśmiechnął się

pobłażliwie, lecz jego przymglone oczy płonęły nieziemskim blaskiem, co wyraźnie mówiło, że
mamy przed

sobą czarnoksiężnika.

- Zapraszamy do stołu. - Wskazał ręką puste, honorowe miejsca po obu stronach tronu. - Wasi ludzie
znajdą

dla siebie krzesła przy drzwiach. - Ruszyliśmy ku niemu, a nasi wierni towarzysze usiedli na
przydzielonych

im miejscach. Z każdym krokiem czułem jak coraz cieńsza staje się nić, na której zawisło nasze

bezpieczeństwo. Mortacjus zachowywał się wobec nas nadzwyczaj łaskawie. Mruknęliśmy słowa

podziękowania, gdy napełnił szklane puchary winem. Trunek okazał się tak słodki, że o mało się nie

skrzywiłem, lecz z czystej grzeczności zmusiłem się do przełknięcia choćby odrobiny. Za drugim razem

smakowało dużo lepiej, lecz jednocześnie poczułem ogień w żołądku i zamęt w głowie, więc przyrzekłem

sobie szczególną ostrożność.

- Wybacz, szlachetny Mortacjusie - odezwał się Janosz - jak to się stało, że wiecie tak dużo o tak skromnych

wędrowcach?

Mortacjus zachichotał, przebiegając palcami po czarnej chuście na szyi.

- Skromnych? Nie sędzę. A jeśli chodzi ci o to, skąd o was wiem... cóż, to żadna to sztuka dla czarodzieja.

Jako władca tego królestwa muszę wiedzieć o takich sprawach.

Nagle Janosz rozluźnił się zupełnie. Opróżnił puchar i oblizał usta na znak, że mu smakowało.

- Szczerze mówiąc, mój panie, po pierwszej konfrontacji z twoimi ludźmi obawialiśmy się, że nasze zamiary mogły zostać opacznie zrozumiane. Przybyliśmy na te ziemie przez zupełny przypadek, a nie wedle

ustalonego planu. Mamy wobec was całkowicie pokojowe zamiary.

- To ty tak twierdzisz - mruknął Mortacjus. - Pozostawiacie za sobą krwawy szlak, który wskazuje na coś

zupełnie przeciwnego.

- Gdyby tamci pozwolili nam przejść - odparł Janosz - żyliby do dzisiaj.

Prosta i szczerza odpowiedź wywołała, zamiast gniewu, zdumienie czarodzieja. Uśmiechnął się lekko.

- Pewnie tak, drogi Janoszu. Niewiedza może okazać się zgubna w skutkach. - Napełnił puchary. - Kiedy

dowiedziałem się o waszym przybyciu, poczułem wielką ciekawość. Zapragnąłem poznać osobiście tak

gorliwych poszukiwaczy Odległych Królestw.

Poza rozmową między Janoszem a Mortacjusem w sali panowała cisza. Jego ludzie milcząco

spożywali

jadło i napoje. Nie rozmawiali ze sobą ani nie rozglądali się na boki. Nasi kompani na końcu długiego stołu

szeptali i poruszali się niespokojnie. Zauważyłem jednak, że bez większych oporów rzucili się na chleb i

mięsiwo pożerając je, jakby zasiedli do ostatniego posiłku w swoim życiu - taka myśl zresztą i mnie przemknęła przez głowę, kiedy spoglądałem na stojący przede mną pusty talerz.

Mortacjus dostrzegł moje spojrzenie.

- Wybaczcie mi, szlachetni panowie, że zapomniałem o waszych potrzebach. Pozwólcie, bym pomógł wam

wybrać jakiś smakowity kąsek.

Odkroił grube kawały mięsiwa dla mnie i dla Janosza i ceremonialnie położył je na talerzach. Poczulem

najwspanialszą woń, natrętnie pobudzającą mój apetyt. Uciałem kawałek i podniosłem go łapczywie do ust.

Zawahałem się zmieszany, słysząc złośliwy chichot Mortacjusa. Nagle kuszący plaster zamienił się w syczącą i wijącą się żmiję. Z dwóch zakrzywionych zębów prosto na stół skapywał jad.

188

- Ależ, Almaryku Antero, cóż z ciebie za chciwy łakomczuch. - usłyszałem wesoły głos Janosza. - Zawsze

złapiesz najlepszy kawałek. Pozwól mi choć raz uszczknąć mały kęs. - Wziął ode mnie syczącą potrawkę. -

Może trochę nie dogotowane - stwierdził z filozoficznym spokojem. Drugą ręką wodził przed oczami stworzenia, jakby czynił zaklęcie. Żmija przeobraziła się ponownie w plaster smakowitego mięsiwa. Połknął

go jak wygłodniały wilk i popił winem ze szklanego pucharka. - Całkiem niezłe - przyznał i zakrył dłonią

usta, by stłumić potężne beknięcie.

Twarz Mortacjusa sposepniała. Dotknął chusty okręconej wokół szyi, wyraźnie rozdrażniony bystrą interwencją Janosza. Mój przyjaciel kontynuował jednak pokaz swych umiejętności.

- Cóż to za potrawa stoi przed tobą, szlachetny Mortacjusie? - zawołał z szyderczym zdziwieniem i zacisnął

palce na ciężkim złotym talerzu stojącym przed naszym gospodarzem. Mortacjus cofnął się, gdy talerz przybrał postać wielkiego, złotego skorpiona z wykrzywionym w łuk twardym ogonem, którego żądło połyskiwało jadem równie śmiertelnym jak jad żmii.

- Chodź tutaj, mój śliczny - zachęcił Janosz, a skorpion popędził przez stół z zastraszającą prędkością, po

czym wbiegł mu na ramię po rękawie. Zamachał gniewnie ogonem, gdy Janosz go pogłaskał. Po chwili

zmienił się w białą myszkę o miękkim futerku i delikatnym różowym nosku. Janosz postawił ją ostrożnie na

stole. - Nie może się zdecydować, biedactwo - stwierdził.

Mortacjus syknął i wskazał na gryzonia długim kościstym palcem. Mysz pisnęła przeraźliwie i wybuchła

plamieniem, a wkrótce w tym samym miejscu lśniła kupka złotego pyłu. Czarodziej schwycił złoty proszek

w garść i rozsypał go nad stołem. Cząsteczki zawirowały w powietrzu, po czym znowu przybrały kształt

talerza. Dostrzegłem, że jego krawędź, która wcześniej była idealnym okręgiem, teraz jest poszczerbiona,

lecz Mortacjus był tak dumny ze swego dzieła, że nawet nie zauważył owej niedoskonałości. Czarodziej

poprawił chustę i wyszczerzył w szerokim uśmiechu żółte, sękaty pieńki. Najwyraźniej uwierzył, że jest

lepszy.

Janosz skłonił głowę, przyznając się do porażki, lecz wykonując ów gest pokory wsunął rękę do kieszeni, a

następnie wyciągnął ją szybko.

- Obawiam się, że nie mogę poszczycić się czymś równie doskonałym - powiedział z głupawym uśmiechem.

Szlachetny Mortacjus odchylił się na swym tronie i wybuchnął gromkim śmiechem. Jego oddech spłynął po

mnie strumieniem cuchnącym jak dym wydobywający się z komina na zewnątrz.

- Dostyc już tych zabaw, przyjaciele. Jedźmy teraz i pijmy, jako że ta wizyta zapowiada się nadzwyczaj

ciekawie.

Klasnął w dłonie, wyraźnie rozradowany, a nastrój jego ludzi uległ gwałtownej zmianie. Zaczęli się kręcić,

gawędzić, a nawet plotkować. Zauważyłem jednak, że jedli niewiele, jakby zdążyli napełnić żołądki przed

naszym przybyciem. Tu i ówdzie na ciałach biesiadników dostrzegłem okaleczenia, podobne do tych, jakie

wcześniej widziałem na ulicy. Mortacjus, spojrzawszy na mnie, podniósł chleb z talerza i odłamał mały

kawałek. Okruchy posypały się na jego szaty. Umoczył chleb w winie i wsunął go sobie do ust. Nagle

poczułem przemożny głód i rzuciłem się na jedzenie niczym wygłodzony wilk. Rozczarowałem się niemal w

tej samej chwili, ponieważ to, co było apetyczne dla oka, wydało się nic niewarte dla języka. Wyschnięta na

wiór sztuka mięsa, nawet popita winem, zaległa twardą kulą w żołądku.

Mortacjus posłał mi pełen zrozumienia uśmiech, jakby miał w zanadrzu niejedną złośliwą niespodziankę.

- Mniemam, iż ten niewinny żart nie wydał ci się niegrzeczny - odezwał się i wskazał na swoich ludzi. - Są

tak nudni, że nie mogłem się powstrzymać, przed zażartowaniem z mądrego człowieka. Twoje pełne zdumienia spojrzenie stanowiło dla mnie niezwykłą nagrodę.

- Czy mógłbym się zatem gniewać? - odparłem. - Niechże ta niewinna rozrywka, jakiej dostarczyłem zacnemu gospodarzowi, będzie skromną zapłatą za gościnę.

- Nie przeszkadza ci obecność czarodzieja? - zapytał, a jego ręce ponownie powędrowały do chusty. Przez

mgnienie oka dostrzegłem pod nią paskudną ranę.

- Ani trochę - odparłem zastanawiając się, jaka mogła być przyczyna tego okaleczenia. - Powstanie z tego

znakomita historia, gdy będę opowiadał wnukom o swoich przygodach.

Usta Mortacjusa wykrzywiły się w sztucznym uśmiechu.

- Jeśli dożyjesz - rzucił sucho.

- Liczę na to - odparłem. Kątem oka dostrzegłem, że Janosz lekko skinął głową, aprobując moją odpowiedź.

- Dotychczas bogowie nam sprzyjali. Chociaż muszę przyznać, że mieliśmy pewne wątpliwości, gdy doszło

189

do konfrontacji z twoimi ludźmi. - Uniosłem kielich. - Na szczęście bogowie pozwolili nam cieszyć się

twoim towarzystwem.

Mortacjus roześmiał się.

- Och, tak, tak, tak - syknął, mile polechtany pochlebstwem. - Poczynania bogów są cudem dla wszystkich,

lecz błogosławieństwem dla niewielu. - Chwycił swój puchar i spełniliśmy toast. Pochylił się do przodu z

wyrazem wielkiego zaciekawienia na twarzy: - Nie boisz się gniewu bogów, podróżując w towarzystwie

człowieka, który naraził im się swymi magicznymi sztuczkami?

Jeśli zamierzał mnie zaskoczyć, udało mu się; jeśli chciał wprawić mnie w zakłopotanie, poniósł porażkę.

- Czegóż miałbym się obawiać, szlachetny panie? Czyż owo przedsięwzięcie nie zostało pobłogosławione

przez magów Orissy ze świątobliwym mędrcom, Gamelanem na czele? - Mortacjus skrzywił się i dotknął

palcami chusty. Zauważyłem, że zdradza w ten sposób emocje, które za wszelką cenę pragnąłby ukryć.

Zwrócił się do Janosza, który przeżuwał właśnie jakiś mdławy kąsek:

- Twój przyjaciel wnosi do waszej wyprawy więcej niżli tylko szczęście, jakie zsyłają czerwone włosy.

Wnosi do niej również chłodną mądrość.

- To właśnie, dawno temu, przypieczętowało naszą przyjaźń - rzekł Janosz. - Nawet mocniej niż jego łagodna natura i nienaganne maniery.

Mortacjus pokręcił głową z udaną trwogą.

- Najbardziej niezwykle partnerstwo na najbardziej niezwykłą wyprawę. Modłę się za was, by więź owa

trwała nadal, bo kiedy taka przyjaźń kwaśnieje, powstaje gorzki napój. - Janosz uśmiechnął się i w milczeniu

sączył wino. - Zastanawiałem się - mówił dalej Mortacjus - dlaczego nie zapytacie, co wiem o celu waszej

wyprawy. Szukacie rozwiązania tajemnicy, lecz nie pytacie władcy, którego ziemie leżą najbliżej Odległych

Królestw.

Janosz uśmiechnął się czarująco. - Uczyniłbym to, szlachetny Mortacjusie... gdyby miał nadzieję, że odpowiesz.

Mortacjus roześmiał się, tym razem szczerze rozbawiony.

- Dobrze się domyślasz - odparł. - Mieszkańcy Niespokojnych Ziem udzielają uprzejmych odpowiedzi na

niewiele pytań.

Janosz wzruszył ramionami.

- Nie trzeba było spoglądać w kryształową kulę, by to stwierdzić, zacny panie. Przez całą drogę napotykalismy oznaki konfliktu. Co więcej, byliśmy świadkami wielkiej bitwy tuż przed spotkaniem z twoimi ludźmi. Gdybym żył w tak zagrożonym kraju, podejrzewałbym każdego pytającego. - Janosz podniósł karafkę z winem i napełnił kielichy. - Jest jednak jedno pytanie, nieszkodliwe pytanie, które domaga się odpowiedzi. Oto ono: dlaczego nas tutaj zaprosiłeś?

Mortacjus wygładził chustę. - Tak jak już powiedziałem: by zaspokoić swoją ciekawość.

- A kiedy to nastąpi? - naciskał Janosz.

Czarodziej zmierzył go wzrokiem, powolnym ruchem gładząc chustę, jakby pieścił ciało kochanki. Dłoń

odcinała się śmiertelną bladością na tle chusty, a palce wyglądały niczym długie, ślepe robaki. W końcu

odpowiedział. - Przejdziecie przez moje królestwo bezpiecznie... z moim błogosławieństwem, lecz zanim to

nastąpi, muszę wam zadać kilka pytań.

- Pytaj zatem - zachęcił Janosz. - Jestem jeno prostym żołnierzem nie mam żadnych talentów, oprócz umiejętności prawienia czułych słówek urodziwym pannom.

- Gdyby tak było - powiedział Mortacjus - nie siedziałbyś ze mną przy tym stole i inaczej zakończyłoby się

spotkanie z moimi ludźmi. - Janosz wzruszył ramionami. - Słyszałem, mój zacny kapitanie - ciągnął

Mortacjus - że masz wrodzone zdolności magiczne, lecz nie przeszedłeś formalnego przeszkolenia. Nie

wolno ci też było przebywać w towarzystwie żadnego maga. Moi informatorzy twierdzą, że masz niezwykły

talent, a swoje umiejętności zdobyłeś jedynie dzięki mocy umysłu.

- Masz dobrych informatorów - odparł Janosz. - chociaż nieco wyolbrzymili moje umiejętności.

Wystarczają mi jedynie na to, by ochronić siebie i moich przyjaciół... i zabawić miłego kompana podczas

uczty.

Mortacjus zignorował tę ostatnią uwagę.

- Interesują mnie wyłącznie metody. Jedni uczą się mozolnie z rękopisów. Ty sprawdzasz teorię w praktyce.

- Nie miałem wielkiego wyboru - wyjaśnił Janosz. - Nikt nie dał mi zwojów pergaminów, bym mógł przyswoić sobie tajemne runy, nie mówiąc już o możliwości wstąpienia do szkoły magów.

190

- Nie słyszałem o innym śmiertelniku, który dokonałby czegoś podobnego - stwierdził Mortacjus.

- Tego nie jestem pewny - odparł Janosz. - Tak jak powiedziałaś, nigdy nie pomagał mi żaden czarodziej.

- A zatem ja będę pierwszym - rzekł Mortacjus. - Mam kilka swoich teorii. Może uzupełnią twoją wiedzę.

- Jestem zaszczycony, Mortacjusie - powiedział mój przyjaciel i odchylił się na wysokim krześle. Uśmiechał

się swobodnie, lecz w jego oczach dostrzegłem czujność.

- Czy sądzisz, że magii przyświeca jakiś święty cel? - padło następne pytanie. - Cel rozumiany jedynie przez

bogów, którzy ożywiają magię? Odpowiedz mi szczerze. Nie obrażę się.

- Nie sądzę, by było w niej coś świętego - usłyszałem odpowiedź Janosza. - Uważam, że magia jest równie

naturalnym zjawiskiem jak wiatr i jak ogień, który zapalasz, kiedy ów wiatr się ochładza. A co do bogów...

hmm, istnieją... wyłącznie w naszych umysłach.

Mortacjus spochmurniał. Ścisnął mocniej chustę i znowu dostrzegłem ranę.

- A zatem jak to się dzieje, że gdy modlimy się do nich i składamy ofiary, czasami nasze prośby są wysłuchiwane?

- Ich wyobrażenie pomaga nam w koncentracji. Ofiara dodatkowo wyostreza zdolność percepcji. To samo

dzieje się przy wypowiedaniu zaklęcia. Nie istnieje magia, która nie może zostać osiągnięta poprzez samą

myśl. Nie potrzebuję boga, by talerz zamienić w skorpiona czy wypowiadać jakieś nonsensy, żeby powrócić

do swego naturalnego stanu.

Mortacjus przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy.

- Zaiste jesteś bardzo interesującym czarodziejem. Nikt nie nauczył cię reguł, więc kwestionowałeś wszystko tworząc własne prawa. Niczym taran pokonujesz przeszkody, które w innych wzbudzałyby wahanie... lub skłaniały do odwrotu. A wszystko dlatego, że nie obawiasz się ani bogów, ani ich kary. Nie

wyobrażasz sobie na tyle trudnego zadania, by nie wykonać go siłą woli. Tak, Janoszu zwany Szarym

Płaszczem, teraz rozumiem, w jaki sposób zaszedłeś tak daleko.

Janosz roześmiał się.

- To piękna przemowa, lecz wyczuwam, że nie zgadzasz się z tym do końca.

Mortacjus poruszył się, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Istotnie, nie zgadzam się, choć pragnąłbym, by było inaczej, jako że twój widok naprawdę jest miły

oczom. Przyznaję, że masz ogromny talent, choć może nie tak wielki jak sądzisz. Każdy prawdziwy

czarodziej może poświadczyć, że istnieją rzeczywiste ograniczenia i obawy. Ja znam swego Mistrza. On zna

mnie również. Zawarliśmy układ, którego dotrzymuję. Udzielił mi mocy większej niżli możesz sobie wyśnić.

- Zakładam, że chodzi ci o praktykowanie czarnej magii - powiedział Janosz. - Pewnie służysz jednemu z

tych bogów, którego imienia nie wolno wymawiać.

- Czy to cię obraża? - zapytał Mortacjus pieszcząc chustę.

- Nawet w najmniejszym stopniu. Biała magia czy czarna, wedle mojej filozofii nie ma żadnej różnicy. Jeśli

nie ma bogów ani świętego celu, cóż to ma za znaczenie?

- Tak, rozumiem - westchnął Mortacjus. - Cudownie, po prostu cudownie. Podobają mi się twoje pomysły,

nawet jeżeli nie mają najmniejszego sensu. Jeszcze się może spotkamy na wspólnej ścieżce.

- Według mnie - powiedział Janosz - czarną magię należy praktykować z zachowaniem szczególnej ostrożności. Wiara w dobro czy zło zakorzeniła się tak głęboko, że stanowi dla nas wielką przeszkodę. Mam

pewną teorię, która mówi, że odprawianie czarnej magii wyrządza krzywdę praktykującemu obrzędy. W

miarę upływu czasu taki czarodziej staje się coraz słabszy. Możliwe nawet, że przeistacza się w istotę, do

której sam czułby obrzydzenie. Czy zgadzasz się z tym, szlachetny panie? Czy jesteś nadal tym samym człowiekiem, który wiele lat temu przekroczył próg tej komnaty?

- Och, jestem lepszy niż kiedykolwiek. - Mortacjus zachichotał niespokojnie.

- Może podejmujesz jakieś środki ostrożności? - pytał dalej Janosz. - Ja bym podjął... jeśli kiedykolwiek

spróbuję czegoś takiego.

Mortacjus ścisnął mocno chustę udając, że robi to od niechcienia.

- Nie potrzebuję żadnych - odparł.

- To naprawdę niesamowite. - Janosz mówił przyjaznym głosem, lecz dostrzegłem, że uważa naszego gospodarza za kompletnego głupca. - Powiedziałeś, że mogę mówić otwarcie, Mortacjusie - przypomniał

mu.

- Że nie obrazisz się o nic. Mimo to waham się zadać ci pytanie, które niepokoi mój umysł.

191

- Nie obawiaj się - odparł czarodziej. - Mów śmiało.

- Twoje królestwo, Gomalalee, leży na obszarze, gdzie toczą się nieustanne wojny. Zauważyliśmy, że wielu

spośród twoich ludzi, jest okaleczonych. Zastanawiam się więc, dlaczego twój bóg, tak wielki i mądry, nie

dał ci władzy nad nieprzyjaciółmi.

Mortacjus wybuchnął śmiechem.

- Och, ależ dał drogi panie, naprawdę mi dał. - Chusta dokoła jego szyi rozluźniła się, odsłaniając nie

zasklepioną ranę, którą wcześniej skrywała. Nie zauważył mojego spojrzenia i przesunął czarną chustę na

miejsce. Najwyraźniej chciał zakpić z Janosza.

- Jaka jest największa siła, jaką możesz sobie wyobrazić, mój mały czarodzieju? - zapytał. -
Odpowiedz mi

szczerze i odrazu.

Janosz odparł bez wahania:

- Wiedzieć o wszystkim. Potrafić dotrzeć wzrokiem do najważniejszych sił natury. Oddałbym wszystko co

posiadam, a mam właściwie tylko życie, za jedno takie spojrzenie, prowadzące do pełnego zrozumienie.

- A zatem jesteś głupcem - stwierdził Mortacjus. - Zbyt wiele jest tajemnic, żeby poznać je wszystkie, i zbyt

dobrze są strzeżone... nawet przed bogami.

Janosz otworzył szeroko oczy i pogładził się po brodzie; zachowywał się, jak prostaczek w obecności

wielkiego, rozumnego mistrza. - A zatem jak brzmi odpowiedź, panie? Powiedz mi, proszę, na czym polega

mój błąd.

- No cóż, rozwiązanie jest niezwykle proste. - Oczy czarodzieja rozbłysły samouwielbieniem. -
Największa

moc, jaką może osiąść śmiertelnik... to władza nad duszą innego człowieka.

- Nie rozumiem. - Janosz pokręcił głową. - Wytlumacz jaśniej, bym mógł poszerzyć swoją mizerną

wiedzę.

Czarodziej zatrwożył się, że powiedział zbyt wiele. Potrząsnął głową, jakby odganiał się od natrętej muchy. Wygładził chustę, podniósł kielich do ust i opróżnił go. - Nie - rzucił krótko.

Zgarnął dłonią okruchy chleba z tuniki i wstał.

- Mam nadzieję, że najedliście się do syta, zacni goście. A teraz wybaczcie mi... ale poproszę, byście udali

się na spoczynek. Mam nadzieję, że przypadną wam do gustu wasze komnaty i będziecie spać spokojnie.

Zanim odszedł, ośmieliłem się zabrać głos:

- Dziękujemy, Mortacjusie, za twą gościnność, lecz nie chcielibyśmy jej nadużywać. Za twym łaskawym

przyzwoleniem, jutro o brzasku opuścimy progi twego pałacu... z wielkim żalem.

Czarodziej utkwił we mnie wściekłe spojrzenie pustynnego ptaka. Nie drgnąłem i spokojnie patrzyłem mu

prosto w oczy.

- Zobaczymy - powiedział w końcu, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Janosz pozbiierał okruchy

pozostawione przez czarodzieja i wsadził je do kieszeni. Mrugnął do mnie znacząco i w tej chwili pojawił

się przed nami ten sam człowiek, który nas tu przyprowadził. - Pozwólcie za mną, szlachetni panowie

-

powiedział zdawkowo.

Poprowadził dwie dziesiątki naszych ludzi do ciemnej izby bez okien, ze ścianami z gołego kamienia.

Stojące na kamiennej posadzce miękkie łóżka dziwnie tu nie pasowały. W jednym rogu znajdowała się duża

beczka z wodą i z dużą chochlą zwieszającą się z boku, a w drugim ział ciemny otwór kloaczny. Kiedy sługa

Mortacjusa zamknął za sobą ciężkie odrzwia, Janosz dał nam znak, byśmy zachowali milczenie.

Usłyszeliśmy zgrzyt zasuw, która rozwiała wszelkie złudzenia co do gościnności naszego gospodarza.

Janosz podszedł do drzwi i przesunął delikatnie palcami po chropowatej powierzchni. Wynik badania

wyraźnie go zadowolił. Pokiwał głową z satysfakcją. Odwrócił się do nas i pokazał na migi, że w tym

miejscu zostało rzucone zaklęcie podsłuchujące. Kolejne znaki skłoniły naszych ludzi do położenia się w

łóżkach i udawania, że zapadają w sen. Wraz z setnikiem Maeenem zbliżyłem się do Janosza.

- Tego się właśnie obawiałem - wyszeptał. - Nie ma zaklęcia blokującego drzwi. Jest tylko zwykły rygiel.

- Dlaczego cię to martwi, panie? - zapytał Maeen.

Nagle poczułem straszliwe znużenie i zapragnąłem ułożyć się na miękkim pościeliu. Setnik Maeen ziewnął

przeciągle, a gdy poszedłem w jego ślady, izba rozbrzmiała chóralnym ziewaniem.

Janosz trącił łokciem setnika, by go rozbudzić.

- Przynieś wody - syknął - i to szybko.

Kiedy żołnierz poczłapał ciężko wypełniając polecenie, Janosz ukląkł. Kucnąłem przy nim, próbując

zwalczyć wszechogarniającą senność. Nie mieliśmy wątpliwości, co się stało. Mortacjus rzucił zaklęcie

usypiające na pożywienie. Janosz wyjął okruchy chleba i rozsypał je na podłogę. Pochylił się i odetchnął

192

głęboko. Kiedy Maeen powrócił z chochlą pełną wody, Janosz pokropił okruchy i ulepił ciasto. Dostrzegłem,

że on również walczy z sennością, lecz mimo to uformował ciasto w dwadzieścia miniaturowych

placuszków. Jeszcze raz wsunął rękę do kieszeni, a kiedy ją wyjął, na jego palcach ujrzałem złoty pył z

talerza czarodzieja. Wypowiedział słowa zaklęcia posypując pyłem placki. Patrzyłem w osłupieniu,

jak

ciasto rośnie. Po chwili na kamiennej posadzce leżało dwadzieścia sporych bułek. Ogarnął mnie strach, bo

zobaczyłem jak setnik Maeen osuwa się na podłogę. Poczułem, że ciemny welon przesłania mi wzrok.

- Jedz - syknął Janosz rzucając bułkę w moją stronę. Złapałem je poirytowany, że ktoś przeszkadza mi

usnąć. Ugryzłem mały kawałek, tak jak polecił, i ciasto wydało mi się wyśmienite po okropnym posiłku.

Zaprzagnąłem zjeść więcej. Umysł rozjaśnił mi się, a przyjemny smak rozpędził sen. Janosz zaczął biegać po

komnacie zmuszając ludzi do jedzenia i wkrótce udało mu się wszystkich rozbudzić. Potem podszedł do

mnie. Znów przyłożył palec do ust, po czym tym samym palcem nakreślił koło nad naszymi głowami.

Powtórzył gest i powietrze dokoła zamigotało.

- Cisza - szepnął a migotanie zmieniło się w lśniący wir. - Cisza - powtórzył głośniejszym głosem, a wir stał się

światłem. - Wtedy ryknął pełnym głosem: - Cisza! - Mimo że krzyk o mało mnie nie ogłuszył, zamarł w

zatknięciu z barierą bladego światła. Nie odbił się echem od ścian ani nie wywołał reakcji u naszych ludzi,

którzy obserwowali nas z zaciekawieniem.

- To tyle, jeśli chodzi o pana Mortacjusa i jego głupie zaklęcia - odezwał się Janosz normalnym głosem. -

Teraz możemy w spokoju przedyskutować plan ucieczki.

- A nasi ludzie? - zapytał Maeen. - Czy nie powinni uczestniczyć w naradzie?

- Siła kontr-zaklęcia zaalarmowałaby naszego gospodarza - powiedział Janosz. - Nie możemy nie doceniać

tego człowieka. - Nie odznacza się zbytnią przebiegłością ani bystrością, lecz jego moc przewyższa potęgę

wszystkich magów, jakich do tej pory spotkałem. Pozwoliłem mu wprawdzie odnieść zwycięstwo w tej

niewinnej rozgrywce przy stole i wyczułem zakłęcia usypiające, jakie rzucił na jedzenie, ale nie oznacza to,

że możemy czuć się tutaj bezpiecznie.

- Ucieczka może okazać się trudna - stwierdził Maeen ujawniając zdolność logicznego myślenia - ale nie

niemożliwa. On jest na swoim terenie, lecz my mamy przewagę zaskoczenia. Jeśli chodzi o jego ludzi... no

cóż, większość z nich to istotne kaleki. Nigdy w życiu nie widziałem tylu nieszczęśników.

Janosz, zmarszczywszy brwi w skupieniu, nie słuchał Maeena. - Och, jakim ja byłem głupcem - jęknął. -

Ten łajdak wystrychnął mnie na dudka!

Zapytaliśmy, co się stało, lecz Janosz, ogarnięty furją, pokręcił tylko głową.

- Spróbujcie pomyśleć o ucieczce, a sami sobie odpowiedź na to pytanie - powiedział głosem drżącym z

emocji. - Zastanówcie się nad tym głęboko. Najmocniej jak potraficie. Wyobraźcie sobie, że uciekamy z

tego miejsca i rozważcie wszystko krok po kroku. Najpierw drzwi... potem ulica... a następnie droga, którą

nas tu prowadzono...

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie szlak ucieczki. Drzwi ustąpiły z łatwością, wkrótce biegliśmy drogą

w kierunku portu. Ukradliśmy łódź, lecz gdy znaleźliśmy się na pokładzie gotowi do odpłynięcia, potworny

strach wynurzył się z zakamarków mojej duszy zatapiając zęby w trzewiach. Nie widziałem bestii, lecz

czułem potworny smród jej obecności i palący ból kłów zatapiających w moim ciele. Wiedziałem, że mam

tylko jedyną możliwość ucieczki. Pomknąłem uliczką wracając do budynku, w którym nas

przetrzemywano,

do izby stanowiącej nasze więzienie, po czym z całej siły zatrzasnąłem za sobą drzwi. Otworzyłem oczy

czując ucisk w gardle i zobaczyłem to samo przerażenie na twarzy Maeena.

- Rozumiecie już, co on zrobił? - wycedził przez zęby Janosz. - Mówiłem wam, że niewiele w nim sprytu...

ale, na bogów, nie podejrzewałem, jak bardzo się myliłem. Mortacjus nałożył na pożywienie kilka zaklęć.

Jedno miało nas uspić do momentu, gdy będziemy gotowi. Drugie miało powstrzymać nas od ucieczki.

Jesteśmy uwięzieni w tym upiornym mieście, a pułapkę stanowi nasz własny strach. Jest tylko jeden sposób,

by złamać to zaklęcie. Moja magia na nic się tu zda, więc musimy skraść część jego mocy.

Nie wdawaliśmy się w niepotrzebne dyskusje, ponieważ wyczuwaliśmy, że nawet najciekawsza rozmowa

może wywabić bestię z pieczary. Przystąpiliśmy od razu do działania. Drzwi nie sprawiły żadnego kłopotu.

Na zewnątrz nie ujrzelśmy strażników. Janosz rozkazał ludziom czekać aż do naszego powrotu. Nie mogę

mówić za moich dwóch kompanów, lecz jeśli ten dziennik ma być uczciwy, tak jak przysięgałem, muszę

przyznać, że Mortacjus wlał wielką trwogę w moje serce. Nie czułem się jak dzielny wojownik czy bohater

rycerskiego eposu. Przez całą drogę czułem zimne palce czarodzieja wpijające się w moje plecy i słyszałem

jego szyderczy śmiech. Ogarnęła mnie czarna rozpacz.

193

Podążaliśmy ponurymi korytarzami mijając ciemne, puste komnaty. Drzwi do nich stały otworem, jakby

chciały nas połknąć. Spoza grubych krat dolatywały stłumione jęki. W pobliżu wejścia do budynku,

znajoma, ostra woń oliwy pomieszana z zapachem przepoconej skóry wtargnęła brutalnie w moje nozdrza.

Maeen, niech będzie błogosławiony jego instynkt wytrawnego żołnierza, natychmiast skierował się ku

ostatnim drzwiom tuż przy wyjściu. Drzwi komnaty poddały się pod naciskiem jego dłoni i setnik zniknął

we wnętrzu. Chwilę później stał ponownie przed nami siląc się na słaby uśmiech, podszyty strachem.

Poinformował nas, że trafiliśmy na zbrojownię. Zagłębiliśmy się w chłód nocy z iskierką nadziei, która

miała oświetlać nam dalszą drogę.

Dookoła nie zauważyliśmy żywego ducha, lecz nie złagodziło to wszechogarniającego strachu. Okrążyliśmy

dzieliniec kryjąc się w podcieniach, aż dotarliśmy na tyły pałacu. Po drugiej stronie szerokiego, pustego

pola widniał wielki budynek z dymiącym kominem. Ostrożnie ruszyliśmy w tym kierunku. Wysoko ponad

naszymi głowami wystrzelały w bezksiężycową noc ogniste iskry. Nawet nie ośmieliłem się zastanowić,

dlaczego zdążamy w tę stronę, albowiem każda moja myśl prowadziła do czarnej jamy, z której nie było

ucieczki. Może jakiś bóg zlitował się nad nami; może życiowy patron Janosza, święty Rozsądek; a może

tylko ten mały, ślepy przewodnik, który kołacze w piersi każdej żywej istoty. Wiem tylko, że zobaczyliśmy

przed sobą budynek... i poszliśmy w jego kierunku.

Budynek zamajaczył nad naszymi głowami; ściana z wygładzonego kamienia rozciągająca się w obie strony

daleko w noc. Patrzyło na nas olbrzymie czarne oko łukowatego wejścia, ozdobionego dwiema ciężkimi

kolumnami. Weszliśmy na drogę wybrukowaną kamieniami i napaśliśmy na żelazne bramy. W tej samej

chwili szczęście nas opuściło - usłyszeliśmy dudnienie kroków i zgrzyt ciężko obciążonych wagoników.

Kiedy tak staliśmy nieruchomo - bezradne ofiary przeznaczenia - na zakręcie rozbłysły światłą pochodni. Z

ciemności nocy wychynęła długa procesja, wijąca się niczym brunatna wstęga. Skryliśmy się w cieniu

kolumny i modliliśmy się, by szczęście powróciło i ukryło nas przed przenikliwym wzrokiem naszych prześladowców.

Z ukrycia obserwowaliśmy zbliżający się pochód. Naszym oczom ukazał się szereg ponad dwudziestu

wagoników, do których, zamiast zwierząt, zaprzężono mężczyzn i kobiety odzianych w łachmany. Między

nimi chodzili potężni strażnicy z długimi batami w rękach, którymi biczowali każdego, kto zwolnił choć na

chwilę. Podskoczyłem z wrażenia, gdy żelazne wrota tuż obok zgrzytnęły nagle, przesuając się na naoliwionych wałkach. Wtuliliśmy się w kamienną kolumnę, a po chwili, przy wtórze trzaskających batów,

minął nas widmowy pochód. Powietrze wypełnił słodkawy zapach śmierci. Z przerażeniem dostrzegłem

stosy ciał na wagonikach. Niektórzy nieszczęśnicy żyli jeszcze, na co wskazywały słabe ruchy i ropaczliwe

błagania.

Jedna z kobiet przy trzecim wagoniku zachwiała się w łańcuchach i upadła na kolana. Na strzępach odzienia

widniały plamy zaschniętej krwi. Łachmany pękły, gdy upadła, i ujrzałem otwartą ranę na jej brzuchu, a w

niej połyskujące wnętrzności. Podniosła wzrok i nasze oczy spotkały się na moment, lecz jej spojrzenie było

tak obojętne jak spojrzenie wołu. Rozległ się świst bata i na policzku kobiety rozkwitła krwawa pręga. Nie

okazała bólu czy jakichkolwiek emocji. Wstała tylko, chwyciła łańcuch i ruszyła dalej.

Kiedy przetoczył się ostatni wagonik, Janosz dał znak, że ruszamy. Jednym skokiem znaleźliśmy się w wagoniku i przycupnęliśmy nisko, starając się uchwycić przesiąkniętego krwią drewna. Brama zamknęła się

z trzaskiem, odgradzając nas od zewnętrznego świata. Odwróciwszy się spostrzegłem, że nikt jej nie pilnował. Na chwilę przed tym, jak wagonik wszedł w zakręt, dostrzegłem dziurę przy jednym z olbrzymich

zawiasów. Metalowe pręty były w tym miejscu zgięte i powykręcane. Szturchnąłem Janosza, lecz on również zauważył ten otwór, wystarczająco duży, aby się przez niego przecisnąć. Jechaliśmy ciemnym

korytarzem. Z któregoś wagonika dochodziły nas nieustanne jęki mężczyzny, później usłyszałem płacz dziecka. To rozpaczliwe łkanie wznieciło we mnie gniew, który wywiercił dziurę w pokrowcu czarnej magii

Mortacjusa. Niewielką, ale wystarczającą, aby wsączyła się przez nią cieniutka strużka odwagi. Wciąż bałem

się Mortacjusa. Moje ciało nadal kuliło się i drżało spętane zimną siecią zaklęcia, lecz gdyby czarodziej

zaskoczył nas teraz, zastałby mężczyznę, a nie załęcznionego robaka. Drzwi otwarły się z hukiem i potężny

snop światła zalał długi korytarz. Kiedy zeskoczyliśmy z wagonika, poczuliśmy falę gorąca, która towarzyszyła światłu, rozpalała płuca i zamieniała włosy w parzące szpilki. Zdołałem jeszcze dostrzec

sygnał Janosza i daliśmy nura pod wolno przesuwający się wagonik, używając go jako tarczy i poruszając się

dalej na czworakach.

194

Znaleźliśmy się w obszernej hali bólu i śmierci. Gładka niczym lustro podłoga i wypolerowane ściany

jaśniały w gorącym świetle. Odbijały się w nich najbardziej upiorne sceny. Demoniczne stworzenia

wprawiane w ruch za pomocą czarnej magii wirowały przelatując z jednego miejsca na drugie i tworząc

nieopisany koszmar kłów i szponów, gruchotanych kości i rozdzieranych mięśni. Jedną trzecią izby wypełniał monstrualnych rozmiarów otwarty piec, z którego buchał piekielny ogień. Błękitne jęzory płomieni wiły się niczym jadowite węże doprowadzone do szaleństwa przez intruzów, którzy wtargnęli do

ich gniazda. Ogromne miechy z wielkimi pobrzękującymi łańcuchami nieustannie ożywiały płomienie,

poruszane siłą niewidzialnej woli. Miarowo wypełniały się powietrzem, by wypluwać je w postaci wyjącego

wichru. Nie kończąca się taśma szerokości miejskiej ulicy, wykonana z metalowych, nieruchomych płyt,

zwieszała się nad rozpalonym piecem, poruszana trybami o olbrzymich zębach... a raczej magią. Daleko w

górze, niczym góra, wyrastał olbrzymi komin. Jego wnętrze wyglądało jak czerwona przepaść, najeżona

długimi, białymi szpikulcami przy samym wlocie. Istotna karykatura mrocznego boga, mistrza demonów. To

wszystko, na co teraz patrzyliśmy: izba, piec, ogień, taśma i komin - stanowiło swoisty przekaźnik czarnych

mocy Mortacjusa. Skryliśmy się za załadowanym wagonikiem patrząc w niemym osłupieniu, czym żywi się

potworna istota i co produkuje.

Ludzie z biczami nakazywali wycieńczonym niewolnikom opróżniać kolejne wagoniki. Zwłoki rzucono na

krwawą stertę tuż obok taśmy. Jeśli trafił się ktoś żywy, nadzorcy za pomocą krótkich mieczów i naprawiali

błąd, rozprawiając się szybko z upartym życiem. Kiedy rzeźniczy stos osiągał odpowiednie rozmiary, niewolnicy wrzucali ciała na poruszającą się taśmę. Płomienie podskakiwały wyżej, wiecznie nienasycone.

Miechy świszcząły i zawodziły demoniczną pieśń śmierci. Odwróciłem wzrok, kiedy pierwsze ciało

wpadało do ognia, lecz Janosz kazał mi patrzeć na dzieło Mortacjusa. Zwłoki podskoczyły jak w agonii,

kiedy błękitne płomienie sięgnęły łapczywie i objęły martwe ciało, które jeszcze przez chwilę wiło się i

wyginało na wszystkie strony, po czym wybuchnęło słupem ognia, wysyłając iskry i kłęby czarnego dymu

oraz napełniając powietrze tym obrzydliwym, tłustym odorem, który po raz pierwszy poczuliśmy wkraczając

do tego potwornego miasta. Wijący się dym tworzył czarną, gęstą kolumnę, rozświetlaną przez skaczące

rażno w bezlitosnym tańcu iskry. Kolumna wznosiła się coraz wyżej, docierając wreszcie do zapraszającej,

czerwonej gęby komina. Zebrało mi się na wymioty, gdy zobaczyłem, jak olbrzymie kły miażdżą z upiornym

apetytem swoją ofiarę; ohydne odgłosy, niczym ucztę olbrzyma, i ten dym, gęsty i ciężki od gorących popiołów życia, umykający w ciemność nocy - wszystko to przyprawiało o mdłości.

Janosz szturchnął mnie w bok i znowu utkwilem wzrok na taśmie, na której jakieś zwłoki kończyły swą

piekielną podróż. Usłyszałem jęk Maeena, który dostrzegł to samo, w co wpatrywały się z niedowierzaniem

moje oczy. Zamiast poczerniałej masy zwęglonego mięsa i kości, leżały tam nie naruszone zwłoki. Jedyne

ślądami, jakie widniały na ciele, były krwawe rany, których mężczyzna doznał za życia. Gdy taśma

przetransportowała zwłoki na drugą stronę i ciało upadło ciężko na ziemię, jeden z biczowników zbliżył się i

kopnął je z całej siły. Dalej kopał zapamiętane, jakby śmierć nie dostarczała mu wystarczającej satysfakcji.

Wtedy z całej siły zapragnąłem, aby jakiś łaskawy bóg zabrał mnie z tego koszmarnego miejsca,

alebowiem... zwłoki ożyły. Do nadzorca dołączyło trzech innych mężczyzn i wszyscy razem rzucili

się z

batami na człowieka, który powrócił z krainy umarłych. Zmusili go, żeby wstał. Po raz pierwszy przyjrzałem

mu się dokładniej. Miał długie, niemal białe włosy, i jeszcze dłuższą brodę tego samego koloru.

Przypomniała mi się bitwa, której byliśmy świadkami, zanim nas schwytano i zdałem sobie sprawę, że jest

to ten sam wódz, którego śmierć oglądaliśmy na własne oczy. Teraz stał przed biczownikami.

Usłyszałem wybuch ognia pożerającego inne ciało, a po chwili doleciało mnie znajome mlaskanie

piekielnej maszyny śmierci. Janosz pochylił się i wyszeptał: - Oni nie żyją. Są martwi. - Pokręciłem głową.

Co chciał przez to powiedzieć? Nie było jednak czasu na dyskusje. Janosz dał sygnał Maeenowi, że najwyższy czas wycofać się stąd. Chyłkiem wypelzliśmy z izby.

- Mortacjus nie ożywia zmarłych - wyszeptał Janosz. - On im rozkazuje! Sam o tym powiedział

wspominając, że ma władzę nad duszami ludzkimi. Byliśmy właśnie świadkami działania tej mocy. Karmi

swego Mistrza duszami tych nieszczęśników. W zamian za to Mistrz, kimkolwiek jest, dostarcza mu

potrzebnych magicznych mocy. - Daleko na końcu korytarza usłyszeliśmy następną duszę porywaną ze swej

ziemskiej skorupy. Janosz potrząsnął głową. Nawet w tym potwornym mieście strachu własna, świeżo

zdobyta wiedza napawała go pełną zdumienia satysfakcją.

- No, cóż, od czasu gdy nas pojmano, nie spotkaliśmy tu żywego człowieka. Oni wszyscy są martwi!

Wszyscy, z wyjątkiem Mortacjusa.

195

Nagle przypomniałem sobie otwartą ranę, którą czarodziej za wszelką cenę starał się ukryć przed naszym

wzrokiem. Nie było żadnych wyjątków. Wszyscy nie żyli, Mortacjus również. Jedyнным władcą tego

królestwa była urzędująca w kominie bestia, a jej głównym niewolnikiem - martwy czarodziej.

Powiedziałem o tym Janoszowi i znów dostrzegłem ten wyglądający błysk w jego oczach, z którym dodawał

nowe sekrety do swego sposobu pojmowania i rozumienia świata.

- A co z nami? - rzekł Maeen. - Niech łaskawi bogowie wybaczą nam, że w ogóle przybyliśmy do tego

piekielnego miejsca, lecz w jaki sposób my unikniemy tego pieca? - Plan czarodzieja stał się teraz oczywisty. Nazajutrz mieliśmy dołączyć do nieżywych ludzi, którzy zaludniali to miasto służąc mu jako

niewolnicy - chodzące, posłuszne trupy.

- Rozwiązanie zagadki tkwi w tamtej izbie - odezwał się po namyśle Janosz. - Jeśli przejdziemy żywi przez

ten ogień, skradniemy jednocześnie jego magię. Mortacjus może zarządzać jedynie duszami umarłych.

Zadrzałem wyczuwając w słowach Janosza przerażającą logikę, lecz to, co widziałem, kazało mi przyjąć

jego argumentację.

- Pozostaje wciąż jedno wielkie niebezpieczeństwo - stwierdził Janosz. - Kiedy całą dwudziestką przejdziemy przez ten ogień i zbierzemy się po drugiej stronie, Mortacjus od razu domyśli się, co knujemy.

Kilku z nas, najwyżej trzech, miałoby szansę uciec niepostrzeżenie. Lecz jeśli wszyscy rzucimy mu wyzwanie, wyczuje to, jakby nagle zabrzmiał mu tuż nad uchem ogromny dzwon.

Jeszcze raz byłem świadkiem osobliwego zachowania Janosza. Wiedziałem, że wyobraźnia mego przyjaciela opuściła, to miejsce, zmierzając wprost ku swojej szaleńczej obsesji. Odległe Królestwa wzywały

go ponownie ich, potężny zew wystawiał na próbę jego wytrzymałość. Teraz jednak nie było czasu na

wahanie.

- Jedyнным sposobem, aby dostać się do pieca, jest zabicie strzegących go nadzorców - powiedziałem

starając się myśleć rozsądnie i stłumić targające mną emocje. - Żeby to osiągnąć, musimy działać wszyscy

bez wyjątku.

- Nawet w takim przypadku - wtrącił Maeen - mamy niewielkie szanse powodzenia. Zmniejszą się one

jeszcze bardziej, gdy wydostaniemy się już na ulicę.

Janosz skinął głową.

- A zatem do dzieła - rzucił krótko. - Zmęczył mnie już ten czarodziej. Wydaje mu się, że może nami manipulować, jakbyśmy byli sforą głodnych psów. Nadszedł czas, by pokazać mu, na co nas stać. Zrobimy

to jak prawdziwi wojownicy.

Mimo że i tym razem nie dostrzegliśmy nigdzie strażników, mieliśmy pewne problemy z ponownym wejściem do pałacu Mortacjusa. Janosz poinformował naszych ludzi, czego mogą się spodziewać i ze zdumieniem zarejestrowałem, że żaden z nich nie wzdrygnął się z przerażenia słysząc tę opowieść, ani nie

kwestionował, jej prawdziwości. Możliwe, że przebywanie w mieście martwych dusz znieczuliło nas na

wszelkie potworności. Kiedy zatrzymaliśmy się w odkrytej przez Maeena zbrojowni, w której trzymano

skonfiskowaną nam broń, poczułem, że woli powraca mi odwaga. Pokrzepił mnie widok błyszczącego

ostrza mego miecza, choć zastanawiałem się, czy okaże się on skuteczny w walce z umarłymi.

JEŚLI PANIKA jest siostrą strachu, to właśnie ona dodała nam sił tamtej nocy, podczas gdy jej brat rozpalił

w nas nieposkromioną żądzę krwi. Rzuciliśmy się na nich z zupełnego zaskoczenia - na tych biednych,

pozbawionych duszy ludzi, dzierżących w bezwolnych dłoniach bicze i krótkie miecze, którymi wyrzynali

prostą ścieżkę ku ostatecznemu uwolnieniu. Milczeli, gdy wpadliśmy wyjąc do izby i nie wydali

głosu

podczas całej szaleńczej walki. Powalaliśmy ich na ziemię i przebijaliśmy mieczami; kiedy jednak szliśmy

dalej, by rozprawić się z ich braćmi, wstawali i zachodzili nas z tyłu. Zabijaliśmy ludzi, którzy nie żyli; co

chwila musieliśmy unicestwiać ich ponownie. Odcinaliśmy im kończyny, lecz mieli nadal zęby, którymi

kąsali zaciekle, a odrąbane ramiona z dłońmi, które nie wypuszczały mieczy, cięły we wszystkich kierunkach poszukując nas oślepię swej ofiary. Więc szatkowaliśmy ich na kawałki; odrąbywaliśmy głowy,

patroszyliśmy korpusy, które tocząc się próbowały zwalić nas z nóg. Wyglądaliśmy jak dwudziestu rzeźników, prawie oszalałych ze strachu, nurzających się w rzeźni pełnej mięsa, którego nie wzięły do ust

żaden człowiek, zmagających się z bestiami, które, szlachtowane nie wydawały nawet głosu.

W końcu zakończyliśmy tę niezwykłą walkę. Nasze ubrania ociekały krwią, a twarze przypominały zbroszone posoką maski. Zdawaliśmy sobie sprawę, że cała rzeka krystalicznie czystej wody nie zdołałaby

zmyć plamiącą nas krwi.

196

Piec czekał niecierpliwie, a ponad nim demon karmiący się duszami. Janosz stanął przy poruszającej się

taśmie, która pobrzękując sunęła wśród piekielnych płomieni, smażących dusze wedle smaku demona.

Ponaglił nas, a my pobiegliśmy ku niemu, jakbyśmy byli niewolnikami Mortacjusa. Spojrzałem na transporter i dostrzegłem błękitne płomienie wyskakujące przez kraty, a wyżej usłyszałem kłapanie wielkich

kłów. Na dalekim końcu przekaźnika dusz leżało nasze ocalenie; po tej stronie wieczysta niewola. Janosz

zapropozował, że pójdzie przodem, aby udowodnić swoją teorię. Ostrzegł, byśmy nie odstępowali

go na

krok, ponieważ wyczuł, że czarodziej traci siły. Ja zamykałem pochód pilnując, by tempo marszu nie osłabło.

Wtedy zaszeptał mi do ucha nieproszony gość - zdrowy rozsądek. Posłuchałem go chwilę i już wiedziałem,

o co chodzi. Plan Janosza wydawał się solidny, lecz należało go całkowicie zmienić, czyli odwrócić kolejność, ponieważ w razie gdyby Janosz popełnił błąd, pozostalibyśmy bezradni wobec gniewu czarodzieja. Rozsądek nakazywał, że to ja mam iść pierwszy, a Janosz ostatni... Zamajaczyło coś przede

mną i zorientowałem się, że patrzę w smutne oczy Halaba. Szeptał mi do ucha słowa otuchy i ogrzewał

chłodne przesłanie Rozsądku, bym łatwiej mógł je zaakceptować. Halab sunął obok mnie, gdy podszedłem

do Janosza i powstrzymałem go

na moment przed wejściem na taśmę. Kiedy przedstawiłem mu swój punkt widzenia, Halab uśmiechał się

zachęcająco. Po krótkiej sprzeczce Janosz przyznał mi rację. Na mgnienie oka poddał się emocjom.

Dostrzegłem łzy w jego oczach, a kiedy odwrócił się, by je ukryć, ujrzałem, jak drży mu broda. Objął mnie

ramieniem i wyszeptał, że jestem jedyną osobą, która tak naprawdę w niego wierzy. Nazwał mnie

przyjacielem i bratem i podziękował za tę wiarę. Pozwoliłem mu zachować to kłamstwo jako podarunek ode

mnie, wiedząc, że kiedy włoży go do skrzyni, w której przechowywał podobne skarby, mój dar będzie

osamotniony. Odkąd poznałem Janosza, nigdy nie słyszałem, by nazywał kogoś prawdziwym przyjacielem.

Teraz rozumiem, że był człowiekiem, który wielu lubił, lecz nikogo nie kochał. Z wyjątkiem jednego razu,

lecz wtedy przekleństwo ciężące nad nim pozbawiło to uczucie wszelkiej wartości. A zatem

pozwoiliem mu

wierzy w to kłamstwo. Kiedy wyciagnął ku mnie rękę, uściśniłem tak naprawdę rękę Halaba, a gdy poprowadził mnie do pobrzękującej taśmy, to Halab, a nie Janosz szeptał nieustannie, że szczęście mieszkające w moich czerwonych włosach zdezorientuje pożeracza dusz. Wreszcie to Janosz odszedł na

bok, podczas gdy Halab dotrzymywał mi towarzysztwa, gdy diabelska taśma porwała mnie ku płomieniom.

Otoczyło mnie gorąco i wysssało powietrze sprzed ust, zanim zdążyłem wziąć głęboki oddech; odebrało siłę,

zanim zdążyłem ją w sobie zgromadzić. Gorąco zmiażdżyło mnie niczym młot robaka, zamieniając w drżącą

galaretę, pełną bólu i strachu. Płomienie, rycząc i wypluwając iskry, zmiotły mnie do tunelu błękitnych

płomienistych węży, które atakowały ze wszystkich stron. Poczułem, jak rozszalałe płomienie obdzierają

mnie ze skóry, katując obnażone nerwy; niedługo zamienię się w popiół, piec czarodzieja wypali moją krew

i wysuszy kości. Wszystko, nawet mój krzyk pożerał powoli ogień. W końcu zostały mi tylko oczy, którymi

widziałem drgającą paszczę demona, uszy, odróżniające szczęk kłów, oraz umysł, skupiony na bolesnej

teraźniejszości i zatrwajającej przyszłości. Wtedy Halab pochylił się, odgradzając mnie od demona. Z jego

ust popłynęła pieśń, moja ulubiona piosenka z dzieciństwa, która zagłuszyła wszystkie przerażające odgłosy. Poglaskał moje obolałe ciało i poczułem, jak kości i krew ozywają na nowo. Powiedział, że już

niedaleko... Muszę wytrzymać jeszcze odrobinę bólu, a wtedy wszystko minie. Z olbrzymią ulgą znowu

poczułem się sobą. Uświadomiłem sobie, że dusza opuściła mnie na jakiś czas. Powitaliśmy ją z radością,

moje ciało i ja. W chwilę później zeskoczyłem z taśmy, silny i pełen werwy, jak zawsze. Zakrzyknąłem do

moich przyjaciół przez ścianę płomieni, by pośpieszyli za mną. Czekał nas jeszcze pojedynek z czarodziejem.

Setnik Maeen ruszył jako drugi, a za nim Poszła reszta. Na ich twarzach nie widziałem nawet śladu cierpienia, którego ja doświadczyłem przechodząc przez palenisko pod głodnym demonem: leżeli nieruchomo, jakby odpoczywali. Później mówili, że odczuwali to samo cierpienie i przerażenie co ja, lecz

jakaś duchowa obecność towarzyszyła im podczas piekielnej drogi, kojąc ból. Twierdzili zgodnie, że ów

duch wyglądem przypominał mnie. W końcu przyszła kolej na Janosza. Stał na taśmie z szeroko rozstawionymi nogami i ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Na jego twarzy było widać głęboką koncentrację. Nagle jego ciało rozblęskło złotawym światłem. Błękitne płomienie podskoczyły wyżej, a

głodny demon zawył rozpaczliwie. Ogień wydawał się bezsilny wobec złocistej poświaty. Płomienie cofnęły

się i skurczyły, zmieniły się w roztańczony żar i... zgasły. Demon ponad naszymi głowami umilkł, paszcza

197

zastygła rozwarta w śmiertelnym grymasie, a czerwona, nieruchoma gęba poszarzała. Janosz, wielki złodziej

magii, zeskoczył z kraty. Zanim jednak zdążyliśmy dobiec do niego, zagrzmiął wściekły głos:

- Cóżeś uczynił, Szary Płaszczu? - Rozpoznałem Mortacjusa. - Zaczekaj na mnie, nędzny szamanie! Idę do

ciebie!

Janosz nie czekał. My też nie. Umknęliśmy z tego straszego miejsca co sił w nogach. Wpadliśmy w ramiona zimnej nocy i popędziliśmy brukowaną aleją, trzymając broń w pogotowiu. Za plecami usłyszeliśmy huk eksplozji. Wrota diabelskiego pałacu rozprysnęły się nagle na tysiące kawałków.

Dymiącą

bramą wypadła olbrzymia kula ognia, równie niebieska jak płomienie w piecu, ciskając zygzakami błyskawic, które wrywały kamienie z ulicy. Głos czarodzieja zaskrzeczał z wnętrza ognistej kuli: - Uciekaj,

marny szamanie, uciekaj! - Za naszymi plecami rozległ się skrzekliwy śmiech.

Ten śmiech dodał mi sił. Biegliśmy tą samą ulicą, którą wcześniej nas tu przyprowadzono, mijając jednookie domostwa umarłych. Zaczęliśmy zwalniać, kiedy zabrakło nam sił w nogach. Radosny śmiech

Mortacjusa zmieniał się w szaleńczy rechot, w miarę jak kurczyła się odległość między nami. Ognista kula,

którą okiełznał, sprawiała, że daleko z przodu widzieliśmy swoje cienie. Och, jak bardzo pragnęliśmy być

tymi cieniami! Tuż za sobą słyszałem chrapliwy oddech Janosza. Myślałem, że się potknął, lecz on pochylił

się, by podnieść kamień. Z kamieniem w dłoni stanął na drodze Mortacjusa. Kiedy podbiegłem do niego,

wyciągnął miecz i uderzył kamieniem o ostrze. Ze lśniącego metalu wyskoczyła radosna iskra. Przy

następnym uderzeniu jeszcze większa iskra pomknęła łukiem ku ognistej kuli, zmierzającej w naszym kierunku.

- Mam cię, marny szamanie - grzmiał Mortacjus. - Za trzecim uderzeniem ostrze eksplodowało. Błyskawica

wystrzeliła zamieniając się w deszcz poszarpanych gwiazd, które opadły wprost na naszego prześladowcę.

Gdy dotknęły złocistej kuli, rozpadła się przy wtórze głuchego grzmotu, wyrzucając Mortacjusa ze swego

wnętrza. Czarodziej przez jakiś czas koziółkował bezwładnie, po czym runął jak długi na kamienistą drogę.

Przez chwilę leżał nieruchomo w karmazynowej kałuży swoich szat. Mało brakowało, a dalibyśmy się

nabrać, bo właśnie szykowaliśmy się, by podbiec i skończyć z nim. Czerwone szaty drgnęły, a po chwili

zamieniły się w szkarłatne skrzydła. Rzuciliśmy się do ucieczki co sił w nogach, podczas gdy skrzydła

unosily Mortacjusa w góre. Straszliwy skowyt targnął powietrzem - zew krwi, zapowiedź łowów, któremu

odpowiedziały liczne głosy. Z beznadziejnych domów wysypali się niewolnicy czarodzieja. Poczuli ciepłą

krw i ruszyli za nami. Wpadliśmy w ostatni zakręt przed przystanią, mając za plecami sforeę milczących

wilków z popędzających ich skrzydlatym mistrzem. Nasi towarzysze mocowali się już ze sznurami próbując

odcumować łodzie, lecz znieruchomieli ujrzawszy, jak zbiegamy ze wzgórza. Nie było już czasu na ucieczkę. Pozostała jedynie walka.

Usłyszałem, jak setnik Maeen rzuca krótkie rozkazy i zdumiałem się, gdy nasi przyjaciele odparli pierwszą

falę natarcia. Stanęliśmy zwartym szeregiem w poprzek jednego z pomostów, zmuszając wrogów, by atakowali małymi grupkami. Mortacjus zataczał koła na nocnym niebie, wzywając swych niewolników do

ostatecznego ataku. Miała to być powtórka z ostatniej walki, lecz w obliczu przeważających sił

nieprzyjaciela nie mogliśmy mieć nadziei na choćby podobny rezultat. Z jednej z zacumowanych w pobliżu

barek wytoczyliśmy beczkę z dziegciem i podpaliliśmy przystań. Prawdziwy ogień z rzeczywistego świata

zapłonął żywo, podsycany dziegciem i spróchniałym drzewem, a nie zaklęciami, po czym przeistoczył się w

rozszałałą rzekę płomieni. Napastnicy zmieniali się w ruchome pochodnie, a potem w proch, podobnie jak

ich broń. Pozbawieni własnej woli, nie czując bólu, posuwali się naprzód. Każdy szereg czekał cierpliwie na

swoją kolej, a następnie wkraczał w ścianę ognia. Wysoko w górze Mortacjus przeklinał ich popioły, wzywając coraz to nowe zastępy żołnierzy

- niewolników.

Nabrzeże pokryło niezliczone rzesze żywych trupów, a setki innych napływały kamienistą aleją. Mortacjus

budował pomost z ich popiołów i spalonych kości. Musieli się jednak śpieszyć, bo ów ogień nie był wytworem mistrza, który nim władał: z jednej strony był naszą tarczą, z drugiej wrogiem, który systematycznie spychał nas do morza. Mortacjus wysłał swoich, ludzi do wody, by wpływ dotarli na nasze

tyły. Czarodziej zbliżył się jeszcze bardziej, szyderczo wyśmiewając nasze beznadziejne położenie.

Jakaś ręka wysunęła się przez połamane deski chwytając Janosza za stopę. Podskoczyłem ku niemu krzycząc ostrzegawczo i odciąłem ją mieczem. Potoczyła się po pomoście. Mortacjus zachichotał i zawisł

nisko nad ziemią. Janosz podniósł odciętą rękę i włożył miecz w drgającą dłoń. Martwe palce zacisnęły się

mocno. Podrzucił ostrze do góry. Z ręką zaciśniętą na jelcu miecz zamienił się w upiorną włócznię: zdawało

198

się, że prowadzi ją fantom, gdy mknęła w stronę Mortacjusa. Śmiech zamarł nagle, kiedy miecz ugodził go

prosto w oko. Zawył z bólu i gniewu i runął wprost do wody. Zobaczyliśmy, jak znika pod falami, lecz nie

zdążyliśmy się z tego ucieszyć, bo musieliśmy stawić czoło jego niewolnikom, którzy wdrapywali się na

most z popiołów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ich mistrz wkrótce wyłoni się z odmętów, by ponownie

zagrzewać ich do walki.

Pomodliłem się do bogów, moich stwórców, i przesłałem ostatnie podziękowania Halabowi. Dymiący

kształt wyłonił się z płomieni. Uniosłem miecz w oczekiwaniu.

Wtedy los odwrócił się jeszcze raz, wysyłając ku nam od morza tchnienie nadziei. Głęboki, krystaliczny

głos magicznego dzwonu rozbrzmiał pośród fal zagłuszając wszelkie inne głosy. Wypełnił ciemną noc.

Dzwon zabrzmiał ponownie i poczuliśmy, jak spływa na nas spokój. Melodyjny całun stłamsił płomienie.

Niezwykłą pieśń usłyszeli nawet umarli. Znieruchomieli, odwracając głowy w zasłuchaniu. Kiedy rozbrzmiało ostatnie echo dzwonu, niewolnicy Mortacjusa rzucili broń, odwrócili się na pięcie i rozbiegli na

wszystkie strony.

Z ciemności wynurzył się wspaniały drakar z lśniącym białym żaglem i radosnymi iskierkami tańczącymi na

rei i maszcie. Nigdy w życiu nie widzieliśmy tak majestatycznego okrętu. Sunął ku nam jak na zaczarowanych skrzydłach, jako że nie było wiatru, który mógłby wypełnić wielki żagiel. Usłyszałem, jak

Janosz wstrzymuje oddech, a może to ja westchnąłem zdumiony, kiedy oczom naszym ukazało się godło:

olbrzymi, zwinięty wąż na tle promiennego słońca.

Kiedy statek podpłynął bliżej, niczym wdzięczny łabędź na tle czarnej toni, uświadomiłem sobie, że wszystko, czego doświadczyliśmy wcześniej, było swoistym testem, a Mortacjus - najcięższym sprawdzianem. Dziękowałem bogom, że go przeszliśmy.

Jakiś głos zawołał do nas z pokładu:

-Ahoj, poszukiwacze! - Głos ten był równie melodyjny jak dzwon. Ujrzałem wołającego człowieka - postawnego mężczyznę odzianego w białe, lśniące szaty. Krzyknął znowu: - Niesiemy pozdrowienia... z

Odległych Królestw!

Janosz chwycił mnie za ramię w radosnym uniesieniu, a powietrze zadrżało od wiwatów naszych

towarzyszy. Gdy szalupy statku dotknęły powierzchni morza, moja radość przyćmiła wszelkie rozterki.

Cieszyłem się tak zapamiętale jak pozostali.

W taki właśnie sposób odkryliśmy Odległe Królestwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Odległe Królestwa

Oczekiwanie jest jak niestała bogini, lecz wiedza o tym nic nie pomaga, kiedy owa bogini postanowi nareszcie spełnić nasze. Obietnica to jej największy atut; im dłużej boginii każe jej tańczyć tuż przed tobą,

tym chętniej za nią podążasz. Poczułem dotkliwy smutek, kiedy w końcu oddaliła się w tańcu i straciłem ją z

oczu; tym większa była moja radość, gdy wreszcie padła w moje objęcia. To właśnie Oczekiwanie pchało

mnie wytrwale ku Odległym Królestwom, jednocześnie stanowiąc wspaniałą obietnicę dla wielu serc, które

pozostały w ojczyźnie. Niosłem ze sobą ich marzenia.

Zastanawiałem się, jaką wizję ujrzę najpierw. Czasami myślałem, że będzie to złote miasto, oślepiające

swym blaskiem, o smukłych wieżach i niezwykłych pałacach. Innym razem wyobrażałem sobie żyzne pola i

przepiękne łąki, a tu i ówdzie rozsiane spokojne zagrody i białe domy skąpane w powodzi wielobarwnego

kwiecia. W marzeniach zawsze jednak patrzyłem na tę krainę z dużej wysokości: ze skalistego szczytu, albo

z wysuniętego cypla. A tak naprawdę to do celu swej życiowej wędrówki dotarłem tak, jak przystało na

obywatela Orissy. Podobnie jak moja wyprawa rozpoczęła się od rodzinnej rzeki, tak inna wielka rzeka

przywiodła mnie do kresu owej podróży.

Wypłynęliśmy na morze, które zabrało nas daleko od złych ziem Gomalalee. Główny żagiel złapał wiatr w

swe potężne płuca prezentując w całej okazałości godło Odległych Królestw. Kiedy zbliżyliśmy się do

szerokiego ujścia rzeki dzwon na ogromnym statku oznajmił nasze przybycie. Odpowiedział mu inny dzwon

199

z oddali. Przypadliśmy do relingu, wyglądaliśmy oczami wypatrując pierwszego śladu bogini, która nas tu

przywiodła. Droczyła się z nami, osnuwając się delikatnym welonem bladobłękitnej mgły. Następnie uniosła

go nieco przed naszym białym statkiem, a błękitne opary oplotły wdzięcznie żagle. Lekki wiatr rozwiął w

końcu resztki mgły i powietrze stało się przejrzyste. Najpierw dostrzegłem wyrastającą ze środka rzeki

szmaragdową wieżę, smukłą i ostro zakończoną. Na szczycie umieszczono cudowne zwierciadło, które

obsypało statek niezliczoną ilością świetlistych motyli. Poczułem przyjemne łaskotanie, gdy jeden usadowił

mi się na twarzy, aby subtelną magią zbadać moje intencje! Zawahał się napotykać zakłęcie ochronne,

które Janosz rzucił na każdego z nas po wejściu na pokład statku, lecz najwyraźniej nie poczuł obrazy.

Pierwszym wrażeniem słuchowym po wpłynięciu na teren Odległych Królestw był melodyjny trel

niezliczonych ptaków, które wyleciały z lasu wysokich, prościutkich drzew pachnących miętą i furkotały

nam nad głowami, tworząc istną mozaikę kolorów. Przyjrząwszy się zauważyłem, że ptaki dorównują

niemal wielkością dorosłym orłom: szpony połyskiwały jak metalowe ostrogi, a masywne dzioby były

przystosowane do rozszarpywania ofiary. Na obydwu brzegach rzeki ujrzelśmy kwietne ogrody. Ku naszej

uciesz, jeden z nich odłączył się od pozostałych i teraz unosiła się na wodzie słodko pachnącą wyspą z

kwiatów. Kiedy przepływała a przed dziobem naszego statku, jakiś głos zawołał ku nam z fioletowej gęstwiny. Kiedy nasz kapitan odpowiedział, z kwiecica wyłoniły się lśniące ostrza włóczni.

Pierwsza myślą, jaka towarzyszyła mi, gdy mijaliśmy wrota miasta, było porównanie tego powitania do ręki

w aksamitnej rękawicy, skrywającej stalową pięść. Zadrzałem, chociaż byłem zadowolony, że ci ludzie

nazywali nas przyjaciółmi, a nie wrogami. Kiedy okrążyliśmy wysokie wzgórze, wszystkie złe myśli rozpierchły się na cudowny widok, jaki pojawił się przed nami. Rzeka wiała się łagodnymi meandrami

niczym zwycięski wąż pośród przymglonych łąk i błękitno-zielonych lasów. W oddali wystrzelała ku niebu

majestatyczna góra, olśniewająca błękitem i przyciągająca wzrok niczym światło przewodnie. Pod nią, jak

nam powiedziano, znajdował się cel naszej wyprawy: miasto Irayas, skąd wielki król Domas władał wszystkimi ziemiami Odległych Królestw.

Wiele dni podróżowaliśmy po rzece, a każdy dzień ukazywał nam tysiące nowych cudów. Pierwszego dnia

mijaliśmy hałaśliwe miasto portowe, trzykrotnie większe od Orissy. Łodzie i statki pływały wokół nadbrzeży, gdzie silni tragarze ładowali najprzeróżniejsze towary. Miasto zachwycało czystością i brakiem

charakterystycznego portowego smrodu. Budyneków nie łączył żaden wspólny rys architektoniczny.

Najwyraźniej zostały stworzone po to, aby cieszyć i zdumiewać oczy różnorodnością kształtów, rozmiarów i

barw. Kapitan Utorian, nasz gospodarz i emisariusz króla, twierdził, iż ów port stanowi centrum handlowe

królestw, które rozpościerały się po obu stronach rzeki i ciągnęły wiele mil poza świetlistą górę. Powiedział

nam, że królestwo króla Domasa składa się z jedenastu księstw. Każdym z nich włada książę, który poprzysiągł wierność królowi. Na terenach owych księstw znajdowało się siedemdziesiąt wielkich miast

oraz wiele mniejszych. Najwspanialszym ze wszystkich było Irayas, siedziba sprawiedliwości i władzy.

Powiedział, że ziemie, które nazywaliśmy Odległymi Królestwami, nazywają się w istocie Vacaan, na cześć

najwyższego boga Pradawnych, którzy przez ponad tysiąc lat mądrze rządzili tą krainą, zanim nie odeszli z

niewyjaśnionych dotąd przyczyn. Mówił, że w Vacaan można natknąć się na ruiny stanowiące pozostałości

starożytnych miast oraz na pradawne ołtarze na szczycie góry.

Utorian okazał się wspaniałym gospodarzem. Wytrwale i w miarę swoich możliwości odpowiadał na wszystkie pytania, a jeśli nie był czegoś zupełnie pewien, pozostawiał do wyjaśnienia w Irayas. Załatwił też,

aby opatrzone nam rany. Mogliśmy do woli korzystać z łaźni i przydzielono nam wyjątkowo wygodne kajuty. Jedynymi słowami, które znał w naszym języku, były te, którymi nas zawołał, kiedy przybył zabrać

nas z bezdusznego miasta Mortacjusa. Jednak ledwie zdążyliśmy wejść na pokład, jeden z oficerów podał

nam przezroczyste gąbki i nakazał gestem zlizać pokrywającą je wilgoć. Spełniliśmy prośbę i... od tej chwili

bez problemu mogliśmy porozumiewać się w ich języku.

To właśnie na początku podróży cudownym statkiem Janosz rzucił na nas zaklęcie ochronne. Chociaż kapitan i jego załoga sprawiali wrażenie przyzwoitych ludzi, Janosz przypomniał, że dopiero co występowaliśmy w roli „honorowych gości”, więc lepiej będzie, jeśli zachowamy ostrożność na wypadek

,gdyby ci gospodarze mieli podobne intencje. Nie trzeba nam było długo tłumaczyć. Janosz korzystał ze swej

nowej siły, zyskanej dzięki spotkaniu z Mortacjusem. Powiedział, że choć zakłęcie opiekuńcze nie odsunie

od nas ostrza mordercy, ostrzeże nas ono przed niebezpieczeństwem. Po takim ostrzeżeniu sami będziemy

musieli zdecydować się na ukrycie, walkę czy też skorzystanie z czyjejs pomocy. Zakłęcie było rozsądnym

środkiem ostrożności, lecz wkrótce, przebywając w towarzystwie Utoriana, zapomniałem, że w ogóle

200

jesteśmy pod jego wpływem, z wyjątkiem chwili, gdy ciekawskie światelka z wieży przypomniały mi o jego

istnieniu.

Kiedy się trochę odświeżyliśmy, Utorian zaprosił mnie i Janosza do swojej kajuty, gdzie gawędziliśmy miło

popijając grzane wino, którego kojący smak łagodził skutki ostatnich przeżyć. W niewielkiej kabynie stały

wygodne, niezwykle fotele oraz stolik, który pozostawał nieruchomy bez względu na wysokość fal.

Drewniane ściany pokryte były malowidłami. Na najszerzej wisiała jedyna prawdziwa dekoracja

pomieszczenia: jedwabna chorągiew, na której widniał błękitny zwinięty wąż na tle złotego, promiennego

słońca. Utorian nosił podobne godło na swym białym uniformie. W kajucie była też stojąca w rogu koja,

pokryta materiałem dobrym do koloru sukna na fotelach: kolorem sukna pokrywającego siedzenia,

zauważyłem jeszcze stół nawigacyjny oraz zamykaną szafkę, niewątpliwie zawierającą osobiste rzeczy

kapitana i mapy. Jeden szczegół szczególnie przykuł moją uwagę: przez dziurę w suficie zwieszała się złota

lina. Utorian wyjaśnił, że jest połączona z dzwonem. A więc to był ów zaklęty instrument, który zmusił do

ucieczki Mortacjusa i jego niewolników.

Zanim zasypaliśmy go gradem pytań, Utorian poprosił o cierpliwość i wyjaśnił swoją obecność w

Gomalalee. Powiedział, że król Domas wraz ze swym młodszym bratem, księciem Ravelinem, z wielkim

zainteresowaniem śledzili postępy naszej wyprawy. Nie czynił tajemnicy ze sposobu, w jaki to robili.

Korzystali z paru czarodziejskich przyrządów, a poza tym uzyskiwali informacje od gęsto rozmieszczonych

szpiegów oraz od tajemniczych jeźdźców, których nazywaliśmy Strażnikami. Powiedział, że Strażnicy nie

podlegają królowi, lecz są koczowniczym plemieniem czarodziejów, którzy odrzucili towarzystwo

śmiertelników i bez wytchnienia włączają się po tej krainie z przyczyn znanych tylko sobie. Wiele lat temu

królestwo zawarło z nimi układ, polegający na wolnej wymianie handlowej magicznych towarów w zamian

za informacje potrzebne do ochrony Vacaan przed nie chcianymi gośćmi.

- Musicie wiedzieć - mówił Utorian - że do czasu, gdy otrzymałem rozkazy, aby was uratować, żadnych

przybyszów nie witaliśmy tak miło. Z tego co mi wiadomo, jesteście pierwszymi obcymi, którzy przybyli na

nasze ziemie od czasu, gdy wzniesliśmy z ruin miasta pozostawione przez Pradawnych. Nie potrafię

wytłumaczyć, dlaczego nasz król zmienił zdanie, lecz jako wolny i lojalny poddany, mogę was zapewnić, że

kieruje się on szczytnymi intencjami. Kiedy z nim porozmawiacie, nikt nie zabroni wam bezpiecznie

powrócić do ojczyzny. Chociaż nie wyjawiał mi powodów, mogę się ich domyślać. Nie jest wielką tajemnicą

na dworze, że od jakiegoś czasu król Domas zastanawia się, czy po tych wszystkich latach unikania

kontaktów ze światem zewnętrznym nie staliśmy się trochę zacofani. Uważam więc, że wasze pragnienie

wiedzy było powodem jego postępowania.

Kapitan poprosił, byśmy czuli się zupełnie swobodnie na jego statku. Mogliśmy pytać o wszystko i chodzić

tam, gdzie nam się podoba. Wymagano tylko od nas, żebyśmy pozostali w swych kabinach podczas przeprowadzania namiarów. Bardzo za to przeproszał tłumacząc, że ma zakaz pokazywania map i przyrządów - tu wskazał na zamkniętą szafkę - ponieważ są one ściśle tajne. Dodał jednak, że kiedy spotkamy się z królem, wiele z tych sekretów zostanie nam wyjawionych.

Utorian napełnił jeszcze raz kielichy i wznieśliśmy toast za świetlaną przyszłość naszych narodów. Z jego

słów i tonu mogłem wywnioskować, że tak naprawdę uważał, iż z naszych kontaktów najbardziej skorzysta

Orissa. Opinię tę podzielali prawie wszyscy mieszkańcy Odległych Królestw. Nie byli oni zbytnio zainteresowani światem, z którego przybyliśmy. Jedyne nasza podróż wzbudziła w nich spore

zaciekawienie i nalegali, byśmy szczegółowo opowiedzieli o przygodach. Potem ciekawość wyparowała jak

kałuża na pustyni. Przyczyna wydawała się oczywista. W Vacaan było tyle cudów, że zabrakłoby stron w tej

księdze, gdybym chciał je wyliczyć. Ludzie zbierali zawsze obfite plony. Ich magowie radzili sobie z większością chorób, a mieszkańcy mieli do wyboru nieskończoną zdawało by się gamę przyjemności. Nic

więc dziwnego, że stawiali się ponad resztą ludzkości i nie potrafili sobie wyobrazić, że ktoś może im

zapropnować cokolwiek wartościowego. Gdy im opowiadałem o jakiejś oryginalnej myśli, osiągnięciu

artystycznym czy innym ważnym dokonaniu, będącym źródłem dumy Orissy, natychmiast pokazywali mi

coś, przy czym nasza ojczyzna prezentowała się niezwykle blado. Z początku niezbyt mnie to irytowało,

raczej bawiło. Po jakimś czasie spostrzegłem jednak, że problem jest ważniejszy niż mi się wydawało.

Oczywiście nie mogę zaprzeczyć, że w miarę jak płynęliśmy w górę rzeki, cuda, które oglądaliśmy, przyćmiewały prawie wszystko, z czym do tej pory się spotkaliśmy. Jednym z nich była sama rzeka. Porównałem ją wcześniej do wielkiego węża i ten opis wydaje się najwłaściwszy, skoro właśnie ten gad

201

widnieje na sztandarach Odległych Królestw wraz z promienistym słońcem symbolem magicznej mądrości -

mieszkańców tej ziemi.

Wyobraźcie sobie błękitnego zwiniętego ciasno, ułożonego tak, że tylko głowa i szyja odstaje od całości.

Teraz wyobraźcie sobie, że ów wąż jest rzeką, a jego głowa to górny bieg, którym podróżowaliśmy, a sami

się przekonacie, że choć odległość zdawała się ogromna dla statku, ptak przeleciałby ten dystans w bardzo

krótkim czasie. Nie zamieniłbym jednak naszych żagli na chyże skrzydła, ponieważ w miarę jak rzeka zataczała coraz szersze kręgi, my mogliśmy podziwiać wszelkie wspaniałości Odległych Królestw.

Rzeka wpływała na coraz wyższy teren, w miarę jak przepływaliśmy przez Vacaan. Nie widziałem żadnych

śluz, a jedynie niewyraźne migotanie, za którym wpływaliśmy na wyższy poziom. Utorian stwierdził, że

czarodzieje już dawno ujarzmili rzekę. Pokazał nam, że nigdzie nie ma śladów powodzi i wyjaśnił, że w

równym stopniu opanowali zjawiska przyrodnicze, przywołując deszcze tylko po to, by uzupełnić ubytki

wody. Potrafili również zmieniać koryto rzeki, ułatwiając w ten sposób wieśniakom irygację i zapewniając

tym samym obfite plony. Dodał, że zbiory pochodziły z błogosławionych nasion, odpornych na choroby i

Pasożyty. Pomyślałem o naszych zapracowanych rolnikach, kiedy mijaliśmy te niewyobrażalnie żyzne pola i

sady. Przypomniałem sobie z goryczą potworną powódź i głód, których dopiero co doświadczyliśmy.

Modliłem się do bogów, żeby ta wyprawa usunęła cierpienie z naszych serc. Widzieliśmy lasy rojące się od

dzikiego zwierza, wzgórza poprzetykane żyłami cennych metali i drogich kamieni, pastwiska, z których

dochodziły porykiwania nieprzebranych stad rogacizny. Widzieliśmy najróżniejszych ludzi, wieśniaków,

kupców i włodarzy - pogodny, spokojny, nie znający zmartwień i nieszczęścia. Nawet mężczyźni w podeszłym wieku zwracali uwagę imponującym wyglądem, a i na kobietach miło było zawiesić spojrzenie,

jako że czas naznaczał ich rysy jedynie mądrością i godnością. Roześmiane gromady dzieci, zda się najszcześliwszych pod słońcem, biegały wszędzie swawoląc co sił. Właśnie ich przenikliwy śmiech docierał

najczęściej do naszych uszu.

Utorian wyjaśnił, że wszystkie dzieci uczęszczają do szkół, lecz tylko te o najbystrzejszych umysłach i

niespotykanych talentach są wybierane do dalszego etapu edukacji. Potem mogły dostąpić wszelkich zaszczytów w społeczeństwie. Słyszac te słowa pomyślałem o Halabie i pożałowałem, że nie urodził się w

takim kraju.

Patrzyliśmy na liczne miasta przycupnięte wzdłuż brzegów rzeki, a wszystkie imponowały swym wyglądem. Niektóre zachwycały różnorodnością, jak ów port, przez który przepływaliśmy podczas

pierwszego dnia rzecznej rejsu. Inne wzniesiono z rzeźbionego białego marmuru, lub bogato inkrustowanego drewna, a nierzadko z połyskującego w słońcu metalu. Zabudowa współgrała z okolicznymi

lasami, strzeliste wieże połączone były ażurowymi krużgankami, a w przytulnych domostwach o spadzistych

dachach można było dostrzec kuchenne paleniska przez lśniące czystością okienka. Każde mijane miasto

zaskakiwało nas czymś niezwykłym, a kiedy myśleliśmy, że nic już nie może nas zdumieć, za następnym

zakolem rzeki oczekiwał nowy cud. Wreszcie dotarliśmy do Irayas - miasta najwspanialszego ze wszystkich.

Ujrzeliśmy je nagle i bez uprzedzenia. Kanał prowadził na wschód oddalając się od góry, po czym ni stąd,

ni z owąd jego brzegi cofnęły się w głąb lądu, zamieniając w odległe wstęgi zieleni. Rzeka przeobraziła się

w jezioro, na którego brzegach leżało majestatyczne Irayas. Nasze zmysły zdrząły pod wpływem płynącej z

niego magii niczym ochocze struny pod palcami mistrza harfy. Irayas było miastem światła i wody.

Zachodzące słońce malowało wszystko szkarłatem. Jego promienie migotały na kryształowych wieżycach,

odbijając się od złotych kopuł. Poniżej płynęła rzeka, przypominająca lustro w zamierającym świetle dnia.

Odgłosy dzwonek i trele ptactwa wypełniały powietrze przesycone wonią nocnych kwiatów.

Takie widoki są jak wino dla spragnionego wędrowca: kiedy raz skosztuje, nie będzie mógł przestać.

Pociągaliśmy z owego pucharu, dopóki szary całun zmierzchu nie przywrócił nam odrobiny zdrowego

rozsądku. Irayas miało w zanadrzu coś jeszcze, na przekór mrokom nocy. Wstrzymaliśmy oddechy w

zdumieniu, gdy nad miastem zajaśniała luna światła. Szklane wieże zmieniły się w jasne fontanny, a złote

kopuły promieniowały blaskiem. Kanały przecinające miasto oświetlono długimi rzędami jaśniejących kul.

Zgiełk miasta nie ucichł nawet na moment i zdałem sobie sprawę, że magowie Irayas przedłużyli dzień.

Tamtej nocy spaliśmy na pokładzie statku. Tyle myśli kłębiło mi się w głowie, że sen wydawał się

niemożliwy, lecz wyczerpanie wzięło górę i po jakimś czasie zamknąłem znużone powieki. Zbudziły mnie

dźwięki dzikiej muzyki i wesołe okrzyki. Czyż to nie cudowne, przeszło mi przez myśl, że na każdym

nabrzeżu, bez względu na wielkość miasta, zawsze można znaleźć miejsce z mocnymi trunkami i dobrą

rozrywką? Ponownie zapadłem w objęcia snu.

202

Nazajutrz, tuż po brzasku, Utorian poprowadził nas przed oblicze króla. Pałacowe pomieszczenia zajmowały ponad połowę z dziesięciu wysp tworzących centrum imponującego miasta. Soczysta zieleń

przystrzyżonych trawników, ogromne drzewa, kwiaty i egzotyczne rośliny przykuwały uwagę; tu i ówdzie

przechadzały się łagodne zwierzęta, śpiew ptaków radował serca przechodniów, a wspaniałe posągi wychodziły naprzeciw ich artystycznym usposobieniu. Liczne kopuły pałacu odlano z czystego złota, podobnie jak portale i kolumny wspierające szklane ściany, które ściemniały się same pod wpływem gorących promieni słonecznych.

Strażnicy odziani w złoto-białe tuniki strzegli korytarzy olbrzymiego pałacu, lecz Janosz zauważył, że ich

broń była wyłącznie dekoracyjna i nie nadawała się do walki. Wkroczyliśmy do olbrzymiej sali tronowej.

Wydawała się jeszcze większa dzięki szklanemu sklepieniu; części przejrzyste wpuszczały do środka światło

dnia, natomiast lustrzane odbijały tłumy ludzi zasłuchane w słowa władcy. Liczne schody prowadziły na trzy

kolejne kondygnacje, a ściany było ozdobione przepięknymi płaskorzeźbami.

Najniższy poziom był najbardziej zatłoczony, a po strojach domyśliliśmy się, że wypełniają go prości ludzie;

na drugim stroje i zachowanie mniejszej grupy wskazywały na wyższą pozycję w hierarchii społecznej;

ostatni, przeznaczony dla możnowładców i magów, świecił pustkami. Nieliczni dostojnicy przechadzali się

zatopieni we własnych myślach lub mądrych rozmowach. Ponad zgiełkliwym tłumem wznosił się

szeroki

podest ze złotym tronem. Na łukowatym oparciu widniał olbrzymi królewski herb.

Znużony król Domas siedział niedbale, rzucając od czasu do czasu obojętne spojrzenie licznie zgromadzonym poddanym. Nawet z tak dużej odległości nie pomniejszały go rozmiary ani tej sali, ani tronu.

Leniwie obracał w dłoniach koronę, gładką złotą obręcz, słuchając przemowy swoich doradców. Ich słowa

ginęły w zgiełku, lecz głos króla górował nad otoczeniem niczym grzmot nadchodzącej burzy. Straciłem go

z oczu, gdy Utorian popchnął nas do przodu. Tłum rozstępował się przed nim na boki. Zaciekawione spojrzenia odprowadziły nas aż do balustrady odgradzającej przejście na trzeci poziom. Tam przewodnik

kazał nam zaczekać i zaczął rozglądać się dookoła, jakby w poszukiwaniu pomocy. Przywarliśmy do poręczy chłonąc wzrokiem otoczenie, niczym wieśniacy, którzy po raz pierwszy w życiu ujrzeli splendor

wielkiego miasta; zainteresowała nas przede wszystkim obszerna połączana wnęka, wypełniająca większą

część trzeciego poziomu. Przechadzali się po niej zamyśleni urzędnicy. W centralnym punkcie, niczym

olbrzymie oko, widniała dokładna, plastyczna mapa Odległych Królestw. Każdy szczegół, od wstęgi błękitnych rzek po miasta, wioski, lasy i pola, został przedstawiony w odpowiedniej skali. Na rzece widać

było łódzie, a ja wyobraziłem sobie, że maleńkie poruszające się plamki to ludzie i zwierzęta. Jeszcze

bardziej zdumiałem się spostrzeżeniem, że odwzorowano tu nawet niebo, a ptaki łagodnie unosiły się na

wietrze. Kiedy tak patrzyliśmy z otwartymi ze zdumienia ustami, czarodzieje i dworzanie krążyli tam i z

powrotem, dyskutując i obserwując tę doskonałą iluzję. Kilku z nich skupiło uwagę na nabrzmiałej, czarnej

chmurze burzowej i sprawiło, że przesunęła się w inne miejsce, gdzie nagle rozbłysła błyskawica i lunął

rześisty deszcz. Nie miałem wątpliwości, że ludzie zamieszkujący ten teren doznali właśnie błogosławieństwa burzy, która szalała przed nami.

Krótki rozkaz króla przerwał tę scenę. Podniósłszy wzrok, po raz pierwszy ujrzałem z bliska Domasa.

Dokoła niego cisnęli się dyskutujący zapamiętałe doradcy. Nagle zainteresowanie władzy ulotniło się w

jednej chwili i król dyskretnie stłumił ziewnięcie, powracając do swej ulubionej czynności obracania korony

w palcach. Jasnowłosy władca przynajmniej o głowę przewyższał Janosza. Gładka, prosta tunika skrywała

potężne mięśnie; jedynie korona wskazywała, że ten człowiek włada królestwem. Tuż obok tronu stał

jeszcze jeden, równie potężny mężczyzna; mimo pewnego podobieństwa do króla włosy tego drugiego były

czarne jak noc. Miał na sobie bogato zdobione, żółte szaty z księżycem wyszytym na piersiach. Zdawało się,

że gustuje w ciężkiej biżuterii i pierścieniach. Długie czarne włosy wieńczył szmaragdowy diadem, świadczący o królewskim pochodzeniu.

- Książę Raveline - szepnął Janosz, lecz sam się tego domyśliłem. Janosz pochylił się ku mnie, a w jego

głosie słyhać było podniecenie. - Jest czarodziejem, najpotężniejszym z całej palestry. - Tego również się

domyśliłem, bo ciemne oczy tego człowieka emanowały wewnętrznym światłem, jak oczy wszystkich magów. Poczulem silny dreszcz emocji. Przyjrzałem mu się dokładniej i spostrzegłem, że pomimo dostojnego wyglądu, brakowało mu wewnętrznej siły Domasa; gdyby postawić ich obok siebie, od razu

stałoby się jasne, kto tu jest królem, a kto jego wysoko urodzonym bratem.

Przy balustradzie powstało zamieszanie i zobaczyłem, jak jakiś mały człowieczek przeciska się przez

tłum

ku Utorianowi. Miał na sobie poplamione, niegdyś białe bryczesy i tunikę noszącą ślady długiego używania.

203

Na piersiach widniał złoty, nieco zmatowiały herb. Kapitan statku ukłonił się sztywno. Mały człowieczek

musiał wspiąć się na palce, by sięgnąć ustami ucha naszego przewodnika; zdawał się zresztą nawet w najmniejszym stopniu nie przejmować swoim wyglądem. Kiedy mówił, Utorian skinął głową, a oczy małego

człowieczka skierowały się ku mnie i ku Janoszowi; widać domyślił się, że ma przed sobą przywódców

naszej grupy. Może wygląda jak mysz, pomyślałem, lecz niewątpliwie jest to bystra mysz o wnikliwym

umyśle, wielkim sprycie i nie okazująca strachu przed kuchennymi kocurami, ponieważ jada przy królewskim stole. Mały człowieczek skurczył się w sobie, dał nura pod balustradą, popędził po ścieżce

wokół wnęki i pomknął po schodkach wiodących ku tronowi. Utorian dał nerwowy znak, byśmy się przygotowali. Król odwrócił się, by posłać uśmiech swemu ulubieńcowi, a my wygładziliśmy ubrania i

stanęliśmy w wyczekującej postawie.

Domas machnął ręką odsyłając grupę doradców, a mały człowieczek powtórzył swoje sztuczki, tym razem

chwytając się szat króla dla utrzymania równowagi. Oblicze władcy rozpromieniło się; najwyraźniej słowa

człowieczka rozpraszały nudę.

- Prawdę mówisz? - zagrzemiał. - Jak długo tu są? - Głos, pasujący do postury króla, bez trudu docierał do

naszych uszu. Zmarszczył brwi, gdy jego rozmówca szepnął mu coś znowu do ucha. - Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, Beemusie?

Staralem się wywnioskować cokolwiek z tonu królewskiego głosu. Słowa płynęły w stronę tłumy, który

rzucał się na nie zgłodniały każdej nowiny. Beemus wyszeptał odpowiedź i wzruszył ramionami, co zinterpretowałem jako jawne zignorowanie naszych osób. Posmutniałem jeszcze bardziej, widząc jak brwi

Domasa ściągają się gniewnie, a jego jasna skóra oblewa się szkarłatem, lecz złość szybko mu minęła i

westchnąłem z ulgą, gdy w jego spojrzeniu pojawiło się zaciekaenie.

Domas uśmiechnął się szczerze i poklepał Beemusa mówiąc: - Nieważne, później się tym zajmę. Teraz

przyrowadź ich, Beemusie. Pośpiesz się, byliśmy już wystarczająco nieuprzejmi. - Beemus odwrócił się na

pięcie i popędził ku nam, by wypełnić polecenie.

Król odwrócił się do swych doradców mówiąc:

Dość tego! Zbyt długo brnęliśmy przez bagno. Najwyższy czas, żeby zająć się czymś innym, panowie. -

Zatarł dłonie z zadowoleniem. Księżę Raveline podszedł do niego leniwie, starając się nie sprawiać wrażenia pośpiechu. Znów skupiłem uwagę na Domasie, próbując go ocenić, zanim pójdziemy na górę. Jest

to otwarty i uczciwy człowiek, podsumowałem, szczerzy w mowie i działaniu. Nie dba o to, co myślą o nim

inni. Jam jest król Domas, mówiło jego zachowanie, i mogę być taki, jak mi się podoba. Kupieckie instynkty

zagrały mi we krwi, gdy zbliżył się do nas Beemus. Taka pewność siebie, myślałem jest oznaką człowieka,

który okaże zainteresowanie i wysłucha do końca każdego, kto przedstawi mu swoje racje w sposób

logiczny i bez zbytecznych upiększeń. W chwilę później całą dwudziestką stanęliśmy przed obliczem

władcy. Zabraliśmy się do składania niskich pokłonów, lecz powstrzymał nas ruchem ręki. - Tylko nie

pokłony - zawołał. - Wystarczy postawa pełna szacunku. - Zwrócił się do swego brata: - Na tym dworze zbyt

wiele uwagi poświęca się ceremoniałom - powiedział. - Mężną mnie te wieczne ukłony.

Raveline roześmiał się szczerze i głośno, lecz usłyszałem w tym śmiechu szyderstwo.

- Po prostu każ nam wszystkim przestać - powiedział - a zobaczysz, jak bardzo będzie ci tego brakowało.

Domas spojrział na niego łagodnie.

- Ach, znowu ten twój dowcip - westchnął, kiedy Raveline ukłonił mu się szyderczo i bardzo powoli.
- Mnie

dziś brak bystrości umysłu - przyznał spoglądając na Beemusa. - Pomyśl nad jakąś rezolutną odpowiedzią,

Beemusie, nad czymś, co go dotknie. Jesteś w tym mistrzem. - Beemus obiecał szeptem, a Domas skupił

uwagę na nas. - A więc to są owi śmiałkowie, którzy spowodowali tak wiele zamieszania - zagrzniał, lecz

uśmiech nie zniknął z jego twarzy przeciwnie; im baczniej król nam się przyglądał, tym szerzej był uśmiechnięty. - Całkiem nieźle się prezentują. - Spojrział na swego brata. - Nie sądzisz?

Raveline już wcześniej poczynił wnikliwe obserwacje. Oczami czarodzieja przenikał nas na wskroś, zatrzymując się chwilę na mnie, a potem dłużej przy Janoszu. - Zgadzam się w zupełności - odparł głosem

prawie równie donośnym jak głos króla. On również się uśmiechał, lecz na jego wąskich ustach przypominało to grymas. Niczym polujący ogar, pomyślałem, kiedy poczuje zapach swej ofiary.

Król wstał i zszedł po schodach, by przyjrzeć się nam z bliska. Beemus dreptał tuż za nim. Usztyniliśmy

się z Janoszem sądząc, że zaraz do nas podejdzie. Król jednak przeszedł swobodnie przed szpalerem.

-

Mocni ludzie - zagrzniał z podziwem. - Od razu widać, dlaczego im się powiodło.

- Może odrobinę wymizerowani - drażnił się z nim Raveline. - No i strudzeni.

- Któż wyglądałby inaczej po przebyciu takiej długiej drogi, by nas tu odnaleźć? - Król zerknął w dół na

Beemusa. - Wciąż się zastanawiasz? - Beemus skinął tylko głową. - To dobrze - przyznał król. - Pamiętaj, by

riposta była cięta.

Przyglądał się nam dalej, kiwając lekko głową. W pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, obrócił się na

pięcie i zwrócił do tłumu na dole: - Przyjaciele, przyjaciele! Proszę o uwagę. - Jego potężny głos wypełnił

wielką salę i odbiwszy się echem od ścian powrócił bez pomocy magii. Niektórzy podjęli jego wezwanie,

całkiem niepotrzebnie, krzycząc: - Król będzie mówił! Będzie mówił król! - Tłum zadarł głowy w oczekiwaniu.

- Chcę, byście wszyscy poznali tych ludzi - ryknął król. - Chyba dotarły do was pogłoski, że bardzo im

ciekaw, a teraz oto stoją tu przed nami. To odważni podróżnicy. A jakież mieli przygody! Przebyli długą

drogę z dalekiej Orissy, pokonując pustynie, zbójców i wszelkie inne przeciwności. - Domas nie przestawał

krążyć po sali, przemawiając do tłumu z Beemusem cierpliwie drepczącym u jego boku. - Porozmawiajmy z

nimi, dobrze? Zobaczmy, skąd się bierze takie męstwo. - Zatrzymał się marszcząc brwi i obrócił w kierunku

tłumu. - Męstwo, którego wielu z was niestety brakuje. - Znowu skupił uwagę na nas, a jego oblicze rozpromienił szczery uśmiech, jakże inny od uśmiechu jego brata: szeroki i autentyczny. Zmarszczki w kącikach ust i oczu świadczyły, że często gościł na jego twarzy.

Król przyglądał się nam wnikliwie, aż spojrzenie jego padło na setnika Maeena.

- Ty - zagrzmał wskazując palcem. - Powiedz, jak cię zwa.

Zakłopotany Maeen oblał się rumieńcem, który pociemniał jeszcze bardziej, gdy zawahał się, bo nie wiedział, czy wolno mu oddać hołd pokłonem. Domas przyszedł mu jednak z pomocą, salutując jak dowódca swemu żołnierzowi. Gdy dylemat został rozwiązany, Maeen odezwał się pośpiesznie:

- Miłościwy panie, zwał mnie setnik Maeen. - Król krzyknął w stronę tłumu:
- Słyszeliście? Setnik Maeen. Domyśliłem się jego rangi. Od razu widać, że to setnik.
- Dziękuję, wasza wysokość - odezwał się Maeen.
- Powiedz nam, zacny setniku, co o nas myślisz? Jak ci się podoba Vacaan?

Na obliczu Maeena malowało się najwyższe skupienie, gdy starał się wymyślić najwłaściwszą odpowiedź.

- Jestem zachwycony, wasza wysokość! Tu jest po prostu cudownie!

Domas wybuchnął gromkim śmiechem.

- Słyszycie? Jest nami zachwycony! - Roześmiał się jeszcze głośniej. - Pocziwe gadanie starego rębajły.

Potrzeba nam tego więcej. - Maeen spłonił się po czubki uszu.

- Czy jest tu coś, co ci się nie spodobało? Co nie jest... cudowne? - spytał król.

Maeen zastanowił się dłuższą chwilę, aż znalazł jakieś niedociągnięcie.

- Jedzenie, miłościwy panie - odparł krótko.
- Jedzenie? - zagrział Domas. - Cóż takiego nie podoba ci się w naszym pożywieniu?
- Ależ smakuje mi, wasza wysokość - zaprzeczył pośpiesznie Maeen. - Lecz wybacz mi, panie, śmiałość,

myślę, że czasami jest zbyt... bogate.

Domasa zachwyciła ta odpowiedź.

- Również tak uważam, setniku - rzekł. - Zawsze polewają normalne jedzenie jakimś świństwem, psując

cały smak. Następnym razem każę im to wszystko zabrać. Oczywiście, masz rację... już od dawna to powtarzam i nie widzę żadnych efektów. A jestem przecież, do diabła, ich władcą!

- Chyba znalazłeś przyjaciela w moim bracie, setniku - wtrącił książę Raveline. - I nawet wiem dlaczego.

Jesteś dokładnie w jego typie.

- Dziękuję, wasza wysokość - bąknął coraz bardziej zmieszany Maeen.

Domas podniósł rękę.

- Nie powinieneś go nazywać „waszą wysokością” - zauważył. - To tak jakby mylić oficerów z setnikami.

Tylko królowie są tego godni. Mój brat jest księciem. A książęta są... - Umilkł szukając właściwego określenia i po chwili błysk olśnienia rozpromienił skupioną twarz. wołał głośno, żeby wszyscy słyszeli:

- Książęta są... mniejszą wysokością. - Śmiał się tak, aż po policzkach zaczęły spływać mu łzy, a tłum śmiał

się do wtóru. Raveline ułożył usta w szyderczy grymas. Beemus szepnął coś Domasowi, który skinął głową i

odezwał się: - To naprawdę było dowcipne, co? Ale ty cały czas myśl, Beemusie, myśl. Będzie mi potrzeba

więcej takich ciętych uwag. - Rzucił swemu bratu przeciągłe spojrzenie i parsknął raz jeszcze: - Poczciwy

stary! Mniejsza wysokość!

205

Nie przestając się śmiać podziękował Maeenowi i ruszył dalej, wybierając kilku spośród naszych ludzi,

przedstawiając ich swym poddanym i wychwalając każdego z osobna. W końcu wrócił na początek, gdzie

staliśmy razem z Janoszem.

Spojrzał na moje czerwone włosy.

- Ty, panie... nie, nie podawaj mi swego imienia. Wiem, wiem. Nazywasz się... - Zmarszczył brwi, gdyż

najwyraźniej umknęło mu z pamięci. Krótki podszept Beemusa i Domas wyszczerzył zęby w

uśmiechu. -

Antero, oczywiście... Almaryk Antero.

- Jestem zaszczycony, wasza wysokość - odezwałem się.

Domas popatrzył na mnie przez chwilę, po czym dodał: - Jesteś kupcem, prawda? - Przyznałem mu rację. -

Kupcy zwykle nie należą do odważnych. Obchodzą ich wyłącznie zyski. - Odpowiedziałem mu, że zyski nie

stanowią dla mnie nadrzędnego celu. Król przyjrzał mi się jeszcze wnikliwiej i dostrzegłem w jego oczach,

że mi uwierzył. Poklepał Beemusa. - Chcę z nim dłużej porozmawiać - odezwał się. - Zorganizuj trochę

czasu jutro albo pojutrze. - Ten rozkaz wywołał wzmożoną falę szeptów Beemusa. - Wiem, wiem - stwierdził król. - Ale zrób to dla mnie, bez względu na wszystko.

Załatwiwszy jedną sprawę zwrócił się do Janosza: - Twego imienia nie muszę sobie przypominać - rzekł z

zadowoleniem. - Oto Janosz Szary Płaszcz, wojownik i czarodziej.

- Dziękuję, wasza miłość - odparł Janosz.

- Kim jesteś bardziej, Szary Płaszczu, żołnierzem czy czarodziejem?

- Obydwie umiejętności pomogły nam się tu dostać, wasza miłość - odpowiedział Janosz.

Król okazał zniecierpliwienie.

- Żadnych niedopowiedzeń, proszę. Uczyniłem z tego dworu dwór otwarty. Wszyscy mają mówić szczerze

to, co naprawdę myślą. Ja tak czynię. Mój brat ... mniejsza wysokość również. - Zachichotał przypominając

sobie własny żart.

Janosz wyprostował się jeszcze bardziej.

- Przez całe swoje życie parąłem się wojaczką - powiedział. - Istniała jednak tylko jedna sprawa, która tak

naprawdę mnie pociągała. Odległe Królestwa stanowiły marzenie mego życia, panie. Teraz, kiedy tu jestem,

jeśli pozwolisz, magia interesuje mnie najbardziej.

Domas pokiwał powoli głową mierząc go wnikliwym spojrzeniem.

- Czemu nie? - Zwrócił się do tłumu i zawołał: - Dostyc! Teraz potrzebuję odrobiny prywatności. Wracajcie

do swoich zajęć, to znaczy do trwonienia moich pieniędzy, jak się domyślam. Ach, jeszcze jedno. Ci ludzie

pozostaną z nami przez jakiś czas, więc chcę, żebyście okazali im największą gościnność i uprzejmość.

Rozumiecie? - Okrzyki ze strony tłumu i przyjazne twarze świadczyły, że aprobowują wolę króla. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a Domas zasiadł na tronie.

Pomyślał chwilę, po czym przemówił:

- Wspomniałem już wcześniej, że podobacie mi się. Im bliżej się wam przypatruję, tym większą czuję do

was sympatię. Czas pokaże, czy mam rację... czy też mylę się co do was. Oto co zamierzam uczynić.

Beemus znajdzie wam wygodne pomieszczenia. Jako goście honorowi, Antero i Szary Płaszcz dostaną, jak

przypuszczam, pałac. A dla pozostałych znajdzie się coś... - uśmiechnął się do Maeena - ... mniej okazałego.

Jeśli o czymś zapomniałem, lub macie jakieś specjalne potrzeby, poproście Beemusa, a zajmie się wszystkim.

Wymamrotaliśmy słowa podziękowania, a król przyjął je skinąwszy łaskawie głową.

- Zachowujcie się, przyzwoicie, lecz nie do tego stopnia, by miało wam to popsuć zabawę. Co więcej, chcę

zobaczyć, jacy tak naprawdę jesteście, a od razu wam powiem, że nie lubię sztywniaków.

Spojrzał na Janosza.

- Ty, panie, życzysz sobie zgłębić tajniki naszej magii. Zorientuję się, czy któryś z moich

czarodziejów

będzie mógł wziąć cię pod swe skrzydła. - Pogroził Janoszowi palcem. - Tylko nie paktuj z czarną magią. W

moim królestwie nie ma miejsca na demony. I chcę, żeby tak pozostało na zawsze.

Janosz pokiwał głową na znak zrozumienia. Oczy błyszczały mu radością. Wtedy Raveline postąpił kilka

kroków naprzód.

- Chętnie sam się nim zajmę, bracie - zaproponował. - Słyszę, że posiada niezwykle talent.

- Miałem nadzieję, że wyjdiesz z tą propozycją - odparł radośnie Domas. - Oczywiście, nie widzę

przeszkód. - Zerknął na Janosza. - Księżę Raveline to mój najlepszy czarodziej. Po prostu doskonały...

choć mniej doskonały niż sam sądzi. Tak naprawdę że mógłbym go nauczyć wielu rzeczy, aplikując mu

206

niedużo praktyki, lecz tu w Vacaan magia i rządy nie idą w parze. Od samego początku staraliśmy się

rozdzielać te dwie rzeczy i zawsze będziemy tak postępować w przyszłości.

- Robię za niego również brudną robotę. - roześmiał się Raveline.

- W tym też jesteś bardzo dobry - rzekł Domas. - Niestety sprawia ci to zbyt wielką radość. - Zwrócił się do

nas. - Wiem, że w swoim pałacu praktykuje czarną magię. On również wie, że ja o tym wiem. Niestety, jest

to zło konieczne. Mamy wielu wrogów. Tylko ta jego paskudna robota trzyma ich od nas z daleka.

- Twój podziw dla mej skromnej osoby, drogi bracie, wzrusza mnie do głębi - rzekł Raveline.

Król puścił jego uwagę mimo uszu.

- Żeby nie było żadnych nieporozumień, powinniście wiedzieć to, co wiedzą wszyscy moi poddani: bardzo

nie lubię mojego brata. On darzy mnie podobnym uczuciem. Jedynym powodem, dla którego jeszcze

się nie

pozabijaliśmy, o czym również wszyscy w Vacaan wiedzą, jest fakt, że zabrania tego nasza tradycja. Jeśli

jeden z ludzi, w których płynie królewska krew, zabije drugiego albo sprawi, że zabije go jeden z poddanych, wówczas nastanie kres naszej dynastii.

Król zarechotał. - Mój brat, mniejsza wysokość, ma większą potrzebę odebrania mi życia. Widzicie, niczego tak bardzo nie pragnie jak zostać królem, lecz ja mam dziesięcioro potomków w prostej linii, czekających w kolejce do tronu. - Znow roześmiał się w twarz swemu bratu. - Dziesięć razy zdążysz przez

ten czas umrzeć, wasza mniejsza wysokość.

Raveline odwzajemnił uśmiech.

- A zatem będę się zadowalał brudną robotą - powiedział, po czym wdał się z bratem w ostrą kłótnię. Ten

pokaz braterskiej rywalizacji stawiał nas w niezręcznym położeniu; usiłowaliśmy nie zdradzać, po której

opowiadamy się stronie, chociaż ja bez trudności wybrałem swego faworyta. Bacznie obserwowałem

Raveline'a. Utorian mówił, że księżę jest młodszym bratem. Gdybym tego nie wiedział, doszedłbym do

przeciwego wniosku. Podczas gdy Domas sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie rozpoczął czwartą

dekadę życia, Raveline wyglądał na takiego, który pukał już do drzwi piątej. Czoło pokrywały mu liczne

zmarszczki; przymrużone oczy zdradzały lata spędzone na knuciu spisków i intryg. Doleciał mnie śmiech

księcia: był głośny i głęboki, lecz wyraźnie szyderczy. W odpowiedzi jego brat, król, również zaniósł się

radosnym rechotem, lecz brzmiał on szczerze i otwarcie. Domas sprawiał wrażenie człowieka, który rozkoszował się śmiechem dla śmiechu ... nawet kiedy szydził.

Moja niechęć do Raveline'a nie rosła powoli, stymulowana przez dalsze gorzkie doświadczenia.
Wprost

przeciwnie, zakiełkowała i wystrzeliła wysoko po pierwszym spotkaniu. Gdybym miał go opisać od
razu po

pierwszej rozmowie, moje pióro już wtedy domagałoby się trującego atramentu. Raveline starał się
ze

wszech miar upodobnić do brata i nie ukrywać żadnych emocji. W swoich wypowiedziach
przechodził od

razu do sedna sprawy. Ja miałem jednak po ojcu oko do oceny klienta; temu człowiekowi nie ufałem
od

samego początku. Zerknąłem na Janosza i zmartwiłem się widząc, jak chłonie każde słowo
Raveline'a. No,

cóż, pomyślałem. On ma doświadczenie w zachowywaniu ostrożności. Poza tym obecnie jego
głównym

celem była wiedza, a jakąż może ona wyrządzić krzywdę?

Bracia zakończyli spór, więc skorzystałem ze sposobności:

- Mógłbym zadać pytanie, wasza wysokość?

- Pytaj śmiało - odparł król.

- To, że my możemy wiele zyskać, wydaje mi się oczywiste. Ale zastanawiam się, panie jakie
korzyści

możecie mieć z nas?

Domas sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego. Podniósł głowę w zadumie i dłuższą chwilę
mierzył

mnie wzrokiem. Potem roześmiał się i zwrócił do Beemusa:

- Pamiętasz, kiedy poprosiłem cię, żebyś zorganizował mi trochę wolnego czasu, bym mógł
porozmawiać z

Antero? - Beemus szepnął, że niestety pamięta dokładnie. Domas polecił: - No, cóż, wydłuż ten czas
ile się

da. - Rozpostarł ręce szeroko, jakby chciał pokazać, jak bardzo należy ten czas wydłużyć.

Zwrócił ku mnie swą szeroką twarz.

- Wtedy odpowiem na twoje pytanie - rzekł krótko.

Nasza audiencja dobiegła końca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

207

Opada pierwsza zasłona

Obietnicy króla nie można porównać z obietnicą zwykłego człowieka. Moje słowo musi być dla mnie obowiązujące; w przeciwnym razie tylko głupiec chciałby ze mną handlować. Lecz król może czynić pewne

odstępstwa od obietnic, kiedy mu się tylko spodoba, wcale z tego powodu nie cierpi, albo tylko trochę. Król

jest w wyjątkowym położeniu: nawet jeśli spełni jedną obietnicę na dziesięć, i tak znajdzie się dziesięciu

innych chętnych, którzy będą się przepychać łokciami przez tłum, aby zyskać przychyłność władcy.

W dwa tygodnie po tym, jak król Domas złożył swą obietnicę, w dalszym ciągu żywiłem nadzieję, że dostąpię łaski i okażę się wybrańcem. Nie dowiedziałem się od Beemusa, kiedy nastąpi ten „czas,” który

obiecał król przeznaczyć na rozmowę, ani nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na słane do jego pałacu zapytania. Janosz martwił się jeszcze bardziej, bo on czuł się związany obietnicą księcia, a liczne listy

kierowane pod adresem Raveline'a również pozostawały bez odpowiedzi. Książę Raveline nie zrobił ze swej

strony nic, podczas gdy król Domas wywiązał się przynajmniej z części złożonej obietnicy. Zadbano o

naszych ludzi, którzy zamieszkali w pięknym domu w pobliżu głównego portu, gdzie oczekiwało ich wiele

rozrywek i czarujących kobiet. Janosz i ja dostaliśmy po pałacu, gdzie również roiło się od luksusów i

uciech dnia codziennego, które uprzyjemniały nam mijający czas. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że

najwspanialszy prezent, jakim mogli nas uszczęśliwić, tkwił gdzieś w bliżej nieokreślonej przyszłości, a

każda chwila oczekiwania była coraz większą męczarnią.

- Żałuję, że Raveline wystąpił z tą propozycją - powiedział mi Janosz pewnego dnia.

Jako szczerzy przyjaciel, westchnąłem ze współczuciem.

- Obydwaj nasi królewscy gospodarze są ostatnio równie osiągalni jak tamta odległa góra - stwierdziłem

wskazując na święty wierzchołek, widoczny z mego balkonu. Szczerze mówiąc, był to jeden z wielu

balkonów, które miałem do dyspozycji w tym pałacu, lecz widok ogromnej, błękitnej Świętej Góry,

odbijającej się majestatycznie w rzece, sprawił że ten stał się mym ulubionym. - Nieustannie się upominam,

że trzeba zachować cierpliwość - kontynuowałem - lecz kiedy cierpliwość jest jedynym wyjściem, niewiele

daje pociechy.

Janosz podrapał się po brodzie i zarechotał rubasznie.

- Jesteś dobrym przyjacielem, Almaryku, ale moja przyjaźń jest równie wielka. Wiem, że coś ci leży na

sercu.

Wzruszyłem ramionami i roześmiałem się razem z nim. Zwierzyłem się Janoszowi z mojej niechęci do

księcia, a on ocenił, że nie mam do tego powodu - i tak w istocie był. - Kiedy będę rozmawiał z królem -

rzekłem - postaram się go przycisnąć, żeby załatwił... jakby to powiedzieć... bardziej przystępnego nauczyciela.

- Jeżeli będziesz rozmawiał z królem - rzucił Janosz poważniejąc w mgnieniu oka.

Westchnąłem ponownie, tym razem ze szczerego serca. - Tak... jeżeli! Zacząłem już nie znosić tego

słowa.

Kiedykolwiek wpadnę na jakiś pomysł, nagle wyskakuje to jeżeli . Jeżeli zobaczę się z królem. Jeżeli zechce

mnie wysłuchać. Jeżeli ustosunkuje się przychylnie do mych próśb...

- Rozumiem cię doskonale - odezwał się oschle Janosz. - To słowo również straszy mnie po nocach... jeżeli

zdołam zasnąć.

Śmiechem odegnaliśmy wszelkie troski i niepokoje. Rozciągnąłem się na miękkich, ozdobnych poduszkach

i zadumałem się patrząc na Świętą Górę. Pomyślałem o ołtarzach Pradawnych, które wspomniał Utorian,

oraz o ceremoniach, jakie niegdyś odprawiali, by uczcić najmędrszych pośród magów po tym, jak Mroczny

Poszukiwacz zebrał swoje zniwo. Przez chwilę wyobraziłem sobie, że widzę dym unoszący się z ich prochów na płonącym kamieniu. Wiatr zwiął dym. Na wschód, jak powiedział Utorian. - Dlaczego na wschód? - mruknąłem.

- Na wschód? - zdziwił się Janosz.

- A, nic takiego - odparłem szybko, trochę zakłopotany zdawkowością odpowiedzi. - Takie głupstwa, które

biorz się z mimowolnego lenistwa.

Janosz również bił się z myślami. Machnął w kierunku rzeki, która płynęła nieopodal, spokojnie i

uroczyście, wedle rozkazu. - Uważają się za ludzi górujących nad innymi - stwierdził - a na dowód tego

pokazują nam wielkie cuda, takie jak na przykład ta oswojona rzeka.

- Mnie naprawdę wydaje się to cudem - przyznałem.

208

- Tylko skala ich działań jest cudem - zachnął się Janosz - Zasada jest niezwykle prosta. Rutynowo

uspokajamy wodę wokół swoich statków lub wywołujemy wiatry z worków, które kupujemy na

rynku, żeby

wypełniły żagle. Nie ma żadnej różnicy między tą odrobiną wiatru a tym, co muszą uczynić, aby nagiąć

pogodę do swej woli.

- Potrafiłbyś to zrobić? - zapytałem.

Janosz wzruszył ramionami.

- Po kilku eksperymentach... tak. Potrafiłbym przejąć ich metody. Musiałbym jednak dowiedzieć się, skąd

czerpią konieczną energię. Gdyby nawet tysiąc magów skupiło wszystkie swe moce na jednym celu, wyprodukowano by w ten sposób tylko jedną dziesiątą niezbędnej mocy.

- Ale nasi magowie to słabeusze przy tutejszych mistrzach - stwierdziłem.

- Nonsens - odparł Janosz. - Przyznaję, że tutejsi czarodzieje dysponują większą wiedzą, a kilku z nich, jak

na przykład Raveline, ma wielką, naturalną moc. Lecz ja mam jej tyle samo co on i jestem w stanie dokonać

znacznie więcej. - Wiedziałem, że nie są to czcze przechwałki. - Nawet gdyby ich wszyscy magowie byli

równie wielcy jak Raveline, i tak nie zdołaliby zgromadzić tyle mocy. A zatem muszą ją skądś czerpać.

Kiedy odnajdę to miejsce, będę robił to samo.

- Ale przecież widzieliśmy znacznie więcej niżli tylko obłaskawienie rzeki i pogody - powiedziałem nieśmiało. - Gdziekolwiek by nie spojrzeć, widać cudowne owoce magii.

- Zabawki i karczemne sztuczki - parsknął Janosz. - Tyle że na większą skalę. Na wszystkie zaklęcia, które

widzieliśmy, istnieją zapisane reguły. Jeżeli... znowu to przeklęte słowo... będzie mi wolno przejrzeć zapiski

starożytnych czarodziejów, wykonam z łatwością te sztuczki.

- Czy nic tu nie robi na tobie wrażenia? - zapytałem Janosza.

- Och, są takie rzeczy - zapewnił. - W przeciwnym razie popadłbym w czarną rozpacz. Widziałem tu wiele

zjawisk, które za wszelką cenę chciałbym zgłębić. Podam ci jeden przykład: czy wiedziałeś, że potrafią

przeobrażać każdą substancję w złoto?

Roześmiałem się.

- I co z tego? Nigdy nie pociągało cię złoto, chyba że pojmowane jako środek w dążeniu do celu.

Janosz zachował powagę

- Zapomnij o jego wartości. Chociaż każdy przedmiot nadawałby się do tego celu, wykorzystują piasek,

ponieważ mają go pod dostatkiem. Przychodzi im to z taką łatwością i otrzymują tak niesłychane ilości

złota, że używają go powszechnie przy pracach konstrukcyjnych. Wolą nawet biżuterię ze stopów złota,

które uzyskują po odpowiednim przetworzeniu czystego metalu, ponieważ stopy nie są tak delikatne.

Intryguje mnie wielce sposób, w jaki to robią.

- Widziałem, jak zamieniłeś skorpiona w mysz - przypominałem mu. - A Mortacjus uczynił z myszy złoty

talerz. Dlaczego zamianę piasku w złoto uważasz za większe osiągnięcie?

Janosz zamyślił się na chwilę, szukając odpowiednich słów, którymi mógłby wytłumaczyć skomplikowaną

całą rzecz komuś, kto nie był nawet nowicjuszem w dziedzinie magii. - Ja nie zamieniłem tego skorpiona w

mysz - rzekł w końcu. - *Odsunąłem* tego skorpiona. W inne miejsce. Tylko tak potrafię to wyjaśnić. Nie

widziałem tego miejsca, lecz czułem je umysłem. Za pomocą tegoż umysłu wydrążyłem otwór, po czym...

włożyłem do niego skorpiona. W ten sam sposób sprowadziłem mysz... chociaż nie pochodziła z tego samego miejsca. Może mieszkała gdzieś w kuchni Mortacjusa, biedactwo. A może nie pochodziła w

ogóle...

z tego świata. - Spojrzał na mnie, aby stwierdzić, czy rozumiem. Byłem na tyle wielkim ignorantem, iż

wydawało mi się, że rozumiem, więc skinąłem głową.

- To dobrze - stwierdził Janosz. - Jak zatem widzisz, była to tylko pewnego rodzaju wymiana. Złoto Irayas

to zupełnie inna sprawa. Oni w rzeczywistości, manipulują tym piaskiem. a raczej tym, z czego zrobiony jest

piasek.

- Najmniejszą cząsteczką piasku są jego ziarenka - stwierdziłem.

- Wcale nie - zaprzeczył Janosz, po czym powstrzymał się. - Nie powinienem mówić z takim przekonaniem,

kiedy w istocie nie jestem czegoś pewny. To moja nowa teoria. Powstała mi w głowie, kiedy zastanawiałem

się nad tym, co osiągnęli i w jaki sposób można do tego dojść. Teraz wiem, że wszystko, co widzimy

dookoła - stół, przy którym siedzimy, balkon, na którym się ten stół opiera, góra przed nami, nawet nasze

własne ciała - jest zrobione z tak małych cząsteczek, że to jedno ziarnko piasku, o którym mówimy, w

porównaniu z nimi jest wielką górą. Myślę, że w jakiś sposób przegrupowują te cząsteczki, aż otrzymają tę

samą formę co złoto... a raczej *staną* się złotem.

209

Wziąłem głęboki oddech.

- Podążałem za tokiem twego rozumowania jak mogłem najdalej, przyjacielu - powiedziałem szczerze. -

Ale obawiam się, że pogubiłem się w miejscu, gdzie pojedyncze ziarnko piasku okazało się niezliczoną

ilością tych maleńkich cząsteczek, których nie można dostrzec gołym okiem.

- Jeśli rozumiesz tyle - odezwał się z uśmiechem - rozumiesz wszystko. Dorównujesz mi zatem wiedzą. -

Znowu sposepniał. - Nie zrozum źle mego stosunku do tych ludzi - powiedział. - Nie chcę umniejszać ich

osiągnięć. Starłem się tylko spojrzeć na nie z pewnej perspektywy. Ta ziemia kryje wiele sekretów.

Naprawdę wiele. Jestem pewny, że wielu tu bystrych ludzi. Jeżeli tylko będę mógł się z nimi spotkać...

Wybuchnąłem śmiechem słysząc ponownie to przerażające *jeżeli*. Janosz zrozumiał w lot i również się

roześmiał. Nagle usłyszałem kroki na balkonie. Odwróciwszy się ujrzałem jednego z mych służących.

Trzymał w ręku list z wiadomością.

- Co to takiego? - zapytałem wyciągając rękę.

Służący pokręcił przecząco głową i rzekł: - Wybacz, panie, lecz list nie jest dla ciebie. Wiadomość jest

przeznaczona dla kapitana Szarego Płaszczka.

Janosz z pochmurną miną odbierał list i bezwiednie wymamrotał słowa podziękowania. Zmarszczone brwi

stopniowo powróciły na swoje miejsce i na twarzy Kapitana pojawił się promienny uśmiech.

- Od kogo to? - spytałem.

Janosz triumfalnie zamachał mi przed nosem kawałkiem papieru. - Od księcia Raveline'a - zawołał. - Chce

się natychmiast ze mną zobaczyć! - Podskoczył z miejsca i poklepał mnie po ramieniu. - Wreszcie. Teraz się

przekonamy, czy to jeden z tych bystrych ludzi.

Pośpiesznie pożegnał się ze mną i wybiegł z komnaty wykrzykując przez ramię obietnicę, że powie mi

wszystko, jak tylko sam się czegoś dowie. Usiadłem w zadumie i patrzyłem, jak Janosz wybiega z pałacu i

pędzi do gondoli, którą przywiązał do głównego pomostu mojego pałacu. Czułem jednocześnie

zazdrość i

nieufność. Przypomniałem sobie mój niedawny żart, lecz teraz wcale mnie nie rozbawił: *Jeżeli* tylko król

zechce się ze mną zobaczyć. *Jeżeli...*

Przerwałem ten bezsensowny korowód myśli widząc, jak łódź Janosza mija się z inną łodzią zdążającą

prosto do pomostu, od którego dopiero co odpłynął mój przyjaciel. Na jej burtach ujrzałem królewski znak.

Jakiś człowiek wyskoczył z niej zanim jeszcze rzucono cumy. Wychyliłem się za balustradę, niespokojnie

wpatrując się w niespodziewanego gościa. Gdy mały człowieczek dobiegał do drzwi mego pałacu, wiedziałem już, że to Beemus przybył, aby zabrać mnie do króla.

ZAPROWADZONO MNIE bezpośrednio do prywatnych komnat króla. W głowie kłębiły mi się coraz to

inne przemowy, które w następnej chwili odrzucałem jako bezsensowne i nieodpowiednie. Długie oczekiwanie w połączeniu z ciągłym napięciem rozproszyło wszystkie wcześniejsze plany, pozostawiając

jedynie zamęt i konsternację. Ledwo zauważyłem olbrzymie drzwi, przed którymi stanęliśmy, a także brak

strażników. Drzwi stanowiły dla mnie niepożądaną przeszkodę i podniosłem rękę, aby otworzyć je jednym

pchnięciem. Szept Beemusa powstrzymał mnie od nieprzemyślanego kroku. Przyłożył palec do ust nakazując milczenie, po czym nastawił ucha sugerując, żebym uczynił to samo. Kiedy tak staliśmy,

usłyszałem cichutkie dźwięki cudownej muzyki, które dobywały się zza zamkniętych drzwi. Beemus skinął

ręką, abym podążył za nim i ruszyliśmy długim, wąskim korytarzem okrążającym komnaty królewskie.

Doszliśmy w końcu do zasłoniętego kotarą przedsionka. Muzyka zabrzmiała głośniejsz i wydała się jeszcze

piękniejsza. Beemus uniósł zasłonę i zaprosił mnie do środka. W komnacie panował półmrok, lecz

ujrzałem

przed sobą potężną postać która,, jak stwierdziłem, mogła być tylko królem Domasem. Siedział tyłem do

nas, podpierając ręką głowę. Beemus popchnął mnie do przodu i wpadłem na krzesło stojące tuż obok

Domasa. Król zdawał się nie zauważać ani nagłego ruchu, ani szelestu miękkiej poduszki, kiedy zająłem

miejsce obok. Cień Beemusa mignął mi z drugiej strony i uświadomiłem sobie, że mały człowieczek usiadł

po lewej stronie władcy. Czułem się spięty w obecności milczącego króla. Dostrzegłem, że oczy ma zamknięte w łagodnym skupieniu, a twarz rozjaśnia mu uśmiech zadowolenia. W chwilę później prześliczna

muzyka przyciągnęła mnie jak magnes; ośmieliłem się odwrócić, aby lepiej słyszeć i zobaczyć, kto tworzy te

piękne tony.

Najpierw zobaczyłem cień postaci na falującej zasłonie. Pochylała się podniósłszy ręce w klasycznej pozie

grającego na fujarce. Cienie rąk były smukłe, nadgarstki wdzięcznie przewężone, palce wygięte w zapamiętałym tańcu po instrumencie. Widziałem trzepot rzęs i drżenie górnej wargi, jakby całowała nuty

210

wymykające się przez otwory fujarki. Spojrzałem jeszcze raz i ujrzałem panią tego cienia. Wydawała się

nieduża w świetle opływającym podest, na którym siedziała. Miała na sobie prostą, białą suknię przepasaną

złotym pasem. Smukłe nagie ramiona i skromne wycięcie wokół szczupłej szyi przykuwały wzrok. Rysy

zdawały się wyrzeźbione dłutem mistrza; stanowiły skończoną, artystyczną całość, jakby rzeźbiarz spędził

resztę życia na cyzelowaniu swego dzieła. Włosy dziewczyny wydawały się ciemne w blasku

padającego

światła, lecz kiedy lekko zmieniła pozycję, dostrzegłem błysk czerwonych pasemek... czerwonych jak moje

własne.

- Czyż nie jest wspaniała? doleciał mnie szept króla - Mimo że wciąż miał zamknięte oczy, wydawało mi

się, iż przejrzał moje myśli. Pytanie dotyczyło jednak innej sfery. Chodziło mu o muzykę, nie o muzykantkę.

Zwróciłem się w jej stronę, aby otworzyć się jeszcze bardziej na wspaniałą melodię i pozwolić, aby łagodne

tony wypełniły moją duszę i serce. Ze wszystkich sztuk zawsze najbardziej ceniłem muzykę. Tym razem

dźwięki zamieniały moje chłopięce zauroczenie w dojrzałą miłość. Dziewczyna wysyłała w powietrze jedną

subtelną nutę za drugą, aby stopniowo stworzyć istną nawałnicę dźwięków, które przeniknęły przeze mnie z

siłą huraganu. Podczas tej melodyjnej burzy czułem się, jakbym płynął niebiańskim statkiem spoglądał przez

barierkę na najwspanialsze cuda. Nigdy wcześniej nie czułem się tak wolny jak teraz, popychany przez

rzeński wiatr. Pragnąłem pozostać na tym osobliwym statku do końca swoich dni.

Muzyka zmieniła nieznacznie brzmienie i znów znalazłem się w komnacie, wsłuchując się w dźwięki

fujarki, która wygrywała teraz inną piosenkę. Towarzyszyło mi dziwne uczucie, jakbym wiedział, co za

chwilę nastąpi. Tak jak przypuszczałem, po chwili dziewczyna podniosła głowę, lecz jej usta nie oderwały

się ani na moment od instrumentu. Wiedziałem również, że jej oczy powędrują w poszukiwaniu moich.

Dreszcz, którego doświadczyłem, był tym silniejszy, że przewidziałem co nastąpi. Wierzyłem, że dziewczyna odczuwa to samo. Pochyliłem się do przodu, a kiedy w jej muzyce usłyszałem pytanie.

Nuty

były zadawane nieśmiało i drżąco. Muzyka niewątpliwie znalazła odpowiedź w moim wnętrzu, bo niespodziewanie eksplodowała radością. Znalazłem w sobie podobną radość i dostrzegłem błysk w oczach

dziewczyny... i niespodziewanie poczułem tkliwy dotyk palców miłości. Wyrósł przede mną obraz Deoce i

jednocześnie ukłuło mnie poczucie winy. Umknąłem od tego muzycznego zespolenia jak przed demonem o

ostrych kłach i wycofałem się do niedostępnej jaskini samotności, w której tak długo już przebywałem. W

oczach dziewczyny pojawiło się zdumienie i boleść, a jej ciało skurczyło się jak przed ciosem. Po chwili

doszła do siebie, a nuty podskoczyły, chwytając gniewnie kamyki i ciskając je w zdrajcę kobiecego serca.

Zanim zmusiłem się do odwrócenia wzroku, ujrzałem, że dziewczyna skinęła nagle głową i jej wzburzenie

zamieniło się w słodkie zakończenie pieśni.

Na długą chwilę cisza zalała komnatę. Usłyszałem, jak król szepce słowa uznania. Artystka wstała, dygnęła

w podzięcie i zniknęła za zasłoną. Kiedy zapłonęły magiczne lampki, dziewczyna rzuciła mi jeszcze jedno

smutne spojrzenie, po czym odeszła. Odwróciłem się do króla; nadal byłem wstrząśnięty, lecz starałem się

za wszelką cenę odzyskać siłę i jasność umysłu. Wydawało mi się, że władca patrzy na mnie dziwnym

wzrokiem, zaraz jednak uśmiech rozpromienił mu twarz.

- To była Omerye - odezwał się Domas.

Udałem, że niewiele mnie to obchodzi, lecz znowu odczułem ten osobliwy dreszcz.

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedziałem. - Teraz wiem, czyje imię mam wychwalać, gdy będę

opowiadał przyjaciołom o tej nadzwyczajnej muzyce.

Domas roześmiał się i dźgnął mnie palcem w kolano.

- Daj spokój, w twoim przeżyciu nie chodziło o samą muzykę, tego jestem pewien. - Wybąkałem, że się

myli, lecz to wprawiło Domasa w jeszcze większe zadowolenie.

- Nieważne - odezwał się w końcu. - Nie będę cię dalej naciskał. Powiem tylko, jak uczciwy człowiek

drugiemu uczciwemu człowiekowi: Omerye nie jest kurtyzaną, jak może pomyślałeś. Jest jedną z najlepszych artystek w moim królestwie i może wybierać lub odrzucać wszelkie propozycje wedle swego

upodobania. - Jąkając się wykszusiłem słowa podziękowania za informację, której w istocie nie potrzebowałem. Króla znużyły wkrótce swaty i przeszedł od razu do spraw większej wagi.

- Chcesz handlować - rzekł Domas otwarcie jak zawsze. - A ja ci powiem wprost, bez zbędnego owijania w

bawełnę, że rozważam przyjęcie tej propozycji.

- Jestem zaszczycony i wielce uradowany, wasza wysokość - odpowiedziałem gorąco. - Cóż jednak mam

uczynić, aby zamienić te rozważania w konkretną umowę?

Domas skinął na Beemusa.

211

- Ten gość rośnie w moich oczach - powiedział wskazując na mnie kciukiem. - Gdyby nie był kupcem,

mianowałbym go swoim doradcą. Zauważyłeś, jak uderzył w samo sedno sprawy, nie obrażając mnie przy

tym? - Beemus szepnął, iż istotnie zauważył, i król zwrócił się znowu do mnie. - Chciałbym - rzekł - żebyś

sam odpowiedział na pytanie, które zadałeś mi, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Poprosiłem Beemusa,

żeby dokładnie zapamiętał wszystkie swoje słowa.

Beemus ukląkł na krześle i zaczął szeptać królowi do ucha. Domas niczym odległe echo odtwarzał moje

własne pytanie: - To, że my możemy wiele zyskać, wydaje mi się oczywiste. Ale zastanawiam się, panie,

jakie korzyści możecie mieć z nas?

Król odsunął się od Beemusa.

- Odpowiedz na to pytanie. Tylko rozważnie.

Musiałem wybuchnąć śmiechem, ponieważ król tak zgrabnie zepchnął swój kłopot na moje barki. Śmiech

pojawił się zupełnie spontanicznie, jakbym nie zdawał sobie sprawy z obecności króla. W odpowiedzi

uśmiechnął się z uznaniem, co miało oznaczać, że cieszy się z tak szczerej reakcji. - Doskonale, wasza

wysokość - odparłem. - Postaram się jak najlepiej. Nie będę wynosił pod niebiosa zdolności kupieckich

mieszkańców Orissy. Nie będę też wychwalał osiągnięć mej rodziny i uczciwości, z jakiej słynie. Wiesz o

tym wszystkim, w przeciwnym razie nie rozmawialibyśmy ze sobą, gdybyś nie wiedział, nie doszłoby w

ogóle do tej dyskusji, miłościwy panie. - Król skinął głową. Zachęcony ciągnąłem dalej swój wywód. - Zyski

nie są dla mnie najważniejsze. Nie stanowiły one również celu nadrzędnego moich rodaków, gdy wysyłali

mnie, abym odnalazł Odległe Królestwa. A czego chcę, miłościwy panie? Wyłożę ci to najprościej jak

potrafię.

Opowiedziałem mu o Orissie i przyzwoitych ludziach, którzy tworzyli jej serce i duszę. Opowiedziałem o

naszych marzeniach i nadziejach, nie omijając zła, które zakradło się do naszych domostw.

Odmalowałem

wiernie ostatnie cierpienia, zatrzymując się dłużej, czego wymagała ode mnie szczerść, na boleści i stratach, jakich doświadczyłem osobiście. Następnie wyznałem, z jakim podziwem oglądałem wszystkie

cuda Vacaan, podczas podróży rzeką i jak marzyłem, by móc je wykorzystać, aby oświecić i lepiej ochraniać

moich rodaków. Wyrzuciłem z siebie to wszystko bez wahania, modląc się w duchu, by król nie uznał mnie

za młodego głupca, jakże naiwnego w swej całkowitej szczerści. Kiedy skończyłem, odchyliłem się do tyłu

na krześle, chcąc zorientować się, jakie wrażenie wywarły na nim moje słowa.

Domas milczał przez dłuższą chwilę i zacząłem podejrzewać, że naprawdę go wzruszyłem. W końcu odezwał się:

- Teraz rozumiem dlaczego tu przybyłeś, Almaryku Antero. Nie wahając się ryzykować życiem. Powody,

jakimi się kierowałeś, mogą być przychylnie przyjęte w moich królestwach. Mam podobne jak ty uczucia

względem tutejszego ludu... chociaż czasami wydaje mi się, że zapominają, co dla nich robię. - Wybuchnął

śmiechem, jakby drwił z samego siebie. - Oczywiście, nie jestem takim altruistą, na jakiego się tu kreuję.

Jestem królem, a królowie są z natury samolubni. Czasem musimy być okrutni; dlatego właśnie mój brat,

jest przy mnie, a nie siedzi zamknięty w jakiejś wieży. To mój demon. Dbą o to, żebym hamował moją

samolubną naturę, która żąda, aby wszyscy poddani wychwalali moje imię.

Przerwał, gdy Beemus zaczął mu coś szeptać do ucha. Skinął wreszcie głową pomrukując: - Tak. Tak.

Właśnie miałem o tym mówić. - Odwróciwszy głowę ciągnął dalej: - Beemus przypomniał mi o twojej

przemowie. Podobała mi się, lecz mam wrażenie, że pominąłeś w niej to co najistotniejsze.

Przyznaję, że

współczuję twym ludziom i boleję, że musieli tyle wycierpieć. Ale, Almaryku Antero, co ja mam z tym

wspólnego?

- To wszystko wiąże się ściśle z twoją osobą, wasza wysokość - odparłem - bo gdyby nie nasze potrzeby i

pragnienia, nie miałbyś wiele do zaoferowania.

- A więc pokaż mi swe towary, kupcze.

Rozwinąłem przed nim dywan wyobraźni i rozstawiłem na nim najróżniejsze produkty. Powiedziałem mu o

gąbczastym kamieniu z północy, który tamtejsi ludzie rzeźbią w posągi bożków, płaczące wonnymi łzami na

zapowiedź deszczu. Powiedziałem o wspinałym, malowanym suknie, jakie tkają kobiety z południa, a

każda sztuka materiału różni się od innych wzorem i fakturą i inaczej układa się, gdy już stanie się gotowym

ubiozem. Powiedziałem o nieprzebranej różnaitości owoców, zboża i napojów, które napływają do nas ze

wszystkich ziem leżących nad naszym morzem. Dodałem, że podobnie jak w Odległych Królestwach,

naszemu pożywieniu brakuje urozmaicenia i pewnie właśnie dlatego mistrzowie kuchni w Irayas zadają

sobie tyle trudu, aby wymyślać bogate sosy do wszystkich potraw. Mówiłem długo, nie szczędząc

212

najdrobniejszych szczegółów, a król ani razu nie okazał znużenia, gdy tak snułem kupiecką opowieść o

egzotycznych królestwach, nieznanym ludom i dziwacznościach, które zdawały się mu równie odległe jak

nam jego

ziemie.
Zwinąwszy mój zmyślony kobierzec, rzekłem:

- Nie uzurpuję sobie talentu jasnowidza, ale przypuszczam, iż wasza wysokość znudziłeś się już ciągłym

chronieniem i izolowaniem swego królestwa. Słyszałem, że obawiasz się, o chart ducha twoich poddanych.

Towary, jakie zaproponowałem, wzbudzą ich zainteresowanie swą odmiennością, zadziwią osobliwością

oraz dadzą im posmak przygody. - Odchyliłem się do tyłu, upojony własnymi słowami. - I dlatego, wasza

wysokość, uważam, iż zyskasz na tej ugodzie tyle samo co my. Dlatego też jestem pewny, że raz podpisane

porozumienie okaże się trwałym i wartościowym.

W oczach króla Domasa dostrzegłem podniecenie równe mojemu. Pokiwał głową, a ja byłem przekonany,

że trafiłem w dziesiątkę. Nagle dostrzegłem na jego obliczu ostrożne wahanie, która znacznie przyćmiło

niedawny zachwyty.

- Handel nie może odbywać się w Vacaan - zastrzegł. - Zewnętrzne wpływy, jak nieustannie ostrzega mnie

brat, mogą zrodzić niezadowolenie wśród mego ludu.

- Bez trudu moglibyśmy znaleźć jakiś neutralny port - odrzekłem. - Miejsce, które odpowiadałoby nam

obydwóm.

- Tak, to byłby niezły pomysł - odparł Domas.

Rozłożyłem szeroko ręce w geście bezradności

- Co jeszcze mogę powiedzieć, aby cię przekonać, wasza wysokość? Skończyły mi się już niewielkie zasoby

bystrości i polotu, jakie zdołał wcisnąć ojciec do mej odpornej głowy.

Król wybuchnął śmiechem, który ogłuszył mnie na chwilę, lecz płomień nowego zainteresowania w oczach

władcy mógł być rekompensatą za osłabiony słuch.

- Wystarczy, przyjacielu - powiedział w końcu. - Zrobiłeś dużo dobrego dla twego miasta i nie masz się

czego wstydzić. Podoba mi się twoja propozycja. Podoba mi się tak bardzo, że przystaję na nią od razu.

Jednak... - umilkł, posłuchał chwilę szeptów Beemusa, po czym ciągnął. - Jednak, jak twierdzi Beemus

przed przygotowaniem umowy, musimy wnikliwie rozważyć szczegóły.

- Uważam, że to bardzo dobry pomysł, wasza wysokość - bo uznałem, ponieważ wyczuwałem, że już czas

opuścić komnaty króla. - Jak mawiał mój ojciec, „wszystkie układy jaśnieją blaskiem, kiedy obie strony po

raz pierwszy je uzgadniają, lecz większość z nich zamienia się w zimne popioły, zanim włożysz je do kieszeni.”

- Mądry był to człowiek - przyznał król kiwając głową.

- Dziękuję, panie. Istotnie był mądry. A teraz, jeśli wasza miłość pozwoli... - zacząłem kierować się ku

drzwiom. Domas machnął lekko ręką i Beemus zeskoczył z krzesła, aby mnie odprowadzić.

- Jak mi poszło? - zapytałem, kiedy znaleźliśmy się na korytarzu. Beemus szepnął, że poradziłem sobie

nadzwyczaj dobrze. Uzyskawszy taką odpowiedź zrozumiałem, że mogę liczyć na wsparcie tego małego

człowieczka.

PODZIELIŁEM SIĘ z Janoszem wszystkimi szczegółami spotkania, pomijając jedynie muzykę... i Omerye.

Zorientowałem się jednak, że zauważył, iż coś opuściłem: Janosz został obdarzony taką samą

przenikliwością jak król. W innym wypadku, Szary Płaszcz nalegałby na uzupełnienie tej historii, a ja z

pewnością, wszystko bym mu opowiedział, chociaż sam nie wiedziałem, jak opisać moje uczucia.

Tym

razem jednak Janosz miał mi równie wiele do powiedzenia, więc pochwalił mnie tylko; od początku miał

przecucie, że sobie poradzę i doprowadzę sprawy do szczęśliwego zakończenia.

Kiedy zapytałem o jego spotkanie, ogarnął go niewysłowiony entuzjazm i bardzo nieskładnie próbował

opisać mi wszystkie sekrety, jakie wyjawiał przed nim księżę Raveline. Umilkł na chwilę, po czym

opowiedział o zaklęciu wziętym z zapisków Pradawnych, przemieniającym wodę w lód.

- To znów była manipulacja - zawołał. - Podobnie jak z piaskiem i złotem, lecz nie tak skomplikowana,

ponieważ woda jest... jest ... - Jaki pomysł zaświtał mu w głowie, aż walnął się z całej siły w czoło.

- Na

bogów, teraz rozumiem! - wrzasnął. Najwyraźniej jednak pogubił się w tym i pokręcił głową zdenerwowany.

- Uciekł mi, do diabła! - Dostrzegłszy ciełący wyraz na mojej twarzy roześmiał się głośno. - Pomysł

nieważne. Jeszcze wróci. - Napełnił kielichy mocną gorzałką. - Raveline zaprosił mnie na jutro i pojutrze.

Zdobędę ogromną wiedzę.

213

- Pokazał ci swoje demony? - zażartowałem.

Żart nie został odpowiednio przyjęty. Janosz spoważniał. - Nie... nie pokazał. - Na jego twarzy odmalowało

się rozczarowanie. Ucieszyłem się. Pomyślałem, że niepotrzebnie się zamartwiam. Król zakazuje, więc

nawet własny brat nie ośmieliłby mu się przeciwstawić. Dodałem w duchu: szczególnie jego brat nie

odważyłby się na to.

Janosz wznosił kielich wypowiadając nostalgiczny toast:

- Za Odległe Królestwa.

Podniosłem swój, powtarzając za nim niczym spóźnione echo:

- Za Odległe Królestwa.

Z POCZĄTKU, gdy zanurzyliśmy się w wir życia w Irayas, wszystko wydawało nam się dobre i nieskażone.

Spotkania z Domasem i Raveline'em spowodowały falę zaproszeń: ucztowaliśmy codziennie przy suto

zastawionych stołach. Uczyliśmy się nowych tańców w wielkich salach balowych, nie szczędzono nam

zaszczytów ani podarunków, które czasami wprawiały w zakłopotanie. Nocami żeglowaliśmy srebrnymi

kanałami tego wielkiego, rozświetlonego miasta, śpiewając piosenki wespół z naszymi nowymi znajomymi.

W ciągu dnia przechadzaliśmy się po wspaniałych ogrodach i jeszcze piękniejszych galeriach, w których

oglądaliśmy arcydzieła sztuki vacaańskiej. Raz ujrzałem Omerye, kiedy uważnie przyglądała się posągowi

wielkiej harfistki. Tajemnicza więź, jaka nawiązała się między nami podczas pierwszego spotkania, dała o

sobie znać i dziewczyna już zaczęła odwracała ku mnie głowę, lecz rana po śmierci Deoce zakłuła niespodziewanie i wycofałem się pośpiesznie, zanim Omerye zdążyła mnie zauważyć.

Wstrząs, jakiego doznałem na jej widok, przypomniiał mi o mojej niepewnej sytuacji. Nie potrafiłem ignorować faktu, iż mijały tygodnie a ja w dalszym ciągu nie spotkałem się z królem. Z powodzeniem mógłbym wyłożyć ścieżkę aż do pałacu moimi listami, które słałem nieprzerwanie, chcąc się dowiedzieć

czegoś o losach naszej handlowej umowy. Na niektóre nie uzyskałem żadnej odpowiedzi; większość spotkała się z lakonicznym stwierdzeniem: „Musisz zrozumieć, że to sprawy niezwykle złożone. Z góry

chwalimy twą cierpliwość wobec tych nieprzyjemnych, lecz koniecznych opóźnień.”

Zamartwiając się tymi niepowodzeniami, nie zauważyłem nawet nieobecności Janosza. Teraz miałem

już

dwa powody do niepokoju, albowiem uzmysłowiłem sobie, ile czasu minęło, odkąd widziałem go po raz

ostatni. A już przed tamtym dniem bywał u mnie bardzo rzadko. Przypomniałem sobie ostatnie wiadomości,

które wysłałem do jego pałacu i doszedłem do wniosku, że spotkał je ten sam los, co moje listy do króla.

Jego służący, Gatra, zawsze odpowiadał z żalem, że jego pan jest bardzo zajęty z księciem i nie wolno mu

przeszkadzać. Może kiedy indziej? Lecz każdy termin okazywał się po jakimś czasie nieodpowiedni.

Wreszcie poszedłem do karczmy, którą szczególnie upodobali sobie nasi ludzie. Po długim okresie

spędzonym na oglądaniu wspaniałości zamożnych dzielnic Irayas, podniszczony budynek położony

niedaleko portu oraz hałaśliwa atmosfera tego miejsca podziałały na mnie odświeżająco. Chyba dopadła

mnie nostalgia i zatęskniłem za Orissą, pełną charakterystycznych widoków i zapachów.

Setnik Maeen i pozostali uradowali się na mój widok. Lione wyblagał, żebym zapomniał o swojej sakiewce,

po czym zafundował wino dla wszystkich gości z okazji mojej wizyty. Kiedy tak piliśmy wymieniając

sposrzeżenia, rozejrzałem się dookoła i stwierdziłem, że moi ludzie dobrze o siebie zadbali.

Towarzyszyło

im wiele chętnych, młodych dziewcząt; nie należy zapominać, że były to zacne kobiety, córki drobnych

handlarzy i młode wdowy po wyrobnikach. Każdy taki związek mógł skończyć się małżeństwem, więc

leniwie zacząłem się zastanawiać, który z nich wyrazi chęć pozostania tutaj, a który wyruszy z powrotem do

ojczyzny, kiedy nadejdzie czas odjazdu. Mężczyźni w karczmie, bardzo zaprzyjaźnieni z Maeenem i z resztą, sprawiali wrażenie krzepkich, ciężko pracującymi ludźmi. Setnik zapytał, co słyhać u Janosza.

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz - przyznałem się. - Nie widziałem go już od dłuższego czasu.

Maeen zmarszczył brwi, po czym wysilił się na śmiech. - Wiesz, panie, jaki czasami bywa kapitan - stwierdził z rozrzewnieniem. - Nie ma się co martwić. Niebawem się tu pojawi, żeby zabawić się ze starymi towarzyszami.

- Miałeś jakieś wieści od niego? - zapytałem.

Lione roześmiał się głośno.

- Och, kapitan tylko napełnia sobie głowę naukami i innymi takimi, panie. Janosz Szary Płaszcz to stary

zbereźnik, jak wszyscy. - Szturchnął mnie lekko łokciem. - Ludzie gadają, że nawet bardziej niż wszyscy.

214

Maeen skarcił go gniewnym spojrzeniem i zwrócił się do mnie: - Nie zwracajcie na niego uwagi, panie.

Kapitan Szary Płaszcz może i uczestniczył w kilku przyjęciach, ale tylko dla dobrej zabawy.

- Czy te... hm ...przyjęcia... mają coś wspólnego z księciem Raveline'em? - spytałem znając odpowiedź,

lecz łudząc się nadzieją, że się mylę.

Długie wahanie Maeena przekonało mnie, że tak nie było.

- No, cóż... sądzę, że mają, panie. - Czoło zmarszczyło mu się ponownie. Westchnął. - Z tego co słyszałem,

te przyjęcia nie były dla świętoszków. - Zaśmiał się nerwowo. - Nie ma jednak powodu do zmartwienia,

panie. To tylko przemijające upodobanie mężczyzn. A kiedy już wszystko zrobią i wszystko sobie powiedzą,

okaże się, że kapitan Szary Płaszcz ani trochę nie odstaje od księcia Raveline'a.

Usłyszałem pijacki okrzyk:

- Czyżbym usłyszał imię tego psa? Księżę Raveline, tak? - Podszedł do nas potężny jegomość o czerwonej

twarzy. - To moja karczma i nie pozwolę, żeby tym wstrętnym imieniem plugawiono to miejsce.

Spojrzałem na karczmarza zaciekawiony tym objawem nienawiści. Maeen i pozostali cofnęli się mamrocząc

coś niespokojnie. Obowiązki kazały jednak setnikowi ostrzec właściciela.

- Przyszliśmy tu tylko po to, aby się napić w przyjacielskiej atmosferze. Jeśli chcesz się zajmować polityką,

człowieku, pójdziemy sobie gdzie indziej.

Właściciel karczmy beknął głośno, i najwyraźniej wściekły i gotów do bójki. - Jeśli nazywam tego księcia

psiem, to widać na to zasługuje! Szkoda tylko psa, jak pomyśleć, ile złego ten łajdak wyrządził!

- Mówiłby dalej w tym tonie, ale schwyciły go przyjazne dłonie. Wyrывał się z początku, lecz wreszcie dał

się wyprowadzić. Dwie kobiety, jak się domyśliłem, żona i córka, wypchnęły go za drzwi i zatrzasnęły je z

hukiem. Przez cały czas karczmarz nie przestawał ciskać obelg pod adresem Raveline'a i jego niecnym

uczynków.

Zaniepokoił nas ten niespodziewany wybuch, a najbardziej przejął się nim Maeen. Rozglądał się

niespokojnie, patrząc na ciemne typki siedzące wokół, lecz prawie wszystkie twarze wyrażały kompletny

brak zainteresowania.

- Lepiej będzie, jak poszukamy nowego lokalu - mruknął setnik do Lione. - Ten karczmarz może nam narobić kłopotów. - Lione skinął głową na znak pełnego zrozumienia.

- Zaiste, nieokrzesany z niego typ - stwierdziłem. - Ale jakich nam może przysporzyć kłopotów?

Wypowiadał nieprzyzwoite słowa pod adresem księcia, lecz, z drugiej strony, pamiętajmy, że król wręcz

zachęca poddanych, by mówili, co im leży na sercu. Sam słyszałeś, jak to podkreślał.

Maeen poruszył się niespokojnie. Przybliżył się do mnie i szepnął: - Król może sobie mówić różne

rzeczy,

panie, ale tak naprawdę to tu wcale tak nie jest. - Uderzył parę razy w stół, jakby chciał podkreślić swoje

słowa. - A z tego co słyszałem, panie, tam na górze też jest zupełnie inaczej.

- Powiedz mi coś więcej - mruknąłem.

Maeen pokręcił głową. - Nie byłoby zbyt mądrze długo się nad tym rozwodzić, panie. Pełno tu donosicieli. -

Wskazał na jednego z szubrawców, który systematycznie podsuwał się ku nam. - Prawdopodobnie ktoś inny

niweczy dobre intencje króla. A ten „inny”, jeśli wiesz, panie, o kim mowa, bardzo łatwo się obraża. Ludzie

powiadają, że zdarzały się straszne rzeczy, kiedy ktoś nadużył jego imienia.

Chciałem dowiedzieć się więcej, lecz szpicel siedział już obok naszej ławy, odwrócony tyłem, z pozornie,

obojętnym wyrazem twarzy, lecz widać było wyraźnie, że nastawia czujnie uszu. Odezwałem się głośno -

No, dobrze. Pozwólcie, że ja postawię następną kolejkę. Wszyscy wzniesiemy toast za naszych królewskich

gospodarzy. - Moja propozycja spotkała się z żywym aplauzem, a po jakimś czasie, spędzonym na niewinnych żartach i opowieściach, Maeen mrugnął do mnie sugerując, że powinienem już iść. Inni mieli

podążyć za , gdy przyjdzie odpowiednia pora.

Powróciłem do pałacu szczerze zaniepokojony. Zastanawiałem się nad tymi „przyjęciami,” jak określił je

Maeen, których gospodarzem był Raveline. Domyślałem się, że chodzi tu zwyczajnie o orgie, seksualne

widowiska i niebezpieczne szaleństwa podsycane siłą magii. Dobrze pamiętałem, jak wielki wpływ miały

podobne doświadczenia na Janosza. A zdążyłem się już przekonać, że w Irayas nie wszystko przedstawiało

się tak cudownie. W tym jednak momencie przypomniałem sobie negocjacje z królem. Wiedziałem, że

Domas szczerze wyraża zainteresowanie handlem z Orissą i że nie szykuje jakiegoś wrednego podstępu.

Pocieszałem się, że tak naprawdę to nie wiem nic konkretnego, a moje obawy opierają się wyłącznie na

połyskach. Wierzyłem oczywiście słowom Maeena, lecz on sam dowiedział się o tym z trzeciej lub czwartej ręki. Co więcej, czyż nie pozwalałem świadomie, aby moja wyraźna niechęć do Raveline'a

215

przesłaniała mi obiektywne spojrzenie na sprawę? Tak naprawdę nie miałem konkretnych powodów, które

motywowałyby ową niechęć. Książę chyba nie zasługiwał na takie traktowanie.

Podczas gdy nękały mnie podobne zmartwienia i rozterki, Janosz odwiedził mnie w moim pałacu.

Emanował energią, inteligencją i doskonałym humorem.

- Zatęskniłem za tobą, przyjacielu - powiedział klepiąc mnie po plecach. - Zbyt długo nurzałem się w starych, zakurzonych pergaminach, a uszy mam tak przepełnione zaklęciami, że obawiam się ogłuchnąć z

braku normalnej mowy.

- A zatem twoje badania przebiegają pomyślnie? - spytałem.

- Piekielnie pomyślnie - odparł Janosz. Znowu poklepał mnie po plecach i zaproponował, żebyśmy poszli

zobaczyć, jak sobie radzą nasi ludzie i napić się z nimi jakiegoś mocniejszego trunku. Znaleźliśmy ich w

dużej tawernie, okupowanej głównie przez wyrobników, żeglarzy i portowych tragarzy. Razem z Janoszem

znów było nas dwudziestu. To wspólne spotkanie dodało nam wszystkim otuchy i sprawiło radość.

Wypiliśmy nieco więcej niż początkowo zamierzaliśmy i nie raz uroniliśmy łyżkę, wspominając przeżyte

wspólnie przygody. Zanim jednak porządnie zaszumiało nam w głowach od nadmiaru gorzałki, podszedł do

mnie Maeen.

- Pamiętasz, panie, tego przeklinającego karczmarza? - zapytał ściszym głosem.

- Z tamtej karczmy? - Skinął głową. Rozejrzałem się po nowym miejscu z wyrazem aprobaty na twarzy. -

Dobrze zrobiliście, że daliście mu nauczkę. I całkowicie popieram obecny wybór.

- Nie daliśmy mu nauczki - odrzekł Maeen. - Nie zdążyliśmy. Zniknął jeszcze tej samej nocy i nikt go od tej

pory nie widział ani o nim nie słyszał. Kazano też zamknąć karczmę.

- Kto kazał? - zapytałem.

- Nie padło żadne imię - odpowiedział Maeen. - Ale wszyscy mówią, że nie mógł to być nikt inny jak książę

Raveline.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Omerye

Niepokój, jaki zagościł na nowo w moim sercu w związku ze spotkaniami Janosza z Raveline'em rozproszyło niespodziewanie pojawienie się Beemusa. Charakterystycznym szeptem poinformował mnie, że król obecnie zajmuje się niesłuchanie ważnymi sprawami, które, według niego, są istotniejsze od spraw, które miał przedyskutować ze mną. Wykluczając ewentualne nieprzewidziane wypadki, nasza ugoda handlowa miała zostać rozpatrzona natychmiast po zakończeniu obecnych pertraktacji.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, w którą stronę skłania się król? - zapytałem. W odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami, lecz jednocześnie na jego ustach pojawił się nieznaczny grymas, który, jak na Beemusa, można było wziąć za uśmiech zachęty. - Kiedy się zdecyduje? Domyślasz się czegoś? - Następne wzruszenie ramionami i mina, z której wynikało, że nie jest tego pewien. - Powiedz chociaż, czy długo jeszcze będę musiał czekać! - Beemus pomyślał chwilę, po czym zaprzeczył ruchem głowy: nie, już niedługo.

Po jego odejściu poczułem, jak spływa na mnie nowa fala nadziei. Czym prędzej przesłałem wiadomość Janoszowi myśląc, że moglibyśmy przedyskutować plany handlowe. Kiedy jednak otrzymałem odpowiedź i ujrzałem znajome bazgroły Gatry, zrozumiałem bez czytania, że Janosz znowu jest nieuchwytny i dostał się pod wpływ Raveline'a. Nie pozwoliłem, aby ten fakt zniweczył moją radość, więc wskoczyłem do łodzi i wyruszyłem na spokojną przejażdżkę po Irayas.

Woda zawsze działała na mnie uspokajająco. Tamtego dnia spędziłem sporo czasu żeglując po rzece z moim przewoźnikiem. Późnym popołudniem dotarliśmy do miejsca, którego jeszcze nigdy nie widziałem.

Była to stara dzielnica leżąca w pobliżu centrum miasta. Nad głową mieliśmy istny baldachim gęstych

drzew, których powykręcane pnie i konary odbijały się w tafli wody, zacinając, znacznie węższe na tym

odcinku, kanały. Domostwa, chociaż nie można było ich nazwać biednymi, wydawały się dużo mniejsze,

lecz z wyglądu równie zróżnicowane. W powietrzu unosił się zapach farby, pyłu ze świeżo polerowanego

kamienia oraz wełnianej przędzy, zwilżonej przed spotkaniem z krosnem. Kiedy płynęliśmy labiryntem

kanałów przecinających ową dzielnicę, dostrzegłem kolorowe plamy w oknach domów. Zdałem sobie

216

sprawę, że to malowidła i piękne gobeliny. Ujrzałem również malarzy i tkaczy, pochłoniętych dziełem

tworzenia. Wkrótce minęliśmy otwarty, obszerny dziedziniec, na którym stała niezliczone rzeźby w różnym

stopniu twórczego zaawansowania. Skręciliśmy w przyjemną wodną alejkę, gdzie zachwyił mnie głęboko

cudowny śpiew jakiegoś ptaka. W chwilę później uświadomiłem sobie z ukłuciem bólu, że to nie ptak

tworzył tę wspaniałą muzykę, ponieważ po kilku trelach popłynął delikatny strumień zachwycającej melodii.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości: była to Omerye. Kazałem przewoźnikowi zawrócić, lecz zdawał się

tak pochłonięty muzyką, że zamiast spełnić moje polecenie zaczął mocniej machać wiosłami. Wtedy

odniosłem wrażenie, że dźwięki fujarki zarejestrowały mą obecność; usłyszałem te same nuty nagłego

zainteresowania, które pamiętałem z poprzedniego spotkania w komnacie Domasa. Było to jakby delikatne

węsenie wokół mnie zakończone radosnym okrzykiem rozpoznania. Nisko opadające gałęzie rozchyliły się

ukazując niewielki pomost, na którym siedziała Omerye przebierając łagodnie w wodzie bosymi stopami.

Kiedy nasza łódź się zatrzymała dziewczyna odegrała ostatni akord radosnego powitania. Opuściła fujarkę i

spojrzała na mnie. Grzywa czerwonych włosów tworzyła imponującą aureolę dokoła jasnej twarzy, lecz w

świecie dziennym przekonałem się, że kolor jej włosów różni się nieco od moich. Był bardziej intensywny, a

zarazem subtelniejszy. Miała na sobie białą, obcisłą tunikę, kończącą się tuż za kolanami. Uśmiechała się

nieśmiało, lecz na widok tej, zachęcającej miny poczułem niewysłowioną radość, a zaraz potem smutek,

ponieważ zdawałem sobie sprawę, że muszę odejść.

- Wiedziałaś, że przyjdiesz. - Jej głos był równie delikatny i melodyjny jak dźwięki fujarki. Nie zawierał

ani odrobiny fałszu. Wskazała swoim instrumentem na biały dom o spadzistym, niegdyś błękitnym dachu,

obecnie wyblakłym i zniszczonym przez deszcze i wichury. - Wejdiesz?

Mogłem dać jej tylko jedna odpowiedź, lecz kiedy już wykrztusiłem te trudne słowa, ze zdumieniem spostrzegłem, że w jakiś niezrozumiały sposób zmieniły się w mych ustach i usłyszałem, jak mówię: - Tak.

Bardzo chętnie. - Wszedłem na pomost i zadrżałem na całym ciele, kiedy poczułem jak jej dłoń dotknęła

moich pleców pomagając mi w utrzymaniu równowagi. Staliśmy razem, blisko siebie, bardzo blisko. Była

wysoka, więc bez trudu odnalazłem jej oczy. Były błękitne, lecz w chwilę później, gdy uniosła lekko podbródek, wydały mi się ciemnozielone, a gdy podbródek powędrował jeszcze wyżej, byłem przekonany,

że są stalowoszare. Usta, leciutko napuchnięte od gry na fujarce, uśmiechały się do mnie nieśmiało. W sam

raz do całowania, pomyślałem. Ujęła moją dłoń i poprowadziła do domu. Za plecami usłyszałem stłumiony

chichot przewoźnika i tarcie drewna o drewno, gdy łódź odbijała od pomostu. Chciałem odwrócić się i

krzyknąć, by poczekał, bo za chwilę wracam, lecz usłyszałem tylko plusk wiosł, oddalającej się łodzi i...

wszedłem do białego domu. W ciemnym wnętrzu powitało mnie wiele starych, pięknych gobelinów.

Główna komnata roiła się od najróżniejszych poduszek w stonowanych kolorach, ułożonych kółkiem dokoła

niewielkiego stołka. Omerye usiadła na nim i pogładziła jedną z najbliższych leżących poduszek. Utonąłem w

jej puszystej miękkości, a chociaż chciałem zadać Omerye mnóstwo pytań, byłem tak zdezorientowany, że

milczałem.

Ciszę przerwał melodyjny głos dziewczyny:

- Rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - Pokręciłem przecząco głową. Uniosła fujarkę. - To dla ciebie

gram - powiedziała. Nadal nie rozumiałem. Podniosła instrument jeszcze wyżej, zbliżając go do ust. - Od

pierwszej chwili, gdy zaczęłam grać - ciągnęła - zawsze oczyma wyobraźni widziałam mężczyznę. To dla

niego tworzę swoją muzykę. - Przerwała opuszczając fujarkę i pokręciła głową. - Nie. To nie tak. - I Mocno

przycisnęła instrument do piersi. - Tworzę muzykę dla siebie. - Instrument znów podskoczył do góry. - Lecz

gram ją dla... ciebie. Ty jesteś mężczyzną z moich snów. - Fujarka muskała delikatnie jej usta. - I byłeś tam

od... od... od zawsze.

Zaczęła grać. Ujrzałem w wyobraźni obraz małego, bladego dziecka, poważnej dziewczynki, milczącej i

pochłoniętej marzeniami. Kiedy piszę, że ją widziałem, pamiętajcie, że uszy służyły mi za oczy, a nuty

melodii tworzyły formę i barwę lepiej niż światło. Dziewczynka uwielbiała wszelkie dźwięki, zarówno

przenikliwe trele ptaków, jak i stukanie suchego drewna o pomost. Ujrzałem, z tych najzwyklejszych tonów

sama tworzy niezwykłą muzykę. Widziałem, jak układa nuty w pierwszą całą piosenkę. Zawsze grała patrząc w zwierciadło; dostrzegłem w nim jakiś niewyraźny obraz. Teraz w mojej wyobraźni dziecko

zmieniło się w dziewczynę, nabrzmiewające pączki rozwinęły się w piersi, a biodra rozrosły w rozkołysaną

kobiecość. Siedziała przed lustrem, a czerwone włosy spływały kaskadą na smukłe ramiona, gdy pochylała

głowę nad nową fujarką. Komponowała wspaniałą piosenkę, lecz słuchacz mógł się domyślić, po

nieuchwytnym wahaniu, że dziewczyna bada nieznany grunt. Zobaczyłem, jak zerka w lustro szukając w

217

nim akceptacji. Z początku myślałem, że widzę w nim jej odbicie, lecz czerwone włosy miały nieco inny

odcień, a twarz miała moje rysy. Muzyka przeniosła mnie dalej: zobaczyłem, jak dziewczyna przeistacza się

w kobietę, jak jej muzyka wznosi się na niedosiężne wyżyny sztuki. Zobaczyłem jej występy przed ważnymi

osobistościami, zachwyconymi jej twórczością. Zdawałem sobie sprawę, że Omeryce szukała akceptacji

jednej, najważniejszej osoby. Tą osobą byłem ja.

Muzyka umilkła. Otworzyłem oczy i ujrzałem łzy radości spływające jej po policzkach.

- Oto pierwszy utwór, jaki zrodził się w mojej głowie - powiedziała. - Lecz nigdy nie potrafiłam go zagrać...

dopiero teraz... - Uniosła fujarkę i melodia zawirowała wokół mnie. Choć na pewno nigdy jej nie słyszałem,

lecz refren zdawał mi się bliski, osobliwie znajomy. Melodia Omerye porwała mnie; razem odkrywaliśmy

nowe światy - łańcuchy górskie, przełęcz, rzeki i wzburzone morza. Instrument umilkł i gdy ostatnie nuty

ulotniły się niczym poranna mgła pod wpływem wschodzącego słońca, uświadomiłem sobie, że ten utwór

został stworzony tylko dla mnie.

- Czy teraz rozumiesz? - zapytała drżącym, niespokojnym głosem.

Kiedy otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, rozwarł się przede mną czarny dół, a Omerye stała się maleńką,

odległą postacią po przeciwnej stronie szerokiej zatoki. Gorzkie wspomnienia Deoce i małej Emilie zalały

moją duszę i serce. Poczułem niewysłowiony ból. Pograżony w odnowionej żałobie zdawałem sobie

jednocześnie sprawę, że wkrótce odczuję cierpienie po stracie kolejnej bliskiej mi osoby. Jak bowiem

mogłem prosić Omerye, żeby żyła ze mną i z moimi wspomnieniami?

Usłyszał mnie Halab i zlitował się nade mną. Poczułem jego obecność, a szept z zaświatów ukoił moje

cierpienie: - Znajdziesz je w niej - mówił - jeśli tylko dobrze poszukasz. - Tak zrobiłem, a kiedy podniosłem

głowę, czarny dół zniknął. Twarz Omerye była bardzo blisko i spojrzawszy w jej oczy dostrzegłem Deoce i

Emilie. Miłość Omerye wchłonęła także ich uczucia tak, że stały się nierozzerwalną całością. - Rozumiesz? -

spytała znowu.

- Tak - odparłem. - Teraz rozumiem. - Wstała ze stołka i poszybowała w moje objęcia wydając krótki

okrzyk zachwyty. Zagłębiliśmy się w puszysta miękkość poduszek, pragnąc siebie bardziej niż czegokolwiek

innego na świecie. Moje palce bez trudu rozpięły białą tunikę i w chwilę później pieściłem delikatne

ciało,

które wydawało mi się jednocześnie tajemnicze i znajome. Usłyszałem własne słowa: - Kocham cię,

Omerye. - Opowiedziała szeptem - Zawsze cię kochałam, Almaryku. - Oprócz słów miłości, nie mówiliśmy

nic. Kochaliśmy się aż do świtu, a w chłodnym świetle poranka Omerye zagrała jeszcze raz swoją pieśń.

Ona grała, ja słuchałem i tak tworzyliśmy jedność.

Mówią, że nowym kochankom czas mija niesłychanie szybko, jakby w nierealnym śnie. Tylko to drugie

sprawdziło się w naszym przypadku: całe tygodnie spędziliśmy jak w transie, upijając się sobą nawzajem,

lecz każdy tydzień wydawał się wieloma latami, które razem składały się na doświadczenie całego życia.

Wiele musieliśmy jeszcze poznać, ale z drugiej strony tak wiele już przeżyliśmy i niebawem zrozumieliśmy

jasno, że jeśli bogowie zaofiarują nam jakąś przyszłość, spędzimy ją razem. Powstało tylko jedno pytanie:

gdzie? Problem rozwiązaliśmy niezwykle szybko.

- Czy mam porozmawiać z królem - spytałem - i poprosić, aby pozwolił zostać mi tu z tobą jako jeden z

jego poddanych?

- Jeśli naprawdę tego chcesz - odparła Omerye. - Nie popełniaj jednak błędu i nie rób czegoś tylko dlatego,

aby mnie zadowolić.

- Czy nie wolałabyś pozostać wśród swoich? - zapytałem myśląc o Deoce i zastanawiając się, czy los

rzuciłby kości w inną stronę, gdybyśmy powrócili do jej plemienia. - Bardzo cię tu podziwiają. Obawiam się,

że twoja do sztuka nie znalazłaby tak doskonałego oddźwięku w Orissie.

- Podziw ludzki nigdy nie był dla mnie celem samym w sobie - odparła Omerye. - Najbardziej cenię wolność tworzenia muzyki takiej, jaka mi się podoba.

- Z tym nie miałabyś kłopotu w Orissie - stwierdziłem. - Myślę, że z podziwem również. Lecz u nas sztuka

nie jest tak uwielbiana jak tutaj w Vacaan.

Twarz Omerye posmutniała.

- Tu wcale nie jest tak cudownie jak myślisz - powiedziała. - Król może mówić, że wszystko u nas jest

podporządkowane sztuce, lecz w praktyce wcale tak nie jest. W Vacaan istnieją niewidoczne granice,

powstrzymujące rozwój wszystkich dziedzin sztuki. Jeśli odważysz się je przekroczyć,... dzieją się...

pewne... rzeczy... W najlepszym razie odstępują cię niespodziewanie twoi dotychczasowi wielbicieli.

218

- Jak to możliwe? - zapytałem. - Przecież w Vacaan największą cześć oddają właśnie artystom. Kiedy

skończą jakieś dzieło, rzucane jest zaklęcie, żeby go nikt nie skopiował. Przechowuje się je starannie,

ponieważ w ten sposób zachowuje swą wyjątkowość.

- Ale jest to wyjątkowość ujarzmiona... czyli żadna - odparła Omerye. - Kiedy pomieszkasz tu dłużej,

zobaczysz, że wszelkie debaty czy dyskusje publiczne są surowo zabronione. Artysta może rzucać wyzwanie

jedynie formie, barwie czy tonom, ale pod żadnym pozorem nie może ośmielić się kwestionować władzy.

Dygnitarze zadają sobie wiele trudu, poszukując bardzo młodych i bardzo utalentowanych ludzi. Potem

otrzymujemy najlepsze wykształcenie, a wraz z nim subtelne przesłanie: rób co do ciebie należy, ale nic

ponadto.

- A co dzieje się z tymi, którzy nie posłuchają? - zapytałem.

Zadrżała. - Przychodzi dzień - odrzekła niskim głosem - kiedy po prostu znikają - Dreszcz, który przebiegł

jej po plecach, udzielił mi się, kiedy pomyślałem o tajemniczym zniknięciu właściciela karczmy... i o

Raveline. - Mamy dość rozumu, żeby nie pytać, co się z nimi stało - mówiła dalej Omerye. -
Pilnujemy się

bardzo, starając się nie wspominać ich imion. - Przyłgnęła do mnie mocniej i westchnęła głęboko. -
Ja

przynajmniej miałam ciebie - dodała. - I ta świadomość zawsze dodawała mi otuchy.

Postanowiliśmy, że Omerye wyruszy ze mną do Orissy. Ta decyzja wyrwała mnie skutecznie z
miłosnego

transu i zabrałem się do załatwiania najpilniejszych spraw. Omerye wprowadziła się do mego
pałacu, a ja

rzuciłem się w wir utarczek z królewskimi urzędnikami. Wraz z głębszą świadomością prawdy,
odżyły we

mnie niepokoje dotyczące Raveline'a i Janosza. Dawny koszmar zburzonego miasta powrócił,
bezlitośnie

nawiedzając moje sny, lecz tym razem słodka muzyka Omerye i siła jej miłości łagodziły przeżywane

udręki. Ukochana kobieta działała jak kojący balsam, ułatwiający myślenie i rozsądne działanie. W
mojej

głowie pojawiały się coraz to nowe pomysły, które przerabiałem na teorie wymagające jedynie
zastosowania

w praktyce, aby mogły się stać rozwiązaniami. W końcu posłałem Janoszowi stanowczy list w którym

napisałem, że muszę się jak najszybciej z nim zobaczyć. Odpowiedź przyszła po dniach dwóch: Szary

Płaszcz zgodził się na spotkanie... natychmiast.

Zastałem go pochłoniętego ciężką pracą w podziemiach starego budynku, pachnących pergaminem i
siarką

używaną do starożytnych zaklęć. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia na mój widok i od razu

zrozumiałem, że zupełnie zapomniał o wyznaczonym przez siebie spotkaniu. - Almaryku, przyjacielu -

zawołał zrywając się od stołu i zrzucając stare zwoje na podłogę. - Cóż za szczęśliwy zbieg

okoliczności.

Właśnie o tobie myślałem. - Ubranie miał w nieładzie, a na sobie tyle kurzu, że kiedy zbliżył się do mnie,

wzniecił chmurę szarego pyłu i sam zaczął kichać.

- Przypominasz jednego z moich dawnych nauczycieli - roześmiałem się. - I mówisz zupełnie tak jak on.

Zawsze kichał i sprawiał wrażenie osoby nie z tego świata. Żałowałem, że mój ojciec musiał go odprawić.

Starzec nigdy nie wiedział, po co się spotykaliśmy.

Janosz uderzył się w czoło.

- Ależ ze mnie głupiec - krzyknął. - Zgadza się. Przecież cię zaprosiłem, prawda?

- Skoro tak się upierasz, że to przez roztargnienie - dokuczałem mu - proponuję, żebyś stuknął się w czerep

jeszcze parę razy, a wprowadzisz się w stan permanentnego otumanienia.

- Masz rację - przyznał Janosz. Wciąż zagłębiany w myślach podniósł dłoń, aby jeszcze raz stuknąć się w

głowę. Wróciły mu zdrowe zmysły, gdy ręka dotarła do poziomu oczu. Przez chwilę patrzył na nią nieobecny wzrokiem, po czym roześmiał się. - Masz podwójną rację!

Rozejrzałem się po obszernym pomieszczeniu; pokryta grubą warstwą kurzu podłoga, łukowato sklepiony

sufit, ściany zastawione regałami pełnymi zwojów pergaminu o różnym kształcie i rozmiarach. Na

masywnym stole Janosza dostrzegłem rozwinięty zwój przytrzymywany przez małe ciężarki. Widniały na

nim tajemnicze runy i kolorowe figury geometryczne. - To archiwa Pradawnych - wytłumaczył Janosz. - Jak

zdążyłem się zorientować, jest to kompletny spis wszystkich zaklęć... od samego początku.

- Niewątpliwie wywarłeś większe wrażenie na księciu niż sądziłem - rzuciłem sucho. - W przeciwnym razie

nie podzieliłby się z tobą tymi starożytnymi tajemnicami.

- Tak. Tak, chyba masz rację - odpowiedział tak bardzo pochłonięty studiowaniem pergaminów, że nie

dostrzegł nawet mego szyderczego tonu. - Chociaż nie jestem pewny, czy traktuje te archiwa jako coś nadzwyczaj drogiego. - Opadł ciężko na krzesło, podnosząc zwój i wpatrując się w napisy. - Dla

czarodziejów Vacaanu - wyjaśnił - są to mocno przetrzebione resztki. Stanowiły one jednak skarb
219

nieocenionej wartości, kiedy przodkowie króla po raz pierwszy osiedlili się na tych ziemiach... to znaczy na

gruzach cywilizacji Pradawnych.

Spojrzałem na długie zwoje wypełnione starożytną wiedzą.

- Szkoda, że nie doznaliśmy takiego błogosławieństwa w rodzimej Orissie - powiedziałem.

Janosz, najwyraźniej podniecony, postukał palcem w pergamin.

- Dokładnie tak - przyznał. - W czasach, gdy lud Domasa przybył do tej krainy, swą ignorancją dorównywał

barbarzyńcom. Sam Raveline również to przyznaje. Wszystko, czego dokonali to udoskonalenie tego, co

kiedyś było wielką sztuką.

- Widzę, że jeszcze nie spotkałeś tych bystrych osobników.

Janosz spojrzał ponuro.

- Ani jednego, do diabła. Zaczynam już wierzyć, że nie ma tu żadnych inteligentnych ludzi.

- A twój mentor, książę Raveline?

- Och, on uważa się za takiego - stwierdził Janosz. - Ale uczę się o wiele więcej patrząc mu przez ramię niż

słuchając tego, co ma do powiedzenia.

Wskazałem na pergaminy.

- A Pradawni? Czy pośród nich nie było prawdziwych mędrców?

- Możesz pomyśleć, że się przechwalam - westchnął Janosz. - Ale muszę ci odpowiedzieć szczerze. Nie. Nie

było.

- Czy którykolwiek z nich obrał drogę, którą ty teraz starasz się podążać?

- Istnieje możliwość, że kilku z nich ruszyło tym tropem, lecz nie wiedzieć czemu zaprzestali badań. -

Janosz zachnął się. - Podejrzewam, że byli to ci magowie, których Pradawni czcili na Świętej Górze.

-

Parsknął gniewnie. - Chociaż nadal pozostaje tajemnicą, kogo, czy raczej co, czcili.

- A więc pozostajesz jedynie ty - usłyszałem swój szept.

Janosz rzucił mi dziwne spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiłem odgadnąć.

- Tak - odezwał się stanowczo. - Tylko ja.

- Tylko dlatego, że inni są ślepi lub zrezygnowali z walki - podsumowałem.

- Bez względu na przyczynę... Nikt nigdy nie zbliżył się nawet do tego, co ja odnalazłem. Wszyscy zataczali

coraz szersze kręgi, od jednej generacji do drugiej. Byli skazani na niepowodzenie, ponieważ nigdy nie

zadali krótkiego pytania: dlaczego?

- A ty znasz na nie odpowiedź? - zapytałem.

Janosz zapalczywie potrząsnął głową. - Nie. Ale jestem piekielnie blisko! Coraz bliżej. Widzę rzeczy, o

których poszukiwaniu nikomu wcześniej nawet się nie śniło. - Był coraz mocniej podniecony. - Pamiętaj,

jak opisywałem ci tę sztuczkę ze skorpionem i myszą? O tym jak umieściłem skorpiona w jednym miejscu, a

mysz wziąłem z innego? - Skinąłem głową potakująco. - No, cóż, wiem już, jak to się dzieje i dlaczego.

Obok rzeczywistego, czyli naszego świata istnieje wiele innych, przyjacielu. Każdy świat rządzi się

własnymi zasadami. Demon ma swój świat. My mamy swój. Kiedy wzywamy demona, wzywamy również

zasady jego życia a posiadając potrzebną wiedzę możemy manipulować tymi zasadami tak, aby służyły

naszym celom. Dokładnie tak samo demon może manipulować naszymi zasadami, jeśli to on zajmuje silniejszą pozycję w tej konfrontacji.

- Tak jak Mortacjus? - zapytałem.

Twarz Janosza pociemniała. - Właśnie. Tak jak Mortacjus.

- Jak można mieć pewność, że zawsze będzie się na pozycji silniejszego? - spytałem.

- Tylko wtedy, jeśli się wie, że bez względu na to, jak odmienne wydają nam się owe światy, jak różne

zasady, tak naprawdę jest tylko jedno prawo, które rządzi wszechświatem. Te różnice, dla nas tak bardzo

mylące, stanowią jedynie liczne odmiany jednego i tego samego prawa.

- Czy znasz to prawo?

W oczach Janosza dostrzegłem pasję myśliwego.

- Nie. Ale, tak jak powiedziałem, jestem już blisko, przyjacielu. Bardzo blisko.

Odetchnąłem z ulgą.

- To dobrze. A teraz posłuchaj mnie, Janoszu. Nie wszystko w Vacaan jest takie, jak nam się wydaje. Ta

ziemia może okazać się dla nas niezwykle niebezpieczna, jeśli pozostaniemy tu dłużej. Myślę, że powinniśmy wyjechać stąd, jak tylko doprowadzę do końca sprawy handlowe z królem.

- Wyjechać? - zdumiał się Janosz. - Nie mogę teraz wyjeżdżać. Mówiłem ci... jestem bardzo blisko.

220

- Warunki umowy powinny zawierać możliwość dopływu potrzebnej ci wiedzy - powiedziałem. - Poza tym

mam plan, który da nam o wiele więcej.

- Mianowicie? - zapytał Janosz tonem, jakby zwracał się do dziecka.

Zignorowałem to. - Kiedy wrócimy do Orissy, przekażę spore fundusze na powstanie Wielkiej Akademii

Magii. Ty będziesz nią zarządzał. Pomyśl tylko o wszystkich chętnych asystentach, którzy będą chcieli ci

służyć pomocą w przeprowadzeniu każdego eksperymentu, jaki przyjdzie ci na myśl. Jeśli będziecie uderzać

młotem zgodnie i wspólnie, wkrótce mur runie, a ty otrzymasz to czego szukasz.

Janosz zmarszczył brwi. - Ale wtedy... inni też posiadają wiedzę!

- Masz rację - odparłem. - Na tym polega doskonałość mego planu. Jeśli wszyscy będą wiedzieć, wtedy

będziemy sobie równi. Razem możemy osiągnąć tyle samo, albo nawet więcej niż dokonali mieszkańcy

Vacaan. A bez tych trudności, na które nieustannie narzekasz, możemy dokonać tego znacznie szybciej.

- Tak czy owak, może to zabrać całe życie - stwierdził Janosz. - Moje życie.

- No i co z tego? Będziesz miał satysfakcję, że pewnego dnia mozolna praca zostanie ukończona.

Janosz zakaszłał, po czym zabrał się za zbieranie i sortowanie pergaminów.

- Obawiam się, że spłycasz niezwykle skomplikowane zagadnienie - odezwał się.

- Daj spokój, Janoszu - roześmiałem się. - To ty zawsze upierasz się, by wszystko komplikować. Inni gwarantują proste sprawy z czystej ignorancji albo, jak sądzę, mądrzejsi niż są w rzeczywistości. Z tego co

mi dotychczas powiedziałaś, a pamiętaj, że jestem absolutnym laikiem w prawach magii, mógłbym wskazać

rozsądnemu magowi z Orissy ten sam szlak, którym ty podążasz. Gdybym, na przykład, powiedział

Gamelanowi o światach równoległych z naszym i dodał twoją teorię mówiącą, że jedno prawo rządzi

wszystkimi siłami, widzialnymi i niewidzialnymi... hm... nawet ten stary umysł mógłby jeszcze zabłysnąć. A

któ wie, gdzie ów błysk zawiódłby takiego Gamelana?

Janosz ponownie rzucił mi to dziwne spojrzenie.

- Rzeczywiście, kto wie? - mruknął.

- Czy teraz rozumiesz, o co mi chodzi? - zapytałem.

- Chyba tak - odparł cicho Janosz.

- A zatem zgadzasz się na mój plan? - nalegałem.

Janosz zamyślony, odkręcał na palcu kosmyki brody. Wziął do ręki pergamin i utkwiał z początku

nieobecny, a następnie coraz bardziej skupiony wzrok w runach. Widać było, że chce uniknąć odpowiedzi na

moje pytanie. - Janoszu - powtórzyłem bardziej stanowczym głosem. - Zgadzasz się?

Podniósł wzrok i obdarzył mnie swym czarującym uśmiechem.

- Ależ oczywiście, że się zgadzam, przyjacielu. Oczywiście, że się zgadzam. Przyjdź, jak tylko zakończysz

układy z królem. Wtedy porozmawiamy.

- O czym jeszcze mamy rozmawiać... skoro się zgadzasz?

Janosz wzruszył ramionami. - Och, ścigam teraz pewien problem i jeśli nie uda mi się go dopaść do czasu,

jak ty będziesz gotów... no, cóż... Może powstać niewielkie opóźnienie. Bardzo niewielkie opóźnienie. -

Musiałem się tym zadowolić, bo oczy lśniły mu szaleńczo, a usta bezwiednie mamrotały na głos dziwne

słowa, które wyczytał w starych zapiskach. Bąknąłem słowa pożegnania, a uzyskawszy machinalną, ledwo

słyszalną odpowiedź wyszedłem.

Wiele o nim myślałem, zaniepokojony tą dziwną rozmową. Ukojenie znalazłem dopiero w objęciach

Omerye i z tej perspektywy sprawy wydały mi się nieco mniej skomplikowane. Im więcej o tym myślałem,

tym bardziej krystalizował się w mojej głowie pewien plan. Niebawem wydał mi się tak

przekonujący, że

nabrałem pewności, iż mój przyjaciel, który nade wszystko cenił zdrowy rozsądek, zrozumie jego wielkie

zalety. Należało tylko zakończyć rozmowy z królem Domasem. Wtedy powrócimy do Orissy, przynosząc z

sobą więcej niż kiedykolwiek marzyliśmy.

Nazajutrz otrzymałem królewskie zaproszenie. Nie wzywał mnie jednak król, lecz księżę Raveline.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Niewolnicy korupcji

221

O wyznaczonej porze przybiła do mego pomostu duża królewska łódź, mogąca z powodzeniem pomieścić

dwudziestu ludzi. Byłem jednak jedynym „gościem” na pokładzie. Towarzyszył mi: sternik we wspaniałej

przezroczystej kabinie oraz dwóch ludzi na dziobie, którzy dęli w długie rogi ostrzegając inne jednostki, by

usunęły nam się z drogi. Łódź miała po osiem wiosł z każdej burty, lecz niewidoczni wiosłarze zajmowali

miejsca pod pokładem. Jeśli były to istoty ludzkie, a istniało takie prawdopodobieństwo, to zostały

wyszkolone do perfekcji: wiosła uderzały w powierzchnię, sunęły pod wodą i wynurzały się z niej, jakby

ktoś wymierzał im takt. Trębacze na nic się zdali, bo każdy sternik na widok czerwono-złoto-czarnych barw

księcia Raveline’a umykał w popłochu, niczym pająk wodny uciekający przed starym wygą szczupakiem,

kiedy wpływa na pływny, żeby zaspokoić głód.

Łódź skręciła z głównego kanału w rzadko uczęszczaną aleję wodną, prowadzącą za miasto w kierunku

Świętej Góry. Dziwnie podróżowało się wodą przez ten zielony, pofałdowany krajobraz, który przypominał

nienagannie utrzymany stadion. Nie było tam wsi ani samotnych posiadłości, ani nawet dróg czy ścieżek.

Kanał wił się uroczymi meandrami i daleko przed nami kończył się okrągłym stawem.

Na brzegu oczekiwał nas niski, lśniący powóz zaprzężony w sześć karych koni. Czterech służących podrowadziło mnie do powozu, kłaniając się z szacunkiem, gdy do niego wchodziłem. Następnie zajęli

swoje miejsca i konie ruszyły, nie czekając na ponaglenie powożącego. Mimo trawiącego mnie niepokoju

wyglądałem oknem, ciekaw wyglądu posiadłości księcia Raveline'a. Nie rozczarowałem się, lecz równocześnie nie zachwylił mnie jakiś nadzwyczajny splendor. Droga, po której jechaliśmy, zbudowana

była z kamiennych bloków rozciągających się na całą jej szerokość, czyli mniej więcej pięciokrotny wzrost

przeciętnego człowieka. Skalne bloki przylegały do siebie tak ściśle, że z trudem mogłem rozróżnić łączenia.

Spodziewałem się, że droga zawiedzie nas do olbrzymiego muru o bogato zdobionych wrotach, lecz tym

razem, się pomyliłem. Idealnie wypielęgnowany krajobraz rozpościerał się dookoła, zdumiewając symetrią

rozmieszczenia drzew i stawów; sprawiało to wrażenie, jakby mistrz ogrodnictwa trudził się tu od wieków.

Czułem, że gdybym przypadkiem trafił do tego osobliwego rezerwatu, odebrałbym go jako niehumanitarny i

wróżący nieszczęście. Im dłużej trwała podróż spokojną aleją, tym bardziej wzrastało we mnie uczucie

trwogi. Nie wiedziałem, czy ów strach bierze się z zaklęcia ochronnego, czy też dlatego, że doskonale, kim

jest właściciel tej niezmierniej posiadłości.

Ujrzałem dwie strażniczki, każda po swojej stronie drogi. Mierzyły prawie sto stóp i wyrzeźbiono je w

ciemnym, polerowanym kamieniu. Każdy posąg przedstawiał kobietę trzymającą w wyciągniętej ręce nagi

miecz, ustawiony ostrzem do góry. Zdawałem sobie sprawę, że istota ziemską nie mogła posłużyć jako

model do tych rzeźb. Kobiety odznaczały się nieprzeciętną urodą, lecz równocześnie były twarde, zimne i

odległe, o twarzach tak bezlitosnych jak oblicza wojowników z lodowych krain. Kiedy je minęliśmy,

odwróciłem się spoglądając raz jeszcze na kamienne monolity - i zamarłem z wrażenia. Posągi miały

również drugą twarz, zwróconą w przeciwnym kierunku. Poczulem zimny dreszcz, bo ta druga twarz

to był

obrzydliwy, złowieszczy pysk demona. Chciałem wierzyć, że rzeźbiarz tworzył wyłącznie w oparciu o bujną

wyobraźnię, lecz z tego, co słyszałem o zainteresowaniach księcia Raveline'a, nie byłem tego taki pewien.

Doszedłszy nieco do siebie dostrzegłem jakiś ruch, który zmaćił spokój gasnącego dnia. Przeszło mi przez

myśl, że to jakiś patrol konny, lecz znów się myliłem. Zza niewielkiego pagórka wybiegło kłusem stado

wilków, liczące około tuzina sztuk. Zmierzały prosto na nas i w duchu zakląłem szpetnie, besztając się za to,

że nie zabrałem ze sobą broni. Zwinne, ogromne zwierzęta błyskawicznie poradziłyby sobie z końmi;

wątpiłem też, czy nasza szóstka stawiałaby opór dłużej niż kilka chwil. Każde z tych stworzeń o długich,

połyskujących kłach mierzyło około ośmiu stóp długości. Spodziewałem się, że konie wpadną w panikę na

widok wilków, lecz i tym razem otworzyłem tylko usta ze zdziwienia. Sfora rozdzieliła się otaczając nas z

dwóch stron, tak jakby tworzyła eskortujący oddział. W chwilę później bestie biegły równo po bokach

powozu, na tyle blisko, że słyszałem skrobanie ich pazurów o kamieniste podłoże. Jeden z wilków kłusował

tuż obok okna i w pewnym momencie zajrzał do środka. Mógłbym przysiąc, że miał niemal ludzkie

spojrzenie, które jednak niosło złowrogą zapowiedź zguby. Ponad nami usłyszałem szum olbrzymich

skrzydeł i zobaczyłem grupę monstrualnych orłów. Były to takie same ptaki, jakie widzieliśmy płynąc w

górze rzeki ku Irayas. Zamek Raveline'a jest rzeczywiście dobrze strzeżony, pomyślałem, widząc olbrzymią

fortecę położoną w samym środku idealnie płaskiego pola. Miała ona kształt heksagonalny, a z każdego rogu

wyrastała okrągła wieża. Oceeniłem, że każda ściana rozciąga się na blisko jedną trzecią mili. Pomyślałem

sobie, że wszystkie zamki, jakie dotychczas widziałem, włączając w to nadmorskie zameczysko archontów,

222

mogłyby z powodzeniem zmieścić się w jednej wieżycy tej budowli. Na murach obronnych nie dostrzegłem

ślądu wartowników. Nie było też żadnych patroli na zewnątrz.

Przed ogromnym portalem oczekiwał jeden człowiek - sam książę Raveline. Nie zauważyłem innych gości

ani witającej służby. Znow dopadły mnie poważne obawy, a mój strach tak bardzo przybrał na sile, że aż

wyszło mi w gardle. Powóz zatrzymał się i służący zeskoczyli na ziemię, składając niski ukłon przed swym

panem. Skinął nieznacznie głową, podszedł do drzwiczek i otworzył je.

- Szlachetny Antero - powiedział. - Wielki to dla mnie zaszczyt.

Wysiadłem, skłoniłem się głęboko i dotknąłem ustami dłoni, którą mi podał.

- To ja dostępuję ogromnego zaszczytu - odpowiedziałem. - Nigdy dotąd nie gościłem w pałacu księcia, nie

mówiąc o tak wielkim księciu. Żaden też książę nie witał mnie osobiście, gdy wysiadałem z powozu.

- Chyba już starczy tych uprzejmości - przerwał Raveline. - Nie planuję żadnych ceremonii, a jeśli

przygotowałeś jakieś przemowy czy błyskotliwe komplementy, potraktujmy je jako już wypowiedziane. -

Uśmiechał się, lecz z jego oczu emanował przenikliwy chłód.

Ujął mnie pod rękę i poprowadził do wnętrza pałacu.

- Długo się zastanawiałem, czy zaprosić więcej gości. Nie chciałem... nie chcę, byś uważał, że traktuję cię

lekceważąco, skoro nie otacza cię świta i dworzanie, lecz mamy do przedyskutowania niezwykle ważny

problem; a wolałbym, żeby nie byli świadkami naszych rozmów ci, którzy tańczą koło mego brata. -
Ułożył

usta w, typowy dla siebie chłodny grymas uśmiechu. - Nie mogę raz kazać - ciągnął - żeby ucięto
język

każdemu z tych gadatliwych pochlebców na Wielkim Dworze. Chociaż byłoby to niewątpliwym
błogosławieństwem.

Miałem nadzieję, że nie dało się tego poznać z mojej twarzy, ale zdałem sobie sprawę, że Raveline
musiał

poważnie brać pod uwagę podobną możliwość, zanim niechętnie ją odrzucił. Weszliśmy do wielkiej
sali.

Przeprosił, że nie oprowadził mnie po całej posiadłości. Stwierdził, że zabrałoby to kilka dni, więc
możemy

przełożyć tę rozrywkę na jakiś inny termin.

- Poza tym - powiedział - nie jestem do końca pewny, czy nawet ja bym się nie zgubił w tym
labiryntie

korytarzy i komnat.

Z tej to przyczyny nie mogę poświęcić następnych kilku stron na opisywanie wspaniałości gniazda

Czarnego Księcia. Wspomnę jeno parę bardziej osobliwych rzeczy. Ściany i podłogi zdawały się być

wyciosane z pojedynczych głazów, wypolerowanych do połysku i ręcznie dopasowanych. Kolejnym
dziwem

było panujące tu ciepło. Do tej pory nie znam sposobu na likwidację wilgoci i chłodu w starych
zmkach,

lecz w tamtym odczuwałem wszędzie miłe ciepło, tak jak teraz w swojej pracowni, gdzie piszę te
słowa,

zerkając na migotliwe płomienie igrające radośnie w kominku. Otwierałem usta ze zdumienia patrząc
na

przeróżne skarby, począwszy od gobelinów promieniujących wewnętrznym światłem, poprzez meble
tak

ukształtowane i wypolerowane, że przy dotyku wydawały szelest najdelikatniejszego jedwabiu, aż po

najróżniejsze malowidła - od realistycznych po niezwykle eksplozje czystej barwy - które wyśpiewywały

najwspanialsze pieśni memu zatrwożonemu sercu. Widziałem też inne rzeczy, od których pośpiesznie odwracałem wzrok; te rzeczy do tej pory nawiedzają moje sny, więc pozwólcie... że nie opiszę ich tutaj.

Raveline poprowadził mnie wielkim holem, gdzie ze ścian zwieszały się wojenne proporce z czasów rządów jego dynasti, i dalej kruzgankiem pod, dwuspadowym dachem, aż dotarliśmy do mniejszej komnaty,

pośrodku której stał stół z sześcioma przykrytymi półmiskami. Nakryto dla dwóch osób, a każdy ze sztućców i talerzy wycięto z bloków jadeitu o przeróżnych kolorach z wyjątkiem czerwonego: od przezroczystego jak kryształ, poprzez różne odcienie zieleni aż po biały. Z boku stał drugi stół, oszłamiający niezwykłym wyborem butelek i karafek, zawierających szlachetne trunki z wielu krain. Księżę Raveline zapytał, czego się napiję, więc zaproponowałem, że chętnie zdam się na jego smak, zaznaczając jednocześnie, że najprawdopodobniej urażę go nie opróżniając kielicha od razu.

- Leży to w zwyczaju mych rodaków, a szczególnie w moim, jako że mam słabą głowę, by unikać odurzenia, zanim nie zakończy się interesów. Powiedziałaś, panie, że musimy przedyskutować pewne,

istotne problemy, więc odczuwałbym niewysłowiony wstyd, gdybym obudziwszy się rano uświadomił sobie,

że wszystko, co mówiłem, było ubarwione wpływem mocnych trunków. Kiedy już wysłucham twoich opinii

i zdecyduję, w jaki sposób my, Orissanie, możemy się do nich odnieść, wtedy, jeśli wasza wysokość będzie

sobie życzył, chętnie się z nim napiję. - Raveline uśmiechnął się, napełnił dwa kielichy, lecz nie odezwał się

ani słowem.

Usiedliśmy i księżę rozpoczął rozmowę bez jakichkolwiek wstępów.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że wasze podróże w kierunku Vacaan pozostawały pod naszą bacznością

obserwacją od pierwszego dnia, kiedy wasz statek rozbił się na Wybrzeżu Pieprzowym, aż do chwili, gdy

uratowaliśmy was z rąk oprawców w Gomalalee.

Odpowiedziałem, że wiadomo nam było o żywym zainteresowaniu, jakie budziliśmy w Odległych Królestwach, lecz nie zdawałem sobie sprawy, że sięgało ono aż do mojego Odkrycia.

- Mam pytanie, panie. Użyłeś nazwy Wybrzeże Pieprzowe. Sądziłem, że mieszkańcy Vacaan nie interesują

się ziemiami leżącymi poza granicami ich królestwa.

- Racja - odparł Raveline. - Są jednak wśród nich wyjątki. Jestem jednym z nich, o czym zresztą za chwilę

będziemy mówić. Wracając jednak do rozpoczętego tematu: nie tylko byliście obserwowani, lecz czasami

również wystawiani na próby. Na przykład w Gomalalee.

- Oczywiście jeśli nie zareagowalibyśmy tak, jak wy uważacie za słuszne ... - zawiesiłem głos.

- Wtedy nie byłibyście godni przekroczenia granic Vacaan. - Poczulem ukłucie gniewu przypominając sobie

zmarłych, rannych, chorych i zdesperowanych, którzy stanęli w obliczu śmierci z pragnienia bądź z

powodów natury magicznej, lecz stłumiłem w sobie te przykre wspomnienia. Pozwoliłem jednak, aby moje

słowa wyrażające naszą radość, iż okazaliśmy się „godni”, zabarwione były lekkim sarkazmem.

- A teraz wróćmy do sprawy - odezwał się Raveline. - Z pewnością jesteś świadom, że królestwa Vacaan są

w bardzo niewielkim stopniu zainteresowane zachodnimi krainami i prawdopodobnie zgodzimy się, aby

tylko część wiedzy czy towarów podlegała wymianie handlowej, przeprowadzanej poza naszymi granicami.

Poczulem dreszcz podniecenia. Mimo że wyraźnie starał się zminimalizować moje nadzieje,

uzyskałem oto

wskazówkę od samego królewskiego brata, że moje wysiłki mają szansę zakończyć się powodzeniem.

Uśmiechnąłem się z aprobatą.

- Sprawiasz wrażenie zadowolonego - zauważył Raveline. - Osobiście uważam, że taki układ będzie marną

nagrodą za wszystko, czego ty i twoi towarzysze podróży, a szczególnie Janosz Szary Płaszcz, doświadczyliście w ciągu kilku minionych lat. A więc proponuję, byśmy po posiłku porozmawiali o stosunkach, jakie zapanują między ziemiami zachodnimi a królestwami Vacaan, oraz o tym, co mogłoby się

stać, gdyby okoliczności... uległy zmianie.

Po tych słowach podniósł jedną z pokrywek i zaczął nakładać potrawy. Nie pamiętam, co jedliśmy, lecz

wszystko było przyrządzone perfekcyjnie, a każdy kęs w inny sposób oddziaływał na zmysły. Sposób podawania posiłku również wywarł na mnie spore wrażenie. Nie pojawił się żaden służący, lecz za każdym

razem, gdy Raveline podnosił pokrywkę, mogłem oglądać na tym samym półmisku nowe danie. Domyśliłem

się, że wymiana odbywała się dzięki magii. Podobnie zresztą przedstawiała się sytuacja z naszymi talerzami,

które odzyskiwały nieskazitelną czystość po skończeniu każdej potrawy. Zastanawiałem się czy Raveline

zawsze spożywał w ten sposób posiłki - bez uśmiechniętego służącego, bez rozpromienionego kucharza

oczekującego na komplementy i nagrodę. Wydawało mi się to dość nieludzkie, lecz orientowałem się, że

skutecznie uniemożliwiało szerzenie się plotek, jakie zwykle powstają wśród służby.

Nie przypominam sobie, o jakich sprawach gawędziliśmy, lecz nie miały one nic wspólnego z handlem,

Orissą, ani nawet naszą obecnością w kraju Raveline'a. Większość tego, co mówił, dotyczyło dworskich

intryg ubarwianych pikantnymi szczegółami. Dyskutowaliśmy również o sztuce i muzyce Vacaan. W trakcie

rozmowy uświadomiłem sobie, że wiedział o mojej miłości do Omerye i w możliwie najbardziej subtelny

sposób sugerował, że powinno się ją teraz uważać za rodzaj zakładniczki na równi z Janoszem, ze mną i

naszymi ludźmi. Nie myślcie, że ogarnęło mnie wzburzenie czy też poczułem się zagrożony. Raveline po

prostu zaznaczył delikatnie, że pojawił się jeszcze jeden czynnik, który należało uwzględnić w pertraktacjach.

Kiedy skończyliśmy, zaprowadził mnie do innej komnaty, w której stało kilkanaście miękkich sof.

Rozciągnąwszy się na jednej z nich zauważyłem ze zdumieniem, że poczułem się jak w ramionach kochanki. Obok nas stał stolik z napojami i wraz z księciem Raveline'em zacząłem sączyć likier owocowy.

Kanapy tworzyły półkole dookoła wysokiego, lśniącego lustra, które tkwiło na stojaku niczym kruchy dzwon. Wiedziałem, że ma ono moc magiczną i zastanawiałem się, czym teraz zamierza mnie zaskoczyć

Raveline. Zanim usiadł, dotknął powierzchni lustra i przedmiot ożył. Patrzyłem na grupkę ludzi idących

wzdłuż rzeki. Uświadomiłem sobie, że oto jestem świadkiem własnego Odkrycia, widzianego niewątpliwie

oczami jednego ze Strażników, gdy maszerowaliśmy żyzną, lecz opustoszałą doliną leżącą za Wybrzeżem

Pieprzowym.

- Nie żartowałeś twierdząc, że oglądałeś całe moje życie - wykrztusiłem.

224

- Za każdym razem, kiedy wkraczaliście na nasze, czy sąsiednie ziemie, Strażnicy czuwali. Musze

przyznać,

że wasza ostatnia ekspedycja została przeprowadzona w wyjątkowo inteligentny sposób. Nie widziano was,

choć „widzieć” nie jest tu odpowiednim słowem, aż do momentu, kiedy minęliście przełęcz za Wahumwa

i przekroczyliście granice Gomalalee.

Machnął dłonią, a w lustrze pojawił się nowy obraz. Zobaczyłem Orissę, jakbym oglądał ją z jakiejś niewidzialnej wieży, wysokiej na tysiąc stóp i znajdującej się w samym sercu miasta. Ogarnęła mnie wielka

nostalgia i tęsknota za ojczyzną, szczególnie kiedy zdałem sobie sprawę, że roztaczający się przed moimi

oczami obraz przedstawia obecną, budzącą się ze snu Orissę. Potrafiłem odróżnić Ulicę Bogów, Cytadelę

Sędziów i Pałac Magów. Próbowałem zlokalizować swój dom, starając się jednocześnie zwalczyć emocje.

- Tak jak mówiłem, osobiście bardziej interesuję się zachodem niż większość moich ludzi - stwierdził

Raveline. - Jest to jedna z przyczyn, dla których - po pewnym okresie, powiedzmy... sceptycyzmu co do

ciebie, Janosza Szarego Płaszczka i waszych zamiarów - stałem się potem waszym zagorzałym zwolennikiem. Uświadomiłem sobie, że Vacaan musi szukać nowych kierunków rozwoju... zaczynając od

Orissy i Likantu.

- Jaką formę - zapytałem ostrożnie - powinny, według ciebie, przyjąć nasze przyszłe stosunki?

Raveline sęczył wolno likier.

- Nie wiem, czy jest to dla mnie aż tak ważne. W ogóle nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Wystarczy, jak powtórzę, że gdyby zmodyfikować układy panujące na dworze, w krótkim czasie stosunku z

Orissą stałyby się o wiele cieplejsze. - Przybrał poważny wyraz twarzy i równie poważny ton. - Nie pozwolę,

że by Vacaan straciło taką okazję. Musimy... wykorzystać moment. Dlatego właśnie zaprosiłem cię tutaj.

Pragnę całym swoim majestatem poprzeć plan otwarcia bram na zachód. Kiedy to osiągniemy, będę potrzebował reprezentanta - osobistego przedstawiciela - na waszych ziemiach. Oferuję to stanowisko tobie, szlachetny Almaryku Antero.

- Kupcowi? - zdziwiłem się. - Mówiono mi, że ze szczególną wzdargą odnosisz się do wszelkiego handlu.

- Twój zawód jest sprawą drugorzędną wobec twego tytułu, poglądów oraz szacunku, jakim darzą cię mieszkańcy Orissy. Chcę tam mieć człowieka, któremu mogę zaufać, człowieka, który będzie piastował

najwyższy urząd w waszym... Pałacu Sędziów. Będiesz przemawiał w moim imieniu w Orissie, a niewykluczone, że również w Likancie.

Nie mogłem pozwolić na to, aby Raveline wyczytał cokolwiek z mojej twarzy, więc wstałem i zacząłem się

przechadzać na znak głębokiego namysłu. Stało się dla mnie oczywiste, jak wyobraża sobie książe interesy

Vacaan na naszych ziemiach. On wyraźnie mówił o podboju. Nigdy nie przyłożyłbym ręki do zniszczenia

mojej rodzinnej ziemi, a już na pewno nie zdzierzyłbym, gdyby miała się stać narzędziem w rękę jakiegoś

czarodzieja. Teraz, kiedy przejrzałem już intencje Raveline'a, musiałem skrupulatnie dobierać słowa i

sposób postępowania. Nie tylko dlatego, że byłem o krok od otwarcia wrót do Odległych Królestw, lecz

również dlatego, iż odrzucenie propozycji Raveline'a mogłoby oznaczać, że wkrótce dowiedziałbym się, co

się działo z tymi, co znikali w niewyjaśnionych okolicznościach.

Myślałem intensywnie, aż wreszcie wpadł mi do głowy pewien fortel i zwróciłem się do księcia:

- Jestem zaszczycony - powiedziałem cedząc słowa - lecz, szczerze mówiąc, moje ambicje nigdy nie sięgały

aż tak wysoko, zakładając oczywiście, że dobrze zrozumiałem twoją, księżę, propozycję... a mniemam, że

tak.

- Ci, którzy sięgają po coś, otrzymują to - odparł. - Ktoś w Orissie będzie pełnił dla mnie tę funkcję.

Dlaczego ty nie miałbyś nim być? - A więc plany Raveline'a były już dawno przemyślane i zaawansowane w

realizacji, a moja współpraca była tu absolutnie zbędna.

- Ktoś? - spytałem. - A może mój przyjaciel, Janosz Szary Płaszcz?

- Z kilku powodów jego kandydatura nie jest najlepszym rozwiązaniem. Po pierwsze, i najmniej ważne,

wątpię, aby twoi rodacy zaakceptowali mieszańca na tym stanowisku. Kilkakrotnie przemierzyliście wielkie

obszary Ziemi Jałowej. Niegdyś ta ziemia była żyzna i soczyście zielona, jej mieszkańcy występowali jednak

przeciwko Vacaan. Miało to miejsce wiele wieków temu, w czasach Pradawnych, tak przynajmniej głosi

legenda. Po dziś dzień na tych terenach można oglądać tylko skały i piasek. Powinno to służyć za przykład

dla innych, aż po kres świata!

Teraz Raveline zniżył głos.

- Drugą przyczyną jest taka, że Janosz Szary Płaszcz ma swoje własne plany i ambicje, zgodne z moimi

własnymi pragnieniami. Szary Płaszcz wywarł na mnie ogromne wrażenie. Chce nauczyć się wszystkiego...

225

zgłębić całą wiedzę, jaką zgromadzono od czasu pojawienia się magii na ziemi. Gdzie indziej mógłby

poznać tę mądrość jak nie tu, w Irayas? Proponuję, by powiększył grono mojej służby, pod warunkiem,

oczywiście, że wyrazisz chęć zwolnienia go z przysięgi, jaką ci złożył. W miarę swoich postępów...
gdy

nauczy się już wielu rzeczy... nie tylko zdobędzie zaszczyty znacznie wyższe niż te, jakie proponowała mu

Orissa, lecz dzięki mnie zdobędzie prawdziwą władzę, niewiele mniejszą od tej, jaką ja sam sprawuję.

Słyszałem, że mój brat, król, mówi o mnie jako o swym demonie. Taką właśnie rolę proponuję Janoszowi,

wkrótce już baronowi Szaremu Płaszczowi. Zostanie moim demonem!

Opróżniłem kielich i zacząłem przeglądać butelki w poszukiwaniu czegoś mocniejszego, aż znalazłem

flaszkę z mocnym koniakiem. Chciałem sprawić wrażenie szczerze zainteresowanego przypieczętowaniem

potencjalnego układu. Napełniłem kielich do połowy i zwróciłem się do Raveline'a.

- Twoja propozycja jest dla mnie bardzo zaskakująca, wasza wysokość. Zakładam, że nie żądasz natychmiastowej odpowiedzi.

- Miałem nadzieję, że ją otrzymam - rzekł Raveline pochmurniejąc.

- Wybacz, lecz jeszcze nie mogę ci jej udzielić, wasza łaskawość. Przez długie lata borykałem się z przeciwnościami losu, aby dotrzeć do twych królestw. Mój przyjaciel nieodmiennie stawał ze mną ramię w

ramię, nierzadko zasłaniając mnie własną pierś. Musze się zatem z nim naradzić. Powiniennem też dodać,

że Janosza nie wiążą ze mną żadne przysięgi wierności; łączy nas ze sobą jedynie silne uczucie przyjaźni i

wspólny cel.

Raveline chciał coś powiedzieć, lecz rozmyślił się i ułożył usta w przyjazny uśmiech.

- Ach, tak. Ciągle zapominam, że na zachodzie granice władzy nie są tak ściśle określone jak tutaj.

Człowieka można traktować jako swego poddanego, lecz równocześnie uwzględniać jego opinie i prawa,

jakby wcale nie zajmował niższej pozycji. Doskonale. Przemyśl dobrze naszą rozmowę. Przedyskutuj ją

szczegółowo z Janoszem Szarym Płaszczem. Oczywiście wolałbym, aby to spotkanie pozostało tajemnicą

dla wszystkich oprócz niego.

- Naturalnie, wasza wysokość - rzekłem. Raveline napełnił mój kielich, po czym nalał sobie. Uniósł puchar

wypowiadając słowa toastu: - Jest takie chłopskie przysłowie, pochodzące jeszcze sprzed ujarznienia

Wężowej Rzeki: „Kiedy wiosenna powódź porwie mądrego człowieka, pozwala on nieść się z nurtem ku

nowym doświadczeniom. Tylko głupiec walczy, opiera się, by w końcu utonąć.” A więc za mądrych.

Niewiele mogłem dodać ze swej strony, więc przeprosiłem mówiąc, że chciałbym jeszcze tej nocy przedyskutować ekscytujące propozycje księcia z moim przyjacielem... o ile jeszcze nie śpi.

Spojrzał na mnie zdumiony.

On nie śpi, szlachetny Almaryku. Każę sługom zabrać cię bezpośrednio do jego pałacu.

Wsiadłem do oczekującego powozu, a odjeżdżając spojrzałem przez ramię na zamek księcia. Raveline stał

wciąż przed wejściem. Mimo dzielącej nas odległości i panujących dokoła ciemności czułem, że jego oczy

płoną przenikając na wskroś moje ciało... i duszę. Odchyliłem się na oparcie, zastanawiając nad swym

planem. Traciłem cenny czas przeklinając siebie, Janosza i wszystkich Orissan, poczynając od Ecco, poprzez

biedaków z Jałowej Skały, aż do bazarzy z bazarów i nianiek, którzy w dzieciństwie wypełniali mi głowę

niestworzonymi opowieściami. Nikt z nas, bez wyjątku, nie wziął nigdy pod uwagę możliwości, że kraina

tak wspaniała, tak potężna jak Odległe Królestwa może kryć w sobie cokolwiek innego niż tylko uprzejmość

i niewysłowioną dobroć. Wcale nie czekali od dawna, aby, gdy pojawi się jakiś Orissanin, pobłogosławić go

wiedzą, która umożliwiłaby nam powrót do Złotych Dni, kiedy to wszyscy ludzie byli równi, a władzę

sprawowali bogowie. Pozwoliłem sobie nawet na chwilę głębokiego rozgoryczenia i żalu, że w ogóle

kiedykolwiek spotkałem na swej drodze Janosza, a moje Odkrycie nie stało się jedną wielką orgią, pijaństwem i przepuszczaniem rodzinnego majątku. Wtedy jednak nigdy nie spotkałbym Deoce. Ani

Omerye. Nie mówiąc już o przeżyciach, które wyrwały mnie z okresu głupiej młodości. Mimo wszystko

wolałem to, co mnie teraz spotkało niż to, co mogłoby się zdarzyć, gdybym kiedyś się w porę nie opamiętał.

Nadszedł czas na działanie.

Wyjrzałem oknem, gdy mijaliśmy dwie olbrzymie, kamienne strażniczki, które wytyczały granice posiadłości Raveline'a. Odwróciłem wzrok i wzdrygnąłem się. Świat tonął w ciemnościach i z pewnością

byłem znużony, lecz przysięgam, że dostrzegłem, jak głowy tych dwóch monstrualnych wiedźm poruszyły

się spoglądając na mnie z góry.

226

KIEDY KRÓLEWSKA łódź przybiła do pływającego pomostu przed pałacem Janosza, przekonałem się, że

Raveline mówił prawdę. W rezydencji dostrzegłem zapalone światła. Dwóch służących eskortowało mnie po

schodkach prowadzących na główny . Uwagę moją zwrócił pewien szczegół: do pachołka przywiązana była

niewielka łódka, częściowo skryta w ciemnościach. Możliwe, że w innych okolicznościach zlekceważyłbym

to spostrzeżenie, lecz w tamtej chwili całe moje ciało i umysł stały się niezwykle wrażliwe na zdradę czy

inne niebezpieczeństwo. Usłyszałem stłumiony płacz. Kazałem jednemu z służących podnieść wyżej pochodnię, abym mógł dostrzec, co się dzieje. W łódce ujrzałem kupkę szmat. Łachmany poruszyły się i

zdałem sobie sprawę, że skrywają jakąś kobietę. Była to pierwsza biednie odziana osoba, jaką widziałem w

Irayas. Jeden ze służących właśnie zamierzał zadać jej jakieś szorstkie pytanie, lecz poklepałem go po

ramieniu potrząsając przecząco głową. Nie mieliśmy czasu do stracenia, a ona najwyraźniej nie zdawała

sobie sprawy z naszej obecności.

Weszliśmy po schodach i głównym pomostem dotarliśmy przed wejście do rezydencji. Drugi służący dotknął niepozornej, mosiężnej płytki i usłyszałem odgłos gongu. Zadzwoił dwukrotnie, zanim drzwi otwały się ukazując czterech strażników stojących po bokach majordomusa. Był to Gatra, twórca tak licznych wymówek Janosza.

- Szlachetny Antero! - Rozpoznał mnie natychmiast. - Racz wybaczyć zwłokę, lecz musiała zaistnieć jakaś

pomyłka. Nie spodziewaliśmy się ciebie, panie.

- Nie zapowiadałem się wcześniej - odpowiedziałem krótko. - Muszę natychmiast rozmawiać z twoim

panem. To sprawa absolutnie nie cierpiąca zwłoki.

Gatra zawahał się.

- Pan Szary Płaszcz wcześniej oddalił się do swej komnaty, wyrażając życzenie, by mu nie przeszkadzano.

Ale skoro to ty, panie... przepraszam na chwilę. - Drzwi zamknęły się i majordomus zniknął mi z oczu. Po

dość długim czasie pałac znów stanął otworem i Gatra skłonił się przede mną z szacunkiem. - Jeszcze raz

proszę o wybaczenie, tym razem za to, że kazałem ci tak długo czekać, panie - powiedział. - Jak zwykle,

jesteś tu mile widziany. Janosz Szary Płaszcz przebywa w wieży.

Odprawiłem służących Raveline'a i podążyłem za Gatrą do wnętrza pałacu. Nagle zatrzymałem się.

- Gatra, widziałem przywiązaną do pomostu niewielką łódź rybacką. Siedzi w niej jakaś biedna kobieta,

która płacze, jakby wszystko straciła. Czy ma to jakiś związek z tobą czy z tym pałacem?

Na twarzy majordomusa dostrzegłem błysk gniewu.

- Dobiliśmy sprawiedliwego targu. Ta kobieta sama do nas przyszła. - Ciekawość przesłoniła mi inne,

ważniejsze sprawy i uniosłem brwi oczekując szczegółów. - Kilka dni temu postanowiliśmy powiększyć

liczbę służby pałacowej. Braliśmy nawet pod uwagę kandydatury wieśniaków. Jako że odpowiednie

szkolenie zabiera dużo czasu, wymagaliśmy, żeby kandydaci mieli poniżej dziesięciu lat. Jedną z kandydatek

była córka tej kobiety. Przyszła tu, lecz przedwczoraj ukradła coś i udało jej się uciec do miasta. Nie mam

pojęcia, dlaczego ta kobieta przypląwa tu, żeby lamentować nad losem swego diabelskiego nasienia.

Przecież może sobie spłodzić ich więcej. Jak tylko zaprowadzę cię, panie, do mego pana, każę ją stąd

przepędzić.

Zdziwiło mnie, że Gatra wie tak dokładnie wszystko o tej ogromnej posiadłości, aż po uczciwość lub

nieuczciwość najniższej ze służek pałacowych, lecz pominąłem to spostrzeżenie milczeniem. Kiedy

odwrócił się, aby mnie poprowadzić dalej, dostrzegłem wstążkę przyszytą do jego tuniki. Czerwono-złoto-

czarną. Gatra prowadził mnie krętymi korytarzami pałacu w kierunku głównego dziedzińca. Pociągnąłem

nosem wyczuwając nieprzyjemny zapach.

Nie uszło to uwagi Gatry.

- To niezwykła noc - zaczął, a ja od razu wyczułem, że kłamie. - Dopiero co mieliśmy pożar w kuchni, bo

tłuszcz z jagnięcia wystrzelił niespodziewanie wysokim płomieniem. Ludzie ciężko pracowali biegnąc z

wiadrami, a nawet musieliśmy skorzystać z zaklęcia mego pana, żeby ugasić pożar... i obawiam się, że nadal

cuchnie w całym budynku.

Odór zmniejszył się nieco, kiedy wyszliśmy na dziedziniec, na środku którego wyrastała wysoka wieża. To

ją właśnie wybrał Janosz na swe prywatne komnaty i pracownię.

- Bądź uprzejmy, panie, sam pójść na górę - odezwał się Gatra. - Pan Szary Płaszcz powiedział, żeby nie

dawać ci eskorty do jego komnaty, bo kończy właśnie pracę i obecność kogoś obcego mogłaby go rozproszyć. Znajdziesz go, panie, w komnacie na samej górze. - Podziękowałem mu i ruszyłem po schodach.

227

Kiedy otworzyłem drzwi prowadzące do obserwatorium, usłyszałem niskie buczenie; osobliwy ten dźwięk

przeszywał na wskroś moje ciało, a nawet kamienne ściany.

- Wejdz, lecz nic nie mów - ostrzegł mnie Janosz. - Mój gość jest dość płochliwy.

Dopiero teraz zauważyłem, że dach pomieszczenia był otwarty na przejrzystą, gwiazdzistą noc. Pod ścianą

na dużym stole paliła się samotna lampa. Janosz siedział za stołem, lecz w pomieszczeniu było... coś

jeszcze; wirująca chmura aksamitnej czerni, na którą trudno było patrzeć, bo mieniła się tysiącami

czerwonych ogników. Janosz nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem. Wyczarowana przez niego chmura

była jedyną rzeczą, jaka w tym momencie dla niego istniała. Zacząłem się bać, choć nie bardzo wiedziałem

dlaczego. Cofnąłem się, a z moich ust wydobył się mimowolny jęk.

- Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo - zapewnił Janosz nie patrząc na mnie. - Mój przyjaciel jest zamknięty w obrębie pentagramu, a poza tym dostał już, czego potrzebował. - Teraz dostrzegłem wzór, który

opisywał kiedyś Janosz. Był głęboko wryty w kamiennej posadzce. Figura składała się z wielu dziwacznych

zawijasów, nie wiadomo, czy słów nieznanego języka, czy też magicznych znaków. Pośrodku pentagramu

płonęły trzy małe świece, a między nimi stała duża, mosiężna misa wypełniona ciemnym płynem, który

zawirował i uniół się ku chmurze. Chmura absorbowwała teraz - można powiedzieć „piła” - karminową

miksturę. Przerazające buczenie przybrało na sile. W chwilę później misa była pusta. Chmura urosła, ogniki

zajaśniały jeszcze mocniej, a jak chmura wirowała coraz szybciej. Janosz wstał i wysunął przed siebie ręce -

najpierw otwartą stroną dłoni do dołu, potem w stronę chmury, a na końcu ku niebu. Chmura śmignęła w

górze niczym przymglona, czerwona gwiazda i zniknęła. Buczenie ustało.

Janosz powiodł ręką po pokoju i pozostałe lampy rozbłysły światłem. Jeszcze jeden gest, a pokrywa w

dachu bezszelestnie zamknęła się nad naszymi głowami. Teraz komnata Janosza, jeśli nie zważyć pentagram

na podłodze, wyglądała równie zwyczajnie jak zawałona pergaminami, księgami i śmieciami pracownia

uczonego.

- Przyjacielu - odezwał się Janosz. - Tej nocy sięgnąłem głębiej ku nieznanemu. To istnienie pochodzi z

zaświatów; dostało ode mnie to, czego... najbardziej pragnie, i przyjdzie ponownie, kiedy go wezwę.

- Co to za stworzenie?

- Jeszcze nie wiem - przyznał - ale znalazłem wskazówki mówiące o jego istnieniu, zaklęcia, które go

przywołują, a nawet niejasne wyjaśnienie powiązania tej istoty z archiwami vacaańskimi. Ta informacja

znajdowała się na pergaminie z woskową pieczęcią, oznaczoną potwornym symbolem. Pergamin wyglądał

tak, jakby nikt go nie rozwijał od czasu Pradawnych. Zdaje mi się, że nikt, nawet księżę Raveline, nie wie o

istnieniu tego stworzenia, ani o wiedzy, jaką ono oferuje. Tak jak mówiłem wiele dni temu, istnieje wiedza

wykraczająca daleko poza tę, którą zgłębił najmądrzejszy mieszkaniec tego królestwa. Wiedza przeznaczona

dla tego, komu starczy śmiałości. Dziś w nocy ruszyłem tą ścieżką.

Janosz uświadomił sobie swe uniesienie i spojrzał na mnie zawstydzony.

- Przechwalam się. Wiem o tym. A Gatra powiedział mi, że twój głos zdradził mu jakieś nadchodzące

nieszczęście.

- Niestety tak.

- Czy wino złagodzi smutne wieści... czy też pogorszy? - Zdobyłem się na wymuszony uśmiech. Janosz

otworzył komodę, wyjął flaszkę i kielichy, po czym bezceremonialnie zepchnął na podłogę papiery

przygotowując mi w ten sposób miejsce do siedzenia. - Co się stało? Podczas naszej ostatniej rozmowy nie

wspominałeś o zbliżającej się katastrofie.

Zacząłem od początku, lecz jak tylko wspomniałem o propozycji księcia Raveline'a, twarz Janosza

pociemniała. Milczał jednak, więc mówiłem dalej. Kilkakrotnie podczas mego monologu, zachnął się i

najwyraźniej jakieś słowa cisnęły mu się na usta, lecz konsekwentnie trzymał język za zębami do czasu, aż

skończyłem.

- To wszystko? - zapytał. Przebiegłem myślami minione wydarzenia i skinąłem głową. Opisałem mu wszystko najpełniej i najbardziej obiektywnie, jak potrafiłem.

- Do diabła z tym ... - zaczął.

- Janoszu! - przerwałem mu. - Pamiętasz, co przed chwilą powiedziałem? Wiedział, że nie śpisz i nie igrasz

z nałożnicami. Uważaj więc na to, co mówisz.

- Poradzimy sobie z księciem Raveline'em i jego szpiegami - wymamrotał Janosz, podszedł do biurka i

wziął prochownicę. Posypał prochem całą komnatę, pośpiesznie wypowiadając słowa zaklęcia. - No jeśli

228

nasz Czarny Książę nadal podsłuchuje, nie usłyszy nic ponad pijacki bełkot o otwarciu tawerny w Orissie,

gdzie będą podawane potrawy z Vacaan - niedawno o tym mówiliśmy, pamiętasz?

- Czy to nie wzbudzi jego podejrzeń?

- Ten człowiek urodził się z podejrzliwy - skonstatował Janosz. - Bez względu na to, co będziemy robić, i

tak pozostanie nieufny. A teraz pozwól, że powrócę do mojego ostatniego stwierdzenia. Do diabła z tym

człowiekiem! Kiedy po raz pierwszy powiedział, jak wyobraża sobie przyszłość Orissy, powiedziałem mu

od razu, że tobie nie można ot tak po prostu rzucić łapówki, jakbyś był jakimś przekupnym magiem w komorze celnej! Nawet jeśli łapówką jest całe królestwo!

Czułem, jak tracę panowanie nad sobą, lecz pohamowałem się.

- Chcesz powiedzieć, że od jakiegoś czasu wiesz o planach Raveline'a i nie pisałeś o tym ani słowa?

Twarz Janosza zmieniła wyraz.

- Tak, przyjacielu. Chyba jestem ci winien przeprosiny, że nie poinformowałem cię o tym od razu.

Miałem

jednak swoje powody.

- To znaczy? - zażądałem wyjaśnień, słysząc wzburzenie we własnym głosie.

Janosz wpatrywał się chwilę w kielich z winem, po czym opróżnił go jednym haustem.

- Muszę ostrożnie dobierać słowa, Almaryku. Czy obiecasz, że wysłuchasz mnie do końca, zanim wyrazisz

własną opinię?

- Ja... dobrze. Zamieniam się w słuch.

- Załóżmy najgorsze i przyjmijmy twoją czarną wersję - że Raveline zamierza żelazną pięścią rządzić Orissą

i Likantem. Nawet jeśli to prawda, spotkałem w życiu gorszych władców niż Raveline i mogę nawet

wymienić od razu ich imiona. Rozumiem go trochę lepiej niż ty, Almaryku. Raveline nigdy nie zostanie

królem tu, w Vacaan, i to stało się powodem jego rozgoryczenia. Kiedy sobie to uświadomił, zatrzęsł się z

wściekłości. Raveline jest jak słomiany ogień: przechodzi od jednego wspaniałego projektu do drugiego,

jego zainteresowania rozpalają się i gasną.

- Nami interesuje się już od wielu lat - wtrąciłem.

- Prosiłem cię, żebyś mnie wysłuchał do końca. A więc, jak słusznie zauważyłeś, od wielu lat zachwyca się

naszymi ziemiami. Prawdopodobnie dlatego, że zawsze znajdowały się poza jego zasięgiem; na tej samej

zasadzie dziecko życzy sobie innego cukierka, nie tego, którego akurat ma w buzi. Kiedy Odległe Królestwa

roztoczą opiekę nad Orissą i Likantem, książę znajdzie sobie inny przedmiot zainteresowania. Może będą to

dalsze odkrycia, a może jakiś osobliwy harem. Z pewnością jednak odwróci od nas wzrok. A do tego czasu,

my, Orissanie, będziemy tak bogaci jak nikt inny na tych ziemiach, zapewniam cię.

Czekałem, lecz Janosz nie powiedział nic więcej. Spróbowałem więc:

- On chce, żebyśmy mu służyli. Jakie przewiduje kary, gdybyśmy go zawiedli? Nie wiem, czy ma dość

mocy, aby powtórzyć historię Ziemi Jałowej, która, jak twierdzi, powstała jeszcze w czasach Pradawnych,

lecz wyraźnie zasugerował, że z radością potraktowałby w ten sposób każdego, kto ośmieliłby się sprzeciwić

władcą Vacaan. Co więcej, powiedział, że wystawiał nas na próby, choć nie zagłębił tego tematu. Ciekaw

jestem, jakie były to próby? Jaki mag rzucił zaklęcie, które wskrzesiło Wahumwa? Czy to jego magia unicestwiła najlepszych wojowników, jakich zrodziła Orissa?

- Nie! - krzyknął Janosz, lecz pohamował się. - No, cóż... muszę być z tobą szczery - ciągnął

spokojniejszym już tonem. - Nie jestem pewny, ale gdyby nawet to był on? Czy my, Orissanie, nie podjęlibyśmy bardziej drastycznych kroków, gdyby jakaś armia zmierzała w kierunku naszych granic?

- Najpierw dowiedzielibyśmy się, jakie mają zamiary - odparłem.

- No, nie wiem - zastanowił się Janosz. - Nie wiem. Jeżeli już rozmawiamy o Orissie, pomyślmy o czymś

innym. Nie tak dawno temu ty i ja odnieśliśmy wielkie zwycięstwo nad magami, zrywając łańcuchy, którymi

niewolili Orissę. Reprezentowali dawno umarłą przeszłość, pętając nią jak liną współczesne życie i marzenia

o przyszłości. Czy naprawdę uważasz, że ci wszyscy głupcy odeszli wraz z Cassinim? Wiem, że nie zaprzestaną prób ponownego narzucenia obezwładniającej tradycji, a najprawdopodobniej wezmą się za to,

jak tylko powrócimy do Orissy i ogłosimy kres starych zwyczajów i praw. A Likant? Ja znam tych ludzi.

Znam ich archontów. Jestem pewien, że nawet w tej chwili rozmawiają o odbudowie tego, monstrualnego

muru. Zaczną powiększać swą armię. A kiedy już to zrobią, skierują wygłodniały wzrok ku Orissie.

- No i co z tego? - spytałem. - Już raz ich pokonaliśmy. Możemy to powtórzyć.

- Nie jestem tego taki pewien - odparł Janosz. - Nie zauważyłem, żeby dzisiejsi Orissanie mieli równie

krewkie, ogniste charaktery jak ludzie pokolenia twego ojca. Nie, Almaryku, my potrzebujemy Raveline'a.

229

Wybacz, ale wyrażę się jaśniej. Potrzebujemy tego, co on reprezentuje. Potrzebujemy wiedzy zakorzenionej

w tym mieście i w tych ziemiach. Szydziłem z zakurzonych archiwów i bibliotekarzy, lecz na jednej osnutej

pajęczynami półce znalazłem więcej mądrości i wiedzy niż w całej Cytadeli Magów. Z tą wiedzą, z tą mocą

możemy sprawić, by zapanował Złoty Wiek. Za kilka lat posiadziemy całą mądrość, jaką kryją w sobie te

ziemie, a wtedy wykonamy krok naprzód. Jesteśmy młodym narodem, a oni są starzy, zmęczeni i mocno

zakotwiczeni w swoich zwyczajach. Postrzegam Vacaan, Irayas i Raveline'a jako fałszywy świt, zwiastujący

jednak nową erę, kiedy to złoto przestanie się liczyć.

- Ładnie powiedziane - stwierdziłem sucho. - Lecz nie czas teraz na kwieciste przemowy. Pomyśl realnie.

Czy naprawdę uważasz, że Orissa mogłaby powstać przeciwko rządowi Odległych Królestw? A tutejsi?

Rozglądam się dokoła po tych szczęśliwych twarzach i przychodzą mi na myśl rasowe krowy, które nie

zdają sobie sprawy, że jedynym ich celem w życiu jest rozmnażać się, by wreszcie przyozdobić stół swego

hodowcy. Czy sądzisz, że ci ludzie z Vacaan są zdolni do najmniejszego choćby buntu? A jeśli nawet zdobędą się na sprzeciw, jakie będą mieli szanse? Czy chcesz, żeby Orissanie, ludzie, których

potraktowałeś

jako swoich rodaków, stali się właśnie takim stadem przeżuwaczy?

- Czy wiodłoby im się gorzej? - zapytał Janosz. - Nie śpiesz się z odpowiedzią. Pomyśl o dzielnicach nędzy,

które widzieliśmy po powrocie do Orissy. Jałowa Skała. Czy widziałeś na tych ziemiach coś co, choćby

odrobinę przypominałoby tamto miejsce? A Jałowa Skała to wcale nie najgorszy zakątek Orissy. Nie chcę

nawet wspominać o zapchanych kamienicach Likantu. Uważam, że jeśli dałbyś większości Orissan

możliwość wyboru między złotymi łańcuchami tej krainy a obecnym życiem... krzyczeliby głośno, że chcą

kowala, młot i kajdany.

Powstrzymałem się od gniewnej riposty, nalałem wina i z wysiłkiem upiłem kilka łyków.

Wzburzenie,

zamiast zniknąć, nasiliło się tylko.

- Pamiętam, jak wiele lat temu na pustyni uwolniliśmy Deoce i próbowaliśmy uwolnić pozostałych

niewolników, ludzi porwanych przez nomadów... Jak bardzo wtedy się wściekałeś na tych, którzy wybrali

powrót do kajdan. A teraz obyczaje handlarza niewolników przyjmujesz za mądrość? Poczekaj, przyjacielu.

Jeszcze nie skończyłem. Powiedziałaś, że większość Orissan wybrałaby rządy Odległych Królestw, o ile

tylko otrzymaliby w zamian nieprzebrane bogactwo. A co z tymi, których uważasz za mniejszość? Co z

ludźmi takimi jak Ecco, Gamelan, czy nawet Maeen i ci żołnierze, którzy przybyli wraz z nami do Irayas?

Kiedy powiemy im, jakie owoce przyniosły ich trudy i znoje, potraktują to jako wyśmienity żart. A kobiety?

Co z tą drobniutką służką, Spoto? Co z moją siostrą Rali? A Otara, jej kochanka? A pozostałe członkinie

Gwardii Maranon? Czy sądzisz, że z radością powitają nadejście okresu tyranii? Co uczyni z nimi Raveline?

- Wszyscy władcy mają prawa, na których opierają swoje rządy - odparł nieco mniej pewnym głosem

Janosz. - Czy prawo vacańskie, zgodnie z którym ci, co się buntują, po prostu znikają, jest gorsze od naszego Całowania Kamieni? Albo nawet Wzywania Archontów?

- Co do pierwszego - odparłem - z pewnością jest gorsze. W Orissie nie dokonuje się żadnej egzekucji bez

publicznego procesu. Jeśli chodzi o Likant, nie potrafię tego stwierdzić. Nie rozmawiałem natomiast z

nikim, kto zniknął i nie wiem, jakie męczarnie towarzyszyły temu „cichemu” odejściu.

- Być może - Janosz powoli cedził słowa - powinniśmy wezwać takiego ducha i go zapytać. Chociaż od

razu cię ostrzegam, że umarli posługują się okropną mową. - Za chwilę zmienił bieg rozmowy. -

Powiedzmy, że masz rację węsząc nieszczęście, które kryje się za takim wariantem. Jaki zatem wygląda twój

plan?

Zaczerpnąłem głęboki oddech, starając się uspokoić.

- Na razie istnieje jedynie zapoczątek jednego z nich, więc z przyjemnością posłucham tego, co masz do

powiedzenia. Proponowałbym, byśmy starali się grać na zwłokę z Raveline'em. Poczynimy jakieś nie

wiążące obietnice, jak to robią kupcy, kiedy opóźnia się transport. Odniosłem wrażenie, że król Domas już

się zdecydował na rozpoczęcie handlu. Skoro mówisz, że Raveline to słomiany ogień, spróbujmy

wykorzystać tę umowę jako pretekst do powrotu do Orissy. Kiedy już znajdziemy się w ojczyźnie, uważam,

że koniecznie należałoby wprowadzić w życie mój plan sprzed kilku dni. Musisz, Janoszu, wziąć w garść

Cech Magów i rozpocząć przygotowania. Oczywiście nie do natychmiastowej wojny, w ogóle nie do wojny.

Teraz głośno myślę, ale nie wyobrażam sobie, żeby Raveline mógł najechać nasz kraj, fizycznie czy za

pomocą magii, skoro jego ludzi nie interesuje nic ponad czubek własnego nosa. Co więcej, zgadzam się, że

mieszkańcy Vacaan są dość ograniczeni. Uważam, że handel z nimi jest bardzo wskazany, a dzięki nowym

kontaktom dowiemy się wielu ciekawych rzeczy. Jestem też zdania, że ty powinieneś być odpowiedzialny za

230

opracowanie zdobytej wiedzy. - Nagle zabrakło mi słów i opadłem ciężko na krzesło. - Poza tymi luźnymi

myśłami... nie, nie mam żadnego konkretnego planu, szczególnie że Raveline nie powiedział wprost, czy

nosi się z zamiarem najechnia naszych ziem.

- Zrobi to, w ten czy inny sposób - rzekł stanowczo Janosz. - W końcu jednak nic z tego mu nie przyjdzie. -

Pociągnął mnie za rękę i poprowadził przez komnatę do okrągłego zwierciadła. - Spójrz w to lustro, przyjacielu. Spójrz na nas. Kiedy się spotkaliśmy, ty byłeś chłopcem, a ja młodzieńcem, który miał pod sobą

grupę tarczowników. Teraz dotarliśmy do Odległych Królestw i mamy w zasięgu ręki całą moc, całą mądrość bogów, którzy w istocie nie istnieją. Przeszkadza nam tylko jedna osoba, z którą, zapewniam cię,

można sobie poradzić, ale we właściwym czasie. Jeżeli się teraz wypniemy na Raveline'a i uciekniemy ku

granicy... wątpię, żeby udało nam się dotrzeć do Wybrzeża Pieprzowego. Zginiemy na jakimś pustkowiu... a

Orissa pogąrzy się w chaosie. Almaryku Antero, zostaliśmy wybrani, aby wprowadzić Orissę w nowy wiek i

musisz sobie to uświadomić. Jeśli mamy grać z Raveline'em na zwłokę... no cóż, niech i tak będzie.

Jesteśmy jeszcze młodzi i wiele przed nami lat życia. A poza tym czasy się zmieniają.

Chciałem odpowiedzieć, lecz zerknąłem w lustro. Wcale nie wyglądałem młodo: liczne zmarszczki na

twarzy świadczyły o trudach wędrówki, o bólu po stracie drogich mi osób; włosy straciły blask i nie lśniły

tak ogniście jak przedtem, a oczy spoglądały w dal, jakbym widział już zbyt wiele i moja dusza

potrzebowała czasu, aby dojść do siebie w spokoju i ciszy. Jednak w porównaniu do Janosza przypominałem

raczkującego berbecia. Był ode mnie starszy zaledwie o kilka lat, lecz teraz, w tym świetle, mógłby z

powodzeniem uchodzić za ojca tego człowieka, który uratował mnie niegdyś z rąk rzezimieszków.

Rzedniejące włosy i broda poprzetykane były gęsto szarymi pasemkami, właściwie szarożółtymi, jak gdyby

Janosz dopiero co wstał z łóżka po długiej i ciężkiej chorobie. Czas wyrył głębokie bruzdy na żółtawej,

niezdrowej skórze obwisłych policzków. Szczególną uwagę zwróciłem na jego oczy: głęboko osadzone w

oczodołach, otoczone czerwonymi obwódkami. Wiedziałem, że to nawiedzone spojrzenie zapraszało do

śmiertelnego tańca. Nie tak dawno widziałem podobne oczy i teraz przypominałem sobie gdzie: na uczcie u

Mortacjusa... kiedy po raz pierwszy ujrzałem martwe spojrzenie czarodzieja. Stłumiłem dreszcz i ponownie

poczułem wzbierający gniew.

- Ty naprawdę wierzysz, że możemy sprzeciwić się człowiekowi, który potrafił stworzyć miastokoszmar...

Wahumwę? - przerwałem niezręczne milczenie. - Nie tylko sprzeciwić się, lecz z czasem go zniszczyć lub

zniewolić? Janoszu, zbudź się. Jeśli zaaprobuje twój plan, ten człowiek pozwoli mi żyć tak długo, jak długo

będę spełniał jego życzenia, i zachcianki. Pionkom nie wolno dyskutować z mistrzem. Lecz jest jeszcze coś

ważniejszego niż rola, jaką odgrywałbym w nowym świecie Raveline'a. Janoszu, nie potrafię uwierzyć, że

myślisz, iż w jakiś sposób uda ci się wykorzystać tego człowieka do własnych celów. Szczerze mówiąc, nie

jestem do końca pewny, czy on w ogóle jest człowiekiem. Książę Raveline spędził całe życie na królewskich

grach śmierci i władzy. On cię pożre na deser! - Zdawałem sobie sprawę, że mój głos brzmi niczym grzmot

w nocnej ciszy.

Janosz również stracił panowanie nad sobą.

- Sądziś, że jestem aż tak słaby?

- Myślę, że jesteś aż tak głupi! - odparowałem. - Tańczysz przed tym Raveline'em jak kiedyś ja tańczyłem

przed tą dziwką Meliną. Nie sądzę, żeby jakiś kapitan Szary Płaszcz mógł ci teraz przyjść na ratunek i podejrzewam, że okażesz się większym osłem niż ja kiedyś.

- Jak śmiesz! - warknął Janosz. - Ty... syn kupca! Trudno cię nawet nazwać mężczyzną, bo nigdy w życiu

nie brałeś udziału w prawdziwej walce. Twoja najpoważniejsza decyzja życiowa dotyczyła znaku na beli

materiału. Ty ... krytykujesz mnie, Janosza Kethera Szarego Płaszcz, którego ród od początków historii

przewodził innym ludziom? Jak śmiesz?

Zanim zdołałem się opanować, palce same zacisnęły się w , a ręka powędrowała do przodu. Wreszcie

dowiedziałem się, co naprawdę o mnie myśli. Wtedy zobaczyłem w lustrze swoją czerwoną jak włosy twarz

i zamiast wymierzyć cios, zatopiłem paznokcie głęboko w dłoni. Dyszałem ciężko jak po wyczerpującym

biegu; poczułem jak spływają na mnie pierwsze fale uspokojenia.

- Obydwaj zachowujemy się głupio - mruknąłem. - To do niczego nie prowadzi. Dokończymy tę rozmowę

jutro, kiedy przypomnimy sobie o głodzie. - Janosz zdobył się na niewyraźny gest zgody. Chciał jeszcze coś

dodać, lecz zacisnął zęby. Bez pożegnania odwróciłem się na pięcie i opuściłem komnatę, po czym zbiegłem

po schodach wieży, jakby goniło mnie stado demonów. Znalazłszy się na dziedzińcu zakrzyknąłem na Gatrę,

żeby natychmiast przygotował łódź.

231

* * *

WRÓCIŁEM do pałacu bardzo późno. Nie wiedziałem co robić. Cisnąłem ubranie gdzieś obok basenu i

zanurzyłem się w chłodnej wodzie. Przepląnąłem trzy razy szerokość basenu starając się, aby rozciągnęły

ten sposób mięśnie poszerzyły możliwości mego umysłu. Po wyjściu z wody poczułem, jak przedporanny

chłód muska mokrą skórę. Poczułem się nieco lepiej, lecz na pewno nie przybyło mi mądrości.

Grzeczność nakazywała czekać, lecz nie mogłem się z tym zgodzić. Coś w środku podpowiadało mi, że

teraz każda chwila jest droga. Muszę porozmawiać o tej sprawie z jedyną normalną osobą w tym kraju.

Poszedłem do kuchni, gdzie zaparzyłem sobie kojący wywar z ziół; nie chciałem budzić służącego.

Zaniosłem gorący napój do komnaty, zamierzając delikatnie zbudzić Omerye i powiedzieć jej, co się

wydarzyło. Zastałem ją czuwającą przy oknie. Odstawiłem tacę na bok i wziąłem w objęcia ukochaną

kobietę, nie pragnąc w tym momencie niczego innego, jak tylko spędzić całą wieczność w tym miłosnym

uścisku. Po chwili Omerye odepchnęła mnie lekko.

- Było aż tak źle?

Opowiedziałem jej, co się wydarzyło w pałacu Raveline'a, a następnie w wieży u Janosza. Kiedy skończyłem, zaczynało świtać. Omerye nalała do kubków zimnego wywaru i zaczęła pić powoli.

- Są tacy w Vacaan - zaczęła - którzy szczerze by się uśmieali, słysząc, że szukasz mądrości u flecistki.

- Nikt nie zna mnie lepiej od ciebie - odparłem. - Nikomu tak nie ufam, nawet sobie samemu.

Omerye pocałowała mnie czule i mówiła dalej:

- To dobrze. Może zaczniemy od twego przyjaciela? Zastanów się: gdyby ktoś do mnie przyszedł, tak jak

książę Raveline najwyraźniej przyszedł do Szarego Płaszczka, i obiecał, że poznam wszelkie akordy, palcówki, tony, natężenia dźwięku wszystkich instrumentów, które znamy dzisiaj i które znali Pradawni i, że

będę mogła wykorzystać tę wiedzę, aby stworzyć muzykę przyszłości... być może ja sama nie dostrzegłabym

niedociągnięć obdarowującego. Poza tym w jego słowach jest trochę prawdy. To bzdura, że wielkie zło

Raveline'a można zamienić w dobro z łatwością, z jaką zwykły metal zmienia się w złoto. Ale można go

usunąć na bok.

Ujrzałem promyk nadziei.

- W jaki sposób? Czy powinienem iść do króla?

Omerye krzyknęła przerażona: - Nawet o tym nie myśl, najdroższy. Gdybyś poszedł do króla Domasa i

opowiedział mu co się stało, on rzeczywiście wezwałby Raveline'a i surowo się z nim rozprawił. Mógłby

nawet wygnać księcia w jakieś odległe miejsce mówiąc, że sam jego widok razi oczy przyzwoitego człowieka. Ty zostałbyś nagrodzony za uczciwość. Lecz po kilku miesiącach Raveline powróciłby do Irayas,

a ciebie by już nie było. Mimo że bracia się nie cierpią się wzajemnie... nikomu nie wolno

krytykować

królewskiej rodziny. Nikomu. Co więcej, w Vacaan sprawy rozwiązuje się w o wiele subtelniejszy sposób.

Według mnie powinniśmy raczej porozmawiać z pewnymi ludźmi, których król uważa za mądrych, a ci

porozmawialiby następnie ze swoimi przyjaciółmi. Te dyskusje prowadzono by cicho i skrycie. Za jakiś

czas, może tydzień, a może miesiąc, moglibyśmy przeprowadzić rozmowę z Beemusem. Wtedy jego szept

dotrze do uszu króla. Kaze on swym szambelanom rozpuścić wici i zbadać sprawę, oczywiście jak najciszej

i jak najostrożniej. Kiedy pozna już prawdę, a dowie się wszystkiego, jeśli tylko będzie chciał, wówczas

powstrzyma księcia Raveline'a, wydając mu rozkaz zorganizowania ekspedycji przeciwko łupieżcom z

północy.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- W ten sposób sytuacja wróci do normy, a problemy Orissy i moje własne zostaną rozwiązane?

- Tak jak powiedziałam, Raveline'owi już wcześniej utarto nosa i to w sprawach, które my, uważamy za

ważniejsze niż los dwóch barbarzyńskich miast położonych na dalekim zachodzie. Wybacz mi, Almaryku,

lecz tak właśnie myślą Vacańczycy.

Omerye przedstawiła mi jedyny realny i naprawdę sensowny plan. O świcie powrócę do Janosza i

dokończymy sprzeczkę. Wciąż odczuwałem wzburzenie przypominając sobie ambicje, które nim powodują.

Tłumaczyłem sobie jednak, że nikt nie jest doskonały, a Odległe Królestwa stały się jego obsesją znacznie

wcześniej niż moją. Mimo wszystko położywszy się do łóżka czułem, że uczucie przyjaźni, jakie łączyło nas

dotychczas, przygasa.

232

ZBUDZIŁEM SIĘ niedługo po zaśnięciu, czując, że muszę krzyknąć, lecz okrzyk uwiązł w mojej piersi i nie

mógł wydostać się na zewnątrz. Omerye przewracała się niespokojnie na łóżku, a ja byłem pół na jawie, pół

we śnie.

Dwie obsesie płonęły w moim umyśle. Pierwszą znałem, przynajmniej w teorii: czarnoksiężnik karmiący

się bólem, strachem i śmiercią. Gdyby Raveline urzeczywistnił swój plan, Orisę i Likant ogarnąłby chaos.

Na naszych ziemiach ścierałyby się armie, które wkrótce zamieniłyby się w wojsko bandytów i morderców.

Z czasem, nasz kraj zamieniłby się w krwawą pustynię, taką samą jak Niespokojne Ziemie. Wyobraziłem

sobie twarz Raveline'a wysoko ponad tym spustoszonym krajobrazem, jak wykrzywia się w uśmiechu sycąc

oczy zniszczeniem, które było dla niego niczym mleko matki.

Gdyby pozwolić Raveline'owi urzeczywistnić jego zamysły... Wtem przypomniałem sobie słowa księcia, że

chce uczynić z Janosza swego demona. Zastanowiłem się: Demona? Czy może zabójcę? Janosza nie wiązał

żaden zakaz uniemożliwiający mu konspirację przeciwko Domasowi, ale nawet podczas nocnego koszmaru

nie mogłem sobie wyobrazić Janosza skradającego się korytarzami pałacu królewskiego z zatrutym sztyletem w dłoni. Czy Janosz mógłby dopuścić się tak ohydnych czynu? Wiedziałem, że zostałyby ścięty

przez nowego króla, nieutulonego w żalu po śmierci swego brata. Nie, wyobraźnia poniosła mnie zbyt

daleko. Dźwignąłem się z ciemnych otchłani skłębionych myśli. Wyjrzałem przez okno. Pomimo

panujących ciemności z ogrodu doleciał mnie senny szczebiot ptaków. Nie pamiętam, kiedy zmorzył mnie

sen. Pamiętam jedynie ostatnią myśl: niedługo wstanie zupełnie nowy dzień.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jaskinia

Zbudził mnie koszmar nocny. Po obu stronach mego ciała płonęły pochodnie. Leżałem na zimnym, wilgotnym kamieniu. Nozdrza wypełniał mi odór pleśni, a w ustach czułem metaliczny smak krwi.

Wiedziałem dobrze, gdzie się znajduję: wciąż byłem w lochach archontów, pod wielkim nadmorskim zamczyskiem Likantu. Budziłem się właśnie z jednego z tych wspaniałych snów, w których

połowę życia, a każda jego chwila odmalowana jest z najmniejszymi szczegółami. Janosz i ja nigdy nie

uciekliśmy z tych lochów, nigdy nie stoczyliśmy bitwy z magami o duszę Orissan, nigdy nie dotarliśmy na

Wybrzeże Pieprzowe i do nawiedzonego miasta, aby następnie wkroczyć do Odległych Królestw.

Przypomniałem sobie kobietę ze snu o imieniu Omerye, uświadomiłem sobie, że w rzeczywistości nigdy nie

istniała i moje oczy wypełniły się łzami bóleści. Przynajmniej bogowie zesłali mi chwilę nierealnego szczęścia w tym długim i przerażającym śnie.

Powoli odzyskiwałem świadomość, choć mój umysł nadal błądził po labiryncie zawilej fantazji. Nie tylko

przypomniałem sobie, że uciekliśmy z tego lochu, lecz wiedziałem w jaki sposób tego dokonaliśmy.

Rozbudziłem się zupełnie. Rozejrzałem się po potępieńczej celi szukając Janosza. Opowiem mu mój sen, a

szczególnie fragment o likantyjskim lochu i może skorzystamy z tej iluzji, przygotowując się do prawdziwej

ucieczki.

Usłyszałem chrapliwy głos: - Wstawaj no, Antero! Zakłęcie miało już dosyć czasu, żeby przestać działać.

Nie byłem więc w lochach archontów. Znajdowałem się w małej, zagraconej, kamiennej celi. Nie

widziałem wokół siebie nikogo, żadnych strażników, oprawców, więźniów... nie było też Janosza. Byłem

sam, nie licząc... Greifa. Siedział skulony na ciężkiej ławie pod przeciwległą ścianą. Uśmiechał się.
Z

trudem wstałem na nogi.

- Szlachetny Antero - szydził. - Obudź no się, ptaszku. Kazesz mi wezwać dziewczki i przygotować balię z

wodą? Sługi, coby ci rozłożyli jedwabie na stole? A może tą, co tak ci ładnie przygrywała na fujarce? Może

ją przyprowadzić, a ty sobie popatrzysz, jak ja z nią figluję, co? Ale tego ci nie wolno.

Czułem, że mąci mi się w głowie, więc nie odpowiedziałem. Nie mogłem się ruszyć z miejsca. Greif wstał i

zbliżył się do mnie. Dostrzegłem ziejący pustką oczodół, czarny i emanujący nikczemnością. Drzewce

włóczy rzeczywiście pozbawiło go oka. Greif zorientował się na co patrzę i jego zaciśnięta pięść

wylądowała niespodziewanie na moim brzuchu. Jęknąłem głucho i opadłem na kolana, nie mogąc złapać

tchu.

233

Kopnięciem przewrócił mnie na plecy i spojrzał z góry. - Aye, aye, sir - odezwał się. - To ty wydłubałeś mi

oko. Znalazłem lepszy sposób na widzenie. Moi panowie dali mi coś... coś, czym można szpiegować. Dali

mi ździebko swojej mocy, żebym patrzył na ludzi i poznawał ich zamiary. - Greif pogładził pusty oczodół,

po czym roześmiał się gromko, a basowy pogłos odbił się echem od kamiennych ścian.

W tej samej chwili ujrzałem w pustym oczodole czerwony ogień, maleńki, czerwony, wijący się płomyk.

Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że wkraczam właśnie do realiów tego koszmaru, który nawiedzał mnie

od lat. To nie spotkanie Greifa w Likancie uczyniło z niego bezimiennego oprawcę i przewoźnika. Wolno

mi było, na dobre lub złe, spojrzeć szybko w przyszłość. Poczulem ogromny żal, że nie uśmierciłem Greifa,

kiedy spotkałem go po raz pierwszy, kiedy patrzyłem na niego z góry, jak stał na dziedzińcu przed likantyjską karczmą.

- Widzi mi się, żeś jeszcze otumaniony i nie wiesz gdzie jesteś. Gdzieś w Irayas. Daleko, daleko pod ziemią, gdzie nikt nie usłyszy, jak się będziesz darł.. a będziesz się darł, oj będziesz. Okpili cie. Nabrali.

Ten, co myślałeś, że jest ci przyjacielem. Ten, co rzucił na ciebie zaklęcie ochronne, a ty myślałeś, że będzie

cię ochraniać ode złego, sam je potem zdjął, żebyś mógł cię dopaść... ja i moi ludzie.

Pomimo największych starań, by zachować opanowanie, moja twarz niewątpliwie zdradziła wewnętrzne

rozterki. Greif roześmiał się znowu i splunął mi w twarz.

- Wstawaj... i patrz dokoła. Widzisz, jakie mam zabawki, żebyś mógł sobie z tobą poswawolić? Książę pan

dał mi, całutki dzień na zabawę. Gadał tylko, żeby cię nie pogruchotać za mocno, boby ci się umysł poplątał.

O taak, nie mogę cię też oszpecić ani połamać kości. Bo książę ma swoje zabawy i chce sam z tobą pofiglować, jeno nie teraz. Coś mi się zdaje, że jego gry mogą być jeszcze lepsze niż moje, choć miałem

dość czasu na wymyślenie czegoś, co przypomni ci, coś mi zrobił. Co prawda, książę zakazał mi tego i

owego, ale ja już sam wiem co robić, bo siedziałem długo na służbie u Nissou Symeona.

Pocieszałem się jedynie faktem, że Greif nie mógł wiedzieć o nękającym mnie koszmarze, w przeciwnym

razie nie posiadałby się ze szczęścia. Najgorsza jednak była wieść o zdradzie Janosza.

- Po pierwsze - powiedział szorstko - podnieś ręce. Tam wiszą łańcuchy. Założysz je sobie. - Chichotał

widząc, jak wypełniam posłusznie jego polecenia. - No i co powiesz na to zaklęcie? To dopiero

będzie fajnie

popatrzeć, jak robisz posłusznie za mojego pomocnika.

Zakłęcie skradło mi wolną wolę i nie potrafiłem przeciwstawić się rozkazom. Kiedy założyłem sobie

kajdany na ręce, Greif rechocząc złowieszczo podszedł do miejsca, gdzie zwieszała się z sufitu lina wzmacniająca łańcuchy. Odwiązał ją i szarpnął mocno, podrywając mnie do góry, aż straciłem grunt pod nogami.

- Jak coś ci się przesunie, będzie dość czasu, żeby wsadzić kość na swoje miejsce, zanim... zanim powędrujemy sobie trochę - odezwał się. - A teraz podyndaj sobie trochę, bo pewnie masz jakieś pytania.

Odpowiem na wszystkie. - Wrócił na ławę i czekał spokojnie.

Nie chciałem dać mu satysfakcji, lecz czułem, że jedną rzecz muszę koniecznie wyjaśnić.

- Nadal służysz Nissu Symeonowi?

Greif roześmiał się paskudnym, cuchnącym rechotem i skinął skwapliwie głową.

- On myśli, że tak... a ja biorę jego srebrniki i będę je brał, dopóki jego zachcianki zgadzają się z moimi.

Nigdy nie odeszłem od niego, jak o to ci chodzi, czyli to już drugi raz, kiedy wpadłeś w moje sidła. Trzy

razy, jak liczyć ten raz, kiedy wybebeszyłem twojego niewolnika w Likancie i wziąłem coś twojego, żeby

Symeon mógł odprawiać czary.

A więc to on zamordował Eanesa. Zacząłem sam siebie przekonywać, że pomszczę tę śmierć i umożliwię

spoczynek duszy mego starego przyjaciela, zanim sam stanę się duchem. Poczułem nikły płomyk nadziei.

- Pewnie - ciągnął Greif - pewien, żeś ciekaw, kto jest moim prawdziwym panem. Symeon poprzysiągł

posłuszeństwo księciu.

I jeszcze raz intuicja mnie nie zawiodła. Raveline naprawdę planował zamienić nasze ziemie w istne piekło,

szczując jednych przeciwko drugim.

- Jak on... i ty... dotarliście do Irayas?

- Symeona tu nie ma - odparł Greif. - Jest w Likancie i gotuje się do ataku na Orissę. Jego nigdy nie było w

Irayas. Jak się ma takiego potężnego pana jak książę, to nie trza samemu przy nim stać i całować pierścienia.

Symeon służy mu już... do diabła, nawet nie wiem jak długo. A jak ja się tu dostałem? - Greif przez chwilę

sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Nie mogę tego powiedzieć. Symeon dał mi rozkazy, żebym służył człowiekowi, którego zobaczę, jak się zbudzę. Zbudziłem się tutaj, w tym zamku o ośmiu wierzach, jaki ma

234

książę. Nie musieli mnie niczym straszyć, bym posłuchał. Poznaję prawdziwą moc, kiedy ją widzę... a to, do

czego mnie wybrał, to dla mnie nagroda, a nie obowiązek.

Wstał i zaczął przechadzać się po celi wypełnionej po brzegi narzędziami tortur: wszędzie piętrzyły się liny,

nożyce, bicz, ogień, woda, noże, topory i imadła. Podnosił i z powrotem odstawiał jedno po drugim.

- Ciężko wybrać, od czego by tu zacząć - powiedział do siebie. - Ale dosyć tego kłapania po próżnicy.

Jeszcze aby jedna sprawa, Antero, mój przyjacielu, moja nagroda - jego głos wyrażał narastające zniecierpliwienie i radosne oczekiwanie - Musisz sobie o tym pomyśleć. Mogłeś to wszystko mieć, wiesz?

Jakbyś tylko zgiął kolana przed księciem... mogłeś być pacholkiem Symeona i cała Orissa by się tobie

kłaniała, prawie tak głęboko jak przed samym Symeonem. Ale ty musiałeś pokazać tę swoją dumę.

Będziesz

tego załował. Teraz... i po wieczność całą. Coś mi się widzi, że książę nie chce dla ciebie normalnej śmierci.

Wziął do ręki bicz i przesunął go po owłosionym przedramieniu. - A zaraz będziesz o nią skamlał - zasyczał

i poczułem na skórze ostre cięcie bata.

NIE MA SENSU zalewać tych stroniec szczegółami tortur. Ci, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej na ten

temat, mogą wybrać się do najbliższej winiarni znajdującej się przy miejskim więzieniu i postawić strażnikowi kufel piwa. Wtedy zaspokoją swoją ciekawość. Wystarczy powiedzieć, że Greif zapamiętał

sobie dobrze, jak to było kiedy to on przeżywał katusze, i wykazywał później sporą wiedzę i umiejętności w

posługiwaniu się wszelkimi narzędziami tortur.

Zwrócę uwagę jedynie na cztery sprawy. Po pierwsze, między torturującym a jego ofiarą wytwarza się

osobliwa więź. Nie wiem dokładnie, jak ją opisać. Znajomi, którzy spędzili więcej czasu w szponach swych

oprawców mówili, że w końcu ofiara zamienia się w chętnego niewolnika jako, bo jej dusza jest stopniowo

okrajana przez nie kończący się ból. Po drugie, podczas obserwacji własnego cierpienia pojawia się

szaleńcza uciecha. To uczucie również jest dość złożone i częściowo podsycane przez nerwy; ma prawie to

samo źródło co cielesne żądze, lecz wynika raczej z chęci zachowania choć części swej duszy, części siebie

w tej walce z katem, ogniem i agonią. Po trzecie, przekonałem się, że ekscytacja Greifa przyćmiła jego

doświadczenie. Wprawny oprawca nigdy nie pozwoli swej ofierze na przyjemność i ulgę towarzyszącą

utracie przytomności. Właśnie to było największym błędem Greifa, a dla mnie niewątpliwie

stanowiło

ratunek. Trzykrotnie spływało na mnie owo błogosławieństwo, pozwalając uzupełnić zapasy sił, by oprzeć

się kolejnemu atakowi Greifa. Ostatnia rzecz okazała się najcenniejsza: wszystko ma w końcu swój kres...

Tamten dzień również.

Wtedy jednak rozpoczął się prawdziwy koszmar.

ODZYSKAŁEM PRZYTOMNOŚĆ, kiedy dwóch mężczyzn wlokło mnie po kamiennych schodach. Z przodu, oświetlając drogę pochodnią, kroczył Greif. Poznałem go po bliznach od bata znaczących spocone

plecy. Miał na sobie jedynie czarne, połatane spodnie. Schody sprawiały wrażenie niezwykle starych i na

kamieniach dokoła widziałem ślady saletry. Nagle zatrzymaliśmy się nad brzegiem stawu, przed wyciągniętą

na brzeg małą łódką... czarną łódką z mego snu... Pomagierzy Greifa wrzucili mnie na pokład, po czym

odeszli nie wypowiedziawszy ani słowa. Greif zepchnął łódkę na wodę i stanął przy rumplu. Żwawy nurt

porwał nas niespodziewanie do tunelu, którego sklepienie znajdowało się niecałą stopę nad głową mego

prześladowcy.

W kilka chwil później wypłynęliśmy na otwarte wody. Otoczyła nas bezgwiezdna, bezksiężycowa, noc.

Kanał, którym płynęliśmy, wydawał mi się znajomy. Znajdowaliśmy się w samym sercu Irayas, lecz nie

widziałem innych łodzi. Nie byłem skuty kajdanami ani przywiązany do łodzi i powinienem wskoczyć do

wody, albo przynajmniej zacząć krzyczeć. Nie mogłem uczynić ani jednego, ani drugiego. Przypuszczam, że

znajdowałem się pod wpływem czarów, albo w szoku spowodowanym długotrwałym cierpieniem.

Pamiętam jedynie fragmenty zdarzeń. Płynęliśmy z dużą prędkością, podobnie jak wtedy, gdy spływaliliśmy

z gór do Gomalalee. Wkrótce wpłynęliśmy na wody Rzeki Wężowej i wtedy przekonałem się, że poruszamy

się za sprawą magii, jako że łódź płynęła pod prąd bez pomocy wiosł czy żagli. Minęliśmy miasto i mającą po prawej stronie Świętą Górę. Pamiętam masyw górski leżący za szczytem Pradawnych, potem

głęboki wąwóz. Szumiąca rzeka za burtami łodzi sprawiała wrażenie ciemnej, gęstej, oleistej cieczy.

Greif nawet nie dotknął rumpla, kiedy, zupełnie niespodziewanie, łódka skręciła ostro, jakby zaraz miała

roztrzaskać się o sterczące na brzegu skały. Zauważyłem otwierającą się skalną paszczę, którą wyłobiły

235

działające od wieków prądy rzeczne. Wewnątrz ujrzałem kamienny pomost. Greif przywiązał łódź, wyszedł

na pomost, odwrócił się i machnął ręką. Każdy fragment duszy, który był jeszcze mną, sprzeciwiał się

krzycząc wniebogłosy, lecz podążyłem za nim wychodząc niezdarnie z łodzi i chwiejąc się na pokrytym

szlamem pomoście wykutym z kamienia. Moje nogi wlokły się ociężale, podczas gdy umysł wrzeszczał:

zrób coś! Nie możesz wejść po tych schodach! Nie wolno ci! Wszedłem.

Greif wziął jedną z pochodni, które płonęły po obu stronach łukowego przejścia, i ponownie skinął na mnie

ręką. Usłyszałem ujadanie i wiedziałem już, co znajduje się wyżej: na płaskowyżu wznosiły się ruiny

wielkiego, przeklętego miasta. Daleko ponad nami, daleko poza wydrążoną w skałach jaskinią, w tym

mieście, w zburzonych amfiteatrach, pośród kamieni ociosywanych mocą bogów, zgrupowane w koła

siedziały cierpliwie owe stworzenia. Wysoko ponad naszymi głowami, w ciemną, bezksiężycową noc,

stwory, które nie przypominały żadnej ziemskiej istoty ujadają zawodząc upiornie. Przeleciała mi przez

głowę myśl, że mogły być kiedyś ludźmi. Ludźmi, którzy zawarli układ z ciemną stroną mocy.

Szedłem za Greifem. Mój znużony umysł, działający tak wolno, jakbym znajdował się pod wpływem silnych środków odurzających, podpowiadał mi wytrwale, że żadna ofiara nigdy nie schodziła tymi schodami. Ostatnim wysiłkiem woli starałem się obmyślić jakąś strategię. Na próżno. Do mych uszu doleciało brzmienie ogromnego bębna. Weszliśmy do wielkiej komnaty, której sklepienie ginęło wysoko w

ciemności. Usłyszałem dźwięk gongu i gdy Greif obrócił się twarzą do mnie, ujrzałem w jego martwym

oczodole wijący się płomień, niczym paskudny robak. Powiedział coś o moim pragnieniu, że dostałem to,

czego chciałem, po czym roześmiał się obrzydliwie. Śmiech rozbrzmiewał głośno, coraz głośniej, podsypany

ujadaniem monstrualnych istot; śmiech głoszący radość z bólu i śmierci; śmiech łączący się w upiorną

kakofonię... I oto ukazał się Raveline. W sali i wysoko ponad nią pośród potępieńczych stworów zaległa

cisza, jakby po uderzeniu siekiery. Greif znieruchomiał, ja sam również znalazłem się pod chwilowym

działaniem zaklęcia paralizującego. Książę miał na sobie czerwone luźne spodnie i czarną tunikę, obrębioną

przy nadgarstkach i szyi złotą koronką. Za pasem pobłyskiwał mu ozdobny sztylet. Był ubrany niczym na

jakieś nieoficjalne spotkanie na królewskim dworze.

- A więc dotarliśmy do kresu podróży, Almaryku Antero - odezwał się spokojnym głosem. - Czy chcesz

poznać swoją przyszłość? - Milczałem. - Za chwilę unicestwię cię fizycznie. Większa część twej duszy

zostanie rozproszona, niczym prochy rzucone na wiatr, kiedy wezmę cię w swe objęcia. Będziesz

jednak

czymś więcej niż tylko nieszczęsnym, błędzącym duchem, takim jak twój brat czy tamten marny niewolnik,

którego zabił ten oprych. Zatrzymam część ciebie we własnej duszy, a dzięki temu będziesz mymi oczami

oglądał wielkie zmiany, które mają nadejść na tym świecie. Będziesz je oglądał, nie mogąc zdobyć się na nic

więcej ponad niemy krzyk przerażenia.

- To dla mnie zaszczyt - rzekłem z sarkazmem, postanowiwszy umrzeć zachowując odrobinę godności.

- Ależ drobiazg. Chcę zatrzymać fragment ciebie jako wspomnienie porażki i ostrzeżenie przed próżnością.

- Nie wygląda mi to na porażkę - stwierdziłem.

- Mylisz się. Niepowodzenie związane z tobą i twoimi ludźmi przybierało w ciągu minionych dekad różne

formy. Już wiele lat temu wyczułem obecność twego rodu, co prawda jako niezwykle słaby, odległy impuls.

Nie zwracałem na to najmniejszej uwagi rozumując, jak większość Vacańczyków, że poczynania barbarzyńców poza granicami naszych królestw nie mają żadnego znaczenia. Później jednak poczułem

wyraźniej czyjąś obecność. Pozwoliłem zmysłom pójść tym śladem i natknąłem się na twego brata.

Te słowa wyrwały mnie z odrętwienia. Nie wiem dokładnie jak to wyjaśnić, lecz z jakiegoś powodu jedno

zdanie, które Greif wypowiedział w moim śnie, umknęło mi prawie niezauważone: ... oto, czego twój brat nie

potrafił objąć ... Rozmawiałem o tym z uczonymi i dowiedziałem się, że podobne zjawisko nie należy do

rzadkości; a zdarza się, że człowiek mógłby nagle przysiąc, że wszyscy dookoła mówią w obcym języku,

podczas gdy wcale tak nie jest. Jeden z mędrców określił to jako chwilę, w której to, co znane, staje

się

dziwnie obce.

- Pozwoliłem mym czarom wypłynąć i otoczyć Orisnę - kontynuował Raveline - i wyczułem ostrzeżenie,

podobnie jak dzika bestia wyczuwa myśliwego, kiedy po raz pierwszy wchodzi do puszczy. Twój brat, nie

mając odpowiedniego nauczyciela, bez rodzinnych tradycji magicznych, był potencjalnie potężniejszym

czarodziejem niż jakikolwiek inny, który dotychczas chodził po ziemi.

Nawet tuż przed śmiercią poczułem dreszcz dumy i ogarnęła mnie bezwolna wściekłość.

- Dlatego go zabiłem.

236

- Dlatego go zabiłem - zgodził się Raveline. - Zastawiłem zmyślną pułapkę. Halab był równie doskonały jak

ty czy ja, więc wystarczyło niewielkie zaklęcie, które go znęciło. Większe musiałem posłać przeciwko tym

głupcom, jakich twoje miasto szanuje i nazywa magami, chociaż żaden z nich ani wtedy, ani teraz, nie miał

dość talentu, aby zaczarować wodę, w której by się topił. Mieli odczuwać zagrożenie ze strony Halaba, a

kiedy poprosi o przyjęcie do ich grona - i wysłać przeciwko niemu, najbardziej śmiercionośne urządzenia.

Twój brat przeszedł próbę. Z łatwością poradził sobie z marnymi elfami, które skierowali przeciw niemu

magowie, i o mały włos... zwyciężyłby. To była moja pierwsza porażka... nie doceniłem go.

Rzuciłem dwa potężne zaklęcia. Jedno, aby zatrzymać czas, co umożliwiło mi wezwanie istoty, której

natury i imienia nie chcę nawet dopuszczać do swych myśli. Cena, jaką ustaliła bestia, była nadzwyczaj

wysoka: złożenie ofiary z całego miasta niewinnych ludzi. Zabiłem Halaba, a raczej dokonała tego

owa

istota. Nawet wtedy moje zwycięstwo nie było całkowite. Zamiast zostać wymazanym z tego i innych światów, Halabowi udało się ocalić swego ducha tak, jak dzieje się w przypadku każdego, kto zginął i nie

został pogrzebany lub pomszczony. Wtedy powinienem był zesłać zagładę na wszystkich członków rodu

Antero. Postąpiłem nierozsądnie, uważając Halaba za słabeusza i kogoś mało istotnego. Cała wasza rodzina

charakteryzuje się pewnym talentem. Twoja siostra ma go nawet sporo co jeszcze potęguje brak dzieci i

męskiego partnera. Ty również, jak niewątpliwie zdajesz sobie sprawę, posiadasz talent.

To było dla mnie coś nowego.

- Ach, tak - odezwał się Raveline dostrzegłszy błysk zdumienia, jaki przemknął mi po twarzy. - Nie wiedziałeś o tym. Nie jest wielki, lecz przez wszystkie lata twego życia wystarczył w zupełności, aby podświadomie unikać ataków magii. Ludzie nazywają taką śladową moc szczęściem. Unicestwiając cały

twój ród w ciągu następnego tygodnia, upewnię się, że „szczęście” rodziny Antero zniknęło na wieki.

-
Przez chwilę bawił okrutne oczy widokiem mego cierpienia, po czym dodał: - Powrócę do mego wyznania.

Muszę przyznać, że znajduję w tym sporo rozrywki, a przecież nigdy w życiu nie okazałem się na tyle głupi,

aby się komukolwiek zwierzać; nigdy też więcej tego nie uczynię. No, chyba że od czasu do czasu zdecyduję

się wezwać twego ducha, aby zapewnić sobie bezpieczną publiczność. To naprawdę może być zabawne.

Po śmierci Halaba zapomniałem o czujności i ostrożności, podobnie jak odurzeni winem strażnicy łaskotani

promieniami słońca zapadają w drzemkę na murach obronnych. Po raz kolejny uświadomiłem sobie

obecność rodziny Antero w chwili, gdy znalazłeś przyjaciela w osobie Janosza Szarego Płaszcz. To kolejny

czarodziej obdarzony niezwykłą, choć nie wyuczoną, mocą. Zdaje się, że twoje nazwisko przyciąga magię,

jak miód muchy. Jeszcze raz zdecydowałem się na szybkie działanie i jeszcze raz wybrałem nieodpowiednią

broń, poczynając od archontów i ich burzy, która była w istocie lichym zefirkiem w porównaniu do mocy,

jakie posiadam, a kończąc na głupcach typu Cassiniego. Odnosząc kolejną porażkę doznałem przynajmniej

niewielkiej przyjemności wykonania osobistej zemsty. Dalej muszę wspomnieć Nissou Symeona, którego

wątpliwe zalety poddam surowej ocenie, kiedy skończę z tobą. Nauczyłem się jednak nie zwlekać i działać

od razu, zwalczać problem w zarodku. Obecnie mam Janosza Szarego Płaszcz. Powiem ci, że pod pewnymi

względami mógł okazać się nawet potężniejszy od Halaba, jako że twój utalentowany braciszek dałby

początek wielkiej mocy tego, co wy, ziemskie robaki, nazywacie dobrem. Janosz, natomiast, pełen

determinacji do mierzenia, katalogowania i analizowania magii jako systemu, mógłby zatrząść tym światem

w posiadach, a wraz z nim potrząsnąć również innymi. Na szczęście jego wielkość objawia się zarówno w

wadach, jak i zaletach. Janosz Kether Szary Płaszcz jest teraz skutecznie ubezwłasnowolniony.

Raveline wysunął rękę, zaciskając palce jak szpony. - Jeszcze dwa dni temu nie miałem go garści. Lecz w

dniu, gdy wypaplałeś mu o wszystkim... o tak, słuchałem waszej rozmowy pomimo tego marnego zaklęcia

blokującego... poinformował mnie o tym, co się wydarzyło. Powiedziałem mu, co musi uczynić ... a on

posłuchał grzecznie! Posłuchał! A teraz jest mój.

- A jednak wciąż się go obawiasz - rzekłem.

- Nikogo się nie obawiam - uciął krótko zerkając na boki. Opanował się jednak i warknął: - Dość tego. Ta

rozmowa przestała mnie bawić. Nadszedł czas, abym zagarnął część ciebie. Chodź, Almaryku Antero.

Chodź ku wiecznemu potępieniu.

Raveline rozpostarł ramiona i uśmiechnął się. Poczułem jego wszechogarniającą moc i zorientowałem się,

że unoszę ramiona i stawiam krok w przód. Nagle przelała się przeze mnie fala czystej, czerwonej wściekłości i zakłęcie rozproszyło się. Ręce opadły mi wzdłuż tułowia. Raveline patrzył, nie dowierzając.

- Masz więcej mocy niż myślałem. Greifie! Przyrowadź go do mnie!

237

Greif wyrwał się z odrętwienia i skoczył ku mnie, wczepiając się w moje ciało muskularnymi rękami.

Poderwał mnie z ziemi i zniewolił w miążdżącym uścisku. Ten typowy chwyt przywołał jednak wspomnienie natłuszczonych olejkiem ciał zmagających się na matach, komendy sędziów oraz desperackie

sztuczki, jakich uczyli nas doświadczeni zapaśnicy ostrzegając, aby nigdy nie wykorzystywać ich w uczciwym współzawodnictwie. Kopnąłem w tył trafiając w kolano i mój przeciwnik zawył z bólu zwalniając

uścisk na tyle, abym mógł prawą pięścią grzmotnąć go z całej siły w krocze. Puścił mnie wrzeszcząc przeraźliwie. Obróciłem się ku niemu, złączyłem pięści wysoko ponad głową i wymierzyłem cios w podstawę szyi. Prawdopodobnie już w tym momencie Greif dokonał żywota, lecz kiedy padał na kamienną

posadzkę, nie wypuściłem z dłoni tłustych włosów, a postawiwszy stopę na jego szyi, szarpnąłem mocno

głowę ku górze. Usłyszałem trzask podobny do pęknięcia przegniłej gałęzi.

Zdawało mi się, że słyszę jakiś szept, głos, którego nie słyszałem od czasu, gdy na ulicach Likantu trzymałem w objęciach umierającego człowieka: - Teraz jestem naprawdę wolny ...

Skoncentrowałem się, czekając na atak Raveline'a. On jednak nie wykonał najmniejszego ruchu, tylko

uśmiechnął się szerzej i pełniej.

- To śmieć - odezwał się. - Nie będzie nam go brakowało. Znosi się na całkiem interesujący finał. Okaże

się bowiem, jak się ma utajona moc członka rodu Antero do moich wypróbowanych, doskonalonych przez

lata zdolności. Rozkazuję ci powtórnie: chodź do mnie, Almaryku Antero! - Tym razem palce księcia poruszały się wprawnie wykonując zaklęcie, a usta szeptały niezrozumiałe słowa, których brzmienie napawało mnie grozą.

Izbę wypełniły nieprzeniknione ciemności, aż nie widziałem już nic oprócz postaci Raveline'a,; potem już

tylko jego oczy, dwa tunele, które rozkazywały mi wejść... dwa stawy, w których miałem się utopić. Umysł

zawirował mi szaleńczo i jakaś niezmierna siła pociągnęła go ku przeznaczeniu, lecz pozostała mi jedna

chwila na moją własną myśl - wypowiedziałem imię Halaba, nie mając nawet promyka nadziei na cud w tej

otchłani zła. Tuż przed bazyliżkowym spojrzeniem Raveline'a wykwitła niespodziewanie warstwa jasnej

mgiełki. Sala rozjaśniła się i w chwilę później poczułem się wolny, mogłem zwyczajnie skoczyć do przodu.

Wpadłem na Raveline'a powalając go na ziemię.

Próbowałem wyrwać mu sztylet, zanim sparaliżuje mnie kolejnym zaklęciem. Umiejętności Raveline'a nie

kończyły się jednak na talencie magicznym. Szarpnął się i przetoczył jak zapaśnik na turnieju, po czym

poderwał się na nogi, wyciągając sztylet równie błyskawicznie jak wąż obnaża jadowite kły.
Ujrzałem błysk

ostrza i w jednej chwili zrozumiałem, że jest zaczarowane. Tym razem nie pozwoliłem wężowi wpatrywać

się w zającą, jako że w świetle, które pojawiło się, kiedy wezwałem Halaba na pomoc, dostrzegłem łukowate przejście tuż za Raveline'em. Puściłem się ku niemu pędem. Kiedy biegłem ile sił w nogach,

towarzyszył mi nieustannie potworny, szyderczy śmiech księcia i słyszałem jego słowa tak wyraźnie, jakby

stał tuż obok mnie: - Chcesz się jeszcze zabawić? Spełnię twe życzenie. Mówią, że przerażenie i ból osładzają ciało ofiary. Biegnij, Antero. Moje ogary już zwietrzyły zwierzynę. Wkrótce się spotkamy, gdy

tylko cię osaczą.

Nie zwracałem uwagi na jego słowa. Wymknąłem się z pierwszej pułapki, więc poradzę sobie z następną.

Pędziłem dalej pokonując schody, które prowadziły na górę. Ponad głową miałem ruiny miasta i upiorne

stworzenia, lecz były tam również niebo, noc i powietrze. Wyczerpane płuca poczuły świeży powiew,

wymęczone ciało zawołało o litość. Ujrzałem bramę; wrota sięgające wysoko w ciemności nocy i rygiel

grubości mojego ciała umieszczony na wysokości barków. Rozejrzałem się, nadaremnie szukając wzrokiem

jakiegoś podnośnika czy kołowrotu. Natarłem bezsilnie na belkę zdając sobie sprawę, że potrzeba było

całego oddziału żołnierzy, żeby ją poruszyć. Rygiel uniósł się bezszelestnie, a wrota stanęły otworem pod

dotknięciem mych palców. Przez wielką bramę wlał się strumień poświaty księżycowej. Najwidoczniej

chmury rozproszyły się, kiedy byłem w sali śmierci księcia Raveline'a. Za wrotami ujrzałem olbrzymie

głazy, połamane słupy i kolumny oraz zdruzgotany bruk ulic przekłętego miasta.

Zagłębiłem się w chłód nocy. Miałem nadzieję, że znajdę jakiś wąwóz czy zbocze, które doprowadzi mnie

albo w dół na równinę, albo do rzeki. Bez zmruczenia oka zaryzykowałbym przepłynięcie wplaw tych oleistych wód, pokonanie wodospadów, by szukać schronienia u jej źródeł. Zatrzymałem się na chwilę

próbując ustalić swoje położenie względem gwiazd, które patrzyły na mnie z wysoka niewzruszenie i obojętnie. Obrałem najkrótszą drogę, prowadzącą, jak spekulowałem, do krawędzi płaskowyżu - i zaczerpnąwszy kilka głębokich oddechów ruszyłem lekkim truchtem. Do mych uszu doleciały odgłosy dobywające się z gardzieli stworzeń Raveline'a. Określam je w ten sposób, ale w rzeczywistości nie jestem

238

pewny, czy krwiożercze bestie były wytworem jego chorego umysłu, czy też były to po prostu istoty, których

nikczemne dążenia pokrywały się z okrutnymi planami księcia. Ujadanie przybrało na sile i przyśpieszyłem

biegu. Wpadłem na szeroką aleję. Na środku bulwaru leżały przewrócone, połamane posągi. Mijając je

spojrzałem uważniej. Twarze posągów były pozacierane, jakby jakiś kamieniarz dłutem niszczył podobizny,

gdy jego dzieła zostały powalone na ziemię. Przedstawiały one niewątpliwie ludzi, lecz nie takich, jakich

widujemy, ani też gigantów czy karłów. Nie potrafię wiernie ich opisać, wspomnę jeno, że postacie te nie

miały właściwych proporcji. Nie starczyło mi zresztą czasu na wnikliwszą obserwację, ponieważ pierwsze

ze stworzeń wypadło właśnie z bocznej uliczki pędząc wprost na mnie. W świetle księżycy widziałem

dokładny zarys kształtów bestii. Wyobraźcie sobie człowieka, prawie olbrzymia, który biegnie na czworaka.

Dalej pomyślcie, że ręce i nogi owego giganta zostały połamane w kilku miejscach i odpowiednio wykrzywione, żeby ułatwić mu poruszanie. Powiększcie jego czaszkę, żeby była dwukrotnie dłuższa od

ludzkiej, dodajcie ostre kły, przesuniecie ukośnie oczy nadając im wygląd zbliżony do oczu wilka - chociaż

nie powinno się porównywać tego pocziwego stworzenia do bestii, która pędziła wówczas w tym kierunku; dopełnieniem obrazu niech będzie blada, przegniła skóra, przypominająca skórę trędowatych.

Pazury potwora stukały po kamieniach, gdy zbliżał się do mnie sadząc wielkie susy. Ujądanie przeszło w

triumfalny charkot, po czym zmieniło się w pełen zdumienia skowyt, kiedy podniósłszy kamień wielkości

pięści cisnąłem nim z całej siły prosto w rozchylony pysk. Bestia stanęła na tylnych łapach i runęła, wijąc się

z bólu i zaskoczenia. Prawdopodobnie ofiary, na które wcześniej polowała, nigdy nie stawiały najmniejszego

oporu. Stworzenie uciekło. Za plecami usłyszałem kolejne odgłosy. Przy końcu bulwaru odwróciłem się i

spojrzałem przez ramię. Stado zatrzymało się przy rannym stworzeniu. Nie ruszyły za mną w pościg, lecz

zatrzymały się, by pożreć swego okaleczonego i osłabionego brata. Skręciłem w jakąś uliczkę i pobieglem w

kierunku, gdzie, jak sądziłem, ruiny i wzgórza powinny się kończyć.

Coś wpadło na mnie z ogromnym impetem i o mało nie przewróciło. Instynktownie odskoczyłem do tyłu i

ujrzałem za sobą kolejną bestię, która odwróciła się teraz i poderwała do skoku. Natychmiast powróciły

wspomnienia z jednej lekcji Janosza i w chwili, gdy rozwarły się szczęki stworzenia i poczułem obrzydliwy

odór, zamachnąłem się błyskawicznie lewą ręką i wymierzyłem cios z ukosa w gardło. Kły bestii rozdarły mi

ciało, gdy zaciśnięta prawa pięść powędrowała na kark potwora. W mgnieniu oka szarpnąłem ku górze lewą

rękę a prawą do siebie. Szyja pękła wydając przy tym suchy trzask.

Puściłem się dalej pędem mając nadzieję, że sfora doceni kolejny smaczny kąsek i że kły nie zawierały

trującego jadu. W tym momencie zaczerpnąłem głębiej powietrza w płuca i poczułem, że ból odchodzi ode

mnie. Gdyby zaistniała taka konieczność, mógłbym biec przez całą noc. Usłyszałem szum i pomyślałem, że

gdzieś niżej musi płynąć rzeka. Niewątpliwie znajdowałem się blisko krawędzi płaskowyżu. Przed sobą

ujrzałem naturalny amfiteatr, który budowniczo wie tego miasta wykorzystali do wzniesienia areny o wiele

większej niż ta w Orissie. Kamienne schodki prowadziły w dół po zboczu ku scenie, nad którą królował

kamienny baldachim. Niektóre kolumny wspierające baldachim wciąż stały na swoim miejscu, podtrzymując

fragmenty kopuły. Dalej ujrzałem krawędź pionowego klifu. Muszę pobiec jego skrajem i znaleźć wąwóz,

którym będę mógł dostać się na dół.

Wtedy wpadłem w zasadzkę. Cała sfora wynurzyła się niespodziewanie nie wiadomo skąd - właściwie z

głębi ziemi. Pobiegłem w kierunku sceny, przeskakując ze stopnia na stopień. Wskoczyłem na podwyższenie

i przyłgnałem plecami do kolumny. Schwyciłem dwa kamienie - jedyną broń jaką znalazłem pod ręką.

Bestie zacieśniły krąg warcząc i kłapiąc zębiskami, po czym zbliżyły się jeszcze bardziej. Wiedziałem, że

nie wolno im mnie zabić, lecz domyślałem się, że Raveline pozwoli im zabawić się ze mną do woli, zanim

odpędzi swoje ogary. Jedno stworzenie zaryzykowało skok i zgruchotałem mu czaszkę wymierzając celny

cios. Krąg zacieśnił się jeszcze bardziej. Spojrzałem za siebie i odczułem ulgę. Wiedziałem już, że tu umrę.

Nie skończę jednak w szczękach tych potworów ani od magii Raveline'a. Kiedy nadejdzie nieunikniony

koniec, zdecyduję się na szybką i czystą śmierć spadając ze skał do rzeki.

Wtedy powróciła moja fretka. Z początku nie rozpoznałem jej, lecz usłyszałem syk, gwizd i oto giętka

śmierć popłynęła ku mnie przez amfiteatr. Miała prawie trzydzieści stóp długości, lśniące jasne futerko i

czerwone, błyszczące oczy. Nie rozpoznałem jej, a potem dostrzegłem czarną łatę dokoła jej pyska kiedy

olbrzymia fretka wybrała pierwszą bestię, nadgryzła delikatnie jej kręgosłup i odrzuciła na bok zwłoki. Sfora

zawyla z przerażenia na ten niespodziewany atak i rzuciła się na przybysza. Fretka jednak była wszędzie, a

jednocześnie nie było jej nigdzie. Za każdym kłapnięciem szczęk spadał napastnik. Jedno ze stworzeń

Raveline'a odskoczyło na bok i wyszczeekało jakiś rozkaz. Pozostałe rzuciły się pędem do ucieczki po

239

schodach, lecz spotykał je ten sam los, co ich martwych braci. W chwilę później zniknęły wszystkie, a

wielka fretka usiadła na zadzie, poszukując długą, węzową głową nowej ofiary. Wtedy zrozumiałem, kim

jest owa istota; pamięć podsunęła mi obraz dawno zmarłej fretki, zobaczyłem ją jak węższy, zanim puści się

za zającem. Zwróciła się ku mnie machając długim ogonem na powitanie, jak to zwykła robić wiele lat temu,

i nawet w tym momencie największego niebezpieczeństwa załkałem jak dziecko.

Powietrze zamigotało i tuż obok mojej zbawczyni pojawiła się postać podobna do ludzkiej. Otworzyłem

usta, żeby powitać ducha Halaba, lecz wtedy fretka i cień zniknęły. Zniknęły również księżyc,

gwiazdy i

cały amfiteatr, jakby ktoś zarzucił na świat czarny, nieprzenikniony kir, spod którego migotało przymglone,

upiorne światełko. Na tym świecie istniały teraz jedynie scena, filary wspierające fragmenty dachu...
i

Raveline. Trzymał sztylet w pogotowiu.

- Niezłe zagranie - warknął nie siląc się na przyjęcie uprzejmego tonu. - Właśnie popełniłem ostatni błąd,

kiedy oceniłem, że niewiele w tobie talentu. Nie wyczułem, żeby chroniły cię jakieś duchy. Naprawdę,

niezłe. Dlaczego nie wezwałeś swego brata czy tej bestii na ratunek, kiedy Greif maltretował cię w Irayas?

Czyżbyś zastawiał na mnie pułapkę? - Raveline przerwał i pokręcił głową z niedowierzaniem. -
Podwójna

sztuczka magii. Ale nieważne, czy to ty na mnie polowałeś, czy ja na ciebie. Ta kopuła, ta tarcza to jedno z

mych zaklęć, z których jestem najbardziej dumny. Izoluje całkowicie od reszty światów. Znajdujemy się

poza zasięgiem jakiejkolwiek znanej mi mocy, ziemskiej czy nadprzyrodzonej. Przygotowałem ją wiele lat

temu, kiedy po raz pierwszy walczyłem z moim bratem o to, kogo wybierze nasz ojciec, niech jego dusza

będzie przeklęta, na władcę Vacaan. To chyba ostateczna wersja zaklęcia ochronnego, które Janosz najpierw

na ciebie nałożył, a potem zdjął. Ono zniknie tylko wtedy, kiedy taka będzie moja wola... lub kiedy zginę.

Istnieje jednak pewne ograniczenie, a mianowicie pod tą kopułą zaklęcie uniemożliwia korzystanie z magii.

Wszystkim, nawet mnie. - A więc, Antero... Posiadasz umiejętności zapaśnika, podobnie jak ja. Co więcej,

mam ten nóż, który co prawda stracił magiczną moc, lecz jego ostrze wystarczy, by cię wybebeszyć.

Twój

duch nigdy nie zostanie pomszczony i nigdy nie zazna spokoju, po wsze czasy błądząc po zaświatach.
Tym

razem, Antero, to ja przyjdę do ciebie. - Spełniając groźbę, ruszył w moim kierunku.

Nigdy nie uważałem się za doświadczonego wojownika ani ulicznego awanturника i niewiele wiem na

temat noży oprócz tego, że w chwili, gdy ktoś wymachuje przed tobą sztyletem, najrozsądniejszym wyjściem

jest wziąć nogi za pas i uciekać ile sił. Janosz uczył nas kiedyś, jak zachować się w obliczu takiego zagrożenia, kiedy jest się bez broni. Wiedziałem, że są trzy sposoby trzymania noża, a tym samym trzy różne

sposoby rozbrojenia przeciwnika; można trzymać nóż ostrzem do dołu, można trzymać jak świeczkę.

Najgorszy przypadek to napastnik szaleńczo wymachujący ostrzem, jakby było magiczną tarczą. W przypadku człowieka, który poruszał się jak Raveline, stąpając powoli, szukając najsłabszego punktu, trzymając nóż z boku tuż przy udzie, wysuwając drugą rękę do przodu... Janosz uśmiechnął się ponuro mówiąc, że wtedy są tylko dwa wyjścia: ucieczka albo śmierć.

Ja również odszukałem jego słaby punkt, stąpając powoli... trzymając się z dala od sztyletu... mając obie

ręce w pogotowiu, z nadzieją, że Raveline zaatakuje szaleńczo i uda mi się chwycić go za nadgarstek albo go

podciąć. Zgodnie z naukami, jakie swego czasu otrzymałem, wpatrywałem się uparcie w oczy wroga

wiedząc, że jestem w stanie przewidzieć każdy ruch ostrza. Ciął raz, potem drugi od lewej, lecz nie trafił w

brzuch. Sztylet ponownie zatoczył łuk w powietrzu i wtedy zaryzykowałem cios. Ostrze noża przecięło

wewnętrzną stronę mego ramienia, lecz szczęśliwym trafem ominęło naczynia krwionośne. Nie zwracałem

uwagi na ranę... krążyliśmy wokół siebie. Zmienił nieco taktykę i zaczął zbliżać się zmuszając mnie do

konsekwentnego odwrotu. W końcu wpadnę w tę, sprytną pułapkę i przyszpili mnie jak motyla do ściany.

Cofającą się, stopą wyczułem szorstki kamień - była to jedna z kolumn - i na chwilę straciłem równowagę.

Raveline rzucił się celując prosto w serce, zrobiłem błyskawiczny unik i nóż ugodził mnie w klatkę piersiową, lecz w tej samej chwili ja wymierzyłem mu silny cios w twarz. Wrzasnął z bólu i zachwiał się. Ze

złamanego nosa trysnęła krew. Nie wypuścił jednak noża z ręki.

- Od jak dawna nie odczuwałeś bólu, ty mniejsza wysokości? - rzuciłem dochodząc do wniosku, że człowiek, który tak upajał się dźwiękiem własnych słów mógł łatwo paść ofiarą słów innych. - Od jak

dawna, ty książatko, które, nigdy nie zostanie królem? Może ci słabo? Może chce ci się płakać?

Zacisnął usta w niemej obeldze i przybrał pozycję do ataku, odstawiając jedną nogę w tył, jak szermierz.

Przygotowywałem się na natarcie, starając się rozluźnić... by mięśnie same wybrały najlepszą drogę do

odparcia ciosu.

240

Atak jednak nie nastąpił. W górze, nad naszymi głowami, rozległ się suchy trzask. Raveline podniósł wzrok, a oczy rozwarły mu się szeroko, W tym momencie olbrzymi blok skalny, będący kiedyś

baldachimu nad sceną, sklejony od wieków zaprawą z podstawą kolumny, zmiażdżył go, jak but rozgniata

skorpioną. Nie zdążył nawet krzyknąć przed śmiercią... Czarna kopyta zniknęła i znów ujrzałem dokoła

siebie ruiny przeklętego miasta. Osłupiałem patrząc na szczyt kolumny. Powietrze zamigotało gdzieś

mną i ujrzałem niewyraźną postać mężczyzny. - Halab - wydusiłem.

Bardziej w umyśle niż w rzeczywistości usłyszałem łagodny głos: - Książę nie znał wszystkich reguł

rządzących światami. Nawet duch może poruszyć to, co realne... jeśli wołanie jest dostatecznie silne.

Poza szumem rzeki w dole, dookoła panowała niezmacona cisza. Halab odezwał się ponownie: -
Zostałem

pomszczony i mój duch nie będzie się już błakał. Teraz podążę ścieżką, którą nie tak dawno temu
otworzyłeś dla Eanesa.

Pochyliłem głowę.

- Żegnaj, mój bracie.

Wtedy usłyszałem Halaba po raz ostatni.

- Żegnaj, Almaryku. Pozostało jeszcze jedno zadanie do wykonania. Nie mogę ci towarzyszyć... nie
mogę ci

pomóc. Ale musisz je wypełnić. Dla ciebie, dla naszej rodziny, dla Orissy i dla tego świata. Daję ci
ostatni

podarunek. Niechaj ci dobrze służy.

Poczułem pustkę. Ktoś odszedł... ktoś, kto, jak sobie uświadomiłem, przez te wszystkie lata, odkąd
mój

ojciec powrócił z Pałacu Magów z wieścią o śmierci Halaba, był zawsze niedaleko.

Zaczerpnąłem głęboki oddech. Tak. Pozostawało jeszcze jedno zadanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ostatnie czary

Teraz nie musiałem się już obawiać przeklętego miasta, ani znajdujących się pod nim katakumb.

Podniosłem sztylet leżący obok ciała Raveline'a i podążyłem ulicami ku wejściu do pieczary czarnoksiężnika. Nie błądziłem, nie wahałem się, czując się równie pewnie jak w mej rodzinnej Orissie.

Schodziłem po kamiennych schodach zagłębiając się coraz bardziej w otchłań jamy, zdając sobie sprawę, że

jestem pierwszą z ofiar Raveline'a, która to robi. Mijając rozciągnięte zwłoki Greifa zastanowiłem się, czy

powiniennem posypać je jakimś prochem, lecz w końcu zdecydowałem, że nie. Jego duch powinien odpokutować za całe zło, które wyrządził ten człowiek. Zasługiwał na wieczne błąkanie się po tych jaskiniach.

Czarna łódź wciąż stała zacumowała przy pomoście. Odwiązałem ją i wskoczyłem do środka. Używając

steru jako wiosła, skierowałem się ku wyjściu. Kiedy wypłynąłem z pieczary i znalazłem się na ciemnej

rzece zdążającej ku równinom i Irayas, szybki nurt porwał łódź, która pomknęła pomiędzy ścianami kanionu. Łódka wypełniała nawet niewypowiedziane i nie sprecyzowane do końca myśli, tak jak wcześniej

słuchała poleceń Greifa.

Nad miastem wstawał blady świt. Może powiniennem był kazać zaczarowanej łodzi zawieźć się do mego

pałacu, gdzie oczekiwała zrozpaczona Omerye. Zdawałem sobie jednak sprawę, że muszę teraz doprowadzić

do konfrontacji z Janoszem, i to nie tylko dla dobra mych rodaków... lecz dla dobra wszystkich ludzi, którzy

są niewolnikami czarodziejów. Po dziś dzień szczerze przyznaję, że nie wiem, jak sobie wyobrażałem wynik

tego spotkania. Dla dobra mej duszy chcę wierzyć, że intencje moje były czyste i nieskalane żądzą

zemsty.

Kiedy rezydencja Janosza wyrosła na tle spokojnej rzeki, wyrzuciłem do wody sztylet księcia Raveline'a. W

przezroczystej toni migotały zdobiące go klejnoty i lśniło zaczarowane ostrze, dopóki moja jedyna broń nie

zniknęła w głębinach. Przywiązałem łódź Raveline'a do pachołka pod głównym pomostem w miejscu, gdzie

cumowała wcześniej łódź płaczącej kobiety. Początkowo zamierzałem wejść po jednym ze słupków, aby

uniknąć straży, które powinny przechadzać się po pomoście, lecz nie zauważyłem żywego ducha. Ostrożnie

wszedłem po schodkach i dostrzegłem z jeszcze większym zdumieniem, że jedno z wejść do pałacu stoi

otworem. Przeszło mi przez myśl, że może to był właśnie ten podarunek obiecany przez ducha Halaba.

Wśliznąłem się do środka. Nie miałem pojęcia, jak blisko uda mi się podejść do Janosza, zanim własne

241

zaklęcie ostrzegające zbudzi jego czujność, więc szedłem dalej, bezszelestnie niczym polująca fretka.

Pochodnie i lampy oświetlające wnętrze budynku zaledwie się ćmiły, lecz nie potrzebowałem dodatkowego

światła, bo wokoło budził się świt. Z każdym krokiem moje zdumienie rosło, ponieważ nie napotkałem jak

dotąd ani jednego strażnika, ani w ogóle jakiegokolwiek człowieka. W końcu dostałem się na dziedziniec i

skierowałem do wieży, w której, jak się domyślałem, przebywał Janosz. Wszedłem po schodach i stanąłem

przed otwartymi drzwiami do komnaty sypialnej, znajdującej się dokładnie pod pracownią.

Janosz leżał rozciągnięty na samym środku olbrzymiego łoża. Był sam. Nie miał na sobie nic oprócz cienkiej, jedwabnej przepaski na biodra. Spał smacznie i przemknęło mi przez głowę, że jest

zaczarowany.

Stałem w nogach wielkiego łoża i wypowiedziałem imię mego niedawnego przyjaciela. Oczy Janosza

otwarły się natychmiast i ujrzałem w nich przeblysłk powracającej świadomości. Zwinnym ruchem zeskoczył

z łóżka i przyjął pozycję zaskoczonego lamparta.

Od razu zrozumiał, co się stało.

- Zabiłeś go? Zabiłeś Raveline'a? - Jego głos zdradzał najwyższe niedowierzenie. - A ja nic nie wyczułem?

Jak to możliwe?

Milczałem wpatrując się w niego ze zdumieniem. Nie mogłem wprost uwierzyć, jak bardzo się zestarzał w

ciągu tych dwóch ostatnich dni. Odniosłem wrażenie, że od czasu, gdy patrzyliśmy na siebie w lustrze na

górze, minęły całe dekady. Żółtawe pasemka we włosach i na brodzie ustąpiły widocznym odbarwieniom

pokrywającym prawie całą głowę, a twarz przypominała niezdrową, pooraną bruzdami twarz starego degenerata. Janosz wyglądał jednak nawet gorzej, bo na jego obliczu czaiło się zło, to samo zło, które wykrzywiało rysy Raveline'a... i Mortacjusa. W jego oczach również dokonana się widoczna zmiana.

Niegdyś lśniły nieustępliwością orła, a teraz świdrowały twardym, bezlitosnym spojrzeniem padlinożercy.

Najbardziej jednak zmienił się naszyjnik, z którym się nigdy nie rozstawał: tańcząca dziewczyna z

Odległych Królestw, podarunek od ojca. „Uzdrowiła” ją nasza wyprawa i kiedy patrzyłem na nią ostatnio,

widziałem wspaniałe, pełne wdzięku dzieło sztuki. Teraz zwieszała się wypłowiała z łańcuszka, pęknięta na

wysokości bioder... dokładnie tak, jak wyglądała pierwszego dnia, kiedy Janosz pokazał mi ją w orissańskiej

winiarni. Zrozumiałem w lot, że chociaż to mnie torturowano, ścigano, szczuto dzikim bestiami...

Janosz

zapłacił wyższą cenę za zdradę.

Od chwili gdy zawołałem go po imieniu, nie odezwałem się ani słowem. Przez jakiś czas wpatrywaliśmy się

w sobie w milczeniu. Janosz pierwszy odwrócił wzrok... po raz pierwszy nie był w stanie sprostać memu

wyzwaniu.

- Co ci obiecano? - zapytałem wreszcie nie znajdując w swym głosie ani śladu gniewu, choć te wszystkie

lata przyjaźni powinny sprowokować mnie teraz do wybuchu wściekłości. - Ile srebra i złota ofiarowano ci

w nagrodę?

Gniew pojawił się na jego obliczu.

- Nie było mowy o cenie - warknął. - To, co zrobiłem... było potrzebne. Zniszczyłbyś... to ty zniszczyłeś

wszystko.

Zachowałem spokój.

- Co rozumiesz przez wszystko, Janoszu? Szczęśliwie - tu przypomniałem sobie, co mówił o szczęściu

Raveline - nadal żyję. Teraz cień Raveline'a nie zagraża już naszej ziemi. Teraz również wiemy wszystko o

Odległych Królestwach. Nawet jeśli król Domas wypędzi nas stąd za uśmiercenie swego brata, co z tego?

Wciąż będziemy w stanie osiągnąć to, co oni osiągnęli ... a nawet jeszcze więcej. Czy to jest właśnie *wszystko*? Czy raczej przez *wszystko* rozumiesz ruinę własnych ambicji... oraz utratę mrocznego przewodnika?

- Raveline był nam potrzebny - powiedział Janosz. - Ja go potrzebowałem. Był dla mnie punktem wyjścia.

Wykorzystałbym go do własnych celów.

- Jakich celów? Żeby stać się jeszcze większym uosobieniem zła niż on? Żeby sięgnąć głębiej do świata

demonów niż jemu się kiedykolwiek udało? Żebyś to ty w końcu mógł rządzić za pomocą ognia i bicia w

taki sposób, że ludzie wspominaliby Czarnego Księcia jako łagodnego dobrodzieja?

- Słowa, słowa, Antero - warknął Janosz. - Wciąż używasz słów, których znaczenia nie znasz... albo które w

ogóle nie mają znaczenia. Zło... dobro ... Stoimy u wrót nowej ery, ery wykraczającej poza ograniczoną

wyobraźnię pouczających nas rodziców i nauczycieli. Ludzie mówią, że niegdyś panował Złoty Wiek, kiedy

żyliśmy jak bogowie. Ten wiek nigdy nie istniał. Świat powstał z mułu, a w tym mułe istniały jedynie

bruzdy, w których człowiek grzązł i potykał się nieustannie: jeden krok w kierunku światła, to znowu

242

upadek w otchłań. Raveline pomógłby mi rozszarpać chmury i dać światu jasność. Na wieczność. Ludzie

nie byliby bogami, ale czymś więcej... gdybyś tylko nie uczynił tego, co uczyniłeś. Gdyby nie jeden kupiec o

nędznej duszy, który nie widzi nic poza zyskami i jakimś nierealnym, isticie mitycznym dobrodziejstwem dla

świata... tego świata, w którym liczy się tylko drapieżnik i jego ofiara. Zmarnowaliśmy, jedyną szansę. Czy

nie widzisz? Szansa - jedyny, prawdziwy bóg, którego powinniśmy czcić - stworzyła jeden krótki moment,

żeby zaistnieć, żeby człowiek postawił krok do przodu i... przekroczył wszelkie granice.

Tego było już za wiele.

- Bogowie - rzekłem wzburzony. - Twierdzisz, że używam słów bez znaczenia. No cóż, kupiec ma za to

problemy z niektórymi twoimi słowami, a „bogowie” to jedno z nich. Następne to ta „nowa era”, o której mówisz. Skoro mamy stać się bogami... przepraszam, czymś więcej niż bogami, my wszyscy, istoty o małych duszach, powinniśmy teraz wpatrywać się w twarz Janosza Szarego Płaszczaka i widzieć w niej blask przyszłości, jaką obiecuje. Spójrz na siebie! Twoje oblicze odzwierciedla wiernie to, czym się stałeś! Jesteś tylko degeneratem mętnie pouczającym o błogosławieństwie, które nas czeka już jutro, jednocześnie dającym radośnie nura do ścieku. Janoszu, czy ty tego nie widzisz? Pamiętasz, jak mówiłeś o zdobyczach, które mogliśmy przywieźć z Odległych Królestw... zdobyczach dla wszystkich? Jaki jest teraz twój cel nadrzędny? Powiedziałeś mi, że bym popatrzył na jedno ziarnko piasku i ujrział w nim setki tysięcy. Nie potrafię. Widzę tylko tę biedną kobietę łkającą pod twym pałacem. Co jej dałeś, Szary Płaszczaku? Czy sprawiłeś, że ona... czy jej dzieci ... stały się czymś więcej niż bogami? Popatrz teraz na siebie, mój niedawny przyjacielu. Odpowiedz na pytanie zwykłego kupca: dlaczego, skoro tve poszukiwanie zmierza ku niebiosom, nosisz teraz twarz demona?

Tym razem Janosz nie odwrócił wzroku. Rósł w nim gniew i pogarda. Zdałem sobie sprawę, dlaczego na to pozwala.

- Wiedza... moc... muszą dostać swoją cenę - odezwał się. - Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie był ciągle dzieckiem.

Przez długą chwilę piorunowaliśmy się wzrokiem i wtedy właśnie ukazał się ostatni podarunek Halaba.

Wiedziałem, co trzeba uczynić i poczułem bolesny ucisk w sercu, gdy zrozumiałem, że skoro nie ma możliwości, żeby Janosz odpokutował za zło, jakie wyrządził, muszę uczynić moją powinność.

Próbowałem

przeciwstawić się przeznaczeniu, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie ma innego wyjścia.

Potem objawiła mi się druga część podarunku. Obserwowałem komnatę podwójnymi oczami, tak jakby

jeden umysł kontrolował dwie istoty, stojące w pewnej odległości od siebie. Ujrzałem podwójne, nakładające się na siebie obrazy. Jedyne Janosz pozostał taki jak poprzednio. Oczy błyszczały mu jasno jak

lampy, a ich blask nie różnił się wiele od światła w pustym oczodole Greifa.

- Mogłeś wiele dokonać - wymamrotał. - Jeszcze się przekonasz.

Nie odwracając wzroku, ciągle z tym samym wyrazem twarzy, Janosz przyklęknął, chwycił długi nóż leżący

na podłodze i ciął szybko i straszliwie. Nie było mnie jednak tam, gdzie się spodziewał. Trzecia i ostatnia

część daru Halaba uratowała mi życie. „Dostrzegłem” ten nóż długości małego miecza, zanim Janosz zdecydował się go wykorzystać... i przejrzałem jego zamiary. Kiedy ciął, wiedząc że nie chybi, czas zatrzymał się, więc z łatwością uniknąłem mknącego ku mnie ostrza.

- Nie, Janoszu - krzyknąłem. - Nie musisz tego robić. Żaden z nas nie musi umrzeć. - Wypowiedziałem te

słowa zdając sobie sprawę, że nie mają one sensu. Nie było to rozmyślne kłamstwo. Pochodziło z tej części

mojego jestestwa, która wciąż walczyła z nadchodzącym końcem tragedii. W odpowiedzi Janosz zaatakował

ponownie. Ujrzałem błysk noża; lśnił jak wyrzeźbiony z diamentu, a każda jego cząstka zbierała promienie

porannego słońca i odbijała je w postaci niezliczonych migoczących światełek. Ruszył na mnie... i chybił

ponownie, kiedy wykonałem błyskawiczny unik.

Prawą ręką natrafiłem na rękojeść miecza. Nie widziałem go, lecz wiedziałem, że go tam znajdę. Zwinnym

ruchem wyciągnąłem miecz z wiszącej na krześle pochwy. Był chyba kopią tej prostej, zgrabnej
żołnierskiej

broni, której użył Janosz ratując mnie przed stręczycielem Meliny. Janosz zamachnął się ponownie,
tym

razem celując w twarz. Bez trudu odparowałem cios i jego nóż z diamentu, jeśli tym był, roztrzaskał
się

niczym upuszczony na ziemię kryształ.

Okruchy nie zdążyły jeszcze opaść na podłogę, kiedy ostrze mego miecza zatoczyło pełny łuk. W ten
cios

włożyłem siłę wszystkich swych mięśni, każdy nerw mego ciała i całą duszę. Ostrze przebiło płuca i
prześlizgnęło się przez miękkie ciało, aż sześć cali zakrwawionej stali wyłoniło się z pleców mego
przeciwnika. W tej chwili zniknął ostatni dar Halaba, dar, który niósł ze sobą przekleństwo.

243

Żaden z nas nie poruszył się i wydawało mi się, że trwa to wieczność. Oczy Janosza zdradzały

niewypowiedziane zdumienie - jak oczy proroka, którego wizja okazała się fałszywa. Rozchylił usta,
lecz

zamiast słów wylała się z nich krew. Zachwiał się. Puściłem rękę. Janosz postąpił krok do
przodu, po

czym osunął się na kolana, obiema rękami chwytając zatopione w piersiach ostrze. Upadł na plecy.
Miecz

sterczał pionowo z jego ciała. Janosz otworzył przymknięte oczy i spojrzał prosto w moją twarz.

- Kiedy... to ostrze... wyjdzie z mego ciała - wycharczał cicho - odejdzie z nim moja dusza.

Skinąłem głową. Obraz zamazywał mi się przed oczami, tym razem nie za sprawą magii. To łzy
spływały

mi po policzkach.

- Pamiętam - szeptał dalej Janosz - jak kiedyś... powiedziałem ci... przed tą karczmą, gdzie
spotkaliśmy się

po raz pierwszy... że spotkać czerwonołosego to... to szczęśliwy omen. - Zmusił się do uśmiechu i

usłyszałem rżenie, gdy umierające ciało walczyło o każdą chwilę życia. - Przynajmniej ...
przynajmniej

znaleźliśmy... znaleźliśmy Odległe Królestwa - wykszusił.

- Znaleźliśmy - przyznałem, po czym powtórzyłem z naciskiem:

- Znaleźliśmy je obaj.

Ciało Janosza zadrżało w kleszczach bólu. - Wyjmij... wyjmij teraz... to ostrze - wyszeptał, a jego
zanikający głos zabrzmiał jednak jak rozkaz. - Zanim zapomnę o swojej dumie.

Spełniłem ten rozkaz. Wysuwający się z ciała Janosza miecz zabrał ze sobą duszę, która poszybowała
w

objęcia Mrocznego Poszukiwacza.

Janosz Kether Szary Płaszcz, książę Kostromy, kapitan i rycerz Orissy, niedoszły baron Vacaan,
niezmordowany poszukiwacz Odległych Królestw i... tak, człowiek, który był kiedyś moim
przyjacielem -

nie żył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ŚWIĘTA GÓRA

I tak dotarłem do końca owej podróży; gdy przelewam słowa na papier, wciąż jeszcze czuję ciężar
Janosza.

Z wysiłkiem ściągnąłem bezwładne ciało z wozu. Moje stare oczy patrzą teraz w głąb czasu i widzę

wyraźnie wąską ścieżkę, po której ciągnęliśmy nasz wóz aż na sam szczyt Świętej Góry. Setnik
Maeen i

pozostali członkowie wyprawy podbiegli, by mi pomóc, lecz odprawiłem ich stanowczo. Muszę
zrobić to

sam.

Obarczony ciężarem zwróciłem się w stronę omszałych ruin Wielkiego Ołtarza Pradawnych.
Potknąłem się,

coraz słabszy wraz z upływem lat; jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony. Modlę się o młodzieńczą
siłę,

bym nie upadł. Dłoń, w której dzierzę gęsie pióro, drży z wysiłku, gdy niosę Janosza na wygładzony kamień.

Układam go ostrożnie i z trudem cofam się o krok, bym mógł objąć wzrokiem człowieka, który przyprowadził nas do tego miejsca.

Ech, Janoszu. Teraz cię poznałem, Szary Płaszczu. Widzę twe nagie ciało spoczywające na skale, lecz

wstrzymuję się z rozpoczęciem ostatniego pożegnania; przecież trzeba poczekać do zakończenia wszystkich

prac. Poczułem, jak Maeen wtyka mi w dłoń płaski flakonik. Wonne olejki. Namaściłem nimi ciało Janosza.

Czas na modlitwę, lecz nie znam języka Pradawnych, więc najzwyczajniej powiedziałem: - Żegnaj, Janoszu

Szary Płaszczu. Skrzesałem iskry i cofnąłem się przed gwałtownym płomieniem. Teraz patrzę, jak ogień

pożera z furią jego ciało. Uderza silniej w magiczne blizny, które po chwili znikają. Janosz ulega przemianie: młody, urodziwy, jak podczas naszego pierwszego spotkania. Niewinny.

W końcu nadszedł czas na myśli, które zepchnąłem w najciemniejsze zakamarki umysłu. Byłeś mi przyjacielem, Janoszu Szary Płaszczu... i zdradziłeś mnie. Ech, przecież śmiałem się z klątwy. Nie rozpocząłem owej wyprawy, by jątrzyć stare rany, lecz by oczyścić blizny, jak ofiarny ogień oczyszcza

Janosza. W tej opowieści zamierzałem opisać dwie podróże: jedną dla tych, którzy to przeczytają, drugą dla

244

mnie. Wraz z Janoszem osiągnęliśmy coś wspaniałego: odnaleźliśmy Odległe Królestwo. Dalej mój przyjaciel podążył samotnie. Nasz świat nigdy już nie będzie taki sam, dzięki jego odkryciom. Ale to ja

przyprowadziłem ludzi z powrotem i to na mnie spłynął blask sławy i bogactwa. Nie okłamałem jednak

Janosza Szarego Płaszczu. Nie zdradziłem jak Cassini. Gęsie pióro wymazuje zadane rany i

zastanawiam się

nad tym, co uczyniłeś dla mnie, przyjacielu. Wszystko co później zobaczyłem i czego dokonałem, stało się z

twego powodu. Przez ciebie. To ty, Janoszu, wyzwoliłeś nas. Wyrwałeś magiczne sekrety z serc

czarnoksiężników i upowszechniłeś je wśród zwyczajnych ludzi. Teraz moja ukochana Orissa pławi się w

pokoju i dostatku.

Czyż owe dary nie wystarczą dla przebaczenia.

Bardzo dobrze: wybaczam ci, Janoszu, wybaczam również sobie to, iż moja wiedza okazała się

niewystarczająca, by ochronić ciebie. Nie byłeś dobrym człowiekiem, Szary Płaszczu, ale byłeś wspaniałym

człowiekiem i to właśnie twoja wielkość cię zabiła - nie ja. Zależy mi, by dotrzeć do końca ze zrozumieniem

i przebaczeniem. Teraz widzę wszystko nowymi oczami. Słyszę Maeena i jego ludzi, jak oddają Janoszowi

ostatni hołd. I czuję ulotną obecność, tuż obok. Omerye. Unosi swoją fujarkę i powietrze wypełnia się

tęsknymi akordami. Płomienie podskakują żwawiej, gdy ciało ulega kolejnej przemianie. Wschodni wiatr

unoszą ciemny dym ku niebu. Dym zamiera na chwilę nad naszymi głowami i zaczyna wirować dokoła. Wiatr

czeka.

Ocieram łzy żłobiące bruzdy na pomarszczonych policzkach... i patrzę. Nagle dostrzegam wspaniałą

jasność. Daleko na wschodzie, po drugiej stronie wzburzonego morza, gdzie, jak powiadają, ziemi nie

skalała ludzka stopa, błysk światła wynosi zarys górskiego pasma ponad linię horyzontu. Masyw wygląda

jak zaciśnięta pięść. Pomiędzy kciukiem a pozostałymi palcami widzę lśniący bielą kobierzec śniegu.

Górzysta pięść, pięść z wizji, jaką miałem, gdy magowie rzucili kośćmi rozpoczynając nasze

Odkrycie. W

miarę pisania wizja popycha mnie coraz dalej. Ale nie mogę iść, nie mogę iść. Spoglądam na dym unoszący

się ponad w górę, na Janosza. Widzę, jak uwalnia wschodni wiatr i mknie po niebie na spotkanie wizji.

Ze ściśniętego gardła wydobywa się szept: - Żegnaj, Janoszu Szary Płaszczu. Żegnaj, przyjacielu. Niechaj

bogowie ułatwią ci ostatnią podróż - do Odległych Królestw naszej młodości.

O AUTORACH

Współpracujący ze sobą od ponad dziesięciu lat, przyjaciele od trzydziestu, Chris Bunch i Allan Cole w

„Odległych Królestwach” dają wyraz swej życiowej pasji związanej z dalekimi lądami i egzotycznymi

kulturami. Buncha wciąż nawiedzają młodzieńcze wspomnienia dzwonów azjatyckich świątyń, śnieżnych

lampartów i liczącego tysiąc lat grobowca pewnej koreańskiej księżniczki, podczas gdy w uszach Cole’a

brzmią wyraźnie słowa „Burzy”, którą usłyszał po raz pierwszy w dzieciństwie siedząc na starożytnym

murze cypryjskiej twierdzy; o tej wyspie myślał Szekspir pisząc swoją sztukę. Wiele lat później, udało im

się zrealizować większość młodzieńczych marzeń dzięki licznym podróżom, które wiodły ich od mglistych,

rozbrzmiewających piskiem mew wysp u wybrzeży Irlandii aż po zamrażone pustkowia Antarktydy. W

przerwach między kolejnymi wozami mieszkają w Manhattan Beach i Venice Beach, w Kalifornii, gdzie

wytrwale wspierają ich na duchu żony - Karen i Kathryn.